Gustaw Le Bon

Psychologia socjalizmu

Klasyka psychologii i ekonomii



Gustaw Le Bon

Psychologia socjalizmu

P.W.H. „Nepo"
Warszawa, 1997

ISBN 83-900118-6-7

Tytuł oryginału:
„Psychologie du socialisme"

Tłumaczenie
Michał Osiński

Wydawca:
Przedsiębiorstwo Wydawniczo-Handlowe „NEPO"
skrytka 105
ul. Broniewskiego 77 m. 137
01-865 Warszawa
tel/fax (022) 633.53.15
E-mail: nepo (at) elektron.pl
Http://www.elektron.pl/nepo

Skład i łamanie: Fotoskład EWA, tel. 826-95-56

Spis treści

Księga IV

KONFLIKT MIĘDZY PRAWIDŁOWOSCIAMI GOSPODARCZYMI A DĄŻENIAMI SOCJALISTYCZNYMI

Nota od tłumacza

O ile poglądy Le Bona, słuszne czy błędne, z pewnością zapowiadają myśl naszego wieku, to jego język tkwi w poprzednim. Zjawiska społeczne, które w dzisiejszym języku mają pewne utarte nazwy, u niego zowią się inaczej. Gdzie publicysta współczesny mówiłby o różnych kulturach, Le Bon rozprawia o rasach. Jego 'tłumom' – 'foules' – odpowiadają po polsku raczej masy. 'Ludom' – narody lub społeczeństwa. Przymiotnik 'łaciński' dotyczy z zasady kultury (romańskiej bądź francuskiej), a nie języka – 'rasa łacińska' oznacza więc w tej książce narody romańskie i ich cywilizację. Jego 'klasy' nie mają wiele z marksizmu, oznaczając grupy czy warstwy społeczne, albo w ogóle kategorie ludzi. Le Bon krytykuje dobroczynność – po francusku 'charite' – ale ma na myśli mniej komitety parafialne, a więcej pomoc społeczną świadczoną oficjalnie. 'Solidarnością' nazywa współpracę, na ogół interesowną, a nie pomoc wzajemną. Gdy mówi o rozumie ('raison'), ma na myśli czasem po prostu zdolność do rozsądnego myślenia, czasem wyższe uzdolnienie człowieka, które można by pisać dużą literą, Rozum.

Tłumaczenie nie zachowuje en bloc *tego sposobu mówienia, bo mógłby być mylący. Z drugiej strony nie można go było jednak w całości zastępować terminologią współczesną; to by oznaczało odejście zbyt daleko od oryginału. Przyjęto zasadę, że język jest modyfikowany wtedy, gdy dosłowne brzmienie mogłoby spowodować nieporozumienia. Pozostawiono terminy szczególnie dla autora typowe, jak owa 'rasa' albo też 'lud' zamiast 'narodu'. Niekiedy odpowiednik współczesny dodano w nawiasie. Ponieważ terminologia psychologiczna i socjologiczna w czasach Le Bona nie była jeszcze ukształtowana, tłumaczenie też jej na ogół nie używa. Częściowo dotyczy to również terminów ekonomicznych.*

Niektóre szczegółowe stwierdzenia Le Bona są jaskrawo fałszywe, choć dotyczy to kwestii dla całości dzieła pobocznych (np. zupełnie zniekształcił historię chrześcijaństwa). Popada on też czasem w sprzeczności. Jest to odnotowane w przypisach, przy czym tłumacz starał się wskazać genezę błędu. Dotyczy to zwłaszcza faktografii i analizy zjawisk, bo odnośnie przewidywań na przyszłość sam Le Bon wyraźnie podkreśla ich ryzykowność. Tłumacz zresztą nie wyręczał czytelnika w ocenie głównych tez Le Bona.

W przekładzie uwzględniono drobne uzupełnienia tekstu dodane w późniejszych wydaniach; natomiast przedmowa pochodzi w całości z wydania I.

Przedmowa autora do I wydania

Socjalizm, który dogłębnie przejmuje umysły stanowi syntezę zespołu dążeń, wierzeń i idei reformatorskich. Rządy się go obawiają, prawodawcy go oszczędzają, ludy widzą w nim jutrzenkę przyszłego losu.

Dzieło to jest poświęcone jego zbadaniu. Znajdą w nim zastosowanie zasady wyłożone w moich ostatnich książkach: *Psychologia rozwoju narodów*[1] oraz *Psychologia tłumu*[2]. Przeszedłszy pobieżniej przez szczegóły doktryny, by zatrzymać się tylko przy jej istocie, zbadamy następnie przyczyny, które spowodowały powstanie socjalizmu, oraz te, które spowalniają bądź przyspieszają jego rozprzestrzenianie. Wskażemy na konflikt między dawnymi ideami ustalonymi przez dziedziczenie, na których nadal opierają się społeczeństwa, a ideami nowymi, wyrosłymi z nowego środowiska, stworzonego przez ewolucję naukową i przemysłową. Nie kwestionując słuszności dążenia wielkiej liczby ludzi do poprawy swojego losu, zbadamy, czy strona instytucjonalna może mieć realny wpływ na tę poprawę, czy też nasze przeznaczenie podlega władzy konieczności niezależnej od tych instytucji, które rodzą się z naszych zachceń.

Socjalizmowi nie zabrakło apologetów piszących jego historię, ekonomistów omawiających jego dogmaty, apostołów głoszących jego wiarę. Psychologowie jak dotychczas wzgardzili jego studiowaniem, widząc w socjalizmie temat nieprecyzyjny i wymykający się badaniu, tak jak religia lub polityka, nadający się raczej do dyskusji emocjonalnych a jałowych, do których umysły naukowe czują odrazę.

Wydaje się jednak, że jedynie uważne podejście psychologiczne może ukazać genezę tych nowych doktryn i wyjaśnić wpływ, jaki wywierają zarówno w warstwach ludu, jak wśród pewnej liczby umysłów wykształconych. Trzeba sięgnąć najgłębszych korzeni wydarzeń, których przebieg się obserwuje, by dojść do zrozumienia ich owoców.

Żaden apostoł nie wątpi w przyszłość swej wiary. Socjaliści też są przekonani o ostatecznym triumfie swojej. Takie zwycięstwo zakłada konieczność zniszczenia obecnego społeczeństwa i jego odbudowę na innej podstawie. Uczniom nowego dogmatyzmu nic nie wydaje się prostsze. Jest oczywiste, że można zdezorganizować społeczeństwo

[1] *Lois psychologiques de l'evolution des peuples*, wyd. pol. Warszawa 1897 [*przypis tłumacza*].
[2] Wyd. pol. Lwów 1899 [*przypis tłumacza*].

przemocą, tak jak można w godzinę unicestwić ogniem powoli wznoszony budynek. Ale czy nasza obecna znajomość ewolucji wydarzeń pozwala przyjąć, że ludzie są zdolni przebudować według swoich życzeń zniszczoną organizację? Gdy tylko wniknie się trochę w mechanizmy cywilizacji, odkrywa się szybko, iż społeczeństwo ze swymi instytucjami, wierzeniami i umiejętnościami przedstawia się jako sieć idei, uczuć, przyzwyczajeń i sposobów myślenia dziedzicznie utrwalonych, która stanowi o jego sile. Społeczeństwo jest zwarte tylko wtedy, gdy ta moralna spuścizna jest solidnie zakorzeniona, ale nie w kodeksach, lecz w duszach. Upada zaś, gdy się ona rozkłada. Jeśli rozkład jest zupełny, społeczeństwo skazane jest na zniknięcie.

Takie przekonanie nigdy nie wpłynęło na pisarzy i mężów stanu państw cywilizacji łacińskiej[3]. Przekonani, iż naturalne prawidłowości zninkną wobec ich ideału niwelowania różnic, regulacji, sprawiedliwości, wierzą oni, że wystarczy wyobrazić sobie naukową konstytucję i prawa oparte na rozumie, żeby przekształcić świat. Żywią jeszcze złudzenia heroicznej epoki Rewolucji, kiedy to filozofowie i prawodawcy uważali za pewnik, iż społeczeństwo jest tworem sztucznym, który dyktatorzy mogą w swej łaskawości całkowicie przebudować.

Podobne teorie wydają się dziś trudne do podtrzymywania. Nie należy ich jednak lekceważyć. Stanowią bowiem motyw działań o bardzo wielkiej niszczącej sile, która jest tym samym nader groźna. Moce twórcze czerpią z upływu czasu i nie podlegają wpływowi naszych doraźnych zachceń. Zdolność do niszczenia, przeciwnie, jest w naszym zasięgu. Zniszczenie społeczeństwa może być bardzo szybkie, zaś jego odtworzenie jest zawsze bardzo powolne. Niekiedy potrzeba ludziom wieków wysiłku, żeby mozolnie odbudować to, co zniszczyli w jeden dzień.

Jeśli chcemy zrozumieć głęboki wpływ wywierany przez współczesny socjalizm, trzeba zbadać jego dogmaty. Kiedy bada się przyczyny jego sukcesu, stwierdza się, że sukces ten wcale nie wiąże się z teoriami, które te dogmaty zakładają, ani z zaprzeczeniami, które narzucają. Jak religie, do których się coraz bardziej upodabnia, socjalizm rozprzestrzenia się inaczej niż dzięki przesłankom rozumowym. Słabiutki, gdy próbuje dyskutować i opierać się na argumentach ekonomicznych, staje się – przeciwnie – bardzo silny, gdy pozostaje w sferze deklaracji, marzeń i nierealnych obietnic. Byłby jeszcze groźniejszy, gdyby się do nich ograniczył.

Dzięki obietnicom odnowy, dzięki nadziei, którą budzi w wydziedziczonych, socjalizm staje się o wiele bardziej wierzeniem o formie

[3] Autor zowie tak nie cywilizację starożytną czy średniowieczną, lecz głównie dziewiętnastowieczne republiki w krajach romańskich, a zwłaszcza samą Francję [*przypis tłumacza*].

religijnej, niż doktryną. Otóż siła wierzeń, kiedy przybierają ową formę religijną (której mechanizmy studiowałem gdzie indziej), polega na tym, że ich rozprzestrzenianie się nie zależy od udziału prawdy bądź błędu w nich zawartego. Skoro tylko wierzenie jest w duszy ludzkiej zakorzenione, jego absurdalność nie jest widziana, rozum go nie dosięga. Tylko czas może je nadwerężyć. Najświetniejsi myśliciele ludzkości, jak Leibniz, Kartezjusz, Newton, bez szemrania chylili czoła przed dogmatami religijnymi, których słabość Rozum szybko by im wykazał, gdyby mogli poddać je krytycznej kontroli. Co jednak weszło do sfery uczuć, nie może już być naruszone przez dyskusję. Religie, działając tylko na uczucia, nie mogą być podważone przez argumenty – dlatego ich panowanie nad duszami zawsze było tak absolutne.[4]

Epoka współczesna stanowi jeden z tych okresów przejściowych, kiedy stare wierzenia straciły swoją władzę, a te, które miałyby je zastąpić, jeszcze się nie ustaliły. Ludziom jeszcze nie udało się żyć bez bóstw. Spadają one niekiedy z tronów, ale te nigdy nie pozostają puste. Nowe zjawy wznoszą się wkrótce z prochu martwych bogów.

Nauka, która pokonała bogów, nie potrafi zakwestionować ich niezwykłej władzy. Żadnej cywilizacji nie udało się jeszcze powstać i rosnąć bez nich. Kwitnące cywilizacje zawsze opierały się na dogmatach religijnych, które z punktu widzenia Rozumu nie miały najmniejszej nawet cząstki logiki, prawdy czy nawet zwykłego zdrowego rozsądku. Logika i rozum nigdy nie były prawdziwymi przewodnikami ludów. Irracjonalność zawsze stanowiła jeden z najpotężniejszych motywów działania w dziejach ludzkości.

[4] Nietrudno dostrzec, że wizja religii u Le Bona jest nadzwyczaj schematyczna, a przez to właściwie zabawna w swej natrętnej retoryce – choć oczywiście uczuciowy typ religijności, jaki ma na myśli, jest dość częsty, a w sektach wręcz dominuje. Jest też psychologicznym uproszczeniem separowania myśli i uczyć. Autor manifestuje tu niechcący swój oświeceniowy, w gruncie rzeczy religijny, stosunek do Rozumu, mimochodem potwierdzając swą następną tezę, że od religijności nie można uciec i że ma dominujący wpływ na życie.

Z dwóch przesłanek, że wierzenia mają decydujący wpływ na życie ludzkie (co jest w znacznej mierze słuszne: z tym zastrzeżeniem, że większość ludzi zajmuje i zajmowała głównie ich codzienna egzystencja, a nie jakiekolwiek idee) oraz że religijność jest wyłącznie sprawą uczuć (co nie jest prawdą), wyciąga autor wniosek, iż natura ludzka jest całkiem irracjonalna, z czym przesadza i czemu sam w pewnej mierze przeczy w rozdziałach opisujących sensowne gospodarowanie i organizację społeczeństw. Popada też przy tej tezie w antynomię podobną do klasycznego „paradoksu kłamcy": jeśli ludzie zawsze ulegają uczuciom i zachceniom, jakże sam Le Bon może zachować naukowy dystans?

Skrzywiony wizerunek religii również zakłóca w pewnej mierze jego analizę socjalizmu, który ma cechy religijne, ale tym się od religii różni, że swoiste zbawienie obiecuje na ziemi – co istotne jest całkiem irracjonalne. Tym bardziej, że środki, jakie proponuje, prowadzą do skutków zgoła odwrotnych [*przypis tłumacza*].

To nie światło Rozumu przekształciło świat. Podczas gdy religie, oparte na utopiach, wycisnęły niezniszczalne znamię na wszystkich składnikach cywilizacji i trzymają ogromną większość ludzi pod władzą swych praw, to systemy filozoficzne, oparte na rozumowaniach, odgrywały w życiu ludów tylko nieznaczną rolę, wiodąc egzystencję efemeryczną. Proponują one bowiem masom argumenty, podczas gdy dusza ludzka domaga się jedynie nadziei.

Religie zawsze dawały nadzieje właśnie; dawały też ideał zdolny do uwiedzenia i uniesienia dusz. Swoją magiczną pałeczką tworzyły najpotężniejsze imperia, wydobyły z nicości cuda literatury i sztuki, które tworzą wspólny skarbiec cywilizacji.

Nadzieję proponuje również socjalizm i to właśnie stanowi o jego sile. Wierzenia, których naucza, są wysoce utopijne i pozornie mają nader nikłą szansę na rozprzestrzenienie się. Niemniej jednak osiągają skutek. Człowiek dysponuje cudownym uzdolnieniem do przekształcania rzeczy zgodnie ze swoimi pragnieniami, do poznawania ich tylko przez magiczne szkło myśli i uczuć, które pokazuje świat, jakim chcemy go widzieć. Pod wpływem marzeń, ambicji, pragnień każdy widzi w socjalizmie rzeczy, o których twórcy tej nowej wiary nawet nie śnili. Kapłan odkrywa w nim dobroczynność o zasięgu uniwersalnym i marzy o nim, zapomniawszy o ołtarzu. Zgięty przez trudy nędzarz mylnie postrzega w nim świetlisty raj, gdzie z kolei on będzie obsypany dobrami. Niezmierzone zastępy niezadowolonych – a któż się dzisiaj do nich nie zalicza – mają nadzieję, że jego triumf przyniesie im poprawę losu. Właśnie suma wszystkich marzeń, niezadowolenia, nadziei daje nowej wierze jej niezaprzeczalną siłę.

Żeby socjalizm mógł tak szybko przybrać tę formę religijną, która stanowi tajemnicę jego wpływu, trzeba było, by pojawił się w jednej z tych rzadkich chwil historii, kiedy ludzie są zmęczeni swoimi bogami, a dawne religie tracą swoją dominację i tylko czekają na nowe wierzenia, które mają je zastąpić. Nadszedłszy w momencie, gdy władza dawnych bóstw znacząco przybladła, socjalizm, który też proponuje człowiekowi marzenia o szczęściu, dąży w naturalny sposób do zajęcia ich miejsca. Wszystko wskazuje, że uda mu się je zająć, ale że nie potrafi go długo utrzymać.

Księga I
TEORIE SOCJALISTYCZNE I ICH ZWOLENNICY

Rozdział 1
Różne oblicza socjalizmu

§ 1. Czynniki ewolucji społecznej

Cywilizacje zawsze miały za podstawę niewielką liczbę idei nimi rządzących. Kiedy te idee, stopniowo blednąc, w końcu całkiem tracą siłę, opierające się na nich cywilizacje skazane są na zmianę.

Jesteśmy dzisiaj świadkami jednego z takich okresów przemiany, rzadkich w historii świata. W ciągu wieków wielu filozofom nie było dane żyć akurat wtedy, gdy się kształtowały nowe idee, ani móc studiować je, jak to jest możliwe dziś, na kolejnych etapach krystalizacji.

Obecna ewolucja społeczeństw podlega działaniu czynników trojakiego rodzaju: politycznych, ekonomicznych i psychologicznych. Istniały one we wszystkich epokach, ale ich względna ważność zmieniała się stosownie do wieku narodów.

Do czynników politycznych należą prawa i instytucje. Teoretycy wszystkich partii, a przede wszystkim współcześni socjaliści, przypisują im zazwyczaj bardzo duże znaczenie. Wszyscy są przekonani, iż szczęście ludu zależy od jego instytucji – i że wystarczy je zmienić, by od razu zmienić los. Paru myślicieli uważa, przeciwnie, że wpływ instytucji jest bardzo słaby, a losy ludów zależą od ich charakteru, to znaczy ducha ich rasy (kultury). W ten sposób by się wyjaśniało, dlaczego narody o podobnych instytucjach, żyjące w takim samym środowisku, zajmują bardzo różne miejsca na drabinie cywilizacyjnej.

Ogromny wpływ mają dziś czynniki ekonomiczne. Mało znaczące w czasach, gdy ludy żyły w izolacji i gdy rozmaite gałęzie gospodarki

mało się zmieniały przez wieki, czynniki te w końcu zyskały wpływ dominujący. Odkrycia naukowe i techniczne przekształciły wszystkie warunki naszego życia. Prosta reakcja chemiczna, odkryta w laboratorium, rujnuje jeden kraj, a wzbogaca inny. Uprawa zboża w głębi Azji zmusza całe prowincje Europy do rezygnacji z rolnictwa. Rozwój maszyn wstrząsa życiem znacznej części ludów cywilizowanych.

Czynniki natury psychologicznej, jak rasa (kultura), wierzenia, opinie również mają znaczny wpływ. Był on niegdyś decydujący, dziś jednak przewagę osiągają czynniki ekonomiczne.

Społeczeństwa współczesne różnią się od dawnych przede wszystkim zmianą proporcji bodźców, których wpływowi ulegają. Niegdyś zdominowane przede wszystkim przez wierzenia, dziś coraz bardziej są posłuszne prawidłowościom ekonomicznym.

Jednakże czynniki psychologiczne dalekie są od utraty wpływu. W jakiej mierze człowiek unika tyranii czynników ekonomicznych, zależy to od jego konstytucji umysłowej czyli rasy (kultury) – dlatego widzimy, że pewne ludy podporządkowują czynniki ekonomiczne swoim potrzebom, podczas gdy inne pozwalają się im coraz bardziej zniewalać i tylko próbują się im przeciwstawić przez przepisy protekcjonistyczne, które jednak nie są w stanie ochronić ich przed zapanowaniem czynników ekonomicznych.

Takie są główne motory ewolucji społecznej. Ich przemilczanie nie sprawi, że przestaną funkcjonować. Naturalne prawa działają ze ślepą regularnością przekładni zębatej i miażdżą wszystko, co się z nimi zderza.

§ 2. Różne aspekty socjalizmu

Socjalizm prezentuje więc różne oblicza, które należy kolejno zbadać. Trzeba go studiować jako koncepcję polityczną, jako koncepcję ekonomiczną, jako koncepcję filozoficzną i jako wierzenie. Trzeba też brać pod uwagę konflikt między tymi różnymi koncepcjami a rzeczywistością społeczną, to znaczy między abstrakcyjnymi ideami a nieuniknionymi prawami natury, których człowiek zmienić nie potrafi.

Najłatwiej poddaje się analizie strona ekonomiczna socjalizmu. Stajemy tu bowiem wobec jasnych problemów. Jak powstaje i dzieli się bogactwo? Jakie są odpowiednio role pracy, kapitału i inteligencji? Jaki jest wpływ faktów ekonomicznych, na ile stymulują one ewolucję społeczną?

Jeżeli studiujemy socjalizm jako wierzenie – to znaczy badamy wpływ moralny, jaki wywiera, przekonania i zaangażowanie, które inspiruje – wtedy punkt widzenia jest bardzo różny i problem jawi się całkiem

inaczej. Nie musząc się już zajmować teoretyczną wartością socjalizmu jako doktryny i niedorzecznościami ekonomicznymi, o które może się ona rozbić, mamy tylko do rozważenia nowe wierzenie od strony jego genezy, moralnych postępów i efektów psychologicznych, jakie może spowodować. Takie studium jest nieodzowne dla zrozumienia bezużyteczności wszelkiej dyskusji z obrońcami nowych dogmatów. Kiedy ekonomiści dziwią się, że przedstawienie bezdyskusyjnego dowodu zupełnie nie skutkuje na przekonanych socjalistów, należy ich odesłać do historii wszelkich wierzeń i do psychologii tłumu. Nie pokonuje się doktryny, pokazując jej strony utopijne. Marzeń nie zwalcza się argumentami.

By zrozumieć obecną siłę socjalizmu, trzeba go rozważać przede wszystkim jako wierzenie. Stwierdza się wtedy, że spoczywa on na bardzo mocnym fundamencie psychologicznym. Dla jego sukcesu mało znaczy to, że jego dogmaty są sprzeczne z rozumem. Historia wszystkich wierzeń, przede wszystkim religijnych, wystarczająco dowodzi, że ich sukces był najczęściej niezależny od udziału prawdy bądź błędu w nich zawartego.

Po przestudiowaniu socjalizmu jako wierzenia trzeba go zbadać jako koncepcję filozoficzną. To jego nowe oblicze zwolennicy najbardziej zaniedbują, a tymczasem właśnie jego mogliby bronić najskuteczniej. Z punktu widzenia czysto filozoficznego, to znaczy zostawiając na boku prawidłowości psychologiczne i ekonomiczne[1], wiele jego teorii nadawałoby się do obrony.

Czym jest bowiem, filozoficznie rzecz ujmując, socjalizm, a przynajmniej jego najczęstsza forma – kolektywizm? Po prostu reakcją bytu zbiorowego przeciwko samodzielności bytu jednostkowego. Otóż, jeśli odłożyć na bok korzyści z inteligencji i ogromny pożytek, jaki może przynieść postępowi cywilizacji zagospodarowanie tych korzyści, nie ulega wątpliwości, że zbiorowość – choćby w imię prawa liczebności, które stało się wyznaniem wiary współczesnych demokracji – może się uważać za uprawnioną do podporządkowania sobie jednostki, która z jej łona wyszła i bez niej byłaby niczym.

Z filozoficznego punktu widzenia socjalizm jest reakcją zbiorowości przeciw jednostce, powrotem do przeszłości. Indywidualizm i kolektywizm są w swym ogólnym duchu dwiema stojącymi naprzeciw siebie siłami, które zmierzają, jeśli nie do zniszczenia drugiej, to przynajmniej do jej sparaliżowania. W tej walce sprzecznych interesów jednostki i zbiorowości leży prawdziwy problem filozoficzny socjalizmu. Jedno-

[1] Jak widać Le Bon uznaje filozofię za sposób wartościowania i wytwór umysłu ludzkiego, a nie za uogólnione badanie rzeczywistości, świata i człowieka [*przypis tłumacza*].

stka dość silna, by liczyć tylko na swoją inicjatywę i inteligencję, a w konsekwencji wysoce zdolna do awansu, staje wobec mas o nikłej inicjatywie i inteligencji, ale silnych liczbą, jedynym oparciem prawa. Interesy tych dwóch stojących naprzeciw siebie zasad są sprzeczne. Pytanie, czy za cenę wzajemnych ustępstw będą mogły one utrzymać się bez niszczenia się. Dotychczas tylko religie były w stanie przekonać jednostkę do poświęcenia korzyści osobistych dla istot sobie podobnych, do zastąpienia egoizmu indywidualnego przez zbiorowy. Jednakowoż stare religie umierają[2], a te, które mają je zastąpić, jeszcze się nie narodziły. Studiując ewolucję solidarności (współpracy) społecznej, zbadamy, na ile prawidłowości ekonomiczne czynią możliwą zgodę między tymi dwiema sprzecznymi zasadami. Jak powiedział słusznie w jednej ze swych mów Leon Bourgeois: *Nie można nic zdziałać wbrew prawom natury, to się rozumie samo przez się, ale trzeba je bezustannie studiować i posługiwać się nimi dla zmniejszenia wśród ludzi nierówności i niesprawiedliwości.*

Kończąc badanie różnych stron socjalizmu: powinniśmy oczekiwać jego różnych odmian stosownie do kultury. Jeśli prawdziwe są zasady, które przedstawiłem w poprzednim dziele[3] na temat głębokich przemian, jakim ulegają wszystkie elementy cywilizacji: instytucje, religie, sztuka, wierzenia itd., gdy przechodzić od jednego ludu do drugiego, można przeczuwać, że pod podobnymi niekiedy słowami, które służą opisaniu koncepcji państwa u różnych ludów, kryją się rzeczy nader rozmaite. Zobaczymy, że tak jest w istocie. U ras z wigorem, energicznych, dochodzących do szczytu rozwoju obserwuje się zarówno przy instytucjach monarchicznych jak i republikańskich znaczny zakres inicjatywy indywidualnej i redukcję tego, co pozostaje państwu. Jest to przeciwieństwo roli, jaką przyznają państwu ludy, w których jednostki tak są wyczerpane umysłowo, że nie mogą już liczyć na własne siły. Bez względu na nazwy ich instytucji, rząd jest tam zawsze władzą pochłaniającą wszystko, wytwarzającą wszystko i rejestrującą najdrobniejsze szczegóły życia obywateli. Socjalizm jest tylko rozwinięciem tej koncepcji. Byłby on dyktaturą bezosobową, ale absolutną.

Widać, jak złożone są problemy, które mamy podjąć, ale widać też, jak się one upraszczają, gdy studiuje się osobno ich elementy.

---

[2] Wierzący mogą tu rzec za Markiem Twainem: „Wiadomość o mojej śmierci jest przesadzona". Le Bon uogólnia laicyzację we Francji XIX wieku – ale też zgaduje jej przyszłe postępy [*przypis tłumacza*].

[3] *Psychologia rozwoju narodów [przypis tłumacza*].

Rozdział 2
Początki socjalizmu i przyczyny jego rozwoju

§ 1. Dawność socjalizmu

Socjalizm nie pojawił się na świecie dopiero dzisiaj. Naśladując sformułowanie bliskie historykom antycznym można by rzec, że pochodzenie socjalizmu ginie w pomroce dziejów. Ma on za cel zniszczyć nierówność warunków, a jest ona cechą zarówno świata starożytnego, jak i współczesnego. Jeśli jakieś wszechmocne bóstwo nie odmieni natury ludzkiej, przeznaczone jest tej nierówności trwać aż do ostatecznego wyzięhienia się naszej planety. Walka bogatego i biednego wydaje się wieczna.

Bez sięgania do wspólnoty pierwotnej, niższej formy ewolucji, od której zaczynały wszystkie społeczności, możemy twierdzić, że już starożytność eksperymentowała z różnymi formami socjalizmu, które są nam dziś proponowane. Ich urzeczywistnienia próbowali mianowicie Grecy – i z powodu tych niebezpiecznych doświadczeń w końcu zginęli. Doktryny kolektywistyczne są wyłożone już w *Rzeczypospolitej* Platona; Arystoteles je zwalczał. A jak to wyraził Guiraud podsumowując jego pisma w swojej książce o własności nieruchomości u Greków: *Są tam reprezentowane wszystkie doktryny współczesne, od socjalizmu chrześcijańskiego po najdalej posunięty kolektywizm.*

Owe doktryny były wielokrotnie zastosowane w praktyce. Greckie przewroty polityczne były jednocześnie przewrotami socjalnymi, to znaczy przewrotami mającymi za cel zmienić nierówność warunków przez ogołocenie bogatych i gnębienie arystokracji. Udały się one wiele razy, ale zawsze na krótko. Ich ostatecznym skutkiem była hellenistyczna dekadencja i utrata niepodległości. Socjaliści tej epoki nie zgadzali się między sobą lepiej niż obecni, czyli zgadzali się między sobą tylko co do niszczenia. Rzym położył kres ich nieustannym swarom redukując Grecję do poddaństwa, a wielu jej mieszkańców sprzedając jako niewolników.

Sami Rzymianie nie uniknęli zamachów socjalistycznych. Musieli doświadczyć socjalizmu agrarnego Grakchów, którzy ograniczyli po-

siadanie ziemi przez pojedynczych obywateli, nadwyżkę rozdali biednym i zobowiązali państwo do żywienia jednostek w potrzebie. Stąd wynikły wszystkie walki, które zrodziły Mariusza, Sullę, wojny domowe, a w końcu zniesienie republiki i dominację cesarską.

Również Żydzi znali żądania socjalistyczne. Obelgi ich proroków, prawdziwych anarchistów swojej epoki, są skierowane przede wszystkim przeciw bogatym. Jezus, najsławniejszy z nich, domagał się przede wszystkim praw dla ubogich. Przekleństwa i groźby skierowane są tylko do bogaczy.[1] Królestwo Boże zarezerwowane jest dla samych biednych. Bogaci wejdą tam z większym trudem – stwierdził – niż wielbłąd przechodzący przez ucho igielne.

Podczas dwóch lub trzech pierwszych wieków naszej ery religia chrześcijańska była socjalizmem ubogich, wydziedziczonych, niezadowolonych, a jak współczesny socjalizm stale walczyła z instytucjami istniejącymi.[2] Socjalizm chrześcijański jednak w końcu zwyciężył, był to zresztą pierwszy przypadek, kiedy to idee socjalistyczne osiągnęły trwały sukces.

Ale choć posiadał ogromny atut w postaci obietnicy szczęścia w życiu przyszłym, a nie w obecnym – a tym samym miał pewność, że nie zobaczy jej kompromitacji – chrześcijański socjalizm mógł się utrzymać tylko rezygnując ze swych zasad natychmiast po zwycięstwie. Musiał

[1] Le Bon zna Biblię i chrześcijaństwo bardzo powierzchownie; w tym miejscu zdaje się powtarzać wybiórcze odczytanie ich przesłania właściwe... części socjalistów, których zwalcza. Inni, jak wiadomo, byli przeciwnego zdania, sądząc, że kierowanie uwagi ubogich ku niebu jest korzystne właśnie dla bogatych. Obie interpretacje są jaskrawo jednostronne. Prorocy tylko ułamek swoich zainteresowań poświęcają bogactwu, a potępiają nie samo posiadanie, lecz nieuczciwe gromadzenie majątku. Jezus potępiał rozmaite grzechy. Ostrzegał bogaczy, że przywiązanie do dóbr zagraża zbawieniu i wzywał do dzielenia się z ubogimi, ale żadnych reform majątkowych nie proponował. Apostołowie i inni uczniowie nie wyzbywali się swego majątku. Zalecał Jezus płacenie podatków Rzymianom, na czele buntu stanąć nie chciał [*przypis tłumacza*].

[2] Kolejne stwierdzenie fałszywe – głoszone także przez socjalistów. *Dzieje Apostolskie* i *Listy św. Pawła* jasno dowodzą, że w I wieku chrześcijaństwo znalazło najżywszy odzew wśród ówczesnej „klasy średniej": ludzi wolnych w miastach, mających swoje domy, podróżujących, zainteresowanych kwestiami religijnymi. Jasne jest, że ich majątek nie był widziany jako zagrożenie dla zbawienia; mógł być dobrze wykorzystywany. Szeroko rozwinęli pierwsi chrześcijanie dobroczynność. Mało mamy wzmianek o nawróconych z klas wyższych, ale jeszcze mniej o indywidualnych konwersjach nędzarzy czy niewolników (aczkolwiek wraz z chrztem panów następował zapewne chrzest ich domowników).

Sytuacja w wiekach następnych nie różniła się znacząco. Dlatego chrześcijanie dalecy byli od zwalczania państwa – natomiast okresowo bywali przez instytucje państwowe prześladowani, bo nie mieścili się w ramach ówczesnego cesarskiego etatyzmu (ten etatyzm i drobiazgowe regulacje życia w późniejszym cesarstwie powinien Le Bon wymienić jako socjalistyczne). Bywali też chrześcijanie ofiarami motłochu, tłumów niższego stanu. Ojcowie

oprzeć się na bogatych i silnych i stać się obrońcą majątku i własności, które przedtem przeklinał. Jak zwykle zwycięscy rewolucjoniści, sam stał się z kolei konserwatystą i katolicki Rzym nie miał ideału społecznego różniącego się znacznie od Rzymu cesarskiego. Biedni od nowa musieli się zadowalać rezygnacją, pracą i posłuszeństwem, z perspektywą nieba jako nagrody, a groźbą piekła, jeśli swoim panom szkodzili.[3] Jakaż cudowna jest historia tego marzenia trwającego dwa tysiące lat! Kiedy nasi potomkowie, uwolnieni od odziedziczonych koncepcji, które krępują nasze myśli, będą mogli podjąć jego studium z punktu widzenia czysto psychologicznego, podziwiać będą potęgę tej wielkiej utopii, na której nadal opiera się nasza cywilizacja. Jak bledną najbardziej błyskotliwe systemy filozoficzne wobec narodzin i rozwoju tego wierzenia, tak dziecinnego z punktu widzenia Rozumu, a mimo to tak potężnego! Trwałość jego rządów pokazuje, jak dalece rządzi światem to, co irracjonalne, a nie to, co realne. Założyciele religii stworzyli tylko nadzieje, a jednak to ich dzieła okazały się najtrwalsze. Jakie perspektywy socjalistyczne dorównają kiedykolwiek rajowi Jezusa bądź Mahometa? Jak nędzne są w porównaniu z nimi widoki szczęścia ziemskiego, jakie obiecują nam dzisiaj apostołowie socjalizmu!

Ojcowie naszej rewolucji francuskiej także wprowadzali w życie teorie socjalistyczne, a jeśli uczeni autorzy nadal dyskutują, by ustalić, czy rewolucja była socjalistyczna, to dlatego, że termin socjalizm oznacza często idee bardzo różne, co utrudnia dotarcie do istoty rzeczy. Nader jasny cel, do którego dążyli zawsze socjaliści wszystkich czasów, to wywłaszczenie bogatych na rzecz biednych. Otóż nikt tak skutecznie tego nie wykonał, jak rewolucjoniści. Twierdzili oni bez wątpienia, że

---

Kościoła mówią zarówno o niebezpieczeństwie bogactw (np. Jan Chryzostom), jak i o właściwym korzystaniu z majątku (np. Klemens z Aleksandrii).

Natomiast mógłby Le Bon wspomnieć o praktykowaniu wspólnoty dóbr przez pierwszą wspólnotę chrześcijańską w Jerozolimie. Była ona jednak dobrowolna i motywowana religijnie, nie ekonomiczno-społecznie. Ponieważ doprowadziła do zubożenia chrześcijan jerozolimskich, którzy musieli żyć z jałmużny zebranej w gminach diaspory, eksperyment ten nie miał dalszego ciągu. Mógłby go autor przytoczyć jako przykład niepowodzenia ekonomicznego socjalizmu, nawet przy najlepszej woli ludzi.

Mógłby się też powołać na szereg ruchów sekciarskich w łonie chrześcijaństwa, które w starożytności i średniowieczu nieraz miały zabarwienie anarchiczne i socjalne.

Reasumując, w chrześcijaństwie nigdy nie doszło do kanonizowania jakiejś doktryny gospodarczo-społecznej. Chrześcijanie bywali umiarkowanymi socjalistami w imię troski o ubogich, bywali też krytykami socjalizmu w imię przykazania „nie kradnij” [*przypis tłumacza*].

[3] Ciekawe, że ile razy Le Bon uprawia taką budzącą uśmiech retoryczną demagogię, zbliża się do języka socjalistów, których gdzie indziej zwalcza, odrzucając roszczenia biednych do majątku bogatych, a nawet pomoc społeczną dla warstw najniższych. Zob. też prz. 2 do przedmowy [*przypis tłumacza*].

własność jest święta i nienaruszalna, ale uprzednio wywłaszczyli szlachtę i duchowieństwo, zastępując jedną nierówność społeczną przez drugą. Nikt nie wątpi, jak mniemam, że jeśli obecni socjaliści zdołają analogicznym jak rewolucja sposobem pozbawić burżuazję jej bogactw, to tak powstała nowa klasa właścicieli przekształci się natychmiast w zaciekłych konserwatystów, którzy oświadczą, że w przyszłości własność będzie rzeczą świętą i nienaruszalną.[4] Takie deklaracje są zresztą całkiem bezcelowe, kiedy jest się silnym, a bardziej jeszcze bezcelowe, gdy się jest słabym. W walce klas prawa i zasady nie odgrywają żadnej roli.

A jeśli historia tak się zawsze powtarza, to dlatego, że zależy od natury ludzkiej, natury, która się w ciągu wieków nie zmieniła. Ludzkość mocno się już zestarzała, a mimo to goni za tymi samymi marzeniami i nie ucząc się powtarza te same próby. Przeczytajmy na nowo pełne entuzjazmu i nadziei deklamacje naszych socjalistów sprzed lat sześćdziesięciu, z rewolucji 1848 roku, której byli najbardziej wojowniczymi obrońcami. Nadeszła nowa era, dzięki temu świat się zmieni. Tymczasem przez nich nasz kraj popadł wkrótce w despotyzm, a potem uległ rujnującej wojnie i najazdowi [1870-71]. Upłynęło zaledwie pół wieku od tej fazy socjalizmu, a zapomniawszy o tej przykrej lekcji, zabieramy się za powtórzenie takiego samego cyklu.

§ 2. Przyczyny obecnego rozwoju socjalizmu

Powtarzamy więc dziś tylko raz jeszcze skargę, którą w ciągu wieków wygłaszali nasi ojcowie; a jeśli powtarzamy ją głośniej, to dlatego, że postęp cywilizacji pobudził naszą wrażliwość. Nasze warunki życia stały się dużo lepsze niż niegdyś, a jednak jesteśmy coraz mniej zadowoleni. Pozbawiony swoich wierzeń, nie mający innych perspektyw niż twardy obowiązek i bezbarwna współpraca, zaniepokojony wstrząsami i niestabilnością, wynikiem przemian gospodarczych, widzący walące się po kolei wszystkie instytucje społeczne, rodzinę i własność zagrożone zniknięciem, człowiek współczesny przywiązuje się łapczywie do teraźniejszości, jedynej rzeczywistości, jakiej może się chwycić. Interesując się już tylko sobą, chce za wszelką cenę cieszyć się chwilą obecną, choć czuje jej krótkość. Wobec utraty złudzeń trzeba mu dobrobytu, a tym samym bogactwa. Jest mu ono tym potrzebniejsze, że postęp nauki i techniki stworzył masę nieznanych dawniej

---

[4] Jak wiemy, Le Bon był tu zbytnim optymistą. Dziś jednak, po stu latach, proroctwo o uwłaszczeniu socjalistów się sprawdza. Niestety „okrągły stół" i prawa RP gwarantują tylko nienaruszalność majątków byłej nomenklatury [*przypis tłumacza*].

przedmiotów luksusowych, które stały się dziś konieczne do życia. Pragnienie bogactwa staje się coraz powszechniejsze, a zarazem rośnie liczba tych, między których bogactwo ma być podzielone.

Potrzeby współczesnego człowieka stały się więc bardzo wielkie, postąpiły naprzód szybciej niż środki ich zaspokojenia. Statystyki dowodzą, że dobrobyt nigdy nie był powszechniejszy niż dziś, ale dowodzą też, że potrzeby nigdy nie były tak naglące. W równaniu dwie zmienne są sobie równe, jeśli jednocześnie rosną. Stosunek potrzeb i środków ich zaspokojenia stanowi równanie szczęścia. Jeśli dwie zmienne są sobie równe, choćby ich wielkość była nieznaczna, człowiek jest zadowolony. Jest jeszcze zadowolony, gdy nierówność wynikła z niedoboru środków zaspokojenia potrzeb, ale równowaga został przywrócona przez redukcję potrzeb. Takie rozwiązanie odkryto dawno temu na Wschodzie, dlatego widzimy tam ludzi zawsze zadowolonych ze swego losu. Natomiast we współczesnej Europie potrzeby wzrosły niepomiernie, podczas gdy środki ich zaspokojenia nie nadążyły. Stąd wynikło, że dwie zmienne równania stały się bardzo nierówne, zaś większość ludzi cywilizowanych przeklina dziś swój los. Od góry do dołu panuje to samo niezadowolenie, ponieważ od dołu do góry potrzeby są nadmierne. Każdy wciągnięty jest w jeden chaotyczny wyścig do majątku, marząc do obaleniu przeszkód, które go od niego oddzielają. Na podłożu pesymistycznej obojętności na dobro wspólne i na doktryny, egoizm indywidualny wzrósł niepohamowanie. Bogactwo stało się celem, do którego każdy zmierza, ten cel spowodował zapomnienie o wszystkich innych.

Takie tendencje nie są z pewnością w historii czymś nowym, ale jak się wydaje w przeszłości występowały w formie mniej powszechnej i wyłącznej. *Ludzie XVIII wieku* – powiada Tocqueville – *wcale nie znali tego rodzaju pragnienia dobrobytu, które zniewala. W klasach wyższych troszczono się raczej o upiększenie życia, niż o uczynienie go wygodniejszym, o świetność niż o wzbogacenie się.*

Koniecznym następstwem tej pogoni za bogactwem jest ogólny upadek moralności ze wszystkimi jego konsekwencjami. Najwyraźniej widoczny jest dotkliwy spadek prestiżu burżuazji w oczach niższych warstw społecznych. Społeczeństwo burżuazyjne zestarzało się w stulecie tyleż, co arystokracja przez dziesięć wieków. Zużyło się w mniej niż trzy pokolenia i odnawia się tylko przez stały dopływ ze środowisk niżej stojących. Może synom pozostawić majątek, ale jak im pozostawi zalety, do których utrwalenia trzeba wieków? Wielkie fortuny zastąpiły wielkie dziedzictwa, ale te fortuny zbyt często przechodzą w marne ręce.

Być może właśnie bezczelne popisywanie się wielkimi fortunami i sposób ich wydawania najwięcej się przyczyniły do rozwoju idei

socjalistycznych. *Naprawdę cierpi się* – mówi słusznie Faguet – *tylko z powodu szczęścia innych. To jest nieszczęście ubogiego.* Socjaliści dobrze wiedzą, że nie mogą urzeczywistnić równości w bogactwie, ale mają przynajmniej nadzieję zaprowadzić równość w biedzie.

Młodzież zamożna nie daje bynajmniej ludowi budującego przykładu. Coraz bardziej kwestionuje ona tradycje moralne, które są jedynym źródłem stabilności społeczeństw. Idee obowiązku, patriotyzmu i honoru wydają się jej zbyt często próżnymi przesądami, śmiesznymi ograniczeniami. Wychowana w zbytnim kulcie sukcesu, zdradza najdziksze apetyty i pragnienia. Kiedy spekulacja, intryga, bogate małżeństwo lub spadek daje jej w ręce fortunę, zużywa ją na najpospolitsze rozrywki.

Młodzież uniwersytecka nie przedstawia się bardziej pocieszająco. Jest ona żałosnym produktem naszego wykształcenia klasycznego. Przepojona łacińskim racjonalizmem, wykształcona teoretycznie i książkowo, nie jest zdolna niczego zrozumieć z realiów życia, z prawidłowości, które podtrzymują społeczeństwa w istnieniu. Idea ojczyzny, bez której żaden lud nie może trwać, wydaje się jej, jak to napisał niedawno pewien znany akademik, koncepcją *szowinistycznych bęcwałów niedouczonych filozoficznie.*

Te nadużycia majątku i rosnąca demoralizacja burżuazji dostarczyły poważnego uzasadnienia diatrybom współczesnych socjalistów przeciw nierównemu podziałowi bogactw. Aż za łatwo było im dowodzić, że wielkie majątki współczesne mają często za podstawę gigantyczny rabunek skromnych dochodów tysięcy nędzarzy. Jak inaczej określić operacje finansowe takie, jak pożyczki dla zagranicy rozpisywane przez wielkie towarzystwa kredytowe, doskonale poinformowane co do wartości pożyczkobiorców, całkowicie pewne, że zbyt ufni subskrybenci będą zrujnowani, ale nie wahające się ich zrujnować dla pobrania prowizji, która wynosi niekiedy, jak przy pożyczce honduraskiej, więcej niż 50% pożyczki? Czyż nieszczęśnik, który pchany głodem zabiera wam w lesie zegarek, nie jest nieskończenie mniej winny niż ci piraci finansów?[5] A co powiedzieć o spekulacjach takich, jak tego młodego miliardera amerykańskiego, który w momencie wybuchu wojny Stanów Zjednoczonych z Hiszpanią wykupił prawie całe zboże oferowane na rynkach światowych i nie odsprzedał go, dopóki początek głodu, który sprowokował, nie wywołał znacznego wzrostu cen? Ta spekulacja spowodowała kryzys w Europie, głód i zamieszki we Włoszech i w Hi-

[5] Dzięki swym kapitałom dyrektorzy amerykańskich trustów mogą przeprowadzać gigantyczne operacje bankowe. Wymieńmy choćby Rockefellera, kierującego Standard Oil Trust, który sprowokował panikę dla spowodowania spadku większości akcji na rynku amerykańskim. Nabywszy je pozwolił im wrócić do dawnego kursu. Operacja przyniosła mu dwa miliardy – według artykułu p. Dorbigny w *Revue des Revues*. Sam ów trust naftowy przyniósł temu spekulantowi w ostatnim roku sto milionów franków.

szpanii, śmierć głodową mnóstwa biedaków. Czy socjaliści naprawdę się mylą porównując sprawców tych operacji do zwykłych piratów i twierdząc, że zasługują na stryczek?

Dotykamy tu jednego z najtrudniejszych problemów czasów współczesnych, dla którego rozwiązania socjaliści proponują środki infantylne. Problemem do rozwiązania byłoby uchronienie społeczeństw przed rosnącą potęgą wielkich finansistów. Przez gazety, które kupują, przez polityków, których mają na żołdzie, stają się coraz bardziej jedynymi panami kraju i stanowią rząd tym bardziej niebezpieczny, że ich władza jest zarazem potężna i tajna. *Ten tworzący się rząd* – pisze Faguet – *nie ma żadnego ideału, ani moralnego ani intelektualnego. Nie jest ani dobry ani zły. Uważa ludzkość za stado, które trzeba skłonić do pracy, które trzeba żywić, któremu trzeba przeszkodzić w bijatykach i które trzeba strzyc... Nie troszczy się o postęp intelektualny, artystyczny lub moralny. Jest międzynarodowy, nie ma ojczyzny i zmierza bez wahań i niepokojów do usunięcia idei ojczyzny ze świata.*

Trudno przewidzieć, jak współczesne społeczeństwa będą mogły uchronić się przed potężną tyranią, która im zagraża. Amerykanie, którzy wydają się być jej pierwszymi ofiarami przewidują już, ustami swych wybitnych przedstawicieli, krwawe wstrząsy. Ale o ile łatwo jest buntować się przeciw despocie, jak się buntować przeciwko władzy tajnej i anonimowej? Jak dosięgnąć fortun zręcznie rozmieszczonych po całym świecie? Jest jednak pewne, że trudno dłużej tolerować bez sprzeciwu sytuacje, w której jednostka może dla wzbogacenia się zadekretować głód lub ruinę tysięcy z większą łatwością niż Ludwik XIV wypowiadał wojnę.

Demoralizacja wyższych warstw społeczeństwa, nierówny a często niesprawiedliwy podział pieniędzy, niebezpieczne nadużycia bogactw, rosnąca rozdrażnienie szerszych mas, coraz większe zapotrzebowanie na rozrywki, słabość dawnych hierarchii i dawnych wierzeń – we wszystkich tych okolicznościach jest aż nadto powodów do niezadowolenia, które tłumaczą szybkie rozszerzanie się socjalizmu.

Wybitniejsze umysły cierpią od niemniej głębokiej choroby, aczkolwiek o innej naturze. Ta choroba nie zawsze przekształca ich w zwolenników nowych doktryn, ale przeszkadza im w obronie obecnej sytuacji społecznej. Stopniowy rozkład wszystkich wierzeń i opierających się na nich instytucji społecznych, zupełna niezdolność nauki do rzucenia światła na otaczające nas tajemnice, które tym bardziej się pogłębiają, im bardziej chcemy je przeniknąć, oczywiste dowody, że wszystkie nasze systemy filozoficzne stanowią tylko bezsilny i próżny galimatias, powszechny triumf brutalnej siły i wynikłe stąd zniechęcenie: wszystko to popchnęło wybrańców inteligencji w ponury pesymizm.

Tendencje pesymistyczne duszy współczesnej są niewątpliwe; można by wydać tom cytatów z naszych pisarzy wyrażających te nastroje. Następujące wyjątki wystarczą by pokazać powszechny zamęt w umysłach:

Jeśli chodzi o obraz cierpień ludzkości – pisze znakomity filozof współczesny Renouvier – *nawet nie mówiąc o złu, które wynika z ogólnych praw biologicznych królestwa zwierząt, to ten nakreślony przez Schopenhauera wyda się dziś raczej za łagodny niż przeczerniony. Pomyślmy o społecznych zjawiskach naszej epoki, wojnach między narodami, wojnach klasowych, powszechnym militaryzmie, postępach skrajnej nędzy równoległych do rozwoju bogactw i wyrafinowanego życia w przyjemnościach, o stałym wzroście przestępczości tak dziedzicznej jak zawodowej, częstości samobójstw, rozluźnieniu obyczajów w rodzinie i porzucaniu wierzeń w świat wyższy, które są coraz bardziej wypierane przez sterylny materialistyczny kult zmarłych. Ogół tych zjawisk świadczy o widocznym cofaniu się od cywilizacji do barbarzyństwa, a nie można pominąć nasilenia kontaktów Europejczyków i Amerykanów z zatrzymanymi w rozwoju bądź zdegradowanymi populacjami Starego Swiata; to wszystko nie ujawniło się jeszcze w czasach, gdy Schopenhauer dał umysłom sygnał do powrotu do pesymistycznego sądu o wartości świata.*

Silniejsi bez żadnego wstydu depczą prawa słabszych – pisze inny filozof, Boiley – *Amerykanie eksterminują czerwonoskórych, Anglicy uciskają Hindusów. Pod pretekstem cywilizowania narody europejskie dzielą się Afryką, ale w rzeczywistości zmierzają jedynie do korzyści handlowych. Zazdrość między mocarstwami przybrała niebywałe rozmiary, Trójprzymierze grozi nam przez strach i żądzę. Rosja idzie z nami dla interesu.*

Nienawiść i zawiść w szerszych masach; obojętność, intensywny egoizm i kult bogactwa w warstwach rządzących; pesymizm u myślicieli – takie są ogólne tendencje współczesności. Społeczeństwo musi być solidne, by oprzeć się takim czynnikom rozkładu. Jest wątpliwe, czy długo będzie się im opierać.

Kilku filozofów pociesza się mimo tego stanu ogólnego niezadowolenia, twierdząc, iż stanowi on źródło postępu, podczas gdy ludy zadowolone z siebie, jak na Wschodzie, nie idą naprzód. *Nierówność bogactw* – pisze Wells – *wydaje się stanowić największą z bolączek społecznych, ale jakkolwiek to zło byłoby wielkie, zło wynikłe z równości majątku byłoby jeszcze większe. Jeśli każdy byłby zadowolony ze swojej sytuacji, jeśli każdy by wierzył, że nie może jej poprawić, świat popadłby w stan paraliżu; tymczasem jest tak zbudowany, że nie może pozostać niezmienny. Niezadowolenie każdej jednostki ze swych warunków jest siłą sprawczą wszelkiego ludzkiego postępu.*

Jakkolwiek by było z tymi nadziejami i z oskarżeniami, które łatwo wnieść przeciw obecnemu stanowi rzeczy, trzeba przyznać, że te wszystkie społeczne nieprawości są nieuniknione, skoro w jakimś stopniu istniały zawsze. Wydają się więc zgubnym następstwem samej natury ludzkiej i żadne doświadczenia nie pozwalają wierzyć, że zmieniając nasze instytucje lub zastępując jedną klasę przez drugą można znieść, czy choćby złagodzić, nieprawości, na które się uskarżamy. Armia ludzi cnotliwych zawsze liczyła bardzo niewielu żołnierzy i jeszcze mniej oficerów, a sposobu powiększenia ich liczby jak dotąd nie wynaleziono. Trzeba więc z rezygnacją umieścić zło społeczne obok zła naturalnego, jak starość i śmierć, którego jarzmo musimy znosić i przeciw któremu wszelkie nasze protesty są daremne.

Reasumując: chociaż odczuwamy nasze dolegliwości żywiej niż kiedyś, wydaje się zupełnie pewne, że nigdy nie były one lżejsze! Nawet bez sięgania do czasów, gdy człowiek chronił się w głębi jaskiń i w trudzie walczył ze zwierzętami o nędzne przetrwanie, służąc im często za pokarm, przypomnieć możemy, że nasi ojcowie doznali niewolnictwa, najazdów, głodu, wojen wszelkiego rodzaju, śmiercionośnych epidemii, inkwizycji, terroru rewolucyjnego i wielu innych nieszczęść. Nie zapominajmy, że dzięki postępowi nauki i techniki, wzrostowi płac i niskim cenom przedmiotów zbytku, najskromniejsza jednostka żyje dziś wygodniej niż niegdyś szlachcic-feudał w swoim dworze, wciąż zagrożony rabunkiem i zniszczeniem przez sąsiadów. Dzięki parze, elektryczności i wszystkim obecnym odkryciom, wieśniak posiada wiele przedmiotów, których nie znał Ludwik XIV, mimo całego swego przepychu.

§ 3. Metoda procentowa w ocenie zjawisk społecznych

Aby wyrazić wyważony sąd na temat danego środowiska społecznego, musimy brać pod uwagę nie tylko zło, które nas dotyka bądź niesprawiedliwość, które rani nasze uczucia. Każde społeczeństwo zawiera w pewnej proporcji dobro i zło, określoną liczbę ludzi cnotliwych i łajdaków, geniuszy, przeciętnych i głupców. Dla porównania społeczeństw między sobą lub poprzez wieki, nie należy rozważać osobno ich elementów składowych, lecz proporcję jednych i drugich, to znaczy składniki w procentach. Trzeba zostawić na boku przypadki szczególne, które nas uderzają i zwodzą, jak też statystyczne średnie, które zwodzą nas jeszcze bardziej. Zjawiska społeczne zdominowane są przez udziały procentowe, a nie przez przypadki szczególne lub przez średnie.

Większość naszych błędnych sądów i pospiesznych uogólnień z nich wynikłych jest skutkiem niewystarczającej znajomości procentowej

wielkości czynników obserwowanych. Tendencja typowa dla umysłów mało rozwiniętych to uogólnianie wypadków szczególnych bez badania, jaki udział stanowią. Naśladujemy w ten sposób podróżnego, który napadnięty przez złodziei w środku lasu, stwierdziłby, że ten las jest opanowany przez rabusiów, bez próby zbadania, ilu innych podróżnych przed nim i w ciągu ilu lat zostało napadniętych.

Rygorystyczne stosowanie metody procentowej uczy wystrzegania się takich skrótowych uogólnień. Sądy, jakie wypowiemy na temat pewnego ludu czy społeczeństwa mają wartość tylko wtedy, gdy dotyczą dość dużej liczby jednostek, dzięki czemu możemy wiedzieć, w jakich proporcjach występują stwierdzone zalety czy wady. Tylko na podstawie takich danych możliwe są uogólnienia. Jeśli zatem wysuwamy tezę, że pewien lud charakteryzuje się inicjatywą i energią, nie znaczy to bynajmniej, że w tym ludzie nie ma jednostek pozbawionych tych zalet, ale po prostu tyle, że procent jednostek tymi cechami obdarzonych jest znaczny. Jeśli można podstawić liczby na miejsce jasnego lecz jeszcze niedokładnego określenia 'znaczny', wartość tego sądu znacznie by wzrosła, ale w tego rodzaju oszacowaniach trzeba z braku wystarczająco czułych odczynników zadowalać się przybliżeniami. Tych odczynników tak zupełnie nie brak, ale posługiwanie się nimi wymaga dużej zręczności.

To pojęcie udziału procentowego jest zasadnicze. Po jego wprowadzeniu do antropologii mogłem pokazać głębokie różnice co do mózgu, które dzielą rasy ludzkie, różnice, których metoda wyciągania średnich nie mogła uchwycić. Jak dotąd, porównując średnie objętości czaszki u różnych ras, cóż widziano? Różnice naprawdę nieznaczne, które kazały wierzyć, jak wierzyło większość anatomów, że wielkość mózgu jest u wszystkich ras prawie taka sama. Za pomocą krzywych pokazujących dokładny procent rozmaitych pojemności, mogłem na podstawie znacznej liczby czaszek dowieść w sposób niewątpliwy, że pojemność czaszki, wprost przeciwnie, różni się ogromnie w zależności od rasy. Rasy wyższe od niższych odróżnia to, że te pierwsze mają pewną liczbę dużych mózgów, których te drugie nie posiadają. Z powodu swej niewielkiej liczebności, te duże mózgi nie wpływają na średnią. Ten dowód anatomiczny potwierdza zresztą obserwację psychologiczną, że poziom umysłowy ludu jest wyznaczony przez liczbę umysłów wybitnych, które ten lud posiada.[6]

---

[6] Le Bon nazywa zwykle rasami mniejsze grupy antropologiczne i kulturowe niż rasa biała, żółta czy czarna. Ponadto zapomniał dowieść, że uzdolnienia zależą od wielkości mózgu [*przypis tłumacza*].

W badaniu zjawisk społecznych procedury badawcze są jeszcze zbyt niedoskonałe, by zastosować te rygorystyczne metody oceny, które pozwoliłyby przedstawić zjawiska w formie krzywych geometrycznych. Nie mogąc widzieć na raz wszystkich stron zagadnienia musimy przynajmniej mieć świadomość, że te strony są bardzo rozmaite. Wielu rzeczy nie podejrzewamy lub nie rozumiemy. Tymczasem właśnie czynniki mniej widoczne są często najważniejsze. By wypowiadać sądy o zjawiskach złożonych (a takie są wszystkie zjawiska społeczne) nie błądząc zbytnio, należy bez przerwy poprawiać te sądy przez serię stopniowych weryfikacji i przybliżeń, starając się zostawić bezwzględnie na boku nasze interesy i upodobania. Trzeba długo stwierdzać fakty, nim się wyciągnie wnioski, a najczęściej ograniczyć się do stwierdzania faktów. Autorzy, którzy jak dotąd zajmowali się socjalizmem nie stosowali się do takich zasad – i z pewnością dlatego ich dzieła wywarły wpływ słaby i tymczasowy.

Rozdział 3
Teorie socjalistyczne

§ 1. Podstawowe zasady teorii socjalistycznych

Nie byłoby warto przedstawiać koncepcji politycznych i społecznych teoretyków socjalizmu, gdyby tym koncepcjom nie udawało się niekiedy odpowiedzieć na pewne aspiracje epoki, a z tej przyczyny również wywrzeć pewien wpływ na umysły. Jeżeli – jak to już tyle razy twierdziłem i zamierzam jeszcze raz dowieść – instytucje danego ludu są następstwem jego dziedzicznych właściwości umysłowych, a nie teorii filozoficznych stworzonych od nowa, zrozumiałe jest niewielkie znaczenie utopii społecznych i wymyślnych ustaw. Jednakowoż marzenia polityków i retorów często tylko ubierają nieświadome aspiracje ich epoki i rasy (kultury) w formy dostępne umysłom. Nieliczni autorzy, których książki wywarły jakiś wpływ w świecie, jak Adam Smith w Anglii czy Rousseau we Francji, jedynie skondensowali w jasnej i czytelnej formie idee, które już się rozpowszechniały wokół. Nie stworzyli sami tego, co wyrazili. Tylko upływ czasu może nas tu mylić.

Jeśli ograniczymy rozmaite koncepcje socjalistyczne do zasad podstawowych, na których się opierają, ich wykład będzie bardzo krótki.

Pod pozorami różnorodności współczesne teorie organizacji społeczeństwa sprowadzają się do dwóch sprzecznych zasad podstawowych: indywidualizmu i kolektywizmu. W indywidualizmie człowiek jest pozostawiony samemu sobie; jego działania mają maksymalny zasięg, zaś działania państwa – minimalny. W kolektywizmie, najmniejsze nawet jego działania są kierowane przez państwo, to znaczy zbiorowość; jednostka nie ma prawa do żadnej inicjatywy, wszystkie czynności jej życia są wyznaczone. Te dwie zasady zawsze pozostawały w większym lub mniejszym konflikcie, a współczesny rozwój cywilizacji uczynił ten konflikt żywszym niż kiedykolwiek. Same w sobie nie mają one wartości absolutnej, lecz należy je osądzać stosownie do epoki i rasy, w których się przejawiają. Przyjrzymy się temu w dalszych częściach tej pracy.

§ 2. Indywidualizm

To, co stanowi o wielkości cywilizacji: nauka, sztuka, filozofia, religia, potęga militarna itd., było dziełem jednostek, a nie zbiorowości. Dzięki jednostkom z elity – rzadkim i wyjątkowym owocom wyższych ras – urzeczywistniły się najważniejsze odkrycia i czynniki postępu, z których korzysta cała ludzkość. Ludy, w których indywidualizm jest najbardziej rozwinięty, stoją dzięki temu na czele cywilizacji i panują dziś nad światem.

W epokach poprzedzających naszą, zbiorowość zawsze była wszechmocna, przynajmniej u ludów łacińskich. Poza nią jednostka była niczym. Rewolucja francuska, ukoronowanie doktryn pisarzy XVIII wieku być może stanowi pierwszą poważniejszą próbę sprzeciwu ze strony indywidualizmu, ale w teorii uwalniając jednostkę, w praktyce ją izolowała. Izolując ją od jej kasty, rodziny, od grup społecznych i religijnych, do których należała, zostawiła ją samą sobie, przekształcając społeczeństwo w pył jednostek bez spójności i więzi.

Nie mogło to przynieść trwalszych skutków u ludów, które z racji ich dziedzicznego charakteru, ich instytucji i wychowania nie były przystosowane do liczenia na siebie i rządzenia się bez panów. Chciwe równości, zawsze okazywały mało troski o wolność. Wolność oznacza konkurencję, stałą walkę, matkę postępu, w której zwyciężyć mogą tylko zdolniejsi i w której słabi są – jak w przyrodzie – skazani na rozdeptanie. Tylko silni potrafią znieść izolację i liczyć jedynie na siebie. Słabi nie potrafią. Od izolacji i braku oparcia wolą niewolę, nawet jeśli jest ona bardzo ciężka. Cechy i kasty zniszczone przez rewolucję tworzyły niegdyś sieć, która służyła człowiekowi za oparcie w życiu; jest oczywiste, że odpowiadały one na jakąś potrzebę psychologiczną, skoro wszędzie się dziś odradzają pod różnymi nazwami, a w szczególności pod postacią związków zawodowych. Te związki zawodowe pozwalają jednostce zmniejszyć wysiłek do minimum, podczas gdy indywidualizm zobowiązuje do wysiłku maksymalnego. W izolacji proletariusz jest niczym i niczego nie potrafi, w związku staje się groźną siłą. Choć związek nie może dać mu umiejętności ani inteligencji, daje mu przynajmniej siłę, zabierając mu jedynie jakąś tam wolność, którą i tak nie umiałby się posłużyć.

Zarzucano rewolucji przesadne rozwinięcie indywidualizmu, ale zarzut ten nie jest zbyt trafny. Daleko jest od formy indywidualizmu, której dała ona przewagę, do indywidualizmu istniejącego u ludów takich jak na przykład Anglosasi. Ideałem rewolucyjnym było rozbić korporacje i grupy, sprowadzić jednostki do jednego modelu, wchłonąć

wszystkie jednostki oderwane do ich grup, poddając je nadzorowi wysoce scentralizowanego państwa. Nic bardziej sprzecznego z indywidualizmem anglosaskim, który sprzyja grupowaniu się jednostek, osiąga wszystkie cele dzięki takiemu grupowaniu się i zamyka działania państwa w granicach bardzo wąskich. Wyniki rewolucji były o wiele mniej rewolucyjne, niż się to zwykle sądzi. Przesadzając z centralizacją i rozszerzaniem państwa, jedynie kontynuowała ona zakorzenioną przez wieki monarchii tradycję łacińską, której wierne były wszystkie rządy. Niszcząc stowarzyszenia polityczne, robotnicze, religijne czy inne, uczyniła tę centralizację i to rozszerzenie państwa jeszcze pełniejszymi, posłuszna podszeptom wszystkich filozofów epoki.

Rozwój indywidualizmu ma za konieczne następstwo pozostawienie jednostki izolowanej pośród gwałtownego, chciwego współzawodnictwa. Rasy młode i żywotne, gdzie różnice umysłowe między jednostkami nie są zbyt wielkie, jak u Anglosasów, bardzo dobrze dostosowują się do tego systemu. Dzięki stowarzyszeniom robotnicy angielscy czy amerykańscy dobrze umieją walczyć z żądaniami kapitału i nie pozwalają mu się tyranizować. W ten sposób znajduje się miejsce dla różnych interesów. Natomiast u ras (kultur) postarzałych, w których system wychowania od wieków niszczył inicjatywę, następstwa rozkwitu indywidualizmu stały się bardzo dotkliwe. Filozofowie wieku ubiegłego i rewolucji, niszcząc – i to z powodzeniem – więzi religijne i społeczne, które służyły człowiekowi za oparcie dając mu potężną podstawę Kościoła, rodziny, kasty czy cechu, ci filozofowie wierzyli z pewnością, że służą dziełu demokracji. Tymczasem sprzyjali oni, nie wiedząc o tym, narodzinom arystokracji finansowej o olbrzymiej sile, rządzącej sproszkowaną masą jednostek, pozbawionych obrony i możliwości współpracy. Magnat feudalny nie traktował pańszczyźnianych chłopów gorzej niż dzisiejszy magnat przemysłowy swoich najemników. Ci w teorii cieszą się wszelakimi wolnościami i równie teoretycznie są równi swemu panu. W praktyce czują na sobie, przynajmniej jako groźbę, ciężkie łańcuchy zależności i lęku przed nędzą.

Myśl o zaradzeniu tym nieprzewidzianym następstwom rewolucji musiała zakiełkować, a przeciwnikom indywidualizmu nie brakło racji do zwalczania go. Łatwo im było twierdzić, że organizm społeczny jest ważniejszy niż jednostkowy, ten drugi powinien więc ustąpić pierwszemu; że słabi i mało uzdolnieni mają prawo do ochrony; że nierówności pochodzące od natury trzeba poprawiać przez nowy podział bogactwa dokonywany przez społeczeństwo. Tak się zrodził współczesny socjalizm, dziecko socjalizmu starożytnego, który – jak tamten – chce zmienić podział bogactw, grabiąc posiadaczy na rzecz nie posiadających.

Sposób na likwidację nierówności społecznych jest w teorii prosty. Wystarczy, by państwo interweniowało na rzecz dystrybucji dóbr i przywrócenia równowagi zakłóconej na korzyść nielicznych. Z tej idei, mało oryginalnej, a z pozoru bardzo pociągającej, wyszły koncepcje socjalistyczne, którymi się teraz zajmiemy.

§ 3. Kolektywizm

Doktryny socjalistyczne bardzo różnią się w szczegółach, ale są bardzo podobne co do zasad. Syntetyzuje je najogólniej kolektywizm. Powiemy kilka słów o ich początkach w rozdziale poświęconym socjalizmowi w Niemczech. Socjalizm dzieli się dziś na niezliczone sekty, ale mają one wszystkie te cechę wspólną, że chcą odwołać się do poparcia państwa dla naprawienia niesprawiedliwości losu i przystąpienia do redystrybucji bogactw.[1]

Podstawowe propozycje socjalizmu mają przynajmniej tę zaletę, że są skrajnie proste: konfiskata kapitałów, kopalni, posiadłości przez państwo; nadzorowanie i dzielenie majątku publicznego przez ogromną armię urzędników. Państwo, albo jeśli kto woli wspólnota czy społeczeństwo (jako że kolektywiści nie używają obecnie słowa państwo), wytworzy wszystko bez dopuszczania konkurencji. Zostaną zniesione najmniejsze ślady inicjatywy, wolności indywidualnej, konkurencji. Państwo będzie czymś w rodzaju ogromnego klasztoru poddanego surowej dyscyplinie przez armię urzędników. Gromadzenie majątku będzie uniemożliwione przez zniesienie dziedziczenia dóbr. Jeśli chodzi o jednostkę, kolektywizm bierze pod uwagę jedynie jej potrzeby żywnościowe i zajęty jest tylko ich zaspokojeniem.

Widać, iż ten system zakłada absolutną dyktaturę państwa w dziedzinie rozdziału bogactw, albo też, co na jedno wychodzi, dyktaturę wspólnoty – jak też nie mniej absolutne niewolnictwo pracowników. Jednakże ten argument do nich nie trafia. Mało troszczą się oni

[1] Kolektywizm przez samych socjalistów zaczyna być uważany za utopię w krajach o nastawieniu bardziej naukowym, jak Anglia i Niemcy. Natomiast w krajach, w których rządzenie podlega wpływowi opinii uczuciowych, jak w cywilizacji łacińskiej, kolektywizm zachował całą swoją siłę. W rzeczywistości jednak socjalizm jest o wiele mniej niebezpieczny w swojej postaci konsekwentnej, niż gdy przybiera postać zwykłych projektów ulepszenia czegoś przez regulację pracy. W formie konsekwentnej, gdy grozi zniszczeniem, niebezpieczeństwo jest widoczne i można je zwalczyć. Przy postaci altruistycznej nie widać zagrożenia, łatwo więc projekt przyjąć. Socjalizm wchodzi wtedy do wszystkich elementów organizacji społeczeństwa i powoli je rozkłada. Rewolucja francuska też zaczęła się od łagodnych altruistycznych projektów reformatorskich, zaakceptowanych przez wszystkie partie, łącznie z tymi, które miały paść ich ofiarą. Zakończyła się krwawymi masakrami i dyktaturą [*przypis autora do 3 wydania*]

o wolność, czego dowodzi entuzjazm, z jakim witali wszystkich Cezarów. Bardzo mało troszczą się też oni o to, co stanowi o wielkości cywilizacji: o sztukę, naukę, literaturę, które znikłyby zaraz w tego rodzaju społeczeństwie. W programie kolektywistycznym nie ma więc dla nich nic odstręczającego.

W zamian za racje żywnościowe, które im obiecują socjalistyczni teoretycy, robotnik wykona swoją pracę pod nadzorem urzędników państwowych, jak niegdyś galernicy pod okiem nadzorcy galer. Wszelka indywidualna inicjatywa zostanie zduszona, a każdy pracownik będzie odpoczywał, jadł i spał na rozkaz dowódców straży; pożywienie, praca, rozrywki będą równe dla wszystkich.

Po zniszczeniu wszelkich bodźców nikt nie będzie czynił wysiłków, by poprawić swoją sytuację czy próbować ją zmienić. Byłoby to niewolnictwo jeszcze bardziej ponure, bez nadziei wyzwolenia. Pod panowaniem kapitalisty pracownik może przynajmniej marzyć o zostaniu samemu kapitalistą i niekiedy nim zostaje. A o czym mógłby marzyć poddany anonimowej i despotycznej tyranii państwa-zrównywacza, przewidującego wszystkie jego potrzeby i kierującego jego wolą? Bourdeau zauważył, że organizacja kolektywistyczna społeczeństwa dosyć by przypominała tę wprowadzoną przez jezuitów w Paragwaju. Czy bardziej by nie przypominała organizacji Negrów na plantacjach w epoce niewolnictwa?

Choć oślepieni przez swoje utopie i choć przekonani o władzy instytucji nad prawami ekonomii, co bardziej inteligentni spośród socjalistów nie przeoczyli faktu, że najpoważniejszymi przeszkodami dla ich systemu są straszliwe nierówności naturalne, na które żadne narzekania nigdy nie pomogły. Jeśli tylko nie będzie się systematycznie, w każdym pokoleniu mordować jednostek przekraczających skromny poziom średni, nierówności społeczne, będąc pochodną nierówności umysłowych, szybko powrócą.

Teoretycy zwalczają tę przeszkodę zapewniając, iż dzięki nowemu sztucznie stworzonemu środowisku społecznemu, uzdolnienia się szybko wyrównają, zaś bodźce interesu prywatnego, będące dotąd motorem działań ludzi i źródłem wszelkiego postępu, staną się bezużyteczne i zastąpione będą przez nagle ukształtowane instynkty altruistyczne, które powiodą jednostki do poświęcenia się interesom zbiorowym. Nie można zaprzeczyć, że tego rodzaju wyniki uzyskane zostały przez religie – przynajmniej w okresach żarliwej wiary u ich początków. Religie mogły jednak wierzącym obiecać niebo z życiem wiecznym jako rekompensatę; podczas gdy socjaliści w zamian za ofiarę z wolności proponują swoim zwolennikom jedynie piekło niewolnictwa i uniżenia bez nadziei.

Znieść skutki naturalnych nierówności jest teoretycznie łatwo, ale zniesienie samych nierówności pozostanie zawsze niemożliwością. Jak starości i śmierci, człowiek podlega im w sposób nieuchronny.

Ale póki pozostaje się na etapie marzeń, łatwo wszystko przyrzec, za Prometeuszem Ajschylosa *składać ślepe nadzieje w duszach śmiertelników.* Człowiek zmieni się więc, by dostosować się do nowego społeczeństwa stworzonego przez socjalistów. Znikną różnice dzielące jednostki i istnieć będzie tylko typ przeciętny tak trafnie opisany przez matematyka Bertranda: *Bez pasji ani wad, ani szalony ani mądry, o przeciętnych ideałach i opiniach, umierający w wieku przeciętnym na przeciętną chorobę wynalezioną przez statystykę.*

Sposoby realizacji proponowane przez rozmaite sekty socjalistyczne różnią się co do formy, choć zmierzają do tego samego celu. Sprowadzają się one w końcu do zagarnięcia ziemi i bogactw przez państwo, bądź przez zwykłe zarządzenie, bądź przez ogromny podatek spadkowy, który doprowadzi w niewiele pokoleń do zniesienia majątków rodzinnych.

Wyliczenie programów i teorii tych różnych sekt byłoby mało interesujące, gdyż dominuje w nich kolektywizm i tylko on ma znaczenie, przynajmniej w krajach łacińskich. Większość tych sekt już popadła zresztą w zapomnienie. *Tak więc socjalizm chrześcijański, który wysuwał się na czoło w 1848, kroczy teraz w ostatnim szeregu* – jak zauważył dawno temu Leon Say. Co do socjalizmu państwowego, zmieniła się tylko jego nazwa, jest to po prostu obecny kolektywizm.

Co się tyczy socjalizmu chrześcijańskiego, zauważono słusznie, że w wielu punktach zgadza się on z doktrynami współczesnymi. *Jak socjalizm* – pisze Bourdeau – *Kościół nie przyznaje żadnej wartości temu, co jest dowcipem, talentem, wdziękiem, oryginalnością, uzdolnieniami osobistymi.*[2] ***Indywidualizm*** *jest dla niego synonimem* ***egoizmu***; starał się zawsze narzucić światu to, co jest celem socjalizmu: braterstwo pod

---

[2] Jawna nieprawda: wspomnijmy tylko znaczenie sztuki i indywidualności artystycznych w Kościele czasów renesansu. W czasach pisania tej książki Kościół wyraźnie potępiał socjalizm i bronił własności. Kościół uznaje wolność osoby ludzkiej, wzywając zarazem człowieka do dobrowolnego porzucenia egoizmu i do służby bliźniemu. Por. przypisy ze str. 17 i 24. Natomiast istnieli w wieku XIX i istnieją nadal chrześcijanie którzy przykazanie miłości bliźniego chcą realizować w sposób wskazany przez socjalizm, to znaczy poprzez zabieranie przez państwo jednym, a dawanie drugim. Wielu takich kolaborowało z rządami krajów socjalistycznych. Do takich chrześcijańskich (?) socjalistów może się stosować krytyka z tej książki. Ponadto można zauważyć, że nie tylko socjaliści widzieli w Kościele konkurencję do zwalczania – był on również tak postrzegany przez tych przeciwników socjalizmu, którzy przeczuwali, że moralne antidotum na socjalizm, proponowane przez Kościół, jest właściwsze niż przeciwstawianie socjalizmowi egoistycznego indywidualizmu i walki o byt pojmowanej po darwinowsku [*przypis tłumacza*].

władzą autorytetu. Tak samo organizację międzynarodową, tak samo potępienie wojny, tak samo przeżycie cierpienia z powodu potrzeb społecznych. Według Bebla, papież z wysokości Watykanu widzi lepiej burzę, która się zbiera na horyzoncie. Papiestwo mogłoby nawet potencjalnie stać się dla socjalizmu rewolucyjnego niebezpiecznym konkurentem, gdyby śmiało stanęło na czele powszechnej demokracji.

Program dzisiejszych socjalistów chrześcijańskich różni się mało od kolektywistycznego. Inni jednak socjaliści, nienawidząc wszelkich idei religijnych, odpychają ich; a jeśli socjalizm rewolucyjny zwycięży, socjaliści chrześcijańscy będą jego pierwszymi ofiarami. Nie znajdą z pewnością nikogo, kto by ich żałował.

Wśród różnych sekt socjalistycznych, które codziennie rodzą się i umierają, na osobną wzmiankę zasługuje anarchizm. Socjaliści anarchiczni wydają się w teorii zbliżać do indywidualizmu, ponieważ chcą jednostce pozostawić nieograniczoną wolność. W praktyce jednak trzeba ich uważać za skrajną lewicę socjalizmu, ponieważ również zmierzają do zniszczenia społeczeństwa obecnego. Ich teorie odznaczają się tym zupełnym prostactwem, które jest dominującym akcentem wszystkich utopii socjalistycznych: społeczeństwo jest bezwartościowe, niszczmy je ogniem i mieczem. Dzięki siłom natury powstanie nowe, w oczywisty sposób doskonałe. Dzięki jakim niezwykłym cudom nowe społeczeństwo będzie różne od poprzednich? Tego żaden anarchista nam nigdy nie wytłumaczył. Jest bowiem oczywiste, że musi być przeciwnie: gdyby obecne cywilizacje zostały całkowicie zniszczone, ludzkość przeszłaby od nowa przez etapy, które już stopniowo pokonała: dzikość, niewolnictwo, barbarzyństwo. Nie bardzo widać, co by na tym zyskali anarchiści. Przypuśćmy, że ich marzenia się zaraz zrealizują. To znaczy: rozstrzelać wszystkich burżujów, zebrać razem wszystkie kapitały, by każdy towarzysz mógł z nich do woli czerpać. Jak się odnowiłby ten kapitał po jego wyczerpaniu, gdy chwilowo anarchiści zostaliby z kolei kapitalistami?

Jakkolwiek by się rzeczy miały, anarchiści i kolektywiści są jedynymi sektami socjalistycznymi mającymi dziś wpływy wśród ludów cywilizacji łacińskiej.

Kolektywiści wierzą, że ich teorie stworzone zostały przez Niemca Marksa. Faktycznie są one dawne. Można je znaleźć ze szczegółami u pisarzy starożytnych. Nie sięgając tak daleko, można zauważyć wraz z piszącym o tym pięćdziesiąt lat temu Tocquevillem, że wszystkie teorie socjalistyczne są obszernie przedstawione w *Code de la Nature* opublikowanym przez Morelly'ego w 1755.

Znajdziecie tam, wraz ze wszystkimi doktrynami na temat wszechwładzy państwa i jego nieograniczonych praw, wiele teorii politycznych,

które ostatnio najbardziej przeraziły Francję, a które, jak to sobie wyobrażaliśmy, widzieliśmy u narodzin: wspólnota dóbr, prawo do pracy, absolutna równość, ujednolicenie wszystkiego, mechaniczna regularność działań jednostek, tyrania regulacji i całkowite wchłonięcie osobowości obywateli przez społeczność: „Nic w społeczeństwie nie będzie należało jako własność do nikogo" – mówi artykuł 4 kodeksu. „Każdy obywatel będzie utrzymywany, odżywiany i zatrudniany na koszt publiczny" – mówi artykuł 2. „Wszystkie towary będą zbierane w publicznych magazynach, by je stamtąd rozdzielano wszystkim obywatelom i by służyły ich potrzebom życiowym". „W wieku lat pięciu wszystkie dzieci będą zabierane rodzinom i wychowywane razem, na koszt państwa, w sposób jednolity." Itd.

§ 4. Idee socjalistyczne, jak szereg instytucji u różnych ludów, są następstwem ich rasy (kultury)

Idea rasy (kultury)[3], choć tak źle rozumiana jeszcze niedawno, coraz bardziej się rozszerza, by zdominować wszystkie nasze koncepcje historyczne, polityczne i społeczne.[4]

W innym dziele wykazałem, jak z ludów łączonych i mieszanych przez przypadki emigracji i podbojów, ukształtowały się historyczne rasy, praktycznie jedyne, jakie dziś istnieją, gdyż rasy z punktu widzenia antropologii czyste występują już tylko u dzikich. To ustaliwszy, wskazałem na granice zmienności cech rasowych, to znaczy jak na pewien stały substrat nakładają się cechy i zmienne. Stwierdziłem następnie, że wszystkie składniki cywilizacji: język, sztuka, zwyczaje, instytucje, wierzenia, są następstwami pewnego stanu umysłowego i nie

[3] Le Bon podkłada pod pojęcie rasy to, co dzisiejsza antropologia i język potoczny nazywają raczej kręgiem kulturowym. Od popularnych obecnie poglądów na temat różni go to, że przez termin „rasa" sugeruje biologiczne podłoże różnic kulturowych, jak też to, że nie boi się uważać pewnych kultur za niższe (nawet tej własnego kraju!). Natomiast, jak liczni autorzy dzisiejsi, przypisuje kulturze determinujący wpływ na kształt społeczeństw [*przypis tłumacza*].

[4] Ważność pojęcia rasy, które można dziś uważać za podstawowe, pozostaje jednak całkowicie niezrozumiane przez wiele umysłów. Widzimy więc Nowikowa głoszącego w niedawnej książce *małe znaczenie rasy w sprawach ludzkich.* Wierzy on, że Murzyn może łatwo stanąć na równi z białym itd.

Takie zapewnienia dowodzą tylko, jak dalece, wedle jego własnego stwierdzenia, *sfera socjologii pozostaje jeszcze w fazie deklamacji zamiast uważnego studium faktów.* Wszystko, czego Nowikow nie rozumie, jest przezeń kwalifikowane jako sprzeczność, a autorzy, którzy nie myślą jak on, są zaliczani do pesymistów. Jest to z pewnością psychologia łatwa, ale i prymitywna. By uznać *małe znaczenie rasy w sprawach ludzkich*, trzeba całkowicie zignorować historię San Domingo, Haiti i dwudziestu dwóch republik Ameryki Łacińskiej. Nie rozumieć roli rasy (kultury) to skazywać się na nie zrozumienie nigdy historii.

można ich przenieść do odmiennych ludów bez bardzo głębokich przekształceń.

Tak samo jest z socjalizmem. Musi on ulec powszechnemu prawu przekształceń. Mimo mylących etykiet, które w polityce, jak i w religii oraz w moralności oznaczają nieraz rzeczy nader niepodobne, pod identycznymi słowami znajdziemy silnie różniące się koncepcje polityczne i społeczne, zaś pod słowami różnymi chowają się niekiedy koncepcje identyczne. Pewne ludy cywilizacji łacińskiej żyją w monarchii, inne w republice, ale w tych tak nominalnie sprzecznych systemach rola polityczna państwa i jednostki pozostaje taka sama, będąc w zgodzie z niezmiennym ideałem tej rasy. Jakimkolwiek byłby z nazwy rząd łaciński, działanie państwa będzie zawsze przeważać, a działania jednostek pozostaną słabe. U Anglosasów system, monarchiczny czy republikański, urzeczywistnia ideał odwrotny do łacińskiego. Rola państwa, zamiast być rozwinięta do maksimum, jest sprowadzona do minimum, podczas gdy rola polityczna bądź społeczna pozostawiona inicjatywie prywatnej jest przeciwnie maksymalnie rozwinięta.

Stąd wynika, że natura instytucji odgrywa tylko niewielką rolę w życiu ludów. Potrzebne będą zapewne wieki, nim przeniknie to do szerszych kręgów.[5] Dopiero gdy do nich przeniknie, jasno ukaże sie bezużyteczność konstytucji i rewolucji. Ze wszystkich błędów zrodzonych przez historię, najgroźniejszy był, najwięcej krwi kosztował, spowodowal najwięcej zniszczeń ten, jakoby ktokolwiek był w stanie dowolnie zmieniać instytucje. Wszystko, co mozna zrobic, to zmienić ich nazwy, dostosować nowe słowa do starych koncepcji, które stanowią owoc naturalnej i długotrwałej ewolucji.

Uzasadnić te stwierdzenia można tylko na przykładach. Dostarczyłem ich wiele w pracach poprzednich; jednak studium socjalizmu u rożnych ras, ktoremu poświęcone będzie kilka późniejszych rozdziałów, dostarczy nam szeregu innych. Pokażemy najpierw, zajmując się danym ludem, jak pojawienie sie socjalizmu było przygotowane przez stan umysłów, rasę (kulturę) i historię. Następnie zobaczymy, jak te same doktryny socjalistyczne nie przyjmowały się u innych ludów, należących do innej rasy.

[5] Nie weszła ona zresztą zbyt głęboko do umysłów wykształconych, przynajmniej łacińskich. W godnym uwagi artykule, opublikowanym 1 kwietnia 1898, w nowojorskim *Evening Post*, a dotyczącym poglądów znaczącego pisarza francuskiego Brunetiere'a, redaktor pisma tak się wyraża: *Charakter ludu, a nie jego instytucje, stanowi o jego wielkości, jak tego trafnie dowiódł w niedawnej książce Gustaw Le Bon. Błąd Brunetiere'a i jego kolegów polega na wierze, iż można narody uczynić wielkimi przez prawa, przez powiększenie armii i floty, przez zastąpienie wyborów proporcjonalnych wyborami w okręgach jednomandatowych.* Lektura przemówień polityków łacińskich ze wszystkich partii dowodzi, jak dalece podzielają oni identyczne opinie. Nie są to opinie indywidualne, lecz właściwe rasie.

Rozdział 4
Zwolennicy socjalizmu i ich stan umysłowy

§ 1. Klasyfikacja zwolenników socjalizmu

Socjalizm zawiera teorie bardzo różne i najwyraźniej sprzeczne. Armii jego wyznawców nie łączy inna wspólna więź niż gwałtowna niechęć do obecnego porządku rzeczy oraz luźna skłonność do nowego ideału, który ma im zapewnić lepszą sytuację, zastępując dawne wierzenia. Chociaż żołnierze tej armii razem maszerują ku zniszczeniu dziedzictwa przeszłości, ożywieni są bardzo różnymi uczuciami. Jedynie przez osobne zbadanie ich głównych grup można będzie wyrobić sobie jaśniejszy pogląd na ich psychologię – a w związku z tym na ich podatność na nowe doktryny.

Socjalizm rekrutuje swoich licznych zwolenników przede wszystkim wśród mas ludowych, zwłaszcza robotniczych. Nowa idea przedstawia się tam w formie najprostszej, a więc i najbardziej zrozumiałej: mniej pracy, więcej przyjemności. Na miejsce niepewnej płacy, często nędznej starości, niekiedy ciężkiej niewoli w fabryce, obiecuje się im odrodzone społeczeństwo, w którym dzięki nowemu podziałowi bogactw przez wszechmocne państwo praca będzie bardzo dobrze wynagradzana i bardzo łatwa.

Wobec tak wspaniałych i tak często powtarzanych obietnic masy ludowe nie powinny się wahać, tym bardziej, że dzięki głosowaniu powszechnemu, prawu wyboru prawodawców mają w rękach całą władzę. Wahają się jednak. Bardziej jest dziś uderzająca nie szybkość rozpowszechniania się nowych doktryn, lecz przeciwnie, względna powolność tego procesu. Aby zrozumieć tę nierównomierność wpływu trzeba będzie rozpatrzyć różne kategorie zwolenników socjalizmu.

Zbadamy z tego punktu widzenia następujące kategorie: warstwy robotnicze, warstwy kierownicze, grupę niedouków i doktrynerów.

§ 2. Warstwy robotnicze

Psychologia warstw robotniczych jest zbyt zróżnicowana w zależności od zawodu, prowincji, środowiska, by można ja było szczegółowo

wyłożyć. Wymagałoby to zresztą bardzo długich studiów i wielkiej umiejętności obserwacji; z tych przyczyn przyczyn nigdy ich nie podjęto.

Ograniczę swoje studia do jednej określonej warstwy robotników – paryskich. Tylko tę mogłem zbadać w sposób trochę pogłębiony. Jest też ona szczególnie interesująca, gdyż nasze rewolucje rodziły się w Paryżu. Są one możliwe lub nie w zależności od tego, czy wodzowie mają za sobą robotników paryskich.

Ta interesująca warstwa ma oczywiście niemało odmian; jednakowoż, tak samo jak przyrodnik opisujący ogólne cechy gatunku właściwe wszystkim odmianom do niego należącym, zajmiemy się cechami wspólnymi dla większości obserwowanych odmian.

Istnieje jednak podział, który trzeba zaznaczyć na wstępie, by nie łączyć razem elementów zbyt niepodobnych. W ramach klasy robotniczej stwierdza się bowiem dwie osobne kategorie, każdą z odmienną psychologią: robotników najemnych (niewykwalifikowanych) i rzemieślników (robotników wykwalifikowanych).

Warstwa robotników najemnych jest mniej inteligentna, ale też liczniejsza. Powiększa się co dzień w wyniku mechanizacji. Udoskonalanie maszyn zmierza bowiem do zautomatyzowania pracy i w rezultacie coraz bardziej zmniejsza poziom inteligencji potrzebnej do ich obsługi. Rola robotnika fabrycznego polega jedynie na kierowaniu w tym samym kierunku przebiegu nici, albo też na wpychaniu między walce płyt metalowych, które same się gną, wykańczają, tłoczą. Przedmioty codziennego użytku, jak na przykład zwykłe latarnie za pięć sou, składają się z może pięćdziesięciu części, z których każda wykonywana jest przez specjalnego robotnika, nie robiącego w życiu niczego innego. Wykonując pracę łatwą, pracownik jest bardzo źle opłacany, tym bardziej, że konkuruje z kobietami i dziećmi, które tak samo jak on zdolne by były wykonywać tę pracę. Nie umiejąc niczego innego, robotnik jest z konieczności całkowicie zależny od dyrektora fabryki, który go zatrudnia.

Socjalizm może najbardziej liczyć na warstwę pracowników najemnych, głównie dlatego, że jest ona najmniej inteligentna i ponieważ będąc najmniej szczęśliwą z konieczności przejmuje się wszelkimi doktrynami, które jej przyrzekają poprawę losu. Nigdy nie rozpocznie ona rewolucji, ale chętnie się opowie za wszystkimi rewolucjami.

Obok, a ściślej wyraźnie powyżej tej kategorii robotników, stoją rzemieślnicy (robotnicy wykwalifikowani). Warstwa ta obejmuje pracujących przy budowach, mechanice, sztuce użytkowej, w drobnych przedsiębiorstwach: cieśli, stolarzy, monterów, galwanizerów, odlewników, elektryków, malarzy, dekoratorów, murarzy itd. Mają oni

codziennie do wykonania nową pracę i trudności do pokonania, które zmuszają ich do zastanawiania się i rozwijania inteligencji.

Ta kategoria jest w Paryżu najbardziej rozpowszechniona, tę też mam przede wszystkim na względzie w poniższym studium. Jej psychologia jest tym bardziej interesująca, że cechy tej warstwy są bardzo wyraźne, co wcale nie zachodzi w przypadku wielu innych kategorii społecznych.

Rzemieślnik paryski (robotnik wykwalifikowany) należy do kasty, z której rzadko próbuje wyjść. Jest synem robotnika i zależy mu na tym, by jego synowie pozostali robotnikami, podczas gdy marzeniem rolnika i drobnego urzędnika jest uczynić ze swoich synów zamożnych mieszczan.

Pracownik biurowy pogardza rzemieślnikiem, ale rzemieślnik nieporównanie bardziej pogardza biuralistą, którego uważa za lenia i niedołęgę. Wie, że jest gorzej ubrany, że ma gorsze maniery, ale czuje się lepszy dzięki energii, aktywności, inteligencji – i najczęściej słusznie. Rzemieślnik awansuje tylko dzięki swoim umiejętnościom, pracownik biura dzięki stażowi. Urzędnik jest kimś tylko dzięki zespołowi, do którego należy. Rzemieślnik jest jednostką, która ma wartość sama z siebie. Jeśli rzemieślnik dobrze zna swój zawód, pewien jest znalezienia pracy gdziekolwiek, podczas gdy urzędnik nie jest tego pewien; dlatego ten drugi drży zawsze przed dyrektorami, którzy mogą go pozbawić zatrudnienia. Rzemieślnik ma dużo więcej godności i niezależności. Urzędnik nie jest zdolny poruszać się poza wąskimi ramami reguł, całe jego zajęcie polega na ich przestrzeganiu. Rzemieślnik przeciwnie, codziennie stawia czoła nowym trudnościom, które pobudzają jego inicjatywę i myślenie. Rzemieślnik jest wreszcie opłacany sporo lepiej od urzędnika, a nie mając jego potrzeb co do wyglądu zewnętrznego, może prowadzić życie dużo dostatniejsze. W wieku dwudziestu pięciu lat jako tako zdolny rzemieślnik zarabia bez trudności sumę, którą pracownik handlu lub administracji otrzyma dopiero po dwudziestu latach pracy. Prawdziwym współczesnym pariasem jest drobny urzędnik, a nie robotnik. Dlatego ten pierwszy jest zawsze zaciekłym socjalistą. Jest to zresztą socjalizm niezbyt groźny, bo urzędnicy ze strachu przed utratą pracy nie mogą strajkować i łączyć się w związki, co ich skłania do ukrywania swych opinii.

Szczegółowe cechy psychologiczne, którymi się teraz zajmę, są wystarczająco powszechne, by przypisać je większości rzemieślników paryskich (robotników wykwalifikowanych) tej samej rasy. Nie byłoby tak z robotnikami innych ras, jako że wpływ rasy (kultury) są o wiele silniejsze niż środowiska. W innej części tej pracy pokażę, jak różnią się

robotnik angielski i irlandzki w tym samym warsztacie, a więc w praktycznie w tych samych warunkach. Stwierdzimy to też łatwo w Paryżu, jeśli zechcemy porównać robotnika paryskiego z robotnikami włoskimi czy niemieckimi pracującymi w tych samych warunkach, a więc poddanych tym samym wpływom środowiska. Nie podejmiemy tu tej kwestii, ograniczając się do obserwacji, że wpływ rasy (kultury) stwierdza się wyraźnie u robotników paryskich przybyłych z określonych prowincji, na przykład Limousin. Wiele cech psychologicznych, wymienionych poniżej, nie stosowałoby się wcale do tych ostatnich. Robotnik z Limousin jest trzeźwy, cierpliwy, spokojny, nie potrzebuje hałasu ani luksusu. Nie uczęszcza do winiarni ani teatrów, marzy o powrocie z oszczędnościami na wieś. Ogranicza się do zawodów ciężkich, ale dobrze płatnych, jak na przykład murarza, będąc w nich poszukiwany ze względu na trzeźwość i stałość.

Ustaliwszy ogólne zasady podziału, zajmiemy się teraz psychologią robotników paryskich, mając na względzie przede wszystkim, jak zaznaczono, warstwę rzemieślników (robotników wykwalifikowanych). Oto najbardziej uderzające cechy ich stanu umysłowego.

Robotnik paryski zbliża się do jednostek prymitywnych przez swą impulsywność, nieprzewidywalność, odmowę podporządkowania się i zwyczaj kierowania się chwilowym impulsem instynktu. Ma jednak pewien zmysł artystyczny i niekiedy krytyczny, subtelny jak na środowisko, w którym żyje. Poza swoim zawodem, który wykonuje bardzo dobrze – choć bardziej z gustem niż dokładnie – rozumuje mało lub źle, pozostając niedostępny logice innej niż uczuć.

Lubi się skarżyć i wygadywać, ale jego narzekania są bardziej bierne niż czynne. Jest w gruncie rzeczy bardzo konserwatywnym domatorem i nie ma wcale upodobania do zmian. Obojętny na doktryny polityczne, podporządkowuje się łatwo różnym rządom o ile tylko stoją na ich czele ludzie z autorytetem. Generalskie epolety budzą w nim zawsze uczucie respektu, któremu się nie opiera. Łatwo go prowadzić przez argumenty z wyżyn autorytetu, ale wcale nie przez rozumowe.

Jest bardzo towarzyski i szuka kontaktu z kolegami: stąd wizyty w winiarniach, salonach ludu. Nie wiedzie go tam jednak, jak się często uważa, upodobanie do alkoholu. Picie jest pretekstem, który potem staje się zwyczajem – ale przecież to nie potrzeba alkoholu prowadzi do knajp.

Dlatego znajduje rozrywkę w knajpie, jak mieszczanin w klubie, bo skądinąd niewiele ma atrakcji dla swojego wnętrza. Żona robotnika, jego gospodyni, jak ją nazywa, ma za zalety oszczędność i przezorność, ale zajmuje się tylko dziećmi, cenami i zakupami. Całkowicie niewrażliwa na idee ogólne i dyskusje, przyłącza się do nich tylko wtedy, gdy

ma pustą portmonetkę i spiżarnię. Nigdy nie głosowałaby za strajkiem tylko dla zasady.

Uczęszczanie do knajp, teatrzyków, na publiczne spotkania, jest dla robotnika paryskiego skutkiem zapotrzebowania na podniecenie, ekspansję, poruszenie, odurzenie słowami, głośną dyskusję. Żeby podobać się moralistom, uczyniłby z pewnością lepiej pozostając grzecznie w swoim pokoju. ale wtedy potrzebowałby zastąpienia stanu umysłowego robotnika przez mózg moralisty.

Idee polityczne czasami prowadzą robotnika, ale go wcale nie pochłaniają. Łatwo staje się na jedną chwilę buntownikiem i gwałtownikiem, ale nigdy nie pozostaje sekciarzem. Jest zbyt impulsywny, by jakakolwiek idea mogła opanować go na stałe. Jego niechęć do burżuazji jest często uczuciem powierzchownym i konwencjonalnym, pochodzącym po prostu stąd, że zamożny mieszczanin jest bogatszy i lepiej ubrany.

Trzeba go mało znać, żeby sądzić, że zdolny jest realizować z zapałem jakiś ideał, socjalistyczny lub inny. Jesli robotnik przypadkiem ma jakiś ideał, jest on najmniej rewolucyjny, najmniej socjalistyczny, najbardziej mieszczański. Jest to zawsze mały dom na wsi, pod warunkiem, że winiarnia będzie blisko.

Jest w nim wielki zasób zaufania i hojności. Widać, jak gorliwie gości kolegów w kłopotach, niekiedy za cenę dużej niewygody, i świadczy im drobne usługi, do których ludzie z warstw wyższych w podobnych okolicznościach wcale nie byliby skłonni. Wolny jest od egoizmu i pod tym względem stoi wyżej od mieszczucha i urzędnika, których egoizm jest – przeciwnie – bardzo rozwinięty. Z tego punktu widzenia zasługuje na sympatie, której burżuazja nie zawsze jest godna. Rozwój egoizmu w klasach wyższych wydaje się koniecznym następstwem ich bogactwa i kultury, w proporcji do stopnia owego bogactwa i kultury. Tylko biedny jest naprawdę chętny do pomocy, bo tylko on rzeczywiście czuje, czym jest nędza.

Ta nieobecność egoizmu, w połączeniu z łatwością entuzjazmowania się osobami, które potrafią ich urzec, czyni robotników skłonnymi do poświęcenia się, choć nie tyle dla triumfu idei, co dla przywódcy, który pozyskał ich serce. Awantura generała Boulangera dostarcza tu pouczającego przykładu.

Robotnik paryski chętnie drwi z religii, ale w głębi duszy ma dla niej nieświadomy szacunek. Jego drwiny nie kierują się nigdy przeciw religii jako wierzeniu, lecz przeciw duchowieństwu, które postrzega jako pewnego rodzaju odgałęzienie rządu. Małżeństwa i pogrzeby bez Kościoła są wśród robotników paryskich rzadkie. Małżeństwo zawarte tylko w merostwie robotnik zawsze odczuwa jako nieprawidłowe. Jego

instynkty religijne – rozumiane jako skłonność do ulegania jakiemuś credo, politycznemu, religijnemu lub społecznemu – są uporczywe. Takie instynkty pewnego dnia staną się czynnikiem sukcesu socjalizmu, który w istocie jest nowym credo. Jeśli socjalizm zdoła się rozpowszechnić wśród robotników, nie stanie się to dzięki obietnicom pomyślności, jak wierzą teoretycy, lecz dzięki bezinteresownemu poświęceniu, jakie potrafią obudzić w duszach jego apostołowie.

Pojęcia polityczne robotników są zupełnie elementarne i skrajnie uproszczone. Rząd stanowi dla nich tajemniczą absolutną moc, mogącą dowolnie zarządzać wzrost i spadek płac, ale na ogół wrogą pracownikom, a przychylną właścicielom. Wszystko, co zdarza się robotnikom niedobrego, jest z konieczności winą rządu, dlatego chętnie akceptują propozycję jego zmiany. Skądinąd mało się troszczą o naturę rządu i uważają za pewne tylko to, że jakiś musi istnieć. Dobry rząd to taki, który chroni robotników, podnosi płace i nęka właścicieli. Jeśli robotnik ma sympatię dla socjalizmu, to dlatego, że widzi w nim rząd podnoszący płace, zaś redukujący godziny pracy. Gdyby mógł sobie wyobrazić system militaryzacji i nadzoru, jakiemu socjaliści chcą poddać wymarzone przez siebie społeczeństwo, stałby się natychmiast nieprzejednanym wrogiem nowych doktryn.

Teoretycy socjalizmu sądzą, że dobrze znają duszę klasy robotniczej, ale w rzeczywistości rozumieją ją bardzo słabo. Wyobrażają sobie, że przekonanie wynika z argumentacji i dyskusji. W rzeczywistości ma ono wiele innych źródeł. Co w masach zostaje z ich mów? Doprawdy niewiele. Kiedy zręcznie popytać robotnika, który podaje się za socjalistę, to jeśli się pominie strzępy gotowych sloganów humanitarnych oraz obelgi pod adresem kapitału, widać, że koncepcje socjalistyczne są dla niego niejasnym marzeniem, podobnym oczekiwaniom pierwszych chrześcijan. W dalekiej przyszłości, zbyt dalekiej, by wiele go przejęła, przewiduje nadejście królestwa ubogich – ubogich majątkiem i duchem – królestwa, z którego wykluczeni zostaną zasobni w pieniądze lub inteligencję.

Odnośnie środków realizacji tego odległego marzenia robotnicy nawet o nich nie śnią. Teoretycy, bardzo słabo rozumiejący ich duszę, nawet nie podejrzewają, że to właśnie wśród robotników socjalizm napotka pewnego dnia swych najbardziej nieprzejednanych wrogów, gdy tylko zechce przejść od teorii do praktyki. Robotnicy – a jeszcze bardziej chłopi – mają instynkt własności co najmniej tak samo rozwinięty jak burżuazja. Chcą pomnożyć to, co posiadają, i uważają, iż powinni dysponować owocami swej pracy wedle swojej woli, a nie oddawać je zbiorowości, nawet jeśli ta zbiorowość miałaby zaspokajać ich potrzeby. Takie poczucie ma odwieczne korzenie i będzie zawsze

wznosiło się jak nienaruszalny mur przeciw wszelkim próbom zaprowadzenia kolektywizmu na serio.

Choć burzliwy, gwałtowny i zawsze chętny do stanięcia po stronie rewolucjonistów, robotnik jest bardzo przywiązany do rzeczy dawnych, bardzo zachowawczy, bardzo autorytarny i bardzo despotyczny. Zawsze oklaskiwał burzycieli tronów i ołtarzy, ale jeszcze bardziej tych, którzy je przywracali. Gdy przypadkiem staje się właścicielem, zachowuje się jak absolutny monarcha i jest twardszy dla swoich dawnych kolegów niż właściciel spośród burżuazji. Generał du Barrail następująco opisuje psychologię robotnika, który wyemigrował do Algierii, by zostać kolonistą, które to zajęcie polega po prostu na zmuszaniu kijem tubylców do pracy: *Miał w sobie wszystkie instynkty feudalne, wyszedłszy z wielkomiejskich warsztatów mówił i rozumował jak wasale Pepina Krótkiego i Karola Wielkiego, albo jak rycerze Wilhelma Zdobywcy, którzy wykroili sobie rozległe posiadłości na terenach ludów podbitych.*

Zawsze kpiarz, czasami dowcipny, robotnik paryski doskonale potrafi uchwycić zabawną stronę wydarzeń i w polityce docenia przede wszystkim stronę zabawną – oraz gwałtowną. Flekowanie ministra przez posła lub przez dziennikarza bardzo go bawi, ale poglądy ministra i jego przeciwników mało go interesują. Dyskusja polegająca na wymianie obelg pasjonuje go jak spektakl w 'L'Ambigu'. Dyskusja na argumenty pozostawia go zupełnie obojętnym.

Takie charakterystyczne nastawienie umysłowe odbija się na przebiegu dyskusji, jaką można obserwować na ludowych wiecach politycznych. Robotnik nie mówi tam nigdy o wartości poglądów, ale wyłącznie o osobach, które je przedstawiają. Urzeka go osobisty prestiż mówcy, a nie jego argumenty. Nie atakuje jego poglądów, które mu się nie podobają, lecz wyłącznie jego osobę. Uczciwość przeciwnika jest natychmiast kwestionowana i może on uważać się za szczęściarza, jeśli zostanie tylko nazwany łajdakiem, a nie spadną na niego rzeczy inne niż obelgi. Dyskusje na wiecach publicznych, jak wiadomo, nieodmiennie składają się z najgorszych wyzwisk i ciosów. Jest to zresztą przywara rasy, a nie samych robotników. Dla wielu ludzi jest niemożliwością słuchać osoby wyrażającej opinie inne od jej własnych inaczej niż z głębokim przekonaniem, że osoba ta jest zupełnym imbecylem lub nikczemnym łotrem. Zrozumienie cudzych poglądów było zawsze niedostępne ludom łacińskim.

Impulsywny, beztroski, ruchliwy i burzliwy charakter robotników paryskich zawsze im przeszkadzał w stowarzyszaniu się dla podjęcia większych przedsięwzięć, jak to czynią robotnicy angielscy. Ta nieusuwalna słabość czyni ich niezdolnymi do kierowania i przez samo to

skazuje ich na stałą kuratelę. Odczuwają nieprzepartą potrzebę posiadania kogoś, kto będzie nimi rządził i kogo będą mogli bez przerwy obwiniać za wszystko, co im się przydarza. Raz jeszcze napotykamy tu cechę rasy.

Jedyny wyraźny skutek propagandy socjalistycznej wśród warstw robotniczych, to rozpowszechnienie wśród nich poglądu, że są wyzyskiwani przez właścicieli i że dzięki zmianie rządu otrzymają wyższe płace pracując mniej. Instynkty zachowawcze przeszkadzają jednak większości z nich w akceptacji tego poglądu. W wyborach parlamentarnych z 1893 roku na 10 milionów wyborców tylko 556 000 oddało głosy na deputowanych socjalistycznych, których było zatem tylko 49. Ten nikły procent, który tylko na pozór wzrósł w wyborach z 1898, pokazuje, jak uporczywe są instynkty zachowawcze klasy robotniczej.

Istnieje zresztą zasadnicza przyczyna, która szczególnie utrudni rozpowszechnianie się poglądów socjalistycznych. Wszędzie rośnie liczba robotników, którzy są drobnymi właścicielami lub akcjonariuszami. Mały domek, ale jednak własny, akcja firmy, choćby ułamek akcji, zmieniają ich właściciela w kalkulującego kapitalistę i zadziwiająco rozwijają instynkt własności. Skoro tylko ma rodzinę, mieszkanie i jakieś oszczędności, robotnik staje się natychmiast upartym konserwatystą. Socjalista, a zwłaszcza anarchista, jest najczęściej kawalerem bez domu, dochodów, rodziny, to znaczy koczownikiem – a we wszystkich epokach koczownik był niezdyscyplinowanym barbarzyńcą. Kiedy ewolucja ekonomiczna uczyni robotnika właścicielem choćby najmniejszej części fabryki, w której pracuje, jego poglądy na relacje między kapitałem a pracą zostaną dogłębnie zmienione. Dowodu dostarcza kilka fabryk, w których takie zmiany zostały już urzeczywistnione – a także stan umysłowy chłopa. Wiedzie on zwykle życie cięższe niż robotnicy w mieście, ale posiada swoje pole do uprawy i z tej przyczyny prawie nigdy nie jest socjalistą. Staje się nim jedynie wtedy, gdy w prymitywnym mózgu zakiełkuje myśl, by zabrać pole sąsiada – bez rezygnowania, rzecz jasna, ze swojego.

Podsumujmy to, mówiąc, że najbardziej oporna wobec socjalizmu będzie właśnie paryska klasa robotnicza, na którą tak socjaliści liczą. Ich propaganda zrodziła zazdrość i nienawiść, ale nowe doktryny nie zapadły głęboko w dusze ludu. Jest nader prawdopodobne, że z powodu jakichś niepomyślnych zdarzeń, za które robotnicy zawsze winią rząd (jak długotrwałe bezrobocie bądź spadek płac wynikły z zagranicznej konkurencji) socjaliści będą mogli wśród nich zwerbować żołnierzy rewolucji – ale żołnierze ci szybko zwrócą się ku Cezarowi, który przybędzie, by tę rewolucję stłumić.

§ 3. Warstwy kierownicze

Do postępów socjalizmu bardzo przyczynia się to – pisze de Laveleye – *że opanowuje on po trochu klasy wyższe i wykształcone.* Przyczyny tej ekspansji są według mnie wielorakie: zarażenie się modnymi wierzeniami, strach, obojętność.

Znaczna część burżuazji – pisze Garofalo – *nawet patrząc z pewnym strachem na ruch socjalistyczny, myśli, że jest to dzisiaj ruch nie do pokonania i nie do uniknięcia. Wśród nich jest pewna liczba dusz czystych, zakochanych w socjalistycznym ideale, które widzą w nim aspirację do królestwa sprawiedliwości i szczęśliwości powszechnej.*

Jest to prosty wyraz doznania powierzchownego, uczuciowego a nie rozumowego; przyjętego przez zarażenie się. Większość mózgów rasy łacińskiej wydaje się niezdolna do umysłowego procesu przyjęcia poglądu politycznego lub społecznego po dojrzałej refleksji, dopiero wtedy, gdy okazało się, iż odpowiada ona faktycznemu stanowi rzeczy. Jeśli przyjmując pogląd polityczny, religijny lub społeczny wysilimy umysł choćby w części, jak sklepikarz przy ubijaniu interesu, nie będziemy, jak jesteśmy w kwestiach politycznych i religijnych, na łasce mody, środowiska, uczuć, dryfując pod naporem wydarzeń i chwilowych opinii.

Te chwilowe opinie, to znaczy moda, są jedną z głównych przyczyn przyjmowania lub odrzucania doktryn. Dla ogromnej większości jednostek inne przyczyny nie istnieją. Lęk przed opinią imbecyli zawsze stanowił jeden z ważnych czynników historii.

Tendencje socjalistyczne są dzisiaj dużo bardziej rozpowszechnione wśród burżuazji niż wśród ludu. Rozchodzą się one tam z godną uwagi szybkością poprzez zarażenie. Filozofowie, pisarze, artyści idą potulnie za tym ruchem i czynnie przyczyniają się do jego rozpowszechnienia, chociaż nic z niego nie rozumieją.[1] Teatr, książki, nawet obrazy są coraz bardziej nasycone tym socjalizmem sentymentalnym, płaczliwym i mętnym, który całkiem przypomina humanitaryzm warstw wyższych w momencie wybuchu rewolucji francuskiej. Gilotyna szybko je nauczyła, że w walce o życie nie można wyrzec się obrony, nie wyrzekając się zarazem życia. Biorąc pod uwagę, jak łatwo klasy wyższe pozwalają dziś stopniowo się rozbrajać, przyszły historyk spojrzy z pogardą na ich

[1] *Powiem bez przesady* – pisze Bourdeau – *że spośród pięćdziesięciu deputowanych socjalistycznych w Izbie może dziesięciu wie dokładnie, co rozumie przez socjalizm, i potrafi to jasno wyłożyć. Nawet ci, którzy należą do sekt opartych na jednych teoriach, zarzucają sobie nawzajem ignorancję... Większość socjalistów, nawet spośród przywódców, to socjaliści instynktowni; socjalizm jest dla nich mocną formułą stanu niezadowolenia i rewolty.*

żałosną niezdolność przewidywania i nie będzie się litował nad ich losem.

Strach to jeszcze jeden czynnik, który sprzyja rozpowszechnianiu się socjalizmu wśród burżuazji. *Burżuazja* – pisze autor właśnie cytowany – *boi się. Waha się niezdecydowana i ma nadzieje się uratować dzięki ustępstwom, zapominając, że jest to polityka najmniej sensowna, i że niezdecydowanie, ugodowość, chęć zadowolenia całego świata, są wadami charakteru, które w swojej wieczystej niesprawiedliwości świat zawsze okrutnie karał, i to bardziej niż zbrodnie.*

Ostatnie uczucie, które wspomniałem – obojętność – nie sprzyja bezpośrednio rozprzestrzenianiu się socjalizmu, ale ułatwia je, przeszkadzając w jego zwalczaniu. Sceptyczna obojętność, mówiąc językiem potocznym 'tumiwisizm', jest poważną chorobą współczesnej burżuazji. Kiedy deklamacjom i atakom rosnącej mniejszości, dążącej z zapałem do realizacji swoich idei, przeciwstawia się tylko obojętność, można być pewnym, że triumf tej mniejszości jest bliski. Czy gorszymi wrogami społeczeństwa są ci, którzy je atakują, czy ci, którzy nie zadają sobie trudu, by go bronić?

§ 4. Niedouki i doktrynerzy

Nazywam niedoukami te umysły, które nie mają innej wiedzy niż zaczerpnięta z książek, w następstwie czego nic nie wiedzą o realnym życiu. Są to produkty naszych uniwersytetów i szkół, tych żałosnych 'fabryk degeneracji', których katastrofalny wpływ stwierdzał Taine i tylu innych. Profesor, erudyta, absolwent szkoły wyższej jest przez długie lata, albo i zawsze, tylko niedoukiem. Młody Anglik czy Amerykanin, który już w wieku osiemnastu lat podróżował po świecie, zdobył zawód techniczny i umie na siebie zarobić, nigdy nie jest niedoukiem i nigdy się nie zdeklasuje. Może słabo znać łacinę, grekę i nauki teoretyczne – lecz nauczył się liczyć tylko na siebie i wybierać kierunek. Posiada tę dyscyplinę umysłową, nawyk zastanawiania się i osądzania, których nigdy nie dawała sama lektura książek.

Właśnie ciżba niedouków, a mianowicie magistrów i maturzystów bez zajęcia; nauczycieli niezadowolonych ze swego losu, odpadłych z konkursu, których państwo nie mogło zatrudnić; profesorów uniwersytetu, którzy mniemają, że ich zasługi są niedoceniane – jest terenem rekrutacji najbardziej niebezpiecznych adeptów socjalizmu i niekiedy najgorszych anarchistów. Ostatni anarchista, na którym w Paryżu wykonano wyrok, był kandydatem do pracy na politechnice. Nie mogąc znaleźć zatrudnienia dla swojej wiedzy bezużytecznej i powierzchownej, stał się wrogiem społeczeństwa, które nie umiało docenić jego

zalet, i chciał je zastąpić przez nowy świat, w którym możliwości, jakie we własnym mniemaniu posiadał, znajdą zastosowanie. Niezadowolony niedouk jest najgorszym z niezadowolonych. Z tego niezadowolenia wywodzi się częstość socjalizmu w pewnych grupach, na przykład wśród nauczycieli, którzy wszyscy czują się niedoceniani.

Chyba wśród nauczycieli, a przede wszystkim profesorów naszego uniwersytetu, socjalizm liczy najwięcej zwolenników. Główny przywódca socjalistów francuskich jest dawnym profesorem uniwersytetu. W gazetach podano zdumiewający fakt, że gdy socjalista zażądał zezwolenia na prowadzenie wykładu z kolektywizmu na Sorbonie, 16 profesorów na 37 poparło wniosek.

Obecny wkład wykładowców uniwersyteckich z krajów łacińskich w rozwój socjalizmu stanowi groźbę dla społeczeństw, w których żyją. Całkowicie wyobcowani z rzeczywistego świata, są tym samym niezdolni do zrozumienia warunków, sztucznych nawet lecz koniecznych, które umożliwiają istnienie społeczeństw. Społeczeństwo rządzone przez profesorski areopag, o czym marzył August Comte, nie przetrwałoby sześciu miesięcy. W kwestiach ważnych dla ogółu opinie specjalistów od nauk humanistycznych bądź ścisłych często nie są więcej warte niż sądy ignorantów, a często i mniej od nich, gdy ci ignoranci są rolnikami lub robotnikami, których zawód styka się z realnym życiem. Podkreślam ten punkt, bo stanowi on najsolidniejszy argument na rzecz głosowania powszechnego. Bardzo często w masach, a rzadko wśród specjalistów przejawia się zmysł polityczny, patriotyzm, chęć obrony interesu społecznego.

Masy często syntetyzują ducha rasy (kultury) i zrozumienie jej interesów.[2] Zdolne są do najdalej idących wyrzeczeń i ofiar, co im zresztą nie przeszkadza być nieraz bezgranicznie ograniczonymi pyszałkami, dzikusami, gotowymi do pójścia za najzwyczajniejszym szarlatanem. Prowadzi je instynkt a nie rozum – ale czy czyny, które płyną ze sfery nieświadomej, nie stoją bardzo często wyżej od tych, które dyktuje rozum?

Nieświadomość, która rządzi całością naszego życia biologicznego i ogromną większością umysłowego, jest dla świadomego ducha tym, czym masa wód oceanu względem fal, które poruszają się po powierzchni. Gdyby stałe działanie nieświadomości się zatrzymało, człowiek nie mógłby przeżyć nawet jednego dnia. Nieświadomość stanowi po

---

[2] Uderzający przykład mieliśmy niedawno w sławnej sprawie, która tak głęboko podzieliła Francję. Gdy większość burżuazji gwałtownie atakowała wojsko, jak bezmyślny osobnik, który podkopuje fundamenty domu, w którym mieszka – masy ludowe instynktownie stanęły po tej stronie, gdzie leżały prawdziwe interesy kraju. Gdyby i one zwróciły się przeciw wojsku, mielibyśmy może krwawą wojnę domową z obcą inwazją jako skutkiem.

prostu dziedzictwo wszystkich adaptacji do środowiska, wytworzonych przez długą linię naszych przodków. W niej mieszczą się uczucia rasy i pojęcie o jej potrzebach, które połowiczna nauka często fałszuje.

Zdeklasowani, niezrozumieni, adwokaci bez spraw, pisarze bez czytelników, aptekarze i lekarze bez pacjentów, źle opłacani profesorowie, absolwenci bez posad, nieudolni pracownicy, z powodu swych braków zlekceważeni przez właścicieli itp. są naturalnymi zwolennikami socjalizmu. W rzeczywistości mało się oni troszczą o doktrynę. Marzą o stworzeniu przemocą społeczeństwa, w którym będą panami. Ich egalitarne narzekania nie przeszkadzają im wcale pogardzać motłochem, który nie kształcił się, jak oni, na książkach. Uważają się za wiele wyższych od robotnika, stojąc w rzeczywistości znacznie niżej z powodu braku zmysłu praktycznego i rozdętego egoizmu. Gdyby stali się panami, ich autorytaryzm nie byłby mniejszy niż Marata, Saint-Justa czy Robespierre'a, skądinąd doskonałych przykładów niedocenianego niedouka. Nadzieja zignorowanych, upokorzonych i stojących w cieniu, na to, że zostaną tyranami, dostarcza socjalizmowi wielu zwolenników.

Do tej kategorii niedouków należą najczęściej doktrynerzy, którzy w jadowitych publikacjach formułują teorie, rozgłaszane potem przez naiwnych apostołów. Są to wodzowie, którzy wydają się prowadzić żołnierzy, ale w rzeczywistości ograniczają się do pójścia za nimi. Ich wpływ jest bardziej pozorny niż rzeczywisty. Przekształcają bowiem jedynie dążenia, których wcale nie stworzyli, w hałaśliwe wyzwiska, nadając im formę dogmatyczną, którą przywódcy mogą się potem legitymować. Ich książki stają się niekiedy swoistymi ewangeliami, których nikt nigdy nie czyta, ale z których cytuje się jako argument tytuł albo urywki powtórzone w gazetach. Niejasność ich dzieł jest zresztą podstawowym warunkiem sukcesu. Jak Biblia dla pastorów protestanckich, służą one za księgę wróżebną, którą wystarczy otworzyć na oślep i, pod warunkiem posiadania wiary, znaleźć odpowiedź na każde pytanie.

Doktryner może być wykształcony, ale to mu nie przeszkadza stale niczego nie rozumieć i upraszczać, a na dodatek być niezadowolonym i zawistnym. Wciąż zajęty tylko jedną stroną problemu, pozostaje obojętny na przebieg wydarzeń i ich reperkusje. Nie jest zdolny zrozumieć czegokolwiek ze złożoności zjawisk społecznych, z prawidłowości ekonomicznych, wpływów atawizmów i pasji, które kierują człowiekiem. Mając za przewodnika tylko logikę książkową i schematyczną, łatwo wierzy, że jego marzenia przekształcą ewolucję ludzkości i pokierują jej przeznaczeniem.

Przede wszystkim jednak wierzy w to, że społeczeństwo ma doznać jakiegoś przekształcenia na jego korzyść. Naprawdę zajmuje go nie nadejście socjalizmu, lecz nadejście socjalistów. W żadnej religii nie ma tak wielkiej wiary w masach i tak małej u większości przywódców.

Wypociny wszystkich tych hałaśliwych doktrynerów są nader mętne, ich ideał przyszłego społeczeństwa utopijny. Nie jest jednak utopią zaciekła nienawiść przeciw obecnemu społeczeństwu i gorące pragnienie zniszczenia go. O ile rewolucjoniści wszystkich czasów okazywali się zawsze niezdolni do zbudowania czegokolwiek, niszczenie przychodziło im łatwo. Ręka dziecka wystarczy do spalenia skarbów sztuki gromadzonych przez wieki. Wpływ doktrynerów może spowodować rewolucję – zwycięską i rujnującą. Dalej pójść nie będzie zdolny. Nieusuwalna potrzeba bycia rządzonym, którą zawsze przejawiały masy, poprowadzi szybko nowatorów pod miecz jakiegoś despoty – którego zresztą pierwsi będą oklaskiwać, jak tego dowodzi nasza historia. Rewolucje nie mogą zmienić ducha ludów; dlatego nie powodowały niczego więcej niż zmiany słowne i powierzchowne. Dla takich nieznacznych zmian świat był jednak tylekroć niszczony i z pewnością będzie nadal.

Gdyby podsumować rolę różnych klas w rozkładzie społeczeństwa u ludów łacińskich, można by rzec, że doktrynerzy i niezadowoleni, wyprodukowani przez uniwersytet, działają przede wszystkim na rzecz podkopania idei i są poprzez anarchię intelektualną, jaką powodują, jednym z najzjadliwszych czynników zniszczenia. Burżuazja sprzyja mu przez swoją obojętność, strach, egoizm, słabość woli, brak zmysłu politycznego i inicjatywy. Masy ludowe wystąpią na sposób rewolucyjny, by dokończyć zniszczenia chwiejącej się w posadach budowli, gdy tylko będzie ona wystarczająco osłabiona.

Księga II
SOCJALIZM JAKO WIERZENIE

Rozdział 1
Podstawy naszych wierzeń

§ 1. Odziedziczenie naszych wierzeń

Wszystkie cywilizacje, jakie następowały po sobie w ciągu wieków, opierały się na niewielkiej liczbie wierzeń, których rola w życiu ludów zawsze była podstawowa. Jak rodzą się i rozwijają te wierzenia? Kwestię tę omawiałem już pokrótce w *Psychologicznych prawach ewolucji ludów*. Byłoby użyteczne wrócić do niej. Socjalizm jest o wiele bardziej wierzeniem niż doktryną. Właśnie wniknąwszy w mechanizm powstawania wierzeń będziemy w stanie przewidzieć rolę, do której odegrania socjalizm jest być może powołany.

Człowiek nie zmienia wedle swojej woli uczuć i wierzeń, które nim kierują. Za daremną szarpaniną jednostek odnajdują się zawsze atawizmy. One czynią masy ciasno zachowawczymi, co natychmiast czyni nieszczerymi ich rewolty. Zmiany zwyczajów i odziedziczonych idei ludzie znoszą zawsze bardzo trudno, a nigdy na długo.

Właśnie te odziedziczone wpływy chronią jeszcze mocno postarzałe cywilizacje, których jesteśmy dziedzicami i którym grozi dziś tyle sił niszczących. Powolność ewolucji wierzeń stanowi jeden z najistotniejszych faktów historycznych, a zarazem jeden z najmniej przez historyków objaśnianych. Spróbujemy ustalić jej przyczyny.

Oprócz zewnętrznych, zmiennych okoliczności, którym człowiek jest w sposób konieczny poddany, kierują jego życiem dwa rodzaje idei (pojęć, koncepcji): **idee odziedziczone, czyli uczuciowe, i idee nabyte, czyli umysłowe.**

Idee odziedziczone są dziedzictwem rasy, spuścizną dalszych lub bezpośrednich przodków; spuścizną nieświadomą, otrzymywaną przy narodzinach, która określa główne motywy postępowania.

Idee nabyte czyli umysłowe są nabywane pod wpływem środowiska i wychowania. Służą do rozumowania, wyjaśniania, dyskutowania, ale

rzadko do wyboru kierunku. Ich wpływ na czyny pozostaje prawie zupełnie zerowy, aż do dnia, kiedy – powtarzane i nagromadzone dziedzicznie – przenikną do nieświadomości i staną się uczuciami. Jeśli czasami idee nabyte zdołają zwyciężyć odziedziczone, to dlatego, że zostały one zneutralizowane przez dziedziczenie odwrotne, jak to się zdarza przy krzyżowaniu się różnych ras (kultur). Jednostka staje się wtedy jakby wytartą tabliczką. Straciła swoje idee dziedziczne, jest tylko mieszańcem bez moralności ani charakteru, pozostającym na łasce wszelkich impulsów.

Z powodu siły ciążenia wiekowego dziedzictwa tak niewiele spośród wierzeń i opinii rodzących się każdego dnia staje się z czasem dominującymi i powszechnymi. Można by nawet powiedzieć, że w mocno już postarzałej ludzkości żadne nowe powszechne wierzenie nie mogłoby się ukształtować, gdyby nie wiązało się ściśle z wierzeniami poprzednimi. Ludy wcale nie znały wierzeń całkiem nowych. Religie, które wydają się oryginalne, jeśli się je rozpatruje tylko w rozwiniętym stadium ewolucji, takie jak buddyzm, chrześcijaństwo i islam – są w rzeczywistości wykwitem wierzeń dawniejszych. Mogły się rozwinąć dopiero wtedy, gdy wierzenia, które miały zastąpić, zerodowane przez czas straciły swoją władzę. Zmieniają się one w zależności od ludów, które je praktykują i nie mają nic uniwersalnego poza literą dogmatów. W poprzedniej pracy pokazaliśmy, że przechodząc od ludu do ludu doznawały one głębokich przekształceń, by nawiązać do poprzednich religii owych ludów. Nowe wierzenie po prostu odmładza dziedzictwo wierzenia poprzedniego. W chrześcijaństwie są nie tylko elementy żydowskie; ma ono źródło w dawnych religiach Europy i Azji. Wąski strumyk wypływający z Galilei stał się porywistą rzeką tylko dlatego, że cała starożytność pogańska wlała doń swe wody. *Wkład Żydów do mitologii chrześcijańskiej jest zaledwie taki, jak Egipcjan i Persów* – pisze słusznie Louis Ménard.[1]

Jakkolwiek proste i słabe byłyby te zmiany w wierzeniach, do zakorzenienia się w duszy ludu potrzeba im wieków. Wierzenie jest czymś całkiem innym niż pogląd, przedmiot dyskusji. Istnieje tylko

[1] Oczywiście niesłusznie: wpływ bezpośredni tych kręgów cywilizacyjnych na chrześcijaństwo był nikły, w jakiejś niewielkiej mierze mógł oddziaływać pośrednio, gdyż pewne elementy cywilizacji egipskiej i perskiej wpłynęły na judaizm. W kategoriach ściśle religijnych chrześcijaństwo czerpie głównie z judaizmu, w kategoriach kulturowych syntetyzuje judaizm i dorobek cywilizacji greckorzymskiej. Co do „mitologii", użycie tego terminu służy oczywiście deprecjacji chrześcijaństwa. Jednak niektórzy Grecy, z własnej kultury znający mitologię i filozofię, uważali religię żydowską raczej za filozoficzną (mimo iż Stary Testament miejscami używa języka typu mitycznego). Dostrzegli bowiem kontrast między religią typu kosmicznego, w mitach opisującą walkę upersonifikowanych sił natury, a koncepcją Boga jednego, transcendentnego, osobowego, moralnego [*przypis tłumacza*].

jako motyw postępowania, a tym samym nie ma rzeczywistego wpływu, dopóki nie zejdzie do sfery nieświadomej, aby w niej utworzyć solidny blok zwany uczuciem. Wierzenie ma więc jako istotną cechę być imperatywem i nie podlegać wpływowi analizy i dyskusji.[2] Tylko u początków, kiedy jest jeszcze płynne, wierzenie może mieć jakieś korzenie w inteligencji; niemniej jednak, by zapewnić sobie zwycięstwo, potrzebuje, powtarzam, zejścia do sfery uczuć, a tym samym przejścia ze świadomości do nieświadomości.

Należy podkreślić ten wpływ przeszłości na kształtowanie się wierzeń oraz fakt, że nowe wierzenie może się utrwalić jedynie nawiązując do wierzeń poprzednich. To utrwalanie się wierzeń jest być może najważniejszą fazą ewolucji cywilizacji. Jednym z największych dobrodziejstw utrwalonych wierzeń jest to, że dają one ludowi wspólne odczucia, wspólne formy myślenia, a tym samym wspólne słowa, to znaczy budzące identyczne skojarzenia. Ustalone wierzenie tworzy w końcu podobny stan umysłów, podobne łańcuchy rozumowań i dlatego odciska się na wszystkich składnikach cywilizacji. Wspólne wierzenie zapewne stanowi najważniejszy czynnik powstania ducha narodu, woli narodu, a tym samym jednakowego ukierunkowania uczuć i idei danego ludu. Wielkie cywilizacje były zawsze logicznym wykwitem niewielu wierzeń, a rozkład cywilizacji zachodził zawsze wtedy, gdy wspólne wierzenia się rozpadały.

Wierzenie zbiorowe ma tę ogromną przewagę, że łączy w jedną wiązkę wszystkie małe indywidualne pragnienia i pozwala ludowi działać tak, jak działałaby jednostka. Można słusznie stwierdzić, że wielkie okresy w historii to te, w których ustaliły się powszechne wierzenia.

Rola powszechnych wierzeń dla egzystencji ludów jest tak podstawowa, że nie można by przesadzić z jej znaczeniem. Historia nie zna

---

[2] Nie trzeba zaraz sięgać do czasów heroicznych, by zrozumieć, co to jest wierzenie nie podlegające dyskusji. Wystarczy rozejrzeć się wokół, by spotkać masę ludzi mających zaszczepione na dziedzicznym podkładzie mistycyzmu wierzenia wywodzące się z tego mistycznego podkładu, którymi nie może zachwiać żaden argument. Wszystkie małe sekty religijne rozkwitłe od ćwierć wieku, podobne tym, które rozkwitały u schyłku pogaństwa: spirytyzm, teozofia, ezoteryzm, mają licznych zwolenników w takim stanie umysłu, że ich przekonanie nie może zostać obalone przez żaden argument. Sławna sprawa fotografii spirytystycznych jest niezmiernie pod tym względem pouczająca. Fotograf B. wyznał publicznie, że wszystkie fotografie duchów dostarczone jego naiwnym klientom zostały uzyskane przez fotografowanie spreparowanych manekinów. Dowód wydawałby się ostateczny. Wierzącymi jednak nie zachwiał. Mimo wyznania krotochwilnego fotografa, mimo przedstawienia publiczności manekinów służących za modele, klienci-spirytyści podtrzymywali stanowczo, że dokładnie rozpoznali na fotografiach rysy zmarłych rodziców. Ta niezwykła uporczywość przekonań jest bardzo pouczająca i pozwala zrozumieć siłę wierzenia.

przykładu cywilizacji, która by powstała i utrzymała się bez bazy wierzeń wspólnych wszystkim jednostkom danego ludu czy przynajmniej miasta. Ta wspólnota wierzeń daje narodowi, który ją ma, ogromną siłę – nawet jeśli to wierzenie jest przejściowe. Widzieliśmy to w chwili rewolucji, gdy lud francuski zwycięsko walczył przeciw Europie pod bronią, ożywiony nową wiarą, chociaż ta nie mogła przetrwać, gdyż nie była w stanie dotrzymać swych obietnic.

§ 2. Wpływ wierzeń na nasze idee i rozumowania. Psychologia niezrozumienia

Skoro tylko wierzenie ustaliło się trwale w rozumie, staje się regulatorem życia, kamieniem probierczym osądzania, kierownikiem inteligencji. Umysł nie może przyjąć niczego, co nie jest zgodne z nowym wierzeniem. Jak chrześcijaństwo w wiekach średnich, islam u Arabów, panująca wiara odciska swoją pieczęć na wszystkich składnikach cywilizacji – na filozofii, literaturze i sztuce. Jest najwyższym kryterium, dostarcza wyjaśnienia wszystkiemu.

Mechanizm naszego poznawania, tak samo u uczonego jak i u ignoranta, polega bowiem na sprowadzaniu tego, co nieznane, do tego, co znane, a dokładniej: do tego, co uważamy za znane. Zrozumienie zakłada obserwację faktu, a następnie jego powiązanie z tymi niewieloma ideami, które mamy. W ten sposób wiąże się fakty niezrozumiałe z faktami uznanymi za zrozumiałe, a każdy mózg dokonuje tego powiązania stosownie do nieświadomych pojęć, które w nim panują. Od umysłu niższego po wyższy mechanizm wyjaśniania jest zawsze taki sam i polega nieodmiennie na wbudowywaniu nowych pojęć do zespołu koncepcji już nabytych.

Ponieważ wiążemy nasze pojmowanie świata z pewnymi ideami odziedziczonymi, jednostki z różnych ras mają tak różne opinie. Nie postrzegamy rzeczy inaczej niż je zniekształcając; a zniekształcamy je zgodnie z naszymi wierzeniami.

Wierzenia przekształcone w odczucia wpływają nie tylko na nasze zachowanie się w życiu, lecz również na znaczenia, jakie przypisujemy słowom. Rozbieżności i spory, jakie dzielą ludzi, biorą się w większości stąd, że te same zjawiska wiodą, w zależności od różnych stanów umysłu, do różnych poglądów. Prześledźmy z wieku na wiek, z rasy na rasę, od jednej płci do drugiej skojarzenia budzone przez te same słowa. Zbadajmy, na przykład, czemu odpowiadają dla umysłów różnie ukształtowanych takie terminy jak religia, wolność, republika, burżuazja, własność, kapitał, praca, a zobaczymy, jak głębokie są przepaści

dzielące różne wyobrażenia umysłowe.[3] Różne klasy społeczne, osoby różnej płci wydają się mówić tym samym językiem; jest to jednak tylko pozór.

Różne warstwy społeczne, a tym bardziej różne ludy, są tak samo rozdzielone przez rozbieżne idee, jak przez rozbieżne interesy – dlatego walka klas i ras, a nie ich utopijna zgoda, zawsze stanowiła dominujący czynnik w historii. Niezgoda może w przyszłości tylko wzrosnąć. Między potężnym feudalnym baronem a ostatnim z jego zbrojnych różnica umysłowa była nieporównywalnie mniejsza niż dziś między inżynierem a niewykwalifikowanymi robotnikami, którymi ten kieruje.

Między różnymi rasami, klasami, płciami zgoda jest możliwa tylko w kwestiach technicznych, na które nie wpływają odczucia nieświadome. W moralności, religii, polityce zgoda jest natomiast niemożliwa, albo jest możliwa tylko wtedy, gdy jednostki są tego samego pochodzenia. To nie rozumowania skłaniają je do zgody, ale identyczność pojęć. Przekonanie nigdy nie ma korzeni w rozumie. Kiedy jednostki zbierają się, by rozważać kwestię polityczną, religijną lub moralną, nie dyskutują już żywi, lecz zmarli. Przez ich usta mówią duchy przodków; to co rozbrzmiewa, to echo wiecznego głosu zmarłych, którym żywi są zawsze posłuszni.

Słowa mają więc sens bardzo różny w zależności od jednostek, budzą w ich umysłach idee i odczucia bardzo rozmaite. Najtrudniejsze zadanie myśli to chyba przeniknięcie do mózgów zbudowanych inaczej niż nasz. Osiągamy to z wielką trudnością, gdy chodzi o naszych rodaków, od których dzieli nas wiek, płeć, wychowanie; jak osiągniemy to wobec ludzi innej rasy, szczególnie gdy dzielą nas wieki? Żeby jednostka nas wysłuchała, trzeba mówić do niej w jej języku z osobistymi niuansami jej pojęć. Można żyć latami obok innej osoby nigdy jej nie rozumiejąc, jak to się zdarza rodzicom i dzieciom. Cała nasza pospolita psychologia jest oparta na hipotezie, że ludzie doznają takich samych odczuć pod wpływem podobnych bodźców – tymczasem nic bardziej błędnego.

Nie możemy nigdy żywić nadziei, że zobaczymy rzeczy takimi, jakie są one rzeczywiście, ponieważ postrzegamy tylko stany świadomości utworzone przez nasze zmysły. Tym bardziej nie możemy mieć nadziei, że zniekształcenia wrażeń są takie same u wszystkich ludzi, ponieważ to zniekształcenie zmienia się stosownie do ich pojęć odziedziczonych i nabytych, czyli stosownie do rasy, płci, środowiska itd.; dlatego

[3] Zniekształcanie idei przez ich załamanie w soczewce płci, wieku, rasy, wychowania jest jedną z kwestii najmniej zbadanych w psychologii. Dotknąłem jej w jednej z mych ostatnich prac, pokazując, jak się przekształcają instytucje, religie, języki i sztuka przy przejściu od jednego ludu do drugiego.

można twierdzić, że relacjami między jednostkami różnej rasy, płci i środowiska zawsze rządzi powszechne niezrozumienie. Nie mogą one używać tych samych słów, nie przemówią nigdy tym samym językiem.

Nasze widzenie rzeczy jest zawsze zniekształcone, lecz nawet nie podejrzewamy, że tak jest. Jesteśmy powszechnie przekonani, że nie może ono istnieć, jest dla nas prawie niemożliwe przyjąć, że inni mogliby nie myśleć i nie działać dokładnie jak my. To niezrozumienie ma za ostateczny skutek doskonałą nietolerancję, przede wszystkim wobec wierzeń i poglądów, opierających się wyłącznie na uczuciach.

Jednostki wyznające poglądy odmienne od naszych w dziedzinie religii, moralności, sztuki, polityki stają się natychmiast w naszych oczach ludźmi złej woli, a przynajmniej szkodliwymi głupcami. Gdy tylko uzyskujemy jakąś władzę, uważamy za bezwzględny obowiązek energicznie zwalczać tak niebezpieczne bestie. Jeśli ich już nie palimy i nie gilotynujemy, to dlatego, że sprzeciwia się temu rozkład obyczajowy i godna ubolewania łagodność praw.

Co do jednostek całkiem innych ras przyznajemy wprawdzie, przynajmniej w teorii, że mogłyby nie myśleć całkiem jak my – ubolewamy jednak nad ich ślepotą. Uważamy zresztą, że byłoby dla nich dobrodziejstwem podporządkować ich, przy użyciu stanowczych środków, naszym zwyczajom i prawom, gdy tylko stalibyśmy się ich panami. Arabowie, Murzyni, Annamici, Malgasze itd., którym chcemy narzucić nasze obyczaje i prawa – zasymilować ich, jak mówią politycy – dowiedzieli się na własnej skórze, ile kosztuje myślenie inaczej niż zwycięzcy. Oczywiście nadal zachowują zwyczaje odziedziczone po przodkach, których nie potrafią zmienić, ale nauczyli się ukrywania swoich myśli i zarazem nieprzejednanej nienawiści do swych nowych panów.

Całkowite niezrozumienie panujące między ludami różnej rasy nie zawsze jest źródłem niechęci. Może nawet stać się pośrednio źródłem sympatii, gdyż wtedy nic nie przeszkadza ludom stworzyć sobie o innych takie wyobrażenie, na jakie mają ochotę. Mówi się więc słusznie, że *jedną z najtrwalszych podstaw przymierza francusko-rosyjskiego jest prawie zupełna wzajemna nieznajomość obu ludów*.

Niezrozumienie przejawia się u różnych ludów w różnym stopniu. U tych, które wcale nie podróżują, jak ludy łacińskie, jest ono absolutne, z czego wynika prawie zupełna nietolerancja. Nasza niezdolność do zrozumienia poglądów innych ludów, cywilizowanych bądź nie, jest doprawdy uderzająca. Jest ona zresztą główną przyczyną opłakanego stanu naszych kolonii. Najwybitniejsi przedstawiciele ludów łacińskich, nawet ludzie genialni, jak Napoleon, nie różnili się tu od ludzi zwykłych. Napoleon nigdy nie miał zielonego pojęcia o psychologii Hiszpana czy Anglika. Jego opinie o nich były tyle warte, co te, które

można było ostatnio przeczytać w jednej z naszych politycznych gazet à propos postępowania Anglii wobec dzikich w Afryce: *Zawsze interweniuje ona* – pisze z oburzeniem poczciwy redaktor – *by przeszkodzić tym ludom w pozbyciu się swych królów i ustanowieniu republiki.* Niesposób mniej rozumieć i bardziej upraszczać.

Nasi historycy mnożą zresztą podobne oceny. W związku z tym doszedłem do następującego wniosku: pisma historyczne są czystymi powieściami bez związku z rzeczywistością. Pozwalają poznać ducha nie postaci historycznych, lecz wyłącznie historyków.[4]

Ponieważ pojęcia różnych ras nie mają wspólnego mianownika, a podobne słowa budzą różne skojarzenia w niepodobnych mózgach, doszedłem do jeszcze jednego wniosku, pozornie paradoksalnego, że dzieła pisane są całkowicie nieprzekładalne z jednego języka na drugi. Jest to prawdą nawet dla języków współczesnych, a tym bardziej dla języków reprezentujących idee ludów martwych.

Takie przekłady są tym bardziej niemożliwe, że rzeczywisty sens słów, to znaczy odczucia i pojęcia, jakie one przywołują, zmieniają się z wieku na wiek. Nie mogąc zmieniać słów, które ewoluują dużo wolniej od idei, zmieniamy nieświadomie ich znaczenie. Dlatego religijny i moralny kodeks Anglosasów, Biblia, księga barbarzyńska napisana trzy tysiące lat temu dla barbarzyńskich plemion[5], mogła się dostosować do zmieniających się potrzeb ludu wysoce ucywilizowanego. Na zasadzie umownej fikcji każdy podkłada pod stare słowa swoje współczesne idee. Tak interpretując Biblię można, jak to czynią Anglicy, otworzyć ją na oślep i znaleźć rozwiązanie jakiegoś problemu politycznego lub moralnego.

Tylko między jednostkami tej samej rasy, powtarzam, poddanymi od dawna tym samym warunkom egzystencji i środowiska, może istnieć jakieś zrozumienie w stosunkach wzajemnych. Dzięki dziedzicznym wzorom myślenia, słowa, jakie wymieniają w mowie lub piśmie, mogą budzić w nich podobne skojarzenia.

§ 3. Moralność odziedziczona po przodkach

Dla losów ludów decydująca jest rola pewnych cech moralnych. Pokażę to wkrótce, studiując psychologię porównawczą różnych ras. Na razie

[4] Le Bon zapomina, ze chwalił pewnych historyków (Taine, Tocqueville). Jednakże byli oni wyjątkami na tle wysoce zideologizowanej oceny przeszłości dominującej we Francji XIX wieku [*przypis tłumacza*].

[5] Księgi Starego Testamentu powstały faktycznie w XII wieku p.n.e., Nowego Testamentu w drugiej połowie I w. n.e. Ich kontekstem była rozwinięta kultura starożytnego Wschodu, a potem hellenistyczna [*przypis tłumacza*].

chcę tylko wskazać, że cechy moralne są – jak wierzenia – spuścizną dziedziczną, a tym samym stanowią część życia duchowego przekazanego nam przez przodków. Na tym podłożu, spadku po praojcach, kiełkują motywy naszych działań, przy czym nasza świadoma aktywność odpowiada dopiero kwitnieniu. Ogólne zasady postępowania mają za drogowskazy odczucia nabyte przez dziedziczenie, a bardzo rzadko rozum.

Te odczucia przyswajane są powoli. Moralność nabywa pewnej stabilności dopiero wtedy, gdy stawszy się nieświadomą uchyla się przed wpływem rozumu, zawsze egoistycznym i najczęściej sprzecznym z interesem całej rasy. Zasady moralne wpajane przez wychowanie mają w rzeczywistości słaby wpływ; powiedziałbym nawet, że żaden, gdyby nie należało brać pod uwagę osób o charakterze neutralnym, które Ribot słusznie nazwał amorficznymi, a które są skrajnie niezdecydowane, tak że najmniejsza presja może je skłonić do dobra lub do zła. Właśnie dla charakterów neutralnych użyteczne są kodeksy i żandarmi. Te charaktery nie przekroczą zakazów, ale ku wyższej moralności się nie wzniosą. Wychowanie inteligentne, to znaczy unikające dyskusji filozoficznych i rozpraw, może ich nauczyć, że w ich dobrze pojętym interesie leży nie wchodzić w sferę działania policji.

Póki rozum nie wkracza, nasza moralność pozostaje instynktowna a nasze motywy działania nie różnią się od tych, które kierują najmniej świadomymi masami. Te motywy są pozarozumowe, w tym sensie, że są instynktowne, a nie wynikłe z refleksji. Nie są irracjonalne, w tym sensie, że są następstwem powolnej adaptacji, która wynikła z nacisku okoliczności. Z całą siłą przejawiają się więc w duszy ludu – dlatego instynkt mas jest tak głęboko zachowawczy i tak skłonny do obrony interesów zbiorowych rasy, choć go tak zakłócają teoretycy i retorzy.

Rozdział 2.
Rola tradycji w różnych składnikach cywilizacji. Granice i zmienność dziedziczenia

§ 1. Wpływ tradycji na życie ludów

Stwierdziliśmy, że człowiek jest kierowany głównie czynnikami dziedzicznymi, będąc posłusznym przede wszystkim tradycji.

Możemy przeklinać więzy tradycji, która nas wiedzie, ale jakże ograniczona jest w każdej epoce liczba artystów, myślicieli, filozofów zdolnych do zrzucenia jej jarzma. Niewielu ludziom dane jest uwolnić się od więzów przeszłości. Umysły, które uważają się za wolnomyślne, liczą się na miliony, ale prawdziwie myślących w sposób wolny jest w każdej epoce może kilka tuzinów. Prawdy naukowe najjaśniej dowiedzione przyjmowane są nieraz z największym trudem, a gdy się przyjmują, to nie dzięki dowodom, lecz dzięki autorytetowi ich obrońców.[1] Lekarze przez wiek przeczyli zjawiskom hipnotycznym, choć mogli je wszędzie obserwować, aż do dnia, kiedy uczony z wystarczającym autorytetem potwierdził, że są one rzeczywiste.

W języku potocznym określenie 'wolnomyśliciel' jest po prostu synonimem antyklerykała. Prowincjonalny aptekarz, który się uznaje za wolnomyśliciela, ponieważ nie chodzi na mszę, dokucza swemu proboszczowi i drwi z dogmatów, jest wolnomyślicielem takim samym, jak ów proboszcz. Obaj należą do jednej rodziny psychologicznej, tak samo są prowadzeni przez myśli przejęte od zmarłych.

---

[1] Każdy błąd może zostać przyjęty dzięki autorytetowi. Przed trzydziestu laty akademia nauk, choć powinna ona skupiać umysły najbardziej krytyczne, opublikowała jako autentyczne dziesiątki listów mających pochodzić od Newtona, Pascala, Galileusza, Cassiniego itd., w całości sfabrykowanych przez mało wykształconego fałszerza. Roiły się one od wulgaryzmów i błędów, ale autorytet ich rzekomych autorów oraz sławnego uczonego, który je przedstawił, sprawiły, że zostały przyjęte. Większość akademików, w tym stały sekretarz, nie miała żadnych wątpliwości co do autentyczności tych dokumentów aż do dnia, kiedy fałszerz przyznał się do ich sfabrykowania. Gdy ulotnił się autorytet, uznano styl listów za żałosny, choć przedtem uważano go za znakomity i godny ich rzekomych autorów.

Należałoby przestudiować ze szczegółami codzienne opinie, jakie wyrażamy o wszystkim, żeby dostrzec, jak dalece powyższy pogląd jest trafny. Poglądy, które uważamy za wolne, przekazane nam zostały przez środowisko, książki, gazety, a stosownie do naszych dziedzicznych odczuć przyjmujemy je lub odrzucamy *en bloc*, najczęściej bez żadnego udziału rozumu w owym przyjęciu bądź odrzuceniu. Często powołujemy się na rozum, ale w rzeczywistości jego rola jest równie nikła w genezie naszych poglądów jak i naszych działań. Głównych źródeł naszych podstawowych opinii należy szukać w dziedziczeniu, zaś drugorzędnych – w sugestii. Dlatego jednostki z różnych klas społecznych i zawodów są do siebie tak podobne. Żyjąc w tym samym środowisku, przeżuwając wciąż te same słowa, zdania, idee, mają w końcu myśli równie banalne i identyczne.

Gdy chodzi o instytucje, wierzenia, sztukę czy jakikolwiek inny składnik cywilizacji, jesteśmy zawsze nisko schyleni pod ciężarem wpływu środowiska, a przede wszystkim przeszłości. Zazwyczaj nie widzimy tego dzięki łatwości, z jaką nadajemy nowe nazwy starym rzeczom, co pozwala nam wierzyć, że zmieniając nazwy zmieniliśmy również rzeczy przedstawiane.

Aby uwidocznić ciążenie wpływów dziedzicznych, należy rozpatrzyć wyraźne składniki cywilizacji, na przykład sztukę. Ciążenie przeszłości ujawnia się wówczas wyraźnie, zwłaszcza w walce między tradycją a nowymi ideami. Gdy artysta wierzy, że uniknął wpływów przeszłości, dowodzi tego wracając do form jeszcze starszych lub zmieniając konieczne składniki dzieła, na przykład zastępując jeden kolor przez drugi, róż twarzy przez zieleń, a wreszcie ulegając wszelkim fantazjom, które mogliśmy oglądać na ostatnich wystawach corocznych. Ale nawet tymi odstępstwami artysta tylko potwierdza swą niemożność uniknięcia jarzma tradycji i odwiecznych wzorów. Natchnienie, które uważa za wolne, jest zawsze zniewolone. Bez form ustalonych przez wieki nie potrafi niczego sobie wyobrazić. Ewoluować może tylko bardzo wolno.

§ 2. Granice i zmienność dziedziczenia

Taki jest wpływ przeszłości – i trzeba go zawsze być świadomym, jeśli chcemy zrozumieć, jak ewoluują składniki cywilizacji, jak kształtują się nasze instytucje, wierzenia i sztuka, jak wielki wpływ na ich genezę mają umarli. Człowiek współczesny dokonuje gorliwych i bezskutecznych wysiłków, by się uwolnić od przeszłości. Nasza wielka rewolucja wierzyła, że może ją całkowicie odrzucić. Jakże te próby są daremne! Można podbić lud, poddać go sobie, nawet go zniszczyć. Ale gdzież jest władza zdolna zmienić jego duszę?

Jednakże ten dziedziczny duch, którego wpływu tak trudno uniknąć, kształtował się przez wieki. Weszło do niego wiele różnych składników, tak że zależnie od rozmaitych bodźców, na powierzchnię mogą wyjść różne składniki. Gwałtowna zmiana otoczenia może rozwinąć zarodki, które w nas drzemią. Stąd te możliwości charakteru, o których pisałem w innej pracy, a które wydobywane są na wierzch przez pewne okoliczności. Takim sposobem w duszy spokojnego kierownika, sędziego, sklepikarza, siedzą czasem Robespierre, Marat, Fouquier-Tinville. Wystarczy odpowiedni bodziec, by pojawiły się takie ukryte osobowości. Widzi się wtedy biurokratów każących rozstrzeliwać zakładników, artystów burzących pomniki, którzy po kryzysie wracają do swej duszy biorokraty lub artysty, zapytując samych siebie, jakiej aberracji ulegli. Mieszczanie z Konwentu, po zamieszkach wróciwszy do swych pokojowych zajęć notariuszy, poborców, profesorów, sędziów, adwokatów itd. zapytywali się wielekroć z osłupieniem, jak mogli okazywać tak krwiożercze instynkty i poświęcić tyle ofiar! Nie rusza się bezkarnie osadu złożonego na naszym dnie przez przodków. Nie wiadomo, co się z niego wyłoni: dusza bohatera czy bandyty.

§ 3. Walka między tradycyjnymi wierzeniami a wymogami współczesności. Obecna zmienność opinii.

Dzięki kilku oryginalnym umysłom, które rodzą się we wszystkich epokach, każda cywilizacja oswobadza się po trochu z więzów tradycji. Ponieważ takie umysły są rzadkie, dzieje się to bardzo powoli.

Najpierw stałość, a potem zmienność stanowią podstawowe warunki narodzin i rozwoju społeczeństw. Cywilizacja tylko wtedy powstaje, gdy stworzyła taką tradycję, a idzie naprzód tylko wtedy, gdy uda się jej w każdym pokoleniu tę tradycję zmodyfikować. Jeśli tego nie czyni – nie idzie naprzód i jak w Chinach pozostaje w bezruchu. Jeśli chce się zmodyfikować za szybko, traci wszelką stałość, rozpada się i wkrótce skazana jest na zniknięcie. Siła Anglosasów leży przede wszystkim w tym, że akceptując wpływ przeszłości umieją uniknąć jej jarzma w potrzebnym zakresie. Słabość ludów łacińskich leży natomiast w tym, że chcą odrzucić w całości przeszłość, całkowicie odnowić swe instytucje, wierzenia i prawa. Z tego powodu przeżywają od stulecia rewolucje i ciągłe przewroty, daleko będąc od ich zakończenia.

Wielkim niebezpieczeństwem obecnej epoki jest to, że już wcale nie mamy wspólnych wierzeń. Na miejsce takich samych interesów zbiorowych podstawiają się coraz bardziej rozmaite interesy indywidualne. Nasze instytucje, kodeksy, sztuka, wychowanie zostały zbudowane na

wierzeniach, które co dzień kruszeją, a których nauka i filozofia nie potrafią zastąpić – co zresztą nigdy ich rolą nie było.

Nie jesteśmy z pewnością wolni od wpływu przeszłości, gdyż człowiek nie potrafi uwolnić się od niego, ale nie wierzymy już w zasady, na których zbudowana została budowla społeczna. Istnieje wieczysta niezgoda między naszymi uczuciami dziedzicznymi, a ideami doby obecnej. W moralności, religii, polityce nie ma już, jak niegdyś, ustalonego autorytetu, nikt nie może już mieć nadziei na narzucenie kierunku w tych podstawowych sprawach. Wynika stąd, że rządy, zamiast kierować opiniami, są zmuszone im ulegać i być posłusznymi ich nieustannym fluktuacjom.

Człowiek współczesny, zwłaszcza w cywilizacji łacińskiej, przez nieświadome pragnienia jest powiązany z przeszłością, gdy jego rozum stale dąży do uwolnienia się od niej. Oczekując pojawienia się ustalonych wierzeń, ulega wierzeniom przelotnym i chwilowym, jako że nie są one odziedziczone. Rodzą się spontanicznie pod wpływem codziennych wydarzeń, jak fale po burzy. Są niekiedy gwałtowne, ale równie efemeryczne. Rodzą się z jakichś okoliczności, rozprzestrzeniają się przez naśladownictwo i przez zarażenie. W stanie nerwowości, w jakim znajdują się dziś pewne ludy, najsłabsza przyczyna wyzwala przesadne odczucia. Wybuchy nienawiści, wściekłości, oburzenia, entuzjazmu z powodu najbłahszych zdarzeń rozbrzmiewają jak grom. Kilku żołnierzy zostało zaskoczonych w Langson przez Chińczyków – wybuch gniewu, który w kilka godzin wywraca rząd. Wioska zagubiona w zakątku Europy zalana przez powódź – wybuch narodowego współczucia, które wylewa składkami, festynami na dobroczynność itp. Wysyłamy gdzieś daleko sumy, których tak potrzebujemy dla ulżenia własnej nędzy. Opinia publiczna zna tylko skrajne odczucia lub głęboką obojętność. Jest straszliwie kobieca; jak kobieta nie potrafi opanować swoich odruchów. Chwieje się bez przerwy na wietrze zewnętrznych okoliczności.

Ta skrajna zmienność uczuć, którymi nie kieruje żadne podstawowe wierzenie, czyni je nader niebezpiecznymi. Z braku autorytetu, zbyt osłabłego, opinia publiczna staje się coraz bardziej panią wszystkiego. Ponieważ ma na swej służbie wszechmocną prasę, pobudzającą ją lub idącą za nią, zadanie rządu staje się z dnia na dzień coraz trudniejsze, zaś polityka mężów stanu coraz bardziej chwiejna. W duszy ludu można znaleźć wiele rzeczy przydatnych, ale nigdy myśl Richelieu ani nawet jasnego spojrzenia szeregowego dyplomaty o pewnej konsekwencji w poglądach i postępowaniu.

Ta wielka a zmienna moc opinii rozciąga się nie tylko na politykę, lecz na wszystkie składniki cywilizacji. Dyktuje dzieła artystom, sędziom wyroki,[2] rządom postępowanie.

Wpływ prądów opinii powszechnej jest o tyle niebezpieczny, że działają na nasze poglądy bez udziału świadomości i modyfikują je bez naszej wiedzy. Sędziowie, którzy skazują bądź uwalniają pod wpływem opinii powszechnej, są jej najczęściej posłuszni na sposób bezwiedny. Ich nieświadomość przekształca się, by iść za nią, a rozum służy tylko znalezieniu usprawiedliwienia dla nieświadomych zmian kierunku myślenia.

Te powszechne prądy, typowe dla epoki obecnej, pozbawiają rządy, jak to już zauważyłem wyżej, jakiejkolwiek stałości w postępowaniu. Opinia publiczna dyktuje przymierza, takie – na przykład – przymierze francusko-rosyjskie, wynikłe z wybuchu narodowego entuzjazmu. Dyktuje wojny, na przykład wojnę Stanów Zjednoczonych z Hiszpanią, wynikłą z prądu opinii stworzonego przez dzienniki będące na żołdzie paru finansistów.

Autor amerykański, Godkin – w interesującej książce *Unforeseen Tendencies of Democracy* oskarżył gazety w Stanach Zjednoczonych, w większości będące na pasku spekulantów, o odgrywanie złowrogiego wpływu na kierunek opinii publicznej. Nadchodząca wojna będzie zawsze, jak twierdzi, pożądana dla gazet – po prostu dlatego, że wiadomości wojenne o zwycięstwach czy porażkach ogromnie zwiększają sprzedaż. Książka była napisana przed wojną o Kubę, które to wydarzenie dowiodło, jak trafne były jego przewidywania. Gazety dyrygują w Stanach Zjednoczonych opinią, ale gazetami kieruje zza swych biurek paru finansistów. Ich potęga jest szkodliwsza niż najgorszych tyranów, gdyż jest anonimowa, a prowadzi ją sam interes własny, a nie ich kraju. Jak już zauważyłem, jednym z poważnych problemów przyszłości będzie zabezpieczenie się przed suwerenną i demoralizującą potęgą kosmopolitycznych bankierów, którzy w wielu krajach coraz

[2] Jednego z najciekawszych przykładów inwazji opinii publicznej na trybunał, miejsce, gdzie zasiadali niegdyś ludzie o charakterze bardziej zdecydowanym, dostarczyła niedawno pouczająca sprawa doktora Laporte. Będzie ona cytowana jako przykład w dziełach psychologicznych. Lekarz wezwany w nocy do wyjątkowo trudnego porodu i nie mając pod ręką potrzebnych instrumentów, gdy kobieta była bliska śmierci, posłużył się metalowym narzędziem pożyczonym od robotnika z sąsiedztwa, które od właściwego instrumentu różniło się tylko nieistotnymi szczegółami. Skoro jednak doraźne to narzędzie nie pochodziło z zestawu chirugicznego, tajemniczego i cieszącego się prestiżem, plotkarki z sąsiedztwa natychmiast orzekły, że chirurg jest ignorantem i katem. Swoim szczekaniem zaalarmowały sąsiadów, rozeszła się pogłoska, powtórzyły ją gazety, opinia się wzburzyła i znalazł się sędzia, który zamknął pechowego lekarza do więzienia, a potem i trybunał, który po długim aresztowaniu skazał go na dalsze więzienie. W międzyczasie jednak szanowani specjaliści zajęli się sprawą, zmienili nastroje opinii i w kilka tygodni kat stał się męczennikiem. Sprawa znalazła się przed sądem apelacyjnym, a sędziowie, pokornie idąc za zmianą opinii, tym razem oskarżonego zwolnili.

bardziej dążą do tego, by stać się pośrednimi panami opinii publicznej, a w następstwie rządów. Amerykański dziennik *Evening Post* stwierdził niedawno, że o ile inne środki wpływania na ruchy masowe są słabe lub bezsilne, potęga skromnej prasy wzrosła niezmiernie. Potęga ta jest tym groźniejsza, że nie ma granic, odpowiedzialności, kontroli, a władają nią jednostki absolutnie byle jakie. Z dwóch najbardziej wpływowych popularnych dzienników Stanów Zjednoczonych, które wymogły na władzy publicznej wypowiedzenie wojny Hiszpanii, jeden był kierowany przez dawnego dorożkarza, a drugi przez młodzika, który odziedziczył grube miliony. Jak zauważył pewien krytyk amerykański, ich opinia ma na użytek, jaki kraj ma zrobić ze swojej armii, floty, finansów, tradycji, więcej wpływu, niż wszyscy mężowie stanu, filozofowie i profesorowie całego narodu.

Tu jeszcze raz widzimy jedną z wielkich potrzeb obecnej doby, a mianowicie konieczność znalezienie wierzenia powszechnie przyjętego, które by zastąpiło te, które dotąd rządziły światem.

Podsumujemy rozdziały ten i poprzedni, stwierdzając, że cywilizacje zawsze opierały się na niewielkiej liczbie wierzeń, które wolno się formowały i wolno ginęły; że wierzenie nie może zdobyć uznania, ani przynajmniej wystarczająco przeniknąć do umysłów, by stać się pobudką postępowania, jeśli nie zwiąże się mniej lub bardziej z wierzeniami dawniejszymi; że człowiek współczesny dziedziczy wierzenia, które służą jeszcze za podstawę jego instytucji i jego moralności, ale które walczą dziś stale z jego rozumem. Z tej racji jest on zmuszony do prób wypracowania nowych dogmatów wiążących się wystarczająco mocno z dawnymi wierzeniami, a zarazem zgodnych z jego poglądami obecnymi. Przyczyny obecnej anarchii umysłowej leżą w tym konflikcie między przeszłością a teraźniejszością, to znaczy między naszym nieświadomym duchem a naszymi rozumowaniami świadomymi.

Czy socjalizm będzie tą nową religią, która wkrótce zastąpi dawne wierzenia? Brakuje mu do tego magicznej umiejętności tworzenia wizji życia przyszłego, głównej siły, dzięki której wielkie religie zdobyły świat i przetrwały. Wszystkie socjalistyczne obietnice szczęścia mają się urzeczywistnić już tutaj. Otóż realizacja takich obietnic rozbije się o prawidłowości ekonomiczne i psychologiczne, wobec których ludzka moc jest bezsilna; dlatego epoka nadejścia socjalizmu z pewnością będzie zarazem epoką jego schyłku. Socjalizm może triumfować przez chwilę, jak triumfowały idee humanistyczne rewolucji francuskiej, ale wkrótce zginie w krwawych kataklizmach, bo nie porywa się duszy ludu nadaremno. Będzie więc jedną z tych religii przejściowych, któ-

rych narodzin i śmierci ten sam wiek jest świadkiem, i które służą tylko przygotowaniu lub odnowieniu innych, lepiej dostosowanych do natury ludzkiej i do wszelkiego rodzaju praw, którym muszą podlegać społeczności ludzkie. Być może biorąc pod uwagę tę funkcję rozpuszczalnika, mającego oczyścić miejsce dla rozkwitu nowych dogmatów, przyszłość nie uzna roli socjalizmu za zupełnie zgubną.

Rozdział 3
Ewolucja socjalizmu ku formie religijnej

§ 1. Obecna skłonność socjalizmu do wchodzenia na miejsce dawnych wierzeń

Rozważywszy rolę naszych wierzeń i dostrzegłszy dawność ich fundamentów, gotowi jesteśmy zrozumieć ewolucję religijną, jakiej ulega socjalizm obecny. Stanowi ona bez wątpienia najważniejszy czynnik jego sukcesów. Jak już dowiodłem w studium na temat psychologii tłumu, przekonania mas zawsze zmierzają do przybrania formy religijnej. Ludzka mnogość nie zna ani sceptycyzmu, ani nastawienia krytycznego. *Credo* polityczne, religijne lub społeczne, przez nią akceptowane, przyjmowane jest zawsze bez dyskusji i czczone z zapałem.

Nie zamierzam w tym rozdziale badać wartości filozoficznej lub ekonomicznej nowych doktryn, lecz jedynie wpływ, jaki wywierają one na ludzkie dusze. Wiele razy powtarzałem, że sukces danego wierzenia wcale nie zależy od udziału prawdy lub błędu w nim zawartego, lecz jedynie od uczuć, jakie rodzi, i poświęcenia, jakie inspiruje. Historia wszystkich wierzeń jest tego jawnym dowodem.

W koncepcjach socjalistycznych zawarty jest bezsprzecznie czynnik ich przyszłego sukcesu, jeśli widzieć je jako wierzenia religijne. Po pierwsze, nie muszą wiele walczyć z dawniejszymi wierzeniami, gdyż te są w zaniku[1]. Po drugie jawią się w formie skrajnie prostej, co czyni je dostępnymi dla wszystkich umysłów. Po trzecie, łatwo nawiązują do poprzednich wierzeń i dlatego mogą je bez trudu zastąpić. Jak już tego dowiodłem, socjaliści chrześcijańscy głoszą doktrynę prawie taką samą, jak inni socjaliści.

Punkt pierwszy, rozpad poprzednich wierzeń, jest zasadniczy. Ludzkość aż dotąd nie mogła żyć bez wierzeń. Skoro tylko dawna religia zaczyna zanikać, natychmiast nadchodzi nowa, by ją zastąpić. Jednym z naszych dominujących instynktów jest uczucie religijności, to znaczy

[1] Raz jeszcze chrześcijanin czytający te słowa sto lat po ich napisaniu może powiedzieć za Twainem „wiadomość o mojej śmierci jest przesadzona" – i spokojniej ocenić alarmistyczne wieści na temat obecnej laicyzacji. Natomiast o tyle myśl Le Bona jest trafna, że laicyzacja istotnie toruje drogę wierze w socjalizm, w astrologię, w bóstwa hinduskie itd. [*przypis tłumacza*].

potrzeba podporządkowania się jakiejkolwiek wierze: boskiej, politycznej lub społecznej. Człowiek potrzebuje wierzeń, by mechanicznie kierować swym życiem i uniknąć wysiłku rozumowania. Nie dąży do wolności, lecz właśnie do zniewolenia myśli. Unika czasem panowania tyranów, którzy go gnębią – ale jak uniknie panowania innego rodzaju – swych własnych wierzeń? Najpierw będąc wyrazem jego potrzeb, a jeszcze bardziej nadziei, wierzenia w końcu je modyfikują, rządzą one bowiem sferą instynktownych dążeń.

Nowa doktryna doskonale odpowiada obecnym pragnieniom i nadziejom. Zjawia się akurat w momencie, gdy zamierają wierzenia religijne i społeczne, którymi żyli nasi ojcowie, i gotowa jest odnowić ich obietnice. Sama jej nazwa[2] jest słowem magicznym, które, jak w dawnych wiekach 'raj', syntetyzuje nasze sny i nadzieje. Choćby jej wartość była nie wiem jak nikła, a jej realizacja niepewna, stanowi nowy ideał, z którego taki przynajmniej będzie pożytek, że przywróci człowiekowi nadzieję, której mu już nie dają bogowie, i złudzenia, których pozbawiła go nauka. Jeśli jest prawdą, że długo jeszcze szczęście człowieka musi zależeć od cudownej zdolności tworzenia bóstw i wierzenia w nie, nie sposób przecenić znaczenia nowego dogmatu.

Co dzień rośnie w siłę, zwodniczy duch, a jego potęga coraz bardziej wzrasta. Stare dogmaty straciły swoją moc, ołtarze starych bóstw są opuszczone, rodzina się rozpada, instytucje upadają, hierarchie znikają. Jedynie miraż socjalny rozwija się na zwaliskach. Rozprzestrzeniając się nie napotyka naprawdę poważnych krytyków. Gdy jego zwolennicy są gorliwymi apostołami, którzy w oparciu o nowy ideał chcą przemienić świat, jak niegdyś uczniowie Jezusa, bojaźliwi obrońcy starego społeczeństwa są, przeciwnie, mało przejęci wartością sprawy, której bronią. Cała ich obrona polega jedynie na powtarzaniu dawnych formuł teologicznych i ekonomicznych, które się od dawna zużyły i straciły skuteczność. Sprawiają wrażenie mumii, które usiłują się ruszać pod opaskami. W raporcie z pewnego konkursu akademickiego Leon Say wydobył zdumiewającą słabość dzieł mających zwalczać socjalizm, mimo że proponowano za nie pokaźne wynagrodzenie. Obrońcy pogaństwa byli równie niemocni, gdy nowy Bóg przybyły z równin Galilei objął dziedzictwo po przygasających starych bóstwach i zadał im ostateczny cios.

Nowe wierzenia nie mają z pewnością logiki za podstawę, ale jakież wierzenia, począwszy od początku świata, opierały się na logice?

---

[2] Słowo „socjalizm" sugeruje poprzez etymologię zwrócenie się ku sprawom społecznym, „socjalność" [*przypis tłumacza*].

Niemniej jednak wiodły do rozwoju kwitnących cywilizacji. Trwała irracjonalność staje się racjonalna, człowiek w końcu się z nią godzi. Społeczeństwa opierają się na pragnieniach, wierzeniach, potrzebach, to znaczy na uczuciach, a nigdy na rozumie czy nawet na prawdopodobieństwie. Te uczucia z pewnością ewoluują według ukrytej logiki, ale jej praw żaden myśliciel nie rozpoznał.

Żadne z wielkich wierzeń, które rządziło ludzkością, nie było córą Rozumu. A jeśli nawet każde podlegało temu wspólnemu prawu, które każe bogom i imperiom chylić się ku upadkowi i umierać, to nie Rozum położył im kres.

To, co wierzenia w znacznym stopniu mają w sobie, tego rozum nigdy nie osiągnie: jest to wspaniała moc łączenia razem rzeczy bez związku, przekształcania jawnych błędów w błyskotliwe prawdy, zniewalania dusz przez oczarowanie serc – i w końcu przekształcania cywilizacji i imperiów. Nie są córkami logiki, ale są królowymi historii.

Biorąc pod uwagę uwodzicielską stronę nowych dogmatów, ich skrajne uproszczenie, które czyni je dostępnymi dla wszystkich umysłów, obecną nienawiść warstw ludowych do posiadaczy bogactwa i potęgi, absolutną władzę polityczną zmieniania swych instytucji, jaką te warstwy posiadają dzięki głosowaniu powszechnemu; biorąc to pod uwagę, powiadam, te warunki tak sprzyjające, można się zapytywać, czemu postęp nowych doktryn jest stosunkowo powolny i jakie tajemnicze siły sterują ich krokami. Uprzedni wywód na temat pochodzenia naszych wierzeń i powolności ich przemian daje odpowiedź na to pytanie.

§ 2. Rozprzestrzenianie wierzeń. Ich apostołowie (głosiciele)

Doba obecna pokazuje nam, jak się kształtuje religia socjalistyczna. Możemy badać działalność jej apostołów i wszystkie ważne czynniki jej skuteczności, których roli żeśmy skądinąd dowiedli: złudzenia, słowa i formułki, twierdzenia, powtórzenia, prestiż i zaraźliwość.

Właśnie dzięki swym apostołom socjalizm może w pewnej chwili zwyciężyć. Tylko przekonani mają dość zapału, by stworzyć wiarę, magiczną moc, która w wielu epokach przekształcała świat. Posiadają umiejętność przekonywania, sztukę zarazem subtelną i prostą, której prawdziwych reguł nie naucza żadna książka. Wiedzą, że masy czują strach przed wątpliwościami; znają one tylko skrajne uczucia gwałtownej afirmacji bądź negacji, wielką miłość lub gwałtowną nienawiść. Umieją wzbudzać i rozwijać te uczucia.

By spełnić swą rolę, apostołowie nie muszą być liczni. Uświadomić można sobie, jak małej grupy gorliwych wystarczyło, by sprowokować kolosalne wydarzenie, jakim były krucjaty – wydarzenie może bardziej zdumiewające niż powstanie nowej religii. Oto miliony ludzi skłonionych zostało do porzucenia wszystkiego i ruszenia na wschód, oraz do zaczynania wiele razy, choć ponosili najgorsze porażki i najdotkliwsze wyrzeczenia.

Wszelkie wierzenia, które władały światem, czy to chodzi o chrześcijaństwo, czy buddyzm, czy islam, czy też po prostu o teorie polityczne, takie jak te, które poprzedziły rewolucję francuską, rozpowszechniały się dzięki wysiłkom tej specjalnej kategorii przekonanych, którą nazywa się 'apostołami'. Zahipnotyzowani przez wiarę, która ich sobie podporządkowała, gotowi są na wszystkie ofiary, by ją rozprzestrzeniać, i w końcu żyją tylko po to, by zapewnić jej władzę. Są to na pół ofiary halucynacji, których przebadanie z pewnością ujawniłoby patologię umysłową[3]. Zawsze jednak odgrywali ogromną rolę w historii.

Rekrutują się oni głównie wśród umysłów obdarzonych zmysłem religijnym, którego znamienną cechą jest potrzeba bycia zdominowanym przez jakąkolwiek istotę względnie credo oraz poświęcenia się dla zwycięstwa przedmiotu adoracji.

Zmysł religijny, będąc uczuciem nieświadomym, żyje naturalnie nadal po zniknięciu wierzenia, które go z początku podtrzymywało. Apostołowie socjalizmu, którzy przeklinają stare dogmaty chrześcijańskie lub im przeczą, sami mają umysły w najwyższym stopniu religijne. Natura ich wiary się zmieniła, ale nadal są zdominowani przez instynkty swojej rasy odziedziczone po przodkach. Rajskie społeczeństwo, o którym marzą, jest bliskie rajowi niebieskiemu naszych ojców. W prostych mózgach, całkowicie zdominowanych przez atawizmy, stara wiara w Boga jest uprzedmiotowiona w ziemskiej formie opatrznościowego państwa, które naprawia wszystkie niesprawiedliwości, dysponując nieograniczoną mocą dawnych bogów. Człowiek czasami zmienia bożki, ale jak obali dziedziczne formy umysłowe, z których zrodził się ich kult?

Apostoł (głosiciel) to zatem zawsze umysł religijny, pragnący rozpowszechniania swej wiary, ale także, a nawet przede wszystkim, umysł prosty, oporny na rozumowanie. Jego logika jest prymitywna. Prawid-

---

[3] Ta polemiczna „diagnoza" bez zbadania pacjenta mówi oczywiście więcej o ograniczeniach sceptyków czy agnostyków niż o ocenianych w ten sposób zapaleńcach różnych idei. Skądinąd jednak Fromma *Ucieczka od wolności* w sposób poważny ujawnia skrzywienie umysłowe, jakiemu ulegają zwolennicy totalitaryzmu socjalistycznego czy też innego [*przypis tłumacza*].

łowości i relacje wymykają mu się zupełnie. Jasny pogląd na jego sposób pojmowania można wyrobić sobie przeglądając interesujące wyjątki ze stu siedemdziesięciu autobiografii działaczy socjalistycznych, wydane ostatnio przez autora z tej sekty, Hamona. Są między nimi ludzie wyznający bardzo różne poglądy, jako że anarchizm jest w rzeczywistości tylko przesadnym indywidualizmem – skoro chce znieść wszelkie rządy i pozostawić jednostkę samej sobie. Natomiast kolektywizm, przeciwnie, zakłada ścisłe podporządkowanie jednostki państwu. W praktyce jednak te różnice, na które zresztą apostołowie socjalizmu mało zważają, rozwiewają się zupełnie. Sekciarze różnych form socjalizmu przejawiają tę samą nienawiść do społeczeństwa, kapitału, burżuazji, i proponują te same sposoby ich usunięcia. Najbardziej pokojowi chcieliby tylko pozbawić posiadających ich bogactw; bardziej wojowniczy koniecznie chcą połączyć ten rabunek z wytępieniem pokonanych.

Ich deklaracje zdradzają przede wszystkim prostactwo umysłowe. Nie martwi ich żadna trudność. Nie ma dla nich nic prostszego niż przekształcenie społeczeństwa: *Wystarczy na sposób rewolucyjny przegnać rząd, wywłaszczyć posiadaczy bogactw społecznych, postawić wszystko do dyspozycji wszystkich... W społeczeństwie, w którym znikła różnica między kapitalistami a robotnikami, nie potrzeba już rządu.*

Coraz bardziej zahipnotyzowany przez dwie lub trzy formuły, które bez przerwy powtarza, głosiciel doświadcza gwałtownej potrzeby propagowania swej wiary i zapoznania świata z dobrą nowiną, która uwolni ludzkość od błędu, w którym dotąd tkwiła.[4] Czyż światło, które niesie, nie jest olśniewające? Któż mógłby się nie nawrócić, oprócz ludzi nikczemnych i działających w złej wierze?

Popychani przez zapał do nawracania – pisze Hamon – *rozgłaszają ideę bez obawy przed cierpieniem. Dla niej zrywają więzi rodzinne i przyjacielskie; tracą posadę, środki na życie. W swojej gorliwości ryzykują więzieniem, zesłaniem, śmiercią; chcą narzucić swój ideał, dążą do wybawienia mas ludowych, nawet wbrew nim samym. Podobni są do przywódców epoki terroru w 1793, którzy zabijali ludzi z miłości do ludzkości.*

---

[4] Nietrudno zauważyć, że zapałowi takiemu ulega też chwilami Le Bon, jako krzewiciel wiary w Rozum. Ponadto autor rozwija porównanie głosicieli socjalizmu do apostołów chrześcijaństwa. Socjalizm w wielu punktach istotnie małpuje chrześcijaństwo (zaś chrześcijańscy socjaliści podejmują ten małpi grymas). Wrzucanie wszelkich głosicieli jakiejś wiary (czy niewiary) do jednego worka jest jednak rażącym uproszczeniem, tylko część z nich przejawia opisane skrzywienia psychiczne. A skoro Le Bon stale używa tu przenośnie słowa apostoł, godzi się zauważyć, że według Ewangelii apostołowie Jezusa byli ludźmi rozsądnymi, którzy po ukrzyżowaniu się pochowali, a wieść o zmartwychwstaniu uznali za babskie zwidy. Aż się przekonali naocznie [*przypis tłumacza*] .

Potrzeba niszczenia jest zjawiskiem stwierdzonym u apostołów wszystkich kultów. Jeden z tych, których cytuje autor wymieniony, chce zniszczyć wszystkie pomniki przeszłości, przede wszystkim kościoły, przekonany, że ich zniszczenie *będzie zniszczeniem religii spirytualistycznych*. Ten prymitywny umysł naśladuje zresztą znakomite przykłady. Cesarz chrześcijański Teodozjusz nie rozumował inaczej, gdy w 389 roku n.e. spowodował zniszczenie wszystkich religijnych pomników, jakie Egipt wzniósł nad brzegami Nilu podczas 6000 lat, zostawiając tylko mury i kolumny zbyt solidne, by je zburzyć.[5]

Wydaje się więc, że prawie powszechnym prawem psychologii wszystkich wieków jest to, że nie można być apostołem nie doświadczając silnej potrzeby zmasakrowania kogoś lub zburzenia czegoś.

Głosiciel, którzy zabiera się tylko za pomniki, należy do odmiany stosunkowo niegroźnej, ale oczywiście nieco letniej. Głosiciel doskonały nie zadowala się półśrodkami. Rozumie, że po zniszczeniu świątyni fałszywych bogów trzeba usunąć ich wyznawców. Cóż znaczą hekatomby, jeśli trzeba odnowić rodzaj ludzki, ugruntować prawdę i zniszczyć błąd? Czyż nie jest oczywiste, że najlepszym sposobem pozbycia się niewiernych jest wybić wszystkich, jakich się napotka, pozostawiając tylko apostołów i ich uczniów? Taki jest program czystych: tych, którzy gardzą kompromisowymi obłudnikami, tchórzliwym paktowaniem z herezją.

Niestety heretycy wciąż się opierają. Oczekując sposobności do ich wyniszczenia trzeba się zadowolić pojedynczymi morderstwami i groźbami. Te groźby są zresztą kategoryczne i nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do przyszłych masakr. Czołowy socjalista włoski cytowany przez Garofalo tak podsumowuje swój program: *Zarżniemy wszystkich, których znajdziemy z bronią w ręku, a starców, kobiety i dzieci zrzucimy z balkonów albo ciśniemy w morze.*

W metodach nowych sekciarzy nie ma wiele nowego, w różnych epokach historii były one zawsze obecne w tej samej formie. Wszyscy głosiciele grzmieli w taki sam sposób przeciw bezbożności swoich przeciwników; a gdy tylko doszli do władzy, stosowali wobec nich te same metody szybkiego i stanowczego niszczenia. Mahomet nawracał szablą, inkwizytorzy stosem, Konwent rewolucyjny gilotyną, anarchiści współcześni dynamitem. Tylko sposób niszczenia trochę się zmienił.

W tych wybuchach fanatyzmu, którym społeczeństwa muszą okresowo ulegać, najsmutniejsze wydaje się to, że u przekonanych nawet najbardziej rozwinięta inteligencja jest bezsilna wobec dzikiego porywu

[5] Jak wiadomo, w Egipcie jakoś pozostało mimo to ogromne mnóstwo zabytków. Starożytna cywilizacja egipska trwała około trzech tysięcy lat, a nie sześć [*przypis tłumacza*].

wiary. Nasi współcześni anarchiści nie mówią i nie działają inaczej niż Bossuet wobec heretyków, gdy zaczął kampanię, która potem miała zakończyć się ich masakrą i wygnaniem[6]. W jakich piorunujących słowach znakomity prałat grzmiał przeciw wrogom swej wiary, *którzy wolą gnić w ignorancji niż ją wyznać, żywić w swoim niesfornym umyśle wolność myślenia, co im się żywnie podoba, zamiast schylić się przed Bożym autorytetem.* Trzeba czytać w pismach tego czasu, z jaką dziką radością duchowieństwo przyjęło odwołanie edyktu nantejskiego i dragonady. Biskupi i pobożny Bossuet szaleli z entuzjazmu. Ten ostatni zwracając się do Ludwika XIV rzecze, że *wyniszczył heretyków. Jest to godne dzieło Waszego panowania. Jego ukoronowanie.*

Wyniszczenie było rzeczywiście dość dokładne. Te godne dzieło miało za skutek emigrację 400 000 Francuzów – nie licząc znacznej liczby tych, co odstąpili, spalonych, poćwiartowanych, powieszonych, rozprutych i wysłanych na galery. Inkwizycja niemniej zdziesiątkowała Hiszpanię niż Konwent Francję.[7] Ten ostatni też posiadał prawdę absolutną i chciał wykorzenić błąd.[8] Zawsze miał rysy synodu raczej niż zgromadzenia politycznego.

Łatwo wyjaśnić spustoszenia spowodowane przez tych wszystkich potwornych niszczycieli człowieka, jeśli umie się czytać w ich duszy. Torquemada, Bossuet, Marat, Robespierre uważali się za łagodnych filantropów marzących o szczęściu ludzkości. Filantropi religijni, filantropi polityczni, filantropi społeczni należą do jednej rodziny. Uważają się w dobrej wierze za przyjaciół ludzkości, której byli zawsze najszkodliwszymi wrogami. Slepy fanatyzm prawdziwie wierzących czyni ich bardziej niebezpiecznymi niż dzikie zwierzęta.

Obecni psychiatrzy uważają zwykle, że sekciarze tworzący awangardę socjalizmu należą do typu kryminalnego, do urodzonych przestępców. Jest to jednak ocena zbyt pobieżna i najczęściej bardzo niedokładna, gdyż obejmuje jednostki należące do różnych kategorii,

---

[6] Przypisywanie tych prześladowań Bossuetowi, kwiecistemu kaznodziei zwalczającemu przeciwników słowem, a nie represjami, jest historycznie bezzasadne. Ich motyw był głównie polityczny. Ponadto hugonoci bynajmniej nie byli łagodnymi barankami [*przypis tłumacza*].

[7] Jest to oczywiście kolejne łgarstwo „Wieku Rozumu" na temat historii chrześcijaństwa. Inkwizycja hiszpańska za Torquemady wydała niecałe dwa tysiące wyroków śmierci (głównie na pozornie przyjmujących katolicyzm Żydów), z tego wykonano dwie trzecie. O tyleż za dużo – ale rewolucja francuska w okresie dużo krótszym kosztowała życie paruset tysięcy ludzi: ściętych, poległych w walce, zmarłych w więzieniach, zamordowanych przy pacyfikacjach [*przypis tłumacza*].

[8] ...podczas gdy Inkwizycja służyła politycznej woli królów hiszpańskich. Przez nich powołana, zwalczała zamaskowanych Żydów, muzułmanów i heretyków jako wrogów państwa [*przypis tłumacza*].

w większości wcale nie spokrewnione z prawdziwymi kryminalistami. Nie ulega wątpliwości, że wśród propagatorów nowej wiary jest nieco kryminalistów, ale większość przestępców podających się za socjalistycznych anarchistów tylko przyozdabia motywacją polityczną pospolite zbrodnie. Prawdziwi głosiciele mogą popełniać czyny słusznie uznane za zbrodnie przez kodeks karny, ale z punktu widzenia psychologicznego nie mają nic z kryminalisty. Ich czyny bynajmniej nie mają na względzie interesu osobistego, co jest cechą typowego przestępstwa, wręcz przeciwnie, często są z takimi całkiem oczywistymi interesami sprzeczne. Są to umysły prymitywne i mistyczne, całkowicie niezdolne do rozumowania i zdominowane przez uczucia religijne, które opanowują całe ich pojmowanie. Są z pewnością niebezpieczni i społeczeństwo, które chce uniknąć zniszczenia przez nich, musi ich starannie eliminować, natomiast ich stan umysłowy zdradza bardziej szaleńców niż kryminalistów.

Historia pełna jest ich czynów, gdyż stanowią typ psychologiczny żywy we wszystkich epokach. *Szaleńcy i pasjonaci o skłonnościach altruistycznych pojawiali się we wszystkich czasach* – pisze Lombroso – *nawet w epoce dzikości, ale wtedy znajdowali zaspokojenie w religii; później zwracali się ku frakcjom politycznym i spiskom antymonarchicznym epoki. Najpierw krzyżowcy, potem buntownicy, potem błędni rycerze, potem męczennicy wiary lub ateizmu.*

W naszych czasach, a zwłaszcza w rasie łacińskiej, gdy powstaje któryś z tych altruistycznych fanatyków, znajduje pokarm dla swych pasji tylko na terenie społecznym i ekonomicznym.

Idee najbardziej dyskutowane i najmniej pewne pozostawiają wolne pole dla entuzjazmu fanatyków. Spotkacie stu fanatyków problemu teologicznego lub metafizycznego; ani jednego przy twierdzeniach z geometrii. Im idea jest dziwniejsza czy bardziej absurdalna, tym bardziej pociąga za sobą szalonych i histeryków, przede wszystkim w świecie politycznym, w którym każde prywatne zwycięstwo staje się porażką lub zwycięstwem publicznym. Idea podtrzymuje fanatyków aż do śmierci, służąc im jako wynagrodzenie za życie, które tracą, lub za męki, które znoszą.

Oprócz opisanej kategorii głosicieli-apostołów, którzy są konieczni jako propagatorzy wszystkich wierzeń, istnieją mniej ważne odmiany, których zahipnotyzowanie jest ograniczone do pojmowania jednej sprawy. Codzień spotyka się w życiu ludzi bardzo inteligentnych, nawet wybitnych, którzy stają się niezdolni do rozumowania, kiedy podejmują pewne tematy. Opanowani pasją polityczną lub religijną, okazują wtedy zaskakujące niezrozumienie i nietolerancję. Są to fanatycy okazjonalni, których fanatyzm staje się niebezpieczny tylko wtedy, gdy

zostanie pobudzony. Rozumują jasno i z umiarkowaniem we wszystkich kwestiach, poza tą, w której pasja ich ogarniająca staje się ich jedynym przewodnikiem. Na tym ograniczonym terenie przejawiają całą prześladowczą furię prawdziwych głosicieli. Ci znajdują w nich w godzinach kryzysu pomocników zaślepionych i zaciekłych.

Istnieje w końcu inna jeszcze kategoria sekciarzy socjalistycznych, których sama idea nie pociąga i których przekonania są raczej słabe. Należą do wielkiej rodziny zdegenerowanych. Utrzymywani w nieprzezwyciężalnej niższości przez swe wady dziedziczne, ułomności fizyczne lub umysłowe, są naturalnymi wrogami społeczeństwa, do którego ich nieuleczalna niezdolność i dziedziczna chorobliwość nie pozwalają im się zaadaptować. Są oni spontanicznymi obrońcami doktryny, która im obiecuje – wraz z lepszą przyszłością – pewnego rodzaju odrodzenie. Ci upośledzeni, którymi się zajmiemy w rozdziale o nieprzystosowanych, dają ogromne wsparcie tłumowi głosicieli. Jest cechą naszej współczesnej cywilizacji, że stworzyła – a przez osobliwą ironię humanitaryzmu podtrzymuje i ochrania z najbardziej nieprzewidująca troską – coraz większe nagromadzenie społecznych odpadów, pod których ciężarem może sama zatonąć.

Nowa religia, którą jest socjalizm, wchodzi w tę fazę, w której propaganda jest dziełem głosicieli. Do apostołów dochodzi paru męczenników: tworzą oni nowy czynnik sukcesu. Po ostatnich egzekucjach anarchistów w Paryżu policja musiała interweniować, by przeszkodzić pobożnym pielgrzymkom do grobu ofiar oraz sprzedaży ich wizerunków otoczonych wszelkiego rodzaju atrybutami religijnymi. Fetyszyzm jest najdawniejszym z kultów i może być ostatnim. Ludowi zawsze potrzebne są fetysze, by wcielały jego sny, pragnienia i nienawiści.

Tak się rozpowszechniają dogmaty i żadne rozumowanie nie potrafi ich zwalczyć. Ich siła jest niezwyciężona, gdyż opiera się na odwiecznej niższości mas i na wieczystym złudzeniu szczęścia, którego miraż wiedzie ludzi i przeszkadza im dostrzegać bariery, które oddzielają rzeczywistość od snów.

§ 3. Rozprzestrzenianie się wierzeń w masach

Wyjaśniwszy obszernie w mych dwóch poprzednich pracach mechanizm rozprzestrzeniania się wierzeń, mogę tylko czytelnika do nich odesłać. Przekona się dzięki nim, że wszystkie cywilizacje wywodzą się z małej liczby idei podstawowych, które po serii przekształceń w końcu kiełkują w duszy ludu jako wierzenie. Proces tego ustalania się wierzeń ma wielkie znaczenie, gdyż idee pełnią swą rolę społeczną – dobroczyn-

ną lub szkodliwą – dopiero po zejściu do duszy mas. Wtedy, i tylko wtedy, stają się opiniami powszechnymi, to znaczy istotnymi czynnikami religii, rewolucji i przemian cywilizacyjnych.

Na tym ostatecznym terenie, w duszy mas, zapuszczają w końcu korzenie wszystkie nasze koncepcje metafizyczne, polityczne, religijne i społeczne. Trzeba więc ją dobrze znać – i dlatego studium mechanizmu ewolucji umysłowej ludów i psychologii tłumu wydaje się mi koniecznym wstępem do dzieła o socjalizmie. To studium było tym bardziej niezbędne, że ważne te kwestie, a zwłaszcza ostatnia, były nader mało znane. Nieliczni autorzy, którzy badali masy, dochodzili do wniosków, które stanowią odwrotność rzeczywistości lub przynajmniej tylko jedno oblicze problemu – gdy ma on ich wiele. Widzieli w tłumie jedynie *nienasyconą dziką bestię chciwą łupu i krwi*. Gdy się nieco zgłębia temat, odkrywa się, że wprost przeciwnie, najgorsze wybryki tłumów miały bardzo często za punkt wyjścia idee otwarte i bezinteresowne, i że tłum bywa równie łatwo ofiarą jak katem. Książka mająca tytuł *Tłumy cnotliwe* byłaby równie uzasadniona jak książka zatytułowana *Tłumy zbrodnicze*. Mocno zresztą podkreślałem, że jedną z zasadniczych cech najgłębiej różniących izolowaną jednostkę od zbiorowości jest to, że ta pierwsza ma prawie zawsze za przewodnika swój interes osobisty, podczas gdy tłumy rzadko idą za motywami egoistycznymi, a częściej za zbiorowymi i bezinteresownymi. Heroizm i zapomnienie o sobie są daleko częściej cechą mas niż jednostek. Za wszelkim zbiorowym okrucieństwem stoi często wierzenie, idea sprawiedliwości, potrzeba moralnej satysfakcji, zapomnienie o własnym interesie, ofiara na rzecz dobra wspólnego – to znaczy odwrotność egoizmu.

Tłum może stać się okrutny, ale przede wszystkim jest altruistyczny i równie łatwo pociągany bywa ku poświęcaniu się, jak ku niszczeniu. Zdominowany przez nieświadomość, ma w sobie moralność i hojność, które zawsze dążą do uaktywnienia się, podczas gdy w jednostce pozostają one namysłem i ograniczają się powszechnie do słów. Refleksja i rozumowanie najczęściej prowadzą do egoizmu. Ten egoizm, tak zakorzeniony w jednostce izolowanej, jest uczuciem tłumowi nieznanym, właśnie dlatego, że nie jest on zdolny ani do refleksji, ani do rozumowania. Założenie religii i imperiów nie byłoby możliwe w oparciu o armię uczniów rozumujących i zastanawiających się. Nader niewielu żołnierzy takiej armii poświęciłoby swe życie dla zwycięstwa jakiejkolwiek sprawy.

Historię rozumie się dobrze tylko wtedy, gdy ma się zawsze w pamięci, że moralność i postępowanie człowieka izolowanego są bardzo różne od tych, które ten sam człowiek przejawi należąc do zbiorowości. Masy

podtrzymują interesy zbiorowe rasy, interesy, które zawsze wymagają mniejszego lub większego zapomnienia o interesach osobistych. **Głęboki altruizm, altruizm czynów a nie słów, jest cnotą zbiorową. Tylko masy mogą wykonać jakiekolwiek dzieło leżące w powszechnym interesie, a wymagające do urzeczywistnienia minimum egoizmu a maksimum ślepego poświęcenia, wyrzeczenia i ofiary.**

Mimo chwilowych czynów gwałtownych, masy zawsze okazywały się zdolne do zniesienia wszystkiego. Fanatycy i tyrani wszystkich czasów bez trudu znajdywali masy gotowe na śmierć w obronie sprawy. Nigdy się nie buntowały przeciwko tyranii religijnej lub politycznej, tyranii żywych bądź umarłych. By stać się ich panem, wystarczy wywołać w masach miłość lub strach, bardziej zresztą poprzez prestiż niż siłę.

Przejściowe gwałty (czasami) i ślepe oddanie (zazwyczaj) są to dwie cechy sprzeczne, ale nie należy ich rozdzielać, jeśli chce się dobrze zrozumieć duszę tłumów. Ich gwałty są porównywalne do burzliwych fal, jakie burza wznosi na oceanie, bez mącenia jednak spokoju głębszych warstw. Odruchy tłumu również opierają się na nieporuszonej głębinie, której ruchy powierzchni nie dosięgają. Stanowią ją instynkty dziedziczne, których ogół tworzy ducha rasy (kultury). Ta substancja jest tym trwalsza, im rasa jest starsza, a tym samym ma więcej stałości.

Socjaliści wierzą, że łatwo pociągną masy za sobą, ale wkrótce odkryją, że w tym środowisku znajdują się nie ich sojusznicy, lecz nieprzejednani wrogowie. Tłumy bez wątpienia mogą pewnego dnia obalić z wściekłością budowlę społeczną, ale nazajutrz powitają Cezara, którego zobaczą w mundurze i który obieca im przywrócić to, co rozbiły. U ludów mających długą przeszłość dominuje faktycznie w masach nie zmiana, lecz stałość. Ich instynkty niszczycielskie i rewolucyjne są przejściowe, zaś ich instynkty konserwatywne skrajnie uporczywe. Instynkty niszczycielskie mogą dać socjalizmowi chwilowe zwycięstwo, ale instynkty konserwatywne nie pozwolą mu przetrwać. W jego zwycięstwie i w jego upadku ciężkie argumentacje teoretyków nie będą miały żadnego udziału. Nie wybiła jeszcze godzina powołania logiki i rozumu do kierowania łańcuchem zdarzeń historycznych.

Księga III
SOCJALIZM WEDŁUG RAS (KULTUR)

Rozdział 1
Socjalizm w Niemczech

§ 1. Podstawy teoretyczne socjalizmu w Niemczech

Właśnie w Niemczech socjalizm dzisiaj osiągnął największy zasięg, przede wszystkim wśród klas średnich i wyższych. Jego historia w tym kraju wykroczyłaby daleko poza granice tej pracy. Poświęcam jej jednak kilka stron dlatego, że ewolucja socjalizmu w Niemczech mogłaby się na pierwszy rzut oka wydać sprzeczna z teorią na temat ścisłego związku zachodzącego między koncepcjami społecznymi danego ludu a jego duchem. Istnieją z pewnością głębokie różnice między duchem łacińskim a germańskim; niemniej jednak socjaliści dwóch krajów dochodzą często do identycznych poglądów.

Zanim wyjaśnimy, dlaczego teoretycy należący do tak różnych ras dochodzą do wniosków nieraz podobnych, wskażemy najpierw w kilku zdaniach, w czym sposób rozumowania teoretyków niemieckich różni się od tegoż u teoretyków łacińskich.

Długo inspirując się ideami francuskimi, Niemcy ze swej strony stali się ich inspiratorami. Ich tymczasowym arcykapłanem (bo często ich zmieniali) długo był Karol Marks. Jego rola polegała głównie na tym, że próbował nadać formę naukową wysoce banalnym i starym spekulacjom, zapożyczonym, jak to nader trafnie wykazał Paul Deschanel, od autorów francuskich i angielskich.

Marks, choć dziś wzgardzili nim nawet jego dawni uczniowie, był jednak przez trzydzieści lat teoretykiem socjalizmu niemieckiego. Naukowa forma jego pism i ich niejasność były nader uwodzicielskie dla – zarazem metodycznych i mętnych – umysłów Germanów. Za bazę swojego systemu chciał wziąć prawo ewolucji Hegla i prawo walki o przetrwanie Darwina. Według niego społeczeństwem nie kieruje potrzeba sprawiedliwości lub równości, lecz potrzeba jedzenia, a głów-

nym czynnikiem ewolucji jest walka o zdobycie pożywienia. Walka klas trwa stale, ale modyfikuje się pod wpływem zdobyczy techniki. Zastosowanie maszyn zniszczyło system feudalny i zapewniło zwycięstwo stanowi trzeciemu. Ewolucja wielkiego przemysłu podzieliła ludzi na dwie nowe klasy: produkujących robotników i kapitalistów wyzyskiwaczy. Według Marksa właściciel wzbogaca się kosztem robotnika, oddając mu tylko możliwie najmniejszą część wartości wytworzonej przez jego pracę. Kapitał jest wampirem, który wysysa krew robotników. Bogactwo kapitalisty wyzyskiwacza rośnie bez przerwy w miarę jak rośnie nędza robotnika. Wyzyskiwacze i wyzyskiwani stoczą wyniszczającą wojnę, która spowoduje ruinę burżuazji, dyktaturę proletariatu i wprowadzenie komunizmu.

Większość z tych stwierdzeń nie wytrzymało krytyki i dziś w Niemczech już się ich nie dyskutuje. Zachowały swój autorytet jedynie w krajach łacińskich, gdzie kolektywizm nadal się na nich opiera.

Z tego, co podano powyżej, zatrzymać się trzeba nad jednym: naukowymi tendencjami socjalistów niemieckich. Odnajduje się tu cały duch ich rasy. Dalecy są od tego, by wraz z braćmi łacińskimi uznać socjalizm za organizację arbitralną, którą można w całości stworzyć i narzucić; widzą w nim nieunikniony wynik rozwoju ewolucji ekonomicznej i okazują głęboką pogardę dla geometrycznych konstrukcji naszego rewolucyjnego racjonalizmu. Uczą, że nie ma już stałych praw ekonomicznych i stałego prawa naturalnego, lecz jedynie formy przejściowe. *Kategorie ekonomiczne nie są wcale kategoriami logicznymi, lecz kategoriami historycznymi.* Instytucje społeczne mają wartość względną i nigdy absolutną. Kolektywizm jest forma ewolucyjną, do której społeczności muszą dojść przez sam fakt obecnej ewolucji ekonomicznej.

Ta ewolucjonistyczna koncepcja świata jest odległa jak tylko można od łacińskiego racjonalizmu, który, za przykładem naszych ojców rewolucji, chce społeczeństwo całkowicie zniszczyć i odbudować.

Wyszedłszy od niepodobnych zasad, w których odnajdują się podstawowe cechy dwóch ras, socjaliści niemieccy i łacińscy dochodzą jednak do dokładnie tego samego wniosku: należy przekształcić społeczeństwo przez wchłonięcie go przez państwo. Pierwsi chcą dokonać tej przebudowy na drodze ewolucji, której następstwem miałaby ona – ich zdaniem – być. Drudzy chcą dokonać wyburzenia w imię rozumu. Przyszłe społeczeństwa jawią się im w takim samym kształcie. Wyznają tę sama nienawiść do kapitału i prywatnej przedsiębiorczości, tę samą obojętność dla wolności, tę samą potrzebę skoszarowania jednostek i rządzenia nimi przez przesadną reglamentację. Pierwsi i drudzy zamierzają zniszczyć współczesne państwo, ale natychmiast je przy-

wracają pod inną nazwą z administracją nie różniącą się od tej państwa obecnego, chyba że tym, że miałaby nieporównanie szersze kompetencje.

§ 2. Obecna ewolucja socjalizmu w Niemczech

U ludów łacińskich socjalizm państwowy jest, jak to wkrótce wykażę, następstwem ich przeszłości, dalszym ciągiem wieków centralizacji i stopniowego rozwoju władzy centralnej. U Niemców wcale nie jest tak. Do koncepcji roli państwa takiej, jak u ludów łacińskich, doszli oni sposobami sztucznymi. Ta koncepcja jest następstwem przemiany warunków życia i typu charakteru narzuconego od stulecia w Niemczech przez powszechny system wojskowy. Uznali to najbardziej światli autorzy niemieccy, jak Ziegler. Jedynym sposobem zmodyfikowania duszy ludu, a przynajmniej jego zwyczajów i postępowania, jest ścisła dyscyplina wojskowa. Jest bowiem jedyną, przeciw której jednostka nie ma siły walczyć. Umieszcza jednostkę w hierarchii odbierając jej inicjatywę i niezależność. Z dogmatami się w ostateczności dyskutuje, ale jak dyskutować z rozkazami sierżanta, który ma nad podwładnymi władzę życia i śmierci i może ukarać więzieniem najpokorniejsze przedłożenie?

Póki nie był powszechny, system wojskowy stanowił dla rządów znakomity środek przymusu i podboju. Stanowił siłę wszystkich ludów, które potrafiły go rozwinąć, i żaden nie mógłby bez niego przetrwać. Jednakże wiek obecny stworzył powszechną służbę wojskową. Zamiast oddziaływać, jak niegdyś, na bardzo ograniczoną część ludu, działa na całego jego ducha. W kraju, w którym doszedł do szczytu rozwoju, jak w Niemczech, najlepiej można studiować jego skutki. Żaden system, nawet klasztor, nie poświęca jednostki dla społeczności w sposób dalej idący, najbardziej się zbliżając do modelu społecznego, o którym marzą socjaliści. W ciągu wieku pruskie kapralstwo przekształciło Niemcy i znakomicie je przystosowało do przyjęcia socjalizmu państwowego. Zalecałbym młodym naukowcom, poszukującym tematów mniej banalnych niż te, którymi się zwykle zadowalają, badanie przekształceń idei filozoficznych i społecznych w Niemczech, zaszłych w ciągu wieku XIX pod wpływem wprowadzenia powszechnej i obowiązkowej służby wojskowej.

Obecne Niemcy, rządzone przez monarchię pruską, nie są wytworem długiej ewolucji historycznej, ich jedność została niedawno zaprowadzona przez samą siłę zbrojną w następstwie zwycięstw Prus nad Austrią i Francją. Prusy zjednoczyły pod swą władzą, praktycznie

absolutną, wielką liczbę kwitnących niegdyś małych królestw. Na ruinach życia prowincjonalnego i lokalnego powołały potężną centralizację, która kojarzy się z Francją Ludwika XIV i Napoleona. Jednakowoż system scentralizowany nie mógł nie spowodować w krótkim czasie skutków, jakie wywołał wszędzie: spowodował więc zniszczenie życia lokalnego (przede wszystkim intelektualnego), zniszczenie inicjatywy indywidualnej, stopniowe zagarnięcie wszystkich funkcji przez państwo. Historia dowodzi, że wielkie monarchie wojskowe prosperują tylko wtedy, gdy na ich czele stoją ludzie wybitni, a że ludzie wybitni pojawiają się rzadko, nigdy nie prosperują one długo.

Wchłonięcie przez państwo było w Niemczech tym łatwiejsze, że monarchia pruska zyskawszy wielki prestiż przez pomyślne wojny, może sprawować władzę prawie bez kontroli, co nie zachodzi w krajach, gdzie rządy nadwerężone przez częste rewolucje napotykają w sprawowaniu władzy liczne przeszkody. Niemcy są dziś wielkim centrum autorytaryzmu i należy się obawiać, że wkrótce nie będzie w nich miejsca na żadną wolność.

Łatwo pojąć, że socjalizm, który domaga się najdalej idącego poszerzenia funkcji państwa, znalazł w Niemczech grunt nader podatny. Jego rozwój nie mógł się nie podobać w sferach rządowych narodu tak zhierarchizowanego i skoszarowanego jak współczesne Prusy. Na socjalistów patrzono więc długo łaskawym okiem. Bismarck ich z początku chronił i nadal by tak było, gdyby nie stali się dla rządu kłopotliwi z powodu dość niezręcznej opozycji politycznej z ich strony.

Przestano się więc z nimi cackać, a skoro cesarstwo niemieckie jest monarchią wojskową mogącą bardzo łatwo mimo form parlamentarnych przybrać kształty autokratyczne, zastosowano przeciw socjalistom metody energiczne i doraźne. Według *Vorwaerts* w ciągu zaledwie dwóch lat od 1894 do 1896 trybunały wydały przeciwko socjalistom w procesach prasowych i politycznych wyroki wynoszące łącznie 226 lat więzienia i 2 800 000 franków grzywny.

Czy to dlatego, że radykalne metody skłoniły socjalistów do zastanowienia, czy też po prostu dlatego, że coraz większe zniewolenie umysłów spowodowane przez twardy powszechny system wojskowy wywarło wpływ na już wysoce zdyscyplinowanego i praktycznego ducha Niemców, pewne jest, że socjalizm zmierza dziś u nich do przybrania form dość łagodnych. Staje się oportunistyczny, staje na gruncie wyłącznie parlamentarnym, po trochu wyrzeka się zwycięstwa swych zasad.

Zanik klasy kapitalistów i zniesienie monopoli jawi się tylko jako teoretyczny ideał, którego realizacja pozostaje odległa. Niemiecki socjalizm uczy dziś, że *społeczeństwo burżuazyjne nie powstawszy nagle nie*

może być za jednym zamachem unicestwione. Coraz bardziej zmierza do zmieszania się z demokratycznym ruchem na rzecz poprawy losy klas pracujących.

Trzeba więc jak sądzę wyrzec się nadziei, że Niemcy jako pierwsi spróbują pouczającego doświadczenia socjalizmu. Najwyraźniej wolą pozostawić to zadanie ludom łacińskim.

Nie tylko w sferze praktyki socjaliści niemieccy przestają być nieprzejednani. Ich teoretycy, niegdyś tak bezwzględni i gwałtowni, coraz bardziej porzucają istotne punkty swych doktryn. Nawet sam kolektywizm, tak wpływowy przez długi okres czasu, jest uważany dziś za utopię nieco przedawnioną, którą można zachować na użytek publiczności, ale nie mającą rzeczywistego znaczenia. Umysł niemiecki był zresztą zbyt naukowy i zbyt praktyczny, by nie dostrzec rażącej słabości doktryny, dla której nasi francuscy socjaliści nadal zachowują religijny szacunek.

Jest rzeczą interesującą obserwować, z jaką łatwością i z jaką szybkością socjalizm niemiecki ewoluuje, i to nie tylko w szczegółach teorii, lecz również w jej najbardziej podstawowych częściach. Tak więc na przykład Schultze Delitsch, który w pewnym momencie był wpływowy, przywiązywał dużą wagę do ruchu spółdzielczego, aby *przyzwyczaić lud do liczenia na własną inicjatywę przy poprawianiu swego losu*. Lasalle i wszyscy jego następcy twierdzili, przeciwnie, że *lud potrzebuje przede wszystkim najszerszego odwołania się do pomocy państwa*.

Rozdział 2
Socjalizm w Anglii i Ameryce

§ 1. Koncepcja państwa u Anglosasów i ich psychologia

Właśnie porównując koncepcje państwa u Anglików i u ludów łacińskich dostrzega się jasno, jak dalece instytucje są dziełem rasy (kultury) i jak bardzo pod podobnymi nazwami mogą się kryć diametralnie różne treści. Można rozprawiać do utraty tchu, jak to czynił Monteskiusz i wielu innych, nad korzyściami, jakie przynosi republika zamiast monarchii lub odwrotnie. Skoro jednak dostrzeżemy ludy mające pod tak różnymi rządami identyczne koncepcje społeczne i bardzo podobne instytucje, wyciągniemy wniosek, że systemy polityczne, formalnie tak różne, nie mają żadnego rzeczywistego wpływu na ducha ludów, którymi władają.

W poprzedniech książkach podkreślałem już tę zupełnie podstawową tezę. W pracy o psychologicznych prawach ewolucji ludów wykazałem odnośnie ludów sąsiadujących, społeczeństwa anglosaskiego w Stanach Zjednoczonych i łacińskiego w republikach latynoamerykańskich, jak przy bardzo podobnych instytucjach politycznych (bo te drugie są zwykle kopią tych pierwszych) ewolucja przebiegła tak różnie. Podczas gdy wielka republika anglosaska jest u szczytu powodzenia, republiki latynoamerykańskie, mimo znakomitej ziemi i niewyczerpanych bogactw naturalnych, są w zupełnym rozkładzie. Bez sztuk, handlu, przemysłu wszystkie popadły w ruinę, upadek i anarchię. Miały za przywódców tak wiele osobistości, że niektóre z nich musiały być kompetentne – żadna jednak nie potrafiła zmienić losu ludu.

Dla ludu nie jest więc ważny przyjęty system polityczny. Ten próżny kostium zewnętrzny, jak wszystkie kostiumy, nie ma realnego wpływu na ducha ludu, który go nosi. Żeby zrozumieć ewolucję narodu, trzeba znać pogląd, jaki ma on na wzajemną funkcję jednostki i państwa. Etykieta wypisana na fasadzie budowli społecznej – republika bądź monarchia – sama w sobie nie ma żadnej wartości.

To, co teraz powiemy o koncepcji państwa w Anglii i Ameryce, uzasadni powyższe stwierdzenia. Przedstawiwszy już we wspomnianym wyżej dziele cechy ducha anglosaskiego, ograniczę się do podsumowania ich jak najkrócej.

Jego najistotniejsze zalety mogą być zresztą wyrażone w kilku słowach: inicjatywa, energia, wola, a przede wszystkim panowanie nad sobą, to znaczy posiadanie tej wewnętrznej dyscypliny, która zwalnia jednostkę z szukania przewodników.

Ideał społeczny Anglosasów jest bardzo wyraźny, ten sam w monarchii angielskiej i republice amerykańskiej. Polega na zmniejszeniu do minimum roli państwa i zwiększeniu do maksimum roli jednostki; jest to dokładne przeciwieństwo ideału łacińskiego. Koleje, porty, uniwersytety, szkoły nie mają innych twórców niż prywatna inicjatywa, i państwo, zwłaszcza w Ameryce, nigdy się nimi nie musiało zajmować.

W zrozumieniu charakteru angielskiego przeszkadza innym ludom to, że zapominają o bardzo wyraźnym oddzieleniu indywidualnego postępowania Anglika wobec Anglika od ich postępowania zbiorowego wobec innych ludów. Ich osobista moralność jest na ogół bardzo rygorystyczna. Anglik działając jako osoba prywatna jest bardzo sumienny, uczciwy i szanuje swoje zobowiązania; natomiast gdy mężowie stanu działają w imię zbiorowych interesów Anglii, jest z tym całkiem inaczej. Ich brak skrupułów jest niekiedy zupełny. Osobnik, który zaproponowałby ministrowi angielskiemu sposobność do wzbogacenia się bez ryzyka dzięki uduszeniu staruszki milionerki, zostałby natychmiast wysłany do więzienia; natomiast jakiś awanturnik, proponujący angielskiemu mężowi stanu, powiedzmy, zebranie bandy łotrzyków i najechanie z bronią w ręku małej republiki na południu Afryki, zmasakrowanie części mieszkańców, opanowanie kraju i zwiększenie w ten sposób bogactwa Anglii – taki awanturnik z pewnością może liczyć na najlepsze przyjęcie i na natychmiastową akceptację swej propozycji.[1] Jeśli mu się uda, opinia stanie za nim. Analogicznymi metodami angielscy mężowie stanu zdołali podbić większość małych królestw Indii. Widać zresztą, że te metody są analogiczne do tych, jakie inne narody stosują w trakcie kolonizacji. Jeśli u Anglików są one bardziej uderzające, to dlatego, że będąc śmielsi i zręczniejsi częściej osiągają w swych przedsięwzięciach sukces. Żałosne fantazje, które grafomani zowią prawem narodów czy prawem międzynarodowym, stanowią jedynie rodzaj teoretycznego kodeksu towarzyskiego, dobrego jako rozrywka dla podstarzałych prawoznawców, zbyt zużytych, by się zająć czymś pożytecznym. W praktyce przypisuje się im tyle znaczenia, co wyrazom szacunku czy przyjaźni, jakimi kończą się listy dyplomatyczne.

Wobec jednostek ze swojej rasy (inne się dla niego nie liczą) Anglik przejawia uczucie solidarności, jakiego nie spotka się w tym stopniu

[1] Komentarz do podboju republik burskich [*przypis tłumacza*].

u innych ludów. To uczucie bierze się ze wspólnoty myśli wynikłej stąd, że angielski duch narodowy jest bardzo solidnie utwierdzony. Pojedynczy Anglik w jakimkolwiek punkcie świata uważa się za przedstawiciela Anglii i uważa za swój ścisły obowiązek działać w jej interesie. Jest ona dla niego pierwszą potęgą świata i tylko ona się liczy.

W krajach, w których już zdobył przewagę, przede wszystkich w tych, których pożąda, Anglik – pisze korespondent *Le Temps* w Transwaalu – *przyjmuje najpierw za założenie swoją wyższość wobec wszystkich ludów świata. Dzięki swej wytrwałości i uporczywości, dzięki jedności i zgodzie, wprowadza swoje obyczaje, swoje rozrywki, swój język, swoje gazety, a nawet udaje mu się wprowadzić swą kuchnię! Na inne narody patrzy z pogarda suwerena, a nawet z wrogością, jeśli ich przedstawiciele mają zamiar lub możliwość kwestionowania małego kawałka tego, co posiada pod kolonialnym słońcem. W Transwaalu mamy tego codziennie dowody. Anglia jest nie tylko przeważającą potęgą, jest także pierwszym, wyjątkowym, jedynym narodem świata.*

Ta solidarność, tak rzadka u ludów łacińskich, daje Anglikom nieodpartą siłę. Czyni wszędzie ich dyplomację tak skuteczną. Skoro duch rasy został ustalony od dawna, wszyscy ich dyplomaci myślą tak samo w kwestiach istotnych. Spośród wszystkich przedstawicieli różnych narodów otrzymują może najmniej instrukcji, a jednak przejawiają najwięcej jedności w działaniu i umiejętności kontynuacji. Można ich uważać za elementy wymienne. Dyplomata angielski, który zastąpi innego, będzie działał tak samo jak on.[2] U ludów łacińskich jest dokładnie odwrotnie. Mieliśmy w Tonkinie czy na Madagaskarze tyle różnych systemów politycznych, co gubernatorów, a wiadomo, że zmieniają się oni często. Dyplomata francuski uprawia politykę, ale nie jest zdolny do tego, by mieć jakąkolwiek politykę.

Dziedziczne zalety rasy angielskiej są starannie podtrzymywane przez wychowanie, tak dogłębnie różne od naszego. Obojętność, a nawet pogarda wobec wiedzy książkowej; najwyższy szacunek dla tego wszystkiego, co rozwija charakter; szkolnictwo wyższe i szkoły średnie co najmniej mierne, mało uniwersytetów – przynajmniej w Anglii. Inżynier, agronom, prawnik (adwokat, sędzia itd.) kształcą się praktycznie w warsztacie, w biurze. Praktyka zawodowa wyprzedza wszędzie

[2] Uważałem tę obserwacje za oczywistą dla każdego, kto podróżował i obserwował – aż do dnia, kiedy ją przedstawiłem na spotkaniu, w którym uczestniczyło wielu dyplomatów francuskich. Pomijając pewnego admirała, który w zupełności podzielał moje zdanie, wywołałem u publiczności jednomyślny sprzeciw. Dyplomaci wymienni! Czyż to nie byłoby zaprzeczenie samej dyplomacji? Czemu służyłaby wtedy inteligencja, itede itepe. Jeszcze raz mogłem zmierzyć przepaść dzielącą pojęcia łacińskie i anglosaskie i przekonać się, jak bardzo nasza kolonialna niemoc jest nieuleczalna.

nauczanie poprzez książki i wykłady. Nauka podstawowa, przerabiana w jakichś szkołach powstałych z prywatnej inicjatywy i kończonych w wieku lat piętnastu, uważana jest w Anglii za zupełnie wystarczającą.

Angielskie nauczanie średnie odbywa się albo w domu rodzinnym z pomocą kursów wieczorowych, albo w kolegiach założonych z reguły na wsi i zupełnie niepodobnych do naszych liceów. Udział pracy umysłowej jest tam bardzo mały, pracy ręcznej dominujący (stolarstwo, murarstwo, ogrodnictwo, gospodarstwo wiejskie). Są nawet szkoły, których uczniowie, wybierając się do kolonii, zajmują się wszystkimi szczegółami hodowli, rolnictwa, budownictwa, samemu fabrykując wszystkie przedmioty, które mogą być potrzebne koloniście w pustym kraju. Nigdzie nie wprowadza się współzawodnictwa między uczniami, ani nie daje im nagród. Rywalizacja uważana jest przez Anglików za formę zazdrości, godną pogardy i niebezpieczną. Języki, przyroda, fizyka są nauczane, ale zawsze na sposób praktyczny: języki przez mówienie nimi, nauki przez czynności a często wytwarzanie przyrządów. W wieku około piętnastu lat uczeń opuszcza kolegium, podróżuje, wreszcie rozpoczyna wykonywanie zawodu.

To nauczanie, pozornie pobieżne, nie przeszkadza Anglikom mieć elitę uczonych i myślicieli równą tej, którą mają ludy posiadające szkoły bardziej intelektualne. Ci uczeni, rekrutowani poza uniwersytetami i konkursami, odznaczają się przede wszystkim oryginalnością, jaka może cechować tylko umysły, które same się ukształtowały, a jakiej nigdy nie przejawiają te, które odlano z jednej formy na szkolnej ławie.[3]

Ta oryginalność formy i myśli odnajduje się nawet w pracach naukowych, gdzie – wydawałoby się – ma najmniejsze szanse dojścia do głosu. Porównajmy dla przykładu książki o fizyce Tyndalla, Taita, lorda Kelvina itd. z analogicznymi dziełami napisanymi przez naszych profesorów. Oryginalność, wywód wyrazisty i uderzający spotkać można na każdej stronie, podczas gdy poprawne i zimne książki naszych profesorów są wszystkie skopiowane z jednego modelu. Przeczytawszy jedną, można sobie darować otwieranie pozostałych. Ich celem nie jest

[3] Do wielkich szkół, jak Cambridge, Oxford, Eton itd. uczęszczają tylko synowie wyższej arystokracji, a koszty utrzymania wynoszą tam około 6000 franków; tworzą one nikłą mniejszość, licząc łącznie tylko 6000 uczniów. Są to ostatnie schronienia łaciny i greki, ale wyścigi wioślarskie odgrywają tam większą rolę. Uczniowie cieszą się tam zresztą skrajną wolnością, co uczy ich kierowania samymi sobą – rzeczy, którą Anglik słusznie uważa za podstawę wychowania. Gry, w których trzeba umieć rozkazywać i słuchać, są uważane za szkołę dyscypliny, solidarności i wytrwałości nieskończenie przydatniejszą niż niższa, a w każdym razie mało użyteczna umiejętność układania przekładów i wypracowań. [*Od tłumacza*: Le Bon przeoczył powstanie w XIX wieku w Anglii szeregu uniwersytetów na prowincji].

żadną miarą sama nauka, lecz przygotowanie do egzaminu. Zaznaczyli to zresztą troskliwie na okładkach.

Podsumowując, Anglik stara się zrobić ze swoich synów mężczyzn przygotowanych na całe życie, zdolnych do kierowania samym sobą i obywania się bez stałego nadzoru, którego ludy łacińskie nie potrafią uniknąć. To wychowanie daje przede wszystkim i nade wszystko *self-control* – co nazywam wewnętrzną dyscypliną – która jest narodową cnotą Anglii i która sama prawie by wystarczyła do zapewnienia jej pomyślności i wielkości.

Skoro zasady omówione powyżej są następstwem uczuć, które łącznie tworzą ducha angielskiego, powinniśmy je oczywiście odnaleźć we wszystkich krajach zamieszkałych przez tę samą rasę, a w szczególności w Ameryce. Rzeczywiście się tam one odnajdują. Oto jak wyraża się na ten temat pilny obserwator, de Chasseloup-Labat:

Sposób, w jaki Amerykanie pojmują społeczną funkcję nauczania, jest jeszcze jedną przyczyną stabilności ich instytucji. Pomijając minimum wiadomości, które w ich ocenie ma dostarczyć dzieciom szkoła podstawowa, uważają, że głównym celem pedagogów ma być ogólne wychowanie, a nie wykształcenie. W ich oczach wychowanie fizyczne, intelektualne i moralne, to znaczy rozwijanie energii i wytrzymałości – czy chodzi o ciało, umysł czy charakter – stanowi dla każdej jednostki główny czynnik powodzenia. Jest pewne, że usilność pracy, wola sukcesu i zwyczaj ponawiania wysiłków są nieocenionymi siłami, ponieważ mogą znaleźć zastosowanie w każdej chwili kariery. Wiedza, przeciwnie, musi zmieniać się stosownie do sytuacji, w której się jest, oraz zadań, którym się poświęca.

Przygotować ludzi do życia, a nie do zdobywania dyplomów – oto co stanowi ideał Amerykanów. Rezultatem jest rozwinięcie inicjatywy, siły woli, zwyczaju samodzielnego myślenia. Daleko, jak widać, od tych idei do idei łacińskich. Kontynuując studium zobaczymy, jak te różnice stają się coraz wyraźniejsze.

§ 2. Idee społeczne robotników anglosaskich

Socjaliści w Anglii nie rekrutują się spomiędzy klas wyższych, lecz spośród robotników. Powinniśmy zostawić więc powyższe kwestie ogólne i zbadać, jakie są źródła wiedzy i wychowania robotnika anglosaskiego, i jak się tworzą jego poglądy.

Wykształceniem i wychowaniem różni się on dosyć mało od warstw mieszczańskich. Również realizują się one w kontakcie z rzeczami, a nie przez wpływ książek. Z tego powodu nie może istnieć w Anglii przepaść między klasami stworzona przez konkursy i dyplomy u narodów łacińskich. Można czasem spotkać we Francji robotnika fabryki czy

kopalni, który stał się właścicielem, ale ani jednego, który zostałby oficjalnie inżynierem, ponieważ by nim zostać, musiałby najpierw przejść przez szkoły, bo one dają dyplomy; dają je zaś tylko tym, którzy je rozpoczęli przed dwudziestym rokiem życia. Wystarczająco zdolny robotnik angielski staje się mistrzem, potem inżynierem; nawet nie mógłby stać się inżynierem inną drogą.[4] Nic bardziej demokratycznego: przy takim systemie nie będzie straconych sił, a przede wszystkim zdeklasowanych. Nikomu nie przychodzi do głowy pogardzać pracą ręczną, tak ignorowaną i lekceważoną przez naszych maturzystów i magistrów, skoro praca ręczna stanowi dla wszystkich klas konieczny okres przejściowy.

Zobaczyliśmy zatem, jakie są źródła wykształcenia technicznego robotnika angielskiego. Spójrzmy teraz na źródła jego wykształcenia teoretycznego: wykształcenia koniecznego, jeśli idzie ono za praktycznym lub mu towarzyszy, ale go nie wyprzedza. Szkoła podstawowa dała robotnikowi tylko wiedzę elementarną, której uzupełnienia sam odczuwa potrzebę; do tej dodatkowej nauki, której użyteczność czuje, wnosi całą energię swojej rasy. Uzyskuje łatwo to konieczne uzupełnienie na kursach wieczorowych, które z prywatnej inicjatywy powstają wszędzie – i wszędzie przedmioty pozostaną w ścisłym związku z tym, czego słuchacze uczą się w praktyce w kopalni i w warsztacie. Mają więc stale środki sprawdzenia użyteczności tego, czego się uczą.

Do tego źródła wykształcenia teoretycznego dołączają się biblioteki ludowe, wszędzie zakładane, oraz gazety. Nie ma żadnego porównania między gazetą francuską, tak ulotną, która nie miałaby czytelników z drugiej strony kanału La Manche, a gazetą angielską, tak bogatą w dokładne informacje wszelkiego rodzaju. Pisma na temat wynalazków mechanicznych, takie jak *Engineering*, mają za czytelników przede wszystkim robotników. Najpopularniejsze pisma w małych miejscowościach pełne są informacji o kwestiach ekonomicznych czy przemysłowych w całym świecie. De Rouziers opowiada o rozmowach z robotnikami fabrycznymi, których uwagi dowiodły mu, że są oni *dużo lepiej poinformowani o tym, co się dzieje w świecie, niż większość Francuzów, którzy otrzymali wykształcenie zwane zwyczajowo liberalnym*. Cytuje dyskusję, jaką odbył na temat bimetalizmu, taryfy Mac Kinleya itd. Rozmówca nie układał eleganckich zdań, ale jego obserwacje były praktyczne i słuszne.

---

[4] Młody Anglik z bogatej rodziny chcący zostać inżynierem nie będąc płatnym robotnikiem, nie znajdzie innego sposobu niż praca dwa lub trzy lata w dużej fabryce i płacenie drogo za ten staż. Dobre przedsiębiorstwo budowlane zażąda od niego 2500 franków rocznie. Uzyskane rezultaty dowodzą wartości tego systemu kształcenia praktycznego, tak różnego od naszego. Ważnymi budowami w świecie kierują dziś inżynierowie angielscy.

Tyle co do kształcenia teoretycznego. W jaki jednak sposób robotnik pozyska, oprócz innych, ogólne wiadomości ekonomiczne, które pozwalają podejmować decyzje i prowadzić interesy? Po prostu – uczestnicząc w zarządzaniu przedsiębiorstwami, które go interesują, zamiast pozostawiać ich zarząd państwu czy właścicielowi. Najmniejsze ośrodki robotnicze dorobiły się spółek spółdzielczych, ubezpieczeniowych i innych, kierowanych wyłącznie przez robotników. Stykają się oni więc codziennie z rzeczywistością i szybko uczą unikać zderzeń z niemożliwością i utopią. *Przez mnóstwo spółek spółdzielczych o autonomicznym zarządzie, trade-unionizm, umiarkowanie, wzajemną pomoc, Wielka Brytania* – pisze de Rouziers – *przygotowuje pokolenie zdolnych obywateli i ten sposób szykuje się do przyjęcia bez gwałtownej rewolucji zmian politycznych, które mogą się wydarzyć.* Jako dowód uzdolnień praktycznych, jakie robotnicy w końcu uzyskują, autor podaje, że w jednym tylko roku siedemdziesięciu robotników zostało w Anglii wybranych sędziami pokoju, i że w parlamencie jest ich dwunastu, w tym podsekretarz stanu. Sumy złożone przez robotników w trade-unionach (związkach zawodowych), spółkach akcyjnych, kasach oszczędności itd. są oceniane na osiem miliardów [franków].

Łatwo dowieść, że są to wyłącznie skutki cech rasy (kultury), a nie wpływy środowiska, skoro inni robotnicy, postawieni obok tamtych w całkowicie identycznych warunkach, wcale nie mają opisywanych zalet. Tak jest na przykład z robotnikami irlandzkimi w warsztatach angielskich. De Rouziers dostrzegł wraz z wieloma innymi, ich niższość, zauważaną też w Ameryce: *Nie okazują pragnienia wzniesienia się wyżej; są zadowoleni, jeśli tylko mają co jeść.* W Ameryce nie widzi się ich wcale, podobnie zresztą jak Włochów, w zawodach innych niż żebracy, politycy, murarze, służący lub szmaciarze.[5]

Obeznany z prawidłowościami ekonomicznymi, robotnik angielski świetnie umie dyskutować z właścicielem-pracodawcą o swoich sprawach, a nawet przymusić go strajkiem; natomiast nie zazdrości mu, nie nienawidzi go, gdyż nie uważa go za kogoś z istoty różnego od siebie. Doskonale wie, ile pracodawca zarabia i może dać. Nie zaryzykuje robotnik strajku, jeśli po dojrzałym namyśle nie stwierdzi, że rozbieżność między dochodem z pracy i z kapitału jest zbyt wielka. *Nie można poważnie szkodzić pracodawcy, z dwóch przyczyn: jeśli się mu szkodzi, rujnuje się go, a jeśli się go zrujnuje, przestaje być pracodawcą.* Myśl o zobowiązaniu państwa do wkraczania między pracownika a pracodawcę, tak droga naszym socjalistom, jest robotnikowi angiels-

[5] Autor powiela tu obelżywe stereotypy zapożyczone od Anglików i WASPów [*przypis tłumacza*].

kiemu wstrętna. Żądanie emerytury dla robotników wydałoby się mu zarazem niemoralne i absurdalne. W swoich notatkach o Anglii Taine sygnalizował już niechęć robotnika angielskiego do ochrony rządowej i kontrastował tę charakterystyczną awersję ze stałym odwoływaniem się robotników francuskich do powinności państwa.

Tak samo jak na kontynencie, robotnik angielski pada ofiarą zmian ekonomicznych i klęsk w przemyśle; ma jednak dość wiedzy o prawidłowościach gospodarczych i obycia w interesach, by nie mieć o to pretensji do pracodawcy. Zupełnie lekceważy deklamacje o wyzyskiwaczach i nikczemnym kapitale, tak drogie przywódcom łacińskim. Wie bardzo dobrze, iż kwestia robotnicza nie sprowadza się do konfliktów między kapitałem a pracą, gdyż kapitał i praca są podporządkowane czynnikowi w inny sposób potężnemu: nabywcom. Potrafi się więc ugiąć przed bezrobociem i redukcjami płac, kiedy uzna je za nieuniknione. Dzięki swej inicjatywie i wykształceniu potrafi nawet, w razie potrzeby, zmienić zawód. De Rouziers wspomina angielskich murarzy jadących na sześć miesięcy w roku do Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu pracy; inni robotnicy, rujnowani przez import wyrobów wełnianych z Australii, wysłali delegatów dla zbadania sprawy w terenie. Kupili na miejscu wełnę kolonialną i dzięki nowemu przedsięwzięciu szybko zmienili warunki życia w swoim regionie.

Taki zapał, inicjatywa i zdolności u robotników wydają się w krajach łacińskich czymś niezwykłym. Wystarczy przepłynąć ocean, by u Anglosasów w Ameryce[6] znaleźć je jeszcze bardziej rozwinięte. Przede wszystkim nie ma tam co liczyć na państwo. Nie zakiełkowałaby w mózgu amerykańskim myśl o zażądaniu od niego, by stworzył koleje żelazne, porty, uniwersytety itd. Wystarczy do tego sama inicjatywa prywatna. Przejawiła się ona wspaniale w stworzeniu ogromnej sieci linii kolejowych, jakie przecinają tę wielką republikę. Żadne przedsięwzięcie nie ujawnia lepiej przepaści dzielącej ducha łacińskiego od anglosaskiego, gdy chodzi o niezależność i inicjatywę.

Przedsiębiorstwo kolejowe nie jest uważane w Stanach Zjednoczonych za coś innego niż jakiekolwiek inne przedsiębiorstwo. Stworzone przez spółkę, utrzymuje się tak długo, jak jest dochodowe. Nikomu by nie przyszło do głowy, że akcjonariusze mogliby, jak we Francji, być

[6] Co się tyczy mechaniki i wielkiego przemysłu, wyższość robotników amerykańskich jest dziś bezsprzeczna. Mimo ogromnych kosztów transportu, maszyny amerykańskie, na przykład lokomotywy, coraz bardziej opanowują Europę. Jak się wyraził ostatnio w *Revue scientifique* pewien inżynier angielski: *Lokomotywy amerykańskie mogą być budowane mniejszym kosztem na jednostkę wagi niż lokomotywy europejskie, choć płace w Ameryce są znacznie wyższe niż w Europie. Ta zasadnicza różnica tłumaczy się zaletami typowymi dla robotników amerykańskich i zapewne szerszym użyciem maszyn.*

wynagradzani przez państwo.[7] Największe obecnie linie zaczynano dla zmniejszenia ryzyka na małą skalę. Linię się przedłuża tylko wtedy, gdy odnosi od początku sukces. Tym prostym sposobem linie amerykańskie osiągnęły zasięg większy niż w krajach europejskich, mimo pomocy ich rządów. Nie ma jednak nic prostszego niż machina administracyjna, która kieruje tymi ogromnymi sieciami; do ich prowadzenia wystarczy niewielka liczba dyrektorów, zainteresowanych wynikami i odpowiedzialnych za nie.

Zbadajmy proste, precyzyjne i szybkie funkcjonowanie machiny administracyjnej – pisze L.P. Dubois. *Żadnych biur, żadnych nieodpowiedzialnych urzędników przygotowujących raporty podpisywane przez szefów bez czytania; dewizą jest 'każdy za siebie'. Praca, wysoce podzielona, jest zarazem zdecentralizowana, od góry do dołu drabiny każdy ma swój przydział i odpowiedzialność; system ten najlepiej służy wydobyciu wartości zalet indywidualnych. Jako personel pomocniczy widzimy tylko kursujących chłopców i maszynistki przepisujące listy, które stenograficznie zanotowały pod dyktando. Nic się nie wlecze: każda sprawa ma być załatwiona w dwadzieścia cztery godziny. Wszyscy są zajęci, przeciążeni, od prezesa po prostego pracownika, każdy pracuje dziewięć godzin dziennie. Skądinąd administracja wielkich kolei żelaznych zajmuje mało osób i miejsca; w Chicago Burlington and Quincy, które na Zachodzie eksploatuje ponad dziesięć tysięcy kilometrów linii, zajmuje tylko jedno piętro swojego biurowca na Adam's Street w Chicago; tak samo Saint Paul.*

Prezes skutecznie kieruje całością spraw: jest to generał głównodowodzący. Jest wszechstronny, przychodzą do niego wszystkie ważne sprawy z różnych służb; bywa po kolei inżynierem, ekonomistą, finansistą, adwokatem w procesie sądowym, dyplomatą w relacjach z prawodawcami; zawsze jest przy wyłomie. Prezes często przeszedł przedtem przez wszystkie stopnie swoich służb czynnych lub biurowych; ten oto zaczął jako mechanik w służbie towarzystwa, którym dziś kieruje. Wszyscy są ludźmi wysoce wartościowymi, typowymi dla najlepszego gatunku amerykańskiego biznesmena, ukształtowanego przez praktykę i przez nią doprowadzonego do spraw ogólnych.

To co powiedziano powyżej, pozwala wyczuć, że nasze idee socjalizmu państwowego, naturalne dla ludów łacińskich, mają słabe szanse powodzenia u Anglosasów. Nic więc dziwnego, że między delegatami robotników anglosaskich i łacińskich obecnymi na kongresach socjalis-

[7] Wszystkie francuskie towarzystwa kolejowe, prócz jednego, są zmuszone do ratowania się gwarancjami. Państwo jest zobowiązane do wpłacania ich akcjonariuszom ogromnych sum, które poważnie obciążają budżet.

tycznych wybuchają natychmiast zaciekłe spory. Rasa angielska zawdzięcza swoją siłę rozwojowi inicjatywy prywatnej i ograniczeniu funkcji państwa. Idzie zatem w kierunku przeciwnym niż socjalizm i tylko dzięki temu prosperuje.

Nie znaczy to oczywiście, że w Ameryce i Anglii nie są głoszone najgorsze formy kolektywizmu, a nawet anarchia. Od wielu lat sygnalizowano postępy socjalizmu w Anglii, ale sygnalizowano także, iż werbuje on swych zwolenników prawie wyłącznie w źle opłacanych zawodach, wykonywanych w związku z tym przez mniej uzdolnionych robotników, to znaczy przez nieprzystosowanych, którym poświęcimy dalej osobny rozdział. To oni żądają nacjonalizacji ziemi i kapitałów oraz opiekuńczej interwencji rządu – i tylko oni mają w takim żądaniu interes.

Przede wszystkim jednak w Stanach Zjednoczonych socjaliści mają wielką armię sekciarzy. Ta armia staje się codzień liczniejsza i groźniejsza. Rekrutuje się ona z rosnącego strumienia imigrantów obcej krwi, bez zasobów i bez energii, nie przystosowanych do warunków życia w nowej ojczyźnie. Tworzą oni dziś ogromne zbiorowisko wyrzutków. Stany Zjednoczone przeczuwają już dzień, kiedy trzeba będzie wydać krwawą bitwę tym masom i podjąć przeciw nim niszczącą walkę bez litości, która podobna będzie, przy znacznie większej skali, do niszczenia hord barbarzyńców, któremu musiał poświęcić się Mariusz dla uratowania cywilizacji rzymskiej od inwazji. Być może dopiero za cenę podobnej hekatomby będzie można uratować świętą sprawę niezależności człowieka i postępu cywilizacji, do której porzucenia ludzie wydają się dziś gotowi.

Rozdział 3
Psychologia ludów łacińskich

§ 1. Skąd się bierze rzeczywisty system polityczny danej społeczności

Badanie socjalizmu u Anglosasów dowiodło nam, że teorie socjalistyczne zderzają się u tych ludów z cechami rasy, które uniemożliwiają jego rozwój. U ludów zwanych łacińskimi jest, jak stwierdzimy, przeciwnie, socjalizm jest następstwem uprzedniej ewolucji – następstwem systemu, jakiemu są one nieświadomie poddane od dawna; żądają więc jedynie jego dalszego rozwinięcia.

Ze względu na ważność przedmiotu, będzie trzeba poświęcić mu kilka rozdziałów. Tylko sięgając do korzeni dostrzega się stopniową ewolucję pewnych instytucji. Gdy którąś z nich u danego ludu dobrze prosperuje, można być pewnym, że jest to wykwit ewolucji dawniejszej.

Ta ewolucja nie zawsze jest widoczna, ponieważ instytucje, przede wszystkim w czasach współczesnych, często stanowią przebrania stworzone przez teoretyków, które – nie przylegając do żadnej rzeczywistości – nie przejawiają też żadnego działania. Studiowanie instytucji i konstytucji od zewnątrz, stwierdzanie, że ludy żyją w republice lub monarchii, nie uczy niczego i tylko skrzywia umysł. Istnieją kraje takie jak republiki latynoamerykańskie, które mają znakomicie napisane konstytucje i doskonałe instytucje, a tymczasem pogrążone są w zupełnej anarchii, w despotyzmie małych tyranów, których pomysłów nic nie ogranicza. W innej części globu są krainy takie jak Anglia, żyjące w systemie monarchicznym i arystokratycznym, w systemie prawnym niewyobrażalnie dla teoretyka niejasnym i niedoskonałym, gdzie jednak wolność, uprawnienie obywateli do osobistego działania, jest rozwinięta bardziej niż kiedykolwiek i u jakiegokolwiek ludu.

Najskuteczniejszą metodą odkrycia, poza pustymi formami zewnętrznymi, prawdziwego systemu politycznego danego ludu jest zbadanie na szczegółach spraw publicznych wzajemnych granic funkcji rządu i jednostek – to znaczy poglądu, jaki ten lud ma na państwo. Gdy tylko zagłębić się w to badanie, maski spadają i objawia się naga rzeczywistość. Widać wtedy bardzo szybko, jak daremne są wszystkie teoretyczne dyskusje nad wartością zewnętrznych form rządu i instytucji; poj-

muje się jasno, że lud tak samo nie może wybrać sobie instytucji naprawdę nim kierujących, jak jednostka nie może sobie wybrać wieku. Teoretyczne instytucje mają mniej więcej tę samą wartość, co sztuczne sposoby, za pomocą których człowiek próbuje ukryć swoje lata. Mniej uważny obserwator nie widzi rzeczywistości, ale ona jednakowoż istnieje.

W wielu pracach próbowałem już dowieść powyższego. Badanie socjalizmu u różnych ludów dostarcza nowych elementów tego dowodu. Przed podjęciem jego studium u ludów łacińskich krótko naszkicujemy ich psychologię.

§ 2. Stan umysłowy ludów łacińskich

Czytelnik moich prac wie, co rozumiem przez termin ludy łacińskie czy rasa łacińska. Nie mam na myśli rasy w sensie antropologicznym, gdyż czyste rasy, poza ludami dzikimi, prawie całkiem zanikły. U ludów cywilizowanych jest tylko to, co nazwałem gdzie indziej rasami historycznymi, to znaczy stworzonymi przez wydarzenia historyczne. Takie rasy tworzą się wtedy, gdy jakiś lud, czasem złożony z bardzo różnych składników, był poddany przez wieki podobnym wpływom środowiska, pewnej formie życia zbiorowego, wspólnym instytucjom i wierzeniom, takiemu samemu wychowaniu. Jeśli tylko dane populacje nie są zbyt różnego pochodzenia, jak na przykład Irlandczycy poddani panowaniu angielskiemu, czy rozmaitego pochodzenia rasy pod władzą austriacką, stapiają się i zyskują ducha narodowego, to znaczy podobne uczucia, interesy, sposoby myślenia.

Takiego dzieła nie dokonuje się w jeden dzień. Powstanie ducha narodowego kończy się wtedy, gdy lud jest ukształtowany, cywilizacja ukonstytuowana, rasa historyczna ustalona.

Dopiero gdy się to dokonało, niespójna chmara jednostek połączonych przez przypadek podboju, inwazji czy aneksji tworzy jednorodny naród. Jego siła staje się wtedy bardzo znaczna, gdyż ma wspólny ideał i wspólną wolę. Zdolny jest on do wielkich wysiłków zbiorowych. Wszyscy ludzie z tak ukształtowanej rasy kierują się w działaniu podobnymi zasadami. Na wielkie kwestie religijne lub polityczne będą mieli pogląd podobny. Duch ich rasy przejawi się natychmiast w sposobie podjęcia każdej sprawy – handlowej, dyplomatycznej czy technicznej.

Jako przykład ludu o ustalonym duchu narodowym można wymienić Anglików. Ich duch narodowy przejawia się w najmniejszych szczegółach. U takiego ludu decentralizacja nie jest groźna, ponieważ każde małe ogniwo ożywione wspólną myślą, podąży za wspólnym dziełem.

U ludów łacińskich, złożonych z różnorodnych populacji, podzielonych co do wszystkich kwestii, które jeszcze nie zyskały trwałego ducha narodowego, sztywny system scentralizowany jest potrzebny dla zapobieżenia rozpadowi. Tylko on może zastąpić wspólnego ducha, którego tym ludom nie udało się jeszcze zyskać.

To, co tu powiedziano o ludach łacińskich, stosuje się też do innych, które może nie mają nic łacińskiego we krwi, może znacznie różnią się między sobą, ale przez długie wieki były poddane jarzmu idei łacińskich. Są łacińskie przez uczucia, instytucje, literaturę, wierzenia i sztukę, a wychowanie podtrzymuje w nich tę tradycję. *Począwszy od Renesansu* – pisze Hanotaux – *obraz Rzymu wyrył się nieusuwalnymi znamionami na obliczu Francji... Przez trzy wieki cywilizacja francuska jawiła się jako naśladownictwo rzymskiej.* Czyż nie jest tak nadal?

W niedawno opublikowanej pracy omawiając nowe wydanie *Historii rzymskiej* Micheleta, Gaston Boissier broni tego samego poglądu. Słusznie zauważa, iż *zawdzięczamy Rzymowi większą część tego, czym jesteśmy; kiedy wchodzimy w siebie, znajdujemy tam zasób uczuć i poglądów, które nam pozostawił; nic nie mogło sprawić, byśmy je zatracili, i na nich też opiera się cała reszta.*

Ogólniejsze cechy psychologii ludów łacińskich można podsumować w kilku zdaniach. Przy bardzo żywej inteligencji Celtów bardzo słaba była ich inicjatywa i stałość woli. Niezdolne do dłuższego wysiłku, ludy te lubiły być prowadzone, uważając jednak przywódców, a nigdy samych siebie, za winnych niepowodzeń. Gotowi do podejmowania wojen bez powodu, jak to mówił już Cezar, załamywali się przy pierwszych porażkach. Cechuje ich kobieca zmienność, już przez wielkiego zdobywcę nazwana galijską chorobą. Ta zmienność czyni ich niewolnikami impulsów. Ich cechą najbardziej może wyraźną jest brak wewnętrznej dyscypliny, która – pozwalając człowiekowi na kierowanie samym sobą – przeszkadza mu w dążeniu do bycia prowadzonym.

Istota rzeczy pozostawia ich zazwyczaj obojętnymi, pasjonuje ich tylko aspekt zewnętrzny. Wydają się bardzo zmienni, skłonni do rewolucji, ale w rzeczywistości są nadzwyczaj zachowawczy. Ich ewolucje dokonują się ze względu na słowa i nie zmieniają niczego oprócz słów.[1]

Właśnie z powodu słów, których magicznej władzy ulegają, ludy łacińskie bez przerwy się szarpią, zamiast dostrzec, jakich złudzeń

---

[1] *Nie ma kraju* – mówił Pierre Baudin w mowie ministerialnej – *gdzie nowe idee łatwiej znajdują ludzi, którzy przejmą się nimi na sposób apostolski. Ale z drugiej strony nie ma kraju, gdzie rutynowe działania byłyby bardziej zakorzenione. Opierają się one skutecznie szturmowi wiedzy naukowej.*

padają ofiarą. Nie ma ludów, wśród których partie polityczne byłyby liczniejsze i bardziej wobec siebie wrogie, ani też takich, w których panowałaby większa zgodność w myśli politycznej. Wspólnym ideałem wszystkich partii, od najbardziej rewolucyjnych po najbardziej zachowawcze, jest zawsze absolutyzm państwowy. Jedyną partią polityczną ludów łacińskich jest etatyzm. Dusze jakobina, monarchisty, klerykała i socjalisty nie różnią się pod tym względem. Jakże zresztą miałyby się różnić, skoro są córami jednej przeszłości i uginają się pod jarzmem tej samej myśli przejętej od zmarłych? Jesteśmy skazani na czczenie długo jeszcze tych samych bogów pod różnymi imionami.

Ludzie rasy łacińskiej wydają się zakochani w równości i są zazdrośni wobec wszelkiej wyższości, ale pod tą pozorna potrzebą równości odkrywa się łatwo gwałtowne pragnienie nierówności. Nie mogą ścierpieć nikogo ponad sobą, ponieważ chcieliby widzieć cały świat pod sobą. Poświęcają znaczną część swego czasu na starania o uzyskanie tytułów i odznaczeń, które im pozwolą okazywać lekceważenie tym, którzy ich nie uzyskali. Z dołu do góry zawiść, z góry na dół pogarda.

O ile ich potrzeba nierówności jest bardzo duża, to ich potrzeba wolności bardzo słaba. Skoro tylko ją osiągną, próbują oddać ją w ręce pana, żeby mieć kierownictwo i reguły, bez których nie potrafiliby żyć. Ich rola w historii była ważna tylko wtedy, gdy mieli na czele ludzi wielkich; dlatego odwieczny instynkt każe im stale ich szukać.

Zawsze byli wielkimi mówcami, przyjaciółmi słów i logiki. Mało zajęci faktami, uwielbiają idee, pod warunkiem, że są one proste, ogólne i przedstawione pięknym językiem. Słowa i logika były zawsze straszliwymi wrogami ludów łacińskich. *Francuzi* – pisze Moltke – *zawsze biorą słowa za fakty*. Inne ludy łacińskie również. Słusznie zauważono, że gdy Amerykanie zaatakowali Filipiny, hiszpańskie Kortezy zajęte były tylko wygłaszaniem pompatycznych mów i prowokowaniem kryzysów, w trakcie których partie wyrywały sobie władzę, zamiast starać się podjąć kroki potrzebne do obrony ostatnich resztek narodowego dziedzictwa.

Z czaszek ofiar słów i logiki można by u ludów łacińskich wznieść piramidę wyższą niż największa z egipskich. Anglosas gnie się przed faktami i przed koniecznością, nie obwinia nigdy rządu za to, co mu się przydarza, i mało się przejmuje wskazaniami pozornej logiki. Wierzy w doświadczenie i wie, że ludzie nie kierują się rozumem. Człowiek rasy łacińskiej wywodzi wszystko z logiki i konstruuje całe społeczeństwo według projektów zrodzonych w świetle Rozumu. To było marzeniem Rousseau i wszystkich autorów jego wieku. Rewolucja tylko zastosowała ich doktryny. Żadne rozczarowanie nie nadwątliło dotąd potęgi takich złudzeń. To właśnie nazywał Taine umysłem

klasycznym: *Izolować kilka pojęć prostych i ogólnych; potem porzucając doświadczenie je zestawić, połączyć, a ze sztucznego złożenia tak uzyskanego po trochu wydedukować przez rozumowanie wszystkie zawarte w nim następstwa.* Wielki pisarz znakomicie uchwycił to nastawienie umysłowe w mowach z naszych zgromadzeń rewolucyjnych:

Przejrzyjcie przemowy z trybun i z klubów, raporty, uzasadnienia ustaw, ulotki, tyle pism inspirowanych przez wydarzenia aktualne i przejmujące: żadnej myśli o istocie ludzkiej takiej, jaką ma się przed oczyma, w polu i na ulicy; wyobrażano ją sobie zawsze jako prosty automat, którego mechanizm jest znany. Dla pisarzy była dopiero co serynetką[2] *na słowa; dla polityków jest teraz serynetka do głosowania, którą wystarczy pocisnąć palcem w określonym miejscu, by wydobyć z niej pożądaną reakcję. Nigdy fakty; tylko abstrakcje, litanie zdań o Naturze, rozumie, ludzie, tyranach, wolności, swoiste nadmuchane balony zderzające się bezużytecznie w przestrzeni. Gdyby nie wiedzieć, iż to wszystko doprowadziło do efektów praktycznych a strasznych, można by uwierzyć, że to gra logiczna, ćwiczenia szkolne, akademickie popisy, ideologiczne kombinacje.*

Towarzyskość ludów łacińskich, a zwłaszcza Francuzów, jest nader rozwinięta, ale ich poczucie solidarności jest słabe. Anglik jest przeciwnie mało towarzyski, natomiast solidaryzuje się dogłębnie z jednostkami ze swojej rasy. Stwierdziliśmy, że ta solidarność jest jedną z głównych przyczyn jego siły. Ludy łacińskie są prowadzone przede wszystkim przez egoizm indywidualny, Anglosasi przez zbiorowy.

Zupełny brak solidarności, który się obserwuje u wszystkich ludów łacińskich, jest jedną z wad, która im najbardziej szkodzi. Jest to wada rasy, w dodatku bardzo rozwinięta przez wychowanie. Przez stałe konkursy i klasyfikacje każe ono jednostce zawsze walczyć z podobnymi sobie i rozwija egoizm indywidualny kosztem zbiorowego.

Brak solidarności można u ludów łacińskich zauważyć w najmniejszych zdarzeniach z życia. Dawno zauważono, że młodzi Francuzi zawsze przegrywają z Anglikami w grze w piłkę, po prostu dlatego, że gracz angielski, zajęty powodzeniem swojej drużyny a nie swoim osobistym, podaje sąsiadowi piłkę, której nie może zachować, podczas gdy gracz francuski upiera się ją trzymać, woląc by mecz został przegrany, niż by dostał ją kolega. Sukces grupowy jest mu obojętny, interesuje się tylko swym sukcesem indywidualnym. Ten egoizm pójdzie naturalnie za nim przez życie, a jeśli stanie się zupełny, zdarzy się mu czasem zostawić na łasce wrogów kolegę, któremu mógłby udzielić

[2] Przyrząd do uczenia ptaków śpiewu, zawsze wydający tę sama melodię.

pomocy – żeby nie odniósł sukcesu; smutne tego przykłady widzieliśmy w czasie naszej ostatniej wojny.

Ten brak solidarności u ludów łacińskich jest uderzający przede wszystkim dla podróżników, którzy odwiedzili nasze kolonie. Wielokrotnie mogłem stwierdzić słuszność obserwacji A. Maillet:

Kiedy Francuzi są sąsiadami w koloniach, rzadko kiedy nie są wrogami. Pierwszym odczuciem podróżnika, który trafia do kolonii, jest zdumienie. Każdy kolonista, każdy urzędnik, a nawet każdy wojskowy wyraża się o innych z taką złością, że można się zapytywać, czemu ci ludzie nie strzelają do siebie z rewolwerów.

Ludzie rasy łacińskiej odznaczają się zupełną niezdolnością do zrozumienia poglądów innych, a w następstwie do ich szanowania. Według nich wszyscy ludzie są skonstruowani według jednego tylko modelu, a w konsekwencji powinni myśleć i czuć na jeden sposób.

Z tej niezdolności wynika ich skrajna nietolerancja. Ta nietolerancja jest tym większa, że opinie, jakie przyjmują, będąc najczęściej typu uczuciowego, są tym samym niedostępne argumentacji. Każda jednostka, której opinia jest inna niż ich własna, jest natychmiast uznawana za osobę złośliwą, którą należy prześladować, póki nie da się jej pozbyć w sposób bardziej gwałtowny. Wojny religijne, noc świętego Bartłomieja, Inkwizycja, Terror, są następstwem tej właściwości ducha łacińskiego. Zawsze uniemożliwi im ona dłuższe korzystanie z wolności. Człowiek rasy łacińskiej za wolność uważa jedynie prawo do prześladowania tych, co nie myślą tak jak on.

Ludy łacińskie zawsze dawały dowody brawury. Jednak ich niezdecydowanie, nieprzezorność, brak solidarności, brak zimnej krwi, strach przed odpowiedzialnością, czynią tę zaletę bezużyteczną, jeśli nie są one dobrze kierowane.

We współczesnych wojnach rola wyższego dowództwa zmniejsza się coraz bardziej z powodu rozległości pola bitwy. Przeważają zalety takie jak zimna krew, przezorność, solidarność, metodyczność, i dlatego ludy łacińskie niełatwo zobaczą na nowo swe dawne zwycięstwa.

W niedawnej jeszcze epoce umysł, piękny język, zalety rycerskie, uzdolnienia literackie i artystyczne stanowiły główne czynniki cywilizacji. Dzięki tym zaletom, które posiadają w wysokim stopniu, ludy łacińskie przez czas dłuższy przodowały wśród narodów. Z ewolucją techniczną, geograficzną i ekonomiczną epoki obecnej, warunki osiągnięcia wyższości przez ludy wymagają całkiem innych umiejętności. Dziś przeważają zalety takie jak stała energia, przedsiębiorczość, inicjatywa i metodyczność. Narody łacińskie mają ich mało; ich inicjatywa, wola, energia są coraz bardziej w upadku – i dlatego będą musiały stopniowo ustąpić miejsca tym, którzy je posiadają.

System wychowania narzucony młodzieży coraz bardziej niszczy to, co z tych zalet zostało. Traci ona stopniowo stałość woli, wytrwałość i inicjatywę, a przede wszystkim wewnętrzną dyscyplinę, która pozwala człowiekowi obyć się bez pana.

Rozmaite okoliczności przyczyniły się do zdziesiątkowania przez wielokrotnie powtarzaną selekcję negatywną jednostek, u których energia, aktywność, niezależność ducha były najbardziej rozwinięte. Ludy łacińskie płacą dziś za błędy przeszłości. Inkwizycja przez wieki systematycznie dziesiątkowała w Hiszpanii to, co w niej najlepszego. Odwołanie edyktu nantejskiego, rewolucja, cesarstwo, wojny domowe wyniszczyły we Francji natury najbardziej przedsiębiorcze i energiczne. Słaby przyrost ludności, stwierdzany u większości ludów łacińskich, jest dodatkowym źródłem rozkładu. Gdyby jeszcze rozmnażały się najlepsze części populacji, byłaby to niedogodność całkiem nikła, jako że nie liczba mieszkańców kraju, lecz ich wartość stanowi jego siłę. Niestety, poziom liczbowy ludności podtrzymują najmniej uzdolnieni, najsłabsi, najmniej przewidujący.

Nie ma wątpliwości, zresztą długo podkreślałem ten punkt, że o wartości ludu stanowi liczba ludzi wybitnych wszelkiego rodzaju, których wydaje. Jego dekadencja zachodzi przez zmniejszenie liczby a potem zanik ludzi więcej wartych. W pracy niedawno opublikowanej w *Revue scientifique* Lapouge doszedł do analogicznych wniosków co do Rzymian.

Jeśli po dwustu latach przerwy dokonać przeglądu na przykład wielkich rodzin rzymskich, dostrzega się, że najwybitniejsze z dawnych już nie istnieją, a na ich miejscu pojawiły się inne rodziny mniejszej wartości, wyszłe nawet z szeregów wyzwoleńców. Gdy Cyceron skarżył się na upadek cnót rzymskich, mąż z Arpinum zapominał, że w mieście, nawet w Senacie, rdzenni Rzymianie byli rzadkością, a na jednego potomka Kwirytów przypadało dziesięciu zepsutych Latynów i dziesięciu Etrusków. Zapominał, że miasto Rzym zaczęło podupadać, skoro tylko się otwarło, a jeśli miano obywatela stale traciło swój blask, to dlatego, że nosiło je więcej potomków ludów podbitych niż ludu zwycięzcy. Gdy na skutek kolejnych naturalizacji miasto Rzym rozciągnęło się na wszystkie ludy, kiedy Bretończycy, Syryjczycy, Trakowie i Afrykanie zostali przystrojeni mianem obywateli, zbyt ciężkim dla ich odwagi, rasowi Rzymianie zniknęli.

Szybki postęp pewnych ras, a mianowicie Anglosasów z Ameryki, wynikł stąd, że selekcja zamiast działać w kierunku negatywnym jak w Europie łacińskiej, sprzyja postępowi. Stany Zjednoczone bowiem przez długi czas były zaludniane osobami najbardziej niezależnymi, najbardziej energicznymi, jakich miały różne kraje Europy, a zwłaszcza Anglia. Trzeba było bowiem najlepszych zalet męskich, by ośmielić się

emigrować z rodziną do dalekiej krainy, zamieszkałej przez wojowniczą i wrogą ludność, i zbudować tam cywilizację.

Warto tu zanotować, co już zaznaczyłem wielokrotnie w poprzednich pracach, że nie z powodu spadku inteligencji, lecz osłabienia charakteru, ludy popadają w dekadencję i znikają z historii. To prawo się niegdyś sprawdziło na Grekach i Rzymianach i również dzisiaj zamierza się potwierdzić.

Ta podstawowa idea jest mało rozumiana i napotyka jeszcze na sprzeciwy, ale mimo wszystko się rozpowszechnia. Napotkałem jej bardzo dobre sformułowanie u niedawnego autora angielskiego, Beniamina Kidda; nie mógłbym lepiej poprzeć swej tezy niż zapożyczając od niego kilka fragmentów, w których trafnie i bezstronnie pokazuje różnice charakteru dzielące Anglosasa od Francuza, oraz następstwa historyczne tych różnic:

Każdy bezstronny umysł – powiada autor – *zmuszony jest uznać, że pewne rysy szczególne stawiają Francję na czele intelektualnych narodów Zachodu... Wpływ umysłowy tego kraju daje się faktycznie odczuć w całej naszej cywilizacji, w polityce, we wszystkich dziedzinach sztuki, we wszystkich dziedzinach, którymi zajmuje się myśl spekulatywna... Ludy germańskie uzyskują na ogół najlepsze rezultaty intelektualne tam, gdzie konieczne są studia pogłębione, pracochłonne, przemyślane, tam gdzie trzeba zebrać elementy dzieła kawałek po kawałku; brakuje im jednak w tych badaniach idealizmu umysłu francuskiego... Każdy świadomy obserwator, który po raz pierwszy wejdzie w bliższy kontakt z umysłem francuskim, musi w nim natychmiast wyczuć coś nieokreślonego, lecz wysokiej intelektualnej próby, czego w stanie naturalnym nie znajdzie ani u Niemców, ani u Anglików. To coś wyczuwa się tyleż w sztuce i w literaturze epoki współczesnej, co w wyższych wytworach geniuszu narodowego w przeszłości.*

Uznawszy tę wyższość umysłową Francuza, angielski autor podkreśla większą społeczną rolę charakteru niż inteligencji i pokazuje, na ile inteligencja może służyć posiadającym ją ludom. Biorąc za przykład historię walk kolonialnych między Francją a Anglią, które wypełniły historię drugiej połowy wieku XVIII, wyraża się następująco:

Lata XVIII wieku zakończyły się dla Francji i Anglii najbardziej niezwykłym pojedynkiem, o jakim donosi historia, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie wydarzenia, jakie zależały od wyniku tej walki. Skutki tej walki dały się uprzednio odczuć w całym świecie cywilizowanym. Walka została podjęta w Europie, w Indiach, w Afryce, w północnej Ameryce, na wszystkich oceanach. Sądząc po przemawiających do wyobraźni pozorach wszystkie okoliczności były bardziej sprzyjające dla rasy bardziej kwitnącej. Wydawała się przeważać uzbrojeniem, zasobami, ludnością.

W 1789 Wielka Brytania miała 9 600 000 mieszkańców, a Francja 26 300 000. Dochód narodowy Wielkiej Brytanii wynosił 391 250 000 franków, a Francji 600 000 000. Na początku wieku XIX Francja miała 27 milionów mieszkańców, gdy ludy mówiące po angielsku, wliczając w to Irlandczyków i mieszkańców stanów amerykańskich, nie przekraczały 20 milionów.

Dzisiaj, pod koniec XIX wieku, ludy mówiące po angielsku, nie licząc ludów podbitych, Indian czy Murzynów, dochodzą do imponującej sumy 101 milionów, gdy naród francuski osiągnął zaledwie 40 milionów. Od wielu lat ludy mówiące po angielsku były zwycięskie wszędzie, gdzie podjęły walkę. Panują w prawie całej Ameryce północnej, w Australii, w krajach południowej Afryki najodpowiedniejszych dla Europejczyków. Żaden inny lud nie osiedlił się w sposób trwalszy i bardziej zdecydowany w tylu krajach. Nie widać wcale, by przyszłość miała zatrzymać tę ekspansję, przeciwnie, wydaje się, że w sposób nieunikniony da tym ludom w nadchodzącym wieku decydujący wpływ na świat.

Badając następnie zalety charakteru, jakie pozwoliły Anglikom dokonać tak ogromnego postępu, z takim powodzeniem zarządzać swym olbrzymim imperium kolonialnym, na przykład tak przekształcić Egipt, by w kilka lat opinia narodu, który tonął w upadku, wzniosła się wyższy poziom, angielski autor dorzuca:

Te rezultaty nie były wynikiem zalet efektownych czy intelektualnych... Te zalety nie pobudzają wyobraźni. Były to przede wszystkim siła i energia w charakterze, uczciwość i prawość, zwykłe poświęcenie i poczucie obowiązku. Dalecy są od prawdy ci, którzy ogromny wpływ osiągnięty na świecie przez ludy mówiące po angielsku przypisują makiawelicznym manewrom ich przywódców. Ten wpływ jest w głównej części skutkiem mało efektownych zalet.

Jesteśmy więc gotowi do zrozumienia, dlaczego ludy silne intelektem, lecz słabe energią i charakterem zawsze były w sposób naturalny gotowe, by złożyć swoje przeznaczenie w ręce rządów. Krótki rzut oka na ich przeszłość pokaże nam, jak ta forma socjalizmu państwowego, znanego pod proponowaną dzisiaj nazwą kolektywizmu, daleka jest od nowości, stanowiąc naturalny wykwit dawnych instytucji i dziedzicznych potrzeb rasy, w której się obecnie rozwija. Redukując do minimum zasób energii i inicjatywy, jakiej jednostka potrzebuje, by się poruszać w życiu, oraz zdejmując z niej wszelką odpowiedzialność, kolektywizm wydaje się z tej racji dobrze przystosowany do potrzeb ludów, których wola, energia i inicjatywa stopniowo podupadły.

Rozdział 4
Koncepcja państwa w cywilizacji łacińskiej

§ 1. Jak się ustalają poglądy jakiejś społeczności

Studiując psychologię ludów łacińskich wyłożyliśmy, jak ich charakter sprzyjał rozwinięciu się wśród nich pewnych instytucji. Pozostaje nam wykazać, jak te instytucje się ustaliły i jak same stawszy się przyczynami w końcu zrodziły inne skutki.

Jak już zauważyliśmy, cywilizacja nie może się zrodzić inaczej, niż pod warunkiem, że ludy poddały się na czas dłuższy jarzmu tradycji. W okresie kształtowania się ludu, gdy jego elementy są niepodobne oraz o różnych i płynnych interesach, stałe instytucje i wierzenia mają poważne znaczenie.[1] Ważne jest, by te instytucje i wierzenia były w związku z cechami mentalności i potrzebami ludu, którym mają władać, ważne jest też, by były wystarczająco sztywne. Ten ostatni punkt jest zasadniczy i już go podkreślaliśmy. Jednakże po wykazaniu, że ludy muszą być przez czas dłuższy poddane jarzmu ustalonych tradycji, stwierdziliśmy też, że nie postępują one naprzód, jeśli nie mogą się od niego powoli uwolnić.

Nie uwalniają się od niego nigdy przez gwałtowne rewolucje. Rewolucje są zawsze przejściowe. Społeczeństwa, podobnie jak gatunki zwierząt, zmieniają się tylko przez dziedziczny dodatek małych stopniowych zmian.

Mało ludów jest dość plastycznych, by spełnić ten podwójny warunek stałości i zmienności. Bez wystarczającej stałości żadna cywilizacja nie może się ukonstytuować, bez wystarczającej zmienności żadna cywilizacja nie może iść naprzód.

---

[1] Można by się doszukiwać pozornej sprzeczności między tym stwierdzeniem, a tym, gdzie indziej sformułowanym, iż instytucje nie odgrywają żadnej roli w życiu ludów. Mówiliśmy jednak wtedy o ludach, które już osiągnęły dojrzałość, u których składniki cywilizacji są dziedzicznie ustalone. Takie ludy nie mogą być zmodyfikowane przez nowe instytucje, nie mogą nawet ich przyjąć inaczej niż pozornie. Z ludami nowymi, to znaczy mniej lub bardziej barbarzyńskimi, jest całkiem inaczej, bo u nich żaden element cywilizacji nie jest jeszcze ustalony. Czytelnik chcący pogłębić ten temat musi sięgnąć do mojej pracy *Les lois psychologiques de l'évolution des peuples*.

Instytucje ludów należy rozpatrywać jako skutki, które z kolei stają się przyczynami. Podtrzymywane przez pewną liczbę pokoleń, czynią one całkiem ustalonymi cechy psychologiczne, które najpierw były trochę niepewne i płynne. Blok gliny, z początku elastyczny i zdatny do obróbki, wkrótce robi się mniej podatny, a potem zyskuje twardość kamienia i prędzej pęknie niż zmieni kształt. Jest czasem dla ludu bardzo trudne dojść do stałego i spójnego bloku uczuć i myśli, ale dużo trudniej jest mu go potem zmodyfikować.

Gdy jarzmo tradycji zbyt długo było przez dziedziczenie utrwalane w duszach, ludy nie mogą go uniknąć, chyba że za cenę wielkich wysiłków, a najczęściej wcale się spod niego nie wymykają. Wiadomo jak gwałtownymi konwulsjami dotknięty został świat zachodni, kiedy w epoce Reformacji ludy Europy północnej chciały się uwolnić od religijnej centralizacji i autorytetu dogmatów, które pozbawiały ich niezależności i od których coraz bardziej odpychał je ich rozum.

Ludy łacińskie także chciały uwolnić się od jarzma przeszłości, nasza wielka rewolucja nie miała innego celu. Było jednak za późno. Po kilku latach konwulsji więzy przeszłości odzyskały swą władzę. Te więzy były bowiem zbyt silne, zostawiły w duszach odcisk zbyt głęboki, by można je było zerwać w jeden dzień.

Przejęte koniecznością autorytetu rządy przez wieki przeszkadzały ludom łacińskim w myśleniu, chceniu i działaniu, a wszelkie wychowanie miało za cel ten potrójny zakaz. Dlaczego ludzie mieliby myśleć i rozumować? – religia im zabraniała. Dlaczego mieliby chcieć i działać? Przywódcy państwa chcieli i działali za nich. Na dłuższą metę duch łaciński ugiął się przed tą koniecznością, ludzie nabyli nawyku poddawania się bez dyskusji dogmatom Kościoła uważanego za nieomylny, z królami z boskiego prawa równie nieomylnymi. Pozostawili przywódcom politycznym i religijnym troskę o kierowanie swymi myślami i czynami. To poddanie się było koniecznym warunkiem ich jedności. W pewnych momentach dawało im wielka siłę. Gdy ludy łacińskie miały na czele ludzi genialnych, przeżywały okresy świetności – ale tylko wtedy.

Od tego zupełnego poddania się autorytetowi ludy łacińskie zbytnio nie cierpiały aż do czasu, gdy ewolucja gospodarcza świata zmieniła dawne warunki egzystencji. Póki środki komunikacji były bardzo niedoskonałe, a postęp techniczny prawie żaden, narody pozostawały izolowane jeden od drugiego a tym samym całkowicie w ręku swoich rządów. Były więc one w stanie całkowicie podporządkować sobie czynności ludów. Za pomocą regulacji takich jak za Colberta mogły aż do najdrobniejszych szczegółów kierować przemysłem tak samo łatwo jak regulowały instytucje i wierzenia.

Odkrycie naukowe i techniczne, które tak dogłębnie zmieniły warunki życia ludów, przekształciły też działania rządów i coraz bardziej redukują możliwy zasięg ich działania. Kwestie techniczne i gospodarcze stały się dominujące. Telegraf i para, znosząc odległości, uczyniły ze świata jeden rynek, wolny od jakiejkolwiek regulacji. Rządy zostały więc zmuszone do wyrzeczenia się całkiem chęci sterowania jak niegdyś przemysłem i handlem.

W krajach, w których indywidualna inicjatywa rozwijała się od dawna, gdzie działania rządów stały się ograniczone, następstwa obecnej ewolucji gospodarczej zniesiono bez trudu. Kraje, w których takiej inicjatywy obywateli nie było, znalazły się, przeciwnie, rozbrojone, i musiały prosić o pomoc swych panów, którzy od tylu wieków myśleli i działali za nich. Tak oto rządy, kontynuując swą tradycyjną rolę, doszły do zarządzania tyloma przedsiębiorstwami przemysłowymi. Skoro jednak z wielu przyczyn, którym wkrótce się przyjrzymy, towary, których produkcją kieruje rząd, wytwarzane są powoli i kosztownie, te ludy, które pozostawiły rządom zajęcia, jakie same powinny podjąć, znalazły się w gorszej sytuacji niż inne.

Jest widoczne, że inaczej niż w przeszłości rządy łacińskie dalekie są od chęci kierowania wszystkim i wolałyby kierować rzeczami tak mało jak się da – ale jest też widoczne, że obecnie to ludy władczo żądają, żeby nimi rządzić. Badając ewolucję socjalizmu u ludów łacińskich, wykażemy, jak dalece ich potrzeba regulowania codziennie wzrasta. Państwo nadal więc reguluje, nadzoruje i chroni, bo po prostu nie może inaczej. Zadanie to jest coraz cięższe, coraz trudniejsze, wymaga bardzo wysokich (a tym samym rzadkich) umiejętności. Najmniejsze błędy rządów mają dziś dalekie reperkusje. Stąd ich wielka niestabilność i wieczne przewroty, które gnębią od wieku ludy łacińskie.

Ta niestabilność rządów nie odpowiada zresztą jakiejś rzeczywistej niestabilności systemu. Francja wydaje się na pierwszy rzut oka podzielona na liczne partie. Wszystkie jednak partie: republikanie, monarchiści, socjaliści, itd. mają, jak już powiedziałem, identyczną koncepcję państwa. Wszystkie żądają rozszerzenia jego funkcji. Pod różnymi etykietkami istnieje więc tylko jedna partia, partia łacińska, i dlatego wszystkie zmiany rządowych etykiet nigdy nie spowodowały żadnej realnej zmiany systemu.

§ 2. Łacińska koncepcja państwa. Postępy socjalizmu są naturalną konsekwencją ewolucji tej koncepcji

Określając, jak się ustaliły podstawowe koncepcje ludów łacińskich, wystarczająco już wskazałem, na czym polegała ich koncepcja państwa.

Pozostaje nam teraz pokazać, czemu rozwój socjalizmu jest naturalnym następstwem tej koncepcji.

Do cech ludów łacińskich poddanych wyżej analizie można by dodać tę, że chyba nie ma ludów, które by dokonały większej liczby przewrotów, a które zarazem byłyby uporczywiej przywiązane do instytucji z przeszłości. Można by rzec, że Francuzi są zarazem najbardziej rewolucyjni i najbardziej konserwatywni ze wszystkich ludów świata. Ich najkrwawsze rewolucje nie doprowadziły nigdy do czegoś innego, niż przybranie nowych nazw przez przestarzałe instytucje.

O ile bowiem łatwo jest tworzyć teorie, mowy i rewolucje, nie jest możliwe zmienić odwiecznego ducha ludu. W ostateczności można mu chwilowo siłą narzucić nowe instytucje, ale wkrótce wróci on do tych z przeszłości, ponieważ tylko one pozostają w związku z wymogami jego stanu umysłowego.

Umysły powierzchowne wyobrażają sobie jeszcze, że rewolucja francuska przyniosła jakąś odnowę naszych instytucji, że na nowych zasadach od początku stworzyła nowe społeczeństwo. W rzeczywistości, jak tego dowiódł dawno temu Tocqueville, jedynie obaliła nagle na ziemię to, co w dawnym społeczeństwie było już zmurszałe i samo by upadło ze starości parę lat potem. Natomiast instytucje, które się nie zestarzały, ponieważ były związane z uczuciami zakorzenionymi w rasie, nie mogły być przez rewolucję naruszone, a jeżeli, to tylko na krótko. Kilka lat później nawet ci, którzy próbowali je znieść, przywracali je pod inną nazwą. Nie zmienia się tak łatwo dziedzictwa dwunastu wieków.

Przede wszystkim w koncepcji państwa, to znaczy w coraz większym rozrastaniu się jego funkcji, w coraz ściślejszym ograniczaniu inicjatywy obywateli (co jest samym fundamentem obecnego socjalizmu), rewolucja niczego nie zmieniła i nie mogła niczego zmienić. Jeśli chce się zrozumieć, jak głęboko dążność do składania wszystkiego w ręce rządu, a w rezultacie do mnożenia funkcji publicznych, jest zakorzeniona w duchu rasy, trzeba tylko odnieść się do okresu na parę lat przed rewolucją. Działania władzy centralnej były prawie równie intensywne jak dzisiaj.

Miasta nie mogły bez zarządzenia Rady na podstawie raportu Intendenta – pisze Tocqueville – *ani ustalić akcyzy, ani zebrać podatku, ani obciążyć hipoteki swojego majątku, ani go sprzedać, ani wydzierżawić, ani się o niego procesować, ani nim zarządzać, ani wykorzystać nadwyżki budżetowej. Wszystkie roboty są wykonywane według planów i kosztorysów, które Rada zatwierdziła zarządzeniem. Wobec Intendenta lub jego delegatów przydziela się zamówienia na nie i zazwyczaj prowadzi je państwowy inżynier lub architekt. Zaskoczy to niemało tych, którzy*

myślą, że to, co widzi się we Francji, jest nowością. Trzeba było uzyskać zarządzenie Rady, by naprawić szkody wyrządzone przez wiatr dachowi kościoła lub poprawić walący się mur prezbiterium. Najbardziej oddalone od Paryża parafie wiejskie tak samo podlegały tej regule jak najbliższe. Stwierdziłem, że parafie prosiły Radę o prawo do wydania dwudziestu pięciu liwrów.

Wtedy jak i dzisiaj życie lokalne na prowincji było od dawna wygaszone przez stopniową centralizację, następstwo nie autokratycznej władzy suwerena, lecz obojętności obywateli.

Można się dziwić – mówi ten sam autor – *zaskakującej łatwości, z jaką Zgromadzenie Konstytucyjne mogło zniszczyć za jednym zamachem wszystkie stare prowincje francuskie, z których wiele było starszych niż monarchia, i podzielić metodycznie królestwo na osiemdziesiąt trzy osobne części, jakby chodziło o dziewiczą ziemię w Nowym Swiecie. Nic bardziej nie zaskoczyło, a wręcz przeraziło resztę Europy, która nie była przygotowana na podobne widowisko. Po raz pierwszy, powiedział Burke, widzi się ludzi kawałkujących w sposób tak barbarzyński swoją ojczyznę. Wydawało się bowiem, że rozdzierano żywe ciała – ale w rzeczywistości krajano trupy.*

To zniknięcie życia prowincji ułatwiło stopniową centralizację w dawnym systemie.

Nie dziwmy się – powiada znowu Tocqueville – *widząc z jaką cudowną łatwością centralizacja została przywrócona we Francji na początku tego wieku. Ludzie roku osiemdziesiątego dziewiątego obalili budowlę, ale jej fundamenty pozostały w duszy samych niszczycieli; na tych fundamentach można było ją wznieść całkiem od nowa i zbudować ją solidniejszą niż była kiedykolwiek.*

Stopniowe wchłanianie przez państwo w starym systemie wymagało, jak i dzisiaj, rosnącej liczby posad, a ich uzyskanie było marzeniem każdego obywatela.

W 1750 roku w niezbyt rozległym mieście prowincjonalnym 129 osób było zatrudnionych wymierzaniem sprawiedliwości, a 125 wykonywaniem ich zarządzeń – wszystko to byli mieszkańcy miasta. Zapał mieszczan do uzyskania tych stanowisk naprawdę nie miał sobie równych. Gdy tylko jeden z nich zgromadził jakiś kapitalik, zamiast wykorzystać go w interesach, zaraz używał go do kupienia stanowiska. Ta żałosna ambicja więcej zaszkodziła postępowi rolnictwa i handlu we Francji niż cechy, a nawet podatki.

Nie żyjemy więc dziś bynajmniej według zasad roku 1789, choć tak się często mówi. Żyjemy według zasad stworzonych przez stary system, a rozwój socjalizmu stanowi tylko jego ostateczny wykwit, ukryte następstwo ideału, do którego dążono przez wieki. Ten ideał był kiedyś

bez wątpienia bardzo użyteczny w kraju tak podzielonym jak nasz, którego bez stanowczej centralizacji nie można było zjednoczyć. Po zjednoczeniu zwyczaje zakorzenione w duszach nie mogły się niestety zmienić. Skoro zniszczono życie lokalne, unicestwiona inicjatywa obywateli nie mogła się odrodzić. Stan umysłów ludu ustala się wolno, ale raz ustalony zmienia się jeszcze wolniej.

Wszystko zresztą, zarówno instytucje jak wychowanie, prowadziło do tego wchłaniania przez państwo, czego przerażające skutki wkrótce pokażemy. Nasz system wychowania sam wystarczyłby do zupełnego unicestwienia najodporniejszego narodu.

Rozdział 5
Koncepcje wychowania, nauczania oraz religii w cywilizacji łacińskiej

§ 1. Łacińskie pojęcia o wychowaniu i nauczaniu

Łacińska koncepcja wychowania wynika z łacińskiej koncepcji państwa. Skoro państwo powinno kierować wszystkim, powinno także kierować wychowaniem; skoro państwo powinno myśleć i działać za obywateli, powinno troszczyć się o wpojenie duszom uczucia posłuszeństwa, szacunku dla wszystkich hierarchii surowo poskramiać wszystkie zachcianki co do niezależności i inicjatywy. Uczeń powinien się ograniczyć do nauczenia się na pamięć podręczników mówiących, co autorytety polityczne, religijne, filozoficzne i naukowe zadecydowały odnośnie wszystkich kwestii. Taki był dawny ideał jezuitów, który jeszcze został zręcznie uzupełniony przez Napoleona. Uniwersytet stworzony przez tego despotę jest najlepszym przykładem metod używanych dla zniewolenia inteligencji, osłabienia charakterów i przekształcenia młodych Francuzów albo w niewolników, albo w buntowników.

Czas idzie naprzód, ale nasz uniwersytet nic się nie zmienił. Ciąży nad nim przede wszystkim władcza moc zmarłych. Państwo, wyłączny kierownik nauczania, zachowało system edukacji odpowiedni w najlepszym razie dla średniowiecza, gdy panowali teologowie. Ten system pozostawił na wszystkich duszach łacińskich swoje znamię i rozkłada je. Nie dąży, jak kiedyś, do zniewolenia inteligencji, zakneblowania rozumu, zniszczenia inicjatywy i niezależności; skoro jednak metody się nie zmieniły, osiągnięte skutki są właśnie takie. Mamy zresztą instytucje, które – badane tylko z punktu widzenia skuteczności działania psychologicznego – mogłyby być uznane za znakomite; jak umiejętnie wytwarzają one całe grupy jednostek doskonale banalnych pod względem umysłu i charakteru! Cóż cudowniejszego, na przykład, niż nasze wyższe szkoły normalne z ich nadzwyczajnym systemem egzaminów? Czyż nie trzeba jechać aż do Chin, by znaleźć coś podobnego? Większość młodych ludzi z nich wychodzących ma identyczny pogląd na wszystko i nie mniej identyczny sposób jego wyrażania. Strona, zaczęta

przez jednego, mogłaby być bez wielkiej różnicy kontynuowana przez drugiego, bez żadnej zmiany myśli czy stylu. Jedynie jezuici potrafili wymyśleć równie doskonałe metody dyscypliny.

Przyzwyczajeni przez szczegółowe uregulowania, by przewidywać prawie co do minuty wykorzystanie swego czasu, uczniowie naszych liceów są odpowiednio przygotowani na resztę życia do uniformizmu myśli i działania, którego wymaga rozwój socjalizmu państwowego. Będą zawsze czuli gwałtowny wstręt do wszelkiej oryginalności, wszelkiego wysiłku osobistego, pogardę do wszystkiego, co nie jest wyspecjalizowane i skatalogowane, podziw dla hierarchii i naramienników (z pewną zazdrością, ale zawsze z szacunkiem). Wszelka skłonność do inicjatywy, indywidualnego wysiłku, będzie w nich zupełnie zagaszona. Będą się czasem mogli buntować, jak to czynili w kolegium, gdy nadzorowano ich zbyt surowo, ale te bunty nie będą ani groźne, ani trwałe. Szkoła normalna, licea i analogiczne instytucje okazują się zatem doskonałymi szkołami socjalizmu państwowego, egalitarnego i niwelującego różnice. Dzięki temu systemowi zmierzamy coraz bardziej ku tej formie rządów.

Jedynie badając szczegóły naszego łacińskiego systemu edukacji można dobrze zrozumieć obecny sukces socjalizmu u ludzi cywilizacji łacińskiej; studium to podjąłem tu jedynie skrótowo.[1]

Ludy anglosaskie nigdy nie znały naszego ohydnego systemu wychowawczego i po części dlatego, że go nie znały, znajdują się dziś w czołówce cywilizacji, zostawiając daleko w tyle ludy łacińskie.

Anglosaskie zasady wychowania są całkowicie różne od łacińskich. Wystarczy kilka przykładów, by to unaocznić.

Człowiek cywilizowany nie mógłby żyć bez dyscypliny. Może ona być wewnętrzna, to znaczy tkwić w nim samym. Może być zewnętrzna, to znaczy poza nim, a w takim razie z konieczności narzucana przez innych. Anglosas, mając dyscyplinę wewnętrzną wśród swych cech dziedzicznych umocnionych wychowaniem, może sam sobą kierować i nie potrzebuje nadzoru państwa. Człowiek cywilizacji łacińskiej, mając z charakteru i z wychowania bardzo mało dyscypliny wewnętrznej, potrzebuje zewnętrznej. Jest mu ona narzucana przez państwo i dlatego więzi go ciasna sieć uregulowań, uregulowań niezliczonych, gdyż mają nim kierować we wszystkich okolicznościach życiowych.

Podstawową zasadą wychowania anglosaskiego jest to, że dziecko przechodzi przez kolegium nie po to, by być poddane cudzej dyscyplinie, lecz by się nauczyć, w jakich granicach może korzystać z niezależ-

---

[1] Pełną dokumentację czytelnik znajdzie w książce, którą opublikowałem pod tytułem *Psychologia wychowania* [wyd. pol. Warszawa 1911].

ności. Musi się zdyscyplinować samo i zyskać w ten sposób *self-control*, z której wynika *self-government*. Angielski młodzieniec wychodzi z kolegium ze słabą znajomością greki, łaciny i nauk teoretycznych, ale jest mężczyzną umiejącym w życiu kierować sobą i liczącym tylko na siebie. Metody pozwalające osiągnąć taki wynik są nadzwyczaj proste. Można je znaleźć w książkach o wychowaniu pisanych przez Anglików.

Wychowanie łacińskie ma cel dokładnie odwrotny. Marzy o złamaniu poprzez surowe i dokładne regulacje inicjatywy, niezależności, woli ucznia. Jedynym obowiązkiem jest nauczyć się, recytować i słuchać się. Przewidziane są najmniejsze działania. Spożytkowanie czasu jest zaplanowane co do minuty. Po siedmiu czy ośmiu latach tego galerniczego reżymu zlikwidowane są wszelkie ślady woli i inicjatywy. A kiedy młody człowiek będzie zostawiony samemu sobie, jak potrafi sobą kierować, skoro nikt go tego nie nauczył? Czy należy się zatem dziwić, że ludy łacińskie tak mało umieją sobą rządzić i okazują się tak słabe w starciach handlowych i technicznych, wynikłych z obecnej ewolucji świata? Czyż nie jest naturalne, że socjalizm, który mnoży jedynie pęta nałożone przez państwo, przyjmowany jest tak chętnie przez wszystkie umysły, które szkoła tak dobrze przygotowała do niewolnictwa?

Następstwa metod angielskich i łacińskich można osądzić po skutkach, do jakich prowadzą. Młody Anglik po kolegium bez trudności znajduje swoją drogę w przemyśle, rolnictwie czy handlu. Natomiast nasi maturzyści, magistrowie, inżynierowie potrafią tylko wykonywać pokazy przy tablicy. Parę lat po ukończeniu nauki całkowicie zapominają swą nieużyteczną wiedzę. Jeśli państwo nie da im posady, są zdeklasowani. Jeśli się zdecydują na przemysł, będą tam przyjęci tylko na najskromniejsze miejsce, aż znajdą czas, by całkowicie zmienić swoje wykształcenie, co im się wcale nie uda. Jeśli piszą książki, są to blade odbicia ich podręczników, równie pozbawione oryginalności w formie jak w myśli.

Nie trzeba zmieniać naszych programów uniwersyteckich, lecz metody. Wszystkie programy są dobre, gdy się umie nimi posługiwać. Niestety, by zmienić metody, trzeba by zmienić poglądy profesorów, a następnie ich wykształcenie i w pewnej mierze ich duszę.

§ 2. Łacińskie pojęcie o religii

Pojęcia religijne po odegraniu pożytecznej roli stały się w końcu zgubne dla ludów łacińskich i ich koncepcji państwa i wychowania – dla tej przyczyny, że nie były zdolne do ewolucji.

Bez nagłego zrywania z wierzeniami przeszłości umieli sobie stworzyć religijność szerszą, zdolną do przystosowania się do wszystkich wymo-

gów współczesności. Zbyt kłopotliwe tezy dogmatyczne zostały wycieniowane, przybrały charakter symboliczny lub mitologiczny.[2] Religia może więc żyć bez konfliktu z nauką. W każdym razie nie jest zdeklarowanym wrogiem, którego trzeba zwalczać. Natomiast dogmat katolicki u ludów łacińskich zachował swe sztywne formy, absolutne i nietolerancyjne, niegdyś może użyteczne, lecz dziś bardzo szkodliwe. Pozostał taki, jaki był pięćset lat temu. Poza nim nie ma zbawienia. Chce narzucić wiernym absurdy historyczne nie do przyjęcia. Nie ma możliwości ugody z nim. Albo trzeba mu ulec, albo go zwalczać.

Wobec buntu Rozumu rządy łacińskie musiały wyrzec się podtrzymywania wierzeń tak głęboko sprzecznych z ewolucją idei, a w końcu doszły do wstrzymania się od wszelkiej ingerencji w sferę religijną.[3]

Ujawniły się wtedy dwojakie następstwa. Stare dogmaty odzyskały całą władzę nad duszami słabymi, które ulegają przestarzałym wierzeniom nieodpowiednim do współczesnych potrzeb. Umysły odrobinę niezależne umiały się uwolnić od jarzma w oczywisty sposób irracjonalnego i ciężkiego; jednakże skoro przez całą młodość powtarzano im, że moralność opiera się na dogmatach religijnych i nie mogłaby bez nich istnieć, wierzą, iż ze zniknięciem tych dogmatów powinna zniknąć też oparta na nich moralność. Ich moralność się wtedy znacznie rozluźnia, a wkrótce nie znają innych reguł postępowania niż te przepisane przez kodeksy i egzekwowane przez żandarmów.

Do ukształtowania się ducha łacińskiego w jego obecnym kształcie przyczyniły się zatem trzy podstawowe koncepcje: koncepcja rządu, koncepcja wychowania i koncepcja religijności. Wszystkie ludy na pewnym poziomie cywilizacji ulegały tym koncepcjom i żaden nie mógł uniknąć ulegania im, gdyż kiedy ludy są słabe, tkwią w niewiedzy, są mało rozwinięte, jest dla nich w oczywisty sposób korzystne, jak dla dzieci, że wyższe umysły narzucają im idee i wierzenia, myślą i działają za nich. Jednak z postępem ewolucji nadchodzi chwila, gdy ludy nie są już dziećmi i powinny kierować same sobą. Te, które nie posiadły tej umiejętności, znajdują się z tego powodu daleko w tyle za tymi, które ją posiadają.

---

[2] Religijność anglosaska tej epoki w małym stopniu miała wówczas tę cechę; przenosi ją chyba autor z liberalnego protestantyzmu niemieckiego. Odnośnie wrogości do nauki, to oczywiście żadne wyznanie chrześcijańskie jej nie deklarowało, natomiast wielu ateistów pod szyldem nauki i abstrakcyjnie pojętego Rozumu zwalczało religię, wyobrażając sobie, że jest ona wroga nauce i rozumowi. Cały dalszy wywód Le Bona jest tego typu schematyczną deklamacją [*przypis tłumacza*].

[3] Nie zgadza się to z faktami: we Francji rządy forsowały w tym czasie szkołę programowo laicką, nawet ateizującą [*przypis tłumacza*].

Ludy łacińskie jeszcze nie zdołały tego dokonać, a nie potrafiąc się nauczyć myśleć i działać samodzielnie, są dziś bezbronne w walce przemysłowej, handlowej i kolonialnej, wyznaczonej przez obecne warunki życiowe, w której tak szybko zwyciężyli Anglosasi. Ludy łacińskie, ofiary swoich dziedzicznych koncepcji, zwracają się ku socjalizmowi, który przyrzeka im myśleć i działać za nich; popadając jednak pod jego władzę podporządkują się jedynie nowym panom i jeszcze bardziej opóźnią nabycie zalet, jakich im brakuje.

§ 3. Jak koncepcje łacińskie wywarły piętno na wszystkich elementach cywilizacji

Pozostałoby mi, żeby nieco pełniej przedstawić temat, prześledzić pożyteczne lub szkodliwe – zależnie od epoki – następstwa naszkicowanych pokrótce wyżej podstawowych koncepcji dla różnych dziedzin cywilizacji: literatury, sztuki, przedsiębiorczości itd. Tak rozległego zadania nie da się tu podjąć. Wystarczyło pokazać, że obecne postępy socjalizmu u ludów łacińskich są następstwem ich koncepcji i ustalić, jak uformowały się te koncepcje. Odnajdziemy ich wpływ na każdej stronie tej pracy, a zwłaszcza tam, gdzie zajmować się będziemy starciami handlowymi i przemysłowymi, na które obecna ewolucja gospodarcza skazuje ludy. Czytelnik, który zechce zastosować powyższe zasady do jakiegokolwiek elementu cywilizacji, będzie uderzony tym, jak jaskrawym światłem oświetlają one historię. Nie wystarczą oczywiście, by wszystko wyjaśnić, ale nadają sens wielu faktom bez nich niewytłumaczalnym. Przede wszystkim pozwalają wyjaśnić tę potrzebę kierownictwa, która sprawia, że ludy łacińskie są tak nieśmiałe wobec odpowiedzialności, dalej niezdolność do sukcesu w przedsięwzięciach, które nie są energicznie prowadzone przez przywódców, oraz obecną skłonność do socjalizmu. Gdy ludy łacińskie mają na czele wielkich mężów stanu, wielkich generałów, wielkich dyplomatów, wielkich myślicieli, wielkich artystów, zdolne są do największego wysiłku. Jednakowoż genialnych przywódców nie zawsze się spotyka, a bez takich przewodników ludy łacińskie podupadają. Z Napoleonem dominowali w Europie. Potem dowodzeni przez nieudolnych generałów stali się ofiarami zupełnie nieprawdopodobnych klęsk i nie mogli oprzeć się tym, których kiedyś łatwo pokonali.[4] Nie bez przyczyny ludy te

[4] Kiedy bada się szczegółowo historię naszej ostatniej wojny [francusko-pruskiej], wychodzi na jaw nie tylko dotkliwa nieudolność generałów postawionych na czele armii, lecz także oficerów wszystkich stopni bez wyjątku. Nie ośmielali się oni nigdy podjąć najmniejszej inicjatywy, opanować nieobsadzony punkt, zaatakować szkodliwą baterię itd. Główną ich

nierzadko są tak skłonne do zrzucania na przywódców odpowiedzialności za porażki. Warte są tyle, ile ich panowie, i są tego świadome.

Pod groźbą szybkiego zniknięcia ludy łacińskie muszą się nauczyć kierowania sobą. Pola bitwy, militarnej lub gospodarczej, są dziś zbyt rozległe, by mała liczba ludzi, choćby najwybitniejszych, mogła kierować walczącymi. W fazie istnienia świata, w którą weszliśmy, wpływ wybitnych zdolności nie zanika, ale staje się mniej kierowniczy. Autorytet jest zbyt rozproszony, by nie osłabnąć. Człowiek współczesny nie może już liczyć na żadne prowadzenie za rękę, ze strony socjalizmu jeszcze mniej niż z jakiejkolwiek innej. Musi się nauczyć liczenia tylko na siebie. Wychowanie powinno go przygotować do tej konieczności.

troską było oczekiwanie na nie nadchodzące rozkazy. Jak dyplomaci, o których mówiłem w innym miejscu, nie mieli doktryny wskazującej im decyzje, jakie należy podjąć w danym wypadku. O sile Niemców stanowiło to, iż taką doktrynę mieli. Rozkazy były im niepotrzebne, a zresztą, poza ogólnymi wskazówkami, dyrektywami – jak je nazwał Moltke – otrzymywali ich niewiele. Każdy oficer wiedział, co miał czynić w rozmaitych wypadkach, które mogły się przydarzyć, a dzięki technicznemu szkoleniu, długo praktykowanemu, czynił to instynktownie. Wykształcenie nie jest pełne, jeśli czyny z początku świadome i wymagające uciążliwego wysiłku nie są w końcu sterowane nieświadomie. Wykonywane są wtedy instynktownie i bezrefleksyjnie, ale do tego nie dochodzi się nigdy przez studiowanie książek. Nasz sztab generalny zaczyna dopiero po trzydziestu latach namysłu podejrzewać znaczenie tych zasad, ale wykształcenie, jakie otrzymują w Szkole Wojennej nasi oficerowie, jest nadal całkiem łacińskie, to znaczy żałośnie książkowe i teoretyczne.

Rozdział 6
Kształtowanie się socjalizmu w cywilizacji łacińskiej

§ 1. Wchłanianie przez państwo

Rozdziały poprzednie wystarczająco dowiodły, że socjalizm w formie socjalizmu państwowego, nader bliski kolektywizmowi, jest we Francji wykwitem długotrwałej przeszłości, ostateczną konsekwencją bardzo już starych instytucji. Współczesny kolektywizm ani trochę nie może być uważany za rewolucyjny, jako że jest doktryną mocno przestarzałą, a jego sekciarscy zwolennicy to niezdecydowani reakcjoniści ograniczający się do rozwijania najstarszych i najniżej stojących tradycji łacińskich. Codziennie ogłaszają nam hałaśliwie przyszły triumf swoich utopii. Nie było ich jeszcze na świecie, gdy już od dawna byliśmy ich ofiarami.

Socjalizm państwowy, to znaczy centralizacja w rękach rządu wszystkich elementów życia ludu, jest chyba najbardziej charakterystyczną, podstawową, nieusuwalną koncepcją społeczeństw łacińskich. Zamiast wejść w fazę schyłkową, wchłanianie przez państwo codziennie narasta. Przez długi czas ograniczone do funkcji politycznych, nie mogło się zbytnio rozrosnąć w sferze przemysłu, gdy go prawie nie było. Gdy zaczął odgrywać czołową rolę, wpływ państwa rozrósł się na prawie wszystkie branże przemysłu. Państwo czuje się zobowiązane przejawić brakującą obywatelom inicjatywę w kwestii kolei, portów, kanałów, budownictwa. Samo w sposób wyłączny kieruje najważniejszymi przedsiębiorstwami i zachowuje monopol na wiele przedsięwzięć, które stopniowo wchłonęło: nauczanie, telegraf, telefony, tytoń, zapałki itd. Jest zmuszone podtrzymywać te, którymi nie kieruje, by uchronić je od załamania. Bez subwencji większość szybko by upadła. Dlatego płaci towarzystwom kolejowym ogromne subsydia pod nazwą gwarancji odsetek. Ich akcjonariuszom wpłaca rocznie blisko 100 milionów; do tej sumy trzeba dodać 48 milionów deficytu linii, które samo eksploatuje.

Liczne są przedsiębiorstwa prywatne: morskie, handlowe, rolnicze, które państwo jest zmuszone dotować na rozmaite sposoby. Premie dla armatorów, którzy budują statki, premie dla fabrykantów cukru, premie dla przędzalni i hodowców jedwabników itd. itp. Dopłaty dla

tych ostatnich wynoszą rocznie zaledwie jakieś 10 milionów, ale dla fabrykantów cukru przekraczają 100 milionów franków. Prawie nie ma branży przemysłu, która by nie żądała dzisiaj ochrony finansowej państwa. W tym punkcie, i niestety tylko w tym, najbardziej skłócone partie polityczne są najzupełniej zgodne. Państwo, uważane za odpowiedzialne za wszystko i mające wszystkim kierować, wydaje się posiadać niezmierzone skarby, z których każdy może czerpać. Gdy jakiś departament potrzebuje pieniędzy, by zapłacić projektantowi mającemu ulepszyć przemysł całkiem lokalny i przynoszący wiele milionów – jak w przypadku izby handlowej w X., cytowanym przez *Temps* – zwraca się do państwa, a nie do osób zainteresowanych rozwojem tego przemysłu. Inny departament potrzebuje kolei lokalnej i też zwraca się do państwa. Port morski chce korzystnych dla siebie ulepszeń – i znów państwo. Nigdzie najmniejszych śladów inicjatywy prywatnych stowarzyszeń dla stworzenia lub ulepszenia czegokolwiek.

P. Bourde przytoczył bardzo typowy przykład takiego nastawienia (ta historia o mieszkańcach małego miasta X. byłaby całkowicie niezrozumiała i nieprawdopodobna dla Anglika czy Amerykanina). Jeden z miejskich wodociągów, pękłszy, został zanieczyszczony przez sąsiadujący ściek. Sprowadzić robotnika i naprawić szkodę byłoby nie dość po francusku, by wpadła na to rada miejska. Trzeba było oczywiście zwrócić się do rządu. Cztery szpalty w dzienniku ledwo wystarczyły, by przedstawić złożony wniosek. Dzięki interwencji szeregu ministrów, senatorów, deputowanych, prefektów, inżynierów przeszedł on pomyślnie przez dwadzieścia biurek, a ostateczna decyzja dotarła do gminy po dwóch latach. Czekając, mieszkańcy z rezygnacją pili wodę ze ściekami, nie pomyślawszy ani razu o zaradzeniu problemowi samemu. Przykłady przytoczone przez Tocqueville'a dowodzą, że sprawy tak samo przebiegały za dawnego systemu.

Jest w tym specyficzna mentalność, która jest w oczywisty sposób typowa dla rasy. Państwo jest zobowiązane do interweniowania w sensie regulowania i chronienia; jednakże wysłuchawszy wszystkich suplik, interweniuje wiele silniej. Kilka lat temu czcigodny senator wystąpił przed senatem jako reprezentant żądań cechu masarzy, którzy pod pretekstem ochrony hodowli prosiąt chcieli zobowiązać rząd do zastąpienia w wyżywieniu wojska solonej wołowiny przez wieprzowinę. W pojęciu tych poczciwców, skoro naturalną funkcją państwa jest ochrona przemysłu, powinno ono zagwarantować sprzedaż ich wytworów i zadekretować, że solona wieprzowina jest obowiązkowa.

Mylnie zarzuca się kolektywistom zamiar przekazania wszystkich monopoli, gałęzi przemysłu, służb publicznych w ręce rządu. To marze-

nie nie jest dla nich swoiste, gdyż cechuje wszystkie partie. Jest to marzenie rasy.

Oblężone ze wszystkich stron, państwo broni się jak może, lecz pod jednomyślnym naciskiem opinii jest wbrew sobie zobowiązane chronić i regulować. Zewsząd żąda się od niego interwencji i zawsze w tym samym kierunku, to znaczy na rzecz ograniczenia inicjatywy i wolności obywateli. Niezliczone są prawa tego typu proponowane co dzień: prawa o wykupie kolei i ich zarządzaniu przez państwo, prawa o objęciu monopolem alkoholu, prawa o przejęciu zarządzania Banque de France, prawa o regulacji godzin pracy w fabrykach, prawa przeciw konkurencji produktów zagranicznych, prawa o emeryturach dla wszystkich robotników w podeszłym wieku, prawa zobowiązujące dostawców instytucji publicznych, by zatrudniali tylko pewne kategorie robotników, prawa regulujące ceny chleba, prawa skłaniające kawalerów do ożenku, prawa gniotące podatkami wielkie sklepy na korzyść małych itd. itp. Takie są fakty. Przyjrzyjmy się teraz ich skutkom.

§ 2. Następstwa rozszerzenia funkcji państwa

Następstwa wchłonięcia przez państwo wszelkich służb i jego stałe interwencje – czego żądają wszystkie partie bez wyjątku – są katastrofalne dla każdego narodu, który im podlega, czy też raczej sam je sobie narzuca. Stałe interweniowanie całkowicie niszczy w obywatelach poczucie inicjatywy i odpowiedzialność, których i tak mieli mało. Zobowiązuje ono państwo do kierowania (i to wielkim kosztem, ze względu na komplikację jego mechanizmów) przedsięwzięciami, które jednostki, mając własny interes za motyw, pomyślnie by prowadziły bez takich wydatków[1] – co zresztą robią w innych krajach.

Takie są rezultaty dostrzegane na dłuższą metę przez ekonomistów: *Skupienie możliwości gospodarczych w rękach państwa* – pisze Leroy-Beaulieu – *prowadzi nową Francję do zrujnowania jej inicjatywy prywatnej, do degradacji woli i energii indywidualnej, przynosząc w końcu swoiste biurokratyczne niewolnictwo czy też cezaryzm parlamentarny, dla zbiedniałego kraju zarazem denerwujący i demoralizujący.*

---

[1] Jest rzeczą dobrze znaną we wszystkich krajach świata, że przedsiębiorstwa zarządzane przez osoby prywatne, z natury rzeczy zainteresowane ich sukcesem, przynoszą lepsze wyniki niż te, które prowadzone są przez państwo, to znaczy przez anonimowych pracowników, którzy wynikami interesują się bardzo mało. Simon Hanann, konsul amerykański we Frankfurcie, poczynił następująca uwagę odnośnie przedsiębiorstw metalurgicznych w Rosji: *Jest rzeczą ciekawą, że kiedy państwo samo kierowało tymi przedsiębiorstwami, wszystkie podupadły, i tak było aż do roku 1855, kiedy zainteresował się nimi kapitał lokalny; w końcu kapitał zagraniczny odniósł sukces tam, gdzie inni ponieśli porażkę. Na 17 odlewni w południowej Rosji tylko 4 należą do Rosjan.*

Regulacje – mówi ze swojej strony Herbert Spencer – *wymagają innych regulacji, rodząc następstwa wcale nie przewidywane przez prawodawcę... Wszelka regulacja wymaga utworzenia nowych instytucji regulujących, wzrostu biurokracji i zwiększenia liczby urzędników. Im bardziej nasila się interwencja państwa, tym bardziej rządzeni tracą inicjatywę indywidualną... Co więcej, każda nowa interwencja państwa umacnia milczącą opinię, że jego obowiązkiem jest zaradzić wszelkiemu złu i wytwarzać wszelkie dobra.*

Ekonomiści nigdy nie mieli racji w sposób bardziej widoczny, a zarazem nigdy nie wygłaszali kazań bardziej na puszczy. Nikt nie kwestionuje ich stwierdzeń, a mimo tego posuwamy się coraz dalej po drodze, która poprowadzi ludy wchodzące na nią do najgłębszego rozkładu i do niewolnictwa.

Państwu udaje się kierować wszystkim, wszystkim administrować, wszystko scentralizować jedynie przy pomocy niezmierzonego zastępu urzędników. Pięćdziesiąt lat temu było ich 180 000 i kosztowali rocznie zaledwie 245 milionów franków, dziś jest ich 689 000[2] i kosztują 627 milionów. Ich liczba z konieczności wzrośnie znacznie bardziej. Nauczanie zapewniane przez państwo służy już tylko przygotowywaniu funkcjonariuszy państwowych. Połowa licealistów wybiera służby publiczne. Jedynie słabsi idą do handlu, rolnictwa i przemysłu. W Ameryce i w Anglii dzieje się dokładnie odwrotnie.

Rząd broni się jak może przed tą inwazją osób z dyplomami, którym niski poziom ich wykształcenia i brak uzdolnień dziedzicznych nie dały dość inicjatywy potrzebnej do osiągnięcia niezależnej pozycji. Mają dość woli jedynie do nauczenia się na pamięć grubych podręczników; od tego nic ich nie odstrasza. Państwo bez przerwy komplikuje tematy egzaminów i czyni podręczniki coraz grubszymi; nic nie zniechęca kandydatów. Jedna czwarta cierpliwości potrzebnej do wykucia na pamięć bezużytecznego nudziarstwa, wystarczyłaby większości z nich zrobić majątek w przemyśle; ale nawet nie pomyślą o tym. Można by nie bez podstaw powiedzieć, że nasz wiek jest wiekiem egzaminów. Jest to system identyczny z chińskim; a jak to zauważył Renan, wytworzył on u tego ludu mandarynów ludzi nieuleczalnie starczych.

W rzeczywistości Francją rządzi dziś biurokracja i w sposób nieunikniony będzie rządzić nią coraz bardziej. Władza państwa jest rozkawałkowana między niezliczone mnóstwo rąk. Nieodparta potrzeba Francuzów bycia rządzonymi i nie mniej nieodparta potrzeba autorytetu sprawiają, że wszyscy urzędnicy reprezentujący państwo rządzą jedni drugimi według drobiazgowej i sztywnej hierarchii, która kolejnymi

---

[2] Włącznie z zatrudnionymi w gminach; według obliczeń biura pracy za 1896.

szczeblami schodzi od ministra do ostatniego dróżnika. Każdy funkcjonariusz mając kompetencje bardzo ograniczone nie może dokonać najmniejszej czynności bez odwołania się do hierarchii nad sobą. Jest uwięziony w niemożliwym do rozplątania labiryncie regulaminów i komplikacji, których nie potrafi uniknąć, a których ciężar z natury rzeczy spada na tych, którzy są zobowiązani do niego po coś się zwracać.

Ta sieć regulacji rozwija się z dnia na dzień, w miarę jak inicjatywa obywateli słabnie. Jak zauważył Leon Say: *Podnosi się coraz silniejsze wołanie o coraz szczegółowsze uregulowania.*

Pod naciskiem pragnącej nadzoru publiczności państwo bez wytchnienia wydaje prawa i reguluje. Zobowiązane do kierowania wszystkim i przewidzenia wszystkiego wchodzi w najdrobniejsze detale. Ktoś został rozjechany przez samochód, zegar został ukradziony z merostwa – zaraz wyznacza się komisję mającą opracować nowe regulacje, które zawsze zajmą tom. Według dobrze poinformowanej gazety nowy regulamin dotyczący kursowania dorożek i innych środków transportu po Paryżu ma liczyć niemniej niż 425 artykułów; zredagowała go komisja mająca uprościć obecny stan rzeczy.

To niezwykłe zapotrzebowanie na regulacje nie jest w historii czymś nowym. W epoce głębokiej dekadencji wystąpiło u wielu ludów, a zwłaszcza w Rzymie i Bizancjum, i przyczyniło się do przyspieszenia ich upadku. Gaston Boissier zauważył, że u schyłku imperium rzymskiego *drobiazgowość administracji była rozwinięta jak nigdy. Cała ta epoka była przede wszystkim papierkowa. Urzędnik cesarski nie poruszał się inaczej jak w towarzystwie sekretarzy i stenografów.*

Z takiego skomplikowania hierarchii i tak ścisłych regulacji wynika przede wszystkim to, że wszystko, co tworzy państwo, produkowane jest w sposób bardzo powolny i bardzo kosztowny. Obywatele kraju nie wyrzekają się za darmo kierowania swoimi sprawami, by je przekazać w ręce państwa. Za swoją interwencję każe im ono bardzo drogo zapłacić. Jako typowy przykład można wymienić rozmaite linie kolejowe, zbudowane przez państwo pod wpływem departamentów.

Ulegając naciskom opinii rząd stopniowo zbudował 2800 km linii, którymi zarządza teraz bezpośrednio; kosztowały one według raportu komisji budżetowej za 1895 rok ogromną sumę 1 275 milionów, wliczając w to skapitalizowane deficyty roczne. Wpływy roczne wynosiły 9 milionów, zaś wydatki 57 milionów; roczny deficyt 48 milionów. Ten deficyt wynika w części z gigantycznych kosztów eksploatacji. O ile udział eksploatacji wynosi 50% w wielkich towarzystwach takich jak Paryż, Lyon i Orlean – choć są one mało zainteresowane oszczędnościami, skoro państwo gwarantuje im dochód – to udział eksploatacji w kolejach państwowych osiąga nieprawdopodobną liczbę 77%!

Niesposób wyrazić – pisze Leroy Beaulieu – *do jakiego zaniku indywidualnej inicjatywy prowadzi francuski system robót publicznych. Grupy mieszkańców, zwłaszcza na wsi, przyzwyczajone do oczekiwania na dotację gminy, departamentu czy władz centralnych, nie umieją niczego przedsięwziąć samemu ani dojść do zgody w żadnej sprawie. Widziałem wsie o 200 czy 300 mieszkańcach należące do dużej rozproszonej gminy, które przez lata czekały i pokornie ubiegały się o studnię, która była dla nich niezbędna, a którą można by doprowadzić do dobrego stanu za 200 lub 300 franków, czyli kosztem jednego franka od głowy. Widziałem inne, mające tylko jedną drogę do wywożenia swoich produktów, a nie umiejące się dogadać, choć jednorazowy wydatek 2000 franków, a potem 200-300 franków rocznie na naprawy, z łatwością by wystarczył, żeby tę ich jedyną drogę uczynić przejezdną. A mówię o rejonach stosunkowo bogatych, bogatszych niż ogół gmin francuskich.*

Nie bójmy się stwierdzić, że między bogatymi narodami o starej cywilizacji Francja jest jednym z najgorszych, jeśli chodzi o dostępność i taniość środków wykorzystywanych zbiorowo. Gaz kosztuje tu drożej niż wszędzie gdzie indziej; elektryczność zaledwie zaczyna oświetlać parę ulic w paru miastach; transport miejski jest w stanie barbarzyńskim; tramwaje, mało liczne, istnieją tylko w największych miastach i paru mniejszych; towarzystwa, które się tym zajmowały są zrujnowane, oprócz może dwóch-trzech na cały kraj; kapitaliści obawiając się porażki nie czują żadnej chęci do wyposażenia naszych miast w udoskonaloną komunikację miejską. Telefon kosztuje w Paryżu dwa lub trzy razy więcej niż Londynie, Berlinie, Brukseli, Amsterdamie, Nowym Jorku. W ten sposób wielki kraj u szczytu XIX wieku tylko w bardzo ograniczonym stopniu korzysta z licznych nowych zdobyczy, które od pięćdziesięciu lat przekształcają życie miejskie. Czy dlatego, że państwo nie dość się tym zajmuje? Nie, dlatego, że zajmuje się tym za dużo. Miasta, które je reprezentują, używają do przesady swojej podwójnej władzy przymusu administracyjnego; po pierwsze przymusu regulacji i zarządzeń administracyjnych, który mnoży nakazy i zakazy oraz obciążenia w naturze, nieraz poddając bez ograniczeń towarzystwa zmiennym i arbitralnym zachciankom rad miejskich; po drugie, przymusu fiskalnego, który z każdego przedsiębiorstwa kapitalistycznego chce uczynić dojną krowę dla miasta; do tego trzeba jeszcze dodać ciasne uczucie zazdrości, które pomyślność towarzystw prywatnych uważa za zamach na władzę publiczną.

Zawiłość procedur, rutyna, konieczność podporządkowania się przez pracowników najbardziej drobiazgowym formalnościom[3], które chro-

[3] Jako przykład specyficznej mentalności stworzonej przez potrzeby biurokratyczne można zacytować historię opowiedzianą w parlamencie przez ministra, p. Delcasse, o długim

nią ich od odpowiedzialności, powodują ogromne koszty, które stwierdza się w każdej działalności administrowanej przez państwo. Raporty złożone w parlamencie w imieniu komisji budżetowej, przez Cavaignaca o budżecie wojska, a przez Pelletana o marynarce, dowodzą, iż komplikacje administracyjne przerastają możliwości wyobraźni. W raporcie Cavaignaca można znaleźć wśród wielkiej liczby podobnych faktów nieprawdopodobną lecz prawdziwą historię dowódcy batalionu, który pozwoliwszy sobie zamówić u Inwalidów parę butów kawaleryjskich niezgodnych z regulaminem, stał się dłużnikiem państwa na 7 franków 80, którą to sumę gotów był zapłacić. Żeby zalegalizować jego wpłatę trzeba było trzech listów ministra wojny, listu ministra finansów i około piętnastu listów, decyzji i raportów generałów, dyrektorów, kierowników wydziałów itp., kierujących rozmaitymi służbami administracyjnymi.

W raporcie komisji od budżetu marynarki można znaleźć komplikacje jeszcze poważniejsze. Miesięczny żołd zwykłego kapitana marynarki zawiera 66 rozmaitych pozycji, *wszystkich z długimi ogonkami ułamków dziesiętnych*. Żeby otrzymać w porcie morskim rękawicę żeglarską, kawałek skóry wart dziesięć centymów, trzeba wypełnić specjalny formularz, z którym obejść trzeba wszystkie kąty portu w poszukiwaniu sześciu różnych podpisów. Gdy kawałek skóry jest już zrobiony, zaczynają się następne pisma i wpisy do nowych rejestrów. Dla uzyskania pewnych przedmiotów potrzebne są dokumenty z księgowości wymagające piętnastu dni pracy. Liczba wykazów sporządzonych przez pewne biura oceniana jest na 100 tysięcy.

Na pokładzie okrętu komplikacje nie są mniejsze: biurokracja aprowizacyjna okazuje się niebywała. *Stwierdziliśmy* – mówi sprawozdawca – *obok trzydziestu trzech tomów regulaminów mających uregulować życie administracyjne na pokładzie, wyliczenie 230 różnego typu rejestrów, ksiąg, dzienników, sprawozdań dziennych i miesięcznych, zaświadczeń, stwierdzeń odbioru, fascykułów, pojedynczych pism itd.*

sporze w biurach ministerstwa na temat, czy koszt 77 kg żelaza ma figurować w budżecie ministerstwa jako 3,46 czy 3,47 franka. Do podjęcia decyzji trzeba było dłuższej debaty pół tuzina kierowników wydziałów, a w końcu bezpośredniej interwencji samego ministra.

Wszystkie przedsiębiorstwa zarządzane przez administrację łacińską są podporządkowane temu samemu reżymowi skrupulatnej drobiazgowości, której skutkiem jest wydanie znacznych sum dla oszczędzenia centymów. Na temat hospicjum Salpetriere, wielkiej instytucji, która ma 5 000 mieszkańców i budżet dwa i pół miliona, pewna gazeta pisze tak: *Oniemieć można ze zdumienia, ile kół trzeba puścić w ruch, ilu ludzi poruszyć, żeby postawić kuchenkę gazową. Wniosek, pozytywna opinia zarządcy, upoważnienie rady nadzorczej, przesłanie do architekta, wykonanie planów i projektu, opinia wykonawcy, to znaczy strata dwóch miesięcy czasu i wydatek 80-100 franków, podczas gdy przy samodzielnym kierownictwie można by sprawę załatwić w tydzień kosztem 15-20 franków.*

W tym labiryncie liczb nieszczęśni pracownicy już się nie orientują. Przeciążeni pracą, wszystko robią na chybił trafił. *Setki pracowników zajęte są wyłącznie kalkulowaniem, przepisywaniem, kopiowaniem niezliczonych spisów, reprodukowaniem niezliczonych pojedynczych pism, dzieleniem, sumowaniem, przesyłaniem ministrowi nierealnych liczb, którym nic nie odpowiada w sferze faktów, które zapewne bardziej by odpowiadały rzeczywistości, gdyby je całkowicie zmyślono.*

Nie da się więc dojść do żadnych dokładnych informacji na temat zaopatrzenia, gdyż każda jego kategoria zależy od całej serii samodzielnych biur. Kilka przypadkowych sprawdzeń dokonanych przez sprawozdawców budżetowych doprowadziło ich do najdziwniejszych wyników. Brakowało rzeczy podstawowych i trzeba je było pilnie zakupywać, jak cytowane w raporcie 23 000 łyżek i widelców, które w Tulonie na ulicy kosztują w detalu 10 centymów sztuka, a za które administracja zapłaciła po 50 centymów. Z drugiej strony spotyka się przedmioty, których zapas wystarcza na trzydzieści lat, a nawet na sześćdziesiąt osiem. Jeśli chodzi o zakupy dokonane przez administrację, ustalone liczby są doprawdy fantastyczne. Płaci ona za ryż na Dalekim Wschodzie, gdzie jest on produkowany, o 60% drożej niż w Tulonie. Ceny płacone są z reguły dwa razy wyższe niż te, które zapłaciłaby pojedyncza osoba, z tej prostej przyczyny, że nie mogąc zapłacić przed załatwieniem niezliczonych dokumentów księgowych, administracja musi się zwracać do pośredników, którzy dostarczają awansem, a są opłacani nieraz z dużym opóźnieniem z powodu koszmarnych komplikacji papierkowych. To okropne przymusowe marnotrawstwo oznacza miliony wydane tak bezużytecznie, jak gdyby wrzucono je do wody. Przedsiębiorca tak prowadzący swoje interesy wkrótce by zbankrutował.

Cytowany sprawozdawca ciekaw był, jak sobie z tym radzi przemysł prywatny, jak unika tysięcy spisów i pracowników, księgowości, która prowadzi do poważnego nieładu przez samo to, że niesposób się w niej zorientować. Nic nie było ciekawsze niż to porównanie, które zestawia socjalizm państwowy, o którym marzy kolektywizm, i inicjatywę prywatną, taką jak ją widzą Anglicy i Amerykanie.

Oto jak się wyraża:

Żeby mieć porównanie, poleciliśmy dowiedzieć się, jak postępuje wielki zakład prywatny, który sąsiaduje z naszymi arsenałami i który jak one zajmuje się budową okrętów. Jak znaczne są jego rozmiary, osądzić można po tym, że w tej chwili ma on w budowie jeden z naszych wielkich krążowników pierwszej klasy, dwa pancerniki brazylijskie, krążownik o prędkości 23 węzłów, statek pasażerski i pięć żaglowców; łącznie flotę o 68 000 ton. Łatwo zrozumieć, że potrzebuje on magazynów znacznych rozmiarów.

Jedna duża księga wystarczy do księgowości każdego z tych magazynów. Ponadto nad każdym miejscem, gdzie są złożone jakieś przedmioty, umieszczona jest plansza wskazująca ich rodzaj, odpowiedni numer z książki, a poniżej w trzech kolumnach przyjęcia, wydania i stan. Dzięki temu można jednym rzutem oka ogarnąć stan zapasów. Jeśli kierownik warsztatu potrzebuje z nich skorzystać, wystawia podpisany i datowany bon, wskazując numer i rodzaj żądanego przedmiotu. Magazynier wpisuje na odwrocie nazwę, wagę, cenę jednostkową, cenę łączną, po czym bony są zanotowane w zeszycie oraz w dużej księdze. Nic prostszego. A zarazem jak się wydaje, to w zupełności wystarcza.

Warto porównać koszty przemysłu prywatnego, który musi zarabiać pieniądze, i koszty państwa, które nie musi. To porównanie robiono od dawna: to co państwo robi samo, wypada 25-50% drożej niż to, co wytwarza przemysł prywatny. Przy pancernikach, których całkowity koszt waha się koło 20 milionów, różnica między kosztem w Anglii i we Francji wynosi według raportu de Kerjegu około 25%.[4]

Wzrost cen wszystkiego, co jest fabrykowane przez państwo jest spowodowany przez wiele przyczyn. Wystarczy nam stwierdzić ten fakt, nie musimy ich szukać. Ograniczymy się do spostrzeżenia, że pewne przyczyny nie leżą w komplikacji regulacji i formalności, lecz w istotnym czynniku psychologicznym: obojętności, jaka w sposób nieunikniony pojawia się we wszystkich przedsięwzięciach, w których stawką nie jest interes osobisty. Z tejże istotnej przyczyny tak często widać upadek przedsiębiorstw przemysłowych, które zamiast należeć do jednostki osobiście zainteresowanej jej sukcesem, są zarządzane przez pośredników.[5]

---

[4] Porównanie między kosztami w przemyśle prywatnym i w zakładach państwowych jest bardzo trudne, gdyż zainteresowani zapominają umieścić wśród kosztów znaczną część wydatków: czynsze, płace itd., wpisane do innych budżetów. Specjalne dochodzenie komisji budżetowej dowiodło w Izbie Deputowanych, że drukarnia narodowa, która rzekomo osiągnęła dochód, ma 640 000 deficytu rocznego. Jednakowoż to nie taniość jej produktów spowodowała deficyt. Raport dowiódł, że koszt druku w tym zakładzie utrzymywanym przez państwo, które mu daje pośrednio 880 000 franków dotacji, jest 25-30% wyższy niż w przedsiębiorstwach prywatnych. Różnice są niekiedy znacznie większe. Wśród przykładów cytowanych przed Izbą można wspomnieć specjalne dzieło opublikowane przez ministerstwo marynarki. Drukarnia narodowa, zakład dotowany, zażądała 60 000. Wydawca prywatny, nie dotowany, zażądał 20 000. W drukarni narodowej – którą można uważać za wzorcowy zakład przyszłego społeczeństwa kolektywistycznego – wszystko odbywa się naprawdę z drobiazgową dokładnością. Jeden ze sprawozdawców, Hervieu, wyraża się tak: *Potrzebny jest papierek, by do niej wejść, inny, by dokonać tam planowanego zakupu, inny upoważniający do zabrania rzeczy kupionej i jeszcze inny pozwalający z nią wyjść.*

[5] Oto co pisał na ten temat wybitny przemysłowiec belgijski mający, kontakty w wielu krajach, którego w związku z tym zapytałem o tę sprawę:

Z tych różnych warunków wynikają w sposób konieczny bardzo różne sposoby postępowania w administracji.[6] Spotkałem niedawno pewien przykład, który tu podaję, gdyż jest bardzo typowy i jasno ilustruje mą myśl.

Zagraniczne towarzystwo zbudowało na swój koszt we Francji linię tramwajową łączącą dwa ośrodki przemysłowe i samo nią zarządzało. Interes szedł świetnie. Roczny przychód wynosił 1 100 000 franków, koszty eksploatacji nie przekraczały 47%. Władze lokalne zwróciły uwagę towarzystwu, że niezręcznie jest, gdy kieruje nim cudzoziemiec. Zgodziło się ono zastąpić go inżynierem francuskim. Eksperyment był nader pouczający. Inżynier zaczął od reorganizacji biur i wypełnienia ich pracownikami: mianował wicedyrektora, głównego księgowego, kierownika działu skarg, kasjera itd.; potem oczywiście opracował długi, skomplikowany regulamin, w którym doszła do głosu cała pomysłowość jego umysłu łacińskiego.

Skutki nie kazały na siebie czekać. W niecały rok koszty eksploatacji prawie się podwoiły. Osiągnęły bowiem 82%, a towarzystwo stanęło przed perspektywą ruiny.

Podjęło więc decyzje heroiczną. Jego prezes zwrócił się do władz, przedstawił im wyniki, a potem zaproponował utrzymanie tytułu i pensji inżynierowi francuskiemu, ale pod kategorycznym warunkiem, że pod żadnym pozorem nie pojawi się w biurze. Po przyjęciu propozycji przywrócono dawną organizację, a koszty eksploatacji spadły wkrótce z powrotem do normalnych 47%. Ten eksperyment z administracją łacińską kosztował towarzystwo około 500 000 franków.

Nasz system administracyjny zastosowany w koloniach zrodził szereg katastrofalnych skutków. Doprowadził do stopniowej ruiny wszystkie nasze posiadłości. Podczas gdy kolonie angielskie nie kosztują budżetu prawie nic, my wydajemy na utrzymanie naszych prawie 110 milionów. W zamian za tę sumę możemy prowadzić z nimi wymianę handlowa, na której zyskujemy 10 milionów. Roczny deficyt jest więc ogromny. Ten deficyt jest czymś więcej niż zwykłą stratą: wydana suma służy faktycznie rozwojowi handlu naszych konkurentów. Od nich przede wszystkim kupują nasi koloniści, bo rodacy nie potrafią produkować po tej samej cenie. Obrót handlowy kolonistów z cudzoziemcami jest o 46 milionów

---

Oczywistym dowodem na to, co Pan twierdzi, że przedsiębiorstwa kierowane przez pośredników podupadają, jest długa lista firm notowanych na giełdzie, które po uzyskaniu doskonałych wyników spadły prawie na dno po przekształceniu w anonimowe spółki akcyjne.

Mamy tu interesy, które należąc do małej grupy bezpośrednio zainteresowanych dawały dywidendę 12-15%; odkąd je przekształcono w anonimowe spółki akcyjne spadły do przeciętnie 3% [w czasach tych prawie nie było inflacji]. *Niektóre nie przynoszą już nic.*

[6] Jak wiadomo, od czasów Le Bona państwa w dużym stopniu uniemożliwiły administrowanie prywatnymi przedsiębiorstwami w sposób prosty, narzucając im zawiłe i trudne rozliczenia, zwłaszcza podatkowe [*przypis tłumacza*].

wyższy niż z rodakami. Trudno żeby było inaczej, biorąc pod uwagę pęta, jakie nakładamy na nasz handel z koloniami. Do zarządzania zaś 2 300 000 mieszkańcami Kochinchiny potrzebujemy więcej urzędników niż Anglicy do zarządzania 250 milionami Hindusów.

Nędzny stan naszych kolonii jest również w znacznej mierze następstwem psychologicznych cech rasy, których nieodpartej siły tylekroć dowodziłem. Całkowita niezdolność ludów łacińskich do zrozumienia innych, ich nietolerancja, ich pragnienie równości i jednolitości, doprowadziły do przyjęcia zasady asymilacji, wedle której ludy podbite muszą być rządzone zgodnie z prawami i zwyczajami zdobywcy. Murzyni, Malgasze, Annamici, Arabowie itd. są kładzeni na tym samym łożu prokrustowym. Wysyłamy im z Paryża armię sędziów, którzy narzucają im prawa ustanowione dla ludów o zupełnie różnej mentalności, pułki urzędników, którzy ich podporządkowują wszystkim drobiazgowym regulacjom wydanym przez skrupulatna i nieufną administrację. Dla sądzenia i administrowania kilkoma tysiącami czarnych z dwóch czy trzech wiosek, jakie nam pozostały w Indiach, mamy ponad 100 funkcjonariuszy, z tego 38 sądowych. Administracja Madagaskaru kosztuje nas 45 milionów. Te potężne bataliony urzędników zaludniają w pewnej mierze nasze kolonie, ale za jaką cenę! Nie tylko ciążą oni poważnie na budżecie metropolii, ale co więcej zmuszają do ucieczki wszystkich kolonistów europejskich, którzy pospiesznie chronią się w sąsiednich koloniach angielskich, by nie ugrzęznąć w zagmatwanej sieci regulacji i szykan.[7] *Na 1914 Francuzów zamieszkałych w Tonkinie* – pisał kilka lat temu Bonvalot – *jest 1500 urzędników, 400 osób*

[7] Szykan jeszcze dokuczliwszych dla tubylców, o których wiadomo tylko tyle, że się bez przerwy buntują. Pewien czas temu można było przeczytać w gazetach historię biurokraty, który jako rezydent dla pokazania swej władzy kazał, i to w jego własnym pałacu i jego własnemu pierwszemu ministrowi, zakuć w kajdany króla Norodoma, osobę bezwzględnie sakralną dla mieszkańców kraju. Przerażająca jest myśl, że nasze wielkie imperium kolonialne może być rządzone przez mózgi tak dalece niczego nie rozumiejące.

Wystarczy popatrzeć na nasze kolonie, by zobaczyć, jak bardzo nas nie znoszą tubylcy, gdy Anglicy, rządzący według innych zasad, cieszą się głębokim poważaniem. Te zasady, nader proste, polegające na tym, że pozwala się tubylcom rządzić się samemu, wkraczając w ich sprawy możliwie mało, nie odznaczają się bynajmniej nowością, gdyż stosowali je już Rzymianie. *Jak po tak zaciekłym oporze Galia stała się tak szybko szczerze rzymska?* – pisze Boissier. *Administracja rzymska, przynajmniej w lepszych epokach, miała tę niepospolitą i dzisiaj umiejętność, że była mało wymagająca i nie szykanowała. Nie naruszała wolności municypiów, możliwie mało interweniowała w ich sprawy, szanowała przesądy religijne i lokalną próżność, zatrudniała mało urzędników i jeszcze mniej żołnierzy. Kilka oddziałów policji i daleki szczęk broni legionów obozujących na granicy wystarczały do utrzymania porządku w ludzie lekkomyślnym, pyszałkowatym, kłótliwym, lubiącym zmiany, niechętnym władzy, w którym bez trudu poznajemy samych siebie. Pokój wkrótce doprowadził do bogactwa ten kraj, któremu wystarczy spokój, by stał się kwitnącym.*

żyjących z protektoratu i 13 kolonistów. Z tych 13 kolonistów 6 jest dotowanych! Pewna gazeta doniosła ostatnio, że w czasach królów Dahomeju nasi kupcy woleli raczej osiedlać się na ich terytorium, niż się poddawać straszliwym komplikacjom administracyjnym, jakie spotykali w naszej kolonii. Najgorszy tyran lepszy jest od anonimowej tyranii biurokratycznej, której musimy ulegać nie potrafiąc rządzić samymi sobą.

Sposoby działania łacińskiej administracji wymagają naturalnie ogromnego budżetu: z 1 800 milionów w 1869 wzrósł on stopniowo do około 4 miliardów, którą to sumę trzeba by podnieść do ponad 5 miliardów, gdyby do budżetu państwa dodać budżety gmin. Taki budżet może się wyżywić tylko rujnującymi podatkami. Państwo posłuszne ogólnej umysłowej tendencji niechętnej wszelkiej przedsiębiorczości prywatnej, uciska przemysł podatkami, nierzadko nadmiernymi. W swym raporcie za rok 1898 towarzystwo omnibusów podało, że na płacone akcjonariuszom od jednej akcji 65 franków dywidendy przypadało 149 franków opłat dla państwa względnie miasta; czyli podatków było o ponad 200% więcej. Od towarzystwa pojazdów państwo i miasto pobierają codziennie 2 franki 44 centymów od pojazdu, podczas gdy akcjonariuszom przynosi on 11 centymów. W ten sposób wszystkie te towarzystwa zmierzają ku ruinie i są skazane prędzej czy później na przejście w ręce państwa.

Liczby te pozwalają przeczuć, co nam szykuje socjalizm państwowy, kiedy jego ewolucja dojdzie do końca. Będzie to zupełna i szybka ruina wszystkich gałęzi gospodarki kraju, w którym zwycięży.

Jest właściwie zbędne dodawać, że skutki centralizacji i wchłaniania przez państwo, stwierdzone we Francji, dadzą się zaobserwować także u innych narodów łacińskich i to w stopniu jeszcze wyższym. We Włoszech sprawy zaszły tak daleko, że na posiedzeniu z 21 lutego 1894 roku rząd przedłożył parlamentowi projekt ustawy, wedle której król miał na rok otrzymać władzę dyktatorską dla reorganizacji administracji państwowej. Należy żałować, że to prawo nie zostało przyjęte; jego zastosowanie wykazałoby jasno, jak daremne są próby reformowania instytucji, które są następstwem mentalności danej rasy.

Pogląd na rozwój socjalizmu państwowego we Włoszech i na wynikłe z niego utrudnienia można sobie wyrobić na podstawie następujących fragmentów raportu włoskiego deputowanego Bonasiego opublikowanych w październiku 1895 przez *Revue politique et parlementaire*:

Dyrektorom różnych służb, którzy kierują poszczególnymi działami administracji na prowincji, nie tylko nie zostawia się żadnej samodzielności, ale nawet tej skromnej swobody interpretacji i stosowania przepisów, która jest nieodłączna od wykonywania funkcji administracyjnych. Poza uprawnieniami, jakie są im wyraźnie przyznane przez prawa, regulaminy,

okólniki i instrukcje ministerialne, nie mogą zrobić kroku bez uprzedniego upoważnienia i późniejszego zatwierdzenia ze strony ministra, któremu podlegają... Prefekci, dyrektorzy finansowi, prezesi sądów, rektorzy uniwersytetów nie mogą zezwolić na najmniejszy wydatek czy nakazać najdrobniejszą czy najpilniejszą naprawę, póki ich decyzja nie uzyska ministerialnego namaszczenia...

... Jeśli gmina lub zakład dobroczynny chce nabyć nieruchomość, choćby to był metr gruntu, albo przyjąć dar na swoją rzecz, nawet kilka franków, wymaga się decyzji rady gminy lub zarządu zakładu, a co więcej, w obydwu przypadkach, opinii komisji administracyjnej prowincji, prośby do króla o ostateczne zatwierdzenie, raportu prefekta, który towarzyszy wnioskowi do ministerstwa, ze zgodą i załącznikami; raportu ministra do Rady Państwa, opinii tej rady, a w końcu dekretu królewskiego i jego rejestracji przez izbę obrachunkową.

Nieuniknionym następstwem tego stanu rzeczy był bardzo szybki wzrost liczby urzędników włoskich, a tym samym wydatki budżetowe.

Takie same rzeczy dzieją się we wszystkich narodach łacińskich, jawiąc się jako następstwo stanu umysłowego ich rasy. Jeszcze bardziej przekonującym dowodem jest porównanie tych rzeczy ze skutkami wynikłymi z inicjatywy prywatnej u Anglosasów, o czym była mowa innym rozdziale.

Z tego dowodu trzeba koniecznie zapamiętać, że za stopniowy rozrost funkcji państwa i jego następstwa nie powinniśmy winić rządów, lecz siebie samych. Jakikolwiek miałby to być system rządów, republika, cezaryzm, komunizm czy monarchia; czy na ich czele stałby Heliogabal, Ludwik XIV, Robespierre czy zwycięski generał, funkcja rządu u ludów łacińskich nie mogłaby się zmienić. Jest ona wynikiem potrzeb rasy. Państwo to w rzeczywistości my i tylko siebie możemy oskarżać o jego złą organizację. Zgodnie z tym nastawieniem umysłowym, na które zwracał uwagę już Cezar, za nasze własne porażki winimy zawsze rząd; jesteśmy więc przekonani, że zmieniając nasze instytucje i przywódców wszystko przekształcimy. Żadne rozumowanie nie jest w stanie nas uleczyć z tego błędu. Możemy go jednak dostrzec, zauważając, że kiedy zmienne koleje polityki stawiają na czele ministerstw posłów najenergiczniej krytykujących administrację, której kierownictwo teraz im powierzono, nigdy się nie zdarza, by mogli zmienić choćby trochę to, co słusznie uważali za niedopuszczalne nadużycia.

§ 3. Państwo kolektywistyczne

Przyjrzeliśmy się postępom socjalizmu państwowego i jego następstwom. Pozostaje wykazać, jak niewiele etapów pozostało do pełnego kolektywizmu, o którym marzą arcykapłani tej doktryny.

Niebezpieczeństwo kolektywizmu nie umknęło uwadze mężów stanu obdarzonych pewną zdolnością przewidywania, ale nie wydają się oni dostrzegać dostatecznie jasno, że już od dawna w nim żyjemy. Oto jak się wyraził na ten temat jeden z nich, Burdeau, dawny przewodniczący Izby Deputowanych:

Bać się należy nie tego, że kolektywizm zwycięży, ustali się, wymodeluje społeczeństwo po swojemu. Raczej tego, że nadal będzie wnikał w umysły, przenikał po trochu do naszych instytucji, wzniecał pogardę dla kapitału, instytucji, które stąd wynikają (kredyt, banki), dla pracodawców, inicjatywy prywatnej, stale krytykowanej na korzyść monopoli państwowych, dla oszczędności, dla własności prywatnej, dla spadków, dla zarobków proporcjonalnych do wyników i użyteczności proponowanych produktów, dla środków, które dziś służą wynoszeniu biedniejszych ku lepszej pozycji (a jeśli nie ich samych, to ich potomków), dla utrzymywania społeczeństwa przez miliony starań wynikłych z inicjatywy pobudzonej korzyścią.

Doszłoby wtedy do niezwykłego rozdęcia roli państwa, powierzenia mu kolei, kopalni, banków, być może przedsiębiorstw żeglugowych, ubezpieczeń, domów towarowych; do zniszczenia przez podatki średnich i większych majątków, spadków, do wszystkiego, co pobudza ludzi do pomysłowości, do przedsięwzięć trudnych czy długofalowych, do tego, co ich skłania do przewidywania, pamiętania o przyszłych pokoleniach, pracy dla przyszłej ludzkości; do zniechęcenia pracowników do trudnych zadań, do oszczędności, do nadziei wybicia się – słowem do zredukowania jednostki do miernoty pragnień, ambicji, energii, talentu pod nadzorem wszędobylskiego państwa, do zastąpienia człowieka pobudzanego korzyściami przez niby urzędnika.

Wnioski tego męża stanu są oczywiste dla każdego umysłu choć trochę obytego z prawidłowościami ekonomicznymi i psychologicznymi, które kierują ludami. Bardzo trafnie dostrzegł, że ukryte zwycięstwo kolektywizmu jest pewniejsze i groźniejsze niż jego zwycięstwo nominalne.

Przyszłe społeczeństwo wyśnione przez kolektywistów urzeczywistnia się od dawna i coraz skuteczniej u ludów łacińskich. Socjalizm państwowy jest bowiem jak wykazałem koniecznym wnioskiem z ich przeszłości, ostatecznym etapem, który doprowadzi je do upadku – czego żadna cywilizacja dotąd nie uniknęła. Od wieków hierarchiczni kolektywiści, zniwelowani przez kształcenie uniwersyteckie i system egzaminów, które wszystkich kształtują według jednej formy; chciwi równości, a nie wolności; nawykli do wszelkich tyranii: administracyjnych, wojskowych, religijnych i moralnych; pozbawieni wszelkiej inicjatywy i woli, coraz bardziej przywykli do zdawania się we wszystkim na państwo,

zmuszeni są przez los swej rasy do ulegania socjalizmowi państwowemu. Stwierdziłem wyżej, że byli mu poddani od dawna. By się o tym przekonać, wystarczy zobaczyć, co proponują kolektywiści i dostrzec w tym po prostu rozwinięcie tego, co już istnieje. Uważają się za bardzo nowatorskich, ale ich doktryna tylko przyspiesza naturalną ewolucję, której przygotowanie i dopełnienie od nich nie zależy. Dowiedzie tego łatwo przebadanie ich podstawowych tez.

Jednym z głównych celów kolektywizmu jest zagarnięcie przez państwo wszelkiego przemysłu, wszystkich przedsiębiorstw. Wszystko, co w Anglii, a szczególnie w Ameryce jest założone i zarządzane przez prywatną inicjatywę, u ludów łacińskich znajduje się dzisiaj w mniejszym czy większym stopniu w rękach rządu. Codziennie przyznaje on sobie nowe monopole: dziś telefony i zapałki; jutro alkohol, kopalnie i środki transportu. Kiedy to wchłonięcie się dokona, ważna część marzenia kolektywistycznego zostanie urzeczywistniona.

Kolektywiści chcą przekazać wspólny los w ręce państwa przy pomocy rozmaitych środków, a w szczególności przez stopniowe podnoszenie podatku spadkowego. Podatek spadkowy rośnie u nas codziennie: nowe prawo podniosło go do 15%. Wystarczy kilka stopniowych podwyżek, by dojść do poziomu socjalistów.

Kolektywistyczne państwo daje każdemu obywatelowi identyczne wykształcenie, darmowe i obowiązkowe. Nasz uniwersytet przez swoje potworne łoże Prokrusta od dawna ten ideał urzeczywistniał.

Kolektywistyczne państwo pokieruje wszystkim poprzez ogromną armię urzędników mających regulować nawet najmniejsze życiowe czynności obywateli. Ci urzędnicy już tworzą liczne bataliony; są dziś jedynymi prawdziwymi panami państwa. Ich liczba codziennie rośnie z tego tylko powodu, że przybywa praw i regulacji, które coraz bardziej ograniczają inicjatywę i wolność obywateli. Pod różnymi pretekstami nadzorują już pracę w fabrykach i mniejszych przedsiębiorstwach prywatnych. Wystarczy tylko nieco zwiększyć ich liczbę i poszerzyć ich uprawnienia, żeby i w tym punkcie marzenie kolektywistyczne się urzeczywistniło.

Mając nadzieję na wchłonięcie majątków przez państwo wskutek zwiększenia podatku spadkowego, kolektywizm zwalcza kapitał na wszelkie inne sposoby. Państwo zresztą wyprzedza go na tej drodze. Wszystkie przedsiębiorstwa prywatne stwierdzają codziennie, że są niszczone coraz cięższymi podatkami, coraz bardziej redukującymi dochód z kapitału i szanse na rozkwit. Są takie przedsięwzięcia, jak to już pokazałem wyżej na przykładzie omnibusów paryskich, które na 65 franków wypłaconych akcjonariuszowi płacą 149 franków różnych podatków. Rosnące podatki dosięgły stopniowo innych źródeł do-

chodu. Spodziewajmy się uderzenia w dochód z kapitału. We Włoszech, gdzie tę fazę dawno już osiągnięto, podatek od niego został podniesiony do 20%. Wystarczy parę stopniowych podwyżek, by dojść do całkowitego wchłonięcia przez państwo dochodu, a tym samym kapitału.

Według kolektywistów proletariat ma pozbawić klasy obecnie rządzące władzy politycznej. Do tego jeszcze nie doszło, ale szybko zmierzamy w tym kierunku. Warstwy ludowe panują dzięki głosowaniu powszechnemu i zaczynają wysyłać do parlamentu rosnącą liczbę socjalistów. Kiedy większość będzie socjalistyczna, cykl rewindykacji się zamknie. Wszelkie fantazje będą możliwe; dla położenia im kresu zacznie się era Cezarów a potem inwazji, które zawsze znaczyły godzinę upadku zbyt starych ludów.

Rozdział 7
Obecny stan ludów łacińskich

§ 1. Słabość ludów łacińskich

Przyjrzeliśmy się następstwom, jakie wywołało u ludów łacińskich stopniowe rozszerzenie ich koncepcji państwa, to znaczy władzy centralnej zastępującej inicjatywę obywateli i działającej za nich. Nie ma znaczenia, czy ta władza jest monarchiczna, czy kolektywistyczna. Pod pozornymi formami zewnętrznymi kryje się ta sama podstawowa koncepcja.

Z praktycznego punktu widzenia socjalizm jest tylko rozszerzeniem tejże koncepcji. Inicjatywa i wola, jakie jeszcze pozostały w duszach obywateli, zostaną wkrótce całkowicie złamane przez regulację pracy i stałe wtrącanie się urzędników we wszystkie czynności życiowe.

Liczne umysły, lękające się walki, wydają się coraz łatwiej godzić na rozwój socjalizmu. Nie mogąc w swoich przewidywaniach przekroczyć horyzontu, jaki je otacza, nie zdają sobie sprawy, co kryje się poza nim. A są to rzeczy groźne i straszne. Ludy łacińskie, jeśli chcą przetrwać, nie mogą więcej ryzykować eksperymentów ani rewolucji. Nowe prawidłowości ekonomiczne już zmieniają warunki życia narodów i wkrótce nie będzie miejsca dla ludów zbyt słabych. Słabość większości ludów łacińskich wkrótce dojdzie do punktu skrajnego, poza którym nie ma odwrotu. Nie zmieni się faktycznego stanu rzeczy upajając się błyskotliwymi powiedzeniami, tocząc jałowe dyskusje, odświeżając czyny przodków. Rycerski wiek uczuć heroicznych i wzniosłych oraz pomysłowej dialektyki już dawno minął. Naciska na nas nieunikniona rzeczywistość, na którą subtelne wywody i najdźwięczniejsze dytyramby tyleż mają wpływu, co bicze Kserksesa na morze, które kazał chłostać za karę, że zatopiło jego okręty.

Aby sprecyzować naszą myśl, spróbujemy przedstawić ogólną panoramę obecnego stanu ludów łacińskich. Czytelnik będzie mógł lepiej osądzić następstwa, jakie mógłby mieć dla tych ludów rozwój socjalizmu.

§ 2. Łacińskie republiki Ameryki, Hiszpanii i Portugalii

Rozważmy najpierw stan narodów z niższego szczebla cywilizacji łacińskiej, to znaczy z 22 republik hiszpańskich w Ameryce. Często po-

woływałem się na nie jako na przykład małego wpływu instytucji na życie ludów, byłoby zatem bezużyteczne wracać do opisu ich sytuacji. Od dawna urzeczywistniają one to, co nam zagraża. Wszystkie bez wyjątku doszły do takiego stanu, w którym rozkład objawia się zupełną anarchią i w którym ludy mogą coś zyskać tylko ulegając podbojowi narodu dość silnego, by nimi pokierował.

Zaludnione przez rasy zmęczone, bez energii, inicjatywy, moralności i woli, te 22 republiki latynoamerykańskie, choć leżą w najbogatszych regionach globu, nie są zdolne osiągnąć korzyści ze swoich zasobów. Żyją z pożyczek europejskich, które rozdzielają między siebie gangi politycznych rabusiów sprzymierzonych z innymi rabusiami spośród europejskiej finansjery, wykorzystującymi ignorancję społeczeństwa i tym bardziej winnymi oszustwa, że są wystarczająco dobrze poinformowani, by wiedzieć, że pożyczki przez nich rozpisane nigdy nie będą zwrócone. W tych nieszczęsnych republikach rabunek jest ciągły, a że każdy chce w nim wziąć udział, nie ustają wojny domowe, zaś prezydenci są regularnie mordowani, by nowa partia mogła dojść do władzy i się z kolei wzbogacić. Będzie to trwało tak długo, aż jakiś utalentowany awanturnik na czele kilku tysięcy zdyscyplinowanych żołnierzy dokona łatwego podboju tych krain i podporządkuje je twardemu reżymowi, na jaki zasługują ludy pozbawione męskości i moralności, niezdolne do rządzenia sobą.

Gdyby nie fakt, że w stolicach tych krajów osiedliła się pewna liczba cudzoziemców, Anglików i Niemców, przyciągniętych przez naturalne bogactwo ziemi, wszystkie te zdegenerowane kraje dawno by spadły do poziomu barbarzyństwa. Jedyna republika, która jakoś się trzyma i unika zupełnej ruiny, to Argentyna, gdyż coraz bardziej jest opanowywana przez Anglików.

Nim stały się republikami, wszystkie te kraje były prowincjami pod władzą Hiszpanii. Drogą rewolucji uwolniły się od jej próżnych gubernatorów i mnichów; było jednak za późno. Nawyk się utrwalił, duch był ukształtowany, podniesienie się – niemożliwe. Mnisi byli zresztą od dawna zajęci usuwaniem wszystkich, którzy zdradzali jakiekolwiek ślady inteligencji i niezależności.[1]

Od republik latynoamerykańskich przejdźmy do łacińskich monarchii europejskich. Ich sytuacja jest z pewnością mniej zła, ale jakże

[1] Le Bon zdaje się nie wiedzieć, że Hiszpania często wysyłała do kolonii ludzi uważanych za niepewnych, ale potem kontrola nad nimi była raczej nominalna (inkwizycja wydawała w tych rozległych krajach bardzo niewiele wyroków). W Chile przetrwała nawet gmina ukrytych Żydów. W wieku XVIII szerokie wpływy osiągnęła (jak i w metropolii) antyklerykalna masoneria, która potem zdominowała władze skorumpowanych republik latynoamerykańskich [*przypis tłumacza*].

daleka od świetności! Wiadomo, jaki jest obecny stan Portugalii i Hiszpanii. Nawet najmniej spostrzegawczy podróżny po krótkim pobycie wyrobi sobie zdanie. Finanse zrujnowane, prawie żaden przemysł i handel. Nieliczne dobrze funkcjonujące zakłady są w rękach cudzoziemców i przez nich zostały utworzone. Te kraje, niegdyś potężne, są dziś równie niezdolne do rządzenia sobą jak koloniami, które stopniowo tracą. Hiszpanii pozostały Filipiny i Kuba: poddała je ona tak chciwemu wyzyskowi oraz tak skorumpowanym i okrutnym rządom, że sprowokowała powstanie tubylców i interwencję zagraniczną. Dr Pinto de Guimaraes podał niedawno w pracy pod tytułem *La terreur espagnole aux Philippines* szereg szczegółów, które pokazują, czym było dla kolonii panowanie hiszpańskie i jak uzasadnione było przerażenie, jakie ono budziło. Wybieram z niej kilka uwag:

Już na pierwszy rzut oka widać, że interwencja amerykańska była równie konieczna na Pacyfiku, co na Atlantyku. Panowanie hiszpańskie równie ciążyło nad Filipinami, co nad Kubą, a jeśli popełnione tam okrucieństwa są mniej znane, wynikło to nie tyle z większej cierpliwości cierpiących, co z zupełnej izolacji, odległości od świata cywilizowanego, oraz z zabiegów lokalnych gubernatorów, zmierzających do zagłuszenia skarg i przechwycenia protestów. Jednak prawda, silniejsza niż despotyzm, daje się w końcu poznać, a Filipińczykom udało się mimo hiszpańskiego knebla krzyknąć tak głośno, że świat ich usłyszał.

Nie sposób wyobrazić sobie, jakie szykany, jakie złośliwe formalności, jakie rujnujące pomysły może stworzyć mózg hiszpańskiego urzędnika. Ci panowie mają tylko jeden cel: w ciągu trzech czy sześciu lat zrobić na Filipinach majątek tak duży, jak się da, i wrócić do Hiszpanii, by nie słyszeć chóru przekleństw mieszkańców wyspy... Gubernator, którego przyszłość nie jest dobrze zabezpieczona po dwóch latach na urzędzie, powszechnie uważany jest za głupca. Sławny generał Weyler potrafił zgromadzić w bankach Londynu i Paryża sumę szacowaną przez jego własnych rodaków na dwanaście do piętnastu milionów franków. Jak mu się udało zaoszczędzić piętnaście milionów w trzy lata przy rocznej pensji 200 000 franków?

A jednocześnie nie można się powstrzymać od myślenia o wspaniałych zasobach tego kraju i o znakomitych rezultatach, jakie by osiągnęło tam mocarstwo inne niż Hiszpania. Okradani, uciskani, niszczeni, torturowani Filipińczycy potrafią jednak przetrwać. Charakter urzędników i szykany podatkowe zniechęcają do tego pięknego kraju wszystkich, którzy mogliby się przyczynić do jego rozwoju i pomyślności.

Oprócz urzędników jedną z najgorszych plag Filipin stanowili mnisi. Było ich sześć tysięcy, a ich chciwość[2] mogła rywalizować tylko z ich okrucieństwem. Przywrócili oni wszystkie tortury inkwizycji.

Na temat okrucieństwa Hiszpanów dr Guimaraes podaje szczegóły wywołujące mdłości. Jest tam mianowicie historia stu więźniów zamkniętych w lochu o nazwie „jama śmierci", w połowie wypełnionej zepsutą wodą, rojącą się od szczurów, węży i wszelkiego robactwa godnego wyobraźni powieściopisarza: *Noc, którą tam spędzili, była potworna. Było słychać wycie z bólu i błagania, by ich dobito. Nazajutrz wszyscy byli martwi.*

Wobec podobnych faktów – konkluduje Guimaraes – *nikt nie zdziwi się radością powstańców ze zwycięstwa Amerykanów. Hiszpanie od wieków popełniali na tych nieszczęśliwych wyspach taką gamę okrucieństw, że heroizm ich obrony nie wystarcza, by im wybaczyć.*

Panowanie hiszpańskie na Kubie było oczywiście takie samo, jak na Filipinach i ludność w końcu się zbuntowała. Powstańcy tworzyli tylko słabo wyposażone grupy, których liczba nigdy nie przekroczyła 10 000 ludzi. Hiszpania posłała przeciw nim 150 000 żołnierzy pod dowództwem licznych generałów, wydając 2 miliardy w cztery lata; jednakowoż wszyscy ci generałowie, mimo grzmiących deklaracji oraz bezlitosnego okrucieństwa, nie potrafili zwyciężyć źle uzbrojonych band. Bezwzględność Hiszpanów i masakry spokojnej ludności, których dokonywali na wielką skalę, dostarczyły Stanom Zjednoczonym doskonałych powodów do interwencji. Wszyscy ci, którzy mieli choć trochę troski o ludzkość, cieszyli się z ich sukcesu.[3]

Wojna hiszpańsko-amerykańska pełna była epizodów pouczających psychologicznie. Nigdy nie ukazała się wyraźniej rola charakteru, a tym samym rasy, w życiu ludu. Swiat nie widział jeszcze całych flot, solidnie opancerzonych, a unicestwionych w niewiele chwil bez próby podjęcia walki z wrogiem. W dwóch bitwach zniszczonych zostało w ten sposób dwadzieścia okrętów hiszpańskich. Umrzeć stoicko jest marnym usprawiedliwieniem nieudolności. Nigdzie nie dało się dostrzec lepiej niż w Manili i na Kubie, jakie skutki może sprowadzić brak przewidywania, niezdecydowanie, niedbalstwo i brak zimnej krwi. W Manili, gdy flota amerykańska podpłynęła w nocy, Hiszpanie zapomnieli zapalić ognie, które by pozwoliły dostrzec jej obecność. Zapomnieli również

---

[2] Według liczb podanych przez Montero y Vidal skromne probostwa przynosiły ich beneficjentom 10 tys. franków; wymieniano przynoszące 25 do 75 tys. franków. Sumy te płacone były przez skrajnie ubogich tubylców. [Le Bon myli mnichów z duchownymi przybyłymi z Hiszpanii dla objęcia beneficjów; dochód przynosiły one dzięki posiadłościom ziemskim; inkwizycja w XIX wieku już nie działała. Rzetelność danych o zbrodniach hiszpańskich jest trudna do sprawdzenia, gdyż podawali je ludzie, którzy odnieśli korzyści z inwazji USA w 1898 oraz zaboru dóbr kościelnych; autor pomija milczeniem krwawe stłumienie antyamerykańskiego powstania Filipińczyków 1899-1901 – *uwaga tłumacza*].

[3] Poprzednio Le Bon mniej entuzjastycznie ocenił rolę i motywy Amerykanów w tej wojnie.

o obronie cieśniny przez postawienie w niej min. W Santiago zaniedbano przysłania posiłków, które były na wyspie dostępne i umożliwiłyby obronę; na Porto Rico obrony wcale nie było. Żałosny jest widok floty niszczącej samą siebie przez wpłynięcie na skały, zanim choć jeden jej pocisk dosięgnął przeciwnika. Rzucając się na wroga, zamiast uciekać, z pewnością zadała by mu pewne straty, a przynajmniej ocaliłaby honor.[4] H. Depasse pisze słusznie na ten temat: *Można by powiedzieć, że przeciwnicy należeli do dwóch różnych cywilizacji albo raczej do dwóch różnych epok historii; jeden posłuszny tylko impulsom swej natury, drugi dzięki wychowaniu panujący nad swoimi możliwościami i nad sobą.* Nie można by lepiej oddać w kilku słowach jednego z głównych skutków wychowania anglosaskiego i łacińskiego.[5]

Opinia o Hiszpanii, jaką tu formułuję, cechuje nie tylko cudzoziemców. W godnym uwagi studium, opublikowanym przez *Revue Bleue,* hiszpański autor Bardo Bazan w dobitnych słowach opisał żałosną dekadencję swego nieszczęśliwego kraju. Przedstawia przede wszystkim głęboką demoralizację warstw kierowniczych: *Niemoralność i sprzedajność toczą naszą administrację... Obawa przed wymiarem sprawiedliwości jest silniejsza niż przed złoczyńcami.* Łupiestwo jest powszechne, walczące partie bez przerwy wyrywają sobie władzę tylko po to, by się samemu wzbogacić. Lud tak uciśniony, że musi oddawać wszystko, co posiada, popadł w najgorszą nędzę; nauczyciele, którym nie płaci się od dawna, żebrzą na drogach, by nie umrzeć z głodu. Hiszpania ma już tylko legendy, w dawnym imperium Karola V nie ma już żyjących, są tylko umarli. *Przed królami katolickimi [Ferdynandem i Izabelą] Hiszpania przeżyła dwie wspaniałe epoki rozkwitu, cywilizację rzymską oraz hiszpańsko-arabską w średniowieczu; jej terytorium było wtedy ludne, mieszcząc 40 milionów mieszkańców [obecnie 19 milionów]; pokryte wspaniałymi miastami, których ruiny nadal można podziwiać; byliśmy wtedy potężni, uczeni, mieliśmy przedsiębiorczość i znakomite rolnictwo; nasze obecne systemy nawadniania zawdzięczamy jeszcze Maurom z południa. Dwieście lat po królach katolickich Hiszpania była wyludniona,*

---

[4] Autor nie zauważa miażdżącej przewagi technicznej floty amerykańskiej; szybkość i zasięg ognia okrętów hiszpańskich praktycznie uniemożliwiały im dosięgnięcie przeciwnika [*uwaga tłumacza*].

[5] Następujący fragment wywiadu marszałka hiszpańskiego Camposa, powtórzony przez wszystkie gazety, dobrze podsumowuje wrażenie, jakie wywarły w świecie nieprawdopodobne sukcesy armii zaimprowizowanej przez Stany Zjednoczone przeciw armiom nawykłym do walki i licznym, jako że Hiszpanie mieli na Kubie 150 000 ludzi, to znaczy dwa razy więcej niż Amerykanie: *Nawet będąc największym pesymistą nie można by przypuścić, że nasze klęski będą tak liczne. Katastrofa w Cavite, zniszczenie eskadry Cervery, poddanie Santiago, zajęcie szybko i bez oporu PortoRico – nikt nie mógłby ich sobie wyobrazić, nawet przesadzając siłę Stanów Zjednoczonych i słabość Hiszpanii.*

wygłodzona, wyczerpana; dziś, cztery wieki po nich, nic nam nie zostało ze zwycięstw i dawnej wielkości. Resztki, rozwaliska, blade wspomnienia – oto nasze dziedzictwo.[6]

§ 3. Włochy i Francja

Nie upadłszy tak nisko jak Hiszpania, Włochy nie są w sytuacji o wiele lepszej; stan budżetu zdradza panujący zamęt. Włochy są nie tylko ofiarą koncepcji łacińskich[7], które ukształtowały ich ducha, lecz również fatalnej koncepcji jedności, jaka wylęgła się w mózgach ich polityków. Jednocząc pod jedną centralną władzą ludność tak różną jak Piemontczycy, Lombardowie, Sycylijczycy itd., Włochy podjęły eksperyment katastrofalny i rujnujący. Od stanu godnego zazdrości w trzydzieści lat przeszły do zupełnej dezorganizacji politycznej, administracyjnej, finansowej i wojskowej.

Ich finanse nie są w stanie tak żałosnym jak hiszpańskie, ale wprowadzono już podatek od dochodów, który krok po kroku doszedł do 20%, a który, podnoszony nadal, doprowadzi do takiego upadku, jak w Portugalii. Z daleka sprawiają wrażenie wielkiego narodu, ale jego moc jest tylko słabą fasadą niezdolną do oparcia się najlżejszym wstrząsom. Mimo milionowych wydatków dla stworzenia siły wojskowej, która by im pozwoliła zaliczać się do wielkich potęg, Włochy dały światu szokujące widowisko armii 20 000 Europejczyków zniszczonej w walnej bitwie przez hordę Murzynów [w Etiopii]. Duży kraj cywilizowany zmuszony został do płacenia odszkodowania afrykańskiemu królikowi, którego stolicę zdobył kilka lat wcześniej całkiem mały oddział angielski. Włochy ciągną się na holu Niemiec i muszą bez protestu znosić wzgardę okazywaną im bez przerwy przez niemieckie gazety. Rozrzutność i niedbalstwo przewyższają we Włoszech granice wyobraźni. Włosi wznoszą bezużyteczne pomniki, jak ten Wiktora Emanuela, który kosztował 40 milionów, a w tym czasie są na Sycylii

---

[6] Byłoby interesujące ocenić dalsze losy Hiszpanii z punktu widzenia hipotez Le Bona. Przewidywał on w krajach łacińskich rozwój socjalizmu, jego zwycięstwo, a potem upadek. Pogłębiający się kryzys kulminował w Hiszpanii w wojnie domowej 1936-39 między socjalistycznymi republikanami a konserwatywną armią. Wynikła z niej, znów zgodnie z ogólnymi przewidywaniami, dyktatura. Ta zaprowadziła dyscyplinę i uniknęła państwowego socjalizmu [*przypis tłumacza*].

[7] W sposobie rozumienia roli państwa Włosi jeszcze przewyższają Francuzów, doprowadzając koncepcje łacińskie do ostatecznych konsekwencji. Nigdzie bardziej niż we Włoszech nie rozwinęła się wiara w absolutną wszechmoc państwa, w potrzebę jego ingerencji we wszystkie sprawy, łącznie z handlem i przemysłem, czego ostateczną konsekwencją są postępy zurzędniczenia i niezdolność obywateli do radzenia sobie samodzielnie bez stałej opieki państwa.

prowincje pogrążone w najgłębszej nędzy, wsie opuszczone przez mieszkańców i zarośnięte przez ciernie.[8] Ich administrację można osądzić na podstawie afery bankowej, albo przygnębiających procesów w Palermo i Neapolu, w których dowiedziono, że wszyscy pracownicy państwowi – od dyrektorów do ostatniego zatrudnionego – od lat uprawiali bezwstydny rabunek kasy publicznej. Wobec codziennych dowodów dezorganizacji i demoralizacji obecnych Włoch, które zapowiadają rewolucję, można zrozumieć osąd wybitnego uczonego z Półwyspu, Lombrosa, na temat własnego kraju, wypowiedziany w niedawnej jego książce – osąd bez nadziei, który chciałbym uznać za zbyt surowy!

Trzeba być dziesięciokroć ślepym, by nie spostrzec, że przy całym naszym zamiłowaniu do przechwałek my, Włosi, jesteśmy przedostatnim jeśli nie ostatnim ludem w Europie; ostatnim co do moralności, ostatnim co do wykształcenia, ostatnim co do aktywności przemysłowej i rolniczej, ostatnim co do uczciwości sądów; a przede wszystkim ostatnim co do względnego poziomu życia klas niższych.

Włochy wydają się przeznaczone w nieunikniony sposób do rewolucji i można oczekiwać wkrótce ich przejścia przez fatalny cykl, o którym już kilka razy mówiłem: socjalizm, potem cezaryzm, rozkład i inwazja z zewnątrz.[9]

Nierozwiązalnym problemem Włochów jest ich pragnienie naśladowania ludów bogatych, co doprowadziło do wytworzenia mnóstwa potrzeb luksusowych, których ubóstwo kraju nie pozwala zaspokoić.

Większość Włochów – pisze Guglielmo Ferrero – *ma poczucie przynależności do wyższej cywilizacji, dąży do upiększenia swego życia przez pewną dozę komfortu i kultury, lecz nie ma na to wystarczających środków... Italia nie może oglądać rzeczy wielkich i pięknych nie zapragnąwszy pobawienia się nimi. Ileż rozczarowań, gniewu, smutku, musi kosztować życie codzienne ludzi żyjących w podobnej sytuacji!... Obliczcie, jak wiele rozdrażnienia zbiera się w całym społeczeństwie, a bez trudu zrozumiecie dotkliwą chwiejność jego równowagi.*

Socjalizm rozwija się najłatwiej u jednostek mających bardzo duże potrzeby, bez uzdolnień i energii pozwalających zdobyć środki na ich

[8] A tymczasem wymagania włoskiego wieśniaka są naprawdę minimalne. Płaca pracujących rzadko przewyższa 50 centymów dziennie. Robotnicy uważają się za szczęśliwych, jeśli ich płaca osiągnie 2 franki. Gdyby warstwy rządzące miały choć część wytrwałości i energii klas niższych, Włochy zaliczałyby się do krajów najbogatszych, zamiast znajdować się na prawie ostatnim miejscu wśród ludów cywilizowanych.

[9] Faszyzm był i socjalizmem państwowym i cezaryzmem, który przegrał wojnę [*uwaga tłumacza*].

zaspokojenie. Udaje on lekarstwo na wszystkie choroby i dlatego Włochy wydają się skazane na najbardziej ryzykowne eksperymenty socjalistyczne.

Ta potrzeba luksusu, rozrywek i strojów istotnie różni Włochy i Hiszpanię. W tym, co dotyczy zewnętrznego aspektu cywilizacji, Hiszpania stoi w oczywisty sposób niżej od Włoch, ale średnie i niższe warstwy ludności Hiszpanii cierpią dość niewiele, gdyż ich potrzeby, nie rozrósłszy się, nadal mogą być łatwo zaspokojone. Środki komunikacji, a w szczególności kolej, są w Hiszpanii słabo rozwinięte i całe prowincje pozostają izolowane od świata, mogąc trwać przy dawnym stylu życia. Życie pozostało tam niewiarygodnie tanie. Ponieważ potrzeby są małe, a luksus pozostaje nieznany, przedmioty wytwarzane na miejscu wystarczają. Jeśli pominąć wielkie miasta i zewnętrzne luksusy, czyli te właśnie rzeczy, o których się mówi, gdyż są widoczne – poziom cywilizacyjny Hiszpanii jest skromny, ale proporcjonalny do jej ewolucji umysłowej i potrzeb. Socjalizm nie może jej zagrozić poważniej.

U ludów łacińskich do kosztownych wygód cywilizacji aspirują zresztą coraz bardziej głównie warstwy zwane kierowniczymi. To dążenie jest godne pochwały, jeśli czuje się energię i inteligencję potrzebną do zdobycia tych wygód. Gorzej, gdy rozwój energii i inteligencji pozostaje daleko w tyle za rozwojem potrzeb. Gdy chce się za wszelką cenę zdobyć fortunę, a nie ma się po temu uzdolnień, za mało zwraca się uwagę na środki: wtedy uczciwość zanika, a demoralizacja staje się wkrótce powszechna. Tak się istotnie przydarzyło większości ludów łacińskich. Można u nich coraz częściej zaobserwować niepokojący fakt, że moralność warstw kierowniczych stoi niżej niż warstw ludowych. Jest to jeden z najniebezpieczniejszych możliwych przejawów dekadencji, bo cywilizacje i rosną, i giną za przyczyną klas wyższych.

Termin „moralność" jest tak niejasny i obejmuje tak wiele różnych zjawisk, że jego użycie w konieczny sposób prowadzi do poważnych nieporozumień. Używam go tu w sensie prostej uczciwości, zwyczaju dotrzymywania zobowiązań, poczucia obowiązku, to znaczy w tym samym sensie, w jakim używał go cytowany gdzie indziej autor angielski dowodzący, że dzięki tym zaletom, pozornie tak skromnym, a tak w rzeczywistości ważnym, Anglicy szybko zmienili opinię o Egipcie i doprowadzili do rozkwitu finanse swoich kolonii.

Poziomu moralności narodu nie należy określać na podstawie statystyk kryminalnych, które rejestrują tylko przypadki skrajne. Trzeba wniknąć w szczegóły. Bankructwo finansowe jest barometrem, który wskazuje tylko stan końcowy. Aby wyrobić sobie opinię opartą na rzetelnych podstawach, należy wniknąć w wewnętrzne życie kraju,

przebadać zarządzanie instytucjami finansowymi, obyczaje handlowe, niezależność lub sprzedajność wymiaru sprawiedliwości, uczciwość notariuszy i innych urzędników oraz wiele innych objawów, które wymagają bezpośredniej obserwacji. Nie znajdzie się ich w żadnych opisach książkowych. Osób dokładnie w tych sprawach zorientowanych jest w Europie może kilkadziesiąt. A jeśli chcecie mimo wszystko bez zbyt wielu badań zdecydować się na jakąś ocenę moralności różnych narodów? Spytajcie po prostu paru wielkich przemysłowców, konstruktorów, fabrykantów, przedsiębiorców itd., którzy z konieczności kontaktują się z handlem, administracją i sądownictwem różnych krajów. Przedsiębiorca, który w wielu rejonach wprowadzał koleje, tramwaje, elektryczność, gaz, itd., powie wam, jeśli zechce, w jakich krajach da się przekupić wszystkich – ministrów, sędziów, urzędników – w jakich niewielu, a w jakich nikogo. W jakich krajach handel jest uczciwy, a w jakich wcale nie. Jeśli źródła waszych informacji będą zróżnicowane, a co do treści zgodne, można wnioskować o ich wiarygodności.[10]

Nasz krótki przegląd ludów łacińskich nie byłby kompletny bez Francji, której rola w świecie była niegdyś tak efektowna i dominująca. Jeszcze opiera się ona rozkładowi, ale jest dziś już poważnie nadwerężona. W ciągu wieku zaznała wszystkiego, czego naród zaznać może: najkrwawszych rewolucji, chwały, klęsk, wojen domowych, inwazji, niewiele mając odpoczynku. Dziś wyraźnie doświadcza zmęczenia i obojętności, które wydają się dochodzić aż do zapaści. Gdyby sądzić po objawach, jest ona ofiarą biologicznego prawa, wedle którego *wyczerpanie jest na ogół tym zupełniejsze, im wspanialsza była aktywność.*

W porównaniu do tej samej klasy w Anglii i Niemczech – pisał niedawno szwajcarski felietonista, cytowany przez „*France extérieure*" – *burżuazja francuska sprawia wrażenie osoby posuniętej w latach. Indywidualna inicjatywa słabnie, duch przedsiębiorczości wydaje się sparaliżowany; narasta potrzeba wypoczynku i skłonność do zajęć siedzących; przybywa lokat w obligacjach państwowych; przybywa urzędników.*

[10] Byłoby zbędne wchodzić w szczegóły tej ankiety, którą mogłem przeprowadzić w wielu krajach dzięki kontaktom nawiązanym podczas podróży. Ograniczę się do stwierdzenia, że z przyjemnością ustaliłem, iż pośród krajów łacińskich najwięcej rzetelności w administracji i wymiarze sprawiedliwości spotyka się we Francji, z wyłączeniem paru polityków, finansistów i dziennikarzy. [Ocena historyków jest tu znacznie surowsza! – *uwaga tłumacza*]. Sądownictwo jest często bardzo ograniczone i zbyt łatwo ustępuje przed naciskami politycznymi, ale pozostało uczciwe. Z drugiej strony są kraje jak Hiszpania czy Rosja, w których sprzedajność sądownictwa i administracji oraz nieuczciwość poszły tak daleko, że już nawet nie starają się zachować pozorów.

To znaczy, że kapitały, inteligencja, uzdolnienia wycofują się z interesów. Maleją dochody, eksport, liczba dzieci, maleje energia, maleje szacunek dla autorytetu, sprawiedliwości, religii, maleje zainteresowanie sprawami publicznymi; rosną wydatki, rośnie import, rośnie napływ cudzoziemców.

Badając walki handlowe i przemysłowe między ludami Zachodu, przekonamy się wkrótce, jak dalece powyższe stwierdzenia są niestety usprawiedliwione.

§ 4. Skutki przyjęcia koncepcji łacińskich przez ludy innych ras (kultur)

Przykłady narodów na niższym szczeblu cywilizacji nagle przyjmujących *en bloc* wzory od innych ludów są w czasach współczesnych rzadkie. Przytoczę tu tylko losy Japonii i Grecji.

Grecja stanowi interesujący przykład przyjęcia w całości koncepcji łacińskich, zwłaszcza w dziedzinie wychowania. Skutki są uderzające i warto je przytoczyć tym bardziej, że nie zwróciły dotychczas uwagi żadnego autora.

Jak wiadomo współcześni Grecy wcale nie są spokrewnieni z Grekami starożytnymi. W zgodzie z danymi historycznymi współczesna antropologia dowiodła, że są to Słowianie pod względem kształtu czaszki krótkogłowi, gdy starożytni Grecy byli długogłowi. Samo to wystarczy, by stwierdzić zasadniczy rozziew między współczesnymi Grekami a ich rzekomymi przodkami.[11]

Charakter współczesnych Greków jest zbyt znany, by wymagał długiego opisu. Mają oni mało woli i stałości, a znaczną lekkość, ruchliwość i pobudliwość. Odczuwają gwałtowny wstręt do dłuższych wysiłków, kochają formuły i mowy. We wszystkich warstwach społecznych poziom moralny jest skrajnie niski.

---

[11] W 1851, w epoce uzyskania niepodległości w wyniku nader niezręcznej interwencji europejskiej, Grecja liczyła około miliona ludności, w tym jedną czwartą Albańczyków i Wołochów [?]. Była to pozostałość inwazji rozmaitych ludów, a zwłaszcza Słowian. [Aż do XIX w. źródło w Olimpii nazywało się Zaleska Woda]. Greków we właściwym sensie nie było już od wieków. Od czasu podbojów rzymskich Grecja była traktowana przez wszystkich awanturników jako źródło niewolników, z którego każdy mógł bezkarnie czerpać. Zwykli handlarze transportowali ich do Rzymu tysiącami na raz. Później Goci, Herule, Bułgarzy, Wołosi itd. nadal najeżdżali kraj, uprowadzając jego mieszkańców do niewoli. Grecja została trochę zaludniona dopiero przez inwazję awanturników słowiańskich, najczęściej rozbójników z zawodu. Język zachował się tylko dlatego, że mówiono nim na bizantyjskim Wschodzie. Obecna ludność składa się wyłącznie ze Słowian; starożytny typ grecki, unieśmiertelniony przez posągi, znikł zupełnie. Sławny Schliemann, którego spotkałem podczas podróży do Grecji, zwrócił mi jednak uwagę, że ten starożytny typ grecki można jeszcze spotkać wyjątkowo na wielu wysepkach archipelagu, zamieszkałych przez rybaków, których izolacja i ubóstwo prawdopodobnie zabezpieczyły przed inwazją.

Byłoby interesujące przyjrzeć się wpływowi łacińskiego systemu edukacji na taki lud. Wyszedłszy z długiej niewoli, w której nie mogli nabyć wiele ducha inicjatywy ani woli, współcześni Grecy wyobrazili sobie, że mogą się podźwignąć dzięki wykształceniu. W parę lat kraj pokrył się siecią 3000 szkół i wszelkiego rodzaju instytucji służących nauczaniu, gdzie były starannie wprowadzane zgubne programy edukacji łacińskiej. *Język francuski jest wszędzie w Grecji nauczany obok ojczystego* – pisze Fouilee – *nasz duch, nasza literatura, nasza sztuka, nasze wykształcenie pozostają w większej niż u innych ludów harmonii z geniuszem greckim.*

To kształcenie teoretyczne i książkowe, nadając się tylko do fabrykowania urzędników, nauczycieli i adwokatów, niczego innego naturalnie wyprodukować nie mogło. *Ateny są wielką fabryką bezużytecznych i szkodliwych adwokatów.* Podczas gdy przemysł i rolnictwo pozostają na poziomie prymitywnym, mnożą się absolwenci bez zajęcia; jak u ludzi cywilizacji łacińskiej poddanych takiemu samemu kształceniu, ich jedyną ambicją jest uzyskanie posady państwowej.

Każdy Grek – pisze Politis – *wierzy, iż głównym zadaniem rządu jest zapewnienie miejsca pracy czy to jemu samemu, czy też członkowi jego rodziny.* Jeśli go nie otrzymuje, natychmiast staje się buntownikiem, socjalistą, wymyśla na tyranię kapitału, choć w tym kraju kapitał prawie wcale nie istnieje. Głównym zadaniem posłów jest znalezienie zatrudnienia dla absolwentów szkół.

Wykształcenie nie pomogło im nawet do wyleczenia się z najskrajniejszego fanatyzmu religijnego. Cywilizowany świat patrzył osłupiały na studentów robiących małą rewolucję, która skończyła się dopiero dymisją ministerialną, żeby uzyskać – u progu XX wieku – religijną ekskomunikę pisarzy, którzy pozwolili sobie przełożyć Ewangelie na grekę ludową.

Protekcje, brak dyscypliny i powszechna dezorganizacja okazały się rychłym następstwem edukacji, jakiej poddano grecką młodzież. Wystarczyło dwóch zdeklasowanych pokoleń, by doprowadzić kraj do skrajnej ruiny i jeszcze bardziej obniżyć i tak już niski poziom jego moralności. Wykształcona Europa, patrząca na ten nieliczny lud poprzez pryzmat klasycznych czasów Peryklesa, zaczęła tracić złudzenia dopiero wtedy, gdy zobaczyła, z jak zupełnym cynizmem politycy, zapożyczywszy się wszędzie w Europie, jednym pociągnięciem pióra anulowali swe długi, odmawiając płacenia odsetek, jak też podejmując produkcję monopolową solennie odstąpioną wierzycielom jako gwarancja, skoro tylko nie znaleźli już więcej pożyczkodawców.[12] Europa

[12] Ten proceder zniesienia długów, w handlu określany jako bankructwo, został zastosowany przez Portugalię, republiki latynoamerykańskie, Turcję i wiele innych krajów. Wydawał się on z początku stosującym go politykom nader pomysłowy, ale nie dostrzegli

zorientowała się w dezorganizacji kraju i wartości wszystkich jego wielkich mówców, kiedy przypatrzyła się perypetiom ostatniej wojny z Turkami i przyjrzała się widowisku znacznych armii greckich pierzchających w panice i zupełnej rozsypce, gdy tylko sygnalizowano z daleka obecność kilku żołnierzy ottomańskich. Bez interwencji Europy Grecy zniknęliby na nowo z historii, a świat nic by na tym nie stracił. Jednocześnie nasi młodzi akademicy, tak rozentuzjazmowani Grecją, musieli dojść na temat psychologii pewnych ludów do wiedzy trochę wartościowszej niż zawarta w książkach.

§ 5. Przyszła groźba wisząca nad ludami łacińskimi

Taki jest obecny stan ludów łacińskich i tych, które przyjęły koncepcje łacińskie, przedstawiony, mam nadzieję, bez istotniejszych niedokładności. Czekając, aż ludy te znajdą drogę do podniesienia się z upadku, trzeba im przypomnieć, że nowa ewolucja, jaką przeżywa świat, pozostawia miejsce tylko dla silnych, a każdy lud osłabiony wydany jest na zakusy sąsiadów, zwłaszcza z chwilą, gdy dalekie rynki coraz bardziej zaczną się zamykać.

Ten punkt widzenia ma zasadnicze znaczenie. Został on dobrze uwypuklony w słynnej mowie wygłoszonej kilka lat temu przez lorda Salisbury, wówczas premiera Anglii. Z powodu jej znaczenia i autorytetu autora zacytuję kilka fragmentów. Można w niej znaleźć celne wskazanie następstw spadku poziomu moralnego, o czym mówiłem powyżej. Stanowi on znakomity barometr dekadencji ludów. Protesty przeciw tej mowie, jakie się podniosły w Hiszpanii, nie mogą nic ująć dokładności stwierdzeń wygłoszonych przez znakomitego męża stanu ani też wnioskom, jakie z nich wyprowadza:

Można z grubsza podzielić narody świata na dwie kategorie: żywe i umierające. Oto z jednej strony wielkie narody dysponujące wielką potęgą, która rośnie z roku na rok, powiększające swoje bogactwo, poszerzające swoje terytorium, doskonalące swoją organizację.

Obok tych wspaniałych organizmów, których sił, jak się wydaje, nic nie może umniejszyć, i których rywalizujące dążenia przyszłość być może pogodzi jedynie przez krwawe starcie, widać pewną liczbę społeczeństw, które trudno nazwać inaczej niż umierającymi, choć to określenie stosuje

---

oni wcale, że te bankructwa prowadzą ostatecznie kraje je praktykujące do znalezienia się pod ścisłym nadzorem, a tym samym do dominacji innych krajów. Doświadczają tego dziś Grecy. Ponieważ nie można było wśród nich znaleźć paru ludzi jako tako uczciwie zarządzających finansami, musieli się zgodzić na to, że ich finanse, jak w Egipcie i w Turcji, znajdą się pod zarządem obcych urzędników kontrolowanych przez odpowiednie rządy.

się do nich w różnym stopniu. W państwach tych dezorganizacja i rozkład robią postępy prawie równie szybkie jak jedność i potęga krajów żywych, które je otaczają. Z dziesięciolecia na dziesięciolecie stają się słabsze, biedniejsze, bardziej pozbawione ludzi zdolnych je poprowadzić, czy instytucji zasługujących na zaufanie. Zmierzają według wszelkich przesłanek ku tragicznemu końcowi, a jednak z dziwnym uporem czepiają się resztek życia.

W tych krajach zły system rządów nie tylko nie jest poprawiany, lecz wciąż staje się gorszy. Społeczeństwo i życie oficjalne, administracja, tak są przeżarte korupcją, że nigdzie nie da się znaleźć solidnej podstawy, na której można by oprzeć jakąś nadzieję reformy czy odnowy. Można rzec, iż narody te, choć w różnym stopniu, stanowią ponure widowisko dla oświeconej części świata; ich stan okazuje się niestety coraz bardziej ponury w miarę jak te fakty stają się coraz lepiej znane innym narodom, które proszone są o znalezienie, z litości czy dla interesu, leku na ich choroby.

Jak długo może trwać ten stan rzeczy? Nie będę oczywiście próbował prorokować. Mogę tylko wskazać na to, że sytuacja się rozwija w tym czy tamtym kierunku: państwa słabe słabną, silnym przybywa sił. Nie trzeba więc być prorokiem, by przewidzieć, do jakich zgubnych skutków doprowadzi połączenie tych sprzecznych zjawisk. Z tej czy innej przyczyny – czy z powodu politycznej konieczności, czy pod pretekstem filantropii – narody żywe wkroczą stopniowo na terytoria umierających, a zarodki konfliktu między ludami cywilizowanymi wkrótce się rozwiną.

Czy doprawdy należy próbować podporządkowania socjalizmowi krajów tak zrujnowanych, podzielonych, mało rozwiniętych, jak ludy łacińskie? Czyż nie jest oczywiste, że to tylko powiększy ich słabość i uczyni je łatwiejszym łupem dla ludów silnych? Niestety! Politycy tego nie widzą, niczym średniowieczni teologowie zajęci sporami religijnymi w głębi klasztorów, nie dostrzegający, że barbarzyńcy obalają ich mury i szykują się, by wymordowania mieszkańców.

Czy wobec tego należy całkiem zwątpić w przyszłość ludów łacińskich? Konieczność jest samoistną siłą, która może wiele zmienić. Jest możliwe, iż po serii dotkliwych klęsk ludy łacińskie, pouczone doświadczeniem, unikną pokus podsuwanych im przez sąsiadów i podejmą trudne przedsięwzięcie zdobycia zalet, których im brak dla uzyskania powodzenia w życiu. Do ich dyspozycji stoi jeden środek: całkowicie zmienić system szkolnictwa. Nie sposób zbytnio pochwalić tych kilku apostołów, którzy się przejęli tą sprawą. Przekonanym jednostkom często udaje się ukształtować opinię, a opinia jest dzisiaj królową. Trzeba jednak będzie wielkiego wysiłku, by rozprawić się z przesądami, które utrzymują nasz system edukacji w jego obecnym stanie. Historia

dowodzi, że dla powstania religii może wystarczyć dwunastu apostołów, ale też religie, wierzenia, opinie bez zgromadzenia tych dwunastu nie mogą liczyć na powodzenie.

Nie bądźmy jednak zbytnimi pesymistami. Historia jest tak pełna niespodzianek, świat jest w trakcie tak głębokich przemian, że nie jest dziś możliwe przewidzieć losy imperiów. Zadanie filozofów jest zresztą wykonane, jeśli wskazali ludom zagrażające niebezpieczeństwa.

Księga IV
KONFLIKT MIĘDZY PRAWIDŁOWOŚCIAMI GOSPODARCZYMI A DĄŻENIAMI SOCJALISTYCZNYMI

Rozdział 1
Ewolucja przemysłowa i gospodarcza doby obecnej

§ 1. Nowe czynniki ewolucji społeczeństw stworzone przez współczesne odkrycia

Na tle minionych wieków doba współczesna wyróżnia się tym, że w najkrótszym czasie przeżyła najwięcej zmian. Są one następstwem pojawienia się szeregu czynników bardzo różnych od tych, które dotychczas rządziły społeczeństwami. Jedna z podstawowych cech obecnej epoki polega właśnie na przemianie przyczyn powodujących ewolucję ludów. Podczas gdy w ciągu wieków czynniki religijne i polityczne wywierały wpływ decydujący, dziś przybladł on znacznie. Nabierają dziś natomiast decydującego znaczenia czynniki ekonomiczne i techniczne, których rola była wcześniej nikła. Dla Cezara, Ludwika XIV, Napoleona czy innego władcy Zachodu było zupełnie obojętne, czy Chiny posiadają węgiel, czy też nie. Dziś sam fakt, że go posiadają i używają, może mieć wkrótce daleko idące następstwa dla rynku europejskiego. Fabrykant z Birmingham czy angielski rolnik nie starali-by się dawniej dowiedzieć, czy Indie fabrykują bawełnę i czy uprawiają

pszenicę. Ten fakt, przez wieki tak mało w oczach Anglii znaczący, ma obecnie dla niej większe znaczenie, niż wydarzenia pozornie bardziej efektowne, jak klęska Niezwyciężonej Armady, czy upadek potęgi Napoleona.

Nie tylko jednak postęp odległych ludów intensywnie oddziałuje na egzystencję narodów europejskich. Szybkie przemiany w przemyśle zmieniły całość warunków życia. Słusznie zauważono, że aż do początku naszego wieku narzędzia przemysłowe prawie się nie zmieniły przez tysiące lat. Ich istotne elementy były bowiem takie same, jak w eksponatach znalezionych w grobach starożytnych Egipcjan pochodzących sprzed 4000 lat.[1] Jednakże od około stu lat porównanie z przemysłem dawnych wieków nie jest już możliwe. Wykorzystanie przez maszyny parowe energii słonecznej skupionej w węglu całkowicie zmieniło przemysł. Najskromniejszy fabrykant ma w piwnicach więcej węgla, niż trzeba do wykonania pracy, którą musiałoby kiedyś wykonywać 20 000 niewolników – podobno tylu miał Krezus. Dysponujemy młotami, których jedno uderzenie ma siłę 10 000 ludzi. W Stanach Zjednoczonych Ameryki szacuje się, że transport zapewniony przez koleje, czyli przez siłę wydobytą z węgla, musiałby być zastępowany przez 13 milionów ludzi i 53 miliony koni. Nawet zakładając, co skądinąd niemożliwe, że można by tylu ludzi i tyle zwierząt zatrudnić, trzeba by wydać na ich utrzymanie 55 miliardów zamiast około dwóch i pół miliarda, bo tyle kosztuje ta sama praca wykonywana przez silniki.[2]

§ 2. Skutki odkryć dla warunków życia społeczeństw

Prosty fakt, że człowiek znalazł sposób na wydobycie z węgla użytecznych mocy, całkowicie zmienił fizyczne warunki naszej egzystencji. Dostarczając nowych zasobów, stworzył też nowe potrzeby. Zmiany w życiu materialnym wkrótce pociągnęły za sobą przemiany stanu moralnego i społecznego ludów. Po wynalezieniu maszyny człowiek dał się jej zniewolić, jak niegdyś bogom zrodzonym w jego wyobraźni. Musiał poddać się prawom ekonomii, które maszyna wprowadziła przez samo swoje istnienie. Maszyna pozwoliła na wejście do fabryki kobietom i dzieciom, i tak za jednym zamachem zdezorganizowała dom

[1] Dowodu dostarczają np. plansze z mej pracy *Les premieres civilisations de l''Orient*, gdzie są przedstawione na podstawie malarstwa grobowego narzędzia starożytnego Egiptu.
[2] De Foville obliczył, że transport tony towarów na kilometr kosztuje 3 franki 33 centymy przy użyciu tragarzy (w warunkach afrykańskich do 10 franków), 87 centymów na zwierzęciu jucznym, 6 centymów koleją w Europie i 1,5 centyma w Ameryce.

i rodzinę. Ułatwiając robotnikowi pracę i zmuszając go do specjalizacji, zmniejszyła jego inteligencję i zdolność do wysiłku. Dawny rzemieślnik zdegradował się do poziomu robotnika niewykwalifikowanego, ponad który rzadko może się wznieść.

Rola maszyn w przemyśle nie ograniczyła się do ogromnego pomnożenia sił ludzkich. Przekształcając środki transportu, znacznie zmniejszyły one odległości między różnymi częściami globu i skonfrontowały ludy, które niegdyś wszystko oddzielało. Wschód i Zachód mogą się złączyć w parę tygodni; w kilka godzin, a nawet w kilka minut, mogą sobie zakomunikować myśli. Dzięki węglowi produkty od jednych wytwórców szybko przybywają do drugich, a świat stał się ogromnym rynkiem wymykającym się działaniom rządów. Ani najkrwawsze rewolucje, ani najdłuższe wojny nie miały nigdy skutków porównywalnych ze skutkami odkryć naukowych tego wieku – odkryć, które zapowiadają następne, jeszcze płodniejsze.

Nie tylko para i elektryczność przekształciły warunki życia współczesnej ludzkości. Wynalazki pozornie pozbawione znaczenia też przyczyniły się do jego zmiany i nadal to czynią. Proste doświadczenie w laboratorium zupełnie zmienia warunki dobrobytu prowincji lub nawet kraju. Na przykład wytworzenie alizaryny z antracytu zniszczyło przeróbkę marzanny farbiarskiej na czerwony barwnik, a tym samym zubożyło departamenty, które z tego czerpały dochód. Ziemie warte 10 000 franków za hektar spadły poniżej 500 franków. Kiedy do praktyki przemysłowej wejdzie sztuczna fabrykacja alkoholu, już urzeczywistniona w laboratorium, oraz cukru, która będzie niedługo możliwa, pewne kraje utracą źródła bogactwa i popadną w nędzę. Czym będą dla nich po takich wstrząsach wydarzenia typu wojny stuletniej, Reformacji czy rewolucji francuskiej? Można zresztą ocenić zasięg takich wahań gospodarczych obliczając, ile kosztowała Francję w ciągu dziesięciu lat inwazja mikroskopijnego owada, filoksery. Od roku 1877 do 1887 utrata miliona hektara winnic została oszacowana na 7 miliardów franków. Była to strata prawie równa kosztom naszej ostatniej wojny [francusko-pruskiej]. Hiszpania chwilowo wzbogaciła się na tej stracie, gdyż trzeba było od niej zakupić brakującą nam ilość wina. Z punktu widzenia ekonomicznego skutek był taki, jak gdyby – pokonani przez armie hiszpańskie – zostalibyśmy zmuszeni do płacenia corocznie ogromnego trybutu.

Nie sposób zbyt mocno podkreślić znaczenie wielkich przemian technicznych, które, choć dopiero tkwią w początkach, są jednym z nieuniknionych elementów wieku obecnego. Ich głównym skutkiem jest pozbawienie życia wszelkiej stałości, podczas gdy niegdyś jego warunki pozwalały, zdawało by się, na lekceważenie upływu wieków.

Gdyby się zapytać – pisze angielski filozof Maine – *jaka jest najgorsza klęska mogąca spaść na ludzi, padła by może odpowiedź, że krwawa wojna, spustoszenie przez głód, śmiertelna epidemia. Żadna jednak z tych klęsk nie spowodowałaby cierpień tak intensywnych i długotrwałych, co rewolucja w modzie, narzucająca kobietom stroje z jednej tkaniny i w jednym kolorze – jak to się dziś dzieje z ubiorem męskim. Niejedno kwitnące i dostatnie miasto, czy to w Europie, czy w Ameryce, zostałoby przez to skazane na upadek i bezruch; katastrofa byłaby gorsza niż głód czy epidemia.*

W tej hipotezie nie ma nic nieprawdopodobnego; jest możliwe, że coraz powszechniejsze użycie rowerów już wkrótce spowoduje rewolucję w ubiorze kobiet. Jednakowoż odkrycia naukowe z pewnością doprowadzą do zmian daleko ważniejszych. Na przykład chemia, nauka, która dopiero się rodzi, szykuje nam niespodzianki. Kiedy opanujemy temperatury rzędu 3 do 4 tysięcy stopni, albo te bliskie zeru absolutnemu, do których już się zbliżamy, pojawi się z pewnością nowa chemia. Teoria nam już mówi, że proste pierwiastki są najprawdopodobniej produktami połączenia innych elementów, których właściwości są nam zupełnie nieznane. A może, jak przypuszczał w jakiejś mowie chemik Berthelot, nauka wytworzy pewnego dnia produkty żywnościowe, a odtąd *nie będzie już pól pokrytych żniwem, ani winnic, ani łąk ze zwierzętami. Nie będzie różnicy między ziemiami żyznymi a jałowymi.*

Możemy zgadnąć przyszłość, w której siły natury będą zaspokajały wszelkie nasze potrzeby i prawie całkowicie zastąpią pracę ludzką. Nie ma nic utopijnego w przypuszczeniu, że dzięki elektryczności – temu cudownemu środkowi przekształcania i transportu energii – siła wiatru, pływów, spadku wody będzie w przyszłości do naszej dyspozycji. Wodospad Niagara, częściowo już wykorzystany, wytwarza moc 17 milionów koni mechanicznych, a nie jest odległa chwila, gdy ta siła, której epoka dopiero się zaczyna, będzie transportowana na odległość dzięki przewodom elektrycznym. Ciepło wnętrza globu oraz słoneczne także będą niewyczerpanymi źródłami energii.

Nawet nie nalegając na przyszłe odkrycia i biorąc pod uwagę tylko postęp już dokonany w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, widzimy, że nasze warunki egzystencji zmieniają się codziennie, i to w sposób tak nagły, że społeczeństwa są zmuszone do przekształceń szybszych, niż znieść może umysłowość stworzona przez powolne dziedziczenie, właściwa osobnikom, z których jest ono złożone. Na miejsce wiekowej stabilizacji wszędzie wchodzi niestabilność.

Z tego wynika, że wiek obecny jest wiekiem zarazem niszczenia i tworzenia. Wydaje się, iż wobec zmian wywołanych przez naukę i technikę żadne nasze idee i warunki życiowe nie zdołają przetrwać.

Trudność dostosowania się do tych nowych konieczności leży przede wszystkim w tym, że nasze uczucia i przyzwyczajenia zmieniają się powoli, podczas gdy okoliczności zewnętrzne zmieniają się zbyt szybko i zbyt radykalnie, by dawne koncepcje, do których chcielibyśmy pozostać przywiązani, mogły przetrwać dłużej. Nikt nie może przewidzieć, jaki stan społeczeństwa wyniknie z tych nieoczekiwanych zniszczeń i stworzeń. Widzimy jednak bardzo wyraźnie, że zjawiska najważniejsze dla życia państw, warunkujące ich postęp, coraz bardziej wymykają się ich woli, bo rządzą nimi prawidłowości ekonomiczne i techniczne, wobec których rządy są bezsilne. Już przeczuwamy (jeszcze wyraźniej okaże się to w dalszym ciągu tej pracy), że żądania socjalistów popadają w coraz większą sprzeczność z ewolucją gospodarczą, która rodzi się poza nimi i daleko od nich. Będą musieli się przed nią ugiąć, jak przed wszystkimi naturalnymi prawami, którym człowiek podlega.

Rozdział 2
Walka ekonomiczna między Wschodem a Zachodem

§ 1. Konkurencja ekonomiczna

Wskazaliśmy pokrótce, że ewolucja ekonomiczna i techniczna świata spowodowała przewrót w dawniejszych warunkach życia ludzi. Ten fakt ukaże się jeszcze wyraźniej przy studiowaniu pewnych dzisiejszych problemów.

Wykładając swoje marzenia i żądania, socjaliści przejawiają zupełną ignorancję co do prawidłowości rządzących współczesnym światem. Rozumują zawsze tak, jakby wszechświat był ograniczony do kraju, w którym mieszkają; jak gdyby to, co się dzieje w reszcie świata nie mogło mieć wpływu na środowisko, w którym głoszą swoje doktryny, jak gdyby posunięcia, jakie proponują, nie zmierzały do zupełnego zburzenia relacji między ludem, który ich dokona, a innymi ludami. Odizolowanie się było od biedy możliwe kilka wieków temu, ale dzisiaj już tak nie jest. Wpływ gremiów rządzących krajami jest coraz bardziej uwarunkowany przez zjawiska ekonomiczne nadchodzące z dala i absolutnie niezależne od działań mężów stanu; muszą oni im ulegać. Sztuka rządzenia polega dziś przede wszystkim na najlepszym dostosowaniu się do zewnętrznych konieczności, na które indywidualna wola wpłynąć nie może.

Każdy kraj bez wątpienia nadal stanowi ojczyznę; jednakże świat nauki, przemysłu, stosunków gospodarczych jest tylko jeden, a jego prawa są tym twardsze, że narzuca je konieczność, a nie kodeksy. Na terenie ekonomicznym i technicznym żaden kraj nie ma swobody postępowania dowolnie, a to dlatego, że ewolucja przemysłu, rolnictwa i handlu ma liczne reperkusje u wszystkich ludów. Zdarzenia gospodarcze i techniczne z odległego regionu mogą zmusić zupełnie obcy kraj do przekształcenia rolnictwa, metod technicznych, sposobów wytwarzania, zwyczajów handlowych, a w następstwie instytucji i praw. Ludy w coraz większym stopniu rządzone są przez obiektywną konieczność, a nie przez partykularne zachcenia. Działania rządów stają się więc coraz słabsze i mniej pewne. To zjawisko jest dla obecnej epoki wysoce charakterystyczne.

W tym rozdziale podejmiemy problem, który pozwoli to zilustrować w sposób zupełnie jasny. Jeszcze raz pokaże nam, jak powierzchowne i nierealne są drogi do szczęścia powszechnego, proponowane przez socjalistów.

Wiele lat temu zasygnalizowałem, jako jeden z pierwszych, problem walki ekonomicznej między Wschodem a Zachodem, która rysuje się codziennie wyraźniej. Zmniejszenie odległości dzięki zastosowaniu pary i ewolucja techniczna, spowodowały postawienie Wschodu u naszych drzwi i przekształcenie jego mieszkańców w konkurentów Zachodu. Niegdyś eksportowaliśmy do nich nasze towary. Teraz, nabywszy nasze maszyny, sami je produkują; zamiast od nas kupować, sprzedają je nam. Tym łatwiej im to przychodzi, że skoro dzięki wiekowym przyzwyczajeniom prawie nie mają potrzeb, koszty wytwarzanych przez nich przedmiotów są dużo niższe niż tych samych przedmiotów wytwarzanych w Europie. Większość robotników wschodnich żyje za mniej niż dziesięć sou dziennie, podczas gdy robotnik europejski nie żyje za mniej niż cztery do pięciu franków. Cena pracy zawsze określa cenę towarów. Ich cena na jakimkolwiek rynku jest zawsze określona przez cenę na tym rynku, na który mogą być dostarczone najtaniej. Wynika stąd, że wszystkie przedsięwzięcia wytwórców europejskich są zagrożone przez rywali produkujących te same przedmioty kosztem dziesięć razy mniejszym. Indie, Japonia, a wkrótce i Chiny, wchodzą na etap, który niegdyś zapowiadałem, i posuwają się szybko naprzód. Produkty zagraniczne coraz obficiej napływają do Europy, a coraz mniej produktów w niej wytworzonych wychodzi na zewnątrz. Nie należy się obawiać, jak niektórzy twierdzili, inwazji militarnej Wschodu, lecz wyłącznie jego towarów.

Konkurencja przez czas dłuższy ograniczała się do produktów rolniczych, a z jej następstw możemy wnosić, co się stanie, gdy rozciągnie się na produkty przemysłowe. Jak zauważył Meline w Izbie Deputowanych, konkurencja spowodowała w ciągu dwudziestu lat obniżenie o połowę cen produktów rolniczych: zbóż, wełny, win, alkoholu, cukru itd. Wełna, na przykład, której kilogram kosztował w 1882 roku 2 franki, dwadzieścia lat później kosztowała tylko franka; łój spadł z 95 do 42 franków itd.[1]

Wielu ekonomistów, i ja również, uważa te obniżki za korzystne, ponieważ ostatecznie korzystają z nich nabywcy, to znaczy możliwie największa liczba ludzi; łatwo jednak przyjąć taki punkt widzenia,

[1] W wieku XIX, wobec oparcia pieniądza na kruszcu i umiarkowanych w porównaniu z obecnymi wydatkach rządowych, inflacji prawie nie było, natomiast rosły płace i malały ceny [*przypis tłumacza*].

z którego korzyść z tych obniżek można kwestionować. Ich najważniejszą niedogodnością jest postawienie rolnictwa w sytuacji niepewnej i zmuszenie niektórych krajów do wycofywania się z niego, co w pewnym momencie może mieć poważne następstwa.

W hipotezie kraju zmuszonego do wycofywania się z rolnictwa nie ma nic utopijnego, gdyż realizuje się dziś ona coraz wyraźniej w Anglii. Musząc konkurować z pszenicą z Indii i z Ameryki, odchodzi ona stopniowo od jej wytwarzania, mimo doskonałości angielskich metod uprawy, które pozwalają uzyskać plon 29 hektolitrów z hektara. Obecna produkcja pszenicy w Anglii spadła do 23 milionów hektolitrów, podczas gdy roczne spożycie wynosi 85 milionów. Około 60 milionów trzeba więc zakupić za granicą. Gdyby Anglia została zablokowana na swojej wyspie lub nie miała zasobów potrzebnych do zaopatrzenia się w tę nadwyżkę, znaczna część jej mieszkańców byłaby skazana na śmierć głodową.

Francja, kraj zasadniczo rolniczy, mogła przedłużyć walkę dzięki protekcjonizmowi, który jest środkiem prowizorycznym i raczej niepewnym. Ma w tej walce żywotny interes, ale jak długo będzie mogła ją jeszcze toczyć? Produkuje jakieś sto milionów hektolitrów, ilość mogącą zależnie od roku spaść do 75 lub wzrosnąć do 135. Pszenica kosztuje dzisiaj około 18 franków za kwintal, stale od wielu lat spadając. Ta cena jest zresztą sztuczna, gdyż zboża zagraniczne zostały obłożone opłatą ochronną 7 franków, gdy ich prawdziwa wartość wynosi 11 franków; taka jest cena sprzedażna na rynkach zagranicznych w Londynie i w Nowym Jorku. Ta cena może tylko spaść. W Argentynie włoscy rolnicy osiągają przy produkcji pszenicy cenę 5 franków za hektolitr.

Czy da się na dłuższą metę skorygować ten stopniowy spadek za pomocą stopniowego podnoszenia opłat ochronnych, mających sztucznie zwiększyć ceny środków utrzymania i w konsekwencji uniemożliwić ludności skorzystanie z ogólnego spadku cen? Zakładając, że we Francji roczne spożycie wynosi 120 milionów hektolitrów, aktualna opłata celna 7 franków, stanowiąca jedną trzecią ceny chleba, odpowiada ogromnej sumie pobieranej od całej ludności na rzecz małej liczby spekulantów, jako że większość rolników, produkując na własne potrzeby, nie ma nic na sprzedaż. Na obronę tych arbitralnych metod można powiedzieć tylko tyle, że są one doraźnie użyteczne, przedłużając istnienie rolnictwa w kraju i dając mu czas na poprawę. Wkrótce jednak żaden rząd nie będzie dość potężny, by sztucznie wymuszać drożyznę środków utrzymania.

Nie Wschód jednak, dopiero przystępujący do walki, spowodował upadek rolnictwa europejskiego. Jego początku szukać trzeba w produkcji rolniczej Ameryki, gdzie ziemia nie kosztuje prawie nic, podczas gdy w Europie jest bardzo droga. Gdy jednak Ameryka zmuszona będzie konkurować z Indiami, gdzie nie tylko ziemia nie kosztuje nic, jak w Stanach, ale na dodatek praca kosztuje dziesięć razy mniej, może ją spotkać los taki jak Anglię, gdzie rolnictwo jest dziś zagrożone zupełną ruiną. Rolnicy amerykańscy znajdują się dziś w sytuacji nadzwyczaj niepewnej. De Mandat-Grancey przytacza przykład ferm, które warte były kiedyś 300 dolarów za akr, gdy dziś nie znajdują nabywcy za 10 dolarów. W tej sytuacji nie pomogą Amerykanom żadne opłaty ochronne, gdyż ich interes polega na sprzedaży płodów rolnych, a nie na ich przywozie. Protekcjonizm nie ochroni ich na rynkach zagranicznych przed konkurencją krajów produkujących dużo taniej.

Walka między Wschodem a Zachodem, ograniczona z początku do rynku surowców i produktów rolniczych, rozciągnęła się stopniowo na produkty przemysłowe. W krajach Dalekiego Wschodu, na przykład w Indiach i Japonii, płaca robotników fabrycznych nie przekracza 10 sou dziennie [pół franka], a ich przełożeni nie otrzymują wiele więcej. De Mandat-Grancey opisuje fabrykę koło Kalkuty, zatrudniającą 1500 robotników, której tubylczy wicedyrektor dostaje wynagrodzenie mniejsze niż 20 franków miesięcznie. Wobec tak niskich kosztów eksport Indii wzrósł w dziesięć lat z 712 milionów do ponad 4 miliardów [franków].

Indie jednak posiadają mało węgla, podczas gdy Japonia ma go wystarczająco dużo, by eksportować po cenie o połowę niższej od węgla angielskiego. Dzięki temu postęp w tym kraju jest jeszcze szybszy niż w Indiach. Skoro Japonia miała węgiel, główne źródło majątku kraju, wystarczyło zakupić maszyny europejskie i je skopiować, by wkrótce stanąć na równi z Europą, jeśli chodzi o potencjał produkcyjny, zaś dużo wyżej pod względem taniości produkcji, dzięki niższym płacom.

Japonia ma teraz wielkie fabryki, na przykład bawełniane, zatrudniające 6000 robotników[2] i robiące interesy dość dobre, by zapewnić dywidendę 10 do 20%, podczas gdy w Anglii dywidendy analogicznych fabryk, redukowane z dnia na dzień, spadły nawet w najlepszych z nich do 3%. Inne przynoszą straty i nie wypłacają już dywidend, ponieważ ich eksport spada codziennie z powodu konkurencji Wschodu.

[2] Przędzalnia w Kanegafuchi w Japonii zatrudnia 6000 robotników pracujących 12 godzin każdy, na dwie zmiany. Płace wynoszą około 0,50 franka dziennie, wypłacane w srebrze, którego wartość handlowa jest jak wiadomo dwa razy niższa od złota. Oto średnie wynagrodzenie kilku kategorii robotników japońskich, podane na podstawie statystyki cesarstwa Japonii, opublikowanej w Tokio w 1897 przez p. Hanabusę, kierownika sekcji statystycznej: robotnicy rolni – 0,32 franka dziennie; drukarze – 1,40 franka; cieśle – 1,75 franka. [Towarzyszyły temu dużo niższe niż w Europie koszty utrzymania.]

Wschód zabrał się stopniowo do produkcji wszystkich towarów europejskich, przez taniość uniemożliwiając jakąkolwiek walkę. Zegary, fajans, papier, perfumy, artykuły zwane paryskimi, wytwarza dziś Japonia. Towary europejskie są coraz bardziej eliminowane ze Wschodu. Są artykuły, na przykład zapałki, których Anglicy sprzedawali za 600 000 franków rocznie, a dziś sprzedają za zaledwie 10 000 franków, gdy Japończycy w kilka lat doszli od zera do produkcji wartej w 1895 roku 2 275 000 franków. Te zapałki są sprzedawane po franku za 144 pudełka, to znaczy 15 pudełek za 10 centymów. W 1890 Japończycy sprzedali parasoli za 700 franków, a pięć lat później za 1 300 000 franków – i tak samo stało się ze wszystkimi towarami, jakie zaczęli produkować.

Obfitość produkcji szybko doprowadziła Japończyków do poszerzenia rynków zbytu. Aby się uniezależnić od marynarki europejskiej, zaczęli kupować statki, potem nauczyli się je budować. Posiadają oświetlone elektrycznością wielkie liniowce skonstruowane według najnowszych wzorów. Jedno jedyne towarzystwo (Nippon Yusen Kaisha) posiada ich 47, robiąc konkurencję naszym Messageries, a przede wszystkim towarzystwu angielskiemu nazywanemu Półwyspowym i Wschodnim. Dwa razy w miesiącu obsługuje ono połączenie między Japonią a Bombajem, inne z Australią; zamierza poprowadzić następne do Francji i Anglii. Załogi są opłacane na poziomie 10 franków miesięcznie i żywione paroma workami ryżu.

Chiny mimo swej niższości militarnej pod wieloma względami przewyższają Japonię. Nie weszły jeszcze wprawdzie w fazę uprzemysłowienia, ale widzimy, że wkrótce skierują się w tym kierunku. Można przewidywać, że ze swą ogromną ludnością bez potrzeb i kolosalnymi zasobami węgla staną się w parę lat światowym centrum handlowym, regulatorem rynków, zaś giełda w Pekinie określi ceny towarów w reszcie świata. Można docenić potęgę tej konkurencji, przypominając, że Amerykanie, czując się niezdolni do walki z nią, nie znaleźli innego sposobu, jak zakazanie Chińczykom wstępu na swoje terytorium. Nieodległa jest godzina, gdy statek z towarami europejskimi stanie się rzadkością na morzach wschodnich. Co będzie tam robił?

Konsulowie angielscy czy niemieccy na Dalekim Wschodzie w raportach na te tematy są praktycznie jednomyślni. Nawet nasi przedstawiciele, mimo małego zainteresowania handlem i mimo nieusuwalnej niezdolności umysłu łacińskiego do zrozumienia czegokolwiek poza własnymi koncepcjami, zaczynają dostrzegać, co się wokół nich dzieje, i informować o tym.

W zaostrzającej się codziennie walce ekonomicznej wszystko sprzyja Wschodowi. Spadek wartości srebra na Zachodzie czyni nasze kon-

kurowanie jeszcze trudniejszym. Srebro – jedyny pieniądz Wschodu – zachowało tam swą wartość, gdy w Europie straciło połowę. Kiedy kupiec hinduski lub chiński wysyła do Europy pszenicę, bawełnę lub jakikolwiek inny towar wartości 1000 franków, otrzymuje 1000 franków w złocie, które może wymienić na blisko 2000 franków w sztabkach srebra; te na Wschodzie może zamienić na srebrne monety do opłacenia swoich robotników. Te 2000 franków w srebrze jest w jego kraju warte tyle samo, co 25 lat temu, gdyż spadek wartości srebra w Europie nie odbił się jeszcze na sytuacji na Wschodzie, gdzie cena pracy mało się zmieniła. Przedmioty, których wytworzenie nie kosztuje drożej niż kiedyś, wschodni przemysłowiec może sprzedać dwa razy drożej tylko dlatego, że sprzedaje w Europie. Podwójnie zapłaci, rzecz jasna, także za to, co zechciałby kupić u nas, ponieważ musi dać 2000 franków w srebrze za 1000 franków w złocie; wobec tego ma interes w sprzedawaniu nam jak najwięcej, a w kupowaniu od nas jak najmniej. Aktualna stopa wymiany stanowi zatem dla Wschodu ogromną premię eksportową. Żadne cło ochronne, chyba że zupełnie prohibicyjne, nie mogłoby zwalczyć takiej różnicy w kosztach produkcji.

Handel europejski wydaje się skazany na ograniczenie się do tego, że będzie obracał towarami dziesięciokrotnie droższymi niż na Wschodzie i płatnymi w złocie, w zamian za produkty dziesięciokrotnie tańsze płatne w srebrze. Praktyczna wymiana w tych warunkach nie mogłaby trwać długo – jeśli jeszcze trwa, to dlatego, że Wschód nie zakończył modernizacji swego przemysłu. Wszystko wskazuje, że Europa musi wkrótce stracić klientów dalekowschodnich, tak jak straciła amerykańskich. Nie tylko ich straci, lecz także będzie wkrótce skazana (nie produkując dosyć, by wyżywić swych mieszkańców) na kupowanie u swych dawnych klientów bez możności sprzedania im czegokolwiek.[3] Japończycy nie wątpią w taki obrót rzeczy. Jeden z ich ministrów spraw zagranicznych, Okuma, mówiąc o Europie w opublikowanym przed kilku laty przemówieniu, wyraził się tak: *Zdradza ona objawy uwiądu. Nadchodzący wiek ujrzy jej konstytucje rozbite, a jej imperia zrujnowane.*

Większość ludów Europy w rywalizacji handlowej ze Wschodem przeżywać będzie różne trudności. Kiedy transsyberyjska kolej żelazna

---

[3] Byłoby to naturalnie ekonomiczną niemożliwością. Le Bon dalekowzrocznie dostrzegł słabnięcie Europy w porównaniu z Dalekim Wschodem, ale nie docenił mechanizmów wyrównujących i hamujących: rynku szybko korygującego nienaturalne relacje walutowe opisane wyżej; szybszej w Europie mechanizacji i większej wynalazczości, wzrostu kosztu pracy na Wschodzie, kosztów transportu, wreszcie mobilizacji gospodarki europejskiej pod wpływem konkurencji. Obecnie głównym czynnikiem konkurencyjności Wschodu są obok tańszej pracy niższe niż w Europie podatki, czyli mniej państwowego socjalizmu, którego szkodliwość dla Zachodu w tej konfrontacji Le Bon omawia nieco niżej [*przypis tłumacza*].

będzie w pełni gotowa do użytku, cały handel między Wschodem a Zachodem skupi się w rękach Rosji. Ta kolej łączy Rosję z Japonią, przechodząc przez część Chin. 130 milionów Rosjan będzie w kontakcie z 400 milionami Chińczyków, a Rosja stanie się pierwszą potęgą handlową świata, skoro przez nią będzie z konieczności szedł tranzyt między Wschodem a Zachodem. Z Londynu do Hongkongu morzem potrzeba dziś 36 dni. Koleją transsyberyjską wystarczy połowa tego czasu. Droga morska zostanie wtedy porzucona jak dziś przylądek Dobrej Nadziei [na rzecz Kanału Sueskiego] i można się zapytywać, po co będzie wtedy potrzebna Anglii jej flota handlowa. Francja straci resztkę handlu, jaki jej pozostaje. Tego dnia pożałuje może pożyczenia Rosji 10 miliardów, z których znaczna część posłużyła do stworzenia tej katastrofalnej konkurencji, która zrujnuje Marsylię.[4] Bez żadnej zgryźliwości można się zapytać, czy nie zyskalibyśmy wiele więcej, przeznaczając tę sumę na rozwój własnego przemysłu i handlu?[5]

Walki między Wschodem a Zachodem, których genezę tu naszkicowałem, dopiero się zaczynają i nie potrafimy przewidzieć ich wyniku. Marzyciele snujący wizje wiecznego pokoju i powszechnego rozbrojenia wyobrażają sobie, że najgorsze są walki zbrojne. Rzeczywiście powodują one śmierć wielu jednostek naraz – wydaje się jednak bardzo prawdopodobne, iż walki przemysłowe i handlowe, które się zaczynają, będą bardziej mordercze i spowodują więcej katastrof i ruin niż najkrwawsze wojny. Mogą one całkowicie zniszczyć wielkie narody, czego nie mogły nigdy dokonać największe armie. Te walki, pozornie tak pokojowe, są zawzięte. Konkurencja nie zna litości. Zwyciężyć lub zniknąć jest jedyną alternatywą.

Socjalizm wcale nie zajmuje się tymi problemami. Jego koncepcje są zbyt wąskie, a horyzonty zbyt ograniczone, by się nad tym zastanawiał. W krajach, w których najbardziej się rozwinie socjalizm, walka handlowa ze Wschodem będzie najtrudniejsza, a ruina zwyciężonego najszybsza. Obronić się będą mogły tylko te ludy, które będą miały

[4] Błąd autora nie polega na nie przewidzeniu wydarzeń politycznych czy wynalazku samolotu, lecz na przeoczeniu, że transport kolejowy jest wielokrotnie droższy od morskiego [*przypis tłumacza*].

[5] Gdyby nie sukcesy Japonii, kolej transsyberyjska, której znaczenia żaden z naszych mężów stanu nie wydaje się rozumieć, pozwoliłaby Rosji zdominować handlowo Chiny i ich 400 milionów mieszkańców. A że uprawia ona bezwzględny protekcjonizm zarówno względem sojuszników jak wobec innych krajów, Wschód zamknąłby się dla Europy. Sukces Japonii przywrócił równowagę sił, która zbytnio się przechylała w jedną stronę, ale która może się przechylić w drugą. Jesteśmy u zarania gigantycznego starcia o podział Wschodu. Rozbrojenie przez niektorych proponowane (nie bez pewnej ironii jak sądzę), nie wydaje się bliskie [*przypis autora do wydań późniejszych, po zwycięstwie Japonii nad Rosją w 1905 roku w wojnie o wpływy w Chinach*].

odpowiednio dużo inicjatywy w przemyśle oraz dużo inteligencji potrzebnej do udoskonalenia sprzętu i dostosowania się do nowych warunków. To nie kolektywizm, ze swym ideałem równości pracy i płacy, może zapewnić robotnikom środki do walki przeciw inwazji produktów Wschodu. Skąd weźmie fundusze na opłacenie pracowników, gdy produkcja już nie znajdzie nabywców, gdy fabryki będą się stopniowo zamykały, gdy wszystkie kapitały wyemigrują do krajów, w których łatwo znajdą dochód i chętne przyjęcie zamiast nieustannych prześladowań?

§ 2. Środki zaradcze

Pokazaliśmy właśnie, jak się zrodziła i rozwinęła konkurencja ekonomiczna między Wschodem a Zachodem. Zacytowane fakty potwierdzają, jak bardzo prawidłowości ekonomiczne sprzeczne są z dążeniami socjalistów i jak zły moment wybrali oni na przedstawianie swoich żądań. Badając możliwe środki zaradcze przeciw rosnącej konkurencji ekonomicznej, jeszcze raz stwierdzimy, że możliwe zwycięstwo jest nie do pogodzenia z ideałem socjalistycznym.

Musimy najpierw zwrócić uwagę na to, że w teorii łatwo jest zwalczyć pesymistyczne wnioski z przedstawionego wyżej stanu rzeczy. Ekonomiści słusznie mówią, że dotychczas nigdy nie było rzeczywistej nadprodukcji jednego towaru, że najlżejszemu nadmiarowi produkcji towarzyszy wymuszony spadek cen, że w następstwie konkurencji robotnik europejski będzie się musiał zadowolić płacą kilku sou dziennie, ale nie będzie to niedogodnością, gdyż za te kilka sou będzie mógł kupić więcej, niż kiedyś za kilka franków.[6] Argumentacja ta jest bardzo słuszna, ale znajduje zastosowanie jedynie do odleglejszej przyszłości, a więc nie zainteresuje nas w tym wypadku. Przed tą fazą ogólnego spadku wartości rzeczy będzie okres przejściowy z dłuższymi wstrząsami. Będzie on tym trudniejszy do przebycia, że walka między Zachodem a Wschodem nie jest tylko walką pracowników o nierównych płacach, lecz również walką osób o nierównych potrzebach. Ten warunek uniemożliwił Amerykanom konkurencję z Chińczykami, zmuszając do ich wypędzenia. By wyrównać szanse, trzeba by było, by Chińczycy, osiedleni w Ameryce, przejęli od Amerykanów gusty i sposoby wydawania pieniędzy. Są jednak pod wpływem dziedzicznych

[6] Raz jeszcze autor, jak i jego współcześni, nie przewiduje inflacji, lecz znaczną deflację, która by niechybnie nastąpiła, gdyby pieniądz nadal był oparty na kruszcu, a rządy nie wypuszczałyby pustego pieniądza ani nie powiększałyby deficytów budżetowych [*przypis tłumacza*].

obciążeń, które są zbyt skostniałe, by im pozwolić na zmienienie się w tym względzie. Nie mając innych potrzeb niż filiżanka herbaty i miseczka ryżu, mogli się zadowalać się płacami znacznie niższymi niż te, których żądają robotnicy amerykańscy.

Jakakolwiek będzie przyszłość, nas interesuje teraźniejszość, powinniśmy więc szukać aktualnych rozwiązań. Dlatego samorzutna ewolucja, której oczekują ekonomiści jako środek zaradczy, na razie nie wchodzi w rachubę. System protekcjonistyczny jest rozwiązaniem tymczasowym, ale łatwym do zastosowania, dlatego widzimy, jak ludy Europy i Ameryki kolejno go przyjmują. Może on być czasowo użyteczny, ale jego korzystny wpływ nie potrwa długo. Kraj słabo zaludniony i niewielki mógłby ostatecznie otoczyć się wysokim murem i nie martwić się tym, co dzieje się gdzie indziej. Ale czy na Zachodzie jest taki kraj? Na skutek stopniowego wzrostu ludnościowego nie ma już w Europie, według wszelkich statystyk, krain produkujących dosyć, by wyżywić swych mieszkańców przez więcej niż sześć miesięcy. Zakładając, że jakiś kraj otoczyłby się murem, musiałby wobec groźby śmierci głodowej otworzyć ten mur, by zakupić prowiant na zewnątrz. Czym jednak zapłaciłby za zboże i produkty żywnościowe, których by potrzebował? Jak dotąd Europa nabywała żywność na Wschodzie za towary; wkrótce jednak Wschód nie będzie już ich potrzebował, ponieważ sam wytworzy je taniej. Handel jest oparty na wymianie, w której pieniądz jest tylko umownym środkiem.

Bez odkryć naukowych – skądinąd możliwych – przyszłość Europy, a przede wszystkim krajów żyjących głównie z handlu, wydaje się dość ponura.

W nadchodzącej walce dwie kategorie ludów wydają się zdolne do przetrwania. Pierwsza obejmuje kraje, których rolnictwo jest dość rozwinięte, a ludność na tyle nieliczna, by mogły być samowystarczalne, wyrzekając się prawie całkiem handlu zagranicznego. Druga obejmuje te, których inicjatywa, wola i zdolności przemysłowe stoją wyżej niż u ludów Wschodu.

Do pierwszej kategorii należy dziś niewiele ludów europejskich. Francja na swoje szczęście figuruje w niej na dość wysokim miejscu. Produkuje prawie wszystko, co wystarcza do utrzymania jej mieszkańców, a zdrowy instynkt nie pcha jej do powiększania liczby ludności; gardzi lamentami statystyków na ten temat. Wystarczy jej nieco poprawić wydajność rolnictwa lub nieco zmniejszyć zaludnienie, by produkować dosyć, żeby przetrwać. Nasze wysiłki powinny skupić się na rolnictwie, a nie na przemyśle, który nam niezbyt wychodzi, ani na handlu, który nam nie wychodzi wcale.[7]

Anglicy i Amerykanie należą do drugiej z wyliczonych kategorii. Utrzymać swą wyższość mogą jednak tylko za cenę największej aktywności i stałego doskonalenia technicznego. Będzie to walka wyższych uzdolnień ze średnimi, miernymi i niższymi. W taki sposób mechanizacja mogła zredukować stopniowo w Ameryce koszty produkcji mimo wysokiego kosztu siły roboczej. W Stanach Zjednoczonych spotyka się wielkie piece, dające dziennie tysiąc ton surówki, podczas gdy nasze produkują jej najwyżej 100 do 200 ton; stalownie, które walcują 1500 ton dziennie, gdy nasze osiągają w tym samym czasie 150 ton; maszyny ładujące na wagony 1000 ton na godzinę, żurawie ładujące na statek 4000 ton w kilka godzin itd.

Aby sprostać temu wyzwaniu, potrzebujemy inicjatywy i uzdolnień, jakie niewiele ras dzisiaj posiada i które są ich najcenniejszym dziedzictwem, choć tak są wstrętne socjalistom. Z takimi umiejętnościami nie ma trudności nie do pokonania.

Jeśli te wysiłki nie powiodą się Anglosasom, znajdą inne środki zaradcze. Już ich szukali. Wielu przemysłowcom udało się zrobić konkurencję Wschodowi na jego własnym terenie, poprzez zakładanie u nich fabryk z robotnikami miejscowymi. Przemysłowcy angielscy, z powodu strat nie mogący już działać w Anglii, w końcu ulokowali się w Indiach i stamtąd sami zaczęli robić konkurencję produktom angielskim. Gdyby jednak emigracja kapitału i umiejętności się upowszechniła, pozostawiłaby robotnika angielskiego bez pracy. Pokazałaby też kapitalistom drogę ucieczki z kraju, na którą mogą ich pewnego dnia popchnąć żądania socjalistów. Można się zapytywać, co stałoby się z państwem ogołoconym ze wszystkich swych kapitałów, ze wszystkich lepszych mózgów, zaludnionym jedynie przez miernoty, którym brak i majątku, i uzdolnień? Socjalizm mógłby się w nim swobodnie rozwijać, zapanowałaby w nim dotkliwa niewola.

Dlatego angielscy mężowie stanu szukają innych środków, żeby powstrzymać szybko rosnące zagrożenie. Skoro Wschód może się wkrótce zamknąć dla ich statków, zwracają się ku Afryce, a widzieliśmy, z jakim uporem Anglicy i Niemcy opanowywali ją w ostatnich latach, zostawiając ludom łacińskim tylko parę terytoriów bez wartości. Imperium, jakie wykroili sobie Anglicy, obejmujące prawie połowę Afryki od Aleksandrii do Kapsztadu, wkrótce będzie pocięte tele-

[7] W czasie kongresu rolnego w Lyonie przed kilku laty de la Rocque zauważył, że śmiertelność, która na wsi nie dochodzi do 20%, przekracza w miastach 27%. Wnioskuje stąd, że z powodu emigracji do miast Francja straciła 700 000 mieszkańców. *Gdyby nasze rolnictwo przestało produkować wino czy płody rolne, wieś straciłaby conajmniej niż 8 do 10 milionów mieszkańców.* Jest to ciekawy przykład reperkusji gospodarczych. [Argumenty w oryginale niejasne – *uwaga tłumacza*].

grafami i kolejami żelaznymi. W niedługim czasie stanie się z pewnością jednym z bogatszych regionów świata.

Dziedziczne skłonności, organizacja społeczna, system szkolny, a przede wszystkim przenikanie idei socjalistycznych, nie pozwalają ludom łacińskim na tak dalekowzroczną wizję. Uzdolnienia tych ludów kierują się ku rolnictwu i sztuce. Przemysł okazuje się dla nich bardzo trudny, handel zagraniczny i kolonizacja kosztuje je drogo, nie przynosząc dochodów, nawet jeśli kolonie, jak Algieria, leżą tuż obok. Można oczywiście nad tymi faktami ubolewać, ale nie sposób im zaprzeczyć. Z ich stwierdzenia wynika przynajmniej ten pożytek, że pomagają nam zrozumieć, w jakim kierunku należy kierować wysiłki.

Ludy łacińskie może nie będą zbytnio żałowały niemożności odegrania bardziej aktywnej roli w walce ekonomicznej i technicznej, która wydaje się prowadzić do rychłego przesunięcia biegunów cywilizacji. Ta walka, uciążliwa nawet dla natur energicznych, będzie dla innych nie do zniesienia. Praca zwykłego robotnika jest przeważnie ciężka i źle opłacana. W niedalekiej przyszłości, wbrew marzeniom socjalistów, okaże się jeszcze cięższa i gorzej płatna. Wielkie cywilizacje nie mogą, jak się wydaje, trwać dłużej bez coraz ściślejszego podporządkowywania sobie mas robotników. Industrializacja i mechanizacja muszą powodować coraz większy ucisk. Za cenę pracy codziennie uciążliwszej, prawdziwego przepracowania, przemysłowe i handlowe ludy Europy mogą bez wielkiego ryzyka porażki walczyć na płaszczyźnie ekonomicznej z ludami Wschodu. W każdym razie będzie to wojna bardziej mordercza i zdesperowana niż dawne rzezie wojenne, gdyż nie będą jej patronowały żadne iluzje i nadzieje. Gwiazdy przewodnie pocieszającej wiary dawnych wieków rzucać będą tylko słabe błyski i wkrótce zagasną na zawsze. Człowiek, który niegdyś walczył za swój dom, za ojczyznę, za bóstwa, wydaje się stać przed groźbą nie posiadania innego ideału poza najedzeniem się do syta, a przynajmniej uniknięciem śmierci głodowej.

Rozdział 3
Walka ekonomiczna między ludami Zachodu

§ 1. Skutki dziedzicznych uzdolnień ludów

Jak stwierdziliśmy, prawidłowości ekonomiczne, wynikłe z nowych okoliczności, wytworzyły nam bardzo groźną konkurencję w postaci ludów Wschodu, które stały się producentami, zamiast – jak dawniej – konsumentami. Ludom Zachodu, stopniowo wypędzanym z rynków wschodnich, pozostaje ostry spór o otwarte dla nich rynki europejskie. Jakie zalety ułatwią sukces w walce, która codziennie staje się cięższa? Czy socjalizm może w niej przynieść korzyści?

Uzdolnienia, które stanowiły o wyższości ras, nie były w różnych epokach takie same. Wynika to głównie stąd, że lud, posiadając pewne zalety, nie może posiadać wszystkich. Dlatego obserwujemy w ciągu wieków tyle różnych ludów przechodzących przez wszystkie fazy wielkości i upadku, stosownie do chwilowych warunków, które czynią ich zalety użytecznymi bądź szkodliwymi.

Przez czas dłuższy postęp cywilizacji wymagał pewnych specjalnych zalet: brawury, ducha wojowniczego, wymowności, pięknego języka, smaku literackiego i artystycznego, które ludy łacińskie posiadają w wysokim stopniu. Dlatego przez dłuższy czas wytyczały kierunek cywilizacji. Dziś te zalety są mniej użyteczne niż kiedyś i wydaje się, że niektóre nie znajdą już wkrótce żadnego zastosowania. Przy obecnej ewolucji świata uzdolnienia techniczne i handlowe, które niegdyś były drugorzędne, wysuwają się na pierwsze miejsce. Wynika stąd, że ludy przemysłu i handlu zajmują lepsze miejsca. Przesuną się więc centra cywilizacji.

Następstwa tych faktów są bardzo ważne. Lud niezdolny do zmienienia swych uzdolnień musi się starać je poznać, by użyć ich jak najlepiej i nie podejmować daremnych walk na gruncie, gdzie czeka go porażka. Człowiek, który byłby znakomitym muzykiem, błyskotliwym artystą, okaże się marnym kupcem i nieudolnym przemysłowcem. Tak dla ludów, jak i dla jednostek pierwszym warunkiem sukcesu życiowego jest znać swoje możliwości i nie podejmować zadań je przekraczających.

Otóż ludy łacińskie, na skutek dziedzicznych obciążeń, których pochodzenie wskazałem, posiadają tak potrzebne dzisiaj uzdolnienia handlowe, techniczne i kolonizacyjne w stopniu stosunkowo słabym. Są to wojownicy, rolnicy, artyści, wynalazcy – ale nie przemysłowcy, kupcy, kolonizatorzy.

Choć uzdolnienia handlowe, techniczne i kolonizacyjne rasy łacińskiej były tak niewielkie, wystarczały w epoce, w której prawie nie było konkurencji między ludami. Dziś już nie wystarczają. Mówi się stale o upadku przemysłowym i handlowym naszej rasy. To stwierdzenie nie jest prawdziwe w sposób absolutny, gdyż nasz przemysł i handel stoją znacznie wyżej niż pięćdziesiąt lat temu. Trzeba więc mówić nie o upadku, lecz o nie wystarczającym postępie. Niemniej jednak słowo „upadek" okazuje się słuszne, jeżeli rozumieć przez nie to, że ludy łacińskie, posuwając się naprzód dużo wolniej niż rywale, zostaną przez nich wyparte.

Objawy tej powolności dadzą się zaobserwować u wszystkich ludów łacińskich, co dowodzi, że spotykamy tu istotnie zjawisko właściwe rasie. Hiszpania wydaje się spadać na najniższy poziom tej postępującej niższości. Włochy mogą do niej wkrótce dołączyć. Francja jeszcze walczy, ale oznaki osłabienia codziennie zaznaczają się wyraźniej.

§ 2. Sytuacja przemysłu i handlu ludów cywilizacji łacińskiej

W poniższym wywodzie zajmiemy się tylko Francją (z pozostałymi jest jednak podobnie). Spośród ludów łacińskich jest ona najmniej dotknięta słabością, choć i tak poziom jej handlu i przemysłu jest nadzwyczaj nieefektowny.

Fakty dowodzące naszej degradacji handlowej i przemysłowej są dziś zbyt oczywiste, by można je było kwestionować. Wszystkie raporty naszych konsulów bądź deputowanych, którym zlecono przestudiowania sprawy, są jednomyślne i powtarzają mniej więcej te same słowa.

Oto jak się wyraża w niedawnej publikacji d'Estournelles: *Charles Roux podsumował w swoim raporcie, który wywołał sensację, całość długotrwałych negatywnych doświadczeń dotyczących upadku naszego handlu; to samo mógłby napisać o naszej marynarce i naszych koloniach. Francja naraża lub marnuje swoje zasoby z powodu apatii, rutyny, przyzwyczajenia do uregulowań, które w większości sięgają czasów Colberta i Richelieu. Jak wszyscy apatycy, w zrywach daje dowody woli; jest to wtedy heroizm, ale są to zarazem szalone zrywy, przemiany uczuciowe, nie przemyślane i czasami gorsze od choroby. Gdy, na*

przykład, zaprzestaje eksploatowania swych kolonii, to w celu ich zasymilowania pewnego dnia z matką ojczyzną i zmienienia ich w departamenty francuskie i ich zrujnowania. Albo decyduje nagle, bez cienia uzasadnienia, mimo niemożliwych do przezwyciężenia przeszkód naturalnych, że wszyscy tubylczy Żydzi w Algierii będą Francuzami, wyborcami, a w konsekwencji panami ludności arabskiej, a nawet naszych kolonistów. Albo jeszcze, naiwnie, pozwala sobie zorganizować w koloniach, korzystając z naszej ignorancji, parodię i karykaturę głosowania powszechnego. Przyznaje prawo głosowania nad naszym budżetem, pokojem lub wojną przedstawicielom tubylców, Indian czy Senegalczyków, którzy nie płacą podatków, nie służą w naszej armii, nie mówią naszym językiem.

Zagrożenie niemieckie – pisze z kolei Schwob – *to prawda; ale mówimy także o zagrożeniu brytyjskim, zagrożeniu australijskim, zagrożeniu amerykańskim, a nawet o zagrożeniu rosyjskim i zagrożeniu chińskim. Na polu bitwy współczesnego handlu i przemysłu nie ma pokoju ani przymierzy. Zawiera się traktaty zwane handlowymi, ale w gruncie rzeczy jest to wojna bez zawieszenia broni, bez litości, bardziej okrutna niż ta ze strzałami armatnimi i tym bardziej niebezpieczna, że powoduje miliony ofiar bez hałasu i dymu.*

Takim sposobem nasze polityczne przymierze z Rosją, nasza niezmienna wzajemna przyjaźń nie zapobiega umowom handlowym, które są obecnie korzystne dla Niemiec, a szkodliwe dla nas. Na gruncie ekonomicznym przy obecnym stanie Europy i świata nie ma przyjaciół. Trwa prawdziwa bezlitosna wojna wszystkich ze wszystkimi.

Nasi konsulowie, którzy są za granicą obecni przy stopniowej eliminacji naszego handlu, zgłaszają, mimo obowiązującej ich oficjalnej dyplomatycznej rezerwy, te same skargi. Wszyscy zgłaszają, zresztą bez żadnego pożytku, te same ostrzeżenia. Zarzucają naszym przemysłowcom i handlowcom apatię, niedbalstwo, brak inicjatywy, niezdolność do zmienienia przestarzałych maszyn i dostosowania się do nowych potrzeb swej klienteli, mnożenia formalności utrudniających transakcje, słowem słabość zmysłu handlowego.

Można by zacytować niezliczone przykłady tego stanu ducha. Ograniczę się do kilku najbardziej typowych:

Nasi przemysłowcy, nawet najwięksi – pisał przed kilku laty korespondent *Temps* w Transwaalu – *okazują się pedantyczni, nieufni, niechętni do wysiłku; wymieniają długą korespondencję w sprawach, które konkurenci angielscy lub niemieccy przeprowadzają i kończą w kilka dni.*

Inżynierowie angielscy czy niemieccy znnają na bieżąco ceny wszelkiego rodzaju maszyn używanych w przemyśle górniczym, a jeśli zamawiany jest projekt lub kosztorys, są w stanie odpowiedzieć z powszechnie przyjmowaną krótką pięcio- lub siedmiodniową zwłoką. Nasi francuscy

inżynierowie, z powodu inercji swych firm gorzej zaopatrzeni w dokumentację, muszą wyrzec się współzawodnictwa, uniemożliwianego przez sześć tygodni zwłoki potrzebne poczcie na dotarcie do Francji i z powrotem (o ile się odpowiada od razu...). Anglicy i Niemcy dostosowali się do wymagań im stawianych.

Analogiczne fakty są liczne. *Przed rokiem* – czytamy w *Journal – pewien hurtownik z Ameryki Południowej chciał podjąć eksport skór owczych do Francji i Niemiec. Dzięki nieoficjalnej pomocy naszego konsula i ministerstwa handlu nawiązał kontakt z naszą firmą, która bierze towary w komis. Amerykański hurtownik przesłał do tej firmy francuskiej 20 000 skór, przesyłkę taką samą, jak do pewnej firmy niemieckiej z Hamburga, z którą się porozumiał. Po roku obie firmy przedstawiły mu rachunki ze sprzedaży. Pierwsza napotkała na tyle kłopotów ze sprzedażą towaru, że musiała ustąpić z ceny tak dalece, że operacja przyniosła 10% straty, obciążającej wysyłającego. Aktywniejsza i lepiej przygotowana firma niemiecka upłynniła ten sam towar z zyskiem 12%. A co najciekawsze: miejsce dla niego znalazła w samej Francji! Wszelki komentarz jest zbędny.*

Sam mogłem wiele razy stwierdzić głęboką bierność, wstręt do wysiłku i wszystkie wady sygnalizowane w raportach naszych konsulów. Te wady, nasilając się co dzień, stają się jeszcze bardziej uderzające, jeśli po upływie dziesięciu lat odnajduje się przedstawicieli przemysłu niegdyś całkiem, lub przynajmniej w części, dobrze prosperującego.

Kiedy podjąłem na nowo badania laboratoryjne nad rozpadem materii przez wiele lat pozostawione na boku, uderzył mnie głęboki upadek personelu i sprzętu u naszych przemysłowców, upadek, jaki zresztą przewidywałem w jednym z rozdziałów mej książki *L'homme et les societes*, wydanej przed dwudziestoma laty. W ciągu jednego tygodnia rozmaite firmy odmówiły mi dostawy przyrządów na sumę ponad 500 franków z tej tylko przyczyny, że te dostawy byłyby dla sprzedawców trochę kłopotliwe. W pierwszym zamówieniu chodziło o pewną lampę elektryczną. Zanim ją nabyłem napisałem do kupca, zapytując, czy zgodziłby się uruchomić ją w mojej obecności. Nie otrzymawszy odpowiedzi, przez znajomych zapytałem o przyczynę milczenia. *Sprzedawanie na takich warunkach jest zbyt kłopotliwe* – brzmiała odpowiedź. W drugim zamówieniu chodziło o duży aparat, do którego chciałem dodać poziomicę przy części metalowej. Sprzedawca, dyrektor jednej z czołowych firm paryskich, nie miał jednak robotnika zdolnego do wykonania tej pracy. W trzecim chodziło o galwanometr, do którego chciałem dołączyć dwa dodatkowe zaciski. Praca ta wymagała może kwadransa. Producent miał pod ręką potrzebnych robotników, ale

odparł: *Mój wspólnik nie byłby zadowolony, gdybym przeszkadzał personelowi z powodu zamówienia nie wartego nawet 200 franków.*

Metody przemysłowców niemieckich są całkiem inne. Nieco po przeżyciu wspomnianych niewygód potrzebowałem małej ilości walcowanego kobaltu, metalu bardzo rzadkiego, i napisałem do głównych paryskich firm z produktami chemicznymi. Wobec małej wartości zamówienia nawet nie zadały sobie trudu, by odpowiedzieć. Jedna odpisała, że być może dostarczy mi poszukiwany produkt, ale za kilka tygodni. Po trzech miesiącach czekania, gdy koniecznie potrzebowałem tego metalu, zwróciłem się do firmy berlińskiej. Choć chodziło o zamówienie kilkufrankowe, natychmiast otrzymałem odpowiedź, zaś metal, rozwalcowany do żądanego wymiaru, został dostarczony po tygodniu.

Tak jest zawsze, gdy zwracać się do firm niemieckich. Najmniejsze zamówienie przyjmowane jest z wdzięcznością, zaś modyfikacje wymagane przez kupującego szybko wykonywane. Dlatego firmy niemieckie w Paryżu mnożą się codziennie, zaś klienci – mimo patriotycznej niechęci – muszą się do nich zwracać. Przychodzi się po drobny zakup, a wkrótce już nie chodzi się gdzie indziej. Mógłbym podać przykłady wielu dużych instytucji naukowych, które z powodu uciążliwości takich jak te, których doświadczyłem, swoje zamówienia składają prawie wyłącznie w Niemczech.

Handlową nieudolność ludów łacińskich stwierdza się niestety we wszystkich gałęziach przemysłu. Porównać można na przykład hotele w Szwajcarii, tak pociągające dla cudzoziemca, z nędznymi i niezbyt czystymi oberżami, jakie spotyka się w najbardziej malowniczych punktach Francji i Hiszpanii. Jakże się dziwić, że miejsca te są tak mało odwiedzane? Według oficjalnych statystyk hotele szwajcarskie notują rocznie wpływy na sumę 115 milionów [franków], dając ich właścicielom 31 milionów dochodu, sumę naprawdę ogromną dla małego kraju, którego budżet sięga zaledwie 80 milionów. Hotele są dla Szwajcarii prawdziwą żyłą złota, która może rywalizować z najbogatszymi kopalniami Afryki.

Ile czasu będzie trzeba – pyta Georges Michel, cytujący te liczby w *Economiste français* – *zanim nasze kolonie, na które strwoniliśmy setki milionów, przyniosą nam jedną setną tego, co uzyskuje z zagranicy Szwajcaria, nie mająca ani kolonii, ani kopalni złota lub srebra do eksploatacji?*

Młodym Francuzom radzi się dzisiaj bez przerwy, by kolonizowali obce kraje. Czy nie byłoby wiele mądrzejsze i bardziej produktywne poradzić im, by najpierw skolonizowali swój własny kraj? Skoro nie umiemy wykorzystać bogactw naturalnych, jakie mamy pod ręką, jak możemy pretendować do pokonania dużo większych trudności w odległych krajach?

Co się tyczy naszego wielkiego przemysłu, jego stan jest opłakany w porównaniu z angielskim, a zwłaszcza niemieckim. W 1897 r. produkcja surówki żelaza we Francji wyniosła 2 472 000 ton. Niemcy, które produkowały 1 430 000 ton w roku 1872, w 1897 dzięki rozwojowi mechanizacji wytworzyły 6 889 000 ton. Zawierając z Rosją traktat handlowy, którego nam odmówiono, sprzedały jej w 1897 roku 2 600 000 ton, opłaconych naturalnie pieniędzmi pożyczonymi Rosji przez nas (temu krajowi, któremu niczego nie sprzedajemy z powodu prohibicyjnych ceł zamykających jego terytorium przed naszymi towarami).

Skąd to zacofanie? – pisze Félix Martin po zacytowaniu powyższych liczb. *Głównej przyczyny należy szukać w naszym systemie celnym, który podtrzymuje produkcję francuską rezerwując dla niej rynek wewnętrzny, ale prawie zupełnie uniemożliwiając eksport. Nasi dyrektorzy fabryk, uśpieni przez fałszywe poczucie bezpieczeństwa, nie robią nic, by ulepszyć produkcję; poza Francją nie są dziś w stanie walczyć z narodami, które – pobudzone konkurencją – nie zaniechały nadążania za wszystkimi udoskonaleniami. Dlatego nasz eksport metalurgiczny zanika.*

Nie sposób mówić zbyt źle o ochronnym systemie celnym. Będąc absurdem ekonomicznym jest być może psychologiczną koniecznością dla pewnych ludów, których braki w sprzęcie i mała energia czynią niezdolnymi do walki z konkurentami. Bez ochronnych taryf celnych nie produkowałoby się zapewne we Francji nawet tony żelaza.

To, co tu powiedziano o żelazie, dałoby się niestety powtórzyć na temat wielu innych gałęzi przemysłu, na przykład węgla i cukru. *Niemcy, które dwadzieścia pięć lat temu wydobywały mniej węgla niż Francja, dziś oferują produkcję czterokrotnie wyższą niż nasza... W ciągu dziesięciu lat* – pisze autor cytowany powyżej – *Francja odnotowała spadek eksportu cukru z 200 do 60 milionów; produkuje go dziś tylko 700 000 ton rocznie, mniej niż Rosja i Austro-Węgry, które niegdyś wyprzedzała. Zrodzony zaledwie wczoraj niemiecki przemysł cukrowniczy w 1896 roku rzucił na rynek 1 835 000 ton.* Również w tym wypadku bez ochronnych opłat, które powstrzymują inwazję produktów zagranicznych, francuski przemysł cukrowniczy by zniknął. Ta ochrona nie wystarcza mu zresztą do przeżycia. Państwo zostało zobowiązane do przyznania producentom tak ogromnych dotacji, że budżet nie mógł ich udźwignąć, wobec czego zostały ostatnio zniesione.

Przemysł chemiczny doznał takiego samego upadku, ale przynajmniej państwo za to nie płaci. Nie musi go podtrzymywać, gdyż prawie niczego już on nie produkuje. Większość produktów chemicznych i farmaceutycznych zużywanych we Francji pochodzi z Niemiec. *Ich eksport, dwadzieścia pięć lat temu nie istniejący, przekracza dziś 50 milionów* [franków].

Wszyscy obserwatorzy – pisze cytowany autor – *stwierdzają dzisiaj słabość, w której pogrążają się nasze największe ośrodki przemysłowe.*

Oto Lyon wydaje krzyk ostrzegawczy ustami swojej izby handlowej, zapowiadając nadejście groźby bezrobocia. Konkurencja Szwajcarii, Włoch, nawet Rosji zagraża dziś fabryce lyońskiej; co się z nią stanie, gdy odczuje skutki francusko-japońskiego traktatu handlowego, który parlament tak nierozważnie uchwalił?

Oto Marsylia, której port nie jest wystarczająco obsługiwany przez jedyną kolej, która ją łączy z centralną Francją, i która pozbawiona jest połączenia z wielką rzeczną arterią Rodanu, zrujnowana przez zbytnie opłaty portowe, formalności celne, wszelkiego rodzaju monopole (doki, uprzywilejowane towarzystwa żeglugowe), doszła do tego, że brakuje jej statków dla potrzeb przemysłu lokalnego.

Oto Rouen, gdzie spada cena tkanin bawełnianych, port niszczeje, cena pracy tak się obniżyła, że uszycie męskiej koszuli spadło do 15 centymów.

Oto Bordeaux, którego zapiaszczony port jest w zupełnym upadku, a piękne rezydencje z XVIII wieku, ostatni świadkowie handlowej pomyślności, są dziś puste i zrujnowane, nasuwając skojarzenie z weneckimi pałacami zamieszkałymi przez nędzarzy.

Oto Roubaix, przez długi czas bogate, które dzięki doskonałości swojego sprzętu prześcignęło w przemyśle wełnianym wszystkich rywali: Reims, Sedan, Elbeu. Dziś samo jest prześcigane przez przemysł niemiecki, tak przez ostatnie piętnaście lat rozwinięty, że zakupuje w Londynie o 135% więcej surowców, gdy nasze zakupy w tym samym okresie wzrosły o zaledwie 15%.

Do przyczyn naszego upadku przemysłowego dorzućmy drogi handlowe, które potrafiły rozwinąć inne ludy. Przebicie tunelu św. Gotarda, który zapewnia bezpośrednie połączenie Suezu przez Genuę i Mediolan z Berlinem i Europą środkową, zadało dotkliwy cios Marsylii; straty Francji z powodu istnienia tej linii oszacowano na 600 milionów w ciągu 14 lat. Natomiast przeładunki w Genui się podwoiły. Kiedy zacznie funkcjonować kolej transsyberyjska, zbudowana za nasze pieniądze, która dystans z Londynu do Japonii zmniejszy do dwóch tygodni, cios zadany naszemu handlowi będzie znaczny.

Nie tylko rozwój wielkich dróg handlowych kosztuje nas tak drogo. Również wewnętrzne arterie kraju przyczyniają się do jego bogactwa. Rotterdam, Antwerpia, Hamburg zawdzięczają znaczną część bogactwa rzekom, które wiążą je z licznymi miastami w głębi lądu. Gdyby Marsylia, leżąca u wylotu doliny Rodanu, mogła być z nim połączona kanałem, jak to tylekroć proponowano, jej szanse na rozwój wydatnie by wzrosły. Niemcy bez przerwy mnożą swoje kanały, doskonalą nawigację na rzekach. Te prace kosztowały ich w ciągu dwudziestu pięciu lat przeszło miliard.

W zestawieniu z rozwojem szlaków żeglownych w Niemczech aż żal mówić o stanie żeglugi wewnętrznej we Francji. Co bowiem widać?

Loara[1] *jest zupełnie zaniedbana i żegluga znikła z niej zupełnie; Sekwana zamulona na wylocie z Paryża błotem i nieczystościami, którym pozwolono nagromadzić się w jej korycie; Rodan, jako tako żeglowny, ale bez połączenia z portem marsylskim, ze statkami nielicznymi i antycznymi jak z czasów Papina; kanały, które poza paroma na północy i na wschodzie sięgają czasów Ludwika XIV i od trzech wieków nie zostały ulepszone...*

To wszystko jest dobrze wiadome, ale obojętność na te sprawy sprawia, że nie da się znaleźć nikogo, kto by chciał się nimi zająć. Jak się wydaje, dowody energii jesteśmy w stanie dawać tylko przy dyskusjach politycznych. Co do reszty, jesteśmy zadowoleni, jeśli uda się nam zarobić skromną sumę bez kłopotu, ryzyka i pracy.

Jeden z cytowanych wyżej autorów pisze: *Francuzi są szczęśliwi, gdy tylko udaje im się żyć z niewielkiego, uczciwego i pewnego zarobku, bez ryzyka, i jeśli w końcu w złym czy dobrym roku zwiążą koniec z końcem, jak szewc z bajki La Fontaine"a. W końcu jednak nie zwiążą ich swą cieniutką uczciwą nitką. Potrzebują natychmiast pewnej skromnej sumy. Ale gdy jest już ona w kasie, już z niej nie wyjdzie, skromny dochód nie zostanie wystawiony na ryzyko. W szczególności nie zostaną odnowione maszyny, ulepszone narzędzia, nie mówcie mi o zmianach! Tak będzie się robić, póki się da, ale nie da się bez końca; a oto ludzie najbardziej kompetentni i umiarkowani w sądzie twierdzą, że jesteśmy już blisko tego końca.*

Jesteśmy bowiem przy nim. Żyjemy cieniami przeszłości, cieniem cienia, a upadek zaznacza się z szybkością zaskakującą statystyków. Nasz eksport przed dwudziestu laty był sporo wyższy niż niemiecki, a teraz jest sporo niższy. Jak słusznie powiedziano, nasze straty handlowe są takie, że co trzy lub cztery lata płacimy odszkodowania wojenne, które, jak nam się zdawało, mieliśmy zapłacić raz.

Przed zupełnym unicestwieniem ratuje nasz handel zagraniczny monopol na pewne produkty, jak wyższej jakości wina, które produkujemy prawie wyłącznie my, oraz eksport pewnych artykułów luksusowych: mody, jedwabi, sztucznych kwiatów, perfum, biżuterii itd., ktorych produkcja korzysta z artystycznej wyższości naszej rasy. Eksport pozostałych towarów spada.

Nasza marynarka handlowa też oczywiście podupadła. Pozostaje bez zmian, gdy inne narody powiększają swoje bardzo znacznie. Niemcy prawie ją podwoiły w dziesięć lat, Anglia powiększyła swoją o jedną

[1] W 1802 żegluga na Loarze przewoziła 402 500 ton. Dziś nie dochodzi do 30 000 ton. [Z powodu konkurencji kolei! Loara niezbyt się nadaje do regulacji i stałej żeglugi, gdyż jej stan wód jest bardzo zmienny – *uwaga tłumacza*].

trzecią. Z pierwszych szeregów spadamy ku ostatnim. Gdy przeładunek w Hamburgu zwiększył się w ciągu dwudziestu pięciu lat dziesięciokrotnie, upadek portów w Hawrze i Marsylii z roku na rok się pogłębia. Cudzoziemcy handlują na nasz koszt na naszym własnym terenie. Na 16 milionów ton stanowiących roczny obrót między krajami zamorskimi a Francją, 4 miliony ton przewozi się statkami francuskimi, zaś resztę, czyli trzy czwarte, statkami obcymi. Mimo iż statki obce nie otrzymują przecież żadnej cząstki z 11 milionowej dotacji, jaką rząd zmuszony jest corocznie przyznawać naszej marynarce handlowej, ginącej z powodu swojego własnego niedbalstwa i nieudolności. Ta dotacja ratuje ją od całkowitej ruiny, która w innym wypadku byłaby niemożliwa do uniknięcia.

Stocznie niemieckie, chociaż rosną bez przerwy liczebnie i rozmiarami, nie mogą nastarczyć zamówieniom, a przecież wodują rocznie 165 000 ton, gdy my dochodzimy zaledwie do 40 000.

Nasze stocznie żyją tylko z zamówień państwowych. Nikomu innemu nie przyszło by zresztą do głowy dać im zamówień, gdyż koszty są tam z powodu przestarzałego wyposażenia oraz przeżartego rutyną i papierkomanią personelu o 50-60% wyższe niż w Anglii czy Niemczech. Mimo cen tak wygórowanych, nasi budowniczy domagają się cztery razy więcej czasu na budowę statku niż Anglicy, a dwa razy więcej niż Niemcy!

Nieliczne statki, jakie budujemy, kosztują państwo przeraźliwie drogo. Bez dotacji, jakimi się zasypuje stocznie, nie zbudowałyby one z pewnością ani jednego. Podczas ekspedycji na Madagaskar trzeba było wynająć statki angielskie, żeby przewieźć nasz sprzęt. Państwo robi co może dla poprawienia naszej marynarki, ale jak zmieni ducha naszych przemysłowców?

Według liczb podanych Izbie Deputowanych przez ministra handlu na posiedzeniu z 29 października 1901, dotacje państwowe dla niektórych żaglowców wynoszą aż 75 000 franków rocznie, co przy kapitale 500 000 daje dywidendę 31%. Oto kilka wyjątków z mowy tegoż ministra:

Prace komisji pozaparlamentarnej z 1896 roku pozwoliły stwierdzić, jak ciężka jest choroba, na którą cierpi nasza marynarka handlowa. Według wszystkich zeznań jest ona dużo gorsza niż floty narodów sąsiednich. Francja nie potrafiła wykorzystać ogromnych korzyści, jakie zapewnia jej położenie geograficzne.

Nasza marynarka handlowa była w ostatnich latach nader nikłym wsparciem dla naszego handlu; statystyki dowodzą, że w 1900 roku udział flagi francuskiej w naszym ruchu portowym wynosił tylko 20%, podczas gdy flag obcych 80%. Liczby te podała dyrekcja ceł.

Nasza marynarka handlowa straciła prawie 5 miliardów franków z powodu swojego ograniczonego stanu, a handel płaci obcym marynarkom handlowym 370 milionów rocznie, około miliona dziennie (*Le Temps* z 30 października 1901).

Możemy się przynajmniej odegrać, handlując z naszymi koloniami. Niestety – nie! Odmawiają one przyjęcia naszych produktów, woląc artykułu angielskie i niemieckie. Kolonie, których zdobycie kosztowało nas tyle setek milionów, służą za rynki zbytu dla firm z Londynu, Bremy, Hamburga, Berlina itd. Nasi kupcy nigdy nie byli w stanie zrozumieć, że Arab, Chińczyk, Kanak czy Murzyn mogą mieć gusty inne niż Francuzi. Ta niemożność wyobrażenia sobie idei innych niż własne jest, jak mówiłem, typowa dla ludów łacińskich.

Nawet z koloniami, które mamy tuż pod bokiem, nie potrafimy prowadzić handlu. Pewna gazeta opublikowała ostatnio następujące refleksje na temat handlu Francji z regencją Tunisu:

Słodycze nadchodzą z Anglii, Austrii i Niemiec; alkohol z Austrii; przędza bawełniana w większości z Anglii a w mniejszym stopniu z Austrii; tkaniny bawełniane, lniane, konopne i wełniane z Anglii; tkaniny jedwabne z Indii i Niemiec; bielizna z Austrii i Anglii; drewno z Ameryki; świece z Anglii i Holandii; papier jest pochodzenia angielskiego i austriackiego; nakrycia przychodzą z Anglii, a szkło z Austrii; butelki z Anglii; zegary z Niemiec i Szwajcarii; bibeloty z Niemiec; produkty chemiczne z Anglii; nafta z Rosji...

A z Francji? Stąd zawsze przybywają żołnierze i urzędnicy.

A tymczasem te bezużyteczne kolonie kosztują nas w ludziach i pieniądzach potwornie drogo. Pewien deputowany, Siegfried, w swoich uwagach co do budżetu na rok 1897 słusznie zauważył, że wszystkie kolonie angielskie, z ich powierzchnią 38 414 000 kilometrów kwadratowych i 393 milionami mieszkańców kosztują metropolię tylko 62 miliony, podczas gdy nasze, z mniej niż 7 milionami kilometrów kwadratowych i 32 milionami mieszkańców kosztują nas dużo więcej.[2]

[2] Według budżetu opublikowanego przez *Journal officiel* z 26 lutego 1901 kolonialne wydatki wojskowe i związane z nimi osiągają obecnie 91 milionów – bez Algierii, która administracyjnie nie jest uważana za kolonię. Madagaskar kosztuje ponad 29 milionów rocznie, Indochiny tyle samo. W te sumy nie są wliczone subwencje, jakie hojnie rozdajemy naszym koloniom, które zresztą wcale nie poczuwają się do wdzięczności. 840 000 franków dla Gwadelupy, 618 000 dla Martyniki, 440 000 dla Reunion, 455 000 dla naszych małych wiosek w Indiach itd. itp. Rzeczywiste wydatki kolonii sięgają 111 milionów. Nie eksploatujemy ich; to one nas eksploatują, i to na dużą skalę. Nic nie jest trudniejsze dla niezbyt licznego narodu, niż być zarazem wielką potęgą wojskowa i kolonialną. Może być jednym lub drugim, ale nigdy i jednym, i drugim. Z powodu kolonii nasza siła wojskowa nie może zapobiec znalezieniu się na łasce mocarstwa o silniejszej marynarce. Ujawniło się to wyraźnie w związku ze sprawą Faszody. Nasze posiadłości kolonialne są tylko przyczyną

Rzecz jasna Anglicy nie wydają 62 milionów dla chwały posiadania kolonii. Owe 62 miliony to tylko zaliczka, zwracana wielokrotnie przez handel kolonii z metropolią. Tymczasem jedynymi towarami wyeksportowanymi jak dotąd do kolonii przez ludy łacińskie są zwarte bataliony urzędników oraz parę artykułów luksusowych w ilości pozbawionej znaczenia, a zużywanych prawie wyłącznie przez tychże urzędników. Ostateczny budżet naszych kolonii jest nader przejrzysty. Kosztują nas 110 milionów rocznie, a przynoszą około 7 milionów. Jest to operacja godna pożałowania i budząca osłupienie u ludów, które widzą, że nadal ją uparcie przeprowadzamy.

Do przyczyn upadku naszego handlu należy niestety dodać jeszcze pozbawione skrupułów działania wielu naszych handlowców, znane aż nadto dobrze podróżującym za granicą. Przypominam sobie, że gdy byłem w Indiach, uderzył mnie widok małych etykiet angielskich na wszystkich butelkach bordeaux i koniaku, informujących, iż butelka została napełniona przez firmę londyńską gwarantującą jakość towaru. Zasięgnąwszy informacji, dowiedziałem się, że wielkie firmy z Bordeaux oraz Cognacu przez długi czas sprzedawały kupcom angielskim za granicą produkty o tak niskiej jakości, że zrezygnowali oni całkowicie ze zwracania się do nich, woląc pośrednictwo firm angielskich kupujących i próbujących towar na miejscu we Francji. Nie zdziwi to osób znających wartość rzeczy określanych przez naszych handlowców jako „artykuły eksportowe".

Ten spadek jakości produktów nie ogranicza się do tego, co przeznaczamy dla zagranicy, lecz również dotyka coraz bardziej towarów, które sprzedajemy u nas. To tłumaczy miażdżące sukcesy konkurencji zagranicznej. Weźmy na przykład obiektywy fotograficzne, będące dziś przedmiotem masowej sprzedaży. Każdy fotograf powie wam, że obiektywy angielskie, a zwłaszcza niemieckie, choć kosztują trzy do czterech razy drożej niż francuskie, spowodowały ich prawie całkowite zniknięcie z rynku. Skąd wziął się sukces tej konkurencji? Po prostu stąd, że zagraniczne obiektywy dobrej marki wszystkie są dobre, gdy nasze – tylko wyjątkowo. Producent zagraniczny rozumiejąc, że w jego interesie leży dobra opinia marki, nie wystawia na sprzedaż obiektywów

osłabienia kraju oraz groźnych i nieprzewidzianych niebezpieczeństw. Ponadto, nasze metody administracji łacińskiej doprowadzają tubylców do rozpaczy, tak że są zawsze gotowi do buntu. Aby z wielkim trudem utrzymać pokój w Algierii, której arabska ludność jest przecież tak rozproszona, jesteśmy zmuszeni utrzymywać tam oddziały równie liczne, co armia europejska wystarczająca Anglikom do utrzymania w zupełnym spokoju 250 milionów Hindusów, a wśród nich 50 milionów muzułmanów równie groźnych jak algierscy i pamiętających, że Indie, niegdyś przez nich podbite, należały do nich jeszcze pod koniec ubiegłego wieku.

nieudanych. Producent francuski nie wzniósł się jeszcze na ten poziom. Wszystko, co wytworzył, dobre czy złe, trzeba upłynnić. W końcu nie upłynni już niczego.[3] Ta sama obserwacja dotyczy mnóstwa towarów, na przykład płyt fotograficznych. Weźcie najlepsze marki francuskie, a w każdym pudełku nieodmiennie znajdziecie jedną lub dwie płyty z nieudaną emulsją, które producent francuski podrzucił do pudełek z dobrymi płytami, nie mogąc się zdecydować na ich wybrakowanie. Nic podobnego nie zdarza się przy płytach zagranicznych. Być może producenci angielscy czy niemieccy nie są uczciwsi od francuskich, ale lepiej rozumieją swój interes. Nieuniknionym skutkiem będzie to, że mimo wszelkich ceł ochronnych i protestów naszych producentów naturalny bieg rzeczy doprowadzi do zastąpienia płyt francuskich przez zagraniczne, dokładnie tak, jak w wypadku obiektywów.

Osłabienie uczciwości naszych handlowców jest objawem bardzo poważnym, który niestety można zaobserwować we wszystkich gałęziach przemysłu i który coraz bardziej się rozszerza. Na próżno piętrzy się regulacje mające zahamować oszustwa we wszystkich dziedzinach handlu. W Paryżu, na przykład, policja prawie zrezygnowała ze ścigania zaplombowanych worków z opałem o wadze rzekomo gwarantowanej. Waga jest niezmiennie 25% niższa od wskazanej, a sądy nie nadążyłyby ze skazywaniem. W jednej z tych spraw, dotyczącej dostawy 25 ton węgla, brakło jednej czwartej wagi. Pracownicy wielkiego przedsiębiorcy, który dokonał tego oszustwa, musieli przyznać, że tak było prawie codziennie. W innych analogicznych sprawach stwierdzono, że właściciel kradł jedną czwartą towaru, zaś wozak następną jedną czwartą.

Te tendencje są niestety coraz powszechniejsze, nawet w handlu prowadzonym przez ludzi wykształconych. W raporcie znajdującym się w *Officiel* z 23 grudnia 1897 roku, sumującym przeprowadzane przez trzy lata w laboratorium miejskim analizy produktów pobranych w aptekach, autor raportu stwierdza: *Ilość produktów bez zarzutu wynosi zaledwie jedną trzecią.*

§ 3. Przyczyny wyższości handlowej i przemysłowej Niemców

Wyższość przemysłowa i handlowa Anglików, a zwłaszcza Niemców, jest wystarczająco dowiedziona i byłoby dziecinne próbować jej dzisiaj

[3] W katalogu domów towarowych *Louvre*, artykuły do podróży, czerwiec 1898, na cztery rodzaje obiektywów fotograficznych przy trzech zaznaczono, że są produkcji niemieckiej, proponując kupującym tylko jeden typ obiektywu francuskiego, w dodatku stosowanego tylko do taniego aparatu. Obiektyw francuski jest dziś prawie niemożliwy do sprzedania, podczas gdy trzydzieści lat temu nie dawało się sprzedać obiektywu niemieckiego.

przeczyć. Niemcy zresztą wiedzą świetnie, co na ten temat sądzić. Oto jak się wyraża w niedawnej publikacji jeden z ich pisarzy:

Teraz my eksportujemy do Paryża artykuły paryskie! Jak zmieniły się role i czasy!...

Potrzeba Włochów i Francuzów do robót ziemnych, do prac ciężkich i kiepsko wynagradzanych. Potrzeba Niemców, Belgów i Szwajcarów do przemysłu, banków, w ogóle handlu...

Robotnicy francuscy bez zajęcia liczą się na dziesiątki tysięcy; jednakże Niemiec przybyły do Paryża nie zostaje tam długo z założonymi rękoma. Iluż widzieliśmy, którzy wyruszyli do Francji, a wszyscy znaleźli zatrudnienie, nie da się znaleźć wyjątków!

U naszych sąsiadów wysłanie syna za granicę jest największym luksusem. Tylko parę bogatych rodzin może sobie na to pozwolić. Ilu znajdziecie francuskich pracowników u nas? W Anglii? Ilu bez innych środków utrzymania niż ich wynagrodzenie? W Niemczech jest ich może tuzin, można szybko policzyć.

Co roku Francja ustępuje miejsca temu czy innemu narodowi co do tego czy innego produktu; z trzeciego miejsca spada na czwarte, z czwartego na piąte, nigdy nie odzyskując straconego terenu. Tabela rozmaitego eksportu z całego świata podczas ostatnich dziesięciu lat stanowi widok przykuwający uwagę; wydaje się, że przyglądamy się wyścigowi, w którym Francja, wyczerpana i źle prowadzona, daje się po trochu wyprzedzać wszystkim konkurentom.

Gdy naród rosnący styka się łokciami z innym, rzadziej rozsianym, który następnie tworzy centrum depresji, powstaje powiew wiatru, zwany brutalnie najazdem, zjawisko wobec którego kodeks cywilny jest odkładany na bok... Niech narody z rzadkim zaludnieniem się ścieśniają.[4]

Czyniąc aluzję do autora, z którego zacytowałem kilka ustępów, Arthur Maillet wyraża się tak: *Ten Niemiec napisał zdania, które stale niepokoją moją duszę. Przepowiedział, że Francja stanie się rodzajem kolonii, administrowanej przez francuskich urzędników, a wykorzystywanej przez przemysłowców, kupców i rolników niemieckich. Gdy pierwszy raz czytałem tę przepowiednię, przed trzema czy czterema laty, wydała mi się zwykłą obelgą. Patrząc jednak z bliska, mogę stwierdzić, że się ona urzeczywistniła w więcej niż trzech czwartych. Wątpicie w to? Spytajcie zatem tych, którzy znają się na rzeczy, co by się stało z przemysłem*

[4] Nasi młodzi „intelektualiści" dobrze zrobią, zastanowiwszy się nad ostatnimi liniami tego cytatu. Trochę mniej intelektualizmu, a zrozumieją w końcu, że mogą zachować i rozwijać w spokoju swoje Ja, które jest im tak drogie, tylko wtedy, gdy będą nieco mniej gardzili swą ojczyzną i dużo bardziej szanowali armię, bo tylko ona może ich obronić. Jak pisał Wielki Fryderyk: *Wszystkie sztuki kwitną tylko pod ochroną sztuki wojennej... Państwo utrzymuje się, póki chroni je broń.*

i handlem Francji, gdyby cudzoziemcy musieli nagle ją opuścić. W ilu nowych spółkach nie są inicjatorami i nie trzymają w ręku wszystkich nitek?

Spróbujmy zdać sobie sprawę z przyczyn, które w ciągu niecałych trzydziestu lat dały Niemcom taką wyższość w przemyśle i handlu.

Odsuńmy przede wszystkim przyczynę tak często powtarzaną, iż handel niemiecki został ułatwiony przez prestiż zyskany zwycięstwami. Ten prestiż w niczym temu nie służy. Wszystko wskazuje bowiem na to, że kupujący troszczy się wyłącznie o towar, który jest mu dostarczany, a nie o narodowość, która mu go dostarcza. Handel jest sprawą indywidualną, a nie narodową. Wszystkie ludy mogą do woli handlować w koloniach angielskich; jeśli tubylcy woleli przez czas dłuższy towary angielskie, to po prostu dlatego, że były tańsze i lepiej trafiały w ich gusty. Jeśli teraz zaczynają wybierać towary niemieckie, to oczywiście dlatego, że im się wydają lepsze. Jeśli zatem niemiecki handel coraz bardziej opanowuje świat, to nie z powodu potęgi armii niemieckiej, lecz po prostu dlatego, że klienci wolą niemieckie towary. Sukcesy wojskowe nie mają tu nic do rzeczy.[5] Na rzecz wpływu niemieckiego systemu wojskowego można by rzec co najwyżej to, że młody człowiek, który mu podlegał, nabył zalet takich jak porządek, systematyczność, zaangażowanie, dyscyplina, które mu się potem przydadzą w handlu.

Skoro ta pierwsza przyczyna w postaci wyższości wojskowej została wyeliminowana, trzeba szukać innych. Na pierwszym miejscu stoją jak zawsze zalety rasy. Zanim jednak zajmiemy się nimi bliżej, musimy dostrzec, że potęga Niemiec wynika nie tylko z ich własnej siły, lecz również z naszej słabości.

Studiując koncepcje kształtujące duszę łacińską, wskazaliśmy na przyczyny tej słabości. Czytelnik wie, jak w przeszłości wytworzyły się uzdolnienia ludów łacińskich i w jakim stopniu ludy te ulegają dziś wpływowi przeszłości. Wiedzą o skutkach wielowiekowej centralizacji, wchłanianiu przez państwo, niszczeniu wszelkiej inicjatywy indywidualnej, doprowadzeniu obywateli do stanu, w którym sami z siebie, bez kierowania, niczego nie mogą osiągnąć. Znają też okropne skutki systemu szkolnictwa, który pozbawia młodzież resztek odziedziczonej inicjatywy i woli, rzuca ją w życie ze znajomością wyłącznie słów, na zawsze fałszuje jej osąd.

Żeby dowieść, jak dalece siła Niemców składa się w znacznej części z naszej własnej słabości, wystarczy zauważyć, że to nasi przemysłowcy

[5] Gdzie indziej Le Bon zauważał, że dzieje się raczej przeciwnie; patriotyzm pokonanej Francji zniechęcał ją do towarów niemieckich – ale coraz częściej je kupowano [*przypis tłumacza*].

i kupcy – zamiast walczyć z nimi – są we Francji propagatorami ich towarów. Te fakty umykają statystyce, ale odsłaniają stan ducha, który uważam za jeszcze szkodliwszy niż apatia, drobiazgowość i nieufność, brak inicjatywy, co wszyscy nasi konsulowie wypominają naszym przemysłowcom i kupcom. Nie tylko rezygnują oni coraz bardziej ze wszelkiego wysiłku i z zamiaru walki, lecz wręcz dostarczają broni naszym rywalom, sprzedając coraz częściej wyłącznie ich produkty. W wielu gałęziach przemysłu nasi dawni producenci stali się zwykłymi pośrednikami, ograniczającymi się do odsprzedaży ze znacznym zyskiem towarów nabytych w Niemczech, na których umieścili swoją nazwę. Tym sposobem w niecałe dwadzieścia lat branże, w których Paryż niegdyś błyszczał w pierwszym szeregu, jak produkcja aparatów fotograficznych, artykułów chemicznych, precyzyjnych instrumentów, a nawet artykułów zwanych paryskimi, przeszły prawie w całości w ręce cudzoziemców. Mógłbym wymienić bardzo stare firmy, zatrudniające kiedyś wielu robotników, które dziś już ich nie zatrudniają. Wyprodukowanie w Paryżu precyzyjnego przedmiotu stało się poważną trudnością. Trudność będzie nie do pokonania, gdy wymrą żyjący jeszcze dawni producenci.

Wydaje się oczywiście znacznie prostsze sprzedać artykuł już wyprodukowany, niż samemu go wyprodukować. Mniej proste jest być może przewidzenie następstw takiej operacji. Tymczasem są one nader oczywiste.

Producent niemiecki, który swojemu paryskiemu konkurentowi dostarcza przedmiot, który tamten pod swoją marką sprzeda ze znacznym zyskiem, wkrótce zauważy, że znacznie bardziej mu się opłaci sprzedać ten sam przedmiot w Paryżu bezpośrednio klientowi i pod swoją własną nazwą. Na pierwszym etapie wielu pośrednikom sprzedaje towar z własną marką fabryczną, przez co uniemożliwia Francuzowi sprzedawanie tej samej rzeczy, jak dotąd, z jego znakiem firmowym. Tak odbiera mu od razu część zysku. Zachęcony sukcesem, wkrótce pomija pośredników, otwierając w Paryżu hurtownię pod własną nazwą.[6]

Niestety, nie tylko przemysł fotograficzny, mechanika precyzyjna i produkty chemiczne przeszły w ten sposób w ręce cudzoziemców.

---

[6] A nieraz i fabrykę. W Paryżu istnieją obecnie trzy firmy niemieckie sprzedające obiektywy. Jedna z nich umieściła w samym Paryżu fabrykę liczącą 200 robotników, wszystkich przybyłych z Niemiec, którzy ledwo nastarczają zamówieniom klientów francuskich. Kiedy nasi handlowcy i przemysłowcy twierdzą, ze cierpią od konkurencji zagranicznej, czyż nie można im odpowiedzieć, że naprawdę cierpią przede wszystkim od własnej apatii i nieudolności? Paryż będzie wkrótce uważany przez Niemców za najbardziej dochodową z ich kolonii. [Uderza to, że nawet w etatystycznej Francji autor nie wyobraża sobie przepisów ograniczających zatrudnianie cudzoziemców – *uwaga tłumacza*]

Artykuły zwane paryskimi sprzedawane przez magazyny z konfekcją są coraz częściej niemieckie. Tkaniny na ubrania męskie coraz częściej pochodzą z Niemiec lub Anglii, coraz częściej są też sprzedawane przez zagranicznych krawców, którzy otwierają sklepy we wszystkich punktach stolicy. Prawie wszystkie piwiarnie, które wyparły nasze restauracje, po cichu należą do Niemców. Cudzoziemcy mają u nas księgarnie, sklepy z dziełami sztuki, biżuterią, zaczynają handel jedwabiem i artykułami toaletowymi dla pań. Gdyby na wielkiej wystawie światowej w 1900 roku jury zdecydowało się usunąć wszystkie towary zagraniczne sprzedawane pod marką francuską, nasz udział w niej zostałby zapewne znacznie ograniczony.[7]

Byłoby niesprawiedliwe rzucać za wiele kamieni na naszych przemysłowców, przypisując wyłącznie ich nieudolności i lenistwu to, co jest po części skutkiem innych przyczyn. Jest bowiem całkiem oczywiste, że rosnące wymagania robotników, którym sprzyja łaskawość władzy publicznej, dalej ogromne podatki, które przygniatają nasz przemysł, tak samo przyczyniają się do niemożności zwalczenia konkurencji, jak niedoskonałość i braki naszego wyposażenia i wysokość naszych kosztów. Jest zupełnie zrozumiałe, że nękany i szykanowany pracodawca rezygnuje z wytwarzania wyrobów, które można nabyć po niższym koszcie. Zamyka wtedy warsztat i schodzi do roli zwykłego pośrednika. Gdyby miał inne uzdolnienia dziedziczne, postąpiłby jak jego koledzy angielscy i amerykańscy, którzy także znajdują się pod naciskiem wymagań robotników i konkurencji, ale dzięki energii i stałemu udoskonalaniu sprzętu, walczą bez większych strat z rywalami niemieckimi. Naszym przemysłowcom brakuje niestety wszystkich zalet charakteru, które zapewniają przewagę w takiej walce. Pod powłoką problemów społecznych powraca zawsze dominująca kwestia rasy (kultury), najwyższego regulatora przeznaczenia ludów. Wyliczone w tym rozdziale fakty są bliskie, lecz jak daleko leżą ich przyczyny!

System scentralizowany,[8] jakiemu są od pewnego czasu poddani Niemcy, niewątpliwie poprowadzi z czasem i ich do punktu, w którym znajdujemy się dziś my – jak to już zresztą zaznaczałem; póki co, korzystają jednak z zalet odziedziczonych po przeszłości, niezbyt efektownych, lecz solidnych i najzupełniej pasujących do nowych potrzeb wynikłych z ewolucji nauki, przemysłu i handlu.

---

[7] Jako członek jury do wyboru instrumentów precyzyjnych chciałem zaproponować taką eliminację, ale proszono mnie o rezygnację z projektu, gdyż jego wykonanie wzbudziłoby zbytnie protesty wystawców.

[8] Warto tu może zaznaczyć, że zjednoczenie Niemiec zniosło do końca krępujące granice celne i różnice prawne między państwami niemieckimi, tworząc największy w Europie wspólny rynek wewnętrzny; znacznie pobudziło to gospodarkę Niemiec [*przypis tłumacza*].

To, co poprzednio powiedzieliśmy o ich sukcesach w przemyśle i handlu, pozwala zgadnąć przyczyny tych sukcesów. Zrozumiemy je jeszcze lepiej, badając ich zalety narodowe i korzyści, jakie z nich czerpią.

Głównymi zaletami Niemców są cierpliwość, odporność, wytrwałość, skłonność do obserwacji i namysłu oraz wielka umiejętność stowarzyszania się. Wszystkie te zalety są dobrze rozwinięte dzięki znakomitemu kształceniu technicznemu.[9]

Takie są najogólniejsze, a zarazem najgłębsze przyczyny ich sukcesu. W przemyśle i handlu przejawiają się one następująco: stałe udoskonalanie maszyn i produktów,[10] wytwarzanie towarów odpowiadających gustowi klienta i stale modyfikowanych na podstawie jego obserwacji, całkowita punktualność dostaw, wysyłanie na cały świat z towarami przedstawicieli inteligentnych, znających języki oraz zwyczaje różnych krajów. Szereg towarzystw handlowych za pomocą licznych agentów rozesłanych po całym globie dostarcza bez przerwy swoim partnerom najdokładniejszych informacji. Export Verein z Drezna wydało w latach 1885-1895 ponad 500 000 franków na podróże dla badania rynku. Niemieckie Towarzystwo Kolonialne ma dochód roczny 120 000 franków pochodzący ze składek członkowskich oraz 249 przedstawicieli za granicą. Stowarzyszenie pracowników handlu z siedzibą w Hamburgu ma 42 000 członków i umieszcza rocznie tysiąc pracowników.

Większość towarów przeznaczonych na eksport przechodzi przez port w Hamburgu, którego przeładunki wzrosły od 1871 roku dziesięciokrotnie, i który przewyższa już tonażami statków Liverpool – gdy tymczasem Hawr i Marsylia z roku na rok podupadają. Można tam znaleźć licznych agentów eksportowych reprezentujących interesy producentów i kontaktujących ich z nabywcami. Mają oni w magazynach

[9] Pewien przemysłowiec mówił mi niedawno o zdziwieniu, jakie przeżył zwiedzając wielką niemiecką fabrykę elektryczną, gdy spostrzegł, jak wielu mistrzów a nawet zwykłych robotników tytułowanych jest „panie doktorze", „panie inżynierze". Niemcy nie cierpią jak my od zalewu magistrów i maturzystów bez zajęcia, gdyż mając staranne wykształcenie techniczne znajdują oni łatwo zajęcie w przemyśle, podczas gdy czysto teoretyczne wykształcenie łacińskie przygotowuje tylko do zajęcia nauczyciela czy urzędnika.

[10] Przytaczano jako przykład pewne fabryki niemieckie mające do osiemdziesięciu chemików, z których część zajmuje się tylko badaniami teoretycznymi (wykorzystywanymi następnie przez innych chemików, którzy starają się dla nich znaleźć zastosowanie w przemyśle). Niemieccy przemysłowcy są na bieżąco względem nowych odkryć i starają się je natychmiast udoskonalać. Kilka dni po ogłoszeniu o wynalazku telegrafu bez drutu, pewna firma w Berlinie skonstruowała kompletny aparat radiowy, nadający Morsem, a kosztujący 200 marek. Miałem ten instrument w rękach i stwierdziłem, że bardzo poważne trudności z regulacją nadajnika zostały pokonane w sposób godny podziwu.

próbki wszelkich towarów, których wygląd i naturę stale zlecają producentom modyfikować, stosownie do informacji otrzymywanych z nawet najbardziej oddalonych punktów globu.

Wyniki uzyskiwane przez te wszystkie stowarzyszenia są znaczne i szybkie. W raporcie za rok 1894 amerykański konsul Monagan daje jako przykład obroty osiągnięte w Bułgarii[11] przez sofijską filię jednego ze wspomnianych towarzystw. Zadawszy sobie trud wyprodukowania katalogu po bułgarsku, rozesłania 200 000 listów i ofert oraz wydania 100 000 franków na komiwojażerów, uzyskała ona już w pierwszym roku zamówienia na sumę 10 milionów, za jednym zamachem znacznie zmniejszając obroty wszystkich konkurentów.

Takich wyników nie uzyskuje się bez wysiłku, ale też Niemiec się przed wysiłkiem nigdy nie cofa. Inaczej niż przemysłowiec francuski, bada najstaranniej gusty, przyzwyczajenia, obyczaje, jednym słowem psychologię swoich klientów, zaś stowarzyszenia, o których mówiłem, corocznie publikują na ten temat dokumenty zawierające bardzo precyzyjne informacje. Delines pokazał, podsumowując raport profesora Yanjoula, z jaką dokładnością badacze niemieccy studiują psychologię ludów, z jakimi ich kupcy mają handlować. Przy Rosjanach na przykład opisano ich gusty, zaznaczono konieczność wypicia z nimi herbaty przed podjęciem jakiejkolwiek sprawy, a potem przebadano przedmioty, jakie można im sprzedać, przy najlepszych zaznaczając: „sprzedaż bardzo dobra". W książce *Export Handadressbuch*, którą mają pod ręką wszyscy kupcy niemieccy, znajdują się charakterystyczne wskazówki następującego rodzaju:

Chińczycy mają zwyczaj przygotowywać swoje pożywienie w naczyniach żelaznych o bardzo cienkich ściankach; ryż gotuje się szybko, ale garnek przepala się w krótkim czasie i trzeba go wymienić. Pewna firma angielska, żeby pokonać konkurencję, wysłała do Chin transport grubszych, trwalszych garnków żelaznych, które sprzedawała bardzo tanio. Chińczycy dali się z początku zwieść i żelazne garnki zostały błyskawicznie rozkupione. Sukces ten trwał krótko, gdyż sprzedaż ustała po kilku dniach. Przyczyna była logiczna: paliwo kosztuje w Chinach bardzo drogo, garnki angielskie były grubsze, ryż gotował się wolniej, a w rezultacie wypadały one dużo drożej niż dawne garnki żelazne, w których ryż był raz-dwa zagotowany. Chińczycy wrócili do dawnych sprzętów, oszczędniejszych w użyciu.

W takie szczegóły wchodzimy dlatego, żeby dobrze pokazać, jakie elementy składają się dzisiaj na sukcesy ludów. Rozważane z osobna wydają się drobne. O ich znaczeniu stanowi całość – a jest ono

[11] W oryginale omyłkowo „w Bośni" [*przypis tłumacza*].

ogromne. Nastawienie umysłowe, dzięki któremu Niemiec z powagą zajmuje się sposobem gotowania ryżu przez Chińczyka, musi się wydać godne pogardy w cywilizacji łacińskiej, zajętej ważnymi kwestiami, jak zmiana konstytucji, oddzielenie Kościoła od państwa, użyteczność nauczania greki itd. Trzeba jednak ją przekonać, że jej rola w świecie wkrótce się skończy i z historii zniknie, jeżeli nie zgodzi się porzucić bezużytecznych dyskusji teoretycznych, próżnej i sentymentalnej frazeologii, żeby się zająć kwestiami praktycznymi, na których opiera się dzisiaj życie ludzi. Żaden rząd nie może im dać, czego im brakuje. W sobie, a nie poza sobą muszą szukać oparcia.

Czy można sądzić, że zastosowanie doktryn socjalistycznych pomogłoby na stan rzeczy, który zasygnalizowaliśmy w tym rozdziale? Czy w społeczeństwie socjalistycznym, jeszcze bardziej niż nasze zaszeregowanym, rozwinie się duch inicjatywy i energii, tak dziś potrzebnej i tak brakującej ludom łacińskim? Gdy kolektywistyczne państwo będzie wszystkim kierować, wszystko fabrykować – czy produkty będą lepsze i mniej kosztowne, ich eksport łatwiejszy, zagraniczna konkurencja mniej groźna? By w to uwierzyć, trzeba by być doprawdy zupełnym ignorantem co do ogólnych praw przemysłu i handlu. Właśnie dlatego wśród ludów łacińskich panuje tak głęboki upadek, bo jest w znaczym stopniu przeciwnie: socjalizm państwowy dawno już poczynił wśród nich postępy, nie są więc zdolne przedsięwziąć czegokolwiek bez stałego poparcia państwa. Żeby pogłębić ten upadek, wystarczy poszerzyć socjalistyczne podboje.

Rozdział 4
Prawidłowości ekonomiczne a wzrost ludnościowy

§ 1. Obecny wzrost ludnościowy w różnych krajach i jego przyczyny

Zjawiska społeczne jawią się zawsze na dwa sposoby: wydają się bardzo proste, będąc w rzeczywistości skrajnie skomplikowane. Środki zaradcze na nasze dolegliwości bywają pozornie oczywiste, ale gdy się je próbuje zastosować, odkrywa się natychmiast, że niewidzialne prawidłowości, które nas wiążą, bardzo ograniczają sferę naszego działania. Życie zbiorowe ludu jest tkaniną splecioną z niezliczonych oczek; nie można ruszyć jednego z nich tak, by skutek działania nie odbił się na wszystkich innych.

Jedynie rozpatrując z osobna każdy z małych problemów, składających się na wielki problem społeczny, widzi się jego niesłychaną złożoność – jak i utopijność środków zaradczych, jakie codziennie i bez przerwy proponują naiwni.

Nowe dowody tej złożoności problemów społecznych znajdziemy przy badaniu kwestii najściślej związanych z postępami socjalizmu. Mówię o związkach zachodzących między rozwojem ludnościowym a prawidłowościami ekonomicznymi, których nasilanie się widzimy codziennie.

W ostatnich rozdziałach starałem się uwypuklić dwa punkty podstawowe: pierwszy, że techniczna i ekonomiczna ewolucja świata przybrała charakter całkiem różny niż w ubiegłych wiekach, i drugi, że ludy mające pewne swoiste zdolności, niegdyś mało użyteczne, mogą wznieść się na wyższy poziom, gdy owe uzdolnienia stają się możliwe do zastosowania.

Ewolucja techniczna i ekonomiczna świata, której jutrzenkę dostrzegamy, zbiega się z rozmaitymi okolicznościami, które u większości ludów sprowokowały szybki wzrost ich liczebności.

Czy w obliczu obecnych prawidłowości ekonomicznych możemy powiedzieć, że ten wzrost przynosi korzyści, czy kłopoty? Stwierdzimy, że odpowiedź musi się zmieniać stosownie do stanu ludów, u których owo zjawisko wystąpiło.

Kiedy kraj posiada znaczne i słabo zaludnione terytorium, jak Stany Zjednoczone i Rosja, albo jak Anglia dzięki koloniom, wzrost ludnościowy przynosi, przynajmniej przez czas pewien, oczywiste korzyści. Czy tak samo jest w wypadku krajów wystarczająco zaludnionych, posiadających mało kolonii, nie mających żadnego powodu do posyłania do nich mieszkańców wysoce uzdolnionych do rolnictwa, a bardzo mało do przemysłu i handlu zagranicznego? Sądzę, że nie, wydaje mi się, że raczej przeciwnie, kraj taki postąpiłby rozsądnie nie próbując powiększać swej ludności. Biorąc pod uwagę opisaną poprzednio ewolucję ekonomiczną, takie powstrzymanie się jest jedynym sposobem uniknięcia ponurej nędzy, jakim te kraje dysponują.

Jak wiadomo, opinia statystyków jest inna. Stwierdziwszy, że ludność większości krajów Europy powiększa się bardzo szybko, podczas gdy we Francji pozostaje prawie na tym samym poziomie; zaobserwowawszy, że mieliśmy w 1800 roku 33 urodzenia na 1000 mieszkańców, 27 w 1840, 25 w 1880 i 22 w 1895, nie przestają napełniać gazet i towarzystw naukowych swoim biadaniem. Państwo – zawsze państwo – powinno według nich pospiesznie interweniować. Nie ma skrajnych środków (podatek od kawalerów, premie dla ojców licznych rodzin itd.), których by nie proponowali, żeby zapobiec temu, co uważają za katastrofę, a co ja uważam, biorąc pod uwagę sytuację naszego kraju, za dobrodziejstwo, a przynajmniej za konieczność wynikającą z przyczyn, wobec których wszelkie proponowane środki są jawnie dziecinne i nieskuteczne.

Wszyscy ci poczciwi statystycy wydają się wierzyć, że liczba dzieci w rodzinach może być ustalona przez fantazję prawodawcy. Nie wydają się domyślać, iż rodziny wychowują tyle dzieci, ile mogą, i mają bardzo poważne powody, by nie chować ich więcej.

Jedyna zresztą niedogodność, jaką statystycy mogli odkryć w braku wzrostu naszej ludności, polega na tym, że Niemcy, mając dużo dzieci, będą wkrótce mieli z tego powodu więcej poborowych i będą mogli nas łatwo najechać. Nawet pomijając to, iż ten punkt widzenia jest wysoce jednostronny, można powiedzieć, że niebezpieczeństwo, które ponoć wisi nad naszymi głowami, jest dość niewielkie. Niemcy zagrażają nam dużo bardziej swoim przemysłem i handlem niż swymi armatami; nie należy też zapominać, że w dniu, w którym będą dość liczni, by z powodzeniem spróbować zbrojnej inwazji na nas, będą zagrożeni przez inwazję 130 milionów Rosjan, których mają za plecami – jako że statystycy zakładają hipotezę, iż ludy liczniejsze koniecznie muszą najeżdżać mniej liczne.

Jest bardzo prawdopodobne, że gdy Niemcy będą mogli zgromadzić zastępy zdolne najechać Francuzów, naród, którego uzdolnień wojen-

nych historia nie pozwala przeoczyć, Europa wróci do złudzenia, że siła armii mierzy się ich liczebnością. Jednak doświadczenie dowiedzie, zgodnie z trafnymi przewidywaniami niemieckiego generała von Golza, że hordy na pół zdyscyplinowanych żołnierzy bez prawdziwej wiedzy wojskowej i zdolności do oporu, z których składają się armie obecne, będą szybko zniszczone przez małą armię wojowniczych żołnierzy zawodowych – jak niegdyś miliony Kserksesa i Dariusza zostały rozbite przez garstkę zdyscyplinowanych Greków, przywykłych do ćwiczeń i trudów.

Kiedy bada się przyczyny stopniowego zmniejszania się naszej ludności, widać z jednej strony, że – jak prawie zawsze w ciągu wieków – jest ona następstwem rozwoju zmysłu przewidywania wynikłego z wygody. Ci co coś posiadają, myślą o zachowaniu majątku i zapewnieniu środków utrzymania swoim potomkom, których liczbę świadomie ograniczają.

Do tej decydującej przyczyny, której skutki były obserwowane we wszystkich epokach, a zwłaszcza w apogeum cywilizacji rzymskiej, dochodzą swoiste przyczyny dzisiejsze, a głównie ewolucja przemysłu, która, udoskonalając maszyny, zmniejsza liczbę potrzebnych ramion, oraz brak zmysłu kolonizacyjnego, który ogranicza rozmiary naszych rynków zbytu i przeciąża nas wewnętrznie nadmiarem ludności.

Te przesłanki są właściwe nie tylko Francji, obserwuje się je także w krajach zamieszkałych przez rozmaite inne rasy. Stany Zjednoczone mogą być z pewnością zaliczone do krajów prosperujących najlepiej, a tymczasem statystycy musieli nie bez zdziwienia stwierdzić tam takie samo spowolnienie wzrostu ludnościowego, co we Francji. Ich obecna stopa urodzeń wynosi 26 promili, to znaczy trochę tylko więcej, niż nasza. W 10 stanach jest nawet niższa, waha się od 16 do 22 promili. W tym kraju nie można się powoływać na wpływ obowiązkowej służby wojskowej, która tam nie istnieje, ani alkoholu, którego sprzedaż jest zakazana, ani przepisów prawnych, gdyż istnieje tam pełna wolność testamentów, co oznacza, że ojciec nie musi ograniczać liczby dzieci, żeby uniknąć dzielenia majątku. Analogiczny spadek stopy urodzeń stwierdza się też w Australii, gdzie spadła ona z 40 promili dwadzieścia lat temu do 30 obecnie.

Wszystkie te fakty stanowczo dowodzą słabości argumentów statystyków na temat tego, co nazywają grożącym nam wyludnieniem. Takież spowolnienie wzrostu ludności obserwuje się prawie wszędzie, nawet tam, gdzie wzrost w pewnym momencie był najznaczniejszy. W Niemczech stopa urodzin, wynosząca 45 promili w 1875 spadła do 36 dwadzieścia lat później. W Anglii spadła z 36 na 29 w tym samym okresie. Spadek jest tam większy niż we Francji, gdyż w tymże czasie

stopa urodzin spadła w niej tylko z 25 na 22. Oba kraje tracą więc stopniowo swą przewagę nad nami i jest nader prawdopodobne, że stracą ją do reszty.

§ 2. Skutki wzrostu względnie spadku liczby ludności

Z powyższego wynika, że ograniczenie wzrostu ludnościowego przejawia się wszędzie, zaś nasi rywale będą nam zagrażali nie dzięki liczebności. Przyjmijmy jednak, że nie stracą oni obecnej przewagi i sprawdźmy, czy wzrost liczby ich ludności może stanowić dla nas poważne niebezpieczeństwo.

Wydawać się może doprawdy, gdy słucha się ubolewań statystyków, słusznie określonych przez *L'Economiste français* mianem „oszołomionych jakobinów", jako że ich umysły rzeczywiście wydają się szczególnie ograniczone, iż o wyższości ludów stanowi liczebność. Otóż najbardziej pobieżny rzut oka na historię, na przykład Egipcjan, Greków, Rzymian itd. wskazuje, że liczebność odgrywała w całej starożytności niewielką rolę. Czy trzeba przypominać, że ze 100 000 ludzi wyćwiczonych Grecy zwyciężyli miliony Kserksesa, że Rzymianie nie mieli nigdy więcej niż 400 000 żołnierzy rozsianych po imperium, które od oceanu po Eufrat miało półtora tysiąca mil długości na pięćset szerokości?

A i bez sięgania do tych dawnych czasów, czy możemy przyjąć, że liczebność gra w czasach współczesnych rolę większą niż w starożytności? Nic nie upoważnia do takiego poglądu. Nawet pomijając Chińczyków, którzy mimo 400 milionów ludzi wydają się wojskowo dość niegroźni, czyż nie wiadomo, że Anglikom wystarczy armia 65 000 ludzi do utrzymania pod jarzmem 250 milionów Hindusów, zaś Holandii armia wiele mniejsza do panowania nad 40 milionami poddanych azjatyckich? Czy Niemcy czują się poważnie zagrożone przez stojące u ich drzwi ogromne imperium cywilizowane, którego ludność jest trzykrotnie większa niż ich?

Zostawmy więc te dziecinne lęki i przypomnijmy sobie, że naprawdę zagrażają nam możliwości przemysłowe i handlowe naszych konkurentów, a nie ich liczba. Trzy rzeczywiste źródła potęgi kraju to rolnictwo, przemysł i handel, a nie armia.

Na szczęście nie należy sądzić, że wszystkie narzekania statystyków przyniosły wzrost liczby mieszkańców naszego kraju o choćby jedną osobę. Pogratulujmy sobie zupełnej bezowocności ich przemów. Przypuśćmy, że rozgniewany Bóg chciałby spuścić na Francję najgorszą klęskę. Jaką mógłby wybrać? Cholerę, zarazę, wojnę? Z pewnością nie,

bo są to nieszczęścia przejściowe. Wystarczyłoby mu podwoić liczbę naszej ludności. Biorąc pod uwagę obecną sytuację ekonomiczną w świecie oraz psychologiczne dyspozycje i potrzeby Francuzów, byłaby do katastrofa nie do przezwyciężenia. W krótkim czasie bylibyśmy świadkami krwawych rewolucji i beznadziejnej nędzy, pewnego zwycięstwa socjalizmu, a potem stałych wojen i najazdów.

Dlaczego jednak w innych krajach, jak Anglia i Niemcy, nadmiar ludności nie powoduje takich niedogodności? Po prostu dlatego, że kraje te mają kolonie, do których przelewa się nadmiar ich ludności; jak również dlatego, że emigracja, tak wstrętna Francuzom, jest tam uważana za rzecz nader pożądaną, nawet jeśli nie stanowi naglącej konieczności.

Chęć emigracji i jej możliwość pozwalają ludom znacznie zwiększyć liczbę ludności. Najpierw będąc skutkiem nadmiaru ludności, tendencja do emigracji staje się z kolei przyczyną i powoduje zwiększenie tego nadmiaru. Sławny podróżnik Stanley bardzo dobrze uwypuklił ten punkt w liście opublikowanym w gazecie w odpowiedzi na pytanie mu zadane. Zauważył, że emigracja zaczyna się, gdy ludność przekracza pewną gęstość zaludnienia. Wielka Brytania miała w 1801 roku 130 mieszkańców na milę kwadratową [= 2,57 km kwadratowego]; gdy doszła do 224 mieszkańców na milę kwadratową, to jest w 1841 roku, zaczął się prąd emigracji, który się szybko wzmocnił. Kiedy ludność Niemiec doszła do tej samej liczby 224 na milę kwadratową, one z kolei zaczęły szukać kolonii.[1] Włochy mogły czekać dłużej z powodu skrajnej wstrzemięźliwości swoich mieszkańców, ale gdy ich ludność w końcu osiągnęła 253 mieszkańców na milę kwadratową, musiały ulec ogólnemu prawu i znaleźć sobie miejsce na zewnątrz. Ta próba, tak trudna dla ludów łacińskich, wcale się im nie powiodła, kosztowała ona bezużytecznie dwieście milionów w Afryce, przynosząc upokarzające klęski. Jednakże wobec groźby ruiny, do której zresztą zmierza wielkimi krokami, muszą znowu rozpocząć swe usiłowania.[2] Prawdziwym zagrożeniem dla Włoch, które je wystawia na rewolucję socjalistyczną, jest przeludnienie. Jak wszędzie, nędza była zbyt płodna.[3]

---

[1] Podaję liczby w miarach angielskich, według Stanleya. Oto obecna ludność różnych krajów europejskich na kilometr kwadratowy (według *Annuaire du Bureau des longitudes* za 1898): Anglia 117, Włochy 110, Niemcy 99; Francja 73, Hiszpania 36.

[2] Autor przeocza znaczną emigrację z Niemiec i Włoch do USA, a także do Ameryki Południowej, choć zgadza się ona z jego tezami [*przypis tłumacza*].

[3] Nędza jest zawsze płodna, gdyż nie jest przewidująca. Czy naprawdę można mieć wysokie zdanie o moralności osób, które płodzą więcej dzieci, niż mogą wyżywić, i mieć dla nich znaczną sympatię? Nie sądzę, zgodziłbym się raczej z opinią Johna Stuarta Milla, który powiedział: *Nie można mieć nadziei, że moralność posunie się naprzód, póki nie patrzy się na liczne rodziny z tą samą pogardą, jak na pijaństwo czy inne ekscesy cielesne.* Ta uwaga nie dotyczy naturalnie tych, którzy wiedzą, że są w stanie wychować dzieci, jakie wydają na świat.

Francja, dużo słabiej zaludniona, nie potrzebuje emigracji, zauważa Stanley, i niepotrzebnie zużywa siłę żywą, swoich młodych ludzi, w Tonkinie, na Madagaskarze, w Dahomeju – dokąd emigrują tylko utrzymywani dużym kosztem urzędnicy – gdy ma u drzwi Algierię i Tunezję, których nie potrafi zaludnić. Te kraje mają bowiem tylko 25 mieszkańców na milę kwadratową, z których tylko nikła część jest Francuzami.

Stanley ma zupełną rację i trafnie wskazał istotę problemu. Jego wnioski są analogiczne do tych, jakie wysunął wcześniej jego rodak Malthus. Wykazał on jasno, że istnieje ścisły związek między ludnością kraju a jej środkami utrzymania, a gdy równowaga jest zachwiana, głód, wojna i epidemie wszelkiego rodzaju spadają na lud zbyt liczny i powodują śmiertelność, która szybko przywraca równowagę.

Anglicy mogli sprawdzić słuszność tego prawa. Gdy po licznych wojnach, zabójczych dla pokonanych, zakończyli podbój wielkiego imperium indyjskiego i poddali 250 milionów ludzi swojemu prawu, uniemożliwili też walki między różnymi władcami i zaprowadzili na półwyspie pokój. Rezultaty były szybkie. Ludność wzrosła w znacznym stopniu – o 33 miliony od 1881 do 1891 – i wkrótce stała się zbyt liczna w stosunku do środków utrzymania. Nie mogąc się ograniczyć przez wojny, skoro są one zakazane, dąży do ograniczenia się zgodnie ze starym prawem Malthusa poprzez okresowe klęski głodu, w wyniku których umierają miliony ludzi, oraz przez prawie równie katastrofalne epidemie. Anglicy, którzy nic nie mogą poradzić wobec naturalnych praw, filozoficznie patrzą na te hekatomby, z których każda uśmierca tyle ludzi, co całe wojny napoleońskie.

Ponieważ chodzi o Wschód, Europa pozostaje wobec tego widoku obojętna. Zasługuje on jednak na uwagę, przynajmniej jako przykład, zanim nie dostarczą go Włochy. Statystycy mogliby wyciągnąć stąd wniosek, że mylą się zupełnie, wróżąc rozmnożenie się pewnych ludów, i że popchnęliby je na drogę wiodącą do katastrofy, gdyby ich słowa powodowały oczekiwane skutki.

Czy możemy przypuszczać, że wraz z przyszłą ewolucją ekonomiczną, którą opisywałem, ludy zbyt liczne osiągną w przyszłości korzyści z nadmiaru ludności, na które obecnie nie mogłyby liczyć? Przeciwnie, jest widoczne, że ten nadmiar byłby dla nich całkiem zgubny i że szczęśliwszy los jest w przyszłości zarezerwowany dla krajów mniej zaludnionych, to znaczy tych, których ludność nie przekracza liczby, którą wyżywić może sam ten kraj. W rozdziale poświęconym walce ekonomicznej między Wschodem a Zachodem stwierdziliśmy, że na skutek zbytniego rozwoju ludności większość krajów Europy nie może już wyprodukować dosyć, by wyżywić swoich mieszkańców, i zmuszo-

ne są pokrywać na Wschodzie swój ogromny deficyt żywnościowy. Za te produkty żywnościowe płaciły dotąd towarami wyprodukowanymi dla Wschodu, ale skoro Wschód doszedł do wytwarzania tych samych towarów po koszcie dziesięciokrotnie mniejszym niż w Europie, handel między Wschodem a Zachodem codziennie zmierza do ograniczenia się.

Ludy żyjące tylko z handlu i przemysłu, a nie z rolnictwa, będą w przyszłości najbardziej zagrożone. Te, które – jak Francja – są rolnicze, produkują prawie tyle, ile potrzeba do wyżywienia ich mieszkańców i mogą w ostateczności obyć się bez handlu zagranicznego, będą w sytuacji nieporównywalnie lepszej i dużo mniej ucierpią w coraz bardziej grożącym Europie kryzysie, który przyspieszy zwycięstwo socjalizmu.

Księga V
KONFLIKT MIĘDZY PRAWAMI EWOLUCJI, IDEAMI DEMOKRATYCZNYMI I DĄŻENIAMI SOCJALISTYCZNYMI

Rozdział 1
Prawa ewolucji, idee demokratyczne i dążenia socjalistyczne

§ 1. Relacje między jednostkami a ich środowiskiem

Przyrodnicy dowiedli dawno temu, że byt wszystkich istot jest ściśle uwarunkowany przez środowisko, w którym żyją, i że wystarczy bardzo mała modyfikacja środowiska, o ile tylko potrwa dłużej, by zupełnie przekształcić jego mieszkańców.

Ten proces przekształcania się jest dziś doskonale znany. Rozwój embrionów, który powtarza ewolucję przodków,[1] pokazuje nam głębokie zmiany doświadczone podczas kolejnych epok geologicznych.

Żeby te przekształcenia się dokonały nie jest konieczne, by zmiany w środowisku były bardzo duże, powinny być po prostu długotrwałe. Zmiana zbyt duża lub zbyt szybka spowodowałaby śmierć, a nie zmianę. Obniżenie lub podwyższenie temperatury o kilka stopni, trwające przez kilka pokoleń, wystarczy do zupełnego przekształcenia fauny i flory kraju drogą powolnych adaptacji.

W niedawnej pracy Quinton podaje ciekawy przykład zmian spowodowanych przez zwykłe zmiany temperatury:

W obliczu ochłodzenia się globu – powiada ten autor – *złożone organizmy starają się sztucznie podtrzymać w swoich tkankach pierwotną*

[1] Pogląd ten okazał się błędny, choć długo jeszcze pokutował w podręcznikach [*przypis tłumacza*].

wysoką temperaturę zewnętrzną. Znaczenie tych tendencji jest zasadnicze. Wiadomo, że determinuje ona u kręgowców ewolucję narządów służących rozmnażaniu, a równolegle układu kostnego. Pociąga za sobą również modyfikację wszystkich innych narządów, a w konsekwencji samą ewolucję.

Jawi się to z siłą prostego wniosku a priori. Wyobraźmy sobie anatomicznie schematyczny typ pierwotny. Zachodzi oziębienie globu: życie dąży do podtrzymania swojej pierwotnej temperatury. To podtrzymanie może być uzyskane drogą produkcji ciepła w tkankach, to znaczy poprzez spalanie. Spalanie wymaga materiału do spalania oraz tlenu; tak określony jest, żeby tę potrzebę zaspokoił, układ trawienny i oddechowy. Potrzeba doprowadzenia do tkanek tego materiału i tlenu pociąga za sobą ewolucję układu krążenia. Z rozwoju tych trzech układów, do których dochodzą narządy rozrodcze, wynika logicznie postęp układu nerwowego. Następnie, produkcja ciepła to dopiero pierwszy punkt, trzeba je zachować: oto nakaz ewolucji okrywy skórnej. Jednakże oziębienie globu postępuje, rośnie termiczny rozziew, jaki trzeba utrzymać między dwoma środowiskami, zwierzęciem i otoczeniem. A zatem jest potrzebne jeszcze żywsze spalanie i doskonalsza organizacja. Widać więc, w jaki sposób wobec oziębienia się globu naturalna dążność życia do utrzymania warunków pierwotnych w oparciu o reakcje chemiczne bezustannie określa ewolucję wszystkich narządów organizmu i im narzuca a priori stałe doskonalenie się z upływem czasu. Żeby potwierdzić ten pogląd teoretyczny, wystarczy umieścić różne grupy zwierząt w porządku ich pojawiania się na Ziemi, a następnie obserwować, w tym porządku, efektywny postęp narządów ich organizmów.

Co prawdziwe jest dla środowisk fizycznych, prawdziwe jest też dla środowisk moralnych, a mianowicie społecznych. Istoty żywe dążą zawsze do dostosowania się do nich; jednakowoż z powodu siły dziedziczenia, która walczy z tendencją do zmiany, dostosowują się do nich powoli. Dlatego gatunki rozpatrywane w krótkich odcinkach czasów historycznych wydają się niezmienne. Są takie tylko pozornie, jak jednostka, na którą się patrzy tylko przez chwilkę. Powolna przemiana, która prowadzi od młodości po zgrzybiałość i śmierć, nie ustaje w tym momencie. Dokonuje się, choć jej nie zobaczyliśmy.

Wszystkie istoty są więc uwarunkowane przez swoje środowiska fizyczne lub moralne. Jeśli znajdują się w środowiskach zmieniających się wolno – a tak jest z kontynentami i klimatami, jak również z cywilizacjami – mają czas na przystosowanie się. Jeśli jakaś szczególna okoliczność nagle zmieni środowisko, adaptacja jest niemożliwa i istota jest skazana na zniknięcie. Jeśli na skutek wstrząsu geologicznego we Francji zapanowałaby temperatura bieguna lub równika, kraj

ten po dwóch czy trzech pokoleniach utraciłby większość mieszkańców, zaś jego cywilizacja nie mogłaby przetrwać w stanie obecnym.

Geologia nie zna jednak takich nagłych katastrof i wiemy dzisiaj, że większość przemian zaszłych na powierzchni Ziemi dokonała się bardzo powoli. Tak też dotąd było ze środowiskami społecznymi. Oprócz przypadków zniszczenia przez podbój, cywilizacje zawsze zmieniały się stopniowo. Wiele instytucji upadło, wielu bogów pokryło się kurzem, ale zastąpiono je innymi dopiero po długim okresie starości. Wielkie imperia upadały, ale po długim okresie rozkładu, którego społeczeństwa tak jak i jednostki nie mogą uniknąć. Potęga Rzymu w końcu zniknęła na skutek inwazji barbarzyńców; jednakże dopiero stopniowo, po wielu wiekach rozpadu ustąpiła im w końcu miejsca. Swiat starożytny przeszedł w nowoczesny poprzez szereg nieodczuwalnych zmian, przeciwnie niż to przedstawia większość książek.

Współczesne odkrycia naukowe i techniczne, zjawisko dotąd nieznane w dziejach świata, w ciągu niecałego wieku spowodowały głębsze zmiany w warunkach życia, niż te, jakie historia zarejestrowała od czasów, gdy nad brzegami Nilu i na równinach Chaldei człowiek zasiewał ziarna pierwszych cywilizacji. Stare społeczeństwa, oparte na podstawach, które mogły uważać za wiecznotrwałe, dostrzegły naruszenie tych podstaw. Srodowisko zmieniło się zbyt szybko, by człowiek miał czas na dostosowanie się, a stąd wynika zamęt w umysłach, dotkliwy niepokój, ogólna sprzeczność między uczuciami określonymi przez dziedziczenie a warunkami życia i myślenia stworzonymi przez nowe konieczności. Wszędzie wybuchają konflikty między ideami starymi a nowymi, dziećmi nowych potrzeb.

Nie wiemy jeszcze, co wyniknie z tych wszystkich konfliktów, możemy tylko stwierdzić ich istnienie. Badając poniżej te, które wiążą się z kwestiami stanowiącymi przedmiot tej książki, stwierdzimy, jak głęboko sięgają niektóre z nich.

§ 2. Konflikt między naturalnymi prawami ewolucji a koncepcjami demokratycznymi

Wśród konfliktów, jakie szykuje nam nadchodząca epoka, a których narodzin już jesteśmy świadkami, jednym z najwyraźniejszych będzie zapewne rosnąca sprzeczność między teoretycznymi koncepcjami świata dawniej stworzonymi przez naszą wyobraźnię, a rzeczywistością, którą nauka w końcu wydobyła.

Oczywista sprzeczność istnieje nie tylko między koncepcjami religijnymi, na których nasza cywilizacja jest nadal oparta, a koncepcjami

naukowymi wynikłymi ze współczesnych odkryć.[2] Ta dawna rozbieżność już nie razi, czas stępił jej kanty. Antagonizm rodzi się między nowymi poglądami naukowymi a koncepcjami politycznymi, na których ludy współczesne opierają swoje instytucje.

Gdy ludzie rewolucji francuskiej, wiedzeni przez marzenia filozofów, doprowadzili do zwycięstwa idei humanizmu i wypisali na frontonach budynków słowa „Wolność, Równość, Braterstwo", które podsumowywały ich marzenia, nauka nowoczesna jeszcze się nie narodziła. Mogli więc powoływać się bez ryzyka sprzeczności na stan naturalny, na pierwotną dobroć człowieka i jego zepsucie przez społeczeństwo, działając tak, jak gdyby społeczeństwa były tworami sztucznymi, które prawodawcy mogą dowolnie przebudowywać.

Nauka nowoczesna, zjawiwszy się na scenie, ujawniła jednak próżność takich koncepcji. Silnie podważyła je przede wszystkim teoria ewolucji, pokazująca wszędzie nieustanną walkę kończącą się zawsze zmiażdżeniem słabszego; prawo to z pewnością jest krwawe, ale rodzi wszelki postęp, bez niego ludzkość nigdy by nie wyszła z prymitywnego barbarzyństwa i nie zrodziłaby żadnej cywilizacji.

To że zasady naukowe mogły się wydać demokratyczne i że demokracjom udało się zaakceptować je nie dostrzegając, jak dalece są z nimi sprzeczne,[3] należy do zjawisk, które zrozumieć mogą tylko myśliciele, którzy przestudiowawszy historię religii wiedzą, jak łatwo wierzący wyciągają ze świętych tekstów wnioski z tym tekstem sprzeczne i najbardziej nieprawdopodobne. Nic bowiem nie jest bardziej arystokratycznego, niż prawa natury. *Arystokracja, można by słusznie powiedzieć, jest prawem społeczeństw ludzkich, bo jest ona, pod nazwą selekcji, prawem gatunków.* Dla pogodzenia nowych danych naukowych z naszymi złudzeniami demokratycznymi jesteśmy zmuszeni zadać sobie tyle trudu, ile zadali sobie niegdyś teologowie dla pogodzenia Biblii z odkryciami geologicznymi.[4] Trwa jeszcze szarpanina dla zamas-

---

[2] Autor wraca raz jeszcze do naiwnego wyznania wiary w naukę pojmowaną w duchu oświeceniowym, ale na dalszy wywód to nie wpływa [*przypis tłumacza*].

[3] Sprzeczność między ideami demokratycznymi a nauką zaczyna już jednak wnikać do podręczników pisanych przez profesorów uniwersyteckich. Oto jak wyraża się jeden z najbardziej znanych popularyzatorów, Lavisse: *Filozofowie ubiegłego wieku uczynili modnym poczucie braterstwa ludzkości; dziś najbardziej rozpowszechniona z filozofii, przenikająca naukę, uczy o konieczności walki o przeżycie, o słuszności selekcji, której dokonuje śmierć, i o braku uzasadnienia dla słabości.*

[4] Porównanie oczywiście chybione, gdyż poza sektami bądź osobami niekompetentnymi chrześcijanie uważają od dawna, ze Biblia na tematy przyrodnicze wcale się nie wypowiada. Przeciwnie nawet, doszukiwanie się w pierwszym rozdziale Księgi Rodzaju wykładu o epokach geologicznych (tzw. konkordyzm) zostało wprost odrzucone przez Kościół katolicki jeszcze w wieku XIX. Sprzeczność z nauką widzieli raczej naukowcy powierz-

kowania rozbieżności, skoro jednak codziennie się one nasilają, wkrótce ukażą się oczom wszystkich.

Choć bardzo realny, konflikt ten bynajmniej nie jest tak poważny, jak by się zdawało. Sądzę wręcz, że nie miał nigdy znaczenia praktycznego i nie wykroczył poza teren dyskusji filozoficznych. Sprzeczność jest prawdę mówiąc czysto teoretyczna. Nie leży w sferze faktów – jakże zresztą byłoby to możliwe, skoro fakty są następstwem silniejszych niż nasza wola praw naturalnych, których działania tym samym nie możemy uniknąć?

Stwierdzimy to badając, co jest rzeczywistą treścią demokracji. Jeśli wbrew pozorom sprzyja ona wszelkiego rodzaju wyższości, włącznie z wyższością urodzenia, są one w rzeczywistości równie arystokratyczne, to znaczy równie sprzyjające dla elit, jak dawniejsze formy rządu. Tym samym nie istnieje ich sprzeczność z prawami ewolucji.

Przy tym dowodzie pomińmy słowa, jakimi definiuje się demokracje, a poszukajmy ich ducha. Znakomicie określa go następujący fragment, który zapożyczyłem od Bourgeta:

Jeśli staracie się zdefiniować sobie, czemu rzeczywiście odpowiadają te dwa terminy: arystokracja i demokracja, stwierdzicie, że ten pierwszy oznacza ogół zwyczajów, których celem jest wytworzenie małej liczby jednostek wyższych. Jest to zastosowanie maksymy humanum paucis vivit genus.[5] *Drugi, przeciwnie, oznacza ogół zwyczajów, które prowadzą do dobrobytu i kultury możliwie dużej liczby jednostek. Stąd najwyższym punktem społeczeństwa arystokratycznego, jego sprawdzianem, jest osobowość wyjątkowa – najwyższy wynik i suma tysięcy ludzkich losów podporządkowanych podtrzymaniu tego rzadkiego zjawiska; najwyższym punktem społeczeństwa demokratycznego jest wspólnota, w której radość i praca są podzielone do końca między wielu. Nie trzeba wielkiego zmysłu obserwacji, że świat współczesny, a zwłaszcza nasz świat francuski, kieruje się cały ku tej drugiej formie egzystencji. O nowości współczesnego społeczeństwa stanowi podstawienie zorganizowanej masy na miejsce indywidualnej inicjatywy, intronizacja tłumu i zniknięcie albo przynajmniej zmniejszenie władzy elit.*

Takie są z pewnością teoretyczne tendencje demokracji. Sprawdźmy, czy rzeczywistość im odpowiada.

Demokracje stawiają jako zasadę podstawową równość praw wszystkich ludzi i wolną konkurencję. Kto jednak może zwyciężyć w tej konkurencji, jeśli nie najzdolniejsi, to znaczy posiadający pewne umie-

---

chownie czytający Biblię i albo naciągający ją pod kątem swoich teorii naukowych, albo szukający pretekstu do ataków na religię [*przypis tłumacza*].

[5] „Nieliczny jest rodzaj ludzki".

jętności, mniej lub bardziej uwarunkowane dziedzicznie, oraz ci, którym sprzyja wykształcenie i majątek? Odrzucamy dziś prawa urodzenia i słusznie, bo nie należy ich dodatkowo powiększać przez dodawanie przywilejów społecznych. W praktyce jednak zachowują one cały swój wpływ, a nawet mają wpływ większy niż kiedyś, bo wolne współzawodnictwo, nakładając się na uzdolnienia umysłowe, tylko faworyzuje selekcję dziedziczną. Demokracja jest w rzeczywistości systemem, który stwarza najwięcej nierówności społecznych. Arystokracje tworzą ich dużo mniej, jedynie umacniając te, które istniały przedtem. Instytucje demokratyczne są korzystne przede wszystkim dla elit wszelkiego rodzaju, dlatego te elity muszą ich bronić i przedkładać je nad inne systemy.

Czy można twierdzić, iż demokracje nie powodują powstania kast analogicznych do starych kast arystokratycznych? Oto co mówi na ten temat Tarde:

Możemy być pewni, że w każdej demokracji takiej jak nasza istnieje trwająca lub rodząca się hierarchia społeczna, uznana wyższość płynąca z dziedziczenia lub z wyboru. Nietrudno dostrzec, kto zastąpił u nas dawną szlachtę. Najpierw hierarchia administracyjna poszerzyła się co do liczby urzędników, komplikując się i tworząc wiele szczebli. Tak samo hierarchia wojskowa, z racji przyczyn, które zmusiły państwa europejskie do powszechnego zbrojenia się. Potem prałaci i książęta krwi, mnisi i szlachcice, klasztory i zamki: ich obalenie przyniosło ogromne korzyści publicystom i finansistom, artystom i politykom; teatrom, bankom, ministerstwom, domom towarowym, wielkim koszarom i innym gmachom znajdującym się w obrębie murów tej samej stolicy. Wszystkie znakomitości tam się spotykają; a czymże są wszelkie formy popularności i sławy, z różnymi ich stopniami, jak nie hierarchią świetnych miejsc, zajętych lub wolnych, którymi swobodnie dysponuje (albo tak przynajmniej uważa) opinia publiczna? Ta arystokracja daleka jest od prostoty i skromności, wzbija ją w pychę sytuacja, ta estrada z oświetlonymi miejscami czy tronami staje się na skutek przekształceń demokratycznych coraz wspanialsza.

Należy więc uznać, że demokracje tworzą kasty całkiem jak arystokracje. Różnica polega na tym, że w demokracjach kasty nie wydają się zamknięte. Każdy może do nich wejść lub przynajmniej w to wierzy. Jak jednak wejść do nich, jeśli nie ma się pewnych uzdolnień umysłowych, które mogą być tylko wrodzone, i które czynią ich posiadaczy przygniatająco wyższymi niż rywale, którzy ich nie posiadają? Wynika stąd, że instytucje demokratyczne sprzyjają tylko elitom. Powinny więc one cieszyć się, że te instytucje tak się rozprzestrzeniają. Daleka jest jeszcze godzina, w której masy odwrócą się od nich. W końcu jednak

wybije z przyczyn, o których wkrótce powiemy. Przedtem jednak demokracje są wystawione na inne niebezpieczeństwa wynikłe z ich istoty, które trzeba wymienić najpierw.

Pierwsze niebezpieczeństwo polega na tym, że demokracje są bardzo kosztowne. Dawno temu Leon Say dowiódł, iż demokracja musi stać się najdroższym z systemów. Pewna gazeta bardzo trafnie przeprowadziła niedawno następujące rozumowanie:

Opinia słusznie się niegdyś oburzała na rozrzutność władzy monarszej, na dworzan, którzy pobudzali władcę do hojności spływającej na nich w postaci deszczu dobrodziejstw i pensji. Czy dworzanie zniknęli, odkąd lud został królem? Czyż raczej ich liczba nie wzrosła wraz z fantazjami nowego pana, któremu służą, nieodpowiedzialnego i mnogiego? Dworzanie nie są już w Wersalu czy dawnych salonach, które zajmował ich wyzłocony zastęp. Roi się od nich w naszych miastach i na wsi, w najskromniejszych stolicach dzielnicy czy gminy, wszędzie, gdzie głosowanie powszechne może decydować o mandacie czy przyznać kawałek władzy. Przynoszą ze sobą rujnującą rozrzutność, powstawanie zbędnych posad, nierozważne rozwijanie robót i służb publicznych, co pozwala zdobyć łatwą popularność przez zbyt wysoką licytację przedwyborczą. W parlamencie rozdają hojne obietnice, starając się dotować swoje okręgi kosztem równowagi budżetowej; jest to zwycięstwo ciasnego lokalnego współzawodnictwa nad interesem państwa, zwycięstwo powiatu nad Francją.

Wymagania wyborcy są często wyjątkowo przesadne, a jednak deputowany, który chce być wybrany ponownie, musi się z nimi liczyć. Zbyt często musi słuchać poleceń kupców winnych i sklepikarzy o słabym móżdżku, którzy są jego głównymi pomocnikami w wyborach. Wyborca żąda rzeczy niemożliwych, trzeba mu je przyrzec. Stąd pospieszne reformy, wprowadzane bez zastanowienia się nad ich skutkami. Każda partia, która chce dojść do władzy, wie, że może to uczynić tylko przelicytowując obietnice rywali.

Przy każdej partii powstaje nowa, która śledzi pierwszą, lży ją i donosi na nią. Kiedy władał Konwent, słychać było groźny pomruk Góry przeciw niemu; Góra ze swej strony obawiała się Komuny, zaś Komuna lękała się, że okaże się zbyt letnia przy Biskupstwie. Aż do samego dna demagogii prawo to rządzi i się potwierdza. Istnieje jednak na tej drodze do skrajności rejon podejrzany i mętny, w którym już nie widać jasno: tam przebywają najgwałtowniejsi, najczystsi, najkrwawsi – jak Fouche, Tallien, Barras – mogący być i dostawcami gilotyny, i pokojowcami Cezara. To także, to zatarcie granic partii, jest stałym prawem polityki. Mamy na ten temat rozstrzygające doświadczenia.

Groźba wynikła z takiej interwencji mas w rządy demokratyczne nie polega tylko na zbytnich wydatkach, które są jej następstwem, lecz

przede wszystkim na rozpowszechnieniu się tego popularnego złudzenia, że można zaradzić wszelkiemu złu poprzez ustawy. Tak oto parlamenty są skazane na płodzenie ogromnej ilości ustaw i regulacji, których następstw nikt nie przewiduje i które nakładają tysiące pęt na wolność obywatela, jeszcze powiększając zło, któremu miały zaradzić. *Instytucje państwowe* – pisze ekonomista włoski Luzzati – *nie mogą zmienić cech naszej nędznej ludzkiej natury, ani tchnąć w dusze brakujących im cnót, ani podnieść płac pozwalając na odkładanie z nich dużych oszczędności, gdyż zależymy od powszechnej i nieuniknionej sytuacji gospodarki narodowej.*

Filozofom to stwierdzenie wyda się zbyt proste, ale ma ono szansę na zrozumienie przez opinię publiczną dopiero po setkach lat wojen, wydaniu miliardów i krwawych rewolucjach. Skądinąd zresztą przyjęcie przez świat większości elementarnych prawd wymagało takiej ceny.

Następstwem instytucji demokratycznych jest jeszcze wielka niestabilność ministerialna, ale ma ona również zalety, które niekiedy równoważą wady. Składa ona realną władzę w ręce administracji, której potrzebuje każdy minister, nie mając jednak czasu zmieniać jej dawnej organizacji i tradycji, źródeł jej siły. Ponadto każdy minister, wiedząc, że jego urzędowanie będzie przejściowe i pragnąc zostawić po sobie jakiś ślad, otwarty bywa na propozycje liberalne. Bez częstej zmiany ministrów wiele naukowych przedsięwzięć nie doszłoby we Francji do skutku.

Należy też dorzucić, że łatwość zmiany rządu, która jest następstwem instytucji demokratycznych, czyni rewolucje bezużytecznymi, a tym samym bardzo rzadkimi. Ta korzyść w wypadku ludów łacińskich nie jest bynajmniej mała.

Najpoważniejszą wadą demokracji jest narastająca miernota ludzi, którzy w niej rządzą. Potrzebują oni tylko jednej istotnej zalety: umiejętności mówienia bez namysłu na każdy temat, znalezienia zadowalających lub przynajmniej głośnych argumentów, by odpowiedzieć przeciwnikom. Umysły wyższe, które wolą zastanowić się, zanim przemówią, choćby to byli Pascal czy Newton, słabo by wypadły w zgromadzeniach parlamentarnych. Konieczność mówienia bez namysłu eliminuje z parlamentów wielu ludzi o rzetelnej wartości i wyważonym sądzie.

Są z nich eliminowani jeszcze z innych przyczyn, a zwłaszcza z tej, że demokracje nie znoszą wyższości u tych, którzy nimi rządzą. W bezpośrednim kontakcie z masami wybrani mogą się im spodobać tylko wtedy, gdy schlebiają ich pasjom oraz mniej wzniosłym potrzebom, czyniąc im niemożliwe do spełnienia obietnice. Pod wpływem tego tak naturalnego instynktu, który skłania zawsze ludzi do szukania podob-

nych sobie, masy idą za umysłami skłonnymi do utopii lub miernymi, coraz częściej je wprowadzając do demokratycznych rządów.

Z natury rzeczy większość woli osoby prymitywne niż wykształcone – pisał niedawno *Revue politique et parlementaire – ulega raczej agitatorom i gadułom niż myślicielom i spokojnym, przez co trudno im być wysłuchanym i wybranym... Poziom obniża się więc prawie stale w zakresie problemów, jakie się pojawiają, motywów, które decydują, sprawach, jakie są podejmowane, osób, jakie są wyznaczane i motywów ich wyznaczenia. Mamy to przed oczyma, trzeba się ośmielić,*[6] *żeby nie spaść na poziom bardzo niski i bardzo nędzny. Dochodzimy do punktu, w którym dla pozyskania licznej masy wyborców nawet ludzie wykształceni i utalentowani uznają za najlepsze proponowanie jej na każdym kroku jako celu zabranie nagromadzonych majątków – i ledwo ktoś się ośmiela to ganić.*

Wada ta jest nieodłączna od każdej demokracji i nie wynika z cech rasy. Dowodzi tego, jak się wydaje, fakt, iż zjawisko stwierdzone we Francji daje się też stwierdzić w Stanach Zjednoczonych i to nawet w o wiele większym stopniu. Spadek poziomu intelektualnego i moralnego w specjalnej klasie nazywanej polityczną nasila się stale i na skalę niepokojącą z punktu widzenia przyszłości tej wielkiej republiki. Wiąże się to również z tym, że ludzie uzdolnieni zazwyczaj gardzili funkcjami politycznymi, które są sprawowane przez wszelkiego rodzaju ludzi zdeklasowanych. Nie jest to tak szkodliwe, jak byłoby w Europie, gdyż przy znikomej roli rządu wartość personelu politycznego jest mniej ważna.

Również w Ameryce obserwować można jedno z największych zagrożeń dla demokracji, a mianowicie sprzedajność. Nigdzie nie przybrała ona zasięgu takiego jak w Stanach Zjednoczonych. Korupcja pojawia się tam na wszystkich szczeblach władzy publicznej i nie ma wyborów, koncesji i przywilejów, których nie można by uzyskać za pieniądze. Według artykułu w *Contemporary Review* wybór na prezydenta kosztuje 200 milionów, wnoszonych przez amerykańską plutokrację. Zwycięskiej partii ta zaliczka zresztą zwraca się z zyskiem. Zaczyna się od zwolnienia wszystkich urzędników, a ich posady oddawane są zwolennikom nowej partii. Wielu działaczy, których nie dało się ulokować, otrzymuje renty pochodzące z funduszu rentowego wojny secesyjnej; fundusz ten stale rośnie, choć większość weteranów tej wojny dawno zmarła. Te renty wyborcze sięgają dziś sumy 800 milionów franków rocznie.

---

[6] Autor ten zapomniał nam powiedzieć, jak można się „ośmielić"; skoro nie przez ograniczenia, bo byłyby one zaprzeczeniem podstawowych zasad demokracji, jego propozycja jest całkiem utopijna.

Jeśli chodzi o przywódców partyjnych, ich apetyty są jeszcze większe. Zwłaszcza wielcy spekulanci, których rola w wyborach zawsze była dominująca, każą się hojnie wynagradzać. Przed dwudziestu laty po wyborach uzyskali postanowienie, że będą mogli wymienić w Skarbie srebro na złoto według dawnej relacji wartości. Oznacza to po prostu, że składając w Skarbie srebro kupione na wolnym rynku za 12 franków otrzymywali w zamian sztukę złota wartą 20 franków. To ustalenie było tak rujnujące dla państwa, że trzeba było wkrótce prezent robiony przez rząd paru uprzywilejowanym ograniczyć do 240 milionów rocznie. Gdy Skarb był prawie pusty, wykonywanie ustawy zostało zawieszone. Ten kolosalny rozbój przyniósł spekulantom takie majątki, że nawet nie starali się zbytnio protestować.[7]

Podnieśliśmy we Francji ogromny hałas z powodu Panamy; beznadziejna głupota pewnych sędziów przyczyniła się znakomicie do skompromitowania nas wobec zagranicy w związku z paroma banknotami tysiącfrankowymi przyjętymi przez pół tuzina deputowanych będących w potrzebie. Amerykanie nic z tego nie zrozumieli, bo u nich nie ma polityka, który by tego nie robił, z tą różnicą, że żaden z nich nie zadowoliłby się tak nieznacznym wynagrodzeniem. W porównaniu do Izb amerykańskich nasz parlament posiada cnoty Katona. Zasługa jest tym większa, że honoraria naszych prawodawców ledwie wystarczają na potrzeby wynikłe z ich funkcji. Zachęcając do przedsięwzięcia w Panamie, co im tak wyrzucano, posłuszni zresztą byli jednomyślnemu żądaniu swych wyborców. Budowa Kanału Sueskiego, który ze swego twórcy uczynił półboga, nie została przeprowadzona inaczej niż Panamskiego i nie mogła być inaczej przeprowadzona.[8] Sakiewek finansistów nie da się rozwiązać metodami rygorystycznie cnotliwymi.

Z punktu widzenia idei europejskich nie ma oczywiście żadnego usprawiedliwienia dla obyczajów politycznych w Stanach Zjednoczonych. Są one dla tego kraju kompromitujące. Skoro jednak Amerykanie bardzo dobrze je znoszą i nie uważają ich wcale za kompromitujące, muszą one odpowiadać jakiemuś swoistemu ideałowi, o którego zrozumienie musimy się postarać. W Europie upodobanie do bogactwa

[7] W dochodowej akcji, jaką przeprowadzili producenci srebra przeciwko skarbowi amerykańskiemu, to znaczy przeciwko interesom finansowym narodu, mieli oni za sojuszników producentów zboża i w ogóle wielkich farmerów z Zachodu. Przymusić przy współpracy państwa do przyjmowania zepsutego pieniądza w postaci srebra, nie oznacza nic innego jak przygotować sztuczną podwyżkę cen towarów.

[8] Chodzi o to, że po sukcesie Kanału Sueskiego, zbudowanego przez Lessepsa, podjął on budowę Panamskiego, która skończyła się bankructwem; później zbudowali go Amerykanie. Korupcję w ówczesnej Francji historycy oceniają jako dużo znaczniejszą, niż podaje Le Bon [*przypis tłumacza*].

jest co najmniej równie powszechne jak w Ameryce, ale zachowaliśmy dawne tradycje, które sprawiają, że kombinatorzy i nieuczciwi finansiści są wprawdzie podziwiani, gdy odniosą sukces, ale są zarazem pogardzani i uważani za rabusiów, którym się powiodło. Znosi się ich, ale nikomu nie przyjdzie do głowy porównać ich do uczonych, artystów, żołnierzy, marynarzy, to znaczy do osób wykonujących zawody wymagające pewnych wznioślejszych idei i uczuć, których większość spekulantów jest całkowicie pozbawiona.

W krajach takich jak Ameryka, bez tradycji, zajętych prawie wyłącznie handlem i przemysłem, gdzie panuje doskonała równość, gdzie nie ma żadnej hierarchii społecznej, skoro wszystkie ważne stanowiska, łącznie z sędziowskimi, są zajmowane przez osoby stale zmieniane i nie cieszące się zresztą większym szacunkiem niż byle sklepikarz, w takim kraju, powiadam, jedyna możliwa różnica to majątek. Wartość i siła jednostki, a w konsekwencji jej pozycja społeczna, mają z konieczności za jedyny miernik liczbę posiadanych dolarów. Pogoń za dolarami staje się wtedy jedynym ideałem, ku któremu się zmierza, a by go osiągnąć wszystkie sposoby są dobre. Ważność funkcji jest mierzona przynoszonym dochodem. Polityka jest uważana za zwykły zawód mający dać należyty zarobek temu, który go wykonuje. Choć takie koncepcje są oczywiście bardzo niebezpieczne i bardzo płaskie, publiczność amerykańska widocznie je przyjmuje, skoro bez oporów oddaje swe głosy na polityków znanych z chciwości.

Polityka traktowana jak interes wyjaśnia powstawanie związków do jego prowadzenia. Tylko tak możemy pojąć z początku niezrozumiałą dla Europejczyka potęgę stowarzyszeń takich jak sławne nowojorskie Tammany Hall, które od pięćdziesięciu lat na wielką skalę eksploatuje finanse miasta. Jest to rodzaj masonerii kontrolującej mianowanie pracowników miejskich, sędziów, policjantów, kontrahentów, dostawców, jednym słowem całego personelu. Ten personel jest oddany duszą i ciałem ślepo słuchając rozkazów głównego szefa stowarzyszenia. Dwa razy tylko, w 1894 i w 1901 roku towarzystwu się nie udało. Jedno z oficjalnych dochodzeń na temat jego działań odsłoniło nieprawdopodobne nadużycia. Za jednego ze swych szefów, sławnego Williama Tweda, suma ukradziona do podziału między członków wyniosła według komisji śledczej 800 milionów franków. Po krótkim przyćmieniu związek odzyskał całą swoją władzę, którą ostatnio znów stracił, ale na krótko. W przedostatnich wyborach miał wydać 35 milionów, by jego kandydat został burmistrzem Nowego Jorku. Ta suma zwróciła się stowarzyszonym łatwo, gdyż burmistrz ten dysponuje 400 milionami rocznego budżetu.

Każdy inny naród oprócz Amerykanów zostałby szybko przez takie obyczaje zdezorganizowany. Wiemy, do czego doprowadziły one w re-

publikach latynoamerykańskich. Ludność Stanów Zjednoczonych posiada jednak tę wyższą zaletę, energię, która zwycięża wszelkie przeszkody. Niebezpieczeństwo wtrącania się finansistów w sprawy państwa nie stało się jeszcze zbyt widoczne, więc opinia się nim nie zajmuje. W niezbyt zapewne odległym dniu, gdy to niebezpieczeństwo się pojawi, Amerykanie użyją swej energii do zaradzenia złu. W takim wypadku stosują metody doraźne. Wiadomo, jak się pozbywają Murzynów i Chińczyków, gdy ci im zawadzają. Gdy finansiści i nieuczciwi urzędnicy zbyt im dokuczą, bez skrupułów zlinczują parudziesięciu, by skłonić innych do refleksji nad pożytkami z cnoty.

Demoralizacja, którą zasygnalizowałem, jak dotąd ogarnęła w Ameryce tylko swoistą klasę polityków, a bardzo niewielu kupców i przemysłowców. W Ameryce, jak we wszystkich krajach anglosaskich, interwencja rządu w gospodarowanie jest bardzo ograniczona, zamiast sięgać wszędzie, jak w krajach łacińskich. To znacznie zmniejsza, powtarzam, skutki tej demoralizacji.

Ten punkt ma zasadnicze znaczenie i wyjaśnia żywotność demokracji amerykańskiej w porównaniu do słabej żywotności demokracji w krajach łacińskich. Instytucje demokratyczne mogą dobrze prosperować u ludów mających dość inicjatywy i woli, by umieć sobą kierować i załatwiać swoje sprawy bez ciągłego wtrącania się państwa. Korupcja urzędników ma niewiele złych skutków, kiedy wpływy władzy publicznej są ograniczone. Kiedy zaś, przeciwnie, wpływ ten jest duży, demoralizacja rozchodzi się wszędzie i bliski jest chaos. Ponury przykład republik latynoamerykańskich pokazuje nam los, jaki oczekuje demokrację u ludów bez woli, bez moralności i bez energii. Rozwijają się wtedy szybko: duch autorytarny, nietolerancja, pogarda dla legalności, ignorancja w kwestiach praktycznych, zadawniona skłonność do kradzieży. Wkrótce przychodzi anarchia, a po niej zawsze następuje dyktatura.

Taki koniec zawsze zagrażał rządom demokratycznym. Jeszcze bardziej by zagrażał rządowi ludowemu opartemu na socjalizmie.

Oprócz niebezpieczeństw zasygnalizowanych powyżej, które wiążą się ze stanem moralnym, demokracje napotykają na jeszcze inne przeszkody do przezwyciężenia. Płyną one ze stanu ducha warstw ludowych, które są skądinąd przez demokrację faworyzowane.

Najgroźniejsi wrogowie demokracji znajdują się nie tam, gdzie się ich uparcie szuka. Nie są one zagrożone przez arystokracje, lecz przez warstwy ludowe. Skoro tylko masy ucierpią od niezgody i anarchii rządzących, zaczynają tęsknić za dyktatorem. Tak zawsze było w niespokojnych okresach historii u ludów nie mających zalet pozwalających na utrzymanie instytucji wolnych. Po Sulli, Mariuszu i wojnach domo-

wych nastąpili Cezar, Tyberiusz i Neron. Po Konwencie Bonaparte, po 1848 roku Napoleon III. Wszyscy despoci, dzieci głosowania powszechnego dawnych epok, byli zawsze czczeni przez masy. Jak zresztą zdołaliby się utrzymać, gdyby dusza ludu nie była po ich stronie?

Ośmielmy się powtórzyć – pisał jeden z najbardziej zdecydowanych obrońców demokracji, Scherer – *że skazujemy się na nieznajomość najbardziej typowych instynktów głosowania powszechnego, przynajmniej we Francji, jeśli upieramy się nie brać pod uwagę czterech plebiscytów, które wyniosły Ludwika Napoleona do prezydentury republiki, ratyfikowały zamach z 2 grudnia, ustanowiły cesarstwo i w 1870 roku odnowiły pakt narodu ze szkodliwym awanturnikiem.*

Niewiele lat upłynęło od czasów, gdy to samo powszechne głosowanie odnowiło podobny pakt z awanturnikiem nie mającym nawet autorytetu nazwiska, lecz wyłącznie prestiż swego pióropusza na hełmie. Wielu jest sędziów, którzy wytaczają proces królom. Bardzo nieliczni są tacy, którzy się ośmielają wytaczać go narodom.

§ 3. Konflikt między ideami demokratycznymi a dążeniami socjalizmu

Takie są korzyści oraz niedogodności instytucji demokratycznych. Doskonale odpowiadają one rasom silnym i energicznym, u których jednostka jest przywykła do liczenia na swe siły. Nie mają one zdolności sprawienia jakiegokolwiek postępu, ale tworzą atmosferę sprzyjającą wszelkim postępom. Z tego punktu widzenia nic im nie dorównuje i nic nie mogłoby ich zastąpić. Żaden system nie zapewnia najzdolniejszym takiej swobody rozwoju, nie daje im takiej szansy sukcesu życiowego. Dzięki wolności, jaką zapewnia każdemu, i równości, jaką głosi, sprzyja rozwojowi wszelkiej wyższości, a przede wszystkim wyższości inteligencji, z niej bowiem wypływa wszelki większy postęp.

Czy jednak ta równość i ta wolność przy walce nierówno uzdolnionych konkurentów stawiają na równej stopie uprzywilejowanych intelektualnie przez dziedziczenie oraz masy umysłów miernych mających słabo tylko rozwinięte zdolności umysłowe? Czy zostawi ona wiele szans wszystkim jednostkom mało uzdolnionym, nie żeby zwyciężyły swych rywali, lecz by po prostu nie zostały przez nich całkiem zmiażdżone? Jednym słowem, czy istoty słabe, bez energii i waleczności mogą w wolnych instytucjach znaleźć oparcie, których nie mogą znaleźć w sobie samych? Wydaje się oczywiste, że odpowiedź jest negatywna, wydaje się też oczywiste, że im więcej jest równości i wolności, tym zupełniejsze jest zniewolenie niezdolnych czy nawet nie dość zdolnych.

Zaradzić temu zniewoleniu jest chyba najtrudniejszym problemem czasów obecnych. Jeśli się nie ograniczy wolności, sytuacja wydziedziczonych może się tylko pogarszać z dnia na dzień; jeśli się ją ograniczy, a podjąć się tego może oczywiście tylko państwo, dochodzi się potem do socjalizmu państwowego, którego skutki są gorsze niż dolegliwości, którym miał zaradzić. Pozostaje zatem apelować do uczuć altruistycznych u silniejszych; jak dotąd jedynie religie, a i to tylko w wiekach wiary, potrafiły wzbudzić takie uczucia, choć nawet wówczas stanowiły one naprawdę bardzo kruchy fundament społeczny.

Tak czy inaczej jesteśmy zmuszeni stwierdzić, że los jednostek słabych i źle przystosowanych jest z pewnością dużo cięższy w krajach zupełnej wolności i równości, jak w Stanach Zjednoczonych, niż w krajach arystokratycznych. Mówiąc o Stanach Zjednoczonych w swym dziele na temat rządów ludowych znakomity historyk angielski Maine wyraża się tak: *Nie widziano dotąd wspólnoty, w której słaby byłby bardziej bezlitośnie przyciskany do muru, gdzie ludzie sukcesu tak wyłącznie by pochodzili z rasy silnych, gdzie w tak krótkim czasie pojawiłaby się tak wielka nierówność majątku prywatnego i luksusu domów.*

Są to oczywiście konieczne niedogodności wszelkich systemów mających za podstawę wolność, są one jednak niezbędnym warunkiem postępu. Jedyne pytanie, jakie tu można zadać, jest następujące: czy należy poświęcać te konieczne czynniki postępu, biorąc pod uwagę jedynie bezpośredni i widoczny interes mas oraz wszelkimi arbitralnymi środkami stale zwalczając konsekwencje nierówności ludzi, którą Natura uporczywie wznawia przy każdym pokoleniu?

Kto ma rację – pisze Fouquier – *arystokratyczny indywidualizm, czy demokratyczna solidarność? Co jest korzystniejsze dla postępu ludzkości? Co więcej warte, nawet od strony praktycznej, jeden Molier czy dwustu dobrych nauczycieli? Kto ma większe zasługi, Fulton i Watt czy też sto towarzystw pomocy wzajemnej? Widać, że indywidualizm wznosi, a demokracji obniża; widać, że kwiat ludzkości rośnie na ludzkim nawozie. Tyle że te istoty mierne, bezużyteczne, o niskich instynktach, o sercach często zawistnych, o inteligencji pozornej a chełpliwej, czasami niebezpieczne, zawsze głupie, są jednak nadal istotami ludzkimi!*

W teorii można sobie założyć odwrócenie praw naturalnych i poświęcić silnych, którzy są w mniejszości, na rzecz słabych stanowiących większość. Takie jest, po oczyszczeniu ze zbędnych formułek, marzenie socjalistów.

Przypuśćmy na chwilę, że to marzenie się realizuje. Przypuśćmy, że jednostka jest uwięziona w ciasnej sieci regulacji i więzów proponowanych przez socjalistów. Znieśmy kapitał, konkurencję i inteligencję.

Żeby dać satysfakcję teoriom egalitarnym, wprowadźmy pewien lud w ten stan słabości, w którym będzie na łasce pierwszych najeźdźców. Czy masy zyskają coś na tym, choćby na krótko?

Niestety nie. Najpierw niczego nie zyskają, a wkrótce stracą wszystko. Postęp, który wzbogaca pracowników, płynie wyłącznie z wpływu umysłów wyższych, tylko pod ich kierownictwem może funkcjonować tak skomplikowany mechanizm cywilizacji współczesnej. Bez umysłów wyższych wielki kraj będzie wkrótce ciałem bez duszy. Fabryka nie będzie działać długo bez inżyniera, który buduje i kieruje. Stanie się statkiem pozbawionym oficerów, klocem na łasce fal, który rozbije się o pierwszą napotkaną skałę. Bez obecności wybitnych i silnych przyszłość miernych i słabych okazałaby się nędzniejsza niż kiedykolwiek.

Rozumowanie czyni takie wnioski oczywistymi. Dowód nie jest jednak dostępny dla wszystkich umysłów, gdyż doświadczenia jeszcze nie spróbowano. Argumenty nie przekonają zwolenników wiary socjalistycznej.

Na mocy swoich zasad demokracje sprzyjają wolności i konkurencji, w której z natury rzeczy zwyciężają najzdolniejsi, podczas gdy socjalizm marzy, przeciwnie, o zniesieniu konkurencji, zniknięciu wolności i ogólnym zrównaniu. Istnieje więc oczywista i nieusuwalna sprzeczność między zasadami socjalistycznymi a demokratycznymi.

Sprzeczność tę współcześni socjaliści przewidują, przynajmniej instynktownie; nie mogą jej uznać jawnie, gdyż mniemają, że wszyscy ludzie mają równe zdolności. Z tego instynktu, najczęściej mętnego i nieświadomego, a jednak rzeczywistego, zrodziła się ich nienawiść do demokracji, nienawiść dużo gwałtowniejsza niż ta, którą rewolucja francuska żywiła do ancien regime'u. Nic nie jest bowiem mniej demokratyczne, niż ich idea, by zniszczyć skutki naturalnej wolności i nierówności przez system absolutnie despotyczny, który usunie wszelką konkurencję, da tę samą płacę umiejętnym i nieumiejętnym i będzie bez przerwy niszczył przy pomocy prawodawstwa nierówności społeczne wynikłe z nierówności naturalnych.

Nie brak dziś pochlebców gotowych przekonywać masy, że urzeczywistnienie takiego marzenia jest łatwe. Ci niebezpieczni prorocy sądzą, że będą żyli dość długo, by zebrać owoce swej popularności, ale nie tak długo, aż wydarzenia ujawnią ich szalbierstwo. Nie mają więc nic do stracenia.

Konflikt między ideami demokratycznymi a dążeniami socjalistycznymi nie jest jeszcze wystarczająco widoczny dla umysłów pospolitych, większość uważa socjalizm za konieczny punkt dojścia, logiczne następstwo idei demokratycznych. W rzeczywistości nie ma koncepcji politycznych, które by przedzielała głębsza przepaść. Ateista jest pod

wieloma względami bliższy dewotowi, niż socjalista demokracie wiernemu zasadom rewolucji francuskiej. Różnice między tymi doktrynami dopiero zaczynają się rysować; wkrótce ujawnią się jaskrawo i dojdzie do gwałtownego starcia.

Prawdziwy konflikt istnieje więc nie między demokracją a nauką, lecz między socjalizmem a demokracją. Demokracja pośrednio zrodziła socjalizm i może przez socjalizm zginąć.

Nie należy, jak to się czasem proponuje, dawać socjalizmowi sposobności do podjęcia swych eksperymentów, by ujawniła się w ten sposób jego słabość. Zrodzi on bowiem natychmiast cezaryzm, który szybko zlikwiduje wszystkie instytucje demokratyczne.

Swego groźnego wroga, socjalizm, demokraci powinni zwalczać dzisiaj, a nie w przyszłości. Stanowi on zagrożenie, przeciw któremu powinny sprzymierzyć się wszystkie partie bez wyjątku, i z którym żadna nie powinna paktować, a już najmniej republikanie. Można podważać teoretyczną wartość rządzących nami instytucji, można sobie życzyć, by bieg rzeczy był inny, ale takie życzenia muszą pozostać platoniczne. Wobec wspólnego wroga muszą się zjednoczyć wszystkie partie, jakiekolwiek by były ich dążenia. Mają bowiem małą szansę zyskania czegokolwiek na zmianie systemu, a ryzykowałyby utratę wszystkiego.

Z naukowego punktu widzenia idee demokratyczne nie są podstawą solidniejszą niż poglądy religijne. Ów brak jednak nie miał nigdy wpływu na los tych drugich, nie skrępuje też bardzo przyszłości tych pierwszych. Skłonność do demokracji jest dziś u wszystkich ludów powszechna, jakakolwiek byłaby forma ich rządów. Stoimy więc tu wobec jednego z tych wielkich prądów społecznych, których tamowanie byłoby daremne. Główny wróg demokracji, jedyny, który mógłby ją pokonać, to socjalizm.

Rozdział 2
Walka ludów i klas

§ 1. Naturalne walki jednostek i gatunków

Jedyną metodą wynalezioną przez przyrodę dla poprawienia gatunków jest rodzenie dużo większej liczby istot, niż może wyżywić, i wprowadzenie między nich ciągłej walki, w której mogą przeżyć tylko najsilniejsi, najlepiej przystosowani. Walka trwa nie tylko między różnymi gatunkami, ale i między jednostkami z tego samego gatunku, często właśnie między nimi jest najgwałtowniejsza.

Istoty żywe od początku świata doskonaliły się tylko tą metodą, tylko tak człowiek wyłonił się z bezkształtnych typów dawnych epok geologicznych, zaś nasi dzicy przodkowie z epoki jaskiniowej wznieśli się powoli ku cywilizacji. Z punktu widzenia naszych uczuć prawo walki o byt i przeżywanie najlepiej przystosowanych może się wydać całkiem barbarzyńskie. Nie należy jednak zapominać, że bez niego nadal walczylibyśmy o nędzne łupy ze wszystkimi zwierzętami, które w końcu żeśmy pokonali.

Walka, którą przyroda narzuca istotom przez siebie stworzonym, jest powszechna i stała. Gdzie walki nie ma, nie ma też postępu, lecz cofanie się.

Gdy stwierdziliśmy, że trwa walka między wszystkimi istotami, przyrodnicy dowiedli nam, że trwa ona także w nas. *Dalekie od udzielania sobie wzajemnego wsparcia* – pisze Kunstler – *poszczególne części żywego ciała wydają się trwać w wiecznej walce między sobą. Wszelki rozwój jednej z nich ma za równoległy skutek zmniejszenie ważności innych. Inaczej mówiąc, rozwinięcie się jednej części powoduje osłabienie innych.*

Geoffroy Saint-Hilaire zauważył już w zarysie to zjawisko ustalając zasadę równowagi między organami. Współczesna teoria fagocytozy wiele do niej nie dorzuca, lecz jedynie dokładniej określa przebieg tego zjawiska.

Nie tylko organy walczą między sobą, lecz także ich części, jakiekolwiek by były. Istnieje na przykład konflikt między tkankami i między elementami jednej tkanki. Rozwój słabszych jest w niej zwalniany i zatrzymywany; mogą być bez litości poświęcone na korzyść silnych, które dzięki temu dochodzą do rozkwitu.

Sprawy wydają się przebiegać tak, jak gdyby organizmy żywe posiadały tylko określoną dozę energii rozwojowej do zużycia. Gdyby dzięki jakiejś sztuczce ta energia przeszła do jednego organu czy narządu, inne by z tego powodu znalazły się w stanie mniej lub bardziej stacjonarnym lub nawet mogłyby podupaść.

W społeczności komórek, która tworzy żywy organizm – pisze ze swej strony Duclaux – *istnieją zawsze jednostki, które są chore lub umierają, komórki osłabione, a przede wszystkim całkiem martwe, które we wspólnym interesie muszą zniknąć. Tym zajmują się leukocyty. Są zbudowane dla stałej walki z komórkami środowiska, w którym krążą. Grożą wszystkim, a jeśli którakolwiek z jakiejś przyczyny słabnie w oporze, rzucają się na nią wszystkie leukocyty z sąsiedztwa, otaczają ją, zabijają, trawią i zabierają ze sobą jej resztki. Stałym stanem naszego organizmu jest więc nie pokój, lecz wojna i prześladowanie słabszych, chorych i starych. Przyroda daje nam w tym punkcie swą zwykłą lekcję okrucieństwa.*

Przyroda głosi więc zupełną nietolerancję dla słabości. Słabe jest przez nią skazane na rychłą zgubę. Uznaje tylko siłę.

Inteligencja pozostaje w związku z ilością materii mózgowej posiadanej przez jednostkę, skąd wynika, że w przyrodzie prawa istoty żywej są ściśle związane z możliwościami jej mózgu. Z powodu większych możliwości mózgu człowiek mógł sobie przyznać prawo zabijania i jedzenia istot niższych gatunkowo od siebie. Gdyby je można było o to zapytać, stwierdziłyby bez wątpienia, że prawa naturalne są bardzo przygnębiające. Jedyną pociechą im dostępną byłoby to, że cała przyroda jest pełna okoliczności równie przygnębiających. Z bardziej rozwiniętym mózgiem zwierzęta jadalne mogłyby zapewne zrzeszyć się dla uniknięcia noża rzeźnika, ale wiele by na tym nie zyskały. Jaki byłby ich los, zostawionych samym sobie i nie mogących już liczyć na interesowną, a więc bardzo staranną opiekę hodowcy? W krajach dziewiczych mogłyby znaleźć pastwisko na preriach, ale tam by natychmiast napotkały zęby drapieżców; nawet ich uniknąwszy, nie uniknęłyby powolnej śmierci głodowej w wieku podeszłym, gdy byłyby zbyt stare na szukanie pożywienia oraz na walkę o nie z podobnymi sobie.

Przyroda dała jednak istotom słabym skuteczny sposób przetrwania przez wieki mimo wrogów, wyposażając je w płodność zdolną zaspokoić apetyty wszystkich wrogów. Samica śledzia składa rocznie ponad 60 000 jaj, zawsze więc wystarczająca liczba młodych śledzi przetrwa by przedłużyć gatunek.

Można nawet odnieść wrażenie, że przyroda poświęciła tyleż uwagi uwiecznieniu najdrobniejszych gatunków, najmarniejszych pasożytów,

co zapewnieniu bytu istotom wyższym. Życie największych geniuszów nie znaczy dla niej więcej niż byt najnędzniejszych mikrobów. Przyroda nie jest ani opiekuńcza ani okrutna. Dba tylko o gatunek i pozostaje obojętna – imponująco obojętna – na jednostkę. Nie zna naszej idei sprawiedliwości. Można protestować przeciwko jej prawom, ale trzeba żyć pod ich władzą.

§ 2. Walki ludów

Czy człowiekowi powiodło się uniknąć działania twardych praw przyrody, którym są poddane wszystkie istoty? Czy cywilizacja złagodziła relacje między ludami? Czy w łonie ludzkości walka stała się mniej gwałtowna, niż między różnymi gatunkami?

Historia uczy, że jest przeciwnie. Mówi nam, że ludy zawsze pozostawały w konflikcie i że od początku świata prawo silniejszego było jedynym sędzią ich losów. Takie było prawo starożytności; działa ono tak samo w czasach nowożytnych. Nic nie wskazuje na to, że nie obejmie wieków przyszłych.

Nie znaczy to oczywiście, że brakuje dziś teologów i filantropów, którzy by protestowali przeciw temu nieuniknionemu prawu. Zawdzięczamy im liczne książki, w których wygłaszają wymowne apele do prawa i sprawiedliwości, swoistych suwerennych bóstw, mających kierować światem z wysokości niebios. Fakty zwsze jednak obalają tę próżną frazeologię. Mówią nam, że prawo istnieje tylko wtedy, gdy istnieje siła zmuszająca do jego respektowania. Nie można mówić, że siła dominuje nad prawem, gdyż siła i prawo są tym samym. Gdzie nie ma siły, nie może trwać żadne prawo.[1] Nikt jak sądzę nie wątpi, że kraj, który zaufałby prawu i sprawiedliwości i chciałby rozpuścić swe armie, zostałby natychmiast najechany, zrabowany i zniewolony przez sąsiadów. Jeśli państwa słabe jak Turcja, Grecja, Maroko, Portugalia, Hiszpania czy Chiny mogą jako tako przetrwać, to z powodu rywalizacji między ludami silniejszymi, które chciałyby je opanować. Zmuszone do liczenia się z rywalami o równej sile, wielkie państwa mogą dzielić

[1] Nie da się wszakże zaprzeczyć, że można przewidywać przyszłe powstanie prawa międzynarodowego opartego na opinii publicznej. Zaczyna ono być na tyle silne, że skłania rządzących do liczenia się z nim. Dlatego z pewnością Anglicy nigdy nie pomyśleli o lądowaniu w Calais i opanowaniu go, gdy w 1870 roku byliśmy bezbronni. Kilka wieków temu taki najazd byłby uznany za coś normalnego. Jedną z przyczyn, która przeszkodziła cesarzowi niemieckiemu nazajutrz po klęsce Rosji skorzystać z okazji i wypowiedzieć nam wojnę dla przywłaszczenia sobie paru prowincji, był jednomyślny odruch potępienia wywołany w Europie przez żałosny spór o Maroko. Ludy będą jednak rozsądniejsze licząc przy obronie bardziej na swoje armaty niż na ograniczoną jeszcze siłę opinii publicznej.

kraje słabe z zachowaniem ostrożności i zagarniając ich prowincje tylko po kawałku. Księstwa duńskie, Bośnia, Malta, Cypr, Egipt, Transwaal, Kuba, Filipiny zostały na tej zasadzie po kolei odebrane narodom, do których należały.

Żaden lud nie może dziś zapominać, że granice jego praw są ściśle odmierzone siłami, jakimi dysponuje dla ich obrony. Jedynym uznanym prawem barana jest posłużenie za pokarm istotom mającym większe mózgi niż on. Jedynym uznanym prawem Murzynów jest przyglądanie się zajmowaniu i rabowaniu swych ziem przez białych i padanie od strzałów karabinowych, jeśli się sprzeciwiają. Jeśli się nie sprzeciwiają, kończy się na zagarnięciu ich dóbr i zmuszeniu ich uderzeniami bata do pracy dla wzbogacenia zwycięzców. Taki był los tubylców amerykańskich. Taki sam jest dzisiaj los mieszkańców Afryki. Murzyni dowiedzieli się, ile kosztuje być słabym. Żeby sprawić przyjemność piszącym książki filantropom, wygłasza się piękne tyrady o nieszczęsnym losie tych ludów – a następnie strzela do nich z karabinów maszynowych. Przychylność posuwa się aż do wysyłania im misjonarzy, którzy dla zapoznania ich z dobrodziejstwami cywilizacji mają torby pełne Biblii i butelek z alkoholem [?].

Odsuwając więc na bok dziecinne gadanie teologów i filantropów uznajemy za stały fakt, potwierdzony przez obserwację, że prawa ludzkie nigdy nie były zdolne do zmienienia przyrodniczych, i że te właśnie nadal rządzą stosunkami między ludami. Wszystkie teorie na temat prawa i sprawiedliwości nie mają na to żadnego wpływu. Relacje między ludami są dziś takie, jakie były od początku świata, odkąd pojawiają się sprzeczne interesy lub po prostu kraje odczuwają chęć powiększenia się. Prawo i sprawiedliwość nigdy nie odgrywały żadnej roli, gdy chodziło o relacje między ludami o nierównej sile. Albo zwycięzca albo zwyciężony, albo zwierzyna albo myśliwy, takie zawsze było prawo. Zdania dyplomatów i mowy retorów przypominają grzeczności, jakie sobie wyświadczają ludzie światowi we frakach. Usuną się, by pozwolić wam przejść, i zapytają się o nowiny od waszych dalekich krewnych. Gdy zajdzie jakakolwiek okoliczność, wejdzie w grę jakikolwiek interes, powierzchowne uczucia natychmiast znikną. Wtedy przejdą pierwsi, choćby mieli miażdżyć obcasami butów i ogłuszać ciosami pałki zawadzające im kobiety i dzieci, jak przy pożarze bazaru Charite lub przy zatonięciu *Bourgogne*. Można oczywiście wymienić wyjątki, osoby nieulękłe, gotowe do poświęcenia się dla innych, ale są one tak rzadkie, że uważa się ich za bohaterów i zapisuje ich imiona w historii.

Nikłe są więc powody do wiary, że walki między ludami będą w przyszłości mniej gwałtowne niż w przeszłości. Przeciwnie, istnieją bardzo solidne powody do przypuszczenia, iż będą one w przyszłości

dużo gwałtowniejsze. Gdy narody były oddzielone przez wielkie odległości, których pokonywania nauka jeszcze nie opanowała, powody do konfliktu były rzadkie. Dziś stają się coraz częstsze. Kiedyś walki między narodami wynikały przede wszystkim z interesów dynastycznych lub fantazji najeźdźców. W przyszłości będą one miały za główny motyw podstawowe interesy gospodarcze, od których zależy byt narodów, a o których sile już mówiłem. Przyszłe walki między narodami będą prawdziwymi walkami o byt, które nie będą mogły się kończyć inaczej niż przez zupełnie zniszczenie jednego z walczących. Bardzo typowym przykładem była ostatnia wojna o Transwaal.[2]

Oto istotne prawdy, których ukrywanie nie przynosi żadnych korzyści, lecz przeciwnie, jest bardzo niebezpieczne. Można przyjąć za dość oczywiste, że oddało by się Hiszpanom znaczną przysługę wpajając im solidnie dwadzieścia pięć lat temu, iż skoro tylko wystarczająco osłabną od sporów wewnętrznych, jakiś naród skorzysta z pierwszego nasuwającego się pretekstu, żeby opanować ich ostatnie kolonie, dokonując tego bez trudu mimo modlitw mnichów i wstawiennictwa madonn. Może zrozumieliby wtedy korzyść z robienia mniej przewrotów, wygłaszania mniej mów oraz zorganizowania obrony w taki sposób, by zniechęcić napastników do ataku. Lud mały a wystarczająco energiczny potrafi się dobrze bronić. Wiele narodów poświęca dziś jedną trzecią budżetu na wydatki wojskowe, a ta składka ubezpieczeniowa przeciw napaści sąsiadów nie jest z pewnością zbyt wygórowana, jeśli się jej tylko dobrze używa.

§ 3. Walka klas

Kolektywiści przypisują swojemu teoretykowi Karolowi Marksowi stwierdzenie faktu, że historia jest zdominowana przez walkę klas ścierających się z powodu interesów gospodarczych, jak też pogląd, że

[2] Anglicy wierzyli przez pewien czas, że mogą ją zakończyć tylko przez całkowite wyniszczenie Burów; w tym celu podjęli bardzo skuteczne środki. Wszędzie, gdzie docierały ich kolumny, wsie, fermy i plony były palone, a mieszkańcy – łącznie z kobietami, dziećmi i starcami – uprowadzani do niewoli. Umieszczano ich w zamknięciu w tak zwanych „obozach koncentracyjnych", gdzie wystawieni półnadzy na niepogodę i karmieni żywnością dozowaną w sposób przemyślanie niewystarczający umierali bardzo szybko. Liczba więźniów wynosiła 109 000 we wrześniu 1901 roku. Według oficjalnych statystyk roczna śmiertelność wynosiła w nich w czerwcu 109 na tysiąc, w lipcu 180 na tysiąc, w sierpniu 214 na tysiąc, we wrześniu 264 na tysiąc. Widać wzrost. Co do dzieci, to przewidując przyszłość postarano się, by ich śmiertelność była jeszcze dużo wyższa. Wynosiła do 433 na tysiąc, co oznacza, że gdyby wojna trwała dłużej, po dwóch latach zniknęłyby prawie zupełnie. Cena żywności, którą dawano uwięzionym, wynosiła według dokumentów przedstawionych przez gazety angielskie 19 centymów dziennie na głowę.

ta walka musi zniknąć wraz z wchłonięciem wszystkich klas przez jedną: klasę robotniczą.

Pierwszy punkt, walka klas, jest banałem tak starym jak świat. Z powodu nierównego podziału bogactw i potęgi, wynikłego z naturalnych różnic uzdolnień czy po prostu ze społecznej konieczności, ludzie byli zawsze podzieleni na klasy, których interesy były z natury rzeczy mniej lub bardziej sprzeczne, co prowadziło do starć. Natomiast myśl, że ta walka miałaby ustać, jest utopijna i przeczą jej wszystkie realia, należałoby się więc wystrzegać marzeń o jej urzeczywistnieniu. Bez walki jednostek, ras i klas, jednym słowem bez powszechnego współzawodnictwa, człowiek nigdy nie wyszedłby ze stanu pierwotnej dzikości i nie wzniósłby się ku cywilizacji.

Wystarczy spojrzeć wokół – pisze B. Kidd – *by dostrzec, że ciągła rywalizacja człowieka z innymi staje się dominującą cechą naszego charakteru. Odnajduje się ją we wszystkich częściach budowli społecznej. Jeśli przyjrzymy się motywom codziennych czynności wykonywanych przez nas i przez tych, którzy nas otaczają, musimy uznać, że pierwszą i główną myślą większości z nas jest umieć się bronić w społeczeństwie. Narzędzia przemysłu są groźniejsze niż miecze.*

Istnieje nie tylko walka klas, ale i walka między jednostkami tej samej klasy, przy czym walka między nimi jest – jak w naturze – najostrzejsza. Sami socjaliści, choć czasami jednoczeni przez wspólny cel, zniszczenie obecnego społeczeństwa, nie mogą się zebrać bez wybuchu głośnych sporów między nimi.

Walka jest dziś gwałtowniejsza niż kiedykolwiek. Ta gwałtowność ma różne przyczyny, a między innymi tę, że gonimy za chimerami sprawiedliwości i równości, których przyroda nie zna. Te próżne formułki przyniosły i przyniosą ludziom więcej szkody, niż wszystkie nieszczęścia, na których znoszenie skazuje nas los.[3]

Nie ma sprawiedliwości społecznej – pisze bardzo słusznie Bouge – *ponieważ przyroda sama jest nierówna. Niesprawiedliwość i nierówność stoją u kolebki. Od kolebki do śmierci, w ciągu życia, którego dobrodziejstwa i ciężary arbitralnie skraca lub przedłuża, naturalna nierówność idzie za człowiekiem krok w krok. Niesprawiedliwość pod tysiącem postaci! Nierówność naturalna, przypadek urodzenia i dziedziczenia, zalety i braki fizyczne, rozmaity intelekt, nierówność losu, popychają i wiodą życie ludzkie w przeciwnym kierunku i w bok.*

Długo przed socjalizmem religie też marzyły o zniesieniu walki ludów, jednostek i klas; ale co uzyskały, oprócz zaostrzenia walk,

[3] Z wywodów Le Bona wynika, że rozumie sprawiedliwość jako sprawiedliwość „społeczną" i równość, podczas gdy klasyczne pojęcie sprawiedliwości wyrażone w formule „każdemu według jego zasług" uznaje różnice między ludźmi [*przypis tłumacza*].

których chciały uniknąć? Czyż wojny, jakie sprowokowały, nie były najokrutniejsze ze wszystkich, niosące najwięcej katastrof politycznych i społecznych?[4]

Czy możemy mieć nadzieję, że wraz z postępem cywilizacji walka klas się złagodzi? Wszystko prowadzi do przekonania, że jest przeciwnie, że stanie się dużo gwałtowniejsza niż w przeszłości.

Powód tego prawdopodobnego pogorszenia jest podwójny: po pierwsze głębszy przedział dzielący klasy;[5] po drugie, potęga, jaką dadzą żądaniom różnych klas nowe formy stowarzyszania się.

Pierwszy punkt jest trudny do zakwestionowania. Różnice między klasami, na przykład robotnikami a pracodawcami, właścicielami a proletariuszami, są w widoczny sposób ostrzejsze niż te, które niegdyś dzieliły kasty, na przykład lud i szlachtę. Dystans stworzony przez narodzenie uważano wówczas za niemożliwy do przekroczenia. Skoro wynikał z woli Bożej, był przyjmowany bez dyskusji. Przemoc i nadużycia mogły niekiedy sprowokować bunty, lecz buntowano się przeciwko nadużyciom, nie przeciwko ustalonemu stanowi rzeczy.

Dziś jest całkiem inaczej. Bunty nie kierują się przeciwko nadużyciom, ale właśnie przeciwko całemu systemowi społecznemu, i nie były nigdy większe niż obecnie.[6] Socjalizmowi chodzi o zniszczenie burżuazji dla zajęcia jej miejsca oraz przywłaszczenia sobie jej bogactw.

Cel jest jasno sformułowany – jak powiedział słusznie Boilley – *chodzi bez żadnych uników o zebranie klasy ludowej dla wywłaszczenia burżuazji. Chce się rzucić biednego przeciwko bogatemu, a korzyść z podboju będzie polegać na złupieniu zwłok pokonanych. Timur i Dżyngiz Chan nie proponowali innych zachęt, by pociągnąć tłumy.*

Zdobywcy istotnie nie proponowali innych, ale ci, którym zagrażał podbój, wiedzieli doskonale, że ich jedyną szansą jest bronić się energicznie, podczas gdy dziś przeciwnicy nowych barbarzyńców myślą

[4] Le Bon każe w to wierzyć bez żadnego dowodu, co wynika stąd, że cytuje propagandowy pogląd upowszechniony w XIX wieku przez wojujący laicyzm. Faktycznie religia i etyka nie usuwają cech ludzkiej natury, ale jednak je łagodzą. Co do wojen, pogański nacjonalizm III Rzeszy oraz ateistyczny komunizm Sowietów spowodowały w kilka lat dużo więcej nieszczęść, niż wszyscy fanatycy religijni w historii, łącznie z tymi, którzy z zabijania wrogów czynili cnotę [*przypis tłumacza*].

[5] Gdzie indziej Le Bon twierdzi co innego, przypuszczając, że majątek będzie się z czasem rozkładał między większą liczbę ludzi, co złagodzi konflikty. Wskazywał też mały dystans dzielący pracodawców i pracowników w Anglii. Zresztą im bogatsze społeczeństwo, tym mniejszy zapał do sporów. To, co Le Bon pisze niżej o różnicy urodzenia w feudalizmie, dowodzi jasno, że różnice były wtedy większe, a nie mniejsze; dawne wieki znały liczne starcia społeczne, krwawsze niż w XIX wieku [*przypis tłumacza*].

[6] Le Bon przypuszczalnie uogólnia zbrodnie Komuny Paryskiej i terroryzm socjalistów. Innych dowodów dla swej tezy by nie miał – ale te mu wystarczyły, by przeczuć bolszewizm i narodowy socjalizm [*przypis tłumacza*].

tylko o dyskutowaniu z nimi w parlamencie, o przedłużeniu swojej egzystencji przez serię ustępstw, które tylko zachęcają szturmujących i budzą ich pogardę.

Przyszłe walki zaostrzy to, że nie będą wynikały, jak podboje, jedynie z chęci złupienia wrogów, których jako pokonanych odbierano obojętnie. Dziś między walczącymi panuje szalona nienawiść. Zmierza ona coraz bardziej do przybrania formy religijnej i nabiera tej drapieżności i nieprzejednania, którymi zawsze ożywieni byli „prawdziwie wierzący".

Stwierdziliśmy poprzednio, że jedną z najważniejszych przyczyn obecnej walki klas były fałszywe poglądy, jakie jedni i drudzy mają na temat strony przeciwnej. Badając podstawy naszych wierzeń wykazałem, jak dalece niezrozumienie dominuje w relacjach między ludźmi – wystarczy to, by nie dać się przekonać, jakoby możliwe było ich usunięcie. Najstraszniejsze wojny, walki religijne, które skąpały świat we krwi, które najgłębiej zmieniły oblicze cywilizacji i imperiów, miały najczęściej za przyczynę wzajemne niezrozumienie stron i fałszywość ich poglądów.

Niekiedy właśnie błędność idei stanowi o ich sile. Błąd wystarczająco często powtarzany staję się dla mas jaskrawą prawdą. Nic nie kiełkuje łatwiej niż błąd, a kiedy się on zakorzeni, dysponuje wszechmocą religijnego dogmatu. Inspiruje wiarę, a wierze nic się nie oprze. W oparciu o najzupełniej błędne koncepcje rzucono w średniowieczu część Zachodu przeciw Wschodowi; następcy Mahometa założyli swoje potężne imperium; Europa skąpała je później w ogniu i krwi. Były to tylko niejasne słowa, których moc zużyła się przez wieki tak dalece, że nie potrafimy zrozumieć wpływu, jaki wywierały. Wpływ jednak nieodparty, skoro w pewnym momencie najjaśniejsze rozumowania, najoczywistsze dowody nie mogły go przezwyciężyć. Jedynie czas, a nie rozum, rozbił te utopie.

Nie tylko w dawnych czasach mylne koncepcje i zwodnicze słowa sprawowały niezwykłą władzę. Duch ludu się zmienił, ale jego wierzenia są zawsze równie fałszywe; słowa, które go prowadzą, równie zwodnicze. Pod nowymi nazwami błąd zachowuje taki sam magiczny wpływ, jaki miał w przeszłości.

§ 4. Przyszłe konflikty społeczne

Walka między klasami, nieunikniona ze względu na niemożliwe do przezwyciężenia prawa przyrody, będzie zaostrzona przez nowe warunki cywilizacyjne, przez niezrozumienie, jakie rządzi wzajemnymi stosunkami między klasami, przez rosnącą rozbieżność ich interesów

a przede wszystkim ich poglądów. Walka ta zmierza do tego, by stać się gwałtowniejszą niż w jakiejkolwiek innej epoce. Nadchodzi godzina, w której budowla społeczna dozna ataków groźniejszych niż kiedykolwiek.

Nowi barbarzyńcy zagrażają nie tylko posiadaczom bogactw, lecz również samej naszej cywilizacji. Jawi się im ona jako protektorka luksusu, jako bezużyteczna komplikacja.

Wyzwiska ich wodzów nigdy nie były równie wściekłe; nigdy nie słyszał podobnych wyzwisk lud, którego domom i bogom zagrażał bezlitosny wróg. Najbardziej pokojowo usposobieni z socjalistów żądają wywłaszczenia burżuazji. Najgwałtowniejsi chcą jej całkowitego unicestwienia. Jak powiedział jeden z nich na zjeździe (co cytuje książka Boilleya): *Skóra ohydnych burżujów nadaje się co najwyżej na rękawiczki.*

Ci wodzowie, o ile tylko mogą, łączą czyn ze słowem. Bardzo jest wymowny przegląd zbrodni popełnionych w Europie w ciągu ostatnich piętnastu lat przez awangardę partii socjalistycznej. Zamordowano pięciu szefów państw, w tym cesarzową, dwóch innych raniono, zabito tuzin prefektów policji, znaczna liczba ludzi zginęła w następstwie wybuchów w pałacach, teatrach, domach i pociągach. Jedna tylko eksplozja, w teatrze Liceo w Barcelonie, przyniosła osiemdziesiąt trzy ofiary; w Pałacu Zimowym w Petersburgu zabiła osiem osób i raniła czterdzieści pięć. Liczbę pism w Europie, które podsycają to szaleństwo, szacuje się na czterdzieści. Gwałtowność tych potyczek pozwala odgadnąć, jaka dzika drapieżność towarzyszyć będzie walce powszechnej.

Przeszłość znała bez wątpienia równą gwałtowność, ale sytuacja walczących sił była inna, a obrona społeczna dużo łatwiejsza. Masy nie miały bowiem wtedy władzy politycznej. Nie umiały się zrzeszać i w ten sposób tworzyć armii ślepo posłusznych rozkazom absolutnych władców. Co mogą te związki, zobaczyliśmy dzięki ostatniemu strajkowi w Chicago. Wciągnął on wszystkich kolejarzy w Stanach Zjednoczonych, a w końcu spowodował spalenie pałacu wystaw i ogromnych fabryk Pulmanna. Rząd zwyciężył dopiero zawiesiwszy prawa obywatelskie, zarządzając stan wojenny, wydając zbuntowanym prawdziwą bitwę. Strajkujących zwyciężono strzelając do nich bez litości z karabinów maszynowych; nietrudno jednak zgadnąć, jaka nienawiść napełniła dusze tych, którzy przeżyli.

Stany Zjednoczone wydają się dostarczać staremu światu pierwszych przykładów walki, która skonfrontuje inteligencję, uzdolnienia i majątek z tą straszliwą armią nieprzystosowanych (będzie o nich wkrótce mowa), społecznych odpadów, których liczbę znacznie zwiększyła obecna ewolucja przemysłowa. W wypadku Stanów Zjednoczonych wyni-

kiem walki będzie zapewne podział na więcej rywalizujących ze sobą republik. Nie musimy jednak zajmować się losem Stanów: interesują nas tu jako przykład. Przykład ten może uratuje Europę przed całkowitym zwycięstwem socjalizmu, to znaczy cofnięciem się do najohydniejszego barbarzyństwa.

Problemy społeczne w Stanach Zjednoczonych komplikuje zwłaszcza to, że ta wielka republika dzieli się na regiony, których interesy są bardzo różne, a tym samym skonfliktowane. De Varigny dobrze to uwypuklił w poniższych słowach:

Waszyngton pozostaje terenem neutralnym i zneutralizowanym, gdzie się rozwiązuje problemy polityczne; w tym mieście problemy te nie rodzą się ani nie powodują wzburzenia. Życie toczy się gdzie indziej; jedności nie osiągnięto, nie istnieje jednorodność. W ramach pozornego zjednoczenia wielkiego ludu – bo zjednoczenie nie jest jednością – trwają głębokie rozbieżności, różne interesy, sprzeczne dążenia. W miarę marszu naprzód i kształtowania się historii zaznaczają się one coraz mocniej; potwierdzają to takie fakty jak wojna secesyjna, która postawiła Unię na krawędzi przepaści.

Jeśli się przyjrzymy bliżej tej wielkiej republice, którą pod względem powierzchni przewyższają tylko Rosja i Chiny, a która pod względem liczby ludności zajmuje już piąte miejsce w świecie, uderzy nas przede wszystkim jeden fakt: geograficzny i gospodarczy podział Stanów Zjednoczonych na trzy części: stany południowe, północne i zachodnie nad Pacyfikiem; między północą a równinami zachodu też kiełkuje podział. Różnica interesów między tymi grupami powoduje sprzeczne życzenia; od piętnastu lat szuka się bezskutecznie sposobu na przeżycie i pomyślność w ramach jednej skali gałęzi przemysłu wymagających specjalnego traktowania. Południe produkuje surowce, cukier i bawełnę; północ jest przemysłowa, zachód rolniczy, Pacyfik rolniczy i górniczy. Obecny system protekcjonistyczny rujnuje południe i przeszkadza zachodowi, bogacąc północ, dla której wolny handel byłby dotkliwym ciosem.

Rozdźwięk występuje nie tylko w sferze interesów materialnych: północ jest republikańska, południe demokratyczne; północ zmierza do centralizacji, południe broni praw stanów; północ chce silnej, zorganizowanej władzy federalnej oraz autorytetu Unii, południe żąda autonomii i prawa do dyskusji co do układu federalnego. Jedni zwyciężyli drugich, ale zwyciężeni nie wybaczyli zwycięzcy.

Nie należy jednak w wypadku żadnego ludu wysnuwać z paru ogólnych wskazówek zbyt precyzyjnych przepowiedni co do jego przyszłych losów. Nasze przeznaczenie okryte jest nadal nieprzeniknioną mgłą przyszłości. Jest niekiedy możliwe przeczuć kierunek sił, jakie nas wiodą, ale jakże próżna jest nadzieja określenia ich skutków lub

wpłynięcia na ich bieg! Widzimy tylko tyle, że obrona dawnych społeczeństw stanie się trudniejsza. Ewolucja sytuacji podminowała fundamenty budowli z dawnych wieków. Armia, ostatnia kolumna tej budowli, jedyna zdolna do jej podtrzymania, rozkłada się z dnia na dzień, a jej najgorsi wrogowie rekrutują się dziś spośród osób wykształconych. Ignorancja co do pewnych oczywistych faktów psychologicznych, która wprawi przyszłych historyków w osłupienie, doprowadziła większość krajów europejskich do wyrzeczenia się prawie zupełnie środków obrony poprzez zastąpienie armii zawodowych, takich jak ta, którą się dziś słusznie zadowala Anglia, przez niezdyscyplinowane masy, którym usiłuje się wpoić w kilka miesięcy znajomość jednego z najtrudniejszych zawodów. Ucząc musztry miliony ludzi nie uczyni się z nich żołnierzy. Wytwarza się w ten sposób bandy bez dyscypliny, niezdolne do oporu i bezwartościowe, bardziej niebezpieczne dla tych, którzy się nimi zechcą posłużyć, niż dla wrogów.[7]

Zagrożenie ze strony tych tłumów z punktu widzenia obrony społeczeństwa polega nie tylko na ich wojskowej niewystarczalności, lecz również na duchu, jaki je ożywia. Armie zawodowe tworzyły specjalne kasty, zainteresowane obroną porządku społecznego; społeczeństwa mogły na nich polegać co do swej obrony. Czy podobne uczucia mogą ożywiać masy, spędzające w pułku tylko tyle czasu, ile trzeba dla poznania dolegliwości zawodu wojskowego i nabycia do niego wstrętu? Wyszedłszy z fabryki, warsztatu, stoczni, do których wkrótce wrócą, czy będą użyteczni przy obronie porządku społecznego? Widzą ciągłe ataki na ten porządek i coraz bardziej go nie znoszą. Tu kryje się niebezpieczeństwo, którego rządy jeszcze nie widzą, a tym samym nie warto na nie nalegać. Wątpię jednak, czy choć jedno społeczeństwo europejskie może długo przetrwać bez stałej armii, opierając się tylko na rekrutach z powszechnego poboru. Ten powszechny pobór zaspokaja nasze chciwe pragnienie równości na niskim poziomie; ale czy można dopuścić, by zaspokojenie takiej potrzeby przeważyło nad samym przetrwaniem ludu?

Przyszłość pouczy narody i ich rządy co do tej sprawy. Doświadczenie jest jedyną książka, której czytanie może ludy czegoś nauczyć. Niestety, lektura ta zawsze je kosztowała bardzo drogo.

[7] Z przyczyn natury czysto moralnej nie jest możliwe zniesienie obowiązkowej służby powszechnej, która ma zresztą tę zaletę, że wpaja trochę dyscypliny osobnikom, którym jej brakuje; można jednak osiągnąć prosty kompromis: skrócić służbę obowiązkową do roku, a utrzymać stałą armię 200-300 tysięcy ludzi, sformowaną jak angielska z ochotników, którzy w karierze wojskowej widzą swój zawód.

Rozdział 3
Nieprzystosowani – podstawowy problem socjalizmu

§ 1. Zwielokrotnianie się liczby nieprzystosowanych

Wśród najważniejszych znamion naszej epoki wspomnieć trzeba to, że w łonie społeczeństw znajdują się jednostki, które dla jakiejkolwiek przyczyny nie umiejąc przystosować się do wymogów nowoczesnej cywilizacji, nie znajdują w tej cywilizacji miejsca. Tworzą bezużyteczny odpad. Są to **nieprzystosowani**.

Wszystkie społeczeństwa miały zawsze pewną ich liczbę, ale nigdy nie była ona tak znaczna jak dziś. Nieprzystosowani do przemysłu i nauki, do zawodu i do sztuk, tworzą armię rosnącą z dnia na dzień. Mimo rozmaitego pochodzenia wszyscy są połączeni wspólnym uczuciem nienawiści do cywilizacji, w której nie umieją znaleźć miejsca. Wszystkie rewolucje, jakikolwiek byłby ich cel, mogą być pewne, że nadbiegną na pierwsze skinienie. Spośród nich socjalizm rekrutuje najżarliwszych żołnierzy.

Ich ogromna liczba i ich obecność we wszystkich warstwach naszego społeczeństwa czynią ich bardziej dla niego niebezpiecznymi niż byli barbarzyńcy dla imperium rzymskiego. Rzym potrafił przez czas dłuższy obronić się przed najeźdźcami z zewnątrz. Współcześni barbarzyńcy są w naszych murach. Jeśli w czasie Komuny nie spalili Paryża do cna, to tylko dlatego, że brakło im po temu środków.

Nie musimy badać, jak na wszystkich szczeblach drabiny społecznej ukształtowała się grupa wyrzutków, nieprzystosowanych. Wystarczy wskazać, że rozwój przemysłu przyczynił się do szybkiego wzrostu ich liczby. Liczby podane w poprzednim rozdziale pokazały stopniowy wzrost płac klas robotniczych i wzrost bogactwa w szerokich masach; jednakże ta ogólna poprawa dotyczy tylko robotników średniej kategorii. Co dzieje się z tymi, których naturalna niezdatność lokuje poniżej średniej? Po jasnym obrazie powszechnej poprawy, jaki nakreśliłem, nastąpi rysunek bardzo ponury.

W starym systemie cechowym zawody podlegały regulacjom, które ograniczały liczbę robotników i przeszkadzały konkurencji; skutki

niższości nie były więc zbyt widoczne. Jednostka należąca do cechu nie wznosiła się zbyt wysoko, ale nie schodziła też zbyt nisko. Nie była odizolowana, nie była włóczęgą. Cech był dla niej rodziną, w żadnym momencie życia nie zostawała sama. Nie musiała mieć dużo miejsca, ale zawsze była pewna, że będzie miała jakieś miejsce, małą komórkę w wielkim społecznym ulu.

Wraz z prawidłowościami ekonomicznymi, które rządzą światem współczesnym, oraz konkurencją, która jest prawem produkcji, stosunki bardzo się zmieniły. Jak to wyraził trafnie Cheysson: *Rozpadł się dawny cement spajający społeczeństwa, ziarna piasku, z których się one składają, podlegają dziś indywidualnemu przeznaczeniu. Każdy człowiek, który w walce o przeżycie przewyższa pod jakimś względem swoje otoczenie, wznosi się jak balonik lekkiego gazu w powietrze, zaś żadne więzy nie przeszkadzają mu w tym; tak samo każdego człowieka mało uzdolnionego pod względem umysłowym czy materialnym czeka groźny upadek, którego nie zahamuje żaden spadochron. Oto triumf indywidualizmu uwolnionego od wszelkiego poddaństwa, ale i pozbawionego opieki.*

W epoce przejściowej, w jakiej żyjemy, nieprzystosowanym z powodu niezdolności jakoś udaje się przeżyć, choć bardzo nędznie. Jest rzeczą fatalną, że ich nędza, już dotkliwa, może tylko się pogorszyć. Zbadajmy dlaczego.

We wszystkich dziedzinach handlu, przemysłu i sztuki najzdolniejsi posuwają się bardzo szybko. Mniej zdolni stwierdziwszy, że lepsze miejsca są już zajęte, zaś z racji swej nieumiejętności potrafiąc dostarczyć tylko pracy podrzędnej, zmuszeni są oferować tę pracę, łatwą do wykonania, po minimalnej cenie. Jednakże konkurencja na terenie małych zdolności jest dużo silniejsza niż między zdolnymi, bo teren ten jest dużo bardziej zaludniony; praca łatwa znajduje więcej wykonawców niż trudna. Wynika stąd, że nieprzystosowany jest zmuszony dla wyprzedzenia rywali obniżać cenę tego, co robi [chałupniczo]. Pracodawca, nabywca miernego produktu przeznaczonego dla klienteli niewymagającej ale szerokiej, dąży oczywiście do płacenia możliwie mało, żeby tanio sprzedać i zwiększyć klientelę. Cena pracy niewykwalifikowanej spada wtedy do dolnej granicy, poniżej której pracujący, ofiara zarówno swojej niezdatności jak i prawideł ekonomii, umarłby z głodu.

System współzawodnictwa o łatwą pracę między nieprzystosowanymi stanowi to, co Anglicy określają w sposób dosadny i trafny jako „sweating system". Jest on w rzeczywistości następstwem „spiżowego prawa", które socjaliści zbyt szybko porzucili, gdyż nadal rządzi ono pracą nieprzystosowanych.

Sweating system – mówi de Rousiers – *rządzi bezwzględnie tam, gdzie jednostki bez należytych umiejętności produkują na własną rękę zwykłe*

przedmioty niskiej jakości. Przybiera on mnóstwo form: w przemyśle odzieżowym krawiec, który zamiast wykonywać zamówienia w swoim warsztacie, oddaje pracę na zewnątrz z minimalnym wynagrodzeniem, praktykuje sweating. Tak samo dom towarowy, który daje szycie biednym kobietom zajętym domem i dziećmi.

Poprzez chałupnictwo w tym systemie produkuje się dziś po nikłym koszcie wszystkie zwykłe towary ze sklepów odzieżowych i meblowych; szwaczki od gorsetów, kamizelek, kapci, koszul nie są w stanie zarobić więcej niż 1 frank 25-50 centymów dziennie; robotnicy stolarscy zarabiają zaledwie 3 franki itd.

Nic smutniejszego niż taki los, ale też nic cięższego niż łańcuch koniecznych przyczyn, które czynią go nieuniknionym. Czy można zaatakować pracodawcę, który zmusza do pracy po niskiej cenie? W żaden sposób, gdyż pracodawcą rządzi pan suwerenny: klienci. Jeśli powiększy płace, będzie musiał podnieść o kilka sou cenę koszuli sprzedawanej za 2 franki 50, pary butów sprzedawanej za 5 franków. Zaraz opuszczą go klienci, idąc do sąsiada sprzedającego taniej. A jeśli wszyscy pracodawcy sprzymierzyliby się dla podwyżki płac? Ale wtedy cudzoziemcy, którzy pracują jeszcze taniej zaleją rynek swoimi towarami, co uczyni los nieprzystosowanych jeszcze cięższym.

Robotnicy będący ofiarami tych okoliczności uwierzyli naiwnie, że można im zaradzić ustalając przy pomocy związków zawodowych płace stałe, poniżej których pracodawca nie może zejść, jeśli nie chce, by pracownicy ich porzucili. Pomocą dla ich żądań są taryfy minimalne ustalone przez zarządy wielkich miast, takich jak Paryż, poniżej których przedsiębiorcy wykonujący roboty publiczne nie mają prawa zatrudniać robotników.

Te stałe płace oraz taryfy przynoszą jak dotąd więcej szkody niż pożytku tym, których mają chronić; posłużyły jedynie za dowód, jak dalece regulacje są bezsilne wobec konieczności ekonomicznej. Pracodawcy ulegli żądaniom związków w pewnych gałęziach przemysłu od dawna istniejących, wymagających drogiego i skomplikowanego sprzętu oraz umiejętnych robotników. Przy innych, bardzo licznych, które nie wymagają takich komplikacji ani takich umiejętności, trudności zostały szybko pokonane na korzyść pracodawców.

Jako przykład pośród niezliczonych podobnych przypadków zacytuję meblarstwo w Paryżu. Dawniej pracodawcy zatrudniali robotników w swoich warsztatach. Odkąd związki oznajmiły swoje wymagania, pracodawcy zwolnili trzy czwarte robotników, zatrzymując tylko najzdolniejszych do prac pilnych i napraw. Robotnicy musieli więc pracować u siebie, a nie mając innych klientów niż pracodawca, właśnie jemu muszą zaoferować wytworzone meble. Pracodawca ze swojej

strony dyktuje warunki. W następstwie konkurencji, jaką robili sobie producenci francuscy i zagraniczni, ceny spadły do połowy, a przeciętnie sprawny robotnik, który niegdyś zarabiał łatwo 78 franków w warsztacie, nie osiąga teraz u siebie zarobku większego niż 45. Tak pracodawca nauczył się uniknąć wymagań socjalistów. Publiczność zyskała na tym tańsze meble, tandetniejsze co prawda, ale za niską cenę. Robotnik w zamian za pogorszenie zarobków uzyskał przynajmniej wiedzę, że prawidłowości ekonomiczne kierujące światem współczesnym nie zmieniają się dzięki związkom zawodowym ani regulacjom.

Jeśli chodzi o przedsiębiorców zmuszonych do przyjęcia taryf narzuconych przez miasta, to uniknęli oni trudności w sposób analogiczny, zatrudniając najlepszych robotników, czyli właśnie tych, którzy żadnej ochrony nie potrzebują, gdyż ich umiejętności wszędzie zapewniłyby im wyższe płace. Przymusowe taryfy mają tylko taki skutek, że zmuszają przedsiębiorców do eliminowania robotników miernych, których by w innym wypadku użyli do prac podrzędnych, kiepsko z pewnością płatnych, ale jednak płatnych. W sumie taryfy mające za cel ochronę robotników, którzy z powodu małych umiejętności ochrony potrzebowali, zwróciły się przeciwko nim, mając za jedyny skutek to, że uczyniły ich sytuację gorszą niż przedtem.

Zasadniczą lekcję, jaka płynie z tego wszystkiego, wskazał de Rousiers odnośnie do „sweating system": *Nic nie uwolni robotnika od własnej wartości.*[1]

Taki jest najwyraźniejszy rezultat konkurencji, jaką stworzyły współczesne prawidłowości ekonomiczne. Jeśli nawet nie zawsze daje ona zwycięstwo zdolniejszym, z reguły jednak eliminuje mniej zdolnych. Ta formuła bliska jest prawu doboru naturalnego, z którego wynika doskonalenie się gatunków rozmaitych istot żywych, a którego człowiek jak dotąd nie potrafił uniknąć.

---

[1] Osobiste walory są najważniejszym kapitałem, który trzeba ze wszystkich sił powiększać. Powinna być to rola edukacji. W krajach łacińskich spełnia ona tę rolę bardzo źle, a w innych bardzo dobrze. W artykule z *Le Temps* z 18 stycznia 1902 czytamy, że nasze towarzystwa kolejowe zostały zmuszone do zakupienia wielkiej ilości lokomotyw i sprzętu w Niemczech (za ponad 40 milionów franków w dwa lata), nie tylko dlatego, że ceny są tam 26% niższe niż we Francji, lecz przede wszystkim dlatego, że nasi przemysłowcy nie są gotowi do wykonania zamówienia. Skąd ta niższość? Po prostu stąd, że personelowi kierowniczemu i wykonawczemu brak odpowiednich umiejętności. Nasze metody produkcji są przestarzałe, narzędzia wadliwe, robotnicy mierni itd. *Całość naszego przemysłu maszynowego* – twierdzi redaktor artykułu, który wspomniałem – *sporo zostaje w tyle za postępami poczynionymi przez konkurentów za granicą.* W tym dziele wskazałem już wielokrotnie przyczyny naszej niewystarczalności, ale sprawy tak ważnej nie sposób za mało podkreślić. Nasza przyszłość zależy całkowicie od poprawienia techniki naukowej i przemysłowej.

Zdolni mają więc w tej konkurencji wszystko do zyskania, niezdolni wszystko do stracenia. Łatwo więc pojąć, że socjaliści życzyliby sobie jej zniesienia. Ale nawet przypuściwszy, że mogliby ją zniszczyć w kraju, którego panami by zostali, jak ją znieść w krajach, gdzie nie mieliby wpływu, a których towary, mimo wszelkich ceł ochronnych, zajęłyby ich rynki?

Badając walki handlowe między ludami Wschodu i Zachodu a potem między ludami Zachodu, zobaczyliśmy, że konkurencja jest nieuniknionym prawem epoki współczesnej. Przenika ona wszędzie, a wszystkie zapory, jakie się stawia na jej drodze, czynią ją twardszą dla przegranych. Narzuca się sama z siebie wszędzie tam, gdzie chodzi o poprawienie jakiejś pracy, naukowej czy przemysłowej, wykonywanej w interesie własnym lub ogólnym. Jako typowy przykład skutków, jakie powoduje, zacytuję przypadek, jaki naocznie obserwowałem, a który w rozmaitych formach powtarza się tysiące razy.

Inżynier, jeden z mych przyjaciół, został postawiony na czele wielkiego przedsięwzięcia utrzymywanego z budżetu, a polegającego na dokonaniu z większą precyzją pomiarów geodezyjnych kraju. Zostawiono mu wolność wyboru pracowników i opłacania ich, pod warunkiem nie przekraczania rocznej sumy mu przyznanej. Pracownicy byli liczni, a suma dość niewielka. Inżynier najpierw próbował sumę, jaką dysponował, podzielić równo między nich. Po stwierdzeniu, że praca idzie marnie i powoli, powziął myśl płacenia wyłącznie akordowo, tworząc sposoby kontroli pozwalające sprawdzić jakość wykonanej pracy. Każdy zdolny pracownik wkrótce doszedł do wykonywania samemu pracy trzech lub czterech zwykłych, zarabiając trzy lub cztery razy więcej. Pracownicy niezdolni lub mało zdolni, nie mogąc wyżyć, sami się usunęli, tak że w niecałe dwa lata budżet przyznany przez państwo, który z początku ledwo wystarczał, przekroczył wydatki o 30%. Państwo zyskało więc na tej operacji pracę wykonaną lepiej, mniej przy tym wydając, zaś zdolni pracownicy osiągnęli potrojenie płacy. Wszyscy byli zadowoleni, naturalnie oprócz niezdolnych, którzy odpadli z powodu swojej nieumiejętności. Przy całej sympatii dla nich, czy można twierdzić, że wspólny interes miał zostać poświęcony na ich rzecz?

Czytelnik, który zechce podrążyć to pytanie, prędko stwierdzi wagę tego jednego z najtrudniejszych problemów społecznych i niemoc środków proponowanych przez socjalistów dla jego rozwiązania.

Waga problemu nie umknęła zresztą socjalistom. Oto jak się wyraża na jego temat w swej niedawnej książce mocno przekonany socjalista włoski Colejanni: *Ta armia bezrobotnych została stworzona przez organizację kapitalistyczną dla swej korzyści, ma ona więc obowiązek*

utrzymywania jej zgodnie z zasadami sprawiedliwości. Zobowiązanie to nie zostało umniejszone przez przyrost liczby nieprzystosowanych, którym niepokoi się Gustave Le Bon. Zasada sprawiedliwości nie może zostać zmieniona, gdyż liczba zainteresowanych nią jest nieskończona. A jeśli liczba nieprzystosowanych przerażająco wzrasta, jest to znak, że obecna organizacja społeczeństwa jest zła, a więc należy ją przekształcić.

Widać, jak elementarnie łatwe może stać się dla socjalistów łacińskich rozwiązanie najtrudniejszych problemów. Ich uniwersalna formuła „przekształcić społeczeństwo" pozwala rozwiązać wszystkie kwestie i sprawić, że na ziemi zapanuje szczęśliwość. Na ich dusze teologów ujarzmione przez wiarę, których żadna wątpliwość już nie dosięga, nie potrafi zadziałać żaden argument.

§ 2. Nieprzystosowani z powodu degeneracji

Do nieprzystosowanych stworzonych przez konkurencję należy dorzucić masę zdegenerowanych rozmaitego rodzaju: alkoholików, rachitycznych itd., których obecna medycyna starannie poprzez postępy higieny podtrzymuje. Właśnie ci osobnicy oddają się bez ograniczeń płodzeniu, co jest wysoce niepokojące i potwierdza fakt już zasygnalizowany, że społeczeństwa biologicznie odnawiają się dziś przede wszystkim w swych najniższych warstwach.

Wiadomo o postępach alkoholizmu w całej Europie. Knajpy mnożą się wszędzie szybko, tak samo we Francji,[2] jak w innych krajach. Stanowią dziś jedyną rozrywkę dostępną tysiącom biedaków, jedyne miejsce złudzeń, jedyne centrum towarzyskie, gdzie na chwilę rozjaśnia się ich ponura zazwyczaj egzystencja. Kościół ich już nie urzeka, co by im zostało po odebraniu knajpy? Alkohol jest opium dla nędzy. Jego spożycie jest najpierw skutkiem, zanim stanie się przyczyną. Szkodliwy staje się zresztą tylko w nadmiarze. Zniszczenie, jakie powoduje, jest jednak tym groźniejsze, że rujnuje przyszłość, sprowadzając degenerację dziedziczną.

Zagrożenie z powodu zdegenerowanych: rachitycznych, alkoholików, epileptyków, wariatów, polega na tym, że nadmiernie mnożą oni masy istot stojących zbyt nisko, by się przystosować do wymagań cywilizacji, skutkiem czego stają się jej wrogami. Chcąc troskliwie zachować jednostkę zagraża się poważnie gatunkowi.

Pomaga się dzisiaj przeżyć – pisze Schera – *masie istot, które przyroda odrzuciła, wątłym dzieciom, cherlakom, półumrzykom, i za wielkie zwy-*

[2] Było ich 350 000 w 1850, 364 000 w 1870, 372 000 w 1881, 430 000 w 1891, z czego 31 000 w Paryżu. [Chodzi zapewne o wszystkie punkty sprzedaży alkoholu, łącznie ze sklepami i winnicami – *uwaga tłumacza*].

cięstwo się uważa przedłużenie ich dni, a troskę o to za współczesny postęp społeczny... Ale tkwi w tym ironia. Te zabiegi pełne poświęcenia i pomysłowości, które tyle istot ludzkich przywracają społeczeństwu, nie przywracają ich zdrowymi, żywotnymi, lecz obarczonymi wadami dziedzicznymi, jakie przyniosły ze sobą przy urodzeniu. A skoro nasze zwyczaje tak jak i prawa nie przeszkadzają tym istotom w małżeństwie, skazane są na przekazywanie trucizny. Stąd płynie oczywiście pogorszenie się ogólnego stanu zdrowia, zakażenie rasy.

Doktor Salomon przytaczał nader uderzający przykład wybrany spośród licznych przypadków, jakie codziennie obserwował. Chodziło o rodzinę pochodzącą ze związku alkoholika z epileptyczką. Mieli dwanaścioro dzieci, wśród których dokładnie dwanaście cierpiało na epilepsję lub gruźlicę.

Co czynić z tymi żałosnymi wytworami? – zapytuje się dr Salomon *– czyż nie byłoby tysiąckroć lepiej, gdyby żadne z nich nie zaczęło istnieć? A jakim obciążeniem są takie rodziny dla społeczeństwa, dla budżetu pomocy społecznej, a w końcu dla wymiaru sprawiedliwości! Bywalec szpitala czy ofiara szubienicy, dziecko alkoholika tylko tyle może osiągnąć. Mnożyć szpitale i policjantów – tak jawi się przyszłość społeczeństw cywilizowanych. W końcu zginą z tego powodu, jeśli płodność stanie się przywilejem tych, których obowiązkiem powinna być właśnie bezpłodność.*

Wielu innych autorów, w tym bardzo sławnych, zajmowało się tym trudnym problemem. Oto co pisał na ten temat Darwin: *U dzikich jednostki słabe na ciele czy umyśle są szybko eliminowane, a ci, co przeżyli, odznaczają się zwykle znakomitym stanem zdrowia. My zaś, ludzie cywilizowani, podejmujemy wszelkie wysiłki, by zatrzymać marsz eliminacji; budujemy schroniska dla idiotów, słabowitych i chorych; stanowimy prawa, by pomóc nędzarzom; nasi lekarze stosują całą swoją wiedzę, by o ile to możliwe przedłużyć każdemu życie. Słusznie się uważa, że szczepionka uratowała tysiące jednostek, które będąc słabej budowy uległyby w innym wypadku ospie. Niedorozwinięci członkowie społeczeństw cywilizowanych mogą się więc rozmnażać bez końca. Otóż każdy, kto się zajmował rozmnażaniem zwierząt domowych wie bez żadnej wątpliwości, jak to uwiecznianie istot niedorozwiniętych musi być szkodliwe dla rasy ludzkiej. Z zaskoczeniem widzi się, że zaniedbania, a choćby starania źle skierowane, prowadzą szybko do degeneracji ras udomowionych; pomijając samego człowieka, nikt nie jest więc takim nieudolnym ignorantem, żeby pozwalać niedorozwiniętym zwierzętom na rozmnażanie się.*

Pozostając pod władzą naszego dziedzictwa chrześcijańskiego zachowujemy zdegenerowanych, ograniczając się do zamknięcia najniżej

stojących, a troskliwie utrzymując pozostałych, którzy mogą się wtedy do woli rozmnażać. Trzeba zobaczyć paru tych degeneratów z bliska, by pojąć absurdalność idei, które prowadzą nas do przedłużania im życia.[3] Oto jak się wyraża na ten temat doktor Maurice de Fleury:

Piętnujemy Spartiatów, którzy w swojej rzece, Eurotasie dokonywali legalnego, administracyjnego topienia dzieci źle wyglądających, o ułomnym ciele i umyśle. Pewnego jednak dnia w Bicêtre, gdy zwiedzałem oddział dzieci opóźnionych w rozwoju dra Bourneville, wobec tego stada całkowicie nieuleczalnych debili, żywo zapragnąłem bezzwłocznego usunięcia tych małych istot bez imienia.

Umieszczone na podwyższeniu, którego gładka podłoga żelazna wychodziła na kanał zbierający ich odchody, ubrane w wełniane koszulki i zawsze zabrudzone majtki, żyły tam, dzieci alkoholu i degeneracji, zniekształcone przy porodzie, ze źle ukształtowanymi czaszkami o kościach grubych i źle połączonych, z oczami mongoloidalnymi, przyrośniętymi uszami, spojrzeniem nieuważnym i na nic nie oczekującym, o cienkich szyjach słabo podtrzymujących dygocące głowy. Od czasu do czasu jedno z nich otwierało usta, podobne do błoniastego ptasiego dzioba, z którego wychodził dziki krzyk, krzyk gniewu bez przyczyny – tymczasem opiekunka, młoda, zrezygnowana, bez zniecierpliwienia szła od jednego do drugiego, tu wycierając nos, tam podcierając, przywiązując do prętów to, które próbowało bić lub gryźć, a wszystkim dając łapczywie połykane kluski. Mówiła do nich, nie rozumiana przez embrionalne mózgi. Daremne słowa, zadanie zawsze bezcelowe, bo są nieuleczalni, nigdy nie przejawią przebłysku myśli, żadnej cząstki duszy. Tacy urosną, bardziej zwierzęcy niż zwierzęta, bez słów, myśli ani uczuć. Nie zrobią postępów. Za dziesięć lat będą podobni, o ile nie zabierze ich litościwe zapalenie płuc.

Są jednak pod opieką, chowa się je w klatce, zachowuje od śmierci. Dlaczego, o bogowie! Czy rzeczywiście jest ludzkie pozwalać tym monstrom oddychać, tym tworom ciemności, koszmarnym larwom? Czy nie myślicie, że byłoby godniejsze zabić, unicestwić tę brzydotę i nieświadomość, których cierpienie nie uszlachetnia?[4]

Należy uznać, że gdyby dobroczynne bóstwo usuwało w każdym pokoleniu rosnące zastępy degeneratów, których tak troskliwie chronimy, oddałoby ogromną przysługę rasie, cywilizacji i samym degeneratom. Ale skoro nasze uczucia humanitarne wymagają, by ich zachować

---

[3] Idee te są inspirowane moralnością, a nie biologią, nie muszą więc zabiegać o zgodność z prawami biologicznymi. Godzi się też zauważyć, że usuwanie ludzi dotkliwie ułomnych zrealizowali właśnie zwalczani przez Le Bona socjaliści, a mianowicie socjaliści narodowi w Niemczech – powołując się właśnie na biologię darwinowską [*przypis tłumacza*].

[4] *Revue du palais* z 1 października 1898.

i sprzyjać ich rozmnażaniu, musimy znosić następstwa tych uczuć. Wiedzmy chociaż, jak to trafnie ujął John Fiske, że zdegenerowani *stanowią element o mniejszej żywotności, podobny do raka ulokowanego wśród zdrowych komórek, a wszystkie ich starania będą wiodły do zniesienia cywilizacji, która ma za skutek ich nędzę*. Są to rzecz jasna, pewni zwolennicy socjalizmu.[5] Posuwając się dalej przez tą książkę, zobaczymy, jak rozmaite i niebezpieczne elementy składają się na tłum uczniów nowej wiary.

§ 3. Sztuczna produkcja nieprzystosowanych

Do masy nieprzystosowanych, stworzonej przez konkurencję i przez degenerację, dochodzą u ludów łacińskich zdegenerowani, których niezdatność wytworzona została sztucznie. Ci nieprzystosowani są fabrykowani wielkim nakładem kosztów przez naszych kolegów na uniwersytetach. Legion maturzystów, magistrów, nauczycieli i profesorów bez zajęcia stać się może pewnego dnia jednym z poważniejszych niebezpieczeństw, przed którym społeczeństwa będą się musiały bronić.

Powstanie tej klasy sztucznie nieprzystosowanych jest rzeczą całkiem nową. Jej pochodzenie jest psychologiczne. Jest następstwem obecnych poglądów.

W każdej epoce ludzie żyli w oparciu o pewną liczbę idei politycznych, religijnych i społecznych, uważanych za bezdyskusyjne dogmaty; z natury rzeczy musieli cierpieć ich skutki. Pośród najpotężniejszych dziś przekonań figuruje to, iż nauczanie teoretyczne, oferowane przez nasz system oświatowy, jest źródłem wyższości. Nauczyciel szkolny i profesor uniwersytetu, niegdyś trochę lekceważeni, stali się za jednym zamachem wielkimi fetyszami nowoczesności. Oni mają zaradzić naturalnym nierównościom, zatrzeć różnice klasowe i wygrywać bitwy.

Skoro kształcenie stało się uniwersalnym panaceum, konieczne było napychać mózgi młodych obywateli greką, łaciną, historią i formułkami naukowymi. By osiągnąć ten rezultat żadna ofiara, żaden wydatek nie wydały się zbyt znaczne. Fabrykacja nauczycieli, maturzystów i magistrów stała się najważniejszą z łacińskich gałęzi przemysłu. Prawie jedyną, która nie zna dziś bezrobocia.

Badając w innej książce łacińską koncepcję wychowania, uwidoczniłem skutki naszego systemu nauczania. Stwierdziłem, że na zawsze

[5] Znakomity profesor mówił mi niedawno, iż stwierdził, że większość jego kolegów, którzy się stali socjalistami, była cherlawa i chorowita. Socjalizm jest dzisiaj, jak chrześcijaństwo u początków, religią słabych [pogląd fałszywy, pierwsi wyznawcy chrześcijaństwa należeli głównie do ówczesnej klasy średniej – *uwaga tłumacza*].

fałszuje osąd, faszeruje umysł frazami i formułami, które wkrótce zostaną zapomniane, nie przygotowuje w niczym do wymagań życia współczesnego, wytwarza tylko ogromne zastępy nieudolnych, zdeklasowanych, a w konsekwencji zbuntowanych.

Dlaczego jednak nasze wychowanie, zamiast być jak kiedyś po prostu bezużyteczne, zmierza dziś do wytwarzania zdeklasowanych i zbuntowanych?

Przyczyna jest bardzo jasna. Edukowanie teoretyczne uderzeniami podręcznika nie przygotowuje absolutnie do niczego oprócz pracy w urzędach państwowych, czyniąc młodych ludzi całkowicie niezdatnymi do niczego innego; żeby przeżyć są zmuszeni cisnąć się ze wszystkich sił do zajęć opłacanych przez państwo. Skoro jednak liczba kandydatów jest ogromna, zaś miejsc – minimalna, przeważająca większość jest eliminowana i nie mając żadnych źródeł utrzymania deklasuje się i buntuje. Dane, na których opiera się powyższe stwierdzenie, pokazują zasięg problemu.

Uniwersytet fabrykuje corocznie 1200 kandydatów na 200 stanowisk profesorskich, jakimi dysponuje. Zostawia więc tysiąc na bruku. Kierują się oni naturalnie ku innym stanowiskom. Tam napotykają jednak zwartą armię wszelkiego rodzaju osób z dyplomami, które ubiegają się o każde zajęcie, nawet najnędzniejsze. Na 40 miejsc dla ekspedytorów, jakie corocznie wakują w prefekturze Sekwany, przypada 23 tysiące kandydatów. Na 150 miejsc dla nauczycieli wakujących w szkołach Paryża przypada 15 tysięcy konkurentów. Ci, którym się nie powiodło stopniowo obniżają swoje wymagania i czasami są zadowoleni, że dzięki protekcji dostali się do firmy robiącej taśmy z adresami, gdzie zarabia się 40 sou dziennie pracując przez dwanaście godzin bez przerwy. Nie potrzeba rozległej wiedzy psychologicznej, by zgadnąć, jakie uczucia wypełniają dusze tych nieszczęsnych wyrobników.

Co się tyczy wybranych, to znaczy szczęśliwych kandydatów, nie należy sądzić, że ich los godny jest pozazdroszczenia: urzędnicy za 1500 franków rocznie, sędziowie pokoju 1800 franków, inżynierowie w centralnej szkole zarabiający zaledwie tyle, co robotnicy z młotami na kolei lub chemicy w fabryce, wszyscy oni mają gorszą sytuację finansową niż średnio zdolny robotnik, mając przy tym dużo mniej niezależności.

Skąd zatem ta pogoń za miejscami w urzędach? Dlaczego gromady dyplomowanych bez pracy nie zniżają się do przemysłu, rolnictwa, handlu i zawodów manualnych?

Z dwóch przyczyn: po pierwsze dlatego, że ci dyplomowani są z powodu swojego wykształcenia czysto teoretycznego całkowicie niezdolni do robienia czegoś innego niż praca w łatwym zawodzie biuro-

kratów, sędziów czy nauczycieli. Mogliby z pewnością zacząć naukę od nowa i terminować. Tego nie robią – i tu leży druga przyczyna – z powodu niemożliwego do wykorzenienia przesądu o niższości pracy fizycznej, przemysłu i rolnictwa, który panuje wśród ludów łacińskich; tylko wśród nich zresztą.

Ludy łacińskie mają bowiem, wbrew zwodniczym pozorom, usposobienie tak mało demokratyczne, że praca fizyczna, bardzo ceniona w arystokratycznej Anglii, uważana jest przez nie za poniżającą, a nawet uwłaczającą. Najpodrzędniejszy biuralista, najmniej ważny nauczyciel, najskromniejszy ekspedytor, uważają się za osobistości w porównaniu mechanikiem, mistrzem, monterem, rolnikiem, którzy tymczasem w swoim zawodzie spożytkowują zwykle nieskończenie więcej inteligencji, rozumowania, inicjatywy niż biurokraci i profesorowie w swoim. Nie mogłem nigdy wykryć i pewien jestem, że nikt tego nigdy nie wykryje, w czym latynista, urzędnik, nauczyciel gramatyki lub historii mogą być uważani za intelektualnie wyżej stojących od dobrego meblarza, zdolnego montera, inteligentnego mistrza. A jeśli po ich porównaniu z punktu widzenia intelektualnego porównać ich użyteczność, stwierdzić można, że latynista, biurokrata, nauczyciel stoją niżej od dobrego robotnika i dlatego ten ostatni jest zwykle lepiej opłacany.

Jedyna widoczna wyższość tych pierwszych, którą można uznać, polega na tym, że noszą garnitur, zwykle dość wytarty, który jednak zachowuje wygląd garnituru, podczas gdy robotnik wykonuje swą prace w bluzie, stroju pogardzanym przez elegancką publiczność. Gdyby zgłębić wpływ psychologiczny wywierany we Francji przez te dwie kategorie stroju, okaże się, że jest on ogromny, w każdym razie dużo większy niż wpływ wszystkich konstytucji wyprodukowanych od stu lat przez tłum adwokatów bez zajęcia. Gdyby za pomocą magicznej pałeczki ktoś nas przywiódł do przyznania, że bluza jest równie elegancka i równie dobrze leży, jak garnitur, nasze warunki życia zmieniłyby się za jednym zamachem. Bylibyśmy świadkami przewrotu w zwyczajach i poglądach o zasięgu większym niż jakikolwiek inny w przeszłości. Ale do tego nie dojdzie, ludy łacińskie długo jeszcze będą musiały dźwigać ciężar swych przesądów i pomyłek.

Następstwa naszej łacińskiej pogardy dla pracy fizycznej będą w przyszłości jeszcze poważniejsze. Z powodu tego uczucia rośnie coraz bardziej groźna armia nieprzystosowanych stworzonych przez nasze nauczanie. Stwierdzając małe uznanie, jakim się cieszy praca fizyczna, czując się wzgardzeni przez burżuazję i uniwersytet, chłop i robotnik w końcu zaczynają wierzyć, że należą do niższej kasty, z której trzeba za wszelką cenę wyjść. Ich jedynym marzeniem staje się za cenę wyrzeczeń umieścić synów w kaście ludzi z dyplomem. Najczęściej

udaje się im jedynie stworzyć z nich nieprzystosowanych, z braku majątku niezdolnych do wzniesienia się ku burżuazji, a z powodu wykształcenia niezdolnych do wykonywania zawodu ojca. Ci nieprzystosowani w swym nędznym życiu dźwigają ciężar fatalnych błędów, których ofiarami uczynili ich rodzice. Będą to pewni rekruci dla socjalizmu.

Obecny uniwersytet wywiera na Francję zgubny wpływ nie tylko z powodu nauczania, jakie daje, lecz również przez swego ducha, bardzo mało demokratycznego. Odgrywa zgubną rolę afiszując się z pogardą dla pracy fizycznej i wszystkiego, co nie jest teorią, frazą lub mową; przekonując swoich studentów, że dyplomy tworzą z nich rodzaj intelektualnej szlachty, lokując swych posiadaczy w wyższej kaście i dając im dostęp do bogactwa lub przynajmniej dobrobytu. Po długich i kosztownych studiach absolwenci są zmuszeni stwierdzić, że nie osiągnęli żadnego wzrostu inteligencji, że nie wyszli ze swej kasty, że muszą zaczynać od początku. Wobec straconego czasu, wobec uzdolnień straconych dla użytecznej pracy, wobec perspektywy upokarzającej biedy, która ich czeka, jakże nie mają stać się buntownikami?[6]

Nauczyciele uniwersyteccy nie widzą naturalnie żadnej z tych rzeczy. Przeciwnie, praca napełnia ich, jak wszystkich apostołów, najżywszym entuzjazmem; nie pomijają okazji do odśpiewania hymnów triumfalnych.

Żeby zrozumieć entuzjazm, jaki ich ogarnia wobec owoców swego dzieła – pisze H. Berenger – *trzeba przeczytać książki Liarda i Lavisse'a, dwóch głównych budowniczych naszego szkolnictwa wyższego. Czy słyszą oni głuchy, lecz potężny pomruk tych wszystkich, których uniwersytet oszukał, dzięki któremu wznieśli się tylko po to, by spaść w większą nędzę; tych, których wszędzie zaczyna się nazywać intelektualnymi proletariuszami?*

Niestety nie! Nie słyszą, a jeśli słyszą, wcale nie rozumieją. Dzieło tych akademików przyniosło istotnie skutki szczególnie zgubne, bardziej zgubne niż czyny Marata i Robespierre'a, którzy przynajmniej nie deformowali dusz. Czy jednak można twierdzić, że było to naprawdę ich dzieło? Gdy pewne złudzenia królują w duszach z całą mocą, czy należy atakować podrzędnych wykonawców, ślepych wspólników, którzy jedynie byli posłuszni ogólnej tendencji swoich czasów?

Nie wybiła jeszcze godzina przebudzenia z koszmarnych złudzeń co do wartości wychowania łacińskiego. Przeciwnie, srożą się one bardziej

[6] Czytając manifest pełen nienawiści i furii przeciw społeczeństwu, opublikowany ostatnio przez „studentów kolektywistów", można sobie zdać sprawę z postępów socjalizmu wśród młodzieży uniwersyteckiej.

niż kiedykolwiek. Pilna młodzież coraz liczniej żąda codziennie od uniwersytetu spełnienia swych marzeń i nadziei. Liczba studentów, która wynosiła 10 900 w 1878 roku, a 17 600 w 1888, waha się teraz koło 30 000. Jakaż to armia osób zdeklasowanych, zbuntowanych, zaś w konsekwencji przyszłych działaczy socjalistycznych!

Jakby liczba przyszłych zdeklasowanych nie wydawała się jeszcze dość duża, żąda się od państwa stypendiów, by umożliwić jej zwiększenie! Daremnie kilka światlejszych osób alarmuje, widząc niebezpieczeństwo. Ich głos rozbrzmiewa na pustyni bezużytecznie i bez echa. *Miliony, jakie budżet wydaje na stypendia* – mówił niedawno Bouge wobec Izby Deputowanych – *są drobiazgiem wobec problemu społecznego, jakim jest niedopuszczenie, by stały się wytwórnią zdeklasowanych. Tych i tak zbytnio przybywa, nawet bez pomocy państwa polegającej na rozdawnictwie stypendiów.*[7]

Czytelnik widzi teraz, w jaki sposób powstała, na sposób całkowicie sztuczny, nowa armia nieprzystosowanych. Właśnie ona stanie się pewnego dnia szczególnie niebezpieczna i dostarczy socjalizmowi najgroźniejszych batalionów. Jeszcze raz powtarzam, socjalizm kiełkuje najmocniej nie w duszy ludu, lecz wśród zdeklasowanych wyprodukowanych przez uniwersytet. W gotującym się zniszczeniu społecznym nasz uniwersytet odegra bardzo aktywną rolę. Przyszli historycy będą dla niego surowi i nie pożałują epitetów, widząc, ile uczynił zła, zwłaszcza jeśli je porównać do dobra, które uczynić mógł.

---

[7] Klasyczne wykształcenie wyższe jest artykułem luksusowym, przydatnym tylko tym, którzy mają już pewne zasoby; nie ma więc istotnego powodu, by go udzielać bezpłatnie; dobrze to pojęli Amerykanie. Młody człowiek, który odczuje jego potrzebę w związku z posiadanymi uzdolnieniami, zawsze znajdzie sposób, by najpierw zarobić na życie, co będzie zresztą dla niego doskonałym przygotowaniem na przyszłość. Tak robią studenci biedni w kraju naprawdę demokratycznym, jakim jest Ameryka. W pracy na temat uniwersytetu w Chicago, który zwiedził, jeden z najwybitniejszych uczonych francuskich Moissan wyraża się tak:

W większości uniwersytetów amerykańskich spotyka się młodych ludzi bez majątku, którzy dla zapłacenia czesnego wynoszącego w Chicago około 175 franków za trymestr zajmują się poza godzinami wykładów i studiów jakąś pracą fizyczną. Jakiś student zapala lampy gazowe, inny pracuje wieczorem w hotelu. Inny zarabia na jedzenie jako służący czy kucharz swoich kolegów. Inny ze skromnej pensji zaoszczędził przez kilka lat tyle, że może iść na uniwersytet po dyplom.

Można być pewnym, że ci młodzi ludzie, którzy mieli dość energii na taki wysiłek, nie będą nigdy zdeklasowani i powiedzie im się w życiu bez względu na rodzaj kariery, jaki wybiorą.

Rozdział 4
Wykorzystanie nieprzystosowanych

§ 1. Przyszły atak ze strony nieprzystosowanych

Przyjrzeliśmy się temu, w jaki sposób specyficzne warunki obecnej epoki ogromnie pomnożyły masę nieprzystosowanych. Ten tłum niezdolnych, wydziedziczonych, zdegenerowanych jest poważnym zagrożeniem dla wszystkich cywilizacji. Zjednoczeni we wspólnej nienawiści przeciw społeczeństwu, w którym brak dla nich miejsca, chcą je tylko zwalczać. Jest to armia gotowa do wszelkich rewolucji, nie mająca nic do stracenia, a wszystko do zyskania, przynajmniej nadzieję. Jest gotowa przede wszystkim do każdego niszczenia. Nic bardziej naturalnego, niż uczucie nienawiści, jakie zdeklasowani żywią wobec zbytnio dla nich zawiłej cywilizacji, do której przystosować się nie czują się zdolni. Czekają tylko na okazję do szturmu.

Niebezpieczeństwo grożące Europie w jeszcze bliższej przyszłości grozi Stanom Zjednoczonym. Wojna secesyjna była wstępem do krwawej walki, która wkrótce wybuchnie między różnymi warstwami żyjącymi na ich terenie. Instynkt wszystkich nieprzystosowanych na ziemi kieruje ich ku Nowemu Swiatu.[1] Mimo tej inwazji, której ryzyka nie dostrzega żaden amerykański mąż stanu, rasa angielska jest nadal w Stanach Zjednoczonych większością, ale Irlandczycy, Słowianie, Murzyni, Włosi itd. mnożą się coraz bardziej. W szczególności Stany Zjednoczone liczą dziś około 8 milionów Murzynów.

Roczna imigracja 400 000 tysięcy cudzoziemców bez przerwy zwiększa tę niebezpieczną populację. Cudzoziemcy tworzą prawdziwe kolonie, zupełnie obojętne a czasami wręcz wrogie wobec przybranej ojczyzny. Nie związani z nią więzami krwi, tradycji, języka, nie troszczą się o jej interesy ogólne. Chcą tylko, by ich żywiła.

Ich byt jest tym trudniejszy a nędza tym dotkliwsza, że konkurują z najbardziej energiczną rasą na świecie. Mogą przeżyć prawie wyłącznie pod warunkiem, że się podejmą prac najmniej ważnych, posad

---

[1] Le Bon nie dostrzegł, że emigracja pociąga energiczniejszych, zdolnych do przystosowania się, nastawionych pozytywnie wobec Ameryki. Stąd nietrafność wielu następnych wniosków co do białych imigrantów – i ich trafność co do zdeklasowanych Afroamerykanów [*przypis tłumacza*].

najpodrzędniejszych, a tym samym, że się zadowolą wysoce niewystarczającą płacą.

Ci cudzoziemcy tworzą dopiero 15% całej ludności Stanów Zjednoczonych, ale w pewnych regionach są bliscy stania się większością, i będą wkrótce większością, jeśli Murzyni nadal będą się mnożyli jak króliki. Ich liczba podwoiła się w trzydzieści lat. I tak stan Dakota Południowa liczy już 44% cudzoziemców. Dziewięć dziesiątych Murzynów skupia się w piętnastu stanach południowych, gdzie tworzą trzecią część ludności. W Karolinie Południowej są większością, przekraczając 60%. Dorównują liczebnością białym w Luizjanie.

Wiadomo jak traktuje się Murzynów na ziemi amerykańskiej, gdzie powszechnie ich wyzwolenie z niewolnictwa uważane jest za kolosalną pomyłkę. W teorii cieszą się wszystkimi prawami przyznanymi innym obywatelom, ale w praktyce przy jakimkolwiek wykroczeniu są wieszani bądź powalani kulą bez żadnego procesu. Traktowani jak gatunek zwierząt pośredni między małpą a człowiekiem, gotowi będą do wstąpienia do każdej armii, która podejmie walkę przeciw wielkiej republice.

Ludność czarna stała się koszmarem Ameryki. Tych 8 milionów dzikich nie dało się po trzydziestu latach wysiłków wznieść na poziom choćby pół cywilizowany, a co więcej od zniesienia niewolnictwa przeżyli widoczny regres umysłowy. Ich nieuleczalne lenistwo, głupota i niebezpieczna brutalność czynią ich bezużytecznymi w kraju cywilizowanym. Proponowano dla pozbycia się ich najróżniejsze środki. Radzono skupić ich w niektórych stanach, deportować na Kubę i na Filipiny itd. Poza nielicznymi wyjątkami Murzyn niestety stoi na tyle nisko, że można go czegoś nauczyć i uczynić go pożytecznym jedynie w niewoli. Amerykanów doprowadza do desperacji to, że dla poznania tej elementarnej prawdy psychologicznej musieli w czasie wojny secesyjnej, podjętej jak wiadomo dla zniesienia niewolnictwa, wydać 5 miliardów i rzucić na śmierć milion ludzi. Dopiero za cenę takich wydatków mogły się przyjąć w masach pewne idee, wśród uczonych od dawna uznane za oczywiste.[2]

[2] Jestem głęboko przekonany, że po zakończeniu podboju Afryki Europejczycy będą musieli dla jej ucywilizowania wprowadzić niewolnictwo, zatroszczywszy się oczywiście o nazwanie go nowym słowem, żeby nie martwić filantropów. Nie spotkałem dotąd ani jednego podróżnika, który mieszkał w Afryce, a sądzi, że można Murzynów ucywilizować inaczej. Wszyscy to mówią, ale jak sądzę jestem pierwszym, który ośmiela się to napisać. [Można tu zaznaczyć, że Le Bon pisząc o Murzynach używa zwykle słowa „negre". Było ono jednak przed stu laty we Francji zwykłym określeniem mieszkańców Afryki, dlatego nie jest tłumaczone jako „Negr" lecz „Murzyn". Poglądów autora na temat ówczesnego stanu Murzynów nie ma zresztą potrzeby zaostrzać. Warto natomiast zauważyć, że mieszają się w nich uprzedzenia rasistowskie z trafnym przeczuciem trudności, jakie się pojawią przy próbie pokonania różnic kulturowych, jak również niebezpieczeństwa, iż mniejszości etniczne w kraju bogatym mogą zająć postawę anarchiczną i pasożytniczą, na

Jakkolwiek by było, 8 milionów Murzynów amerykańskich tworzy tłum, którego niełatwo się pozbyć, a zbyt wiele rozmaitych interesów wchodzi dziś w grę, by można było przywrócić niewolnictwo. Amerykanie pozbyli się Chińczyków zabraniając im wstępu do Stanów, zaś Indian zamykając ich na terenach otoczonych czujnymi strażnikami wyposażonymi w powtarzalne karabiny i poinstruowanych, że mają strzelać jak do królików do wszystkich, których głód zmusi do opuszczenia zamknięcia. Trudno jednak by było tak postąpić z milionami Murzynów, a zupełnie niemożliwe z masą białych cudzoziemców rozsianych po miastach. Tym bardziej, że ci biali są wyborcami i mogą wysyłać swych przedstawicieli, by zasiadali w Izbach i sprawowali władzę publiczną. Podczas ostatniego strajku w Chicago gubernator stanu opowiedział się po stronie powstańców.

Wielki historyk Macaulay w liście przesłanym pewnemu Amerykaninowi w 1857 roku w następujących słowach przewidywał wynik takich przyszłych starć:

Nadejdzie dzień, gdy w stanie Nowy Jork tłum ludzi jedzących nędzne śniadanie i nie oczekujących lepszego obiadu będzie wybierało Izby; czy można mieć wątpliwości co do charakteru Izb, jakie będą wybrane? Z jednej strony polityk, który wzywa do cierpliwości, szanowania praw nabytych, wierności zobowiązaniom publicznym; z drugiej demagog, który wygłasza deklamacje przeciwko tyranii kapitalistów i lichwiarzy, który pyta, jakim prawem ktoś pije szampana i jeździ powozem, gdy tysiącom zwykłych ludzi brak rzeczy niezbędnych. Który z tych kandydatów ma większe szanse na głos robotnika, którego dzieci domagają się chleba? Obawiam się, że w takiej sytuacji podejmiecie złe środki zaradcze. Jedno z dwojga: albo jakiś Cezar czy Napoleon pochwyci w silne ręce wodze rządzenia, albo też wasza republika zostanie złupiona przez barbarzyńców XX wieku tak strasznie, jak imperium rzymskie przez barbarzyńców V wieku. Różnica polegać będzie na tym, że Hunowie i Wandale przybyli z zewnątrz, podczas gdy wasi łupieżcy zrodzą się w waszym własnym kraju i z waszych własnych instytucji.

Od dawna jestem przekonany – konkluduje Macaulay – *że instytucje całkowicie demokratyczne prędzej czy później zniszczą albo wolność, albo cywilizację, albo jedno i drugie.*

Biorąc pod uwagę energiczny charakter Anglosasów z Ameryki jestem pewien, że uda im się pokonać niebezpieczeństwo, które widział Macaulay, ale jedynie za cenę walk bardziej niszczących niż wszystkie zapisane w historii.

---

której żerować będą demagodzy lewicowi. Przyjrzawszy się dzisiejszym rozruchom murzyńskim w USA, usprawiedliwianym przez pięknoduchów, Le Bon zapewne pokiwałby głową i rzekł „a nie mówiłem?" [*Uwaga tłumacza*].

Nie musimy się tu zresztą zajmować przeznaczeniem Ameryki. Jej wewnętrzne spory mało dotkną Europę, na którą rządzący Ameryką nie mają wpływu. Europa niczego na nich nie straci, a może zyskać użyteczną lekcję.

Nasi europejscy nieprzystosowani szczęśliwie nie są ani tak liczni, ani tak niebezpieczni, jak amerykańscy; niemniej jednak są bardzo groźni. Wybije godzina, w której zostaną zwerbowani pod sztandar socjalizmu, tak że trzeba będzie im wydać krwawą bitwę. Te ostre kryzysy będą jednak z natury rzeczy chwilowe. Jakikolwiek byłby ich wynik, problem wykorzystania nieprzystosowanych będzie występował jeszcze długo z takim samym nasileniem. Poszukiwanie rozwiązania będzie dotkliwie ciążyło na przeznaczeniu ludów przyszłości. Nie da się dziś przeczuć, jakimi sposobami będą mogły je znaleźć. Wskażemy dlaczego tak się dzieje.

§ 2. Wykorzystanie nieprzystosowanych

Dotychczas jedynymi metodami pomocy dla nieprzystosowanych była dobroczynność prywatna i pomoc państwa. Doświadczenie jednak dowiodło, że są to środki po pierwsze niewystarczające a po drugie niebezpieczne. Nawet zakładając, że państwo lub pojedyncze osoby byłyby wystarczająco bogate, by utrzymać tłum nieprzystosowanych, to utrzymywanie ich tylko by zwiększyło ich liczbę. Do prawdziwych nieprzystosowanych wkrótce dołączą na pół nieprzystosowani, którzy woląc lenistwo od trudu, pracują obecnie tylko dlatego, że ich głód do tego zmusza.

Dobroczynność publiczna czy prywatna doprowadziły jak dotąd tylko do znacznego zwiększenia się liczby nieprzystosowanych. Skoro tylko zaczyna gdzieś działać biuro opieki społecznej, liczba biednych rośnie gwałtownie. Znam wieś pod Paryżem, gdzie prawie połowa mieszkańców zapisana jest w biurze pomocy.

Badania nad tym tematem dowiodły, że 95% biednych otrzymujących we Francji pomoc to osobnicy odmawiający przyjęcia jakiejkolwiek pracy. Ta liczba wynika przede wszystkim z eksperymentów przeprowadzonych pod nadzorem Monoda, dyrektora w ministerstwie spraw wewnętrznych. Na wybranych przypadkowo 727 żebraków, którzy nie byli ułomni a skarżyli się na brak zajęcia, tylko 18 zgodziło się wykonywać łatwą pracę przynoszącą im 4 franki dziennie. Opieka prywatna czy publiczna pomaga więc im jedynie w lenistwie. W raporcie na temat biedy we Francji de Waterville pisał kilka lat temu:

Od sześćdziesięciu lat działa czynnie administracja opieki społecznej w miejscu zamieszkania, a nigdy nie widziano ubogiego wydobytego

z nędzy i mogącego zaspokoić swe potrzeby dzięki tej formie dobroczynności. Przeciwnie, czyni ona często z biedy stan dziedziczny. Widzimy więc w spisach tej administracji wnuków ubogiego, któremu przyznano pomoc w 1802 roku, zaś jego synowie w 1830 również zostali zarejestrowani w tych fatalnych spisach.

W *Prawie ludności* Malthus wyraził się na ten temat następująco: *Główna i stała przyczyna biedy ma mało wspólnego z formą rządu lub z nierównym podziałem dóbr; nie jest we władzy bogatych dostarczyć biednym zajęcia i chleba; tym samym biedni z natury rzeczy nie mają wcale prawa, by tego od nich żądać... Skoro zarówno doświadczenie jak i teoria pokazują nieodparcie, że przyznanie takiego prawa zwiększyłoby potrzeby ponad jakąkolwiek możliwość ich zaspokojenia, jak też dlatego, że próba podjęcia takiego przedsięwzięcia w sposób nieuniknіony wtrąciłaby rodzaj ludzki w najstraszniejsza nędzę, jest jasne, że nasze postępowanie, milcząco negujące istnienie prawa, o którym mowa, jest zgodniejsze z prawami naszej natury, niż jałowe deklamacje, przy pomocy których rzekomo owe prawa wprowadzamy.*

Sławny pisarz angielski Herbert Spencer napisał na ten sam temat słowa jeszcze bardziej stanowcze:

Jest wielkim okrucieństwem żywić niezdatnych kosztem zdolnych. Jest to świadome gromadzenie biedy dla przyszłych pokoleń. Nie sposób zrobić potomności gorszego prezentu, niż rosnąca liczba idiotów, leni i kryminalistów. Pomagać złym w mnożeniu się, to w gruncie rzeczy mnożenie wrogów naszych potomków. Wolno się pytać, czy głupia filantropia, która myśli tylko o obecnych nieszczęściach i upiera się nie dostrzegać nieszczęść pośrednio wywołanych, nie wytwarza w sumie więcej nędzy, niż skrajny egoizm. Odmawiając rozważenia odległych następstw swej nierozważnej hojności, ten, co daje bezmyślnie, stoi trochę tylko wyżej niż pijak, który marzy o przyjemności dziś, zapominając o jutrzejszej przykrości, albo niż rozrzutnik, który szuka bliskich rozrywek za cenę końcowej biedy. Pod jednym względem jest gorszy, bo delektując się chwilą dawania przyjemności, innym pozostawia przyszłe nieszczęścia, których sam unika. Jedna rzecz zasługuje na jeszcze surowsze potępienie: a mianowicie marnotrawstwo pieniędzy inspirowane przez fałszywą interpretację maksymy „dobroczynność gładzi wiele grzechów".[3] *U wielu ludzi, którzy pod wpływem tej fałszywej interpretacji wyobrażają sobie, że dużo rozdając mogą odkupić swe złe czyny, w rzeczywistości dochodzi do głosu podłość. Usiłują uzyskać dobre miejsce w innym świecie, nie martwiąc się, ile to może kosztować bliźnich.*

[3] Chodzi o przekręcone zdanie biblijne z 1 Listu św. Piotra (4,8): *Miłość zakrywa wiele grzechów.* [*Uwaga tłumacza*]

Oprócz jednak dobroczynności we właściwym znaczeniu, mającej po prostu dopomóc w potrzebie komuś, kto nie może czy nie chce pracować, nasuwa się inny problem, a mianowicie, czy państwo nie powinno, jak twierdzą socjaliści, podjąć się przydzielenia pracy jednostkom, które jej nie mają, mimo iż jej poszukują?

Ta teoria w oczywisty sposób wypływa z łacińskiej koncepcji państwa i nie musimy jej tutaj dyskutować. Wystarczy nam, nie zajmując się samą zasadą, zbadać po prostu, czy państwo jest w stanie wypełnić rolę, którą chce się mu przyznać. Takiego doświadczenia dokonywano wiele razy, gdyż prawo do pracy nie zostało proklamowane dopiero dzisiaj, łatwo zatem odpowiedzieć na powyższe pytanie.

Zgromadzenie Narodowe i Konwent po zadekretowaniu w latach 1791 i 1793 stworzenia zakładu mającego *dać pracę zdrowym biedakom, którzy nie mogą jej znaleźć*, oraz stwierdzeniu, iż *społeczeństwo winne jest utrzymanie obywatelom w niedoli*, powołało warsztaty narodowe. W 1791 zatrudniały one w Paryżu 31 000 robotników zarabiających czterdzieści sou dziennie. Robotnicy ci przybywali na budowy około dziesiątej i wychodzili o trzeciej, w międzyczasie tylko pijąc, śpiewając i grając w karty. Gdy pytano o to inspektorów mających ich nadzorować, odpowiadali po prostu, że nie mogli wyegzekwować posłuszeństwa dla swoich rozkazów i nie chcieli ryzykować poderżnięcia gardła.

Taki sam obraz przedstawiały nasze warsztaty narodowe w 1848 roku – pisze Cheysson – *które doprowadziły do krwawych dni lipcowych (kiedy próbowano je znieść)... Ciekawe, że mimo lekcji historii przesąd o prawie do pracy zachował wiernych zwolenników. Odbył się niedawno w Erfurcie szósty społeczny kongres ewangelików, rodzaj parlamentu Kościołów reformowanych, dokładnie przepojony socjalizmem chrześcijańskim. Pod wpływem raportu znanego publicysty de Massona, aktywnego współpracownika pastora Badelswinga, w którym postulował stworzenie kolonii dla robotników, Kongres proklamował, iż „jest ścisłym obowiązkiem dobrze zorganizowanego państwa zwalczyć, o ile to możliwe, społeczną plagę niezasłużonego bezrobocia". Jest to umiarkowana formuła prawa do pracy.*

W systemie socjalistycznym państwo zorganizuje nowe warsztaty narodowe. Żeby stwierdzić, do czego może prowadzić taka organizacja, wystarczy odwiedzić nasze arsenały. Lockroy, dawny minister marynarki, sygnalizował w *Le Temps* z 2 listopada 1906 roku, że „tona uzbrojona" kosztuje w Breście 141 franków, 220 w Lorient i 460 w Rochefort.

Widać, dokąd może zaprowadzić teoria prawa do pracy i interwencja państwa. Problem dyskutowany w tym rozdziale zajmował wybitne

umysły od dawna, żaden z nich jednak nie potrafił znaleźć choćby częściowej odpowiedzi. Jest zresztą oczywiste, że gdyby tę odpowiedź znaleziono, kwestia społeczna byłaby w znacznej części rozwiązana.

Skoro jednak pozostaje jak dotąd niemożliwa do znalezienia, socjalizm, pretendujący do rozwiązania problemów nierozwiązalnych i nie cofający się przed żadną obietnicą, jest dziś tak groźny. Ma za sojuszników wszystkich wydziedziczonych, wszystkich przegranych życiowo, wszystkich nieprzystosowanych, których pochodzenie objaśnione zostało wyżej. Stanowi dla nich ostatni promyk nadziei, która nigdy nie umiera w ludzkim sercu. Skoro jednak jego obietnice są w sposób konieczny próżne, jako że rządzące naszym losem prawa przyrody nie mogą ulec zmianie, jego niemoc objawi się wszystkim oczom natychmiast po zwycięstwie, a wtedy będzie miał za wrogów te same tłumy, które zwiódł, a które pokładają w nim teraz nadzieję. Raz jeszcze wykorzystany, człowiek raz jeszcze podejmie wieczny trud tworzenia utopii zdolnych na pewien czas rzucić czar na jego duszę.

Księga VI
EWOLUCJA ORGANIZACJI SPOŁECZEŃSTWA

Rozdział 1
Źródła i podział bogactw: inteligencja, kapitał i praca

Odkrycia naukowe i techniczne obecnej epoki skazały społeczeństwa na daleko idącą ewolucję. Stwierdziłem to już w wielu miejscach tej książki. Pozostaje nam sprecyzować w tym rozdziale i w następnych, jakie są główne cechy tej ewolucji.

Najważniejsze obecne przemiany społeczne wynikają z problemu podziału bogactw. Jednakże przed zbadaniem, jak bogactwo może być podzielone, trzeba najpierw wiedzieć, jak powstaje. To więc zbadamy najpierw.

Socjaliści uznają wyłącznie dwa źródła bogactwa: kapitał i pracę. Wszystkie ich żądania dotyczą zbyt dużej ich zdaniem części, którą sobie przypisuje kapitał. Nie mogąc zaprzeczyć jego niezbędności w nowoczesnym przemyśle, marzą o tym, by przynajmniej usunąć kapitalistów.

Oprócz kapitału i pracy istnieje jednak trzecie źródło bogactwa: inteligencja. Socjaliści zwykle przypisują jej małą wartość. Tymczasem jej wpływ jest dominujący i dlatego od niej zaczniemy nasze badania.

§ 1. Inteligencja

U brzasku cywilizacji możliwości umysłowe odgrywały tylko nieco większą rolę niż praca fizyczna. Wraz z postępem nauki i techniki ich rola stała się tak dominująca, że nie sposób jej przecenić. Praca zwykłego robotnika niewykwalifikowanego przynosi korzyść tylko jemu, gdy dzieła inteligencji wzbogacają całą ludzkość. Pewien socjalista zapewniał w mowie do Izby Deputowanych, *że nie ma ludzi, którzy*

w ludzkiej rzeczywistości byliby warci tyle, co sto tysięcy. Jest oczywiście odwrotnie, w ciągu niecałego wieku można zacytować, od Stephensona po Pasteura, całą elitę wynalazców, z których każdy wart dużo więcej niż sto tysięcy zwykłych ludzi i to nie tylko w sferze wartości teoretycznej tego, co wyszło z ich mózgów, lecz i dzięki bogactwu, jakie te wynalazki zapewniły światu – bogactwu, z którego skorzystali wszyscy pracujący.[1] Jeśli w dniu sądu ostatecznego czyny będą zważone stosownie do ich prawdziwej wartości, jak ogromną wagę osiągną prace tych potężnych geniuszy? Większa część istniejącego w świecie kapitału zawdzięcza swe istnienie ich odkryciom. Angielski ekonomista Mallock oszacował udział zdolności nielicznej elity na jedną trzecią obecnego dochodu Anglii. Ta elita sama wytwarza o wiele więcej niż cała reszta ludności. Historia cywilizacji to w rzeczywistości historia wielkich ludzi. Ludy, które takich wybitnych jednostek nie miały, nie miały ani cywilizacji, ani historii.

Socjaliści wszystkich szkół wzdragają się przed uznaniem znaczenia wyższości umysłowej. Marks rozumie przez pracę tylko robotę fizyczną, a na drugi plan odsuwa ducha wynalazczości, uzdolnienia, kierowanie, choć przekształciły one świat.

Ta nienawiść socjalistów do inteligencji jest dość uzasadniona, gdyż właśnie inteligencja zawsze będzie przeszkodą, na której rozbiją się ich idee egalitarne. Wyobraźmy sobie, że poprzez zarządzenie podobne do odwołania edyktu nantejskiego – zarządzenie, jakiego socjaliści będąc u władzy szybko by spróbowali – wszyscy Europejczycy stojący intelektualnie wyżej: uczeni, artyści, przemysłowcy, wynalazcy, zostaliby wygnani z krajów cywilizowanych i zmuszeni do schronienia się na wyspie dziś bezludnej.[2] Nie ulega jednak wątpliwości, że ta wyspa, choćby nie wiadomo jak ogołocona, szybko stałaby się pod względem cywilizacji

---

[1] Nawet pomijając wielkie odkrycia jak maszyna parowa i kolej żelazna, można by setkami cytować wynalazki, z których skorzystały masy robotników. Pewne wynalazki, jak przeróbka surówki na stal dokonana przez Bessemera, zrewolucjonizowały przemysł i zapewniły prace tysiącom ludzi. Cena stali wynosiła przed nim 1500 franków, a zużycie nie przekraczało 50 000 ton. Po odkryciu cena spadła do 150 franków a zużycie stało się dwudziestokrotnie większe. Stal zastąpiła drewno w konstrukcji statków i kamień w wielkich budowlach. Można sobie wyobrazić, na jakie przeszkody napotkałyby analogiczne odkrycia w systemie socjalistycznym, obserwując, jaką opozycje wzbudzały niekiedy u zorganizowanych w korporacje uczonych. Kiedy Bessemer ogłosił swoje odkrycie w 1856, w brytyjskim towarzystwie popierania postępu nauk zostało ono uznane za tak mało interesujące, że odmówiono umieszczenia artykułu z jego opisem w sprawozdaniach stowarzyszenia.

[2] Dość podobnie powstało państwo na Tajwanie. Przepowiednia Le Bona spełniła się też w pewien sposób przez emigrację naukowców oraz ludzi z inicjatywą z bardziej socjalistycznej Europy do mniej socjalistycznej Ameryki. Na podobnej zasadzie Polska straciła od 1956 roku większość swojej potencjalnej klasy wyższej i średniej [*przypis tłumacza*].

i bogactwa pierwszym krajem świata. To bogactwo stałoby się wkrótce takie, że jego posiadacze mogliby utrzymywać ogromną armię najemników i nie bać się nikogo.

§ 2. Kapitał

Kapitał obejmuje wszystkie przedmioty: towary, narzędzia, domy, ziemie, które mają jakąkolwiek wartość w handlu. Pieniądz jest tylko jej znakiem umownym, jednostką handlową służącą do wyceny i wymiany różnych przedmiotów.

Dla socjalistów praca jest jedynym źródłem i miarą wartości. Kapitał miałby być jedynie cząstką nie opłaconej pracy, ukradzioną robotnikowi.

Byłoby bezużyteczną stratą czasu dyskutowanie stwierdzeń tyle razy obalonych. Kapitał jest skutkiem akumulacji pracy, czy to materialnej, czy to – przede wszystkim – umysłowej. To kapitał uwolnił człowieka od niewoli dawnych wieków, a zwłaszcza przyrody, i stanowi dziś podstawowy fundament wszystkich cywilizacji. Sciganie go i zwalczanie oznaczałoby zmuszenie go do ucieczki lub ukrycia się, a tym samym zabicie za jednym zamachem przemysłu, którego by już nie podtrzymywał, a w następstwie zniesienie płac. Są to banały naprawdę nie wymagające żadnego dowodu.

Pożytek z kapitału w wielkim przemyśle jest tak oczywisty, że wszyscy socjaliści mówią dziś o usunięciu kapitalistów, a nie o usunięciu kapitału. Wielki kapitalista oddaje społeczeństwu ogromne usługi poprzez redukcję kosztów produkcji i ceny sprzedażnej towarów. Wielki przemysłowiec, importer, dom towarowy, może się zadowalać zyskiem 5-6%, a w konsekwencji sprzedawać towary dużo taniej niż drobny przemysłowiec czy kupiec, dla pokrycia kosztów i zarobienia na utrzymanie zmuszony do podrażania swoich towarów o 40-50%.[3]

Wzrost bogactwa i liczby osób uczestniczących w nim jest dziś znaczny. Można to ocenić na podstawie następujących danych, wyjętych z pracy przedstawionej w Towarzystwie Statystycznym i opublikowanej w *Officiel* z 27 czerwca 1896 roku. Dostarczają one bardzo

[3] Podwyżki bywają jeszcze wyższe. Z dokumentu opublikowanego w kilku gazetach wynika, że ceny artykułów pierwszej potrzeby bywają przez pośredników podnoszone nawet czterokrotnie. Zacytujmy jeden przykład: rolnik wysyłający do Paryża pakę 150 kilo sałaty otrzymuje niecałe 10 franków, przy cenie sprzedaży detalicznej około 45 franków. *Można powiedzieć* – zauważa autor artykułu – *że przy handlu żywnością w paryskich Halach, konsumenci płacą 5 franków za to, co producenci w departamentach sprzedają za 1 franka.* Łatwo dostrzec, ile by publiczność zyskała na opanowaniu przez wielkich kapitalistów branży żywnościowej tak, jak opanowali odzieżową.

ciekawych informacji, które wydają się dokładne, przynajmniej co do całości, jak większość danych statystycznych.

Kapitał nominalny rent francuskich, który wynosił w 1800 roku 713 milionów, osiągnął 4 miliardy 426 milionów w 1830; 5 miliardów 416 milionów w 1852 i 26 miliardów w 1896 roku.

Co do liczby osób zapisanych na rencie kapitałowej, było ich 195 tysięcy w roku 1830, a 5 milionów w 1895. Liczba rentierów wzrosła zatem 25 razy.[4] Liczba uczestników przedsięwzięć przemysłowych także ma tendencję wzrostową. W roku 1888 akcje Credit Foncier należały do 22 000 osób; dziś należą do 40 000. Takie same rozdrobnienie postępuje w towarzystwach kolejowych: są podzielone między 2 miliony osób.

Zobaczymy zaraz, że tak samo jest z własnością. Prawie dwie trzecie Francji należy do 6 milionów właścicieli. Leroy-Beaulieu dochodzi w końcu do wniosku, iż trzy czwarte nagromadzonego majątku, i prawdopodobnie cztery piąte dochodu narodowego, znajduje się w rękach robotników, chłopów, drobnych przedsiębiorców i rentierów. Wielkie majątki są coraz rzadsze. Statystyki oceniają odsetek rodzin mających ponad 7500 franków dochodu na najwyżej 2%. Na 500 000 spadków rocznie, tylko 2600 przekracza sumę 20 000 franków w kapitale.

Kapitał dąży więc coraz bardziej do rozejścia się między większą liczbę osób, a rozchodzi się dlatego, że stale rośnie. Prawa ekonomiczne działają tutaj w kierunku wymarzonym przez socjalistów, ale za pomocą całkiem innych środków, niż przewidują, gdyż wytworzony skutek jest następstwem obfitości kapitałów, nie zaś ich zniesienia.

Można by się zapytać, do czego doprowadziłby równy podział całego majątku kraju: czy pracujący by na tym zyskali? Na to pytanie nietrudno odpowiedzieć.

Załóżmy, że zgodnie z życzeniem pewnych socjalistów rozdziela się 220 miliardów majątku Francji między jej 38 milionów mieszkańców. Przyjmijmy także, że można ten majątek zamienić na kruszec, co jest oczywiście niemożliwe, gdyż w złocie lub srebrze istnieje 7-8 miliardów,[5] a reszta odpowiada domom, fabrykom, ziemi, wszelkiego rodzaju

[4] Nie należy jednak zapominać, że jedna osoba może mieć i oczywiście miewa dochód z różnych papierów wartościowych, liczby te nie mają zatem charakteru absolutnego. Według wyciągu, jaki uzyskałem w ministerstwie finansów, liczba zapisów imiennych lub na okaziciela wynosiła na koniec 1896 roku 4 522 449 (a nie 5 milionów, jak zapewnia raport, o którym mówiłem). Oczywiście nie wiadomo, między ile rąk te papiery wartościowe były podzielone, jakiekolwiek byłyby wnioski statystyków.

[5] Zdaniem ekonomistów w całym świecie istnieje suma 24 miliardów franków w złocie oraz 20 miliardów w monecie srebrnej. Gdyby je podzielić między 1500 milionów mieszkańców ziemi, każdy otrzymałby 29 franków. Najbogatszy kraj na świecie, Stany Zjednoczone, posiada jedynie 8 miliardów w kruszcu. Majątek licznych miliarderów tam mieszkających składa się głównie z papieru. Gotówka ma wartość tylko dzięki szybkiej cyrkulacji.

przedmiotom. Przyjmijmy jeszcze, że po ogłoszeniu tego podziału wartość ruchomości nie załamie się w jeden dzień. Jeżeli przyjąć te nierealne założenia, każda osoba uzyska kapitał 5500 franków odpowiadający 165 franków renty. Nieumiejętność i marnotrawstwo z jednej strony, a oszczędność, energia i umiejętność z drugiej szybko doprowadziłyby do przywrócenia nierówności. Tylko bardzo mało znający naturę ludzką mogliby w to wątpić. Gdyby dla uniknięcia powszechnego dzielenia ograniczyć się tylko do podziału wielkich fortun, na przykład skonfiskować wszystkie dochody powyżej 25 000 franków, by je podzielić między pozostałych obywateli, ich dochód wzrósłby z tego tytułu tylko o 4,5%. Osoba mająca obecnie 1000 franków rocznej pensji otrzymywałaby wtedy 1045 franków.[6] W zamian za tę nieznaczną podwyżkę handel i wiele gałęzi gospodarki, z których żyją miliony ludzi, zostałyby całkowicie unicestwione. Ruina pracujących byłaby powszechna, a ich los dużo gorszy niż obecnie.

Oprócz tego, że stwierdza się rozproszenie kapitału, które każdy prawdziwy socjalista powinien błogosławić, zauważa się też, że we wszystkich przedsiębiorstwach przemysłowych udział kapitału w dochodzie maleje, natomiast udział robotników rośnie.

Harze, inspektor kopalni w Belgii, dowiódł, że w ciągu trzydziestu lat, gdy koszty wydobycia zmieniały się mało, wahając się koło 38%, udział akcjonariuszy został stopniowo zmniejszony więcej niż połowę, podczas gdy udział robotników znacznie wzrósł.

[6] Co prawda jest to tylko materialna strona sprawy. Ma ona jednak również stronę psychologiczną, o której nie należy zapominać. Skandal zbyt dużych majątków i źródło oskarżeń przeciwko nim leży w: 1. ich pochodzeniu, zbyt często z nadużyć finansowych, 2. olbrzymiej potędze, jaką dają właścicielom, pozwalając im wszystko kupić, aż po członkostwo akademii najbardziej naukowych; 3. gorszącym życiu spadkobierców tych majątków.

Jest oczywiste, że przedsiębiorca, który wzbogaca się sprzedając tanio towar dotąd kosztowny, albo tworząc nową gałąź przemysłu, jak na przykład wytwarzanie stali z surówki, nowy system ogrzewania, oddaje społeczeństwu znaczną usługę wzbogacając się samemu. Całkiem inaczej jest z finansistami, których majątek pochodzi wyłącznie z wystawiania na sprzedaż całej serii obligacji podejrzanych krajów i akcji podejrzanych towarzystw, przy czym pobierają ogromne prowizje. Ich kolosalne majątki składają się wyłącznie z zysków z bezkarnej kradzieży; wszystkie państwa powinny w końcu znaleźć jakiś sposób, by przeszkodzić im w tworzeniu państwa w państwie: czy to przez podatki spadkowe, czy podatki specjalne [niekonsekwencja Le Bona, krytykującego gdzie indziej te metody; ówczesne poglądy na wolność handlu nie pozwoliły mu zaproponować, by oszustwami takimi zajęło się prawo karne – *uwaga tłumacza*]. Ta konieczność zainteresowała już kilku wybitnych filozofów. Oto jak się na ten temat wyraża Mill: *Władza zapisywania w spadku jest jednym z przywilejów własności, który mógłby być w interesie publicznym ograniczony; najlepszym sposobem przeszkodzenia gromadzeniu się wielkich majątków w rękach tych, którzy nie nabyli ich poprzez pracę, byłoby ustalenie granicy, ile można otrzymać jako zapis lub spadek.*

Obliczono, że gdyby pracownikom pewnych przedsiębiorstw oddać całość ich dochodów, każdy robotnik zyskałby przeciętnie 86 franków rocznie. Nie zyskałby ich jednakowoż na długo. Przedsiębiorstwo byłoby przy tej hipotezie zarządzane przez robotników i szybko by podupadło, tak że zarabialiby oni w końcu dużo mniej niż obecnie.

To samo zjawisko, to znaczy wzrost płac kosztem wynagrodzenia kapitału, obserwuje się wszędzie. Daniel Zolla podaje, że gdy kapitał zainwestowany w nieruchomości utracił 25%, płace w rolnictwie wzrosły o 11%. Według Lavollee'a w Anglii w ciągu trzydziestu lat dochody robotników wzrosły o 59%, a dochody klas wyższych spadły o 30%.

Płaca robotnika będzie w ten sposób rosła tak długo, aż pozostanie tylko minimum potrzebne nie dla wynagrodzenia czy zwrócenia kapitału zainwestowanego w przedsiębiorstwo, lecz po prostu dla opłacenia zarządzających, niezbędnych dla kierowania nim. Takie jest przynajmniej prawo doby obecnej. Nie będzie tak jednak w przyszłości. Kapitały unieruchomione w dawnych przedsiębiorstwach nie mogą uniknąć zagrażającego im zniknięcia, ale przyszłe kapitały będą się bronić skuteczniej. Badając zrzeszenia producentów przemysłowych zobaczymy, jak bronią się oni obecnie.

Pracownik jest dziś w sytuacji, która się nie powtórzy: może dyktować warunki i zarzynać kurę znoszącą złote jajka. W wypadku wszystkich dawnych spółek akcyjnych: transportu, kolei, omnibusów, fabryk, kopalni itd. związki zawodowe z pewnością wymuszą stopniowo całość dochodów, nie rezygnując aż do chwili, gdy dywidenda akcjonariuszy zostanie zredukowana do zera, lub gdy zostanie tylko tyle, by opłacić dyrektorów i administratorów. Niezliczone są przykłady godnej podziwu rezygnacji, z jaką akcjonariusz znosi najpierw redukcję a potem likwidację swojego dochodu przez państwa i towarzystwa prywatne. Barany nie pochylają pokorniej szyi przed rzeźnikiem.

To zjawisko stopniowej redukcji – aż do zupełnego zniesienia – dochodów akcjonariuszy obserwuje się dziś na wielką skalę w krajach łacińskich. Na skutek obojętności i godnej pogardy słabości administratorów spółek, wszystkie żądania związków są natychmiast zaspokajane. Można to zrobić oczywiście tylko kosztem dochodów akcjonariuszy. Żądania związkowców wkrótce się powtarzają, a szarpana strachem dyrekcja, która nic na tym nie traci, nadal ustępuje, co znów redukuje dywidendę, a tym samym wartość akcji. Ta seria operacji może trwać tak długo, aż dywidenda będzie żadna i wartość akcji takoż. Z powodu tej pomysłowej metody rabunku wiele z naszych przedsiębiorstw przemysłowych przynosi coraz mniej dochodu i nie przyniesie go przez najbliższe lata. Prawdziwi właściciele przedsiębiorstwa będą stopniowo i skutecznie wyeliminowani, zgodnie z marzenia-

mi kolektywistów. Niełatwo rzec, skąd się wtedy weźmie nowych akcjonariuszy do zakładania nowych przedsiębiorstw. Już dzisiaj widać ostrożną nieufność i tendencję do eksportu kapitałów do krajów, w których będą mniej narażone. Ucieczka kapitału i kwalifikacji będzie pierwszym skutkiem zwycięstwa socjalistów.

Podwójne zjawisko, jakie stwierdziliśmy odnośnie majątku ruchomego: rozchodzenie się majątku między coraz więcej osób i redukcja dochodów z kapitału na skutek stopniowego wzrostu części oddawanej pracownikom, zachodzi również w przypadku nieruchomości. Według raportu E. Tisseranda na temat ostatniego spisu dziesięcioletniego, we Francji mamy 49 i pół miliona hektarów wykorzystanych rolniczo. Są one podzielone między 5 672 000 gospodarstw; tylko 2,5% z nich zajmuje się uprawą na większą skalę, to znaczy przekracza powierzchnię 40 hektarów. Te 2,5% procenta gospodarstw posiada jednak 45% ziemi. O ile więc drobne gospodarstwa bardzo przeważają liczebnie, blisko połowa ziemi należy do zaledwie 2,5% gospodarstw.

Duża własność obejmuje więc we Francji blisko połowę obszaru; jest jednak widoczne, że nie będzie się mogła długo utrzymać, właśnie z powodu procesu zmniejszania się części pozostawianej kapitałowi we wszelkiego rodzaju przedsiębiorstwach. Przyczyny jej rychłego zniknięcia są łatwe do wskazania.

Zawód rolnika wykonywany jest przez 8 500 000 osób,[7] z których więcej niż połowa to właściciele ziemi, którą uprawiają, druga połowa żyje z pensji. Otóż porównując statystyki rolnicze z lat 1856 i 1886 (tę drugą opublikowano z wieloma szczegółami), dostrzega się, że o ile liczba rolników nieco zmalała, to liczba właścicieli uprawiających swoją ziemię wzrosła. Pozorny spadek liczby rolników, którym się niepokoi tylu autorów, jest prostym skutkiem rozrostu drobnej własności. Ten wzrost liczby właścicieli jest zjawiskiem równoległym do wzrostu liczby posiadaczy walorów w majątku ruchomym.

---

[7] Liczby te wahają się w zależności od sposobu wykorzystania spisów. Oto streszczone przez de Flaixa w *Economiste français* dane Biura Pracy na temat spisu pracowników różnych gałęzi gospodarki i zawodów we Francji w 1896 r. Podaję je w zaokrągleniu. Na 18 391 000 przypadają:

Rolnicy	8 502 000 (płci obojga)
Przemysł	5 605 000
Handel	2 287 000
Wolne zawody	339 000
Usługi osobiste	52 000 (fryzjerzy)
Służba domowa	917 000
urzędnicy	689 000

Na 38 500 000 mieszkańców Francji prawie połowa pracuje zawodowo (w tej liczbie sześć milionów kobiet).

Jeśli rośnie liczba uprawiających własną ziemię, musi maleć liczba farmerów, dzierżawców i służby. Tym bardziej musi maleć, zwłaszcza co się tyczy służby, gdyż kosztowna praca ludzka jest coraz częściej zastępowana przez maszyny rolnicze. Wzrost upraw roślin pastewnych (o jedną czwartą od 1862), wymagających mniej ludzi, również się do tego przyczynił. Jeśli więc wieś trochę się wyludniła, to tylko dlatego, że potrzebuje mniej rąk, natomiast nigdy jej tych rąk nie brakło. Rąk wystarcza. Brakuje czasami głów.

Uprawa na małą skalę nie jest oczywiście zbyt produktywna, żywi jednak tych, którzy się nią zajmują. Zarabiają z pewnością mniej, pracując dla siebie, niż gdyby pracowali dla innych; czymś całkiem odmiennym jest jednak pracować na swoim niż na cudzym.

Sytuacja wielkich właścicieli stała się nadzwyczaj niepewna, tak samo we Francji jak i w Anglii; dlatego, jak mówiłem powyżej, grozi im zniknięcie. Ich ziemie są w niedługim czasie skazane na podzielenie. Niezdolni do ich uprawiania samemu, widząc, że przynoszą coraz mniej z powodu konkurencji zagranicznych produktów rolnych oraz rosnących wymagań robotników, są stopniowo zmuszani do wyrzeczenia się gospodarowania, które kosztuje ich czasami więcej, aniżeli przynosi.[8] W końcu z konieczności sprzedadzą swoje ziemie po kawałku drobnym właścicielom uprawiającym je samemu. Ci ostatni, nie mając kosztów i niewiele kapitału do amortyzacji, a niewiele też wydawszy na swoje nabytki, będą wystarczająco dobrze żyli z ziemi, z której wielcy właściciele żyli bardzo kiepsko. Wielka własność stanie się wkrótce tylko bezużytecznym luksusem. Jest jeszcze znakiem bogactwa, ale już nie jego źródłem.

Zjawiska, które tu stwierdzam, obserwowane są wszędzie, a najwyraźniej występują w krajach wielkiej własności, jak Anglia. Wynikają, jak powiedziałem, z rosnących wymagań ludności robotniczej, zbiegającej się ze spadkiem wartości produkcji rolnej na skutek konkurencji zagranicznej krajów, gdzie ziemia nic nie kosztuje, jak Ameryka, lub takich, gdzie praca fizyczna nic nie kosztuje, jak Indie. Z powodu tej konkurencji cena pszenicy w niewiele lat spadła u nas o 25% mimo ceł ochronnych, płaconych naturalnie przez konsumentów chleba.

W Anglii, kraju wolności, gdzie nie ma żadnych ceł ochronnych przeciw konkurencji zagranicznej, kryzys sroży się z całą siłą. Ziarno z zagranicy zawala porty angielskie, podobnie jak zagraniczne mięso. Statki-chłodnie pokonują stale trasę między Sydney i Melbourne a Londynem. Przywożą pokawałkowaną baraninę i wołowinę po 10-15 centymów za funt, nie mówiąc już o maśle, którego niektóre statki przywożą 600 000 kilo w jednym rejsie. Choć właściciele obniżyli

[8] W Aisne, kraju dużych majątków, kilka lat temu naliczono podobno 900 opuszczonych dużych ferm; nigdy jednak nie wymieniano tam choćby jednej małej własności opuszczonej przez posiadacza. Ta obserwacja stosuje się także do Anglii.

o ponad 30% czynsze dzierżawne, nie zarabiają prawie nic. De Mandat-Grancey w swym godnym uwagi opracowaniu wspomina właścicieli, których ziemie przynoszące parę lat temu 500 do 800 tysięcy franków, w końcu przynoszą tylko 10 do 12 tysięcy franków z powodu nie opłacania dzierżaw. Nie ma sensu usuwać dzierżawców, którzy nie płacą, gdyż nie znajdzie się żadnego chętnego do płacenia. Nawet nie płacąc, zajmujący ziemię o tyle są przydatni, że ją uprawiają, nie pozwalając, by zarosła. Właściciele angielscy zostaną więc z konieczności doprowadzeni do tego samego, co właściciele francuscy, o których mówiłem powyżej, to znaczy do parcelacji ziemi i jej sprzedania za nędzną cenę drobnym rolnikom. Ci ostatni będą ją wtedy mogli uprawiać z zyskiem, po pierwsze dlatego, że będą ją uprawiać osobiście, a po drugie dlatego, że cena zakupu będzie nieznaczna.

Nie ma powodu zbytnio żałować, że wielcy właściciele są wszędzie skazani na padnięcie ofiarą ewolucji praw ekonomicznych. Dla społeczeństwa przyszłości jest korzystne, że własność zostanie rozdrobniona tak dalece, że każdy będzie posiadał tylko tyle ziemi, ile może uprawić. Z tego stanu rzeczy będzie płynęła duża stabilność polityczna. W takim społeczeństwie socjalizm nie będzie miał żadnej szansy.

Podsumowując, to, co powiedzieliśmy o podziale kapitału stosuje się również do podziału ziemi. Działanie praw ekonomicznych skazuje wielką własność na zniknięcie. Zanim socjaliści zakończą dyskusje na jej temat, przedmiot tych dyskusji rozpłynie się na skutek niezmiennych praw ekonomii, które działają raz zgodnie z naszymi doktrynami, raz odwrotnie, niż one każą, nigdy się o nie nie troszcząc.

§ 3. Praca

Podane liczby dowiodły, że dochód z pracy stale rośnie, zaś dochód z kapitału maleje. Z racji swej konieczności dla produkcji kapitał mógł przez czas dłuższy narzucać robotnikom swe wymagania; dziś jednak role się odwróciły. Stosunki między kapitałem a pracą, które z początku przypominały pana i sługę, zmierzają dziś do zamienienia ich miejscami. Postęp idei humanitarystycznych, rosnąca obojętność dyrekcji zakładów na interesy akcjonariuszy, których nie znają osobiście, zaś przede wszystkim ogromny rozrost związków zawodowych – po trochu umniejszyły rolę kapitału.

Mimo hałaśliwych protestów socjalistów, jest całkowicie oczywiste, że sytuacja robotników nigdy nie była tak pomyślna jak w czasach dzisiejszych. Biorąc pod uwagę prawidłowości ekonomiczne rządzące światem, wydaje się bardzo prawdopodobne, że robotnicy przechodzą przez złoty wiek, który już nie wróci. Nigdy ich żądania nie były

zaspokajane jak dzisiaj i nigdy kapitał tak mało ich nie uciskał i nie był tak mało wymagający.

Jak słusznie zauważył angielski ekonomista Mallock, dochód współczesnych robotników znacznie przekracza dochody wszystkich klas sprzed sześćdziesięciu lat. Posiadają oni doprawdy dużo więcej, niż by posiadali, gdyby cały majątek narodowy przeszedł wtedy w ich ręce, zgodnie z marzeniami niektórych socjalistów.

We Francji, według Foville'a, płace od 1813 roku wzrosły ponad dwukrotnie, gdy pieniądz stracił tylko jedną trzecią swej wartości.

W Paryżu blisko 60% robotników ma dniówkę między 5 a 8 franków, a według danych opublikowanych przez Biuro Pracy, płace ich elity wynoszą sporo więcej. Dniówka monterów waha się od 7,50 do 9,50 franka, tokarzy od 9 do 10 franków. Kamieniarze zarabiają do 15 franków dziennie, elektrycy 6 do 10 franków, odlewnicy 8,50 do 12,50 franka, blacharze 9 do 10,75 franka, zwykli mistrzowie zarabiają 10 franków dziennie, najlepsi do 800 miesięcznie. Oficer, sędzia, inżynier, pracownik biurowy czekają często długie lata na osiągnięcie takich pensji, o ile je osiągną. Można więc powtórzyć za Leroy-Beaulieu: *Pracownik fizyczny ogromnie korzysta z naszej cywilizacji. Sytuacja innych wokół niego się pogarsza, gdy jego się poprawia.*[9]

§ 4. Stosunki między kapitałem a pracą. Pracodawcy i robotnicy

Mimo tej tak satysfakcjonującej sytuacji współczesnego pracownika, można stwierdzić, że stosunki między pracodawcami a robotnikami, to znaczy między kapitałem a pracą, nigdy nie były bardziej napięte. Robotnik w miarę jak jego życzenia są zaspokajane staje się coraz bardziej wymagający. W miarę jak więcej uzyskuje, jego nienawiść do pracodawcy rośnie. Przywyka do widzenia w nim jedynie wroga; a pracodawca naturalnie też jest skłonny do widzenia w swoich współpracownikach jedynie przeciwników, których należy się wystrzegać, niechęci do nich nie potrafiąc w końcu ukryć.

Nawet stwierdzając zbytnie wymagania i oczywiste błędy robotników, nie należy negować, że popełniają je też pracodawcy. Kierowa-

[9] Czytając mowy wygłoszone w Parlamencie można odnieść wrażenie, iż klasa robotnicza jest jedyną w społeczeństwie, którą należy się zajmować. Z pewnością jest tą, którą się najwięcej zajmują. Rolnicy, liczniejsi a niemniej jak mniemam ważni, przyciągają mniejszą uwagę. Dla robotników stworzono kasy emerytalne, towarzystwa ubezpieczeniowe, ubezpieczenie od wypadków, tanie mieszkania, spółdzielnie, ulgi podatkowe itd. Władze państwowe bez przerwy przepraszają, że nie zrobiły dosyć. Kierujący przemysłem to naśladują, stąd tyle troski, którą się dziś otacza robotnika.

nie załogą robotniczą jest zadaniem psychologicznie delikatnym i subtelnym, wymagającym uważnego studium charakterów. Współczesny pracodawca z dystansu prowadzi anonimowy tłum ludzi, których wcale nie zna. Okazując odrobinę zręczności, zwykle osiągnie porozumienie, jak tego dowodzi sukces pewnych fabryk, w których pracodawcy i robotnicy tworzą prawdziwą rodzinę.

Nie widując już swoich robotników, współczesny pracodawca kieruje nimi przez pośredników, zwykle niezbyt zręcznych. Dlatego spotyka tylko wrogość i niechęć, mimo wszystkich ubezpieczeń, kas emerytalnych itd.[10] oraz wzrostu płac.

Więzy anonimowej i z natury sztywnej dyscypliny zastąpiły dawne więzi osobiste. Pracodawca budzi niekiedy lęk, nie potrafi pozyskać miłości i szacunku, nie ma już prestiżu. Nie ufając robotnikom nie pozostawia im inicjatywy i stale chce interweniować w ich sprawy (mówię oczywiście o ludach łacińskich). Założy kasy samopomocy i spółdzielnie, ale nigdy nie pozwoli, żeby robotnicy sami nimi kierowali. Dlatego widzą w nim zamiar podporządkowania czy spekulacji, a w najlepszym razie wzgardliwą dobroczynność. Uważają, że padają ofiarą eksploatacji i upokorzeń, a tym samym są podrażnieni. Trzeba nie znać psychologii mas, by wierzyć, że za zbiorowe korzyści odpłacą uznaniem. Zapłatą jest najczęściej niewdzięczność i pogarda dla słabości tego, co przystaje na wszystkie żądania.[11] Tego przypadku dotyczy powiedzenie, że sposób dawania jest ważniejszy niż to, co się daje.

[10] 97% kopalni daje swoim robotnikom emerytury; według Leroy-Beaulieu ponad połowa ich dochodów idzie na górnicze instytucje ubezpieczeniowe. Wszyscy dyrektorzy firm przemysłowych poszli tą samą drogą, co jest zresztą dla nich łatwe, gdyż wszystkie koszty tej filantropii ponoszą akcjonariusze, ludzie jak wiadomo zgodni i podatni na pańszczyźniany wyzysk. Towarzystwo kolei żelaznej Paryż-Lyon wydaje rocznie 12 milionów na wszelkiego rodzaju instytucje ubezpieczeniowe, towarzystwo wschodnie rozdaje rocznie zatrudnionym 11 milionów (57% dywidendy akcjonariuszy), oprócz oczywiście 55 milionów płac, które rozdziela między swych 36 000 pracowników. Wszystkie towarzystwa kolejowe postępują tak samo, to znaczy dają dowody hojności kosztem swych akcjonariuszy.

[11] W ciekawy sposób potwierdził to sławny strajk w Carmaux. Dyrektor fabryki doświadczył, ile może kosztować niezręczna filantropia i słabość. Płacąc robotnikom więcej niż gdzie indziej, zorganizował sklepy, w których mogli nabywać artykuły konsumpcyjne w detalu, ale po cenie hurtowej. Uzyskane rezultaty są jasno pokazane w następującym fragmencie wywiadu z tym dyrektorem opublikowanego przez *Journal* z 13 sierpnia 1895 roku: *Robotnicy z Carmaux dostawali zawsze pensje większe niż wszędzie gdzie indziej. Płacąc im więcej chciałem uzyskać pewność, że będą spokojni. Z tego względu płaciłem im corocznie o 100 000 franków więcej, niż dostaliby w innej hucie szkła. Do czego doprowadziło to poświęcenie? Przysporzyło mi ono kłopotów, których chciałem za wszelką cenę uniknąć.* Przy większej znajomości psychologii dyrektor przeczułby, że podobne ustępstwa w konieczności sprowokują nowe żądania. Wszystkie istoty prymitywne zawsze gardziły dobrocią i słabością, uczuciami blisko spokrewnionymi, które w ich oczach nie zapewniają żadnego prestiżu.

Związki zawodowe, które z powodu swej anonimowości mogą działać i działają bardziej po tyrańsku niż najbardziej nieustępliwi pracodawcy, darzone są religijnym respektem. Mają prestiż, robotnik zawsze ich słucha, nawet jeśli to posłuszeństwo go kosztuje utratę wynagrodzenia.

Pracodawca w wielkim przemyśle współczesnym coraz częściej staje się sam podwładnym opłacanym przez jakieś towarzystwo, a tym samym nie ma żadnego powodu, by interesować się swoim personelem. Nie umie zresztą z nim rozmawiać. Drobny pracodawca, który sam był robotnikiem, często okaże się twardszy, ale będzie wiedział, jak wziąć się za kierowanie robotnikami respektując ich miłość własną. Dyrektorzy obecnych fabryk są najczęściej młodymi inżynierami po szkołach wyższych, obciążonymi wielkim bagażem wykształcenia teoretycznego, ale zupełnie nie znającymi życia ludzi. Obcy jak to tylko możliwe zawodowi, jaki wykonują, nie uznają jednak, że jakakolwiek praktyka co do osób i rzeczy mogłaby przewyższać ich wiedzę abstrakcyjną. Będą tym bardziej niezręczni, że odczuwają głęboką wzgardę dla klasy, z której w większości przypadków tak czy inaczej wyszli.[12] Nikt tak nie gardzi chłopem jak syn chłopa, ani robotnikiem jak syn robotnika, gdy już wznieśli się powyżej poziomu swej kasty. Oto jedna z niemiłych prawd psychologicznych – jak większość prawd psychologicznych trudna do przyjęcia; trzeba ją jednak uznać.

Bardziej wykształcony niż naprawdę inteligentny, młody inżynier jest całkowicie niezdolny do wyobrażenia sobie, ani zresztą tego nigdy nie próbuje, jak przebiegają łańcuchy rozumowania ludzi, którymi ma kierować. Tym bardziej nie zajmuje się prawdziwymi sposobami wpłynięcia na nich. Tych rzeczy nie uczono w szkole, dla niego więc nie istnieją. Cała jego psychologia sprowadza się do dwóch lub trzech gotowych formuł, które słyszał wokół: prymitywizm robotnika, pijaństwo, potrzeba trzymania go krótko itd. Poglądy i koncepcje robotnika jawią mu się jako zdeformowane fragmenty; delikatne kółka zegarowe ludzkiej machiny będzie popychał na odwrót i w bok. Zależnie od temperamentu będzie słaby lub despotyczny, ale w każdym wypadku zabraknie mu rzeczywistego autorytetu i prestiżu.

---

[12] Kandydaci do wyższych szkół państwowych (grandes écoles), szkoły politechnicznej, szkoły centralnej itd. rekrutują się dzisiaj spośród najskromniejszych klas społecznych. Egzaminy wstępne i końcowe wymagają wysiłku pamięci i pracowitości, do których zdolni są tylko przymuszeni przez nędzę. Choć koszty utrzymania w szkole politechnicznej są bardzo niewielkie, ponad połowa studentów nie może ich pokryć. Są to synowie drobnych sklepikarzy, służących, robotników, biuralistów, którzy już w liceum korzystali ze stypendium. Według pracy opublikowanej przez Cheyssona w *Annales des Ponts et Chaussés* z listopada 1882 roku, liczba stypendystów szkoły politechnicznej, która wynosiła około 30% w 1850 r., przekroczyła 40% w 1880 r. Od tego czasu wskaźniki stale rosną. Sam się dowiedziałem, że w tej samej szkole w 1897 r. na 447 studentów, 249 wcale nie płaciło za utrzymanie.

Pogląd, jaki ma burżuazja na robotnika, jest zwykle równie daleki od dokładności. Robotnik to dla niej osobnik grubiański i pijak. Niezdolny do oszczędzania, wydaje swoją zapłatę w winiarni, zamiast rozsądnie zostać wieczorem w swoim pokoju. Czyż nie powinien być zadowolony ze swego losu, czyż nie zarabia dużo więcej, niż by zasługiwał? Zapewnia się mu biblioteki, wygłasza się dla niego prelekcje, buduje się dla niego tanie domy. Czego więc jeszcze chce? Czyż nie jest niezdolny do załatwiania swoich spraw? Trzeba go trzymać żelazną ręką, a jeśli coś się dla niego robi, trzeba to zawsze robić bez niego, traktując go trochę jak doga, któremu się od czasu do czasu rzuca kość do gryzienia, gdy za dużo warczy. Czy można udoskonalić osobnika tak niedoskonałego? Czyż zresztą świat nie przyjął od dawna swojej ostatecznej formy w sferze ekonomii politycznej, moralności a nawet religii – cóż więc znaczą te wszystkie dążenia do zmian? Nic prymitywniejszego niż taka psychologia.

Stosunki wzajemne między pracodawcami a robotnikami są dziś tak napięte z powodu nieusuwalnego niezrozumienia między nimi. Niezdolni do przyswojenia sobie myśli, potrzeb i gustów drugiej strony, interpretują to, czego nie znają, wedle swojej własnej mentalności.

Pogląd, jaki ma proletariusz na burżuja, to znaczy kogoś nie pracującego własnymi rękami, jest równie nieścisły, jak opisany wyżej pogląd pracodawcy na robotnika. Dla robotnika pracodawca to osobnik twardy i drapieżny, zmuszający ludzi do pracy, żeby z nich wyciągnąć pieniądze, dużo jedzący i pijący, oddający się wszelkiego rodzaju orgiom. Jego luksusy – choćby były nie wiem jak niewielkie i sprowadzały się do czystego ubrania i zadbanego domu – to coś wyjątkowo bezużytecznego. Jego praca w gabinecie to zupełna bzdura, zajęcie dla nierobów. Burżuj ma tyle pieniędzy, że nie wie, co z nimi zrobić, a robotnikowi ich brak. Nic prostszego niż zaradzić tym niesprawiedliwościom, parę dobrych dekretów by wystarczyło do przekształcenia społeczeństwa z dnia na dzień. Zmuszenie bogaczy do oddania ludowi tego, co do niego należy, byłoby zwykłym naprawieniem krzyczącej niesprawiedliwości.

Gdyby proletariusz wątpił w wartość swej słabej logiki, nie zbraknie retorów gotowych mu bez przerwy przypominać jego wyimaginowane prawa, a bardziej wobec niego służalczych, niż dworzanie wobec wschodnich despotów. Jak już dowiodłem, skoro socjaliści nie zwyciężyli dawno temu, dziedziczenie musiało naprawdę solidnie utwierdzić pewne idee w podświadomości ludu.

Pracodawcy i proletariusze tworzą dziś w sumie, przynajmniej u ludów łacińskich, dwie wrogie klasy; a skoro jedni i drudzy czują się niezdolni do pokonania samemu trudności w codziennych kontaktach, niezmiennie odwołują się do interwencji państwa, raz jeszcze dowodząc

w ten sposób niezniszczalnej potrzeby naszej rasy, by być rządzonym, jej niezdolności do wyobrażenia sobie społeczeństwa w sposób inny niż piramidy kast pod wszechpotężną kontrolą pana. Wolna konkurencja, spontaniczne zrzeszanie się, osobista inicjatywa, to koncepcje niedostępne naszemu duchowi narodowemu. Jego ideałem jest zawsze pensja i zarządzenia szefa. Ten ideał bez wątpienia redukuje wydajność jednostki do najniższego poziomu, ale wymaga też minimum charakteru i działania. Tak wracamy raz jeszcze do podstawowej idei, że losami ludów rządzi ich charakter, a nie ich instytucje.

Rozdział 2
Solidarność (współpraca) społeczna

§ 1. Solidarność (współpraca) społeczna a opieka społeczna

Walka w łonie społeczeństw, której istnienie wykazałem, konfrontuje walczących – bardzo nierówno uzdolnionych. Zobaczymy, w jaki sposób słabszym udało się przez łączenie sił uczynić ją mniej nierówną.

Dla wielu ludzi termin „solidarność społeczna" stale kojarzy się trochę z ideą dobroczynności. Ich sens jest jednak całkiem różny. Obecne społeczeństwa zmierzają w sposób widoczny do solidarności interesów i oddalają się coraz bardziej od dobroczynności. Jest nawet nader prawdopodobne, że społeczeństwa przyszłości będą uważały dobroczynność za koncepcję niższą i barbarzyńską, mającą tylko pozory altruizmu, ale w istocie egoistyczną i ogólnie bardzo szkodliwą.

Termin „solidarność" oznacza po prostu stowarzyszenie się, a wcale nie dobroczynność czy altruizm. Dobroczynność jest antyspołeczna i szkodliwa, altruizm jest rzeczą sztuczną i bezsilną. Badając najpożyteczniejsze owoce solidarności (współpracy): towarzystwa ubezpieczeń, samopomocy, emerytalne, kooperacji itd., stwierdza się, że nie miały one nigdy za podstawę ani dobroczynności, ani altruizmu, lecz jedynie połączenie interesów różnych ludzi, najczęściej nie znających się między sobą. Za pewną roczną składkę osoba chora czy starsza ma prawo do uposażenia pozostającego w proporcji do swej składki. Ma do niego prawo, bez żadnej łaski, tak samo jak ubezpieczony od ognia ma w wypadku szkody prawo do wypłaty sumy ubezpieczenia. Korzysta z prawa, które wykupił, a nie z łaski.

Trzeba zaznaczyć te różnice, by pokazać przepaść między stowarzyszeniami zabezpieczania interesów, opartymi na zabiegach finansowych rządzonych przez rachunek prawdopodobieństwa, a dobroczynnością opartą na hipotetycznej dobrej woli i niepewnym altruizmie niewielkiej liczby osób. Działania dobroczynne nie przejawiają żadnej poważnej skuteczności społecznej i właśnie dlatego wielu socjalistów, w zgodzie z najwybitniejszymi myślicielami, odrzuca je zupełnie. Można się cieszyć, że na wypadek pewnych nagłych sytuacji istnieją szpitale i biura pomocy zarządzane przez państwo na koszt publiczny; biorąc jednak

rzecz w całości, działania dobroczynne są praktyką bardziej szkodliwą niż pożyteczną. Wobec braku nadzoru, zresztą niemożliwego, służą one najczęściej utrzymywaniu całych grup osobników, którzy eksploatują litość, by samemu żyć w lenistwie. Ich wyraźnym skutkiem jest odsunięcie od pracy wielu nieudolnych, którzy uznają korzystanie z dobroczynności za korzystniejsze, oraz nieproporcjonalne powiększenie zawodowego żebractwa.

Niezliczone dzieła (fundacje) rzekomej dobroczynności, na rzecz osób bez pracy, wdów bez środków do życia, małych porzuconych Chińczyków itd. nadają się co najwyżej do zapewnienia zajęcia starszym niepracującym paniom albo bezczynnym osobom z lepszego towarzystwa, pragnącym niewielkim kosztem zarobić na zbawienie i spędzić czas wolny w charakterze prezesów, sprawozdawców, sekretarzy, doradców, skarbników itd. czegoś tam. Łudzą się w ten sposób, iż są do czegoś tutaj użyteczni. W tym bardzo się mylą.

Ruch ku solidarności, czyli do stowarzyszania się na bazie podobnych interesów, który rysuje się powszechnie, jest chyba pośród nowych tendencji społecznych najwyraźniejszy – i należy do tych, które najbardziej wpłyną na naszą ewolucję. Słowo „solidarność" stało się dużo częstsze niż dawne hasła, jak równość i braterstwo, zmierzając do ich zastąpienia. W niczym nie jest ich synonimem. Skoro ostatecznym celem koalicji interesów jest walka przeciwko innym interesom, jest widoczne, iż solidarność to szczególna forma powszechnej walki istot żywych i klas. Rozumiana tak jak dzisiaj redukuje nasze dawne sny o braterstwie do stowarzyszeń o zdefiniowanych celach.

Ta wzmacniająca się stale tendencja do solidarności wyrażonej w stowarzyszaniu się ma rozmaite przyczyny. Najważniejsza z nich to słabnięcie inicjatywy i woli indywidualnej jak również często występująca bezsilność takiej inicjatywy i woli w warunkach stworzonych przez współczesną ewolucję ekonomiczną. Potrzeba działań izolowanych zanika. Jedynie za pośrednictwem stowarzyszeń, to znaczy z pomocą zbiorowości, indywidualne wysiłki osiągają teraz efekt.

Jeszcze jedna głębsza przyczyna popycha człowieka współczesnego do stowarzyszania się. Straciwszy swych bogów i widząc zanikanie swoich ognisk domowych, nie wiążąc z przyszłością nadziei, coraz bardziej potrzebuje on oparcia. Stowarzyszenie zastępuje egoizm indywidualny a bezsilny – egoizmem zbiorowym i skutecznym, który każdemu przynosi korzyść. Przy braku grup opartych na więzach religii, więzach krwi, więzach politycznych, rozmaitych więzach, które stale słabną, solidarność interesów może zjednoczyć ludzi dość skutecznie.

Ten rodzaj solidarności jest ponadto prawie że jedynym środkiem walki słabszych, to znaczy liczniejszych, z potężnymi; środkiem zabezpieczającym przed uciskiem z ich strony.

W ogólnej walce, której prawa poprzednio nakreśliłem, słabszy jest zawsze bezbronny wobec silniejszego, a silniejszy nie waha się wcale przed zmiażdżeniem go. Baronowie feudalni, baronowie finansów czy baronowie przemysłu jak dotąd nie obchodzili się dobrze z tymi, których uzależniły od nich okoliczności.

Temu powszechnemu uciskowi, który religie i kodeksy jak dotąd zwalczały jedynie próżnymi słowami, człowiek współczesny przeciwstawia zasadę stowarzyszenia, które czyni solidarnym wszystkie jednostki tej samej grupy. Solidarność jest prawie że jedyną bronią, jaką słabi dysponują dla zmniejszenia trochę skutków nierówności społecznych i uczynienia ich mniej dotkliwymi.

Daleka od sprzeczności z prawami natury, solidarność taka ma tę zaletę, że może się na nich oprzeć. Nauka wcale nie wierzy w wolność, a przynajmniej nie przyjmuje jej w swojej sferze badań, gdyż wszędzie stwierdza zjawiska rządzone przez ścisły determinizm. Jeszcze mniej wierzy w równość, gdyż biologia widzi w nierównościach między istotami konieczny warunek ich postępu. Co do braterstwa, tym bardziej nie mogłaby go zaakceptować, skoro bezlitosna walka jest stałym zjawiskiem wszystkich epok geologicznych. Solidarności natomiast żadna obserwacja nie podważa. Pewne społeczności zwierzęce, przede wszystkim najniższe, mogą przetrwać tylko dzięki ścisłej solidarności, bo tylko ona pozwala na obronę przed wrogami.

Łączenie podobnych interesów u różnych członków społeczności ludzkich jest z pewnością bardzo dawne, gdyż sięga początków naszej historii; we wszystkich jednak epokach było ono mniej lub bardziej ograniczone i krępowane. Było tolerowane jedynie na wąskim terenie interesów religijnych i ekonomicznych. Rewolucja francuska uznała zniesienie cechów za korzystne. Nic nie mogło być zgubniejsze dla sprawy demokracji, której chciała bronić. Dziś zniesione cechy odradzają się wszędzie pod nowymi nazwami i formami. To odrodzenie było nieuchronne wobec współczesnego postępu przemysłowego, który znacznie posunął podział pracy.

§ 2. Nowoczesne formy solidarności (współpracy)

Podstawowe rozróżnienie między działaniami solidarnościowymi opartymi na łączeniu interesów, a tymi, które opierają się na dobroczynności, zostało już wystarczająco zaznaczone. Rzućmy teraz okiem na różne nowoczesne formy solidarności (współpracy).

Przede wszystkim jest rzeczą oczywistą, że sam fakt, iż jednostki pracują nad wspólnym dziełem, którego sukces zależy od połączenia wysiłków, nie czyni ich automatycznie solidarnymi. Często się stwierdza, że jest wprost przeciwnie. Dyrektor fabryki, jego robotnicy oraz akcjonariusze maja teoretycznie podobny interes w pomyślności przedsięwzięcia, od którego istnienia zależy ich majątek. W rzeczywistości ta wymuszona solidarność jedynie przysłania interesy sprzeczne; wzajemna przychylność bynajmniej nie ożywia tu stron. Robotnik życzy sobie podwyżki pensji, a tym samym redukcji udziału akcjonariusza. Akcjonariusz, reprezentowany przez dyrektora, ma natomiast interes w zredukowaniu części robotnika a powiększeniu swojej. Solidarność, która w teorii powinna łączyć robotników, dyrektorów i akcjonariuszy, wcale zatem nie istnieje.

Prawdziwa solidarność możliwa jest jedynie między jednostkami mającymi podobne interesy bezpośrednie. Te interesy potrafiła skoordynować nowoczesna instytucja związków, którymi trzeba więc będzie się zająć.

Niemniej jednak pewne rodzaje stowarzyszeń mogą wprowadzić solidarność do interesów z natury sprzecznych. Są to na przykład spółdzielnie spożywców. Łączą one sprzeczne interesy producentów i konsumentów, dając im pewne obustronne korzyści. Producent chętnie zadowala się mniejszym dochodem na jednostkę produkcji, jeżeli ma zagwarantowaną sprzedaż wielkiej ilości towaru, co może zapewnić stowarzyszenie licznych nabywców.

W wielkich spółdzielniach angielskich stowarzyszają się interesy tożsame, gdyż konsument jest zarazem producentem. Te towarzystwa produkują prawie wszystko, co potrzebne do konsumpcji, posiadają gospodarstwa dostarczające zboża, mięsa, mleka, warzyw itd. Przynoszą one tę korzyść, że słabsi i mniej zdolni ich członkowie mogą skorzystać z inteligencji zdolniejszych, postawionych na czele tych przedsięwzięć, które by bez nich nie mogły prosperować. Krajom łacińskim daleko jeszcze do tego.

Zwróciłem w innym miejscu uwagę na to, że robotnicy anglosascy sami administrując różnymi stowarzyszeniami, a w szczególności spółdzielniami, nauczyli się kierować swoimi sprawami. Robotnik francuski zbytnio jest przepojony koncepcjami łacińskimi swojej rasy, żeby przejawić tyle inicjatywy i założyć stowarzyszenia pozwalające mu poprawić swój los. Jeśli dzięki kilku inteligentnym przywódcom wyjątkowo uda mu się je założyć, natychmiast powierza zarządzanie nimi marnym przedstawicielom, niezdolnym do ich prowadzenia a traktowanym podejrzliwie.

Spółdzielnie łacińskie są zresztą prowadzone za pomocą skomplikowanych, żmudnych metod administracyjnych, właściwych naszemu

charakterowi narodowemu, wegetują więc nędznie. Upadają tym szybciej, że robotnik łaciński, mało zdolny do przewidywania, woli na co dzień kupować w detalu u drobnych sklepikarzy, z którymi gawędzi, a którzy bardzo chętnie udzielają mu (kosztownego) kredytu, niż udać się do wielkiego magazynu, gdzie trzeba płacić na miejscu i który nie może sprzedaży rozdrabniać w nieskończoność.

Robotnik francuski miałby tymczasem interes finansowy w uwolnieniu się od pośredników przy pomocy spółdzielni. We Francji szacuje się sumy pobrane przez pośredników dzielących producenta od konsumenta na 7 miliardów rocznie, to jest prawie dwa razy tyle, ile płacimy podatków. Żądania pośrednika są twardsze niż kapitału, jednak robotnik ich nie widzi, ulega im więc bez narzekania.

Najbardziej rozpowszechniona nowoczesna forma stowarzyszenia, a zarazem najbardziej anonimowa, przybiera postać spółki akcyjnej. Jak to bardzo dobrze wyraził Leroy-Beaulieu, spółki te stanowią *dominujący rys organizacji ekonomicznej świata współczesnego... Przemysł, finanse, handel, nawet rolnictwo, przedsięwzięcia kolonialne – rozciągają się na wszystkie dziedziny życia. U prawie wszystkich ludów są normalnym narzędziem produkcji przemysłowej i wykorzystania sił natury... Spółka akcyjna wydaje się być przeznaczona do tego, by stać się królową kuli ziemskiej; jest prawdziwą dziedziczką upadłej arystokracji i dawnego feudalizmu. Do niej należy władza nad światem, bo nadchodzi godzina, gdy świat zostanie podzielony na akcje.* Nie jest ona, jak stwierdza tenże autor, wynikiem wzrostu bogactwa, lecz skutkiem demokracji i rozproszenia kapitału między wiele rąk.

Jedyną możliwą formą stowarzyszenia się drobnych kapitałów jest ich wykorzystanie w akcjach. Ma to pozory kolektywizmu, ale tylko pozory, gdyż do tego kolektywu wchodzi się w sposób wolny i także z niego wychodzi, zaś udział w zyskach jest ściśle uzależniony od wkładu, czyli od sumy oszczędności, którą każdy wniósł. Gdy dzięki systemowi akcyjnemu robotnik stanie się właścicielem, anonimowym lecz zainteresowanym, fabryki, w której pracuje, dokona się wielki postęp. Być może dzięki tej metodzie dokona się ekonomiczna emancypacja klasy robotniczej, jeśli jest ona możliwa, przy czym zatrą się w pewnym stopniu nierówności naturalne i społeczne.

Jak dotąd spółki akcyjne nie przeniknęły do warstw ludowych. Jedyny sposób stowarzyszania się, który trochę się zbliża do tej formy gospodarowania, choć doprawdy tylko trochę, to system udziału w zyskach. Wiele towarzystw opartych na tej zasadzie odniosło sukces. Nie są one jednak zbyt liczne, a to po części dlatego, że ich dobre zorganizowanie wymaga umiejętności naprawdę wysokich, te zaś są z natury bardzo rzadkie.

Można zacytować przykłady takich stowarzyszeń: przedsiębiorstwo farbiarskie założone w 1829 przez Leclaire'a, kontynuowane pod nazwą Redouly at C[ie], w Paryżu; fabryka Guise w Aisne; w Laeken w Belgii itd. Pierwsza rozdziela między swoich udziałowców, samych robotników firmy, 25% dochodu, a po pewnej liczbie lat przyznaje im 1500 franków emerytury. Tych emerytur jest dziś 120. Zrzeszenie Guise jest rodzajem wspólnoty, w której połączenie kapitału i pracy przyniosło doskonałe efekty. W 1894 roku obroty przekroczyły 5 milionów, dając 738 000 franków zysku.

Można dziś naliczyć ponad 300 analogicznych zakładów we Francji i za granicą, które wprowadziły u siebie udział w zyskach. W Anglii najsłynniejsze z tych towarzystw udziałowych to „równi pionierzy z Rochdal", które zostało założone w 1844 roku przez 28 robotników ze skromnym kapitałem, a doszło do 12 000 członków w 1891 i do kapitału 9 milionów. Rocznie sprzedaje ono za 7 400 000 franków, przynosząc 1 300 000 franków dochodu.

Stowarzyszenia tego rodzaju odniosły nie mniejszy sukces w Belgii, a zwłaszcza „le Woruit" w Gandawie. Niemcy mają ich też niemało, bardzo dobrze prosperujących. W północnych Włoszech założono ich wiele w ostatnich latach, ale – jak i we Francji – braki w zarządzaniu spowodują zniknięcie większości. Ich organizacja jest całkowicie łacińska, co oznacza, że ich los zależy wyłącznie od człowieka stojącego na czele, natomiast członkowie towarzystwa nie mają umiejętności administrowania nim samodzielnie, jak to czynią robotnicy anglosascy – zresztą nie mają też zamiaru tego robić.

Główny szkopuł polega na tym, że udział w zyskach tych towarzystw wymaga również udziału w stratach, z natury rzeczy częstych. Jak długo jest dochód, stowarzyszeni pozostają w idealnej zgodzie, ale gdy pojawia się strata, zgoda się szybko kończy. Uderzającego dowodu dostarczyła kilka lat temu Ameryka. Spalenie wielkich zakładów Towarzystwa Pulmanna oraz akty rabunku i dzikiego wandalizmu, które po tym nastąpiły, pokazuje, co czeka tego rodzaju przedsiębiorstwa, gdy nie towarzyszy im sukces.

Towarzystwo Pulmanna zbudowało ogromne fabryki zatrudniające 6 000 robotników, oraz ładne 13-tysięczne miasto dla nich i dla ich rodzin, ze wszystkimi nowoczesnymi wygodami: dużym parkiem, teatrem, biblioteką itd. Domy mogli nabywać tylko robotnicy. Stawali się ich właścicielami za umiarkowane raty roczne.

Dopóki interes szedł pomyślnie, panowały pokój i obfitość. Robotnicy w kilka lat umieścili w kasach oszczędności blisko 4 miliony.

Zamówień jednak ubyło w związku ze spadkiem dochodów towarzystw kolejowych, klientów fabryki. Firma Pulmann, by nie ponosić

strat przy zatrudnieniu wszystkich robotników, a nie chcąc ich zwalniać, została zmuszona do zmniejszenia ich pensji, obniżając ją z 11 do 7,50 franka dziennie. Po tym nastąpiła prawdziwa rewolucja. Fabryki zostały złupione i podpalone, a robotnicy podjęli strajk, który przeniósł się na koleje i doprowadził do takich aktów przemocy, że prezydent Cleveland został zmuszony do ogłoszenia stanu wyjątkowego. Kres rewolcie położyły dopiero salwy karabinowe.

Niezbyt wierzę w trwałą przyszłość tych towarzystw z udziałem w zyskach, które pozostawiają robotnika na łasce pracodawcy i na zbyt długo go z nim wiążą. Nie ma on zresztą żadnego rzeczywistego interesu w udziale robotników w jego zyskach, skoro wiadomo na pewno, że zawsze odmówią pokrywania strat i zbuntują się, skoro tylko one wystąpią. Pracodawca może się zgodzić na dzielenie się zyskami z czystej filantropii bądź ze strachu; nikt nie może zmusić go do tego. Można zbudować coś trwałego na interesie, uczuciu trwałym i nie podlegającym zmianom, ale nie na filantropii czy strachu – uczuciach zmiennych i zawsze przejściowych. Filantropia zbyt bliska jest litości, by wzbudzać uznanie w tych, którzy z niej korzystają. Jak mniemam, Pulmann, widząc swe spalone fabryki musiał uzyskać pewne pożyteczne wiadomości z psychologii praktycznej, których książki nie uczą, a których nieznajomość kosztuje czasem bardzo drogo.

Jedyna możliwa forma uczestnictwa, która ściśle uzgadnia interesy pracodawcy i robotnika, czyniąc ich niezależnymi od siebie, to spółka akcyjna, która zakłada zarówno udział w stratach jak i w zyskach, co jest jedynym układem sprawiedliwym i możliwym do przyjęcia. Akcja o nominale 25 franków, jak pewne akcje angielskie, jest w zasięgu każdej kieszeni, dziwię się więc, że jeszcze nie ma fabryk, których akcjonariuszami byliby wyłącznie robotnicy. W dniu, w którym pracownicy przekształcą się w ten sposób w kapitalistów, obecne ich żądania stracą rację bytu, gdyż pracowaliby wyłącznie dla siebie. Robotnik, który dla jakiejkolwiek przyczyny chciałby zmienić fabrykę, mógłby, jak każdy zwyczajny akcjonariusz, sprzedać akcje by odzyskać swobodę. Jedynym problemem byłoby znalezienie ludzi zdolnych do kierowania fabryką, ale doświadczenie szybko nauczyłoby robotników ile warci są ludzie zdolni, i że trzeba im odpowiednio płacić.

W jednej z mych książek dawno już temu dałem kilka wskazówek na ten temat. Wpadła ona w rękę pewnemu inżynierowi belgijskiemu zatrudnionemu przy wielkich budowach przemysłowych; uderzony praktyczną użytecznością mych idei napisał do mnie, że zamierza je zrealizować. Życzyłem mu z całego serca sukcesu. Główna trudność leży naturalnie w subskrypcji, gdyż nie można oczekiwać od niczego nie posiadających robotników kapitału potrzebnego do jakiegokolwiek

interesu, na przykład do budowy fabryki. Na początek nie widzę innej możliwości realizacji tych koncepcji, niż sprzedaż całości lub części własności fabryki już istniejącej robotnikom, którzy w niej pracują, tak jak się ją sprzedaje akcjonariuszom, ale stosując metody pozwalające na nabywanie jej stopniowo. Wyobraźmy sobie, że właściciel fabryki chce wypuścić jej akcje, by je sprzedać robotnikom. Załóżmy też, że płacił im 5 franków dziennie. Przypuśćmy, że odtąd płaci im tylko 4,75 lub 4,50 franka, a pozostała suma będzie składana na koncie każdego robotnika aż do momentu, gdy drobna dzienna składka przekształci się w akcję za 25 franków. Ta akcja, przynosząca już dywidendę, złożona będzie w kasie publicznej na imię swego posiadacza, z warunkiem, że będzie mógł do woli odcinać od niej kupony, ale bez możliwości jej sprzedaży przez parę lat, żeby go nie kusiło szybkie jej spieniężenie. Przy dłuższym trwaniu operacji robotnik uzyskałby wkrótce dość znaczną liczbę akcji, dochód z których szybko by skompensował redukcję pensji i stanowiłby rentę na starość. Bez żadnej interwencji państwa stałby się wtedy rentierem.

Uzyskany efekt moralny byłby dla robotnika jeszcze ważniejszy niż korzyści materialne. Uważałby słusznie fabrykę za swą osobistą własność i interesowałby się jej sukcesem. Uczestnicząc w zgromadzeniach akcjonariuszy nauczyłby się rozumieć interesy a następnie dyskutować o nich. Uchwyciłby szybko rolę kapitału oraz zazębianie się prawidłowości ekonomicznych. Stawszy się kapitalistą, przestałby być zwykłym wykonawcą. W końcu wyszedłby ze swej wąskiej strefy, z ograniczonych horyzontów. Przymierze między kapitałem a pracą stopniowo zastąpiłoby antagonizm panujący dziś między nimi. Interesy, będące dziś w stanie walki, stopiłyby się w jeden. Człowieka czynu i myśli, który ucząc innych na przykładzie potrafiłby jako pierwszy zrealizować tę ideę, można będzie uznać za dobroczyńcę ludzkości.

Nie możemy zbadać tutaj wszystkich form solidarności (współpracy). Jednej z najważniejszych, związkom zawodowym, będzie poświęcony osobny podrozdział. Istnieje jednak jeszcze jedna forma solidarności, którą powinniśmy jeszcze wspomnieć. Łączy ona jednostki skupione doraźnie lub w sposób trwały dla uzyskania jakiejś reformy lub obrony pewnych interesów.

Ta forma stowarzyszenia, nowa dla ludów łacińskich, istnieje od dawna u Anglosasów, cieszących się od dawna wolnością i umiejących się nią posługiwać. Taine mówiąc o Anglii powiada tak: *Gdy ktoś ma tu dobry pomysł, dzieli się nim z przyjaciółmi, wielu z nich uznaje go za dobry. Wspólnie dostarczają pieniędzy, publikują go, wzywają do poparcia i składek. Sympatia i składki istotnie się pojawiają, popularność rośnie. Sniežna kula toczy się rosnąc, uderza w bramy parlamentu, uchyla*

je, a w końcu otwiera lub wyłamuje. Oto mechanizm reform, oto jak się załatwia sprawy samemu; a trzeba powiedzieć, że na ziemi angielskiej są śnieżki, które przechodzą w kule.

Poprzez tego rodzaju stowarzyszenia, takie jak liga na rzecz wolności wymiany Cobdena [Liga przeciw ustawom zbożowym], Anglicy doszli do swych najbardziej pożytecznych reform. Narzucają one swoją wolę parlamentowi, skoro tylko staje się widoczne, że stanowią wyraz woli powszechnej.

Jest bowiem oczywiste, że odizolowana jednostka, choćby nie wiem jak wpływowa, nie może uzyskać tego, co uzyskuje stowarzyszenie reprezentujące liczne interesy zbiorowe. Na interesującej konferencji Bonvalot wskazał, ile może uzyskać grupa jednostek solidarnych we wspólnym interesie.

Touring-Club, liczący obecnie więcej niż 70 000 członków, jest potęgą. Nie tylko dostarczył rowerzystom map dróg, spisów tras, zniżek w hotelach, punktów pomocy, lecz również obudził potworną biurokrację Dróg i Mostów i skłonił ją do budowy ścieżek rowerowych. Pokonał groźne towarzystwa kolejowe, przekształcił uciążliwych celników w ludzi grzecznych, czyniąc przekroczenie granicy przyjemnością.

Obraz jest efektowny, ale znacznie upiększony. Touring-Club został założony z łatwością, gdyż każdy z jego członków spodziewał się pomocy ze strony potężnego stowarzyszenia, której jak mniemał codziennie potrzebuje, a która może mu stokrotnie zwrócić kwotę składki. Stwierdziłem jednak, że klub tego nie czyni. Jego organizacja bardzo prędko stała się łacińska.

§ 3. Robotnicze związki zawodowe

Związki zawodowe mają za cel skupienie pod jednym kierownictwem jednostek mających te same interesy i najczęściej wykonujących jeden zawód. Ich liczba i siła stale rosną. Są jedną z konieczności zrodzonych przez ewolucję nowoczesnego przemysłu.

Warstwy robotnicze skorzystały ze związków najbardziej, trudno wystarczająco przebadać rezultaty ich starań. To nie głosowanie powszechne, lecz przede wszystkim związki zawodowe dały im obecną potęgę. Związki te stały się bronią małych i słabych, którzy odtąd mogą na równej stopie pertraktować z największymi baronami przemysłu i finansów. Dzięki tym stowarzyszeniom stosunki między właścicielami a robotnikami, pracodawcami i zatrudnionymi, zmieniają się zupełnie. Wobec nich właściciel nie jest trochę paternalistycznym autokratą, zarządzającym bez dyskusji tym, co dotyczy pracy, władającym wedle

swojej woli całą ludnością pracowniczą, regulującym warunki pracy, kwestie zdrowia i higieny itd. Przeszkodą dla jego woli, jego fantazji, jego słabości czy błędów, jest dziś związek zawodowy, który dzięki liczebności i jedności woli stanowi siłę prawie równą jego sile. Dla zrzeszonych siłę z pewnością despotyczną – ale gdyby despotyczną nie była, zniknęłaby.[1]

Związki te wydają się koniecznym następstwem obecnej ewolucji, jako że rozpowszechniają się bardzo szybko. Nie ma już korporacji, nawet poza robotniczymi, które nie tworzą związków: sklepikarze, węglarze, kanalarze... Naturalnie również pracodawcy zrzeszają się dla wspólnej obrony, o ile jednak związków właścicieli jest 1400 ze 114 tysiącami członków, to związków robotniczych 2000 z ponad 400 tysiącami członków. Są to potężne armie, bez dyskusji słuchające głosu przywódców, trzeba się bezwzględnie z nimi liczyć. Stanowią siłę często ślepą, zawsze groźną, w każdym wypadku korzystną dla robotników, choćby dlatego, że podnosi ich morale, przekształcając ich z wystraszonych najemników w ludzi, którym należą się względy i z którymi trzeba rozmawiać na równej stopie.

Ponieważ ludy łacińskie mają niestety silne tendencje autokratyczne, powstałe u nich związki robotnicze stają się równie despotyczne, jak byli niegdyś pracodawcy. Los tych ostatnich staje się ostatnio nie do pozazdroszczenia. Następujące zdania, pochodzące z mowy wygłoszonej przez byłego ministra Barthou, pozwalają wyrobić sobie pogląd na ich sytuację: *Bez przerwy zagrożeni przez prawa chroniące wolność związków, wystawieni na legalną przemoc i więzienie, nie mający już skutecznego autorytetu wobec swojego personelu, obciążeni opłatami na rzecz kas od bezrobocia, wypadków, chorób, starości (nie mogą obciążyć nimi płac, bo ich wielkość sprowokowałaby powstanie ludowe); sfrustrowani przez progresywny podatek od majątku zdobytego mimo tylu trudności i upo-*

[1] Łacińskie związki zawodowe wymagają od swych członków całkowitego posłuszeństwa, a anonimowość pozwala traktować ich tak twardo, że ze strony żadnego tyrana czegoś podobnego by nie znieśli. Przypomnijmy historię tego robotnika z odlewni, którego związek zawodowy odlewaczy miedzi umieścił na czarnej liście, ponieważ odmówił opuszczenia firmy wciągniętej na takąż listę. Nie mogąc znaleźć żadnej pracy, gdyż właściciele, którzy by go zatrudnili, zostaliby sami dotknięci zakazem, zmuszony został, żeby nie umrzeć z głodu, zażądać odszkodowania poprzez sąd. Dzięki kilkuletniej wytrwałej walce w końcu uzyskał skazanie związku na wypłacenie 5000 franków odszkodowania. Pracownik nie może jak się wydaje uniknąć tyranii, chyba że podda się innej – ta jednak przynajmniej oddaje mu pewne usługi. Władza publiczna bardzo obawia się związków i traktuje je jak mocarstwa. Wszystkie oczy są w nie wpatrzone. Gdy pojawiła się sprawa strajku generalnego górników francuskich, gazety nie mniej zajmowały się dyskusjami pół tuzina delegatów robotniczych przy stole w tylnym pokoju jakiejś winiarni, niż władcami omawiającymi w gronie doradców sprawę pokoju lub wojny. Ministrowie przyjmują przedstawicieli związków, jak gdyby przyjmowali ambasadorów obcego mocarstwa, a ich najbardziej nieprawdopodobne żądania badają z szacunkiem.

korzeń, będący już jego panami tylko z imienia, a zobowiązani znosić nieszczęśliwe przypadki i ryzyko – właściciele, szefowie przemysłu zniechęceni rezygnują, abdykują, a przynajmniej pracują bez fantazji i odwagi, wykręcają się od swych zadań jak poborcy podatkowi w ostatnich wiekach imperium rzymskiego.[2]

Nie tylko we Francji słychać takie skargi. Nawet w Anglii, gdzie rola związków robotniczych (*Tradeunions*) uchodziła długo za pożyteczną, zaczyna się je uznawać za tyrańskie zarówno względem pracodawcy, jak i robotnika. Obawiać się można zwłaszcza ich roli politycznej, która może się stać znacząca, gdyż ich członkowie tworzą dziś jedną czwartą elektoratu.

Siła wyższa niż wszystkie instytucje, konieczność, z pewnością złagodzi te stosunki, tak dziś pełne złości i napięcia. Robotnik, który obecnie traktuje pracodawcę jak wroga, w końcu zrozumie, że interesy dyrektora fabryki i pracowników są tego samego rodzaju, bo jedni i drudzy muszą słuchać wspólnego pana: klientów i praw ekonomii, jedynych faktycznych regulatorów zarobku.

Tak czy owak, skończyła się era dawnych stosunków rodzinnych lub autokratycznych między właścicielem a robotnikami, panem a służącymi. Możemy tego żałować, jak żałujemy zmarłych, wiedząc jednak, że ich już nie ujrzymy. W przyszłej ewolucji świata biegiem spraw będą kierować interesy ekonomiczne. Aby się ochronić i obronić człowiek nie będzie już apelował do miłosierdzia i dobroczynności, lecz jedynie do solidarności (współdziałania). Dobroczynność i miłosierdzie są przeżytkami przeszłości, bez prestiżu i bez skuteczności; widzimy jak giną. Przyszłość znać ich nie będzie.[3]

§ 4. Przedsiębiorstwa komunalne, socjalizm gminny

Epoka współczesna jest epoką kolektywów. Cywilizacja jest dla ogromnej większości jednostek rzeczą zbyt skomplikowaną i trudną, by łatwo się nią posługiwać. Trzeba im pomocy, wsparcia. Widzimy rodzenie się coraz większej liczby instytucji wynikłych z tej naglącej potrzeby.

---

[2] Le Bon niby gani zbędne wykształcenie klasyczne, ale aluzje do niego uważa za zrozumiałe. Pod koniec imperium ludzie bogatsi przymusowo pełnili funkcje poborców podatkowych, za wyniki odpowiadając swoim majątkiem. Tak samo współczesny pracodawca jest zmuszony obliczać, pobierać i przekazywać podatki bezpośrednie i pośrednie od swojej firmy i pracowników; większą część tego, co wypracuje, pochłaniają podatki i składki. Gdyby ich nie odjął, lecz wypłacił pracownikom i klientom, ściągnięto by je z jego majątku osobistego, nie od opodatkowanych [*przypis tłumacza*].

[3] To mylne przewidywanie pozostaje w sprzeczności z tezami Le Bona na temat stałości zachowań kulturowych i powolności zmian cywilizacyjnych. Wpłynąć też na nie mogły uprzedzenia wobec chrześcijaństwa i oświeceniowe wróżby o jego bliskim zaniknięciu [*przypis tłumacza*].

Dla podobnych potrzeb ograniczonej grupy, obejmującej osoby o tym samym zawodzie, istnieją związki zawodowe. Dla potrzeb rozmaitych a zbiorowych, jak na przykład czystość miasta, istnieje zawsze administracja lokalna. Nigdy jednak nie próbowała ona przejmować tak rozmaitych i licznych funkcji, jak dzisiaj w niektórych krajach. Jej zasięg stale rośnie.

To zjawisko nasila się zwłaszcza w Anglii, kraju skądinąd w bardzo mało stopniu socjalistycznym. Miasta zajmują się tam teraz, wyłącznie dla oszczędności, mnóstwem przedsięwzięć: oświetleniem, komunikacją itd. Często się im udaje, po prostu dlatego, że na ich czele stają ludzie uzdolnieni, posiadający odpowiednie umiejętności praktyczne, tak rzadkie wśród ludzi.

W Glasgow przemiana była najpełniejsza i najszybsza – pisze Bourdeau. *Miasto zobowiązało właścicieli do rozbiórki niehigienicznych domów; dzielnice robotnicze zostały przekształcone. Można było oglądać ogromne mnóstwo budynków miejskich, które miasto wynajmuje po umiarkowanej cenie. Zbudowano łaźnie, pralnie, rzeźnie, galerie sztuki, muzeum, biblioteki, schroniska, szkoły techniczne itd. Dzięki korzyściom, jakie stąd płynęły dla miasta, przejęto z pełnym powodzeniem rozmaite przedsiębiorstwa usług publicznych: tramwaje, wodę, gaz, prąd. Cena gazu została znacznie obniżona.*

Jest to z pewnością socjalizm, jeśli temu słowu nadać nieokreślony zakres, ale w takim razie należałoby uznać za socjalistyczne wszystkie spółdzielnie, a nawet spółki akcyjne. Jest jednak pewne, że Anglia, praktykując tego rodzaju socjalizm, wcale nie wybiera socjalistów do parlamentu.

Miasta niemieckie idą śladem angielskich, a ponieważ i tam ludzie o odpowiednich zdolnościach nie są rzadcy, również im udały się te przedsięwzięcia, chociaż nie tak dobrze jak w Anglii.

Miasta cesarstwa bez stronniczości zorganizowały szkoły zawodowe, biblioteki, kasy ubezpieczeniowe, bezpłatne biura poszukiwania pracy; starają się zaradzić bezrobociu. Została rozwiązana bieżąca sprawa aptek miejskich w Kolonii. Liczne miasta starają się powiększyć swój majątek nieruchomy. Wszystkie klasy zajmują się mieszkaniami dla robotników. W księstwie badeńskim, Sztrasburgu, w Hamburgu miasta wynajmują mieszkania ludności robotniczej... Jak w Anglii, miasta dążą do tego, by tych sfer nie eksploatowały spółki akcyjne.[4]

... Od 1847 roku samorząd Berlina uzyskał prawo założenia gazowni; od 1876 rządzi całością robót publicznych i domaga się jeszcze więcej autonomii... Cały ten ruch kształtuje się bez udziału socjalistów.

---

[4] Typowe rozwiązanie polegało na tym, że usługi takie były prywatne, ale zmonopolizowane przez koncesje – monopol municypalny był stosunkowo mniej kosztowny [*przypis tłumacza*].

We Francji tego rodzaju socjalizm municypalny prawie wszędzie poniósł porażkę, gdyż w tych niewielu miastach, gdzie go spróbowano, wprowadzali go politycy bez odpowiednich umiejętności, rekrutujący się z najniższych warstw społecznych. Można było oglądać miasta niegdyś kulturalne, jak Dijon, tak ujarzmione przez mowy paru agitatorów, że wybrało socjalistyczną radę miejską, do której należało dwóch szewców, kowal, winiarz, paru akwizytorów, ogrodnicy, wyrobnik itd. W ostatnich wyborach wybrano na mera zwykłego kolejarza. Również Roubaix sprawiło sobie samorząd socjalistyczny, który przez dłuższy czas realizował fantastyczne pomysły. Składał się on w znacznej części z knajpiarzy i gazeciarzy. Rozpoczęli od stworzenia dla swych krewnych posad za 75 000 franków. Wyborcy w Roubaix w końcu stwierdzili, że dla administrowania dużym miastem potrzeba pewnych umiejętności i pozbyli się swej socjalistycznej rady miejskiej.

Samorządom socjalistycznym we Francji przeszkadza w zrobieniu zbyt wielu szkód to, że większość ich decyzji musi być zatwierdzona przez władzę centralną przed realizacją, co znacznie ogranicza zasięg fantazji. Przykład Dijon, Roubaix, Brestu itd. dowodzi, że decentralizacja, w teorii tak znakomita, nie da się u ludów łacińskich urzeczywistnić. Centralizacja jest z pewnością krępująca, kłopotliwa i rujnująca. Jest jednak niezbędna, gdyż bez niej natychmiast popadlibyśmy w potworną anarchię.

Te próby z rewolucyjnym kolektywizmem na małą skalę są nadzwyczaj kształcące i należałoby sobie życzyć, by dla pouczenia publiczności było ich więcej, nawet jeśli naraża to kilka miast na ruinę. Doświadczenie jest jednym z nielicznych dowodów dostępnych masom. Eksperymenty z socjalizmem municypalnym pozwalają wyrobić sobie dość jasny pogląd na rezultaty, jakie przyniesie kolektywizm, gdy uda mu się opanować duży kraj.

Doświadczenie socjalistyczne – pisze *Le Temps* – *było na najlepszej drodze do zniszczenia na stałe pomyślności gminy Roubaix. Eksperymenty administracyjne kolektywistów i ich fantazje finansowe otworzyły erę bałaganu, rozrzutności i ruiny.*

Roubaix poznało jarzmo rewolucji. Roubaix strząsnęło je z siebie. Duże miasto nie może bezkarnie znosić tyranii i kaprysów kolektywistów. Za doświadczenie płaci się drogo; trzeba jednak pogratulować sobie, że było krótkie i nie zostawiło za sobą ruin nie do naprawienia. Morał z tej historii jest taki, że ostatnie słowo należy do zdrowego rozsądku, pod warunkiem, że się nie zrezygnuje z walki o niego. Dzięki wytrwałości i energii Roubaix zostało odebrane rewolucjonistom. Dobry przykład do naśladowania!

Jest to z pewnością przykład do naśladowania. Do odnoszenia takich zwycięstw potrzeba jednak ludzi pierwszej klasy. Osobowości dość

śmiałe, by pójść pod prąd popularnych opinii zamiast płynąć z jego biegiem, stają się niestety coraz rzadsze. Ci dzielni obrońcy gmachu społecznego godni są podziwu i zasługują na pomniki. Zwykły dyrektor fabryczki potrafił stworzyć w Roubaix ruch, który spowodował, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, porażkę socjalistycznej rady miejskiej oraz deputowanego uznawanego za jednego z przywódców partii kolektywistycznej.

Eksperymenty z socjalizmem samorządowym, które czasami dość dobrze się udają w Anglii i w Niemczech, tak słabe dają wyniki we Francji i we Włoszech. Dzieje się tak dlatego, że niezbędnym warunkiem ich sukcesu są, jak to już zaznaczyłem, wysoce kompetentni ludzie do zarządzania. Tymczasem najhałaśliwsze poglądy polityczne nie zastąpią najskromniejszych umiejętności praktycznych. Gdyby robotnicy umieli zarządzać, kierować przedsiębiorstwami, stanowić prawa, nie potrzebowaliby wcale burżuazji, bez której dziś nie mogą się obyć. Gdy tylko robotnik uzyskuje wystarczające umiejętności, jest już bardzo blisko wejścia z tego tytułu w szeregi burżuazji. Zbliża się widocznie do tej klasy w Anglii i Ameryce, jest od niej jeszcze daleko w Niemczech, a bardzo daleko u ludów łacińskich.

Rozdział 3
Związki producentów

§ 1. Poszerzenie prawa grupowania się według podobnych interesów

Stwierdziłem w tym dziele wielekroć, że związki zawodowe i stowarzyszenia, jednym słowem grupy o podobnych interesach, stanowią zjawisko charakterystyczne dla czasów obecnych. Właściciele, robotnicy, urzędnicy, coraz częściej się zrzeszają. Pozostaje nam zbadać nową formę związku, która zrodziła się niedawno, a już nabiera dominującego znaczenia.

Redukcja dochodów z kapitału na skutek stopniowego wzrostu płac, a potem konkurencji producentów między sobą, doprowadziła wielkich przemysłowców do utworzenia monopolistycznych związków mających pozwolić na uniknięcie konkurencji, redukcję kosztów i utrzymanie cen. Ich szybki rozwój w bardzo różnych krajach wskazuje wyraźnie, iż odpowiadają pewnej ewolucji w gospodarce.

Zrodziły się w Ameryce. Ich rozwój doprowadził je tam szybko do rozmiarów gigantycznych. W dość odmiennej formie rozwinęły się też w Niemczech. Zbadamy ich stan w tych dwóch krajach.

§ 2. Amerykańskie trusty

Amerykańskie związki producentów są zwykle nazywane trustami, choć same odrzekły się już od tego określenia.

Trust stanowi monopolistyczny związek przemysłowy utworzony przez producentów, których fabryki nie są stowarzyszone, lecz wykupione przez jednego lub paru kapitalistów, stających się ich absolutnymi panami. Ten monopol produkcyjny przypomina skup towaru w celach spekulacyjnych, ale nie powinien być z nim mylony. Taki skup jest zjawiskiem handlowym a nie przemysłowym, i z natury rzeczy trwa bardzo krótko. Spekulant skupuje towar, żeby uczynić go rzadkim i by móc odsprzedać go drożej; towaru tego nie produkuje i często nawet go nie widzi. Związek produkcyjny skupuje fabrykację, a nie produkt. Interes polegający na zwolnieniu produkcji towaru dla powiększenia

jego rzadkości, a tym samym ceny, byłby ograniczony przez niedogodności wynikłe z dezorganizacji zakładów i wzrost kosztów ogólnych, które maleją ze wzrostem produkcji.

Związki monopolowe w przemyśle mają słusznie za cel nie tylko redukcję tych kosztów ogólnych, lecz przede wszystkim usunięcie konkurencji między podobnymi zakładami, a w konsekwencji przeszkodzenie w spadku ceny zbytu poniżej pewnego poziomu.

Trusty mogły osiągnąć w Ameryce ogromną potęgę tylko dlatego, że są kierowane przez pojedynczych szefów o niepodważalnym autorytecie. Zjednoczone fabryki nie są zrzeszone, jak to widzimy w Niemczech, lecz kupione przez jednego kapitalistę z zasobami, które mógł zgromadzić przez różne kombinacje finansowe. Stałą regułą tworzenia tych związków w Stanach Zjednoczonych jest ich skupianie w jednym ręku. Amerykanie uznają w polityce zalety systemu reprezentacji, ale w sferze przemysłu i handlu wolą czystą autokrację.

Na mocy tej zasady różne trusty amerykańskie są prawie bez wyjątku kierowane przez jednego właściciela. Trust naftowy, na przykład, składa się z całego mnóstwa rafinerii pod jednym szefem. Trust stalowy, który skupia prawie wszystkie zakłady metalurgiczne Ameryki i posiada flotę większą niż niejeden kraj europejski, również jest w rękach jednego właściciela. Ci potentaci kierują interesami wedle swojej woli, nie podlegając żadnej kontroli, odwołując dyrektorów fabryk, którzy im nie odpowiadają, ustalając wielkość produkcji, płace robotników i ceny sprzedaży. Dążą do wyspecjalizowania pracy każdej fabryki, by zmniejszyć koszty ogólne, a tym samym zwiększyć zyski. Dzięki taryfom celnym utrzymywanym przez prawodawców, zwykle pozostających na ich żołdzie, nie muszą się obawiać żadnej konkurencji zagranicznej.

Mechanizm powstawania trustów jest zawsze taki sam. Finansista skupuje z pomocą zrzeszenia kapitalistów (lub bez niego) wszystkie fabryki zajmujące się pewnym rodzajem produkcji, tak by mieć na nią pełny monopol. Do takich operacji potrzeba rzeczywiście potężnego kapitalisty – zwłaszcza gdy osiągają one tak ogromne rozmiary, jak zakup wszystkich zakładów metalurgicznych w Ameryce za 5 miliardów, czego dokonał niedawno pewien finansista.

Twórcy tych kolosalnych przedsiębiorstw nie muszą zresztą posiadać miliardów na ich zakup. Nie muszą wydawać ani centyma, jeśli mają wystarczający prestiż. Zamówić dóbr za 5 miliardów bez wydawania centyma jest rzeczą prostą, jeśli znajdzie się pożyczkodawcę na tę sumę. Jedynym możliwym pożyczkodawcą jest naturalnie ogół. Wypuszcza się akcje, które są kupowane, a za pieniądze uzyskane tą drogą nabywa się fabryki od dotychczasowych właścicieli.[1]

Można się spytać, jaki interes mają różne fabryki w zgodzie na takie operacje i wejście do trustu, w którym całkowicie tracą niezależność. Wchodzą do niego, gdyż przykład fabryk, które próbowały się opierać, poucza, że odmowa jest sygnałem do bezlitosnej wojny, w której muszą przegrać. Założyciele trustu, mając w rękach większość kolei uniemożliwią krnąbrnej fabryce wysyłkę towarów, narzucając jej rujnujące ceny za transport. Jeśli fabryka mimo tego jest w stanie wysyłać swe produkty, i tak nie uniknie swego losu, gdyż trust będzie sprzedawał ze stratą tak długo, aż konkurencyjne fabryki zostaną zrujnowane. Najczęściej woli dać się wykupić niż zmiażdżyć.

W Ameryce były w 1899 roku 353 trusty reprezentujące kapitał 29 miliardów franków. W ten sposób, jak powiedziałem, regulują z korzyścią dla stowarzyszonych ceny wszystkich artykułów konsumpcyjnych: płodów rolnych, bawełny, metali itd., dzięki prawie prohibicyjnym taryfom celnym nie bojąc się konkurencji zagranicznej. Zaczynają zwykle od redukcji zatrudnienia i podwyżki cen. Standard Oil Trust za jednym zamachem zwolnił 1500 robotników i zredukował płace pozostałych o 15%. Tin Plate Trust podwoił przez rok cenę blachy cynowanej. Przy eksporcie natomiast trusty zniżają ceny, żeby zrujnować fabryki zagraniczne.

Interes publiczny nie został tu wspomniany i czytelnik, jak mniemam, nie wyobraża sobie, by przy podobnych operacjach takowy mógł być brany pod uwagę. Zainteresowanie założycieli trustu dla ogółu jest tego mniej więcej rodzaju, co włamywacza dla ofiary, lub rzeźnika dla baranów w rzeźni.

---

[1] W praktyce operacja jest dość skomplikowana i towarzyszą jej manewry godne podziwu dla swej pomysłowości, ale moralnie stojące znacznie niżej, niż rozbój na drogach w dawnych czasach. Ideałem założycieli trustów było zawsze wydobyć pieniądze od ogółu bez dawania czegokolwiek w zamian, co czasami im się całkowicie powiodło. Sukces tego rodzaju działań tłumaczy się tym, że główne trusty powstały prawie równocześnie. Akcje każdego trustu należą do dwóch bardzo różnych kategorii: akcje uprzywilejowane i akcje zwyczajne. Pierwsze czerpią z uzyskanych dochodów, przed jakimkolwiek podziałem, pewien procent, zwykle 7%, swej wartości nominalnej. Nigdy nie są wystawiane na sprzedaż publiczną. Reprezentując cenę fabryk skupionych w truście, służą do zapłacenia ich właścicielom. Akcje zwyczajne, sprzedawane ogółowi, dają prawo tylko do nadwyżki dochodów, jeśli takie powstaną, ale jak dotąd założyciele trustów tak to układają, by nie powstały. De Rousiers, od którego zapożyczyłem te szczegóły, zauważa, że nie ma trustu, który by przynosił dywidendy z akcji sprzedawanych ogółowi. Nie przynosząc dochodu, akcje te gwałtownie straciły na wartości. Wypuszczane zazwyczaj po 500 franków, są notowane dzisiaj najczęściej poniżej 150 franków. Dyrektorzy trustów wcale się tym nie martwią. Gdy ceny akcji są już bliskie zera, odkupują je, a wtedy mogą rozdzielić im wielkie dywidendy, które ich nic nie kosztują, skoro rozdzielają je sobie samemu. Akcje idą oczywiście do góry, co pozwala później założyć tym samym sposobem nowe trusty i częściowo uniknąć niemiłych jęków całkowicie złupionych akcjonariuszy.

Niemniej jednak gra naturalnych sił, przed którymi trusty mimo swej potęgi uciec nie mogą, powoduje, iż społeczeństwo w końcu osiąga niewątpliwe korzyści z istnienia tych związków. Na skutek skupienia fabryk w jednym ręku maleją koszty ogólne, rośnie specjalizacja i znacznie maleją wydatki. Trust mający monopol stara się naturalnie wywindować ceny, ale w końcu zawsze odkrywa, że sprzedając taniej sprzedaje dużo więcej, dochodzi więc wreszcie do obniżki i towar produkowany przez trust spada zazwyczaj poniżej swej dawniejszej ceny. Tak właśnie się zdarzyło z trustem miedzianym (Amalgamated Copper). Z początku próbował podnieść ceny miedzi, potem, widząc, że nie zyskuje na tym – rychło je obniżył.[2]

Robotnicy amerykańscy próbowali walczyć z trustami, ale byli zbyt słabi, by ich opór mógł trwać długo. Trusty dają im zresztą tę korzyść, że redukują bezrobocie, ale przede wszystkim uczą ich, że zrzeszać trzeba się energiczniej niż dotąd. Kiedy wszyscy robotnicy, zatrudnieni przez trust, będą pod władzą szefa swego związku i będą mieli rezerwy pieniężne pozwalające na dłuższą walkę, będą mogli w pewnym momencie zatrzymać wszelką produkcję i uzyskać podniesienie płac. Ponieważ trust jest oczywiście bogatszy niż robotnik, będzie mu łatwo przedłużać walkę dłużej i zawsze zwycięży, ale takie walki są zawsze dla trustu bardzo kosztowne, ma więc interes w unikaniu ich, tylko w wyjątkowych sytuacjach redukując płace.

Trusty amerykańskie często przybierają formy tak zdemoralizowane i barbarzyńskie, że legislacja przez dłuższy czas zwalczała je bez przerwy. Po latach bezcelowych sporów trzeba było uznać, że państwo nie jest dość silne, by walczyć z tak groźnym przeciwnikiem, zrezygnowało więc z walki. W bitwie prawa z trustami prawo zostało całkowicie i ostatecznie zwyciężone. Nie da się przeciwstawić praw i sprawiedliwości potędze miliardów. Prawa milkną wobec nich, jak niegdyś milkły wobec zdobywców.

Wszyscy szefowie trustów uważają się nie bez racji za potężnych władców. Oto kilka wyjątków z bardzo pouczającego wywiadu dziennikarza *Journal* z dyrektorem trustu stalowego, przeprowadzonego w czasie jego niedawnej bytności w Paryżu:

Potężniejsi jesteśmy niż był jakikolwiek monarcha, tak, to prawda. Na cóż by przeczyć? Nasz trust, United States Steel and Iron Corporation, którego jestem prezesem, wypłaca corocznie 600 000 osobom, które zatrudnia, 200 milionów dolarów, to znaczy miliard franków. Od naszych pracowników zależy bezpośrednio pięć do sześciu milionów ludzi, a po-

---

[2] Z tej między innymi przyczyny doniesiono o spadku ceny miedzi, która w styczniu 1902 spadła do 47 funtów, gdy kilka miesięcy wcześniej wynosiła 75 funtów. Jest zupełnie możliwe, że, jak to się podejrzewa, prawdziwym motywem obniżki jest zamiar amerykańskiego trustu miedziowego, żeby całkiem zrujnować zrzeszenia europejskie, które usiłują utrzymać wysokie ceny tego metalu – a następnie wykupić za bezcen ich fabryki.

średnio z piętnaście milionów. Nasz trust posiada koleje i 217 parowców. Jest dość silny, by dyktować warunki towarzystwom kolejowym, z których sprzętu korzysta. Tak, jesteśmy potężni, bardzo potężni!

Podczas ostatnich strajków walczyłem zdecydowanie, zajadle przeciwko stowarzyszeniom robotniczym – i pokonałem ich opór.

Niemniej jednak – zauważył dziennikarz – *wobec tych metod ubogi obywatel nie cieszy się już żadną wolnością wyboru, jest już tylko rzeczą, słabą jednostką, wchłoniętą przez olbrzymią zbiorowość, przez stalowe tryby. Nie ma już godności, praw...*

Potentat wybuchnął śmiechem. Powoli oświadczył w sposób, który może się Państwu wydać cyniczny:

Mój drogi panie, zauważyłem, że gdy ludzie dobrze zarabiają, wolność ich specjalnie nie absorbuje.

To prawda, że nowe metody prowadzą coraz bardziej do zniesienia indywidualności. Przyznaję jednak, że ta groźba połknięcia jednostki przez zbiorowość stanowi trudność, którą należy pokonać.

Zapytany o wartość metod przemysłu francuskiego, dyrektor trustu odrzekł:

Old fashioned! Niemodne, szablonowe. Tu panuje średniowiecze. Mówię wam szczerze: już nie istniejecie! Ze wszystkich krajów europejskich tylko Niemcy potrafiły przyswoić sobie najnowocześniejsze metody w przemyśle. Przemysłowiec niemiecki jest nowatorem. Nie jest też sparaliżowany, jak jego kolega angielski, przez tyranię związków zawodowych.

Gdyby sądzić trusty tylko na podstawie ich ostatecznych wyników, bez uzględniania barbarzyńskich metod, pogardy dla legalności, sposobów łupienia ogółu, trzeba by uznać, że osiągnęły rezultat, do którego nie zmierzały: supremację przemysłową Stanów Zjednoczonych. Ta supremacja wyraża się dziś poprzez rosnący eksport towarów amerykańskich. W bardzo krótkim czasie eksport żelaza wzrósł od 123 milionów [franków] w 1890 roku do 600 milionów w 1900, maszyn rolniczych z 19 milionów do 80 milionów, produktów chemicznych z 31 milionów do 66 milionów, skór z 62 do 136 itd. Wartość ich eksportu wzrosła z 5 miliardów w 1897 do 7 i pół miliarda w 1901 r. Dla Anglii i Niemiec, a zwłaszcza dla Anglii, ta inwazja była katastrofalna. Walki ekonomiczne, jakich świat jest dziś świadkiem, są na pozór mniej krwawe od bitew. Nie są jednak mniej rujnujące dla pokonanych. Głosiciele powszechnego pokoju jeszcze nie zdają sobie z tego sprawy.

§ 3. Zrzeszenia producentów w Niemczech

Także w Niemczech znajdziemy zrzeszenia producentów, jakie właśnie opisaliśmy, ale bardzo różniące się charakterem. Zamiast stanowić monopol utworzony przez zjednoczenie podobnych fabryk wykupio-

nych przez jedną osobę, niemieckie zrzeszenia producentów powstają ze stowarzyszenia się wielu fabryk zachowujących swoją niezależność w kwestiach kierowania fabryką i sposobów produkcji, ale dostosowujących się, ze względu na wspólny interes zrzeszonych, do pewnych warunków produkcji i cen zbytu, tak by sobie nie robić konkurencji. Te stowarzyszenia mają pewne cechy użyteczne – przynajmniej z pozoru – z powodu których są uznawane i chronione przez państwo.

Niemieckie zrzeszenia producentów znane są jako kartele. Wszystkie te federacje, takie jak westfalski związek węglowy reprezentujący interesy przedsiębiorstw górniczych, związek cukrowni, lodu itd., są zorganizowane tak samo. Związek jest reprezentowany przez biuro, które ma wyłączne prawo ustalania ceny zbytu i pertraktowania z nabywcą. Sprzedaje towary, by przynieść dochód zrzeszonym, ale za cenę, którą samo ustala. Stowarzyszeni nie mogą więc sobie robić konkurencji. Jeśli związek nie ma biura, co jest wyjątkiem, komitet dyrektorów ustala ceny zbytu i wielkość produkcji każdej fabryki. Inspektorzy czuwają nad ścisłym przestrzeganiem umowy. Najmniejsze naruszenie przyjętych reguł karane jest bardzo dużymi grzywnami.

Reguły związków niemieckich różnią się trochę, ale wszystkie zawierają te dwa podstawowe artykuły: sprzedaż po takiej samej cenie, by podobne fabryki nie robiły sobie konkurencji, oraz zakaz przekraczania pewnego poziomu produkcji w każdej fabryce, by nie zatłoczyć rynku, co doprowadziłoby niechybnie do dotkliwego spadku cen mimo wszelkich uregulowań.

Kartele niemieckie tworzą się przede wszystkim tam, gdzie chodzi o towary całkiem podobne. Są wielkie kartele produkcji lokomotyw, wagonów, wydobycia węgla, itd., oraz małe kartele produkcji towarów mniej ważnych, jak tkanin normalnej jakości, atłasu, tkaniny do parasoli itd. Nie ma ich przy produkcji artykułów luksusowych i nietypowych, zbyt rozmaitych, by ustalić dla nich jednolite ceny: luksusowe tkaniny, kolorowy papier, koronki, ozdoby itd. Im bardziej towar jest identyczny, tym łatwiej stworzyć związek producentów. Producenci alkoholu, wszyscy wytwarzający towar wysoce zbliżony, mogli się łatwo zrzeszyć, choć jest ich 4000. Wszystkie ich produkty są przekazywane do jednej sieci sprzedaży, która ma 26 000 składów.

Wszystkie te związki mnożą się coraz bardziej. Ich liczebność, która w 1879 roku wyniosła tylko 14, wzrosła do 260 w 1896.

§ 4. Zrzeszenia producentów we Francji

W krajach łacińskich, a zwłaszcza we Francji, gdzie duch solidarności jest mało rozwinięty, a co więcej, prawodawstwo gospodarcze jest

pedantyczne, formalne, niechętne inicjatywie i zdecydowanie wrogie wszystkiemu, co przypomina monopol – dążność do koncentracji w przemyśle, jaką stwierdziliśmy w Ameryce i Niemczech, rozwija się mało i nieśmiało. Mamy zresztą jedynie takie związki, które korzystają z jednego patentu, oraz związki w gałęziach przemysłu wymagających dużych kapitałów, jak przy rafinacji ropy. Jedyne związki regularnie ustanowione skupiają wielkie rafinerie cukru – ten ma zaledwie 4 członków; następnie rafinerie ropy z 17 członkami; kilka małych związków, jak producenci papieru ze słomy w Limousin, związek producentów szkła, związek metalurgiczny z Longwy zajmujący się wyrobem surówki, skupiający 11 członków i będący jedynym sprzedawcą.

Większość tych związków jest zbyt mała, by wywrzeć jakikolwiek wpływ na ceny na rynku, co powinno być w zasadzie ich główną rolą. Wobec braku ducha solidarności, którego brakuje rasie łacińskiej, nasi przemysłowcy wolą wegetować, a potem zniknąć, niż zjednoczyć się dla wzajemnego wsparcia.

A tymczasem, jeśli jest na świecie kraj, w którym zrzeszenia przemysłowców byłyby potrzebne, jest nim z pewnością Francja. Stale widzimy podupadanie różnych gałęzi przemysłu, jak na przykład tramwaje, ginące pod ciężarem kosztów ogólnych, które inteligentne stowarzyszenie ogromnie by obniżyło. To samo dotyczy nędznie wegetujących towarzystw żeglugowych. Stowarzyszenie nie tylko by obniżyło ich koszty ogólne, ale, co więcej, pozwoliłoby walczyć z robotniczymi związkami zawodowymi, które coraz to urządzają najbardziej bezsensowne strajki, i to tylko dlatego, że podpowiadają je jacyś politycy, dla których strajki te mogą być użyteczne.

Nie wierzę w to, by ludzie rasy łacińskiej mieli dość zmysłu organizacyjnego, żeby pokierować wielkimi zrzeszeniami produkcyjnymi, i należy się obawiać – albo mieć nadzieję, nie wiem – że Amerykanie wkrótce założą trusty w Europie. Zapowiadano niedawno, że myśleli już o kupieniu wszystkich przedsiębiorstw komunikacyjnych w Paryżu, jak próbowali już, jak się wydaje, opanować wszystkie niemieckie linie żeglugowe.

§ 5. Przyszłość związków produkcji przemysłowej

Trudno przewidzieć, czy koncentracja produkcji przemysłowej przetrwa w formie, jaką widzimy w Ameryce i Niemczech. Oddaje ona, przynajmniej chwilowo, pewne usługi, wydając się koniecznym następstwem ogólnego prądu pociągającego wszystkich ludzi do stowarzyszania się według zbliżonych interesów. Jednakowoż fakt, że owe związki

są stworzone głównie dla uniknięcia konkurencji, a tym samym do walki z naturalnym prawem rządzącym ewolucją istot żywych i społeczeństw, pozwala przeczuć, że nie utrzymają się one długo w formie obecnej.

Mają one bowiem charakter bardzo sztuczny, gwałcą prawo podaży i popytu, mogą powstać tylko pod ochroną bardzo wysokich barier celnych. Wydaje się więc, że prawa ekonomiczne w końcu dobiją się swych racji. Nie ma poważnych powodów do przypuszczenia, że te prawa nie będą rządzić przyszłą ewolucją świata, mimo że stwierdzić trzeba, że ludy coraz bardziej podążają w kierunku dokładnie odwrotnym. Otaczają się stale podwyższanymi barierami celnymi i zakładają coraz bardziej tyrańskie związki. Widzimy rysujący się gwałtowny konflikt między teoriami dawnej wiedzy ekonomicznej, a wszystkimi tymi organizacjami.

Pewne aktualne następstwa koncentracji przemysłu poprzez związki wydają się jednak dowodzić, że od działania praw ekonomicznych uchylić się nie da. Europejskie zrzeszenia produkcyjne, dzięki dobrej organizacji sprzedając po cenach bardzo korzystnych, naturalnie zwiększyły produkcję. Gdy ta produkcja przekroczyła potrzeby spożycia wewnętrznego, trzeba było szukać klientów w innych krajach. Skoro jednak inne kraje również były otoczone barierami celnymi, konieczne było dla skompensowania taryf ochronnych sprzedawać bardzo tanio. Te ceny, korzystne dla konsumenta, wkrótce przestały jednak przynosić zyski producentom. Zażądali wtedy od rządów premii eksportowych płaconych przez podatników. Były im one przyznawane zbyt często, a przyniosły skutek doprawdy groteskowy: gdy konsumenci w kraju produkcji płacili za towar bardzo drogo, zagraniczni otrzymywali go bardzo tanio. We Francji obserwowaliśmy to długo na przykładzie cukru. Płaciło się za niego drogo, podczas gdy klienci zagraniczni, którym go sprzedawaliśmy, płacili zań czterokrotnie mniej, dzięki premiom przyznanym producentom. Te premie oznaczały po prostu tyle, że za każdym razem, gdy cukrownia sprzedawała bardzo tanio konsumentowi zagranicznemu funt cukru, przekazywaliśmy jej pewną sumę, aby jej podziękować za trud, jaki poniosła, i by jej skompensować zmniejszenie zysku. Tylko zagranica zyskiwała coś na tej niewiarygodnej operacji.

Niemcy, mimo swej uczonej organizacji, są na najlepszej drodze do odczucia nieprzewidzianych skutków praw ekonomicznych, które mieli nadzieję przełamać. Aby uniknąć konkurencji zagranicznej, przemysłowcy niemieccy zrzeszyli się, zaś państwo chroniło ich barierami celnymi, które przeszkadzają przywozowi towarów zagranicznych. Okazuje się jednak, że mimo protekcjonizmu bariery celne okazały się

złudne. Nie przeszkadzają przemysłowi Stanów Zjednoczonych poważnie zagrażać niemieckiemu. Owszem, eksport amerykański musiał się oczywiście wycofać z Niemiec, gdyż jego wytwory nie mogły do nich wejść, ale wobec tego skierował się ku krajom mniej chronionym przez cła, które kiedyś były klientami Niemców. Z powodu taniości towarów kraje te kupują teraz w Ameryce, zamiast zwrócić się do Niemców. Niemcy mają więc rynek zatłoczony towarami, które nie znajdują już nabywców. Nie mają środków, by produkować równie tanio jak Ameryka, gdyż ich robotnicy są mniej inteligentni i mniej umiejętni. Zmuszeni do sprzedawania swoich zapasów ze stratą, padają ofiarą nieuniknionego prawa konkurencji, przed którym nawet najbardziej drakońskie prawa nie ochronią żadnego ludu na dłuższą metę.

Wynik szeregu konfliktów, jakie stąd powstaną, będzie zapewne trudny do przewidzenia. Związki producentów są obecnie w stanie przetrwać jedynie za zasłoną barier celnych. Wydaje się jednak pewne, że właśnie one nieuchronnie spowodują ostateczne zniknięcie tych barier.

Pomiędzy zjawiskami, których narodziny i rozwój oglądamy, choć nic nie pozwalało ich przewidzieć, wyróżnia się szczególnie wyraźnie to, że rola rządów poszczególnych krajów staje się coraz bardziej ograniczona, i że są one coraz bardziej zależne od prawidłowości ekonomicznych spoza ich sfery wpływów. Działają one z regularnością kół zębatych, tak że najbardziej stanowcze środki, o których marzą socjaliści, byłyby równie niezdolne do zmiany ich biegu, co mowy skierowane do potoku z zamiarem przekonania go, by zmienił koryto. Musimy próbować dostosować się do tych prawidłowości i nie zużywać daremnie swych sił na ich zwalczanie. Człowiek rządzony dawniej przez bogów, kodeksy i prawa, dziś jest wiedziony przez prawa ekonomiczne, których nic nie może ugiąć, i których potęga jest groźniejsza niż potęga dawnych despotów. Bezużyteczne byłoby przeklinanie ich, skoro musimy im podlegać. Biegu przeznaczenia nie zmieni się zarządzeniami.

Księga VII
PRZEZNACZENIE SOCJALIZMU

Rozdział 1
Granice przewidywań historycznych

§ 1. Pojęcie konieczności we współczesnej koncepcji zjawisk historycznych

Wkrótce podsumuję swoje przewidywania na temat przyszłości socjalizmu. Przedtem byłoby jednak użyteczne zbadać, w jakich granicach nauka na takie przewidywania pozwala, z jakimi zastrzeżeniami można je sformułować.

Odkąd postęp nauki odsłonił przed człowiekiem porządek wszechświata i regularne zazębianie się zjawisk, przekształcił się jego ogólny pogląd na rzeczy. Całkiem jeszcze niedawno przychylna Opatrzność kierowała biegiem wypadków, prowadziła go za rękę, decydowała o wyniku bitew i losach imperiów.[1] Jak przewidzieć jej decyzje? Były niezbadane. Jak spierać się z jej postanowieniami? Były wszechmocne. Wobec niej ludy mogły tylko paść na twarz i próbować zaklinać jej gniew i kaprysy pokornymi modlitwami.

Nowe poglądy na świat, wynikłe z odkryć naukowych, uwolniły człowieka spod władzy bogów, stworzonych niegdyś przez jego marzenia. Nie uczyniły go one bardziej wolnym, lecz nauczyły, że próby wpłynięcia przez modlitwy na sztywny i głuchy bieg praw, jakie rządzą światem, są rzeczą bezużyteczną. Po stwierdzeniu hierarchii tych praw nauka pokazała nam ogólny proces przekształceń naszej planety i mechanizm ewolucji, który doprowadził prymitywne organizmy z pierwszych epok geologicznych do form obecnych.

Gdy prawa tej ewolucji zostały ustalone odnośnie do jednostek, próbowano je zastosować do społeczności ludzkich. Współczesne badania dowio-

[1] W rzeczywistości w dawnych wiekach wcale nie wyznawano indeterminizmu odnośnie zjawisk natury i społecznych, cud uchodził za rzadkość. Praktyczny światopogląd nie różnił się tak znacząco od obecnego. Tłem opinii Le Bona jest nieznajomość historii oraz wiara w naukę [*przypis tłumacza*].

dły, że także społeczeństwa przeszły przez serię form niższych, zanim osiągnęły poziom, jaki widzimy obecnie. Z tych badań zrodziła się socjologia: może ustali ona kiedyś porządek wypadków, ale jak dotąd musiała się ograniczyć do rejestrowania zjawisk, nie mogąc żadnego przewidzieć.

Z powodu tej niezdolności przewidywania nie można by uznać socjologii za naukę, ani nawet za początki nauki. Zespół wiadomości zasługuje na miano nauki, kiedy pozwala na ustalenie warunków, w jakich zachodzi zjawisko, a tym samym na jego powtórzenie, a przynajmniej na przewidzenie z góry wyniku. Tak jest w chemii, fizyce, astronomii i w pewnych granicach w biologii. Wcale tak nie jest w socjologii. Wszystko, co może ona nam powiedzieć, sprowadza się do tego, że świat umysłowy jest tak jak świat fizyczny sterowany niezmiennymi prawami. To co zwiemy przypadkiem, jest nieskończonym łańcuchem przyczyn nam nieznanych.

Plątanina tych przyczyn czyni niemożliwym wszelkie precyzyjne przewidywania. Dochodzi się nie do przewidywania zjawisk społecznych, lecz jedynie do ich częściowego zrozumienia, tylko na tej zasadzie, że się bada z osobna każdy czynnik, jaki na nie wpływa, a potem wzajemne oddziaływanie tych czynników. Teoretycznie metoda jest taka sama, jak w przypadku astronoma przewidującego tory ciał niebieskich. Gdy jednak czynniki na siebie oddziałujące są zbyt liczne, obecna nauka przyznaje się do niemożności odkrycia ostatecznego wyniku ich działań. Ustalić wzajemną pozycję trzech ciał o różnych masach i prędkościach, działających na siebie wzajemnie, to problem, który przez długi czas przekraczał możliwości najwybitniejszych matematyków.

Co się tyczy zjawisk społecznych, nie ma trzech przyczyn, lecz miliony, których wzajemne działanie należałoby zbadać. Jak wobec tego przeczuć końcowy wynik takiej plątaniny? Żeby dojść do ogólnych i skrótowych wyników – nawet nie do pewności ani nawet przybliżenia – trzeba działać jak astronom, który, usiłując wyprowadzić pozycję nieznanego ciała niebieskiego z perturbacji znanego, nie próbuje wciągnąć do równań równoczesnego działania wszystkich ciał we wszechświecie. Zaniedbuje perturbacje drugorzędne, które uczyniłyby problem nierozwiązywalnym, i zadowala się przybliżeniami.

Nawet w najściślejszych naukach nasz słaby umysł może osiągnąć wyniki co najwyżej przybliżone. Jednak dla inteligencji takiej jak ta, o której mówi Laplace,[2] *która w jednej chwili ogarniałaby wszystkie siły,*

[2] Laplace mówi o Bogu, wyobrażając go sobie jednak na sposób XVIII-wiecznego deizmu, jako mechanika świata. Ponadto nowsza nauka, ze znajomością zjawisk kwantowych (oraz matematyki chaosu), nie może być interpretowana filozoficznie w sposób tak mechanistyczny. Dokładna wiedza o świecie w ogóle wydaje się niemożliwa. Zdanie następne również w oryginale jest urwane [*przypis tłumacza*].

jakimi przyroda jest poruszana i wzajemną sytuację istot, które się na nią składają, a zarazem dość wielka, by te wszystkie dane poddać analizie, ogarnąć w jednym wzorze ruchy największych ciał we wszechświecie i najlżejszego atomu. Nic nie byłoby dla niej niepewne, przyszłość, jak przeszłość, byłaby obecna przed jej oczyma.

Nie wiemy, czy między milionami światów, które cicho przesuwają się po niebie, powstała kiedykolwiek inteligencja, o której mówi Laplace, inteligencja, która mogłaby czytać w zamglonych narodzinach człowieka, fazach naszej historii i czasach, w których na naszym wyziębionym globie ostatnie istoty zobaczą ostatni swój dzień. Nie zazdrościmy jej zbytnio takiego jasnowidzenia. Gdyby księga przeznaczenia była przed naszymi oczyma otwarta, najsilniejsze bodźce do aktywności zostałyby wkrótce zniweczone. Ci, którym starożytne Sybille przepowiadały przyszłość, bledli ze strachu i rzucali się ku świętemu źródłu, którego woda dawała zapomnienie.

Najwybitniejsze umysły – Kant, Stuart Mill, a ostatnio psychologowie tacy jak Gumplowicz – twierdzą, że gdyby psychologia jednostek i ludów była dobrze znana, moglibyśmy przewidzieć ich zachowanie; ale to sprowadza się do wypowiedzenia w innej formie hipotezy Laplace'a, to znaczy założenia znajomości większej liczby czynników, niż możemy poznać, wywierających działanie zbyt złożone, byśmy je mogli poddać analizie.

Trzeba więc ograniczyć się do wiedzy, że również świat umysłowy poddany jest prawom, ale zrezygnować z poznania przyszłych następstw działania tych praw.

Ta idea konieczności, którą potwierdzają wszystkie odkrycia nauki współczesnej, nie jest próżną teorią, bezużyteczną w praktyce. Uczy nas ona przynajmniej tolerancji i pozwala podejść do badania zjawisk społecznych na chłodno, na sposób chemika analizującego substancję lub mierzącego gęstość gazu. Uczy nas, by nie irytować się wydarzeniami, które są w konflikcie z naszymi ideami, bardziej niż uczony irytuje się nieprzewidzianym wynikiem doświadczenia. Filozof nie powinien oburzać się na zjawiska poddane nieuniknionym prawom. Należy się ograniczyć do ich stwierdzenia, w przekonaniu, że nic im nie przeszkodzi w dojściu do skutku.

§ 2. Przewidywanie zjawisk społecznych

Socjologia powinna się więc ograniczyć do rejestrowania zjawisk. Za każdym razem, gdy jej najwybitniejsi przedstawiciele, jak August Comte, wchodzili w dziedzinę przewidywań, błądzili rozpaczliwie. Przede

wszystkim jednak mężowie stanu, choć zagłębieni w wydarzenia polityczne i wydawałoby się najbardziej kwalifikowani do obserwowania ich przebiegu, najmniej umieją je przewidywać.

Ileż razy proroctwa zostały zdementowane przez wydarzenia – pisze Fouilee. *Napoleon oznajmił, że Europa będzie wkrótce kozacka. Przepowiedział, że Wellington wprowadzi w Anglii despotyzm, „gdyż generał ten jest zbyt wybitny, by pozostać zwykłą jednostką". Jeśli przyznacie niepodległość Stanom Zjednoczonym, powiedział ze swej strony lord Shelburne, nie mniej mimo swego punktu obserwacji ślepy, słońce Anglii zajdzie i jej chwała zostanie na zawsze zaćmiona. Burke i Fox rywalizowali w fałszywych proroctwach na temat rewolucji francuskiej; pierwszy z nich zapowiadał, że Francja zostanie „podzielona jak Polska". Wszelkiego rodzaju myśliciele, pozornie odlegli od spraw tego świata, prawie zawsze przewidywali lepiej niż mężowie stanu. Taki Rousseau, taki Goldsmith zapowiedzieli rewolucję francuską; Arthur Young przewidywał dla Francji, po przejściowych wstrząsach „trwały dobrobyt, wynikły z reform". Tocqueville trzydzieści lat naprzód zapowiadał, że południowe stany republiki amerykańskiej będą próbować secesji. Heine mówił nam na wiele lat naprzód: „Wy, Francuzi, macie więcej powodów do obaw przed wolnymi i zjednoczonymi Niemcami, niż przed całym świętym Przymierzem i wszystkimi Kozakami." Quinet przewidywał w 1832 roku zmiany, jakie dokonają się w Niemczech, rolę Prus, groźbę wiszącą nad naszymi głowami, żelazną rękę, która sięgnie po klucze Alzacji. Ponieważ większość mężów stanu jest zaabsorbowana wydarzeniami obecnymi, krótkowidztwo jest ich stanem naturalnym.*

Istotnie nim jest; łatwo zrozumieć, że filozofowie, umiejący zdystansować się do spraw bieżących, potrafili niekiedy sformułować bardzo trafne przewidywania. W swojej mowie inauguracyjnej w Akademii Francuskiej Deschanel, wówczas przewodniczący Izby Deputowanych, wykazał, jak błędne mogą być przewidywania mężów stanu, a jak dokładne – filozofów.

Przez trzydzieści lat ślepa dyplomacja kierowana przez bardziej jeszcze ślepego cesarza niczego nie widzi, niczego nie rozumie, nie umie niczego przewidzieć. Uczepiwszy się mętnych zasad, tak dziecinnych jak narodowościowa, prowokowała wojny takie jak z Austrią, która była korzystna dla Włoch, a dla nas stanowiła początek katastrof. Podczas tych trzydziestu lat zwyczajny filozof, Herve, przewidywał w sposób całkowicie jasny wydarzenia, które miały nadejść.

Siedem lat naprzód przewidywał wojnę, którą Prusy wypowiedziały Austrii w 1866 roku. Po bitwie pod Sadową, gdy żałośnie ograniczeni dyplomaci i dziennikarze gratulowali sobie sukcesu Prus, które po powaleniu Danii i Austrii szykowały się do powalenia nas, pisał:

Francja bez bitwy poniosła największą klęskę od czasu Waterloo. Wojna między Francją a Prusami jest nieunikniona. Dojdzie ona aż do centrum jednego z tych narodów. Jedyna przepowiednia tego myśliciela, jaka się jeszcze nie urzeczywistniła, to starcie Germanów ze Słowianami.

Żeby to wszystko dostrzec, wystarczy z pewnością sam jasny zdrowy rozsądek, ale polityk jest zbyt zajęty wydarzeniami, by takowy zachować. Całkiem niedawno, w związku z oblężeniem ambasad w Chinach, żaden z dyplomatów zamieszkujących w Pekinie nie umiał przewidzieć zagrożenia i kosztownej wojny, która potem wynikła. Sprawy protokołu zajmowały ich bardziej, niż to, co działo się wokół nich.

Ostrzeżeń jednak im nie brakło, ale przychodziły one z zewnątrz i od osób, których opinia nie mogła się oczywiście liczyć, gdyż nie były „profesjonalistami". Zaraz po uderzeniu na Kiao Czu, które przebrało miarę wtrącania się Zachodu do Chin, oficer marynarki L. de Saussure przepowiedział w *Journal de Genève*, *że naczynie się przelało i wkrótce wybuchnie przewrót, który się prawdopodobnie zacznie od obalenia cesarza.*

Jakkolwiek by było, filozof musi być zawsze dość ostrożny w przewidywaniach, próbując tylko ogólnych wskazań, wynikłych głównie z pogłębionego badania charakteru i historii ras, a co do reszty, ograniczać się do stwierdzenia faktów.

Forma optymistyczna lub pesymistyczna, jaką nadajemy tym stwierdzeniom, stanowi tylko niuanse językowe mogące ułatwić wyjaśnianie, ale nie mające same w sobie żadnego znaczenia. Zależą wyłącznie od temperamentu i nastawienia umysłowego. Myśliciel, przywykły do obserwowania twardej konieczności zjawisk, będzie zwykle usposobienia pesymistycznego; uczony, widzący w świecie osobliwe widowisko będzie z usposobienia zrezygnowany lub obojętny. Jednolicie optymistyczny pogląd na rzeczy spotyka się jedynie u idiotów, którzy mieli szczęście i są zadowoleni z losu. Jeśli jednak myśliciel, filozof, a przypadkiem i idiota umieją obserwować, ich stwierdzenia co do przebiegu zjawisk muszą być identyczne, tak jak fotografie tego samego pomnika wykonane przez różnych fotografów.

Wytaczać proces zaszłym już wydarzeniom, jak to czyni tylu historyków, ustalać odpowiedzialność, przydzielać nagany lub pochwały, jest rzeczą dziecinną, którą filozofowie przyszłości słusznie będą pogardzać. Zazębianie się przyczyn, które powodują wydarzenia, jest wiele potężniejsze, niż osoby, które czynów tych dokonują. Najbardziej pamiętne z wielkich wydarzeń historycznych: upadek Babilonu czy Aten, dekadencja Imperium Rzymskiego, Reformacja, rewolucja francuska, nasze ostatnie klęski, nie mogą być przypisane jednemu człowiekowi, lecz wielu pokoleniom ludzi. Marionetka nieświadoma nitek,

które ją poruszają, byłaby doprawdy w wielkim błędzie, gdyby ganiła lub chwaliła ruchy innych marionetek.

Człowiek zależy od środowiska, okoliczności, a przede wszystkim od woli zmarłych, to znaczy od tajemniczych sił dziedziczenia, które w nim trwają. Kierują one większością naszych działań i tym bardziej są potężne, że ich nie widzimy. Nasze myśli, jeśli przez rzadki przypadek mamy własne, oddziałać mogą tylko na pokolenia, które się jeszcze nie narodziły. My dziedziczymy po odległej przeszłości, a nasze czyny będą miały wszystkie swoje następstwa dopiero w przyszłości, której już nie ujrzymy. Epoka obecna jest jedyną, która ma dla nas pewną wartość, a jednak dla istnienia rasy ten krótki czas prawie się nie liczy. Nie jest dla nas możliwe ocenić rzeczywiste znaczenie wydarzeń dziejących się przed naszymi oczyma, ponieważ ich wpływ na nasze przeznaczenie powoduje, że przesadzamy z ich ważnością. Można je porównać do małych fal, które bez przerwy rodzą się i giną na powierzchni rzeki, ale nie zakłócają jej biegu. Owad, siedzący na liściu przez te małe fale unoszonym, bierze je za góry i słusznie się obawia wstrząsów. Ich wpływ na bieg rzeki jest jednak żaden.

Pogłębione badanie zjawisk społecznych stawia nas więc przed tym podwójnym stwierdzeniem: Z jednej strony, zjawiska są powodowane przez zazębianie się koniecznych następstw, a tym samym możliwe do przewidzenia dla inteligencji wyższego rzędu; z drugiej jednak strony takie przewidywanie jest najczęściej niemożliwe dla istot ograniczonych jak my.

Człowiek jednak będzie zawsze próbował unieść zasłonę, która ukrywa przed nim nieodgadnioną przyszłość, a i filozofowie nie potrafią uniknąć tej próżnej ciekawości. Wiedzą przynajmniej tyle, że ich przewidywania są tylko hipotezami, opartymi przede wszystkim na analogiach z przeszłości lub wyprowadzonych z ogólnego przebiegu zjawisk i podstawowych cech ludów. Wiedzą również, że przewidywania pozornie najpewniejsze muszą się ograniczać do bliskiej przyszłości, a i w tym wypadku wiele nieznanych przyczyn może je obalić. Przenikliwy myśliciel, studiując ogólny stan umysłów, mógłby z pewnością przewidzieć rewolucję francuską na kilka lat przed jej wybuchem, ale jakże odgadnąć mógłby Bonapartego, podbój Europy i powstanie cesarstwa?

Umysł naukowy nie może więc podawać długofalowej przepowiedni społecznej jako pewnej. Widzi, jak jedne ludy rosną, a inne maleją, a ponieważ historia uczy go, że upadek nie bywa odwracalny, uprawniony jest do stwierdzenia, że ci, których dekadencja się pogłębia, pójdą w dół. Wie, że instytucji nie da się zmienić wedle zachcianki prawodawców, a widząc, że socjaliści chcą całkowicie wywrócić porządek, na którym się opiera nasza cywilizacja, łatwo przewiduje katastrofy, które nastąpią po takiej próbie. Są to przewidywania bardzo ogólne, które należą po trosze do kategorii prawd prostych i stałych, zwanych

banałami. Najbardziej zaawansowana nauka jest zmuszona zadowalać się takimi bardzo niezadowalającymi przewidywaniami.

Co moglibyśmy powiedzieć o przyszłości, skoro prawie nic nie wiemy o świecie, w którym żyjemy, zderzamy się z nieprzeniknionym murem, gdy chcemy odkryć przyczyny zjawisk i zbadać rzeczywistość kryjącą się za pozorami? Czy rzeczy są stworzone czy niestworzone; rzeczywiste czy nierzeczywiste; zmienne czy wieczne? Swiat ma sens – czy go nie ma? Czy narodziny i ewolucja świata są uwarunkowane przez wolę istot wyższych, czy też rządzi nimi ślepa konieczność, suwerenny los, któremu podlegają – jak według koncepcji starożytnych – i bogowie, i ludzie?

Co do świata umysłowego – nasza niepewność nie jest mniejsza. Skąd przychodzimy? Dokąd idziemy? Czy nasze marzenia o szczęściu, sprawiedliwości i prawdzie są czymś innym niż złudzeniami, stworzonymi przez stan chorobowy naszego mózgu w jaskrawej sprzeczności z morderczym prawem walki o przetrwanie? Co do tych niebezpiecznych kwestii, pozostańmy przynajmniej w zwątpieniu, gdyż zwątpienie to prawie nadzieja. Żeglujemy na ślepo po oceanie niewiadomych, które stają się tym bardziej tajemnicze, im bardziej staramy się określić ich istotę. Gdy tylko w tym nieprzeniknionym chaosie dostrzeżemy kilka światełek, względnych prawd, nazywamy je prawami, jeśli tylko nie wydają się zbyt przejściowe.

Trzeba się pogodzić z tym, że wiemy tylko te rzeczy niepewne. Są to z pewnością słabe wskazówki, ale jedyne dostępne. Nauka nie dysponuje innymi. Starożytni bogowie nie podsunęli nam lepszych. Bez wątpienia dali ludziom nadzieję, ale to nie oni nauczyli ich wykorzystywać siły przyrody i w ten sposób uczynić egzystencję mniej ciężką.

Szczęśliwie dla ludzkości, nie musi ona szukać motywów swego działania w niedostępnych i mroźnych rejonach czystej nauki. Zawsze potrzebowała utopii, by dać się oczarować, złudzić i poprowadzić. Swiatu nigdy ich nie brakowało. Utopie polityczne, religijne, społeczne zawsze sprawowały nad nami suwerenną władzę. Te złudne fantomy były i zawsze będą naszymi panami.

Od tysięcy lat, kiedy człowiek wyszedł z pierwotnej dzikości, nigdy nie przestał tworzyć sobie złud, by je czcić i budować na nich cywilizacje. Każda z nich czarowała go przez pewien czas, ale zawsze wybijała godzina, gdy jej wpływ ustawał, a wtedy człowiek poświęcał na jej zniszczenie tyleż wysiłku, ile włożył, by ją stworzyć. Raz jeszcze człowiek wraca do tego wiecznego zajęcia, chyba jedynego, które pozwala mu zapomnieć o ciężarze swej doli. Teoretycy socjalizmu podejmują jedynie trudne zadania wybudowania nowej wiary, mającej zastąpić wiarę dawnych wieków, ale też w swoim czasie skazanej przez nieunikniony bieg rzeczy na zniknięcie.

Rozdział 2
Przyszłość socjalizmu

§ 1. Obecne warunki dla socjalizmu

Próbowałem w tym dziele określić główne czynniki obecnej ewolucji socjalizmu. Zbadaliśmy wpływ przemian w nauce i technice, zmniejszenie odległości między ludami przez parę i elektryczność, zmiany poglądów i wiele innych czynników. Człowiek, jak wszystkie istoty, nie może żyć nie przystosowawszy się do środowiska. Przystosowuje się do niego drogą długiej ewolucji, a nie rewolucji. Przyczyny obecnej ewolucji wyłoniły się zbyt niedawno, byśmy mogli dokładnie dowiedzieć się jakimkolwiek sposobem, dokąd nas one doprowadzą; przy każdej z nich mogliśmy wskazać tylko ogólny kierunek jej wpływu.

Zaznaczyliśmy punkty, w których aspiracje socjalistyczne zgadzają się z ewolucją, której świadkami jesteśmy. Taka zbieżność zachodzi jednak rzadko. Dostrzegliśmy natomiast, że większość teorii socjalistycznych stoi w jaskrawej sprzeczności z prawidłowościami, które rządzą światem współczesnym, i że ich realizacja sprowadziłaby nas z powrotem na niższy poziom, dawno temu przekroczony. Dlatego mogliśmy stwierdzić, że obecne miejsce ludów na skali ucywilizowania mierzone jest dość dokładnie ich odpornością na skłonności socjalistyczne.

Stowarzyszanie się na bazie podobnych interesów (jedyna praktyczna forma solidarności) oraz konkurencja ekonomiczna (współczesna forma walki o byt) są w dobie dzisiejszej konieczne. Socjalizm zaledwie toleruje to pierwsze zjawisko, drugie zaś chce zlikwidować. Jedyna władza, jaką uznaje, to zgromadzenia ludu. Izolowana jednostka jest dla niego nikim, wszystkie uzdolnienia i prawa posiada z tego tytułu, że należy do masy. Psychologia uczy nas, że jest przeciwnie: gdy jednostka wtapia się w masę, traci większość zalet umysłu, które stanowią o jej możliwościach.

Zlekceważyć stowarzyszanie się i znieść konkurencję, jak to proponuje socjalizm – znaczy próbować sparaliżować główne dźwignie świata współczesnego. Nie chodzi o ustalenie, czy konkurencja jest dobroczynna czy szkodliwa; trzeba sprawdzić, czy da się jej uniknąć, a skoro nie, próbować dostosować się.

Wskazaliśmy, że ekonomiczna konkurencja, która w końcu miażdży jednostkę, znajduje swoją naturalną przeciwwagę, spontanicznie powstałą bez żadnej teorii, w stowarzyszeniach na bazie podobnych interesów. Stowarzyszenia robotników z jednej strony, a pracodawców z drugiej, walczą na równi, czego nie mogłaby dokonać jednostka izolowana. Jest to z pewnością jedynie zastąpienie autokracji indywidualnej przez zbiorową, a nic nie pozwala twierdzić, że ta druga jest mniej twarda niż pierwsza. Wydaje się oczywiste, że jest przeciwnie. Najbardziej szalony tyran nie mógł sobie nigdy pozwolić na despotyzm tak krwawy, jak ten cechujący w czasie rewolucji francuskiej ukryte anonimowe komitety, działające w imię rzeczywistych lub urojonych interesów zbiorowych.

Wykazaliśmy też, że mimo sprzeczności swych zasad ze wszystkimi danymi współczesnej nauki, socjalizm dysponuje ogromną siłą, wynikłą z tendencji do przybierania form religijnych. Nie jest wtedy teorią, która podlega dyskusji, lecz dogmatem, któremu trzeba się podporządkować, a którego moc nad duszami jest absolutna.

Z tej właśnie przyczyny socjalizm stanowi najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla współczesnych społeczeństw. Nie ma nic niemożliwego w jego pełnym zwycięstwie, ma więc sens wskazywać z góry, co przyniesie on ludowi, któremu obiecuje szczęście w zamian za podporządkowanie się temu strasznemu władcy.

Przypomnijmy zatem najpierw główne dogmaty socjalistyczne i przyczyny, jakie sprzyjają ich przyjmowaniu.

Jeśli pozostawić na boku elementy fantastyczne i niezliczone programy teoretyków, biorąc pod uwagę tylko to, co w nich jest istotnego, a co zarazem naturalna ewolucja czyni możliwym do realizacji w pewnych krajach, programy te redukują się do czterech głównych punktów:

1. Zniesienie zbytniej nierówności majątkowej przez podatki progresywne, przede wszystkim zaś przez odpowiednio wysoki podatek spadkowy.
2. Stopniowe rozszerzenie roli państwa, albo jak kto woli zbiorowości, która zastąpi państwo i będzie się od niego różniła tylko nazwą.
3. Przekazanie w ręce państwa ziemi, kapitałów, przemysłu, wszelkiego rodzaju przedsiębiorstw, to znaczy wywłaszczenie obecnych posiadaczy na rzecz wspólnoty.
4. Zniesienie wolnej konkurencji i wyrównanie płac.

Realizacja pierwszego punktu jest oczywiście wykonalna i w ostateczności można ją przyjąć, choć nie zostało wcale dowiedzione, że przyniesie to jakąś korzyść. Można przy nim liczyć na wyrównanie szans poprzez przekazanie wspólnocie co pokolenie nadmiaru majątku nagromadzonego przez pokolenia poprzednie, aby w ten sposób unik-

nąć powstania arystokracji finansowej, nieraz stosującej dotkliwszy ucisk niż dawny reżym feudalny.

Co do innych punktów, a zwłaszcza stopniowego poszerzenia roli państwa, z którego wynikłoby zniesienie wolnej konkurencji i w końcu wyrównanie płac, mogą one zostać zrealizowane tylko za cenę ruiny kraju, ponieważ takie zabiegi, niezgodne z naturalnym porządkiem rzeczy, spowodowałyby niższość poddanego im ludu względem jego rywali, powodując, iż musiałby on im ustąpić miejsca. Nie mówmy, że ten zamysł się nie urzeczywistni, gdyż – jak dowiedliśmy – pewne narody zmierzają coraz bardziej do stopniowego poszerzania roli państwa; stwierdziliśmy też, że narody te siłą rzeczy schodzą w ten sposób na drogę upadku.

Marzenie socjalistów może się więc jeszcze urzeczywistnić w wielu punktach, drogą tak wskazaną przez angielskiego autora, B. Kidda:

W epoce, w którą wkraczamy, powolny i pracowity wysiłek ludów, zmierzający do uzyskania równości pozycji społecznej i równości praw politycznych, przyniesie jako konieczny skutek to, że na miejsce restrykcji narzuconych przez interwencje państwa wejdzie stopniowe rozszerzenie owych działań na prawie wszystkie elementy naszego życia społecznego. Należy się spodziewać, że ruch ten, zmierzający do regulacji, kontroli, ograniczenia praw majątku i kapitału, będzie się nasilał aż do punktu, w którym państwo samo przejmie te prawa we wszystkich przypadkach, w których da się dowieść, że ich pozostawienie w rękach prywatnych oznaczać będzie szkodzenie interesom warstw ludowych.

W słowach tych ideał socjalistyczny jest znakomicie sformułowany. Gdy widzimy, że umysły oświecone akceptują taki program, dostrzegamy za jednym zamachem, jaką drogę przebyły idee socjalistyczne i jakich spustoszeń dokonały.

Tu przede wszystkim leży niebezpieczeństwo! Obecny socjalizm jest dużo bardziej stanem umysłu niż doktryną. Groźnym czynią go nie zmiany, jakie spowodował w duszy ludu (jak dotąd nikłe) lecz bardzo duże już przekształcenia w umysłach warstw kierowniczych. Obecna burżuazja nie jest pewna swoich praw. Nie jest zresztą pewna niczego i niczego nie umie bronić. Pozwala się kierować wszystkiemu, co się mówi i drży przed najnędzniejszymi demagogami. Nie jest zdolna do okazania siły woli, dyscypliny, wspólnoty uczuć, które są cementem społeczeństw, a bez których żadne ludzkie stowarzyszenie nie może się obyć.

Wierzyć w instynkty rewolucyjne mas – znaczy padać ofiarą najbardziej zwodniczych pozorów. Ich bunty to tylko chwilowa furia. Ulegając z powrotem swym skłonnościom konserwatywnym, szybko wracają do przeszłości i same żądają przywrócenia idoli, których się wyparły w chwili gniewu. Nasza historia od wieku mówi to na każdej stronie. Ledwo rewolucja dokonała swego dzieła zniszczenia, prawie wszystko, co obaliła – instytucje

polityczne i religijne – zostało przywrócone pod nowymi nazwami. Rzeka na chwilę zatrzymana wróciła do dawnego koryta.

Przewroty społeczne zaczynają się zawsze od góry, a nigdy od dołu. Czy to lud dokonał naszej wielkiej rewolucji? Z pewnością nie. Nigdy o tym nie marzył. Został spuszczony z łańcucha przez szlachtę i warstwy kierownicze. Ta prawda wydaje się jeszcze cokolwiek nowa dla wielu osób, ale stanie się banalna, gdy psychologia mniej pobieżna od tej, którą się dziś zadowalamy, pozwoli nam lepiej zrozumieć, że wydarzenia zewnętrzne są zawsze następstwem pewnych nieświadomych stanów naszego umysłu.

Wiemy dobrze, jaki był stan umysłów w momencie rewolucji. Widzimy, jak się dziś odradza rozmiękczony humanitaryzm, który zaczyna się od idylli pastoralnej i dyskusji filozoficznych, a kończy gilotyną. Ten sentyment, tak pozornie nieszkodliwy, tak w rzeczywistości niebezpieczny, doprowadził wkrótce do słabości i dezorganizacji warstw kierowniczych. Nie miały już wiary w siebie i stały się nawet, jak to słusznie zauważył Michelet, wrogami własnej sprawy. Gdy nocą 4 sierpnia 1789 roku szlachta wyrzekła się swych przywilejów i swych odwiecznych praw, rewolucja już się dokonała. Ludowi pozostało pójść w kierunku mu wskazanym, a doszedł w nim jak zawsze do skrajności. Nie potrwało długo, jak zaczął ucinać głowy uczciwym filantropom, którzy w taki sposób zrezygnowali z obrony. Historia ich wcale nie żałuje. Zasługują jednak na pobłażliwość filozofów umiejących ustalać odległe przyczyny naszych działań. Czy szlachta była jeszcze w stanie bronić praw, których się tak łatwo wyrzekła? Pod wpływem teorii i twierdzeń nagromadzonych w ciągu wieku wierzenia się stopniowo zmieniły. Idee, które stopniowo opanowały warstwy kierownicze, w końcu nabrały takiej władzy, że nie potrafiły już one poddać ich pod dyskusję. Siły formujące nasze nieświadome pragnienia są zawsze nieodparte. Rozum ich nie zna, a nawet je znając, niczego nie mógłby przeciw nim zdziałać.

A jednak te siły, ciemne a suwerenne, są prawdziwymi sprężynami historii. Człowiek się porusza, a one go prowadzą i często skłaniają do działania sprzecznego z jego najoczywistszymi interesami. Są to tajemnicze nici, które sterowały wszystkimi efektownymi marionetkami, o których słabościach i wyczynach opowiadają książki. Dzięki upływowi czasu znamy tajemne przyczyny ich działań, często lepiej niż one same.

Niebezpieczeństwo dnia obecnego leży w tej nieświadomej aktywności naszego umysłu, wynikłej z rozmaitych oddziaływań. Ogarnia nas ten sam sentyment chorobliwego humanitaryzmu, który już nas kosztował najkrwawszą rewolucję w historii, terror, Napoleona, śmierć trzech milionów ludzi i straszną inwazję, którą spowodował jego spadkobierca. Jakąż przysługę oddałoby ludzkości dobroczynne bóst-

wo, które by unicestwiło zgubny ród filantropów, a przy okazji nie mniej zgubne plemię retorów!

Doświadczenie sprzed wieku nie wystarczyło i odrodzenie tego mętnego humanitaryzmu – humanitaryzmu w słowach, nie w uczuciach – szkodliwego spadku po naszych dawnych ideach chrześcijańskich,[1] stało się głównym czynnikiem sukcesu obecnego socjalizmu. Pod jego rozkładowym a nieświadomym wpływem warstwy kierownicze straciły wiarę w słuszność swojej sprawy. Ustępują one coraz bardziej agitatorom, którzy żądają od nich tym więcej, im więcej ustępstw uzyskają. Ci agitatorzy nie będą zadowoleni, póki nie odbiorą przeciwnikom wszystkiego, majątku i życia. Przyszły historyk, który znał będzie rujnujące skutki naszej słabości, zawalenie się cywilizacji, której tak słabo broniliśmy, bez trudu udowodni, że te klęski były nieuniknione i zasłużone.

Nie ma powodu do nadziei, że absurdalność większości teorii socjalistycznych może przeszkodzić w ich zwycięstwie. Te teorie nie zawierają więcej nieprawdopodobnych utopii niż wierzenia religijne, które od tak dawna władały duszami ludów. Nielogiczność wierzenia nigdy nie przeszkadzała jego rozpowszechnianiu się. Otóż socjalizm jest w dużo większym stopniu wierzeniem religijnym niż teorią rozumową. Człowiek mu ulega bez dyskusji.

Pod jednym jednak względem ogromnie ustępuje innym religiom. Obiecywały one szczęście po śmierci, którego utopijności nikt nie może w sposób pewny dowieść. Religia socjalistyczna na miejsce obietnicy szczęśliwości niebiańskiej, której prawdziwości lub fałszywości nikt nie może sprawdzić, przyrzeka nam szczęście ziemskie, niezrealizowanie którego każdy może stwierdzić z łatwością. Doświadczenie szybko nauczy zwolenników iluzji społecznej, że ich marzenia są daremne, a wtedy z gniewem rozbiją idole, które czcili nie przyjrzawszy się im. Takie doświadczenie nie jest niestety możliwe bez uprzedniego zniszczenia społeczeństwa.

§ 2. Co sukces socjalizmu przyniesie ludom, wśród których zwycięży

Przed godziną zwycięstwa, która niewiele wyprzedzi godzinę upadku, socjalizm ma zapewniony dalszy rozrost, a żaden argument pochodzenia rozumowego nie potrafi go zatrzymać.

[1] Le Bon myśli, że treść chrześcijaństwa jest podobna, ale w istocie rzeczy świecki humanitaryzm nowożytny, ze swą wiarą w przyrodzoną dobroć człowieka, jest karykaturą chrześcijańskiej miłości bliźniego, której zawsze towarzyszyła pamięć o realnym istnieniu i sile zła w ludziach [*przypis tłumacza*].

Niemniej jednak zwolennikom nowego dogmatu nie zabraknie ostrzeżeń, a tym bardziej ich słabym przeciwnikom. Wszyscy myśliciele, którzy badali socjalizm współczesny, sygnalizowali zagrożenie z jego strony i doszli do identycznych wniosków co do przyszłości, jaką nam gotuje. Przedstawianie ich opinii potrwałoby zbyt długo. Byłoby jednak interesujące zacytować kilka z nich.

Nie cofniemy się dalej niż do Proudhona. W jego czasach socjalizm był dużo mniej groźny niż obecnie. O jego przyszłości napisał on stronicę, często cytowaną, której trafność być może wkrótce się potwierdzi.

Rewolucja społeczna może doprowadzić – pisze Proudhon – *tylko do ogromnego kataklizmu, którego bezpośrednim skutkiem będzie wyjałowienie ziemi i zamknięcie społeczeństwa w kaftanie bezpieczeństwa; gdyby podobny stan potrwał choćby kilka tygodni, od niespodziewanego głodu zginęłoby trzy lub cztery miliony ludzi. Kiedy rząd nie będzie miał środków, kiedy kraj pozbawiony będzie wytwórczości i handlu, kiedy wygłodzony Paryż, zablokowany przez departamenty, nie płacąc i nie wysyłając, zostanie bez dostaw; kiedy robotnicy, zdemoralizowani przez frakcyjną politykę i bezrobocie w zakładach, będą próbowali jakkolwiek przeżyć; kiedy państwo zarekwiruje pieniądze i kosztowności obywateli, by je posłać do mennicy, kiedy rewizje po domach będą jedynym sposobem opłacania kontrybucji, kiedy pierwszy snop zostanie zrabowany, pierwszy dom złupiony, pierwszy kościół sprofanowany, pierwsza pochodnia zapalona, pierwsza krew rozlana, pierwsza głowa strącona, obrzydliwość spustoszenia zapanuje w całej Francji – wtedy będziecie wiedzieć, co to jest rewolucja społeczna. Tłum zerwany z łańcucha, zbrojny, pijany zemstą i gniewem, piki, topory, gołe szable, tasaki i młoty; miasto ponure i milczące; policja w domach rodzinnych, podejrzenia co do poglądów, podsłuchane słowa, łzy pod obserwacją, zliczone westchnienia, milczenie śledzone, szpiegostwo i donosicielstwo; nieubłagane rekwizycje; przymusowe rosnące pożyczki, tracący wartość pieniądz papierowy; wojna na granicy z innymi, bezlitosne prokonsulaty, komitet ocalenia publicznego, najwyższy komitet o sercu spiżowym – oto owoce rewolucji zwanej demokratyczną i społeczną. Ze wszystkich sił odrzucam socjalizm, bezsilny, niemoralny, zdatny jedynie do ogłupiania ludzi.*[2]

De Laveleye, mimo pobłażliwości dla wielu idei socjalistycznych, doszedł do wniosków prawie takich samych, pokazując nam jako następstwo zwycięskiej rewolucji socjalistycznej *nasze stolice zniszczone*

[2] Ta stronica, cytowana w wielu dziełach, składa się w rzeczywistości, według badań G. Sorela, z kawałków wybranych z różnych publikacji Proudhona połączonych w jeden tekst. Została opublikowana po raz pierwszy w *Journal des Débats*.

dynamitem i benzyną w sposób dzikszy i bardziej systematyczny niż Paryż w 1871 roku.

Wielki filozof angielski Herbert Spencer jest nie mniej ponury. Zwycięstwo socjalizmu, powiada, *będzie największą katastrofą, jakiej świat kiedykolwiek doświadczył i w końcu obróci się w despotyzm wojskowy*.

W ostatnim tomie swojego traktatu o socjologii zamykającym godne uwagi dzieło, które pisał przez trzydzieści pięć lat, wybitny autor rozwinął powyższe wnioski. Stwierdza, że kolektywizm i komunizm sprowadzą nas do pierwotnego barbarzyństwa i obawia się, że ta rewolucja nastąpi w niedalekiej przyszłości. Ta zwycięska faza socjalizmu nie potrwa długo, powiada, ale spowoduje ogromne zniszczenia w krajach, które mu ulegną, wiele z nich doprowadzając do zupełnej ruiny.

Takie są, wedle jednomyślnej opinii najwybitniejszych myślicieli, nieuniknione następstwa nadejścia socjalizmu: wstrząsy, o których epoka Terroru i Komuny daje tylko nikłe wyobrażenie, a potem nieunikniona epoka cezaryzmu, Cezarów epoki upadku, zdolnych do mianowania swojego konia konsulem i do rozkazu natychmiastowego zamordowania w swojej obecności każdego, kto nie patrzy na nich z wystarczającym szacunkiem. Cezarów, których będzie się jednak znosić, jak znosili ich Rzymianie, gdy po epoce wojen domowych i jałowych sporów rzucili się w ramiona tyranów. Tych tyranów czasami zabijano, kiedy ich despotyzm stawał się zbyt szalony, ale zastępowano ich stale innymi aż do epoki końcowego rozkładu i ostatecznego zmiażdżenia pod stopą barbarzyńców. Wiele ludów wydaje się skazanych na skończenie pod jarzmem despotów, którzy mogą czasami być inteligentni, ale z natury rzeczy niedostępni jakiejkolwiek litości i nie znoszą najlżejszej próby dyskusji.

Tylko despotyzm bowiem może zapanować nad anarchią. Właśnie dlatego, że nie mogą opanować anarchii, republiki latynoamerykańskie gną się pod jarzmem ponurego despotyzmu.

Po dezorganizacji społecznej zrodzonej przez zwycięstwo socjalizmu, nastąpi więc w sposób konieczny przerażająca anarchia i ogólna ruina. Aż się pojawi jakiś Mariusz, Sulla czy Bonaparte, jakikolwiek generał, który przywróci spokój i po hekatombach zaprowadzi brutalny reżim, mimo czego, jak to już wielekroć bywało, witany będzie jako wyzwoliciel. Istotnie nim będzie, bo bez despoty wojskowego lud poddany systemowi socjalistycznemu tak osłabnie, że znajdzie się na łasce i niełasce swych sąsiadów, nie będąc zdolnym do odparcia ich inwazji.

W tym krótkim zarysie przyszłego losu, jaki niesie nam socjalizm, nie mówiłem o rywalizacji między różnymi sektami socjalistycznymi, która jeszcze powiększy anarchię. Nie można być socjalistą nie nienawidząc

kogoś lub czegoś. Socjaliści nie mogą znieść obecnego społeczeństwa, ale jeszcze bardziej nie znoszą się między sobą. Nieunikniona rywalizacja między sektami socjalistycznymi doprowadziła do upadku groźnej „Międzynarodówki", przed którą rządy drżały przez długie lata, a której nazwa jest obecnie zapomniana.

Do tak szybkiego upadku Międzynarodówki przyczyniła się jedna podstawowa przyczyna – pisze de Laveleye. *Rywalizacje personalne. Jak w łonie Komuny z 1871 roku, dzielono się, podejrzewano, lżono, tak że wkrótce doszło do definitywnej kłótni. Żaden autorytet nie jest uznawany. Zgoda staje się niemożliwa, stowarzyszenie się rozpada na sposób anarchiczny, a jeśli pozwolić sobie na słowo wulgarne – w bajzlu. To jest jeszcze jedno ostrzeżenie. No tak, chcecie znieść państwo i usunąć dyrektorów z przemysłu, licząc, że porządek sam się zrodzi z wolnej inicjatywy sfederowanych korporacji? A wy sami, którzy niby stanowicie elitę klasy robotniczej, wcale nie potraficie się porozumieć na tyle, by utrzymać przy życiu stowarzyszenie, które nie wymagało od was żadnych poświęceń i miało za cel wspólną wszystkim „wojnę z niegodziwym kapitałem". Jakże więc prości robotnicy pozostaną w jedności, gdy chodzić będzie o godzenie na co dzień sprzecznych interesów i podejmowanie decyzji dotyczących wynagrodzenia każdego? Nie chcieliście się podporządkować wspólnej radzie, która niczego wam nie narzucała; jak w warsztacie poddacie się rozkazom przełożonych, którzy będą musieli określić wasze zadania i pokierować waszą pracą?*

Możemy jednak zakładać stopniowe i pokojowe zaprowadzenie socjalizmu poprzez środki prawne i stwierdziliśmy, że właśnie w tym kierunku zdaje się zmierzać bieg rzeczy u ludów łacińskich, do czego przygotowała je ich przeszłość; coraz dalej posuwają się one po drodze ku socjalizmowi państwowemu. Wykazaliśmy jednak również, że właśnie z powodu wejścia na tę drogę, szybko chylą się one ku upadkowi. Choroba ta, choć z pozoru mniej gwałtowna, nie jest jednak mniej ciężka. Państwo, wchłonąwszy stopniowo wszystkie gałęzie wytwórczości i ponosząc koszty z konieczności wyższe niż w przemyśle prywatnym – czego dowiodłem poprzednio – *zmuszone będzie przez konieczność* – jak to ujmuje Molinari – *skierować część narodu do pracy przymusowej w zamian za minimum utrzymania, jednym słowem przywrócić niewolnictwo.* Niewolnictwo, nędza i dyktatura, oto przepaście, do których prowadzą wszystkie drogi socjalizmu.

A jednak ten straszny system wydaje się nieunikniony. Przynajmniej jeden kraj musi mu ulec dla pouczenia świata. Będzie to jedna z tych doświadczalnych lekcji, które jedynie są zdolne do oświecenia ludów cierpiących na senne halucynacje z obrazami szczęścia podsuwanymi im przez kapłanów nowej religii.

Życzmy sobie, że to nasi wrogowie jako pierwsi podejmą ten eksperyment. Jeśli dojdzie do tego w Europie, należy przypuszczać, że jego ofiarą padnie kraj biedny, na w pół zrujnowany, taki jak Włochy. Wielu jego polityków przeczuwało niebezpieczeństwo, przez długi czas próbując odwrócić burzę, prowokując wojnę przeciwko nam w sojuszu z Niemcami.

§ 3. Jak socjalizm będzie w stanie przejąć rządy nad krajem

Jakim jednak sposobem socjalizm przejmie rządy nad jakimś krajem? Jak obali mur, który jest ostatnim oparciem współczesnych społeczeństw – wojsko? Takie przedsięwzięcie, dziś trudne, będzie coraz łatwiejsze, dzięki zniknięciu armii stałych. Mówiłem już o tym, badając walki klas. Warto to przypomnieć raz jeszcze.

Jak dotąd o sile armii stanowiła nie liczba żołnierzy i stan uzbrojenia, lecz jej duch, a tego ducha nie kształtuje się w jeden dzień.

Nieliczne ludy, które, jak Anglicy, potrafiły zachować armię zawodową, są prawie zabezpieczone przed zagrożeniem socjalistycznym a tym samym będą miały w przyszłości przewagę nad swymi rywalami. Armie stworzone przez powszechną służbę wojskową stają się coraz bardziej niezdyscylinowanymi gwardiami narodowymi, a historia uczy nas, co będą warte w godzinie próby. Przypomnijmy, że trzy czy cztery tysiące ludzi gwardii narodowej w czasie oblężenia Paryża posłużyło tylko do stworzenia Komuny i podpalenia stolicy. Sławny adwokat, który zrezygnował wtedy z jedynej szansy rozbrojenia tych tłumów, był potem zmuszony publicznie prosić *Boga i ludzi o przebaczenie* za pozostawienie im broni. Mógłby podać jako usprawiedliwienie to, że nie miał pojęcia o psychologii mas, ale jaką wymówkę podać możemy my, którzy nie skorzystaliśmy z takiej lekcji?

W dniu, w którym te zbrojne masy, bez prawdziwej więzi, bez instynktu wojskowego, zwrócą się, jak w czasach Komuny, przeciw społeczeństwu, którego miały bronić, będzie ono bliskie końca. Wtedy będzie można ujrzeć podpalone miasta, wściekłą anarchię, inwazję, rozbiory, żelazną stopę despotów wyzwolicieli i definitywny upadek.

Ten los, który nam grozi, już dotknął pewne ludy. Nie trzeba więc zwracać się ku nieznanej jeszcze przyszłości, by zobaczyć kraje, w których przyczyną rozkładu społecznego są ich armie. Wiadomo, w jakim nędznym stanie anarchii żyją wszystkie republiki latynoamerykańskie. Ciągłe rewolucje, zupełna ruina finansów, demoralizacja wszystkich obywateli, a przede wszystkim wojskowych. To, co nazywa się tam

armią, składa się z niezdyscyplinowanych hord, marzących tylko o łupach, gotowych na usługi pierwszego generała, który je poprowadzi na rabunek. Każdy generał, pragnący pochwycić władzę, zawsze znajdzie jakieś zbrojne bandy, by zabić rywali i zająć ich miejsce. Częstość tych zmian w republikach latynoamerykańskich jest taka, że gazety europejskie prawie już zrezygnowały z ich rejestracji i nie zajmują się tym, co dzieje się w tych nędznych krajach, więcej niż Laponią. Ostatecznym przeznaczeniem tej połowy Ameryki jest powrót do stanu barbarzyństwa, chyba że Stany Zjednoczone oddadzą im tę przysługę, że je podbiją.

§ 4. Jak socjalizm może być zwalczony

Eksperyment z socjalizmem musi być gdzieś przeprowadzony, gdyż tylko taki eksperyment uleczy ludy z utopii, cały więc nasz wysiłek należy skierować na to, by przeprowadzony został za granicą, a nie u nas. Jest zadaniem piszących odwrócić od ojczyzny złowróżbną groźbę jego realizacji, choćby ich wpływ był znikomy. Powinni zwalczać socjalizm i opóźniać godzinę jego zwycięstwa, by dokonało się ono gdzie indziej. W tym celu trzeba poznać jego silne i słabe strony, a także psychologię jego wyznawców. Tego rodzaju studium podjęte zostało w tym dziele.

Konieczne działania obronne nie mogą się opierać na argumentach zdolnych do wpłynięcia na uczonych i filozofów. Ci, których nie zaślepia pragnienie hałaśliwej popularności albo to złudzenie, którego ofiarą padali wszyscy demagodzy, że będą mogli, gdy zechcą, poskromić potwora spuszczonego z łańcucha – ci wiedzą bardzo dobrze, że człowiek nie przerabia społeczeństw wedle swojej woli, że musimy podlegać naturalnym prawom, nad którymi nie panujemy; że cywilizacja jest w danej chwili tylko jednym ogniwem łańcucha, połączonym z przeszłością niewidzialnymi więzami; że charakter ludu określa jego instytucje i przeznaczenie i że jest on dziełem wieków; że społeczności na pewno ewoluują bez przerwy i w przyszłości nie będą takie, jakie są obecnie, ale że tak samo na pewno tą przyszłą ewolucją nie pokierują nasze marzenia i fantazje.

To nie takimi argumentami, powtarzam, wpływa się na masy. Te argumenty, wyprowadzone z obserwacji i zestawione przez rozum, nie zdołają ich przekonać. Mało się one troszczą o rozumowania i książki! Nie uwiedzie się ich też służalczymi pochlebstwami, jak to się obecnie próbuje. Tymi, którzy im pochlebiają, masy słusznie gardzą, a ponadto podnoszą poziom żądań tym wyżej, im pochlebstwa są bardziej przesa-

dne. Żeby przewodzić masom, trzeba oddziaływać na ich uczucia, nigdy zaś nie apelować do rozumu, którego nie posiadają.

Czy zatem masy są trudne do pokierowania? Żeby tak myśleć, trzeba by nie znać ich psychologii a także bardzo mało orientować się w ich historii. Czy żeby je pociągnąć za sobą trzeba być założycielem religii jak Mahomet, bohaterem jak Napoleon, szalonym jak Piotr Pustelnik? Z pewnością nie. Nie są potrzebne wyjątkowe osobowości. Niewiele lat temu widzieliśmy nieznanego generała mającego tylko trochę śmiałości, prestiż munduru i pięknego konia, bliskiego wąskiej granicy dzielącej go od najwyższej władzy, której jednak nie ośmielił się przekroczyć [generał Boulanger]. Cezar bez lauru i wiary, cofnął się przed Rubikonem. Przypomnijmy sobie, że historia dowodzi, iż ruchy ludowe są w rzeczywistości tylko ruchami paru agitatorów, przypomnijmy sobie prostotę mas, ich niemożliwe do wykorzenienia odruchy konserwatywne, a wreszcie mechanizm przekonywania, który próbowałem wydobyć w poprzednim dziele: twierdzenie, powtarzanie, zarażenie i prestiż. Przypomnijmy raz jeszcze, że to nie interes, tak wpływający na izolowaną jednostkę, prowadzi tłumy. Potrzebują one ideału do naśladowania, wierzenia do obrony. Nie przejmą się jednak ideałem ani wierzeniem, nie przejąwszy się uprzednio ich apostołami. Tylko oni, dzięki swemu prestiżowi, rozniecają w duszy ludu uczucia podziwu i sympatii, które są najsolidniejszymi podstawami wiary. Całkiem niedawno widzieliśmy, jak jedno z większych miast francuskich [Roubaix], uważane za cytadelę kolektywizmu, pozbyło się socjalistycznej rady miejskiej, którą cierpliwie znosiło przez czas dłuższy. Doszło do tego tylko dzięki wpływowi, jaki wywarł na masy jeden człowiek przedsiębiorczy, inteligentny i aktywny.

Można prowadzić masy jak się chce i kiedy się chce. Najszkodliwsze reżimy i ich najnieznośniejszych despotów masy wielbiły, jeśli tylko potrafili je podbić. Oddawały swoje głosy na Marata, Robespierre'a, Burbonów, Napoleona, Republikę, na awanturników równie łatwo jak na wielkich ludzi. Wolność przyjmowały z taką samą rezygnacją jak niewolę.

Aby się obronić – nie przed nimi, lecz przed agitatorami – wystarczy tylko chcieć. Niestety prawdziwa choroba moralna naszych czasów, która u ludów łacińskich wydaje się prawie nieuleczalna, to brak woli. Ta utrata woli, zbiegająca się z brakiem inicjatywy i postępami obojętności, jawi się jako poważne niebezpieczeństwo wiszące nad nami.

Są to z pewnością ogólniki, ale łatwo przejść od nich do szczegółów. Ale jaki pożytek bieg rzeczy miałby z rad pisarza? Czy nie spełnił on swego zadania, podając ogólne zasady, z których łatwo już wyciągnąć dalsze wnioski?

Wskazówki, co czynić, są zresztą mniej ważne niż wskazówki, czego unikać. Organizm społeczny jest delikatny i nie należy go za mocno dotykać. Nic szkodliwszego dla państwa, niż stałe uleganie bezmyślnej i zmiennej woli mas. O ile trzeba wiele dla nich uczynić, niewiele należy czynić z ich udziałem. Byłoby zresztą ogromnym postępem, gdyby wyrzec się naszych wiecznych projektów reformatorskich, poglądu, że powinniśmy bez przerwy zmieniać nasze konstytucje, instytucje i prawa. Przede wszystkim powinniśmy ograniczyć, a nie ciągle poszerzać, zasięg interwencji państwa, tak by skłonić obywateli do pewnej inicjatywy, do nabrania zwyczaju kierowania samym sobą, który zatracili z powodu wiecznej kurateli, jakiej się domagają.

Ale raz jeszcze, czemu służy wyrażanie takich życzeń? Mieć nadzieję na ich urzeczywistnienie, czy to aby nie znaczy, że bylibyśmy w stanie zmienić swoją duszę i odwrócić bieg losu? Najpotrzebniejsza z reform, jedyna naprawdę użyteczna, dotyczyłaby kształcenia. Jest to niestety zarazem ta najtrudniejsza do przeprowadzenia, a jej realizacja wymagałaby prawdziwego cudu: przekształcenia naszego ducha narodowego.

Jak mieć nadzieję? A z drugiej strony, jak zamilczeć z rezygnacją, jeśli się przewiduje nadchodzące niebezpieczeństwa i jeśli w teorii ich uniknięcie byłoby łatwe?

Jeśli pozwolimy obojętności wobec spraw i nienawiści wobec osób, jałowym rywalizacjom i dyskusjom zalać nas jeszcze bardziej, jeśli będziemy wiecznie żądać interwencji państwa w nasze najdrobniejsze sprawy – podkopana już budowla społeczna ostatecznie się rozpadnie. Trzeba będzie wtedy ustąpić miejsca ludom energiczniejszym i definitywnie zniknąć ze sceny świata.

Tak zginęło wiele cywilizacji, gdy ich naturalni obrońcy zrezygnowali z walki i wysiłku. To nie spadek inteligencji powodował ruinę ludów, lecz upadek ich charakteru. Tak skończyły się Ateny i Rzym. Tak skończyło się także Bizancjum, spadkobierca cywilizacji antycznej, odkryć i marzeń ludzkości, skarbców myśli i sztuki nagromadzonych od początku historii.

Kronikarze donoszą,[3] że gdy sułtan pojawił się przed wielkim miastem, jego mieszkańcy, zajęci subtelnymi dyskusjami teologicznymi i stale skłóceni, mało się przejęli jego obecnością. Przedstawiciel nowej wiary łatwo zwyciężył swych przeciwników. Kiedy wkroczył do świet-

---

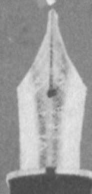
[3] Powyższy obraz upadku Konstantynopola jest oczywiście zupełnie fantastyczny; natomiast prawdą jest, że Bizancjum zatraciło zdolność do walki, ulegając przeciwnikowi wielokrotnie słabszemu liczebnie i materialnie. Głównymi przyczynami (zapewne nieznanymi autorowi, gdyż powołałby się na nie z największą chęcią) był wielowiekowy etatyzm, korupcja i ucisk podatkowy [*przypis tłumacza*].

nej stolicy, ostatniego schronienia światła starego świata, jego żołnierze najhałaśliwszych z tych gadułów pozbawili szybko głów, a innych pojmali w niewolę.

Spróbujmy nie naśladować tych bladych potomków zbyt starych ras i uniknijmy ich losu. Tym bardziej nie traćmy czasu na daremne skargi i dyskusje. Umiejmy się bronić przeciw wrogom zagrażającym nam od wewnątrz, gdy musimy też walczyć z tymi, którzy czyhają na zewnątrz. Nie gardźmy żadnym wysiłkiem i niech każdy podejmie go w swojej sferze, choćby jej zasięg był bardzo skromny. Największe góry powstały z nagromadzenia ziaren piasku. Badajmy bez przerwy problemy stawiane przed nami przez sfinksa, bo trzeba je rozwiązać pod groźbą pożarcia przez niego. A nawet jeśli myślimy lękliwie, że te rady są równie daremne, jak życzenia dla chorego, którego los jest przesądzony – działajmy, jakbyśmy tak nie myśleli.

Marzec 1902





Gustaw LE BON (1841-1931) znany jest najbardziej jako autor *Psychologii tłumu,* w której opisuje irracjonalne zachowania mas ludzkich i nimi tłumaczy wstrząsy dziejowe. Uchodzi więc za klasyka psychologii. Zainteresowania miał jednak daleko szersze. Z wykształcenia lekarz, publikował prace fachowe o dymie tytoniowym, fotografice, jeździe konnej. Wiele podróżował, wydając szereg ilustrowanych książek o krajach egzotycznych (pierwszą wszakże o podróży... w Tatry). Bystrze obserwował życie polityczne i gospodarcze.

Jego książki o społecznościach ludzkich mało przypominają profesorskie monografie, usiane są obserwacjami z różnych dziedzin oraz komentarzami publicystycznymi. Gros z nich wiąże się tematycznie z *Psychologią tłumu*: pisał Le Bon o psychologii różnych ludów (był pionierem antropologii kulturowej), o psychologii rewolucji, wojny i polityki.

Jego własna psychologia pozostała psychologią lekarza. Obserwował choroby społeczeństwa, traktując je jak swojego pacjenta. Widział więc gatunek i jednostkę zbyt biologicznie i racjonalistycznie, co może dzisiaj razić. Z pogardliwą wyższością oświeconego sceptyka patrzył na ludzką naiwność i symptomy dekadencji. Zarazem atakował złe porządki, wzywał do leczenia. Nieraz się mylił, ale częściej był przenikliwy i przewidujący.

Psychologia socjalizmu (1902) zajmuje się nie tylko psychologicznym portretem socjalnych demagogów i ich mało rozgarniętych słuchaczy. Przedstawia też doktryny socjalistyczne, a socjalizm konfrontuje z życiem gospodarczym epoki. Okres przed I wojną światową uchodzi zwykle za epokę "dzikiego kapitalizmu". Tymczasem był to w wielu krajach czas wysokich ceł, dotacji, idiotyzmu biurokratycznego i wpływowych związków zawodowych. Jego ostra krytyka mentalności i etatyzmu ówczesnej Francji w wielu punktach pasuje do Polski obecnej (przy podobnym wtedy poziomie życia: znośna dniówka robotnika 5 franków i takaż cena tańszej pary butów). Przewidywał trafnie upadek roli Europy, poza Niemcami, widział potęgę Ameryki i ekspansję gospodarczą Dalekiego Wschodu. W Europie oczekiwał krwawych przewrotów socjalistycznych, a na całym świecie – większych wojen. Zgadywał groźbę rozrostu interwencji państwa oraz rosnące problemy ze społecznie nieprzystosowanymi.

W analizach tych łączył podejście klasycznej ekonomii wolnorynkowej z wyczuleniem na rolę czynnika ludzkiego, indywidualne zdolności i społeczną współpracę. Widział, że siła ciążenia starych nawyków, szkodliwe interwencje państwa, uwarunkowania kulturowe i pragnienia irracjonalne – a także zwykła głupota – sprawiają łącznie, że ludzie różnią się znacznie od idealnego modelu *homo oeconomicus*.

ISBN 83-900118-6-7